



**Jennifer Egan**

**SPÓJRZ NA MNIE**

*Przechodzimy przez siebie, spotykając złodziei, duchy, olbrzymy, starców, młodzieńców,  
żony, wdowy, kochanych szwagrów. Ale zawsze spotykając siebie.*

James Joyce, *Ulisses*

## Część pierwsza

### PODWÓJNE ŻYCIE

## Rozdział pierwszy

Po wypadku stałam się mniej widoczna. I nie chodzi mi tylko o to, co jest dość oczywiste: że rzadziej bywałam na przyjęciach i na jakiś czas znikłam ludziom z oczu. A raczej nie tylko o to. Chcę powiedzieć, że po tym zdarzeniu stałam się trudniejsza do zauważenia.

W mojej pamięci wypadek zyskał osobliwe, szorstkie i olśniewające piękno: białe światło słońca, powolny zakręt w przestrzeni (jak na Tilt-A-Whirl, mojej ulubionej karuzeli) i uczucie, że moje ciało porusza się prędzej — i w przeciwnym kierunku — niż pojazd, w którym się znajduję. A potem jasność i przesywający brzęk, gdy wyleciałam na zewnątrz przez przednią szybę; zakrwawiona, przerażona i dezorientowana.

Prawda jest taka, że nic nie pamiętam. Wypadek wydarzył się nocą, podczas sierpniowej ulewy, na pustym odcinku autostrady wijącej się wśród pól kukurydzy i soi, o kilka mil od Rockford w Illinois, mojego rodzinnego miasta. Wcisnęłam pedał hamulca i moja twarz zderzyła się nagle z szybą, przez co natychmiast straciłam przytomność. Oszczędziło mi to mocnych wrażeń, kiedy wóz zeskokczył z drogi prosto w kukurydziane pole, przekoziółkował kilkakrotnie, stanął w płomieniach i zaraz potem eksplodował. Poduszki powietrzne nie zadziałały; mogłabym oczywiście pozwać producenta, ale jako że nie byłam przypięta pasami, chyba dobrze się stało, że poduszki zawiodły: gdyby zareagowały jak należy, prawdopodobnie urwałoby mi głowę, a wtedy można powiedzieć, ucierpiałabym nie tylko moralnie. W zderzeniu z moją czaszką nie tłukąca się szyba przednia dowiodła, że zasługuje na swoją nazwę. Dzięki temu, choć połamałam sobie dosłownie wszystkie kości twarzy, prawie nie mam blizn.

Zawdzięczam życie „dobremu Samarytaninowi” — komuś, kto wyciągnął mnie z płonącego wraku tak szybko, że tylko moje włosy zdążyły się spalić; komuś, kto ułożył mnie delikatnie na skraju pola kukurydzy, wezwał karetkę, z niezłą precyzją opisał miejsce zdarzenia, a następnie — ze skromnością, która wydała mi się wręcz perwersyjna, nie mówiąc już o tym, że zupełnie nieamerykańska — oddalił się, bardziej ceniąc anonimowość niż sławę z powodu szlachetnego czynu. A może po prostu spieszył się do swoich spraw.

Ambulans zabrał mnie do szpitala Rockford Memorial, gdzie oddano mnie w ręce doktora Hansa Fabermanna, specjalisty w dziedzinie chirurgicznej rekonstrukcji twarzy. Czternaście godzin później, gdy odzyskałam przytomność, to właśnie on siedział przy mnie: starszy mężczyzna o szerokiej, muskularnej szczęce. Z obu uszu sterczały mu kępki siwych włosów, ale tamtego wieczoru nie dostrzegałam takich szczegółów — i w ogóle niewiele widziałam. Doktor Fabermann wytłumaczył mi łagodnie, że miałam szczęście; połamałam sobie żebra, rękę i nogę, ale obyło się bez poważnych obrażeń wewnętrznych. Natomiast moja twarz, jak powiedział, znajdowała się w tak zwanym „złotym czasie”, tuż przed etapem „groteskowej opuchlizny”. Gdyby zdecydował się na natychmiastową operację, mógłby się zająć „poważną asymetrią” mojego oblicza, a konkretnie brakiem połączenia między kośćmi jarzmowymi a górną częścią

czaszki oraz między żuchwą a górną szczęką. Nie miałam pojęcia, gdzie się znajduję i co się ze mną stało. Twarz mi zdrętwiała, widziałam podwójnie i jakby przez mgłę, a do tego miałam nieprzyjemne wrażenie, jakby moje dolne zęby przestały pasować do górnych. Poczułam, że ktoś dotyka mojej dłoni i zdałam sobie sprawę, że jest przy mnie również moja siostra Grace. Emanowało od niej silne przerażenie, które wzbudziło we mnie tak dobrze znane pragnienie uspokojenia jej. Przypomniała mi się Grace przytulona do mnie w łóżku podczas burzy, zapach cedrów, mokrych liści... Już dobrze, chciałam powiedzieć. To złoty czas.

— Jeżeli nie zoperujemy pani teraz, trzeba będzie poczekać pięć lub sześć dni na ustąpienie opuchlizny — rzekł doktor Fabermann.

Próbowałam przemówić, wyrazić zgodę, ale ruchome części mojej twarzy jakoś nie chciały się ruszać. Z krtani wydobyło się jedynie kilka tych dziwnych, gulgotzących dźwięków, które zawsze wydają z siebie bohaterowie filmów umierający na wojnie. Zamknęłam oczy. Ale doktor Fabermann widocznie zrozumiał, bo trafiłam pod nóż tamtej nocy.

Po dwunastu godzinach operacji, podczas której w pokruszone kości mojej twarzy implantowano osiemdziesiąt tytanowych śrub; po rozcięciu skóry od ucha do ucha przez ciemię, tak aby doktor Fabermann mógł ściągnąć ją z mojego czoła i przymocować do niego ułamane kości jarzmowe; po wykonaniu nacięć w ustach, przez które mógł dokonać naprawy rozłączonych szczęk; po jedenastu dniach doglądania mnie przez siostrę, która fruwała wokół mego łóżka jak nadwrażliwy anioł, podczas gdy jej mąż, Frank Jones, którego nienawidziłam z wzajemnością, siedział w domu, opiekując się moimi dwiema siostrzenicami i siostrzeńcem — wypisano mnie ze szpitala.

Znalazłam się na swoistym rozdrożu. Młodość wypełniło mi czekanie na dzień, w którym będę mogła uciec z Rockford w Illinois, co zresztą uczyniłam przy pierwszej nadarzającej się okazji. Rzadko odwiedzałam to miasto, ku rozgoryczeniu moich rodziców i siostry, a sporadyczne wizyty zawsze były gwałtowne, dziwaczne i krótkie. W prawdziwym życiu — bo tak lubiłam o nim myśleć — z zapalem ukrywałam swoje związki z Rockford, mówiąc ludziom, że pochodzę z Chicago, o ile w ogóle pozwalałam sobie na rozmowę na ten temat. Lecz choć bardzo pragnęłam wrócić do Nowego Jorku wkrótce po wypadku, by znowu chodzić gołymi stopami po białym, puszystym dywanie mojego apartamentu na dwudziestym piątym piętrze, z widokiem na East River, to jednak fakt, iż mieszkalam samotnie, był przeszkodą nie do pokonania. Prawą nogę i lewe ramię zapakowano mi w gips, a moja twarz wchodziła właśnie w „fazę gwałtownego zdrowienia”: sine plamy sięgały aż do klatki piersiowej, białka oczu świeciły upiorną czerwienią, a głowa napuchła do rozmiarów piłki do koszykówki, spiętej szwami przez całe ciemię (co i tak było krokiem naprzód w stosunku do użytych pierwotnie zszywek). Większość włosów ogolono mi do gołej skóry, a to, co pozostało, było przypalone, śmierdzące, i wyłaziło całymi garściami. Ból, na szczęście, nie był wielkim problemem: uszkodzenie zakończeń nerwowych sprawiło, że poniżej oczu moja twarz w zasadzie nic nie czuła. Prześladowały mnie za to potworne bóle głowy. Chciałam pozostać w pobliżu doktora Fabermanna, mimo iż upierał się, z klasyczną dla mieszkańców Środkowego Zachodu skromnością, że znajdę równie dobrych lub lepszych chirurgów w Nowym Jorku. Jednak Nowy Jork był dla silnych, a ja byłam słaba — tak bardzo słaba! Spałam niemal przez cały czas. Wydawało mi się słuszne leczyć się ze słabości w miejscu, które zawsze uważałam za ostoję tego, co wątłe, kulawe i bezużyteczne.

I dlatego, ku zdumieniu przyjaciół i kolegów w Nowym Jorku oraz ku rozpaczysiostry, której mąż odmówił przyjęcia mnie pod swój dach (co nie oznacza, że chciałabym skorzystać z jego łaski), z jej pomocą wprowadziłam się do starej przyjaciółki naszych rodziców, Mary Cunningham, która mieszkała przy Ridgewood Road, na wschodnim brzegu Rock River, w pobliżu domu z naszego dzieciństwa. Moi rodzice już dawno przenieśli się do Arizony, gdzie płuca ojca powoli rozpadały się z powodu rozedmy, a matka z coraz głębszą wiarą oddawała się kolekcjonowaniu obdarzonych mocą kamieni o dziwnych kształtach, które układała na jego rzęzącej piersi nocą, gdy spał. „Proszę, pozwól mi przyjechać”, błagała mnie przez telefon, zebrawszy w woreczki najlepiej uzdrawiające zioła, pióra i zęby. Odpowiedziałam jej,

żeby została z tatą. „Nic mi nie będzie, mówiłam, Grace się mną zajmie”. W moim obcym, skrzeczącym głosie było zdecydowanie, które tak dobrze znałam i które nie pozostawiało matce żadnych złudzeń. Umiałam zadbać o siebie. Zawsze tak było.

Pani Cunningham bardzo się postarzała od czasu, gdy z wdziękiem przeganiała miotłą dzieciaki z sąsiedztwa, próbujące podbierać złote rybki z mętnej toni oczka wodnego na tyłach jej domu. Ryby — a raczej ich potomstwo — nadal tam były; ich obecność zaznaczała się złotawymi i białymi błyskami pośród rzęsy i lilii wodnych. Dom pachniał kurzem i uschniętymi kwiatami, a szafy pełne były starych kapeluszy. Duchy nieżyjącego męża pani Cunningham oraz jej dzieci, które dawno już wyjechały w dalekie strony, nadal tu mieszkają, uśpione gdzieś na cedrowym poddaszu. Bez wątplenia właśnie dlatego starsza kobieta z chorym biodrem wciąż jeszcze tu była i wołała się męczyć, wspinając się co dnia na piętro, podczas gdy jej przyjaciółki od brydża dawno temu zwinęły manatki i wyniosły się do wygodnych mieszkań. Pani Cunningham położyła mnie w pokoju należącym niegdyś do jednej z jej córek i najwyraźniej zadowolona z renesansu swego macierzyństwa przynosiła mi ochoczo herbatę oraz sok, który piłam z dziecinnego kubeczka. Wsuwała mi na stopy zrobione na drutach kapcie i karmiła mnie morelowym purée Gerbera, które pochłaniałam żarłocznie. Kazała chłopakowi, który kosił u niej trawę, wnieść telewizor na piętro, do mojego pokoju. Wieczorami kładła się w łóżku stojącym bok w bok z moim, wysuwając spod ciepłego szlafroka swe włosowane, żylaste łydki. Razem oglądałyśmy lokalne wiadomości, z których dowiedziałam się wkrótce, że nawet w Rockford gangi narkotykowe rządzą ulicą, a egzekucje dokonywane z przejeżdżających samochodów stały się czymś normalnym.

„Kiedy pomyślę, jak to miasto wyglądało dawniej...”, mawiała pani Cunningham. Chodziło jej o lata powojenne, kiedy wraz z mężem, Ralphem, wybrała Rockford spośród wszystkich innych amerykańskich miast jako idealne miejsce na nowy dom. „Najlepiej prosperująca społeczność w całych Stanach”, twierdził niegdyś mądrała znany jako Roger Babson; Mary Cunningham posunęła się nawet do tego, że przytaszczyła opasłe tomisko na moje posłanie i krzywym, trzęsącym się palcem wskazała mi ten właśnie cytat. Doskonale wyczuwałam jej zgorzkniałość, jej niesmak z powodu fatalnego błędu w ocenie perspektyw nakazującego jej teraz — pod presją pamięci i doświadczenia — w samotności kochać miejsce, którym z biegiem czasu zaczęła gardzić.

Minęły cztery tygodnie, nim byłam w stanie opuścić dom w innym celu niż tylko upchnięcie obolałych kończyn w samochodzie Grace i odwiedzenie doktora Fabermanna lub jego kolegi, doktora Pine'a, którzy doglądali moich połamałych kości. Gdy tylko wszczepiono w gipsowy odlew mojej nogi podpórkę umożliwiającą chodzenie, wybrałam się — w pasiastych jak zebra okularach przeciwsłonecznych z lat sześćdziesiątych (pożyczonych od pani Cunningham) i z siostrą czuwającą u mego boku — na pierwszy spacer po niegdyś tak dobrze mi znanej okolicy. Nie byłam w tej części miasta od czasu, gdy Grace wyjechała do college'u. Wtedy rodzice kupili mniejszy dom na sporej działce na wschód od miasta, w pobliżu drogi międzystanowej, a wraz z nim konia, Daffodila („Żonkila”, jak kto woli — tłum.), na którym ojciec jeździł, póki nie zaczęło mu brakować tchu.

Zbliżał się koniec września. Śledziłam upływ dni w obsesyjnej wierze, że jeśli będę mierzyć czas, nie będzie on stracony. Szłyśmy z ciepłym wiatrem w stronę domu przy Brownwood Drive, gdzie spędziłam w łóżku kilka tysięcy nocy, gapiąc się przez okno na gąszcz wiązów, które powoli umierały na grafiozę; gdzie słuchałam płyt zespołu Supertramp w piwnicy wyłożonej plastikową, pomarańczową wykładziną; gdzie stałam przed lustrem w sukience, gotowa do balu promocyjnego, podczas gdy matka poprawiała ostatnie płatki z rayonu — a jednocześnie w stronę domu, o którym tak rzadko myślałam, odkąd wyjechałam z tego miasta. Ale on tam był: płaski jak na ranczu, obłożony żółtawą cegłą, którą przyklejono chyba tylko z zewnątrz, z placykiem soczystej zieleni wetkniętym podeń jak serwetka pod brodę. Był tak podobny do dziesiątków tysięcy domów w Rockford, że odwróciłam się do Mary Cunningham i zapytałam, czy jest pewna, że to ten.

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, a potem się roześmiała, niewątpliwie przypominając sobie, że mój wzrok chwilowo jest gorszy niż jej i że naładowano mnie solidnie środkami przeciwbólowymi.

Dopiero kiedy odchodziłyśmy, pojawiło się w mojej głowie jedno wspomnienie: ten sam dom, zarysowany na tle nieba o świcie, gdy biegłam w jego stronę, wracając od najlepszej przyjaciółki, Ellen Metcalf, u której zostałam na noc. Wspomnienie owo spadło na mnie jak cios albo jak pocałunek, zupełnie niespodziewanie. Zamrugłam szybko, żeby się z niego otrząsnąć.

W następnym tygodniu potrafiłam już dojść o kulach do Rock River, a ściślej do parku ze ścieżką dla biegaczy, ciągnącego się wzdłuż wschodniego brzegu tej krętej rzeki. Wpatrywałam się łapczywie w tę ścieżkę, pragnąc odwiedzić ogród różany i sadzawkę z kaczkami, znajdujące się nieco dalej na północ, ale wiedziałam, że nie starczy mi sił, by tam dojść. Zamiast tego poszłam więc do budki telefonicznej na parking przy siedzibie YMCA, aby odsłuchać zdalnie automatyczną sekretarkę; wszystkie aparaty w domu pani Cunningham miały tarcze, nie klawiatury.

Od wypadku minęło siedem tygodni i komunikat, który kazałam siostrze nagrać w moim telefonie, informujący o moim losie i nie ujawniający faktu, iż nie ma mnie w apartamencie — wykończyłabym się, gdyby ktoś jeszcze obrobił mi mieszkanie — wywołał prawdziwą powódź wiadomości od zaniepokojonych przyjaciół. Grace zgrywała je wszystkie systematycznie, ale tego dnia pojawiły się nowe. Jedną z nich zostawił Oscar, mój agent, z trudem przekrzykujący polifonię dzwoniących telefonów, która wydawała mi się wtedy zjawiskiem z innego świata.

— Tak tylko sprawdzam, skarbie. Zadzwoń, kiedy odzyskasz dar mowy.

Siostra mówiła mi, że dzwonił codziennie. Oscar mnie uwielbiał, choć minęły lata, odkąd zarobiłam dla mojej agencji „Femme” porządne pieniądze.

Drugą nagrał niejaki Anthony Halliday, który przedstawił się jako prywatny detektyw. Grace już wcześniej odebrała od niego dwie wiadomości. Jako że nigdy przedtem nie rozmawiałam z prywatnym detektywem, wybrałam jego numer z czystej ciekawości.

— Biuro Anthony'ego Hallidaya. — Drżący, niemal dziewczęcy głos. To na pewno nie profesjonalistka, pomyślałam, raczej ktoś w zastępstwie. — Nie ma go w tej chwili. Czy mogę zanotować wiadomość?

Nie zamierzałam zdradzać numeru telefonu Mary Cunningham, po części dlatego, że była miłą staruszką, a nie moją sekretarką, a po części dlatego, że w wizji szturmu mieszkańców Nowego Jorku na mauzoleum jej domu dostrzegłam coś perwersyjnego i skrajnie niekompatybilnego.

— Wolałabym zadzwonić do niego — odrzekłam. — O jakiej porze mogę spróbować?

Kobieta zawahała się.

— Naprawdę nie mógłby oddzwonić do pani?

— Proszę posłuchać. Jeżeli chce się ze mną skontaktować, to...

— Jest... hmm... w szpitalu — przerwała mi pośpiesznie.

Roześmiałam się i był to mój pierwszy szczerzy śmiech od wypadku. Aż mnie gardło rozbolało.

— To proszę mu powiedzieć, że jest nas dwoje — zachichotałam. — Szkoda tylko, że nie trafiliśmy do tego samego szpitala; moglibyśmy spotkać się gdzieś na korytarzu.

Kobieta zaśmiała się z wysiłkiem.

— Wydaje mi się, że nie powinnam była mówić o tym szpitalu.

— Nie ma nic wstydliwego w tym, że ktoś się leczy — zapewniłam ją serdecznie. — Chyba że w szpitalu psychiatrycznym...

Zapadła martwa cisza. Anthony Halliday, prywatny detektyw, z którym nigdy nie rozmawiałam, przebywał w szpitalu psychiatrycznym.



— Może w przyszłym tygodniu? — zasugerowała nieśmiało kobieta.

— Zadzwoń.

Ale gdy tylko zaczęłam mozolny marsz z powrotem w stronę domu Mary Cunningham, rzecz umknęła mi z pamięci dokładnie tak samo, jak znikają z niej listy sprawunków układane w myśli przed zaśnięciem.

Wieczorem przyszła do nas Grace i wcisnęła krzesło między bliźniacze łóżka, na których jak zwykle leżałyśmy z Mary Cunningham, oglądając *Nowojorskich gliniarzy*. Kiedy jakiś człowiek został zmasakrowany w toalecie i pokazano jego twarz, Grace zakryła oczy i zaczęła błagać, żebym zmieniła kanał.

— Sama sobie zmień — odparowałam. — Ja jestem niepełnosprawna.

— Przepraszam — mruknęła i pokornie podeszła do telewizora; prawdopodobnie ostatniego na świecie modelu, który obsługiwało się ręcznie. — To nie ja powinnam płakać.

— Płaczesz za nas obie — odpowiedziałam.

— Czy to nie dziwaczne, że jechałaś do Rockford, nie uprzedzając mnie o tym? — biadoliła, kręcąc przełącznikiem. Mówiła mi już o tym ze dwanaście razy, zapewne wierząc, że gdyby wiedziała o moim przybyciu, podróż na pewno przebiegłaby inaczej. Nie podobał mi się ten sposób zadawania pytań (zresztą nie podobał mi się wtedy żaden sposób zadawania pytań, jeśli chodzi o ścisłość), ale i tak wołałam to niż temat, którego Grace nawet nie ośmielała się poruszać: jak będę wyglądać, kiedy to wszystko minie? Co się ze mną stanie?

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — oznajmiłam.

— I pomyśleć, że nadal nie pamiętasz, jak to się stało! — wtrąciła Mary Cunningham. — Może jakieś zwierzę wybiegło na drogę, a może poczułaś się senna? Czy to możliwe, żebyś na chwilę zasnęła za kierownicą, moja droga?

— Nie pamiętam. Nie pamiętam — odpowiedziałam i sama nie wiem dlaczego zasłoniłam oczy.

— Zawsze miała fatalną pamięć — stwierdziła Grace.

To prawda. Pamięć miałam fatalną, a Rockford było miejscem, które pamiętałam najsłabiej ze wszystkich. Mimo to nuda i zastój w mojej nie najciekawszej sytuacji popychały mnie ku retrospekcji w ów pozbawiony entuzjazmu sposób, w jaki osoba pozostawiona w starym domu prędzej czy później trafia na strych i zaczyna zaglądać do zakurzonych kartonów. Chwilami powracały do mnie wrażenia z najwcześniejszego dzieciństwa spędzonego w Rockford: bujnym, zmysłowym świecie wilgotnych, zielonych trawników, potężnych burz i gór połyskujących zimą śnieżnymi czapami. Przypomniałam sobie, że na wczesnym etapie okresu dojrzewania zdarzyło mi się przygotować szkolny raport o osiągnięciach przemysłowych mojego miasta. Długo czytałam w publicznej bibliotece o snopowiązałkach, o maszynie dziewiarskiej produkującej skarpetki bez szwów, o smarowanym olejowo przegubie uniwersalnym, którego przeznaczenia już nie pamiętam, o pomysłowej kombinacji biurka z regałem na książki, o tokarkach, żniwiarkach i częściach zamiennych do nich. Przeczuwałam, że chwile prawdziwej wielkości Rockford przeżywało w dobie raczkującej motoryzacji — to tu znajdowały się siedziby jedenastu firm projektujących auta, a jedna z nich, Tarkington Motor Company, stworzyła w latach dwudziestych prototyp ciepło przyjęty podczas salonu samochodowego w Chicago. Okazało się jednak, że nie — inwestorzy wycofali się, udanej konstrukcji nigdy nie produkowano seryjnie, a mój entuzjazm do przyswajania wiedzy o chwalebnych dziejach przeniósł się na nieco cięższe tematy: Rockford pozostało bowiem znanym ośrodkiem produkcji wiertel, pił, skrzyń biegów, przegubów, uszczelniaczy, regulowanych zamykaczy do drzwi, świec oraz uszczelek — słowem samochodowych różności — a także wszelkich narzędzi rolniczych. Krótko mówiąc, stało się fabryką nudnych, niewidzialnych rzeczy, którymi nie interesował się absolutnie nikt.

Po dwóch dniach czytania wytoczyłam się z biblioteki na pustawą ulicę w „centrum” miasta, po drugiej stronie rzeki od naszego domu, gdzie handel niemal zamarł, zdławiony przez konkurencję nowych pasaży wzniesionych daleko na wschodnim brzegu, w pobliżu drogi międzystanowej. Matka zatrąbiła na mnie klaksonem, siedząc w wozie na parkin-

gu po przeciwnej stronie ulicy. Ja jednak jeszcze przez minutę stałam nieruchomo, kurczowo ściskając teczkę i pozwalając, by przelała się przeze mnie małość i mierność tego zapomnianego miejsca. Rockford, jak wtedy odkryłam, było miastem przegranych, miastem, które nigdy niczym nie zasłynęło, mimo wielu nieudanych prób. Miasto czczone przez mechaników przez wzgląd na zalety uniwersalnego przegubu nie było miejscem, w którym mogłabym pozostać. Pojęłam to w pełni w wieku lat dwunastu: to była moja pierwsza próba samookreślenia. Nie byłam Rockford — byłam czymś wręcz przeciwnym, gdziekolwiek mogło się to coś znajdować. Rozmyślałam o tym, stojąc przed budynkiem publicznej biblioteki, a potem przeszłam przez ulicę i wsiadłam do samochodu matki.

Nasz ojciec był właścicielem hurtowni artykułów elektrycznych. Potrafił wdrzeć się w głąb ściany do ukrytych w niej przewodów, zaplatać palcami kable i sprawiać, że światła paliły się jak należy. Jako dziecko przypisywałam jego zdolnościom atrybuty magiczne i z upodobaniem nosiłam naszyjniki ze śrub, podkładek i kolorowych drucików. Jednak po wizycie w bibliotece zaczęłam postrzegać sprawy z nowej perspektywy, w której żywoty moich rodziców były nic nie znaczące, uczciwe i daremne; zbyt głęboko naznaczone piętnem tego miejsca, z którym związali swój los. Dorastałam więc, czekając chwili, w której odejdę. Grace dorastała przy mnie, wiedząc, że pewnego dnia ucieknę, a ona zostanie.

A teraz znowu byłam w Rockford i z głową pełną tytanowych śrub i nakrętek — niewykluczone, że wynalezionych właśnie w tym mieście, spierałam się z siostrą o to, kto powinien zmienić kanał w telewizorze. Pomyślałam sobie, że drobne ironie losu bywają zabawne na swój ponury sposób.

— Dziewczynki umierają z tęsknoty za tobą — powiedziała Grace, wznawiając przerwana niedawno debatę o moich siostrzenicach. — Proszę cię, pozwól mi je przyprowadzić.

— Wydaje im się tylko, że chcą mnie zobaczyć.

— Charlotte, daj wreszcie spokój — poprosiła, ściskając moją rękę. — Przecież tak cię kochają!

— Jeszcze nie teraz.

Nie chodziło o to, że nie chciałam się spotkać z Allison i Pammy. W gruncie rzeczy bardzo mi brakowało zapachu ich zmierzwionych włosów i tego wskakiwania na mnie, jak to dzieciaki potrafią. Dla nich jednak byłam Sławną Ciocią Charlotte, modelką, którą od czasu do czasu widywały szeroko uśmiechniętą, z ręką na biodrze, w niechcianych katalogach podrzucanych na próg domu (bo właśnie tak nisko upadłam) albo gdzieś na drugim planie reklamy Tampaksów. To ja handlowałam dezodorantem na Coney Island („I to. Jest stres.”); to ja w gumowych nogawicach wymachiwałam wędką, wychwalając zalety przeciwrzybicznego pudru do stóp. A ta brunetka o twarzy skrzata, rozciągnięta na masce buicka, jakby przed chwilą spadła z drzewa? Ta zarumieniona okularnica wspominająca traumatyczne przeżycie, jakim było puszczenie wiatrów na zebraniu zarządu? Wmuszająca witaminizowane muesli w swego piegowatego synka? Tak, to też ja. Sporo mi brakowało do tej transcendentnej egzystencji, którą kiedyś sobie wymarzyłam. A jednak dla moich małych siostrzenic byłam żywym przykładem mitycznego wniebowstąpienia.

Niech spokojnie wierzą we mnie jak dawniej, pomyślałam, nie zrażone obecną groteskowością mojej osoby. Innymi słowy, wstydiłam się pokazać.

Pewnego popołudnia poszłam na cmentarz Cedar Bluffs i przysiadłam na nagrobku, który wydawał mi się najbliższy miejsca, gdzie dawno temu spotykałam się z Ellen Metcalf.

Zapaliłam Merita — pierwszego od czasu wypadku — lekceważąc słowa doktora Fabermanna, który ostrzegwał, że palenie hamuje proces zrastania się kości. Przed obiadem, a czasem i po, siadałyśmy z Ellen oparte o te kamienie, pośród legionu nieżywych Szwedów: Olsenów, Lofgrenów, Larsenów i takich jak ja Swensonów, ćmiąc koolsy, które naszym zdaniem były lekarstwem na letnie upały. Rozmawiałyśmy o utracie dziewictwa — choć tak naprawdę nie była to utrata, bo słowo to kojarzyło się nam z bezradnością, lecz raczej oddanie, któremu towarzyszyć miała ekstaza na zawsze nas odmieniająca.

Próbowałam przypomnieć sobie głos Ellen, ale nie umiałam — zupełnie tak, jakby była tylko wymyśloną przyjaciółką, projekcją moich marzeń. Pamiętałam, że wracałyśmy kiedyś razem po lekcjach w East High School, obok apteki i Piggly Wiggly, i wreszcie zatrzymałyśmy się przed wystawą z plastikowymi zabawkami dla dzieci. Spoglądając na siebie badawczo, zrozumialiśmy, że żadna z nas nie wie, co tu robimy: podążałyśmy za sobą nawzajem.

Po kolejnej wizycie u lekarza poprosiłam Grace, żeby przewiozła mnie obok naszego ogólniaka. Budynek wydał mi się jakby większy; miał nową, musztardową elewację, a w setkach uchylonych okien błyskały słoneczne refleksy. Stojąc przed szerokimi, pustymi schodami, poczułam kolejne ukłucie nagle powracającego wspomnienia: po raz pierwszy zobaczyłam Ellen Metcalf właśnie tu, przed szkołą — miała oliwkową cerę i długie, czarne włosy. Patrząc na nią, egzotyczną i samotną, pragnęłam stać się nią. Uczucie było tak przemożne, że ścisnęło mnie od czubków palców aż po krtań. Ellen powiedziała mi później, że tego dnia „od razu wiedziała, że nie należę do tego miejsca”. Był to dla mnie najwspanialszy komplement.

Jej ojciec był właścicielem dużej firmy handlującej nawozami, a matka quasi-inwalidką, zamkniętą stale w zaciemnionej sypialni i od lat trawioną przez chorobę, której natury w zasadzie nikt nie potrafił określić. Mieszkali w przestronnym domu, znacznie większym od naszego i odległym zaledwie o kilka parceli. Ellen trwała w stanie permanentnego poczucia wyższości, niczym ostatni żyjący członek rodziny królewskiej. Jej brat, Moose, wyjechał rok wcześniej, by studiować w University of Michigan. Wiedziałam o nim wiele. Był jednym z tych gwiazdorów ogólniaka, których wyczyny sportowe i romantyczne stają się inspiracją tego, co jest u nastolatków odpowiednikiem epickiej poezji, recytowanej godzinami pod nieobecność bohaterów. Do mojego pierwszego — intrygującego, acz krótkiego — spotkania z Moose'em doszło na trawniku przed domem, gdzie w letnie popołudnie ćwiczyłam uderzenia golfowe. Udało mi się skosić głowicę spryskiwacza i posłać w powietrze gejzer wody, który trafił dokładnie w przejeżdżający drogą kabriolet, czerwonego mustanga. Kierowca zatrzymał wóz i wysiadł, otrząsając krople z dość długich włosów. Młodzian był starszy ode mnie, ubrany w nieskazitelnie biały T-shirt, i przemierzał trawnik krokiem osobnika, który nigdy w życiu nie musiał się spieszyć. Wybąkałam coś w rodzaju przeprosin, usiłując zatrzymać butem potok spienionej wody.

— To gdzie ten kurek, za żywoplotem? — spytał, rozejrzawszy się po naszym podwórku. — Zakręć go, a ja zobaczę, co się da zrobić.

Zanim wróciłam, zdążył już zdemontować spryskiwacz i potrząsał właśnie przerdzewiałymi częściami zamkniętymi w dłoniach, jakby grał w kości. Był zaabsorbowany tym, co robił, więc mogłam mu się przyjrzeć: był uroczym, pewnym siebie chłopakiem, a jego atrakcyjność zwiększał, o dziwo, fakt, że jego głowa miała nieco neandertalskie kształty. Dwadzieścia minut później, gdy spryskiwacz był już naprawiony, mój dobroczyńca pomaszerował do samochodu i odjechał, machnąwszy mi ręką na pożegnanie. Dopiero wtedy starsza dziewczyna z domu po drugiej stronie ulicy przybiegła do mnie bez tchu, by powiedzieć mi w czyjej obecności miałam szczęście przebywać.

Ale potem Moose wyjechał. Ellen została sama, porzucona w miejscu, które nam obu wydawało się skończonym bankrutem. Wszystko, co było dobre, odeszło z tego parszywego miasta, stolicy żniwiarek i łożysk kulkowych; nie pozostało nam nic poza cieszeniem się resztkami nielicznych rozrywek. Rozmawiałyśmy więc o naszych żądach — na przykład o tym, gdzie dokładnie w naszych ciałach znajduje się ich ośrodek. Podejrzewałyśmy, że w brzuchu, ale Ellen czuła też coś na podniebieniu.

W październiku doktor Pine zdjął z moich kończyn ostatnie kawałki gipsu. Mogłam już pomagać Mary Cunningham, kiedy grabiła liście w ogrodzie. Szłam za nią krok w krok, niosąc pojemnik z zieloną trucizną. Kierowałam trąbkę rozpylacza w stronę każdego chwastu, który udało mi się wypatrzeć, i pompowałam. W owym czasie Rockford ogarnęła mania używania worków na liście w kształcie uśmiechniętej dyni. Na każdym trawniku stał więc co najmniej jeden pękaty, pomarańczowy wór. Spryskując zielsko, próbowałam przypomnieć sobie wszystkie moje erotyczne podboje



z drugiej klasy ogólniaka. Jeff Heinz: nieśmiały i posągowo piękny zawodnik drużyny futbolowej z najstarszego rocznika. Wyróżniał się niesamowitym wdziękiem spośród osiłków, z którymi walczył na boisku. Spotykaliśmy się na zajęciach z chemii. Sprytnymi insynuacjami zdobyłam sobie miejsce jego partnerki na czas zajęć w laboratorium. Starłam się stać blisko i raz po raz muskać jego nadgarstek, kiedy przestawialiśmy kolby pełne różnobarwnych płynów. I nic. Tymczasem Ellen miała chłopaka, Michaela Ippena, z którym zamierzała zrobić „to” już wkrótce. Zrezygnowałam z Jeffa

Heinza, który postanowił uczyć się dalej w Brown University (a był to krok dość niezwykły jak na chłopaka z Rockford). Dopiero rok albo i dwa lata później dostałam stamtąd wiadomość, że jest pedziem. Miałam wielką ochotę podzielić się tą wiadomością z Ellen, lecz wtedy już nie rozmawialiśmy ze sobą.

Benji Gustafsen: jasnowłosy, uroczy, z wyraźną siatką mięśni brzucha i skromną inteligencją, która przejawiała się wyłącznie w wybitnym talencie do naprawiania starych sprzętów domowych — elektrycznych otwieraczy do puszek, tosterów czy odkurzaczy. Benji był prawdziwym skarbem dla przyjaciół i sąsiadów, ale zdecydowanie nie dla osób, którym zależało na interesującej konwersacji. Tylko że moim celem nie była rozmowa, więc straciłam dziewictwo w jego brudnym, piwnicznym warsztacie, zaledwie dwa dni po tym, jak Ellen oddała cnotę Michaelowi Ippenowi na miękkim łóżku jego starszego brata.

Odgarnęliśmy śnieg z naszych ulubionych nagrobków i przysiadliśmy na nich w gęstniejącej ciemności. Owinęliśmy się szczelnie kurtkami i odwróciłyśmy głowy ku zachodowi, by popatrzeć na świetne punkty aut pędzących szosą wzdłuż Rock River.

— Na łóżku leżał szorstki koc — zauważyła Ellen.

— Podłoga była zaśmiecona tonami papierów po hamburgerach McDonalda — odpowiedziałam. — Pachniało keczupem.

— Bolało?

— Zabójczo. No i krwawiłam.

— Skoro było tyle keczupu, to pewnie nawet nie zauważył — stwierdziła Ellen.

Przez chwilę wymienialiśmy się ostatnim koolem. Wreszcie Ellen ześlizgnęła się z nagrobka i położyła się na śniegu.

— Nie jest ci zimno w głowę? — spytałam.

— Jest — odparła. — Ale te gwiazdy...

Położyłam się obok niej. Miała rację co do gwiazd. Kiedy zrobiłam to z Benjiem, naszła mnie taka okropna myśl: kim właściwie jest ten gość, który przeciąga się jak pies, aż mu kręgosłup chrupie? Ale teraz, kiedy opowiadałam o tym Ellen, kiedy snułyśmy dalsze plany, wspomnienie pierwszego razu wydało mi się jakby słodsze.

Marcus Sealander: wytatuowany motocyklista, którego złowrogo nitowana, czarna, skórzana kamizelka kryła przede wszystkim wydatny kałdun. Zrobiliśmy to na stojąco. Postąpił bardzo nieładnie, gwałtownie przyciskając moje ramiona do ściany, jakby podniecała go myśl o tym, że łamie mi kręgosłup, więc nie dostał drugiej szansy. Tymczasem Ellen zrobiła to dwa razy z Louistem Guasto, dziwnym chłopakiem, który kiedyś przykleił do ścian w pokoju rodziców setki puszek od piwa. Zrobili to właśnie tam, na dole, wśród puszek, i po raz pierwszy Ellen zdawało się, że być może zaczyna coś czuć. Niestety, w tym momencie Louis zszedł z niej i po chwili sikał już w łazience z głośnym bulgotem, więc było po wszystkim. Drugi raz był jeszcze gorszy; skończyło się po czterech minutach.

Tom Ashlock. Lenny Bergstrom. Arthur Blixt. Stephen Finn. Z nastaniem wiosny byliśmy już puszczalskimi. Szukając kogoś, kto wreszcie zaspokoiłby nasz apetyt, płoszyliśmy ze swej drogi porządnych chłopaków i dziewczyny. Kiedy Moose wrócił do domu na Boże Narodzenie, Ellen porzuciła mnie dla niego. Było to dla mnie gorzkie rozczarowanie.

rowanie, bo bardzo liczyłam na to, że do nich dołączę. Przez trzy samotne tygodnie prawie jej nie widziałam. Wyjazd Moose'a sprawił ją w ponure otepienie, ale wkrótce alchemia naszej przyjaźni znowu zaczęła działać. Nadszedł czas snucia planów wyrwania się z tej miażdżącej banalności, otaczającej nas niczym stale przybierająca woda w ciasnym pokoju, z którego muszą uciec bohaterowie telewizyjnego serialu. Były puste ulice, było niebo, był nawet ten parszywy księżyc. Ale co było nie tak z tymi chłopakami?

Z chłopakami. Przewróciliśmy się na bok między zasypnymi nagrobkami i spojrzaliśmy sobie w oczy. Śnieg roztopił się pod nami, odsłaniając szarą papkę zeszlórocznych liści. Doznałyśmy olśnienia: problemem byli właśnie chłopcy — zbyt młodzi, zbyt niedoświadczeni, żeby dostarczyć nam wrażeń, których tak pragnęłyśmy i na które zasługiwałyśmy. Tylko dojrzały mężczyźni z wieloletnią praktyką mogli wiedzieć, co i jak należy robić! Wiedziałyśmy, że znalezienie ich nie będzie trudne. Pan Polhill, instruktor jazdy, u którego szkoliła się Ellen, ciągle pochylał się nad deską rozdzielczą i wachał włosy podopiecznej. Jeśli zaś chodziło o mnie, to... zastanawiałam się, w jakim wieku powinien być kandydat.

— Stary — podpowiedziała Ellen. — Trzydziestka.

Był taki facet, który poprzedniego lata gapił się na mnie, gdy pływałam w basenie country klubu. Zdaje się, że był Francuzem. Nosił takie okropnie ciasne, malutkie kąpielówki, jakich używają chłopcy z naszej drużyny pływackiej. Wtedy uważałam, że jest okropny, ale teraz zmieniłam zdanie: był Francuzem i był mężczyzną, więc świetnie się nadawał.

Pan Polhill uprzejmie zaproponował własny wóz, kiedy Ellen poprosiła go o dodatkową lekcję zaraz po zajęciach w szkole. Później powiedziała mi tylko tyle, że zasugerowała mu nieco dłuższą trasę. Była jakaś błada i pusta; nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie. Czekałam na nią na cmentarzu, ale nie przyszła. Kiedy nagabywałam ją w szkole, też nie miała ochoty na zwierzenia.

Tymczasem, z pomocą przyjaciółki mojej mamy, która знаła panią Lafant — dziewczynę z Rockford, która poślubiła mojego Francuza — zdołałam wkręcić się do jego domu jako opiekunka do dziecka na piątkowy wieczór. Smarkacze, którymi miałam się zająć, sprytnie usmarowały lodami cały przód niesłychanie krótkiej i obcisłej sukienki, którą włożyłam specjalnie na użytek pana Lafanta. Kiedy odwoził mnie do domu, przysunęłam się do niego na przednim siedzeniu. Zamarł, jakby nie wierzył własnym oczom. „Śliczna z ciebie dziewczyna”, odezwał się ostrożnie z tym swoim fantastycznym akcentem. Kiedy przysunęłam się jeszcze bliżej, pogładził mnie po włosach i zaraz zamknęłam oczy. Otworzyłam je, gdy poczułam, że pan Lafant zaczął prowadzić samochód w dość zawadiacki sposób. Wreszcie zatrzymaliśmy się z piskiem opon gdzieś w pobliżu Spring Creek Road. Francuz wyłączył silnik i światła. Minął moment, zanim moje oczy przywykły do ciemności, a kiedy to się stało, zobaczyłam sztywnego penisa pana Lafanta, sterczącego z rozporka jak kret wyłazący z tunelu. Ręce, które jeszcze przed chwilą gładziły mnie delikatnie po włosach, nagle zaczęły popychać mnie w dół z wielką stanowczością. Byłam przerażona, a on się spieszył. Gdy wyczuł mój opór, złapał mnie za kark i z całej siły przycisnął do swego krocza, w tym samym momencie (jak zauważyłam), spoglądając na zegarek. Bez wątplenia zastanawiał się, ile czasu może spędzić ze mną, zanim żona zacznie się zastanawiać. Poczułam do niego wielką odrazę. „Nie!” wrzasnęłam. „Nie! Nie!” Mój pracodawca wpadł w panikę. „Zamknij się”, warknął, zręcznie chowając rozczarowanego penisa. W milczeniu i pośpiechu odwiózł mnie do domu, po czym odjechał bez słowa, z głośnym szczeknięciem opon na naszej cichej uliczce.

Miałam ochotę popędzić prosto do domu Ellen, ale moja matka słyszała odjeżdżający samochód i wyszła na trawnik w nocnych pantoflach i szlafroku.

— To nie było zbyt miłe — zauważyła. — Mógł przynajmniej poczekać, aż wejdiesz do środka.

Następnego ranka spotkałam się z Ellen przed tylnymi drzwiami jej wielkiego i pustego domu. Zaprowadziła mnie na górę z tym samym, pustym spojrzeniem, które obserwowałam u niej od tygodnia. Weszliśmy do pokoju telewizyjnego i zaczęliśmy oglądać *I Love Lucy*.

— Zrobiliście to? — spytała, nie odrywając oczu od ekranu.

— On nie chciał — odparłam. — Wolał, żebym mu obciągnęła.

Ellen odwróciła się do mnie z zainteresowaniem.

— Ale nie mogłam — wyznałam. — To było zbyt obrzydliwe. Czy pan Polhill... też tego chciał? — zapytałam instynktownie.

Ellen zaczęła płakać. Nigdy przedtem nie widziałam jej łez. Pochyliłam się nad nią, jakbym miała ją objąć i przytulić — zupełnie tak, jak przytulałam Grace, gdy płakała. Tylko że Ellen nie była taka jak Grace.

— Zrobiliście to? — szepnęłam.

— Ja próbowałam — odpowiedziała — ale on po trzech sekundach... no, wiesz... on...

— Nie! Nie!

— W usta! — zaszlochała Ellen.

— O mój Boże!

— I wtedy się porzygałam. Na niego i na łóżko.

Siedziałam cicho, sparaliżowana horrorem sceny, którą mi opowiedziała, ale jednocześnie czułam, że zaczyna mnie ogarniać niepoohamowana wesołość. Moje usta, jakby obdarzone wolną wolą, ułożyły się w uśmiech. W tym momencie płacz Ellen zamienił się w śmiech, głośny i histeryczny, któremu towarzyszył jeszcze bardziej wezbrany potok łez. Ja też zaczęłam chichotać aż do bólu brzucha i po chwili obie płakałyśmy ze śmiechu.

— Pewnie padł trupem na miejscu! — wydukałam przez łzy rozbawienia.

— Pobiegł do łazienki i zamknął drzwi na klucz — odpowiedziała i znowu ryknęłyśmy śmiechem. Posikałyśmy się w majtki z tej uciechy.

Później, kiedy wzięłyśmy prysznic i przebrałyśmy się, a mokre dzinsy i bieliznę wcisnęłyśmy do pralki Ellen, wsadziliśmy do torby trzy old stylesy z paczką koolsów i poszliśmy na cmentarz.

— Zapomnijmy o facetach — powiedziała Ellen. — To zbrodniecy.

— A ci dobrzy nie chcą robić tego z nami — uzupełniłam. — Wystarczą im żony.

Pomału sączyłyśmy cierpkie, zimne piwo. Zrobiło się tak ciepło, że nie potrzebowałyśmy już kurtek. Byłyśmy świeże i czyste, a jednak gdzieś z głębi — a może z dołu, spomiędzy zastępów martwych Szwedów — promieniowało na nas uczucie lekkości, ociężałości. Pewnie był to ciężar naszego znudzenia i naszej niecierpliwości.

— Jest jedno wyjście — powiedziała Ellen, ale w jej głosie nie było wesołości, która zazwyczaj towarzyszyła snuciu przez nas nowych, natchnionych planów.

— Jakie?

— Moose.

Moose. Moose, który — jak dowiedziałam się od Ellen — za miesiąc miał wrócić z uniwersytetu na letnie wakacje, przywożąc ze sobą trzech przyjaciół. Który miał imprezować i pływać na nartach wodnych z tymi przyjaciółmi przez ładnych parę tygodni, oliwiąc potężną maszynę swego życia towarzyskiego przed podjęciem wakacyjnej pracy w fabryce ojca. Którego przyjaciele byli zapewne najdorodniejszymi okazami młodzieży męskiej Uniwersytetu Michigan, a może i wszystkich innych uniwersytetów. Jeszcze nie mężczyznami, ale już nie chłopcami. Doświadczonymi, ale nie zboczonymi.

A jednak, mimo epickiego rozmachu, z jakim moja wyobraźnia malowała obraz brata Ellen i jego niezrównanego towarzystwa, na samą myśl o kolejnej erotycznej przygodzie robiło mi się słabo. Jednocześnie bałam się, że kiedy zjawi się Moose, znowu stracę Ellen, tak samo, jak straciłam ją na Boże Narodzenie.

W pierwszą niedzielę po jego powrocie stanęliśmy przy siatce country klubu, żeby popatrzeć w dół, na rzekę, gdzie brat Ellen i jego trzech przyjaciele — Marco, Amos i Todd — mknęli na zmianę po brązowawej wodzie, w ślad za ryczącą motorówką Moose'a. Nawet z tej odległości jego postać przykuwała uwagę: sprężysty, atletycznie zbudowany gość w jaskrawozielonych spodenkach wyróżniał się zdecydowanie, zwłaszcza że był najlepszym narciarzem z całej czwórki. Nie przemęczał się jednak zbyt pływaniem; wolał naśmiewać się z kumpli zza kierownicy motorówki.

— Którego chcesz? — spytała Ellen.

— Licząc z Moose'em?

Spojrzała na mnie dziwnie, a potem potrząsnęła głową w stanowczym proteście.

— Marco — odpowiedziałam, zawiedziona.

— Ja biorę Todda — zdecydowała Ellen. Zdziwiłam się, bo Todd był najbardziej błądzący z całej trójki, a przy tym jakiś taki kanciasty; przywodził mi na myśl mojego ojca.

Moose wybierał się tego wieczoru na imprezę w jednym z wielkich domów przy National Avenue, nieco na północ od centrum. Nasz plan był następujący: zamierzałyśmy zjawić się tam, zrobić to z facetami, których sobie upatrzyłyśmy, a potem spotkać się przy basenie country klubu.

Przyjęcie wyglądało zaskakująco normalnie: Tom Petty testował wytrzymałość zestawu stereo czyjegoś ojca, a w pokojach kłębił się tłum pijanych, ryczących młodzieńców — nieco starszych od naszych kolegów z klasy, ale poza tym niczym się od nich nie różniących. Wreszcie mogłam popatrzeć sobie na Moose'a z niewielkiej odległości. Był w kuchni i na lepkiem linoleum grał z jakimś koleśkiem w hokeja puszką tender vittles, używając mopa na długim kijku. Naprawdę robił wrażenie: był wysoki, mięśnie jego szerokich barków poruszały się pod białym T-shirtem jak klawisze pianina-samograjka, gdy walczył o puszkę kociego żarcia, a mocne przedramiona lśniły opalenizną. Był amalgamatem zwycięskiego piękna, brutalnej siły i może odrobiny zakłopotania. Zauważyłam coś jeszcze: był świadomy — podobnie jak tłumek podziwiających go gapiów — tego, że jest kimś niezwykłym. Sławnym.

Kiedy nas zobaczył (przede wszystkim Ellen, jak sądzę), zaraz zapomniał o grze.

— Siostrzyczko — powiedział, rzucając mopa w kąt i obejmując ją ramieniem.

W jego objęciach Ellen wyglądała na grzeczną, małą dziewczynkę. Była wręcz mdła, a taką nigdy jej sobie nie wyobrażałam. Przyglądałam się temu wszystkiemu z zazdrością i fascynacją.

Później, na rześkim oświetlonym patio pełnym insektów, zabrałyśmy się z Ellen do zdobywania przyjaciół Moose'a z zapalem graniczącym z lekkomyślnością. Moose rzucał w moją stronę kwaśne spojrzenia, ale impreza rozkręcała się coraz mocniej i wreszcie stracił mnie z oczu. W końcu wspierałam się z Marco wąskimi schodami do pokoju gościnnego na trzecim piętrze, dość mocno zalatującego kulkami na mole. Marco sprawnie zdjął ze mnie ubranie i już opuszczał się na moje ciało niczym dźwig nad kolejnym wrakiem, który ma zrzucić na cmentarzysko aut, kiedy nagle zeszywniałam.

— Nie! Zaczekaj! — zawołałam, sparaliżowana wspomnieniem pana Lafanta. Zrozumiałam, że jest za wcześnie, że właściwie nie znam tego studenta i że zupełnie zapomniałam, co właściwie mieliśmy tu robić i dlaczego. Marco, zdumiony tym nagłym napadem skromności po tym, jak lgnęłam do niego na patio, poszedł się odlać.

Uciekłam z pokoju i wybiegłam z domu. Popędziłam na północ, wzdłuż rzeki, w stronę country klubu, niesiona ożywcza myślą, że za chwilę zobaczę Ellen i jak zawsze wymienimy się opowieściami o naszym żalonym losie. Ale co

będzie, pomyślałam w biegu, jeśli jej opowieść wcale nie będzie żalosna? Co będzie, jeśli wreszcie, po tak wielu próbach, właśnie z Toddem znalazła to, czego szukałyśmy? Zrobiło mi się niedobrze, kiedy o tym dumalam.

Żelazna brama country klubu była zamknięta na kłódkę; tego nie mogłyśmy przewidzieć. Stałam przed nią, zastanawiając się, czy warto wspiąć się po prętach i przeskoczyć na drugą stronę. Wreszcie zdecydowałam się i już po chwili najciszej jak umiałam pędziłam po sprężystej trawie pola golfowego, w świetle księżyca i w cieniu porwanych wiatrem chmur. Zbiegłam po betonowych schodkach i stanęłam na brzegu basenu. W słabej poświacie zobaczyłam turkusowe dno i postać pływającą w wodzie. To była Ellen. Poczułam tak gwałtowny atak szczęścia, że głośno zawołałam ją po imieniu. Uciszyła mnie czym prędzej i się roześmiała. Zobaczyłam jej ubranie na brzegu i zaraz wyskoczyłam ze swojego, by zanurkować w mokrą i ciężką ciszę. Czułam ruch wody, kiedy Ellen przepływała obok mnie. Jej długie włosy otarły się o moje ciało. Wyskoczyłyśmy na powierzchnie, chichocząc beztrzesko.

— I co? — spytałam cicho.

— Z czym?

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

— Z Toddem!

— Todd nie mógł — odpowiedziała Ellen z obojętnością, która mnie rozbawiła. — Był zbyt pijany.

Wyszczерzyłyśmy zęby w uśmiechu. Nie miałyśmy poczucia porażki, tylko takie dziwne wrażenie swobody, jakbyśmy nagle wyrwały się z objęć fatalnego losu. Popłynęłyśmy do płytkiego końca basenu i spojrzaliśmy na niebo. Wydawało się, że woda i powietrze mają identyczną temperaturę, że są dwiema wersjami tej samej substancji. Było dziwnie i miło tak sobie siedzieć nago w basenie, w którym zazwyczaj trzeba było mieć na sobie nie tylko strój, ale i czepek. Chmury mijaly księżyc, mleczne i tajemnicze, a gdzieś w oddali, na rzece, pracował silnik łodzi. Pomyślałam, że jestem szczęśliwa. A skoro to jest szczęście, to dlaczego miałabym szukać czegoś innego? Ellen płynęła stylem grzbietowym i kiedy woda obmywała jej piersi, wiedziałam, że jeszcze nigdy nikt nie wydawał mi się taki piękny. Wyciągnęłam do niej rękę. Uczyniła to samo, jakby wiedziała, że to zrobię. Stanęłyśmy w wodzie i pocałowałyśmy się. Całe pokłady żądz, które gromadziły się we mnie od dawna, zaczęły naraz domagać się uwolnienia. Dotykałam Ellen pod wodą. Wyczuwałam coś znajomego, a zarazem obcego — była inną osobą, ale taką samą jak ja. Ellen wzdrygnęła się i zamknęła oczy. Nareszcie czułam, że wiem, co powinnam robić. Przytuliła się do mnie mocno, a potem poczułam jej ciężar, kiedy ugięły się jej drżące kolana. Zaśmiała się cicho i usłyszałam, że szczeka zębami. Podeszłyśmy do drabinki i usiadłyśmy po szyję w wodzie. Chwyciłam jej rękę i położyłam na sobie. Ellen wahała się, przestraszona, ale trzymałam na mnie jej dłoń tak długo, aż serce podskoczyło mi nagle jak oszalałe, a ja huknęłam głową w betonowy brzeg basenu. Leżałyśmy jakiś czas bez ruchu — czułam pulsowanie pod czaszką w miejscu, gdzie przez najbliższy tydzień miałam nosić pokaźnego guza — a kiedy zrobiło nam się zimno, wyszłyśmy z wody, wytarłyśmy się ubraniami i rozłożyłyśmy je na trawie. Zaczęłyśmy od nowa, tym razem wolniej. Intensywność doznań była zniewalająca; czułam się tak, jakbyśmy się zabijały. Albo jakbyśmy zabijały coś. Później, kiedy leżałyśmy w półśnie, Ellen powiedziała:

— Mogłybyśmy nauczyć tych dupków paru rzeczy.

Roześmiałyśmy się, ubrałyśmy i poszłyśmy w stronę jej domu, gawędząc dość bezmyślnie, jakby nic się nie zmieniło. Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Spaliśmy nago w pojedynczym łóżku Ellen, mocno przytulone do siebie i zanurzone w jej długich włosach, które były wszędzie. Znowu miałam to samo, dziwne wrażenie, jak wtedy, gdy dotknęłam jej po raz pierwszy: że Ellen jest bardziej wariantem mnie niż osobną istotą; że kiedy leżymy razem, stajemy się jednością. Obudziłam się o świcie i pod wpływem impulsu postanowiłam, że wyjdę po cichu, zostawiając ją śpiącą i piękną. Było to dość dziwne, bo w sobotę rano zazwyczaj robiłyśmy sobie szwedzkie naleśniki i oglądałyśmy razem kreskówki, a potem spędzałyśmy razem cały



dzień. Tamtego ranka jednak zostawiłam śpiącą Ellen i poszłam do domu w pierwszych promieniach majowego słońca. Dopiero kiedy zbliżałam się do domu, płaskiego i niepozornego, żółtawego domu — a właściwie prawie białego w tym bladym świetle — poczułam, że to, co zrobiłam z Ellen, było dosyć dziwne. Po chwili prawie nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Pamiętałam jednak wrażenie, fizyczne wrażenie, i na samą myśl o nim czułam ciepło w żołądku i nie pragnęłam bardziej niczego niż tylko powtórnego spotkania z Ellen. Czy ja jestem lesbijką? — zastanawiałam się z niedowierzaniem. Nigdy dotąd nie pociągała mnie żadna dziewczyna.

Zaczekałam do wieczora, zanim odważyłam się zadzwonić. Odebrał Moose (był raczej oschły; zapewne wiedział już o moich wyglupach z Marco) i zaraz oddał słuchawkę Ellen. Usłyszałam w jej głosie dystans, na który odruchowo zareagowałam identycznym chłodem. Konwersacja miała dziwny, sztywny przebieg i w ogóle nie przypominała naszych zwykłych rozmów. I tak już zostało. Od tamtej pory, kiedy spotykałam Ellen, czułam się tak, jakby była jednym z tych chłopaków, z którymi to robiłam: zaczynałam uważać na to, co mówię, i w myśli liczyłam czas, starając się wypełnić go czymkolwiek. Zastanawiałam się nieraz, czy ona często o tym myśli. Czy chciałaby spróbować jeszcze raz? Ja nie chciałam, bo w moich oczach Ellen niczym już nie różniła się od chłopców.

To było fatalne lato, bo nie miałam innych przyjaciółek. Widziałam Ellen tylko raz, w kinie.

— Zaczekaj — syknęłam, wciągając Grace w cień na widok Moose'a i jego dworu. Hałaśliwe towarzystwo wysypało się z holu wyłożonego miękkim dywanem. Moose pochylił się i zarzucił sobie Ellen na ramię tak lekko, jakby była kotem. Spadły jej trepy, ale on ich nie podniósł, tylko wybiegł przez szklane drzwi i skręcił na parking, skąd słyszałam tylko jej głośny śmiech. Ktoś podniósł buty i zaniósł jej. Patrzyłam na to wszystko z niedowierzaniem. Jak to jest, kiedy ktoś tak się kimś opiekuje, tak się troszczy? Jak to jest, być oczkiem w głowie chłopaka, którego wszyscy uwielbiają — i to wcale o to nie zabiegając! Czy coś może dorównać takiemu uczuciu?

Jesienią zobaczyłam raz Ellen gdy wracałyśmy ze szkoły. Szła samotnie przede mną i czułam, że smutek zaciska się wokół niej coraz mocniej właśnie teraz, gdy Moose wyjechał. Zmusiłam się do truchtu i dogoniłam ją.

— Ostatnio dziwnie się czuję przy tobie — powiedziałam.

— A ja przy tobie — odparła.

— Musimy zapomnieć o tamtym. Musimy coś wymyślić, żeby było między nami tak jak przedtem.

— Musimy! — zgodziła się.

A potem zapadła cisza. Nie miałam pojęcia, co jeszcze mogłabym powiedzieć, więc skończyło się na tym, że wymienialiśmy krótkie i nieistotne uwagi, a ja liczyłam w duchu minuty dzielące mnie od domu. Kiedy wreszcie go zobaczyłam, skłamałam, że mama na mnie czeka, i pobiegłam przodem, zostawiając Ellen.

Wydawało mi się, że ciężko będzie znaleźć nowych przyjaciół, ale okazało się, że rozstanie zneutralizowało nam charaktery w równym stopniu, w jakim dawniej wspólnota dusz potęgowała naszą energię. W końcu obie znalazłyśmy sobie chłopaków, poszłyśmy na studniówki i wpisałyśmy sobie nawzajem do pamiętników „Powodzenia we wszystkim!” Jeśli nie liczyć najbardziej abstrakcyjnego wrażenia, w zasadzie zapomniałam o tamtej nocy.

Potem jeszcze tylko raz odwiedziłam dom Ellen. Tym razem z Moose'em, który skończył studia w Michigan i wrócił do Rockford, żeby pracować u ojca. Byłam w ostatniej klasie ogólniaka, kiedy przypadkiem wypatrzyłam go na meczu juniorów stanowej ligi hokejowej: znudzony, przyglądał się chłopakom szalejącym na lodzie. W owym czasie jego dawna sława mocno już wyblakła. Nawet najmłodsze rodzeństwo tych, którzy go niegdyś wielbili, opuściło już szkołę — w East High, gdzie królował tak długo, nikt już o nim nie słyszał. Nadal mieszkał w rodzinnym domu. Poszłam z nim na górę po znajomych, ciemnych schodach, obok głównej sypialni, w której jego matka spędzała całe dnie, obok pustego pokoju Ellen (jako rok starsza ode mnie była już w college'u) i dalej, do jego klitki na poddaszu, z wyblakłymi plakatami

sportowców na ścianach i zakurzonymi pucharami na półkach. Kiedy kładliśmy się na łóżku, zauważyłam płataninę linek połączonych z pudłem wiszącym pod sufitem. Zapytałam, co to takiego.

— Nic — odpowiedział. — Stare rupiecie, z których wyrosłem.

Kiedy skończyliśmy, zapadł w drzemkę. Patrzyłam na niego — na jego masywne barki i lekko sinawe powieki — na obiekt nieskończonej zazdrości, na zagadkę, bóstwo i mit, chwilowo spoczywający na brzuchu i chrapiący lekko w poduszkę.

Wreszcie otworzył oczy.

— Co? — spytał sennie.

— Ty — odparłam.

Spojrzał na mnie, zdziwiony, i podniósł się na łokciu.

— Po prostu... Moose — dodałam, kręcąc głową. — Moose. Moose Metcalf. Nie do wiary.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Dobrze wiedział, o co mi chodziło. Przez otwarte okno wpadł do jego ciasnego pokoiku podmuch wiatru.

— Właściwie to mam na imię Edmund — powiedział.

Nigdy nie byłam osobą skłoną do nostalgii. Nie przechowywałam kartek świątecznych, rzadko robiłam zdjęcia i raczej obojętnie przyglądałam się fotkom, które przysyłali mi inni. Aż do wypadku byłam przekonana, że mam kiepską pamięć, ale prawda była taka, że sama odrzucałam przeszłość jak plik niepotrzebnych zdarzeń, aby wkraczać w przyszłość bez zbędnego balastu. Dlatego teraz, kiedy utykając, szłam między rzędami wysokich, nagich drzew w stronę domu Ellen Metcalf, nie robiłam tego po to, aby z leżką w oku zatracić się we wspomnieniach o przyjaciółce z dawnych lat, lecz po to, by sprawdzić, jak wygląda to miejsce. By sprawdzić, jaki jest dziś dom... i jaka jest Ellen, jeśli to możliwe.

Swym układem rezydencja Metcalfów nawiązywała do stylu Tudorów, popularnego wśród bogatszych mieszkańców Środkowego Zachodu. Trawnik wciąż robił na mnie wrażenie — był duży i wyjątkowo bujny, mimo upalnego lata, które skończyło się tak niedawno. Leżały na nim porozrzucane dziecięce akcesoria: paletki, wielki, plastikowy karabin i mały, jaskrawopomarańczowy rowerek. Nie umiałam określić wieku dziecka, do którego należała ta kolekcja. Dotknęłam ostrożnie twarzy, oklejonej grubą sztukaterią kwiatowych kosmetyków Mary Cunningham. Wciąż była mocno posiniaczona; ciemne plamy wcale nie zniknęły, a jedynie zdawały się zmieniać barwę, jak fajerwerki, których finałowa eksplozja jakoś nie chce nastąpić. Czułam, że rzucam się w oczy jako ponury, napakowany środkami przeciwbólowymi gość tej dzielnicy.

Ogród za domem zmienił się bardzo. Klomby w kształcie wielkich ziaren fasoli kwitły głęboką, winną czerwienią begonii. Stanąwszy na patio, z przyjemnością chłonełam ciszę. Podeszłam do siateczkowych drzwi, które prowadziły do kuchni — do tych samych, którymi zawsze wchodziłyśmy z Ellen — i delikatnie zapukałam, a potem wcisnęłam klawisz dzwonka. Gdy nabrałam pewności, że nikogo nie ma w domu, nacisnęłam klamkę i weszłam.

Zmiany były uderzające. Pamiętałam, że kuchnia była niegdyś ciemnym pomieszczeniem o zielonkawych ścianach i niezwykle wysoko umieszczonych oknach, które sprawiały wrażenie, jakby człowiek znajdował się na dnie studni i bardzo się starał wypatrzeć w górze choćby skrawek nieba. Teraz okna były szerokie i znacznie niżej położone; otwierały świetny widok na chmury, okolicę i zielony trawnik z kupkami zgrabionych liści. Bardzo kalifornijskie, pomyślałam, stukając obcasami o płytki podłogowe w kolorze pizzy. Nad kuchenką zauważyłam imponującą kolekcję poobijanych, miedzianych garnków.

Co będzie, jeśli ktoś się zjawi? — pomyślałam, idąc schodami na górę po krótkiej chwili spędzonej w salonie, na którego ścianach królowały dzieła sztuki nowoczesnej. A jednak jakoś nie czułam strachu. Miałam wrażenie, że jestem chroniona — może przez ciemne okulary, maskę makijażu i jedwabną chustkę wciśniętą za kołnierz płaszcza, by ukryć

sine plamy? To nie ja, pomyślałam, wychodząc na korytarz na piętrze, gdzie w splekanej farbie na ścianach i wypucowanej podłodze odkryłam ślady dawnej monotonii tego miejsca. Jak mogą mnie tu przyłapać, skoro nie jestem do nikogo podobna? — pomyślałam absurdalnie. Oczywiście jako modelka nosiłam swoją twarz niczym transparent, dobre pół metra przed sobą — Bóg jeden wie, że nie z dumy czy próżności, bo tych pozbyłam się już dawno temu. Robiłam to ze względów praktycznych: patrzcie, oto jestem. To moja wizytówka, moja prezentacja, *précis* — nazywajcie to, jak chcecie. Oto, co mam do zaoferowania światu, w którym spędziłam pół życia.

Ruszyłam w stronę głównej sypialni, którą niegdyś widziałam w tych krótkich przebłyskach, gdy Ellen wślizgiwała się do środka lub wychodziła cicho. Pamiętałam tylko ukradkowe spojrzenia, zapach perfumowanego powietrza i cichy, błagalny głos jej matki. Teraz drzwi były otwarte. Weszłam. Pokój był wielki i pustawy, a promienie słońca wpadały do środka wąskimi strumieniami przez ręcznie strugane okiennice. W kątach stały dorodne fikusy, a pośrodku wielkie, nowoczesne łóżko ze smukłymi kolumnkami u wezłowia. Ściany miały barwę bladożółtą. Z garderoby przylegającej do sypialni dolatywał delikatny zapach perfum Chanel, ale mój zmasakrowany nos nie potrafił określić których. Obok wysokich luster zobaczyłam tam ściany pokryte oprawionymi fotografiami. Podeszłam bliżej — nie wolno mi było jeszcze używać szkieł kontaktowych — ciekawa rodziny, która zajmowała teraz ten dom. Natychmiast rozpoznałam na zdjęciach Ellen, wciąż piękną mimo upływu lat. Wydawało mi się, że jej kości policzkowe zaznaczają się jeszcze wyraźniej. Stała na plaży, z mężczyzną u boku — zapewne z mężem, który wyglądał na dziesięć lat starszego. Miał opaloną skórę i bielutkie zęby Niemca.

Ellen Metcalf. Byłam w garderobie Ellen Metcalf.

Wyteżając zamglone i obolałe oczy, przyglądałam się innym fotografiom. Ellen z mężem w jakimś tropikalnym kraju. Pomarszczona buzia noworodka. Młodzieńcze zdjęcie rodziców Ellen, wykonane w stylu hollywoodzkich fotosów. Montaż z podobiznami dwojga dzieci — starsza dziewczynka, biedactwo, w ogóle nie przypominała matki. Zastanawiałam się, czy nie jest adoptowana. Ellen z córką w identycznych kostiumach kąpielowych, leżące przy basenie country klubu. Studiując tę niemą opowieść o życiu Ellen Metcalf, pierwszy raz poczułam prawdziwy niepokój o to, co się wydarzy, jeżeli ktoś przyjdzie do domu i zastanie mnie tutaj. Co ciekawe, najbardziej martwiło mnie nie to, że weszłam na cudzy teren, ale to, że ktoś zobaczy mnie w takim stanie.

Postanowiłam wyjść. Zanim jednak opuściłam garderobę, usłyszałam kroki na korytarzu przed sypialnią. Zdrętwiałam i gwałtownym ruchem wsunęłam okulary na moje potwornie czerwone oczy. Cofnęłam się w głąb klitki i przykucnęłam w szafie, ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi. Schowana, dyszałam w ciemności pośród delikatnych sukienek skropionych bliżej nieokreślonymi perfumami marki Chanel, aż wreszcie dotarło do mnie, że upokorzenie, które przeżyję, gdy ktoś złapie mnie w tej kryjówce, będzie znacznie większe od tego, które towarzyszyłoby nieoczekiwanemu spotkaniu na środku pokoju. Otworzyłam drzwi szafy dokładnie w tej chwili, gdy mniej więcej trzynastoletnia dziewczynka ze słuchawkami na uszach weszła z sypialni do garderoby.

Podsłuchiwała i szeroko otworzyła usta, wystraszona i jakby przyłapana na gorącym uczynku — zupełnie tak, jak gdyby to ona zakradła się do cudzego domu. Rozpoznałam w niej żałośnie przeciętne dziecko z fotografii o byle jakich włosach i w owadziach okularach na nosie. Wyciągnęła z uszu końcówki słuchawek.

— Kim pani jest? — zapytała.

— Jestem starą przyjaciółką twojej matki — odpowiedziałam tak swobodnie, jak było mnie na to stać. — Przechodziłam w pobliżu i pomyślałam, że zajrzę. No, ale zdaje się, że nie ma jej w domu.

O dziwo, ten wąty pretekst zupełnie ją zadowolił. Teraz dopiero dotarło do mnie, jak bardzo różniła się od matki. Ellen podejrzliwie zmrużyłaby oczy. Jej córka miała inny, bardziej otwarty charakter. Dzięki Bogu.

— Nie będzie jej jeszcze jakiś czas — powiedziała.

— O kurczę — zmartwiłam się w możliwie naturalny sposób. — Gdzie jest?

— W Chicago, w szpitalu.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego. Zaskoczyła ją moja niewiedza.

— Ricky miał leukemię; na szczęście choroba się cofa.

— To dobrze — odpowiedziałam. — Wspaniale. Wasz dom pięknie wygląda. Nie widziałam go od czasów, kiedy mieszkali tu twoi dziadkowie.

— Jeśli pani chce, mogę pokazać mój pokój.

Poszłam za nią korytarzem. Poruszała się lekkim, sprężystym krokiem. Mieszkała w dawnym pokoju Ellen, teraz wymalowanym na niebiesko i odrobinę ciemnym. Była jedną z tych dziewcząt (znanych mi raczej tylko z opowieści), które lubią zamykać żaluzje i zakopywać się w łóżku z dobrą książką. Przy jej posłaniu i na nim naprawdę leżał stosik książek. Narzuta była skopana, jakby lokatorka tego pokoju zaledwie przed chwilą skończyła czytać.

Lecz nie do książek zaprowadziła mnie córka Ellen — z przyzwyczajenia albo z dumy — ale do wielkiego, prostopadłościennego akwarium. Bąbelki powietrza z wesołym bulgotem przeciskały się przez czystą wodę. Obok szklanej tafli stało krzesło, jakby dziewczynka lubiła spędzać czas, obserwując rybki. Musiałam zresztą przyznać, że były piękne, chociaż nigdy nie interesowałam się hodowlą. Dwie najmniejsze fosforyzowały niebieskawo, jak pawie pióra.

— To garbiki — powiedziała dziewczynka, widząc moje zaniepokojenie. — Garbiki błękitne.

— A ta? — spytałam uprzejmie, wskazując na rybkę z ostrymi wyrostkami zagiętymi wokół ogona.

— Chetonik skalny — odparła. — To zbiornik ze słoną wodą — dodała dumnie.

Nie odezwałam się, jako że nie miałam pojęcia, na czym polega różnica.

Dziewczynka stała po przeciwnej stronie akwarium i przyglądała się mojej twarzy przez bulgocącą wodę.

— Dlaczego nosi pani w domu okulary przeciwsłoneczne? — zapytała w końcu.

— Miałam wypadek. Wypadek samochodowy.

— Podejrzewałam, że coś się pani przytrafiło. Pani twarz wygląda trochę dziwnie. Bolał panią oczy od ostrego światła?

— Nie — odpowiedziałam uczciwie. — Po prostu fatalnie wyglądają.

— Mogę zobaczyć?

— Nie chciałabyś. Zapewniam cię.

— A jednak chcę.

Naprawdę chciała. Chciała zobaczyć moje oczy; specjalnie po to obeszła akwarium i stanęła przede mną, szczupła i niepozorna, sięgająca mi ledwie do piersi. Myślałam się co do jej wieku: na pewno miała więcej niż trzynaście lat. W tym momencie wyglądała na prawie dorosłą.

— Proszę mi wierzyć, zniosę każdy widok — zapewniła mnie.

Zdjęłam okulary. Pokój nie był tak ciemny, jak mi się wcześniej wydawało. Dziewczyna spojrzała mi w oczy. Mierzyła mnie wzrokiem osoby, która widziała już wiele bólu i dobrze poznała jego postacie.

— Jak będzie pani wyglądać, kiedy wszystko to się zagoi? — spytała.

— Mniej więcej tak jak przedtem. Wiesz, ci lekarze są naprawdę fantastyczni.

Skinęła głową, ale miałam wrażenie, że mi nie uwierzyła.

— Jak ci na imię? — zapytałam.

— Charlotte — odpowiedziała.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że się przesłyszałam. Nie zapytałam po raz drugi; pozwoliłam, by zdumienie odbiło się we mnie rykoszetem i zgasło.

— Nie żartuj — odezwałam się po chwili. — Ja też!

Natychmiast pojęłam swój błąd. Wiedziałam, że dziewczyna powie o mnie Ellen i w ten sposób moja była przyjaciółka dowie się o tym, co mnie spotkało.

— Niesamowite! — zawołała. — Nie znałam dotąd żadnej innej Charlotte. Tylko jedną Charlene.

— Charlotte to ładniejsze imię.

— Też tak myślę — przytaknęła. — Oryginalne. Zapadła cisza. Po chwili postanowiłam zmienić temat.

— A co słyhać u twojego wujka? Nadal wołają na niego Moose?

Dziewczyna uśmiechnęła się i jej policzki zaróżowiły się nieznacznie. Jak zawsze na dźwięk tego przezwiska, pomyślałam.

— Znała pani mojego wuja? — spytała z podnieceniem. — Przedtem?

— Trochę — odparłam oględnie. — Przed czym?

— Przed tym wszystkim, co się stało — odpowiedziała i nagle pamięć podsunęła mi strzępy niepokojącej informacji dotyczącej Moose'a, którą kiedyś mi przekazano. Nie mogłam sobie przypomnieć szczegółów. — Rzeczywiście, nadal mówią na niego Moose. — Tylko tyle usłyszałam od Charlotte na temat brata Ellen.

Podczas tej rozmowy próbowałam jak najspokojniej wymykać się wolno z jej pokoju i dalej, w stronę schodów. Kiedy jednak zaczęłam z wysiłkiem schodzić i kiedy już zdawało mi się, że nie zapowiedziana wizyta w cudzym domu ujdzie mi na sucho, jeśli nie liczyć szybko stłumionych podejrzeń młodej gospodyni, właśnie wtedy Charlotte przypomniała sobie o elementarnej rozwadze.

— Nie zechce pani... zostawić wiadomości? — spytała, zbiegając po schodach w ślad za mną.

— Nie, raczej nie — odpowiedziałam, siłując się z frontowymi drzwiami.

— Ale... myślałam, że pani... — Wyczuwałam jej niepokój, kiedy tak pomagała mi otworzyć zamek. Miałam wyrzuty sumienia, jakbym naprawdę świsnęła rodzinne srebra i próbowała dać nogę z lupem.

— Przekaż mamie, że niestety rozminęłyśmy się...

— A jaki jest pani... — zaczęła, ale ja byłam już za drzwiami i kulejąc, pędziłam przez trawnik (musiał to być dziwaczny widok), nie oglądając się za siebie.

Gdy maszerowałam pospiesznie w stronę domu Mary Cunningham, chwyciła mnie nagle zazdrość tak ostra i niespodziewana, że zrobiło mi się niedobrze. Chciałam mieć taką dziewczynkę. Była moja; powinna być moja; nawet jej imię było moje. Chciałam mieć ten dom, to życie; nawet synka chorego na raka — chciałam tego wszystkiego. Chciałam mieć dzieci, ludzi wokół siebie. Chciałam wysłać młodą Charlotte w daleki świat, żeby mogła żyć życiem odmiennym od mojego.

Zazdrość i żal o takiej mocy były mi dotąd zupełnie obce — do tego stopnia, że nie bardzo wiedziałam, jak sobie z nimi poradzić. Zawsze w trudnych chwilach odzywał się we mnie taki głos, jakim zazwyczaj przemawiałam do Grace: z początku spokojny i pocieszający, a potem szorstki, prawie brutalny. Przez całe życie pomagałam sobie tym wewnętrznym napominaniem, a kiedy to nie wystarczało i nadal czułam lęk, zaczynałam działać: chodziłam, tańczyłam, rozmawiałam przez telefon — słowem robiłam wszystko, by przestać się nad sobą użalać. Własnych jęków nie znosiłam bardziej niż cudzych.

Ale tym razem byłam zbyt wyczerpana, żeby się ruszyć. Niezdolna do wspinaczki po schodach, rzuciłam się na kozetkę w salonie Mary Cunningham z mocnym postanowieniem, że wieczorem zapytam o zawartość tego eleganckiego barku, który wypatrzyłam w kącie. W dobrych domach Środkowego Zachodu zazwyczaj można było liczyć na poczęstunek zacnym trunkiem, nawet u starszej pani. Ból w twarzy stał się nieznośny; widocznie zbyt długo spacerowałam. Na górze, kiedy zmyłam grubą makijaż kremami od doktora Fabermanna, spojrzała na mnie z lustrą potworna twarz,



napuchnięta znacznie bardziej niż w ciągu ostatnich kilku dni. Wyglądałam jak noworodek, pomyślałam, wymieniając spojrzenia z moimi niespokojnymi, piekącymi oczami. Jak noworodek wyjący z bólu i wściekłości.

Nasączyłam bawełniany krążek olejkami z witaminą E i delikatnie obmyłam twarz. Przemawiałam do niej spokojnie, z nietypową dla mnie łagodnością.

— Już dobrze, dobrze — mówiłam. — Nie jest aż tak źle — mruzczałam, wklepując olejek w rozpaloną skórą. Wszystko będzie dobrze, myślałam. To tylko faza agresywnego zdrowienia, nic więcej. Wkrótce się skończy i będę miała nową twarz. To znaczy starą, ale i nową, jak dom Ellen. To jest twoja Charlotte, powtarzałam sobie w duchu, spoglądając w lustro. To jest twoja Charlotte, o którą musisz zadbać, jeżeli ma wyrosnąć na piękną dziewczynę i cieszyć się niezwykłym życiem.

## Rozdział drugi

Zbliżał się początek roku 199-, kiedy przestałam wreszcie symulować i powróciłam do Nowego Jorku. Tam doktor Martin Miller, chirurg plastyczny i bywalec najelegantszych salonów, wykonał drugą operację, której celem było „dopieszczenie” mojego połamanego nosa, niesymetrycznych powiek i kości policzkowych — innymi słowy moich narzędzi pracy. Doktor Miller, którego żona była modelką, zazwyczaj angażował swój talent w czynienie ludzi zamożnych i atrakcyjnych jeszcze bardziej atrakcyjnymi, a nie w poprawianie „poważnych deformacji”, które zwykle towarzyszą rozległym urazom twarzy. Postanowił jednak wyświadczyć mi przysługę, choćby w imię tego, że większości moich przyjaciółek naciągał już, podnosił i odsysał to i owo. Pracował, wzorując się na fotografiach, których naturalnie miałam pod dostatkiem. Mówił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żebym wyglądała tak, jak dawniej.

— Musisz jednak wiedzieć, Charlotte — ostrzegał — że po takim wypadku nie ma mowy o perfekcyjnej rekonstrukcji.

— Nigdy nie byłam perfekcyjna — odpowiedziałam. — Szczerze mówiąc, spodziewam się pewnej poprawy w stosunku do oryginału.

Kiedy w połowie grudnia wracałam do Nowego Jorku, Grace pojechała ze mną, żebym nie musiała tłuc się samotnie po pustym mieszkaniu. Od siedmiu lat zajmowałam apartament na dwudziestym piątym piętrze nowoczesnego wieżowca, stojącego na końcu ślepej odnogi Pięćdziesiątej Drugiej Wschodniej Ulicy. Za oknami miałam widok na East River, fragment Roosevelt Island i Long Island City. Mieszkanie było w lepszym stanie, niż się spodziewałam. Anastasia, moja sprzątaczką-alkoholiczką (odkryłam jej nałóg, kiedy butelka wódki w mojej zamrażarce nagle zamieniła się w bryłę lodu), posunęła się nawet do wyszorowania szamponem całej wykładziny podłogowej. Portier odbierał moją korespondencję, a Grace płaciła raty za mieszkanie i bieżące rachunki, pobierając pieniądze z mojego konta, więc jeśli nie liczyć uszczuplonych oszczędności, nie czekała mnie żadna przykra niespodzianka. Siostra została ze mną przez dwa tygodnie po drugiej operacji, czyli do czasu, aż zdjęto mi bandażę i przestałam smarować oczy maścią. W przeddzień jej wyjazdu pojechałyśmy taksówką do Central Parku i spacerowałyśmy w przejmującym chłdzie. Miałam na sobie mój standardowy strój: szalik (wełniany, bardziej odpowiedni na tę porę roku), ciemne okulary i gruby makijaż. Grace ubrała się w futro z norek, które dostała od Franka rok wcześniej na gwiazdkę.

— Uważaj, żeby nikt ci go nie spryskał — ostrzegłam.

— Nie spryskał?

— Farbą. Wiesz, ci obrońcy praw zwierząt...

Grace roześmiała się.

— Już myślałam, że ktoś mógłby na mnie nasikać.

— Jezu... Czy tak się u was mówi o nowojorczykach?

— Nawet gorzej — odparła słodko.

Osobliwe kaprysy aury sprawiły, że na wszystkich gałęziach drzew i krzewów zastygła cieniutka warstewka lodu. Każdy podmuch wiatru wywoływał jęklive dźwięki ocierających się o siebie witek.

— Co będziesz robić, kiedy wyjadę? — spytała Grace.

— W końcu wrócę do zdrowia — odpowiedziałam, szczelnie owijając twarz szalikiem. — A później wrócę do normalnego świata.

— A potem?

— Myślisz, że to za mało? Biorąc pod uwagę punkt wyjścia?

— Chodzi mi o to, co będziesz robić; jak będziesz żyć? — Twarz mojej siostry wykrzywiła się w grymasie głębokiej troski.

— Przestań — uciłam.

Przez moment stałyśmy w milczeniu. Grace patrzyła w niebo. Była jedną z tych osób, które do tego stopnia przeceniają własną subtelność, że prędzej czy później szczegółowo wyluszczają swoje najgłębiej skrywane lęki. Byłam pewna, że uważa moje życie za zrujnowane.

— Zawsze możesz wrócić — odezwała się wreszcie. — Jeżeli tylko chcesz.

— Po pięciu miesiącach w Rockford! Chyba dostałabym apopleksji.

— Och, daj spokój — zachnęła się Grace. — Oszczędź mi aktorskich popisów.

Podczas rekonwalescencji po drugiej operacji pozwoliłam, by automatyczna sekretarka rejestrowała wszystkie telefony, przez długie godziny gapiłam się w telewizor i stałam się nieoficjalnym kontrolerem ruchu barek i łodzi na East River. Było zbyt zimno, by przesiadywać na balkonie, więc obserwowałam powolną paradę jednostek pływających wtulona w miękką i białą tapicerkę kanapy. Patrzyłam na jasnoczerwone holowniki, błękitno-białe kutry policyjne i długie, płaskie barki wypełnione śmieciami zabezpieczonymi siatką. Pałałam merity nad wielką, cynkową popielniczką. Kiedy do kogoś dzwoniłam, udawałam, że nadal jestem w Rockford. Gdy głosy syren przepływających w dole statków docierały aż na moje dwudzieste piąte piętro, wciskałam klawisz wyciszacza.

Dlaczego nie zapraszałam przyjaciół, by przychodzili do mnie z gotowymi obiadami i zakupami, dlaczego nie chciałam, żeby wylegiwali się na kanapie razem ze mną? Bo byłam słaba. Owszem, to jest taki czas, kiedy najbardziej potrzebuje się drugiego człowieka, szeptałam do siebie w ciszy, która dudniła mi w uszach. Ale trzeba się oprzeć tej pokusie. A to dlatego, że kiedy raz zobaczą kogoś w takim stanie, kiedy ujrzą zaniedbane włosy i usłyszą szorstki głos, kiedy staną się świadkami gwałtownej potrzeby miłości, gdy poczują zapach słabości — nigdy już o tym nie zapomną. Nawet kiedy chory dawno już odzyska formę i zapomni o wszelkich oznakach owej słabości, oni nadal będą go widzieć takim, jakim był w najgorszych chwilach.

Pewnego dnia, późnym popołudniem, gdy wpatrywałam się w mrok zapadający nad Long Island City, usłyszałam sygnał włączającej się sekretarki. Dzwonił Anthony Halliday, detektyw, o którym zdążyłam już zapomnieć.

— Oddzwoniła pani do mnie kilka miesięcy temu — powiedział. — Od tamtej pory zostawiam pani wiadomości.

Przypominałam sobie mgliście, że ktoś mówił mi o detektywie przebywającym w szpitalu psychiatrycznym, ale moje wspomnienia z pobytu w Rockford były już na tyle zatarte, że nie miałam pewności. Jego głos brzmiał całkiem normalnie. Odczekałam pół godziny i wybrałam jego numer.

— Anthony Halliday — zgłosił się po chwili.

— Charlotte Swenson — odpowiedziałam.

— Charlotte Swenson — powtórzył. Odniosłam wrażenie, że się ucieszył. — Wróciła pani do Nowego Jorku?

— Jeszcze nie.

— Jak rozumiem, miała pani poważny wypadek samochodowy?

— Tak — odparłam, ale jakoś nie chciało mi się rozwijać tego wątku. — O co chodzi?

— Kilka miesięcy temu zniknął pewien gość — odparł detektyw. — Nazywano go „Z”. Znała go pani, o ile mi wiadomo.

— Wiem, kto to taki.

W miesiącach poprzedzających mój wypadek Z stał się bodaj jedynym niezmiennym elementem w tej dość pokaźnej części mojego życia, którą spędzałam w nocnych klubach. Był jednym z tych ludzi, których nieprzyjemnie — a może nawet nie sposób — jest wyobrazić sobie paradujących w świetle dnia.

— Co to znaczy „zniknął”? — spytałam.

— Od sierpnia nikt go nie widział.

— Uważa się, że coś mu się stało?

— Na razie tylko ja uważam. Policja nic nie wie o sprawie.

— Dlaczego pan go szuka?

— Ejże! — zawołał i zaśmiał się lekko. — To ja tu zadaję pytania.

— W takim razie dla mnie to żadna zabawa.

Czy ja flirtuję z detektywem Anthonym Hallidayem? — zastanawiałam się. Minęło już tyle czasu od chwili, gdy robiłam to po raz ostatni, że wcale nie byłam pewna.

— Chciałbym spotkać się z panią, gdy wróci pani do Nowego Jorku — oznajmił. — Kiedy mogę się pani spodziewać?

— Za parę tygodni.

— Zadzwoń za trzy. A tymczasem proszę na siebie uważać. Życzę rychłego powrotu do zdrowia.

— Nawzajem.

Na sekundę zapadła cisza, a potem detektyw Anthony Halliday bez pożegnania odłożył słuchawkę.

Dopiero pod koniec stycznia umówiłam się wreszcie na lunch z moim agentem, Oscarem. Moja twarz wróciła do normy — a może raczej „ustabilizowała się”, jak powtarzałam sobie w duchu — po drugiej operacji już prawie miesiąc wcześniej.

Istniał tylko jeden powód, dla którego tak długo zwlekałam z pokazaniem się światu: wciąż jeszcze nie wiedziałam, jak wyglądam. Spędzałam czasem okrągłą godzinę przed dobrze oświetlonym lustrem w łazience. Wpatrywałam się w stare zdjęcia mojej twarzy, próbując porównywać je z żywym modelem. Lecz poza tym, że nie miałam pojęcia, jak wyglądam, poczyniłam tylko jedno odkrycie: że nigdy nie miałam pojęcia, jak wyglądam. Stare fotografie w niczym mi nie pomogły — jak wszystkie dobre zdjęcia, skutecznie ukrywały prawdę. Złych nigdy nie przechowywałam — to była jedna z moich podstawowych zasad, jeśli chodzi o sprawy zawodowe. Pierwsza z nich brzmiała: nigdy nie pozwalaj się fotografować, póki nie jesteś gotowa, w przeciwnym razie rezultat będzie fatalny. Po drugie: nigdy nie przechowuj nieudanych zdjęć (ani przez wzgląd na sentymenty, ani z innych przyczyn), ponieważ nie tylko zostaną one odkryte w najbardziej niedogodnym momencie, ale także przez tę jedyną osobę na świecie, której nigdy nie chciałabyś się pokazać w takiej postaci.

Wreszcie byłam zmuszona ukuć trzecią żelazną regułę: tylko fatalne zdjęcia pokazują prawdę. W owym czasie byłam gotowa zabić, byle tylko zdobyć choć jedną brzydką fotografię mojej twarzy.

W końcu jednak poddałam się i postanowiłam się umówić z Oscarem.

Spotkaliśmy się w Raw Feed, jednej z wielu restauracji w rejonie Dwudziestej Zachodniej. Jako witający gości pracował tam Jess DeSoto, gadatliwy model i mój przyjaciel. Przyjechałam za wcześnie i stałam na zewnątrz przez kilka minut, dotykając włosów i twarzy. Odszukiwałam od szklanych drzwi jak oparzona za każdym razem, gdy ktoś pojawiał się na horyzoncie. Czułam się tak, jakby od ostatniego spotkania ze znajomymi minęło parę lat, a nie parę miesięcy.

Jess DeSoto należał do mojej generacji modeli. Pracowałam z nim wielokrotnie i nawet spaliśmy ze sobą dwa razy, kiedy podczas sesji na Barbadosie rozpuły się burze. Potem byłam na jego ślubie, a jego synkowi Geo kupiłam u Barneya srebrną grzechotkę. Tym razem jednak Jess powitał mnie z owym specyficznym uśmiechem zarezerwowanym dla osób, które powinno się pamiętać, ale się nie pamięta. Spojrzałam mu prosto w oczy i powiedziałam, że jestem umówiona z Oskarem. Czekałam na błysk zrozumienia, śmiech pełen zakłopotania i gorący uścisk na przeprosiny. I nic.

— Tędy proszę — powiedział i swym rozkołysanym krokiem poprowadził mnie do łoży pod ścianą. — Smacznego — powiedział, położywszy na stoliku menu w dwóch egzemplarzach, po czym oddalił się, by powitać kolejnych gości.

Wśliznęłam się do łoży. Spotkanie z Jessem podziało na mnie jak cios pałką — ogarnął mnie spokój graniczący z narkozą. Wpatrując się w smugi zimowego światła wpadające przez okno, potulnie czekałam na Oscara, mając nadzieję, że kiedy przyjdzie, sprawy ułożą się tak, jak powinny.

Znajomi mijali mój stolik: Annette Blanque, moja paryska agentka; Sutie Wa, przyjaciółka-modelka; a także Mitch i Hasam, spece od promocji klubów i hollywoodzcy konsultanci w dwóch osobach, wiecznie i bezskutecznie przygotowujący remake *Gorączki sobotniej nocy*. Każdy z tych ludzi spoglądał na mnie w sposób właściwy bywalcom świata mody: omiatali mnie szybkim, łączącym spojrzeniem, domagającym się piękna lub przynajmniej władzy. A potem odwracali głowy, jakby to, co zobaczyli, nie tylko było im nie znane, ale i nie rokowało żadnej nadziei. Zamówiłam martini i zapaliłam papierosa. Po chwili zjawił się kelner i poprosił, żebym zgasila.

Oscar pocałował mnie na powitanie w oba policzki i wśliznął się za stolik, siadając pod takim kątem, że nie znaleźliśmy się naprzeciwko siebie. Był jedynym czarnoskórym człowiekiem w moim życiu, o którym z czystym sumieniem mogłam powiedzieć, że wygląda na rasowego arystokratę ze Wschodniego Wybrzeża. Oczywiście każdy może nosić odzież J. Crew, ale Oscara wyróżniała swoboda, z jaką ubierał się w nawet najdroższe stroje — pomięte bluzy, buty bez sznurówek czy porozciągane swetry z kaszmiru — wszystko to jakimś cudem sugerowało jego dziedziczną majątność. Był to triumf autokreacji. Oscar zaczynał swe życie jak każdy inny człowiek, ale niegrzecznie było pytać, kim był dawniej, skoro tak wiele wysiłku wkładał w tę przemianę. Jedynymi tropami wiodącymi w przeszłość były dwie grube blizny na jego lewym przedramieniu, nieznacznie karaibski akcent (słyszalny tylko wtedy, gdy Oscar był zmęczony), oraz, rzecz jasna, cień jego osobowości: owa karykatura, która towarzyszy każdemu z nas i ujawnia się w przypadkowych momentach — gdy się śmiejemy lub nieruchomiejemy nagle i gapimy się na świat z nieudanych fotografii. Po wypadku straciłam talent do dostrzegania takich cieni innych ludzi, ale teraz, gdy mój wzrok wracał do normy i znikła z wolna mgiełka otaczająca właściwy ośrodek w mózgu umożliwiający tę wizualną archeologię, dawne umiejętności wracały. Oscar na przykład był uosobieniem czarnej rozpacz, jego rysy były tak ponure, że mogłyby być portretem samej śmierci. Oczywiście na co dzień wcale tak nie wyglądał — miał żywą, piękną twarz i absolutnie doskonale, białe zęby („bez żadnej dziurki”, powiedział mi kiedyś). I tylko od czasu do czasu, gdy sięgał po papierosa, dostrzegałam w nim tę drugą, ulotną, udreżoną postać. Od wielu lat studiowałam ludzkie cienie, ale Oscar wciąż potrafił mnie szokować, tak wielki był kontrast między dwiema stronami jego osobowości. Nie był jednak wyjątkiem w świecie mody, gdzie piękno, najlepsze z przebrań, było tak powszechnym zjawiskiem.

— No, no, no — powiedział, spoglądając na mnie z ukosa. — No, no.

— No co?

— Lepiej, niż się spodziewałem.

— Dzięki — odparłam cierpko. — Ale inaczej?

— O, tak.

— Poznałeś mnie?

Oscar parsknął lekceważąco. Jego praca polegała na tym, żeby rozpoznawać to, czego nigdy przedtem nie widział.

— Przez okno — odpowiedział wyniośle. Teraz dopiero rozluźniłam się nieco.

— Inaczej, to znaczy jak?

Zmierzył mnie spojrzeniem typowym dla ludzi z mojej branży, badając moją twarz, kości i oczy, jakby szacował, ile są warte. Taki wzrok nakazuje siedzieć nieruchomo.

— Nierówno — odpowiedział. — To po pierwsze.

— Powiedz mi, Oscarze. Muszę wiedzieć.

— Oczywiście, skarbie. I Oscar ci powie — odrzekł. — Tylko daj mu trochę czasu.

Był moim agentem, odkąd pojawiłam się w Nowym Jorku w wieku lat dwudziestu jeden (twierdząc, że mam dziewiętnaście), z paroma reklamami Marshall Field w moim portfolio. To dzięki jego zabiegom stałam się prawie-gwiazdą i to on partnerował mi w powolnym menuecie ku nizinom zleceń katalogowych, których dna — dzięki Bogu — jeszcze nie dosięgłam. W sumie znałam go już czternaście lat, podczas których pozwalałam sobie starzeć się o rok co dwa lata, zatem teraz, w wieku lat trzydziestu pięciu, przyznawałam się do dwudziestu ośmiu. Kiedy krzywa mojej kariery zaczynała się prostować, a potem powoli opadać, Oscar uparcie piął się w górę. Podążałam za nim z agencji do agencji, aż wreszcie znalazłam się w „Femme”, gdzie miał do czynienia prawie wyłącznie z gwiazdami. Mimo to nigdy nie zachowywał się wobec mnie jak gnojek. Zbyt długo się znaliśmy.

Zamówiłam *escargot*, podczas gdy Oscar wtajemniczał mnie w najnowsze plotki o alkoholowych uzależnieniach, zabiegach chirurgicznych i szokującym zachowaniu „wielkich dziewczyn”, jak z podziwem nazywano top-modelki w naszym środowisku. Mówił, że najnowszą modą były związki dziewczyn z dziewczynami, w które modelki angażowały się mimo sprzeciwu swych bogatych, wpływowych — i w niektórych przypadkach dobrze uzbrojonych — chłopaków.

— Robiłaś to kiedy z dziewczyną? — spytał Oscar.

— Nigdy.

— Ja też nie — przyznał i roześmiał się głośno.

Moje danie pojawiło się na stole i natychmiast połknęłam jednego ślimaka, rozkoszując się aromatem czosnku. Zaraz po wypadku moje zmysły — w tym także smak — były mocno przytępione, ale ostatnie tygodnie przyniosły wyczuwalną poprawę.

— Jak tam interesy? — spytałam.

— Dziwnie — odpowiedział. — Ta mania wykorzystywania prawdziwych ludzi staje się coraz trudniejsza do zniesienia.

— Mówisz o zdjęciach znanych kobiet przyłapanych w samych rajstopach?

— To było wystarczająco okropne — odparł Oscar. — Teraz jest jeszcze gorzej: bierze się ludzi wprost z codziennych gazet. Nie słyszałaś o tym?

— Oscarze — upomniałam go łagodnie — byłam na Środkowym Zachodzie.

Wtedy opowiedział mi, że kilka miesięcy wcześniej pewien agent z „Elite” wypatrzył na stronach „Time’a” fotografię pięknej, głodującej uciekinierki z plemienia Hutu. W jakiś sposób, zdaje się, że dzięki Lekarzom Bez Granic, zdołał ją odnaleźć i wraz z ośmiorgiem dzieci przewieźć do Nowego Jorku. Tu „Hutu”, jak ją nazywano (bo ponoć jej



imię było nie do wymówienia), błyskawicznie trafiła na okładki „Marie Claire” i włoskiej edycji „Vogue'a”, a zabiegi „Elite” tylko zwiększyły jej sławę. W naturalnym odruchu obronnym Laura, szefowa „Femme”, upatrzyła sobie dziewczynę z Korei Północnej, bohaterkę artykułu o głodzie.

— Rozkazała: „Oscarze, sprowadź mi tę małą” — powiedział Oscar, idealnie naśladowując ciężki, czeski akcent Laury. — I tak dałem się wplątać w to wariactwo. Wróciłem z pracy do domu i zamówiłem kolację dla siebie i dla Victora, tłumacza koreańskiego, który miał mi pomóc w dodzwonieniu się do Korei, gdzie zaczął się już następny dzień. Minął tydzień, zanim namierzyliśmy ojca dziewczyny z fotografii. Kiedy Victor próbował mu wyjaśnić, że chcemy ją sprowadzić do Nowego Jorku, gość pomyślał, że grozimy jej porwaniem i zaczął nas błagać: „Proszę, nie róbcie tego, ja nie mam pieniędzy...” Boże, daj mi siłę! A teraz dziewczyna mieszka u mnie, w gościnnym. Ma metr pięćdziesiąt pięć wzrostu.

— Dziwna sprawa — powiedziałam.

— Oscar zgadza się z tobą w stu procentach.

— Pracuje?

— Zrobiła coś dla «Mademoiselle” i „Allure”. Zobaczymy, co z tego będzie. A tymczasem Laura kazała mi szukać dwóch Ukraińców, których widziała na CNN. Pracowali na tej platformie wiertniczej, która się przewróciła... Mam szczerą nadzieję, że to oni odziedziczą mój gościny po tej karłowatej Miss Korei. Tylko że nie jestem pewien, czy będę miał dość siły, żeby ją wyrzucić — płacze co wieczór, biedny aniołek. Kupiła sobie wielką pomarańczę i położyła na parapecie. Mówię: „Zjedz ją, skarbie. W Nowym Jorku są setki tysięcy takich pomarańczy. Zjedz ją wreszcie, do licha!” Ale ona tylko trzyma ją w rękach i ogląda.

— Dlaczego nie odeślesz jej do domu? Oscar wzruszył ramionami.

— Cholernie potrzebuje pieniędzy — odparł. — Jej rodzina sprzedaje *kim chi*.

— Jak sądzisz, długo potrwa ta moda? No, bo jedno trzeba powiedzieć otwarcie: większość ludzi nie wygląda nadzwyczajnie.

Mój agent pokręcił głową.

— Wydaje się, że ktoś odkrył w nich nowy potencjał.

— Gównu nie potencjał.

— A jednak on istnieje — mruknął Oscar i westchnął. — I z tym musimy się pogodzić.

Tłum gości oblegający Raw Feed w porze lunchu zaczął się przerzedzać. Raz po raz dostrzegałam za szybą turystów, zagląających do środka przez złożone dłonie.

— Jak sądzisz, jaką pracę będę mogła dostać? — spytałam możliwie nonszalancko.

Oscar zapalał właśnie papierosa. Zauważyłam, że tym razem kelner nie interweniował.

— Patrzę na ciebie — powiedział — i zastanawiam się, czy to w ogóle będzie możliwe.

— Wspaniale! Zatrudniasz półtorametrowe Koreanki, a nade mną się zastanawiasz.

— To dwie zupełnie różne sprawy — bronił się łagodnie. — Takie jak ona są w modzie.

— A ja?

— Ty jesteś starą rurą — odparł z czułością.

— Mam szalony pomysł. Chcesz posłuchać?

— Zawsze, skarbie.

— Wylansuj mnie powtórnie. Udawajmy, że jestem nową twarzą. Bo musisz wiedzieć, Oscarze, że nikt mnie nie rozpoznaje.

Moja propozycja nie zszokowała go tak, jak się tego spodziewałam.

— Jesteś o wiele za stara na to, żeby być nową twarzą — odpowiedział.

— Nie mam ani jednej zmarszczki! Wyglądam tak, jakbym zafundowała sobie lifting! Spokojnie mogę uchodzić za dwudziestotrzylatkę. — Pochyliłam się mocno w jego stronę i podniosłam głos, łamiąc jedną z ważniejszych zasad, których dotąd przestrzegałam: nigdy nie pokazuj ludziom, czego tak naprawdę chcesz.

— Dwadzieścia trzy lata to za dużo — odrzekł, wypuszczając chmurę dymu. — A ty, moja droga, choć Oscar cię uwielbia, w żaden sposób nie wyglądasz na dwadzieścia trzy.

Poczułam, że ogarnia mnie znużenie. Gdybym zamknęła oczy, zasnęłabym natychmiast.

— Ale pomyślisz o tym? Proszę cię — odezwałam się cicho, patrząc, jak płaci rachunek.

— Naturalnie. Ty tymczasem powinnaś się zastanowić nad alternatywami. Domyślam się, że robiłaś to już przed wypadkiem.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Dlatego, że jesteś rozsądna — odparł Oscar.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, okrył się szczelnie płaszczami pięknego płaszcza. Nie miał szalika; widziałam skórę na jego szyi — kredowobiałą i suchą. W obłoku pary znowu zobaczyłam jego twarz śmierci; straszego ducha, który uwolnił się z jego ust i roztopił w atmosferze.

— Dokąd idziesz? — spytał.

— Raczej schodzę. Na psy — odpowiedziałam.

Odprowadziłam go w stronę siedziby „Femme” ulicami tak wypranymi z barw, że z powodzeniem mogłyby uchodzić za czarno-białą fotografię miasta. Alarmy samochodowe odzywały się raz po raz, niczym ptasie głosy w mechanicznym lesie.

— Zastanawiałaś się może nad wizytą u psychologa? — spytał Oscar po długiej chwili milczenia.

— Wspaniale — odparłam ironicznie, odwracając się w jego stronę. — Nie wiesz, jak rozkręcić na nowo moją karierę, więc radzisz mi iść do lekarza.

— Nie — westchnął ciężko. — Radzę ci to zrobić, bo żyjesz w świecie iluzji.

Okrążyliśmy kwartał budynków, w którym znajdowała się agencja, unikając paradowania przed samym wejściem. Wyczułam, że Oscar nie chce tam iść.

— Przeżyłaś coś straszego — powiedział. — Po takich urazach ludzie chodzą do psychologów.

— A ty? Chodzisz?

Oscar uraczył mnie swym białym uśmiechem, ale ja i tak dostrzegłam cień jego drugiej twarzy.

— Mnie nie przytrafiło się nic złego. Moje życie to jedna wielka butla syropu Karo.

— Biedactwo — powiedziałam i ze śmiechem odrzuciłam głowę do tyłu, tak że nagle spojrzałam w zimowe niebo nad dachami budynków. I wtedy zobaczyłam znak. Przykuł mój wzrok niemal natychmiast: stary slogan reklamowy wymalowany na ceglany murze. „Nożyce Griffina”. Napis był bardzo wyblakły, ale czytelny. Obok jasnoblękitnych słów widać było zarys wielkich nożyc. Zatrzymałam się mimowolnie. Byliśmy na rogu Siódmej Alei i Dwudziestej Drugiej Ulicy.

— O co chodzi? — spytał Oscar.

Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam co odpowiedzieć.

— Spójrz na to.

— To stara reklama! „Nożyce Griffina” — mruknął Oscar i popatrzył na mnie z ukosa.

— Wygląda jak duch — zauważyłam.

I staliśmy tak, wpatrując się w znak na murze. Byłam poruszona, ale nie umiałam wyjaśnić sobie dlaczego. Przypomniało mi się Rockford, jego fabryki, kominy, przemysł. Jakbym zobaczyła cień twarzy Nowego Jorku.

— Mam w głowie osiemdziesiąt tytanowych śrub — powiedziałam, wciąż wpatrując się w reklamę.

— Nie mów mi o tym — mruknął Oscar.

— Kości były dosłownie zmiążdżone.

Tym razem to on odwrócił się do mnie. W jego oczach było zdumienie, może podziw i chyba coś jeszcze: zdaje się, że miłość. Od wielu lat byliśmy sobie bliscy w ten specyficzny sposób, w jaki zbliża ludzi wspólna praca i życie towarzyskie. Lecz mimo to wiedziałam — i on chyba też — że nie będzie już między nami tak jak dawniej.

— Jeżeli się poddasz — odezwał się szeptem — to ja stracę wiarę we wszystko.

— Nigdy się nie poddam — odpowiedziałam.

Nie sprowadziłam do mieszkania żadnego mężczyzny od chwili wypadku, ale dopiero tamtego popołudnia, kiedy uściśnęłam Oscara na pożegnanie, poczułam, że miesiące abstynencji dobiegają końca. Węzeł pożądania zawiązywał się w moim brzuchu coraz mocniej, tak że wieczorem nie myślałam już o niczym innym, jak tylko o tym, jak go przeciąć. Nie jestem podobna do większości kobiet. Dla mnie seks w większości przypadków nie ma nic wspólnego z miłością. Wręcz przeciwnie, im mniej zależało mi na mężczyźnie — a czasem nawet im mniej go znałam — tym łatwiej było mi zatracić się w fizycznych przyjemnościach. Nie czułam się niezręcznie i nie wstydziłam się prosić o to, na co miałam ochotę. Lubiłam nie wiedzieć, czego chce mężczyzna, i nie za bardzo przejmowałam się tym, jak wypadnę. Uważałam, że skoro facet podrywa mnie bez najmniejszego wysiłku i nie musi za to płacić, to i tak powinien być przekonany, że miał niezwykle udany dzień. Praktykowałam bezpieczny seks, zanim jeszcze ukuto to haselko, i to nie z przyczyn zdrowotnych, ale raczej z obrzydzenia na samą myśl o mieszających się komórkach. Obejmowanie, całowanie czy nawet odważniejsze pieszczoty — z tym nie miałam najmniejszego problemu, ale to, czego nie widziałam, molekuły czy atomy, wolałam wyobrażać sobie raczej oddzielnie. Epidemia AIDS tylko pomogła mi usprawiedliwić ten dziwny kaprys, a mężczyźni wreszcie przestali narzekać na konieczność używania kondomów.

Istnieje wiele sposobów na doświadczenie przypadkowego seksu, ale ja mam swój ulubiony. Zaczynałam zwykle od samotnej kolacji w jednej z wielu restauracji East Side'u, w pobliżu mojego apartamentu, najlepiej w miejscu odwiedzanym przez biznesmenów i dyplomatów związanych z ONZ. Zamawiałam sałatkę i czekałam na kieliszek wina, dając mniej lub bardziej śmiałe sygnały upatrzonemu mężczyźnie, tak by wiedział, że będzie mile widziany przy moim stoliku. Starałam się ograniczać rozmowy do niezbędnego minimum; dość szybko się przekonałam, że po dłuższej wymianie zdań nawet najprzystojniejszy gość przestaje być atrakcyjny.

Tamtego wieczoru z ulgą stwierdziłam, że nawet z moją nową, bliżej nieokreśloną twarzą, zwyczajowy rytuał nie trwa dłużej niż zwykle. Mężczyzna nazywał się Paul Shepherd. Miał jasnoblonde bródkę i o odcień ciemniejsze włosy w kolorze piasku. Pracował w oddziale Banku Światowego w Hongkongu, ale pochodził z Minnesoty. Był uprzejmy i jakby nieśmiały, ale nie miałam wątpliwości, że jest regularnym kłamcą. Jak wielu innych. Mimo to cieszyłam się, że będę jego zdobyczą.

Kiedy znaleźliśmy się w moim mieszkaniu, nalałam nam po szklaneczce whisky. Paul Shepherd powędrował do salonu i stanął przed rozsuwanymi drzwiami balkonowymi, by spojrzeć na (muszę to przyznać) imponującą panoramę miasta. Balkony w moim bloku były ułożone ukośnie, co być może nie wyglądało najlepiej z zewnątrz, za to każdemu z mieszkańców zapewniało wrażenie, że jest jedynym posiadaczem tak znakomitej platformy widokowej i że wyżej nie ma już nikogo.

— Pochodzisz ze Środkowego Zachodu — zaskoczył mnie Paul Shepherd.

— Dlaczego tak uważasz?

— Twoje mieszkanie sprawia takie wrażenie... Sam nie wiem. Zgadłem?

— Jestem z Chicago.

Jak wszyscy mężczyźni, których znałam, Paul Shepherd bardzo się ucieszył, że zgadł.

— Naprawdę? A z której części?

— No, może niezupełnie z Chicago — poprawiłam się ku własnemu zdumieniu. — Z Rockford, Illinois.

— Nigdy tam nie byłem.

— To piekło na ziemi. Mężczyzna uniósł brwi.

— Mówienie w taki sposób o rodzinnym mieście przynosi pecha.

Roześmiałam się.

— To by wyjaśniało ostatnie pięć miesięcy mojego życia.

Paul Shepherd nie odpowiedział. W milczeniu patrzyliśmy na most Queensborough na północy i łamaną, industrialną sylwetkę Long Island City na południu. Rozmyślałam o tym, jak niewiele rzeczy wiozłam ze sobą, kiedy wyruszałam do Nowego Jorku moim poobijanym, zielonym fiatem: złoty zegarek dziadka, który ukradziono mi w motelu i paczkę listów, które pisali do siebie, gdy babcia pojechała na wakacje do tego miasta, tuż przed ślubem. Listy babci były inteligentne i pełne humoru; znać było pewną rękę w tej jej pisaninie ze Sto Trzydziestej Piątej Ulicy i z Riverside. Niestety, zgubiłam je podczas jednej z przeprowadzek i zostało mi po nich jedynie wspomnienie sepii starego papieru i atramentu układającego się w ozdobne pismo babci. Poczulałam ukłucie żalu. Na Boga, skarciłam się w duchu, jak często myślę o moich dziadkach? Raz do roku? Czy zagłądałabym do tych listów, gdybym wciąż je miała? Czy takie pamiątki nie były odrobiną dziwactwa w czasach, gdy w dowolne miejsce można się dostać w ciągu kilku godzin, a z automatu telefonicznego na plaży można się dodzwonić choćby i do Bangladeszu? Wiele lat temu w Nowym Jorku ktoś zdarł mi z szyi brylantowy naszyjnik, prezent od Hansena, mojego narzeczonego. Wkrótce potem oddałam Grace wszystkie cenne przedmioty. Niech je trzyma, pomyślałam — w Rockford, krainie drobiazgow, będą bezpieczne, nawet jeśli nie do końca moje.

— Nad czym tak dumasz? — spytał Paul Shepherd.

Przestraszył mnie tak, że aż podskoczyłam. Bezwiednie zaczęłam popadać w melancholię, stan mentalnego rozleniwienia, który zawsze wynikał z nadmiaru samotności. Mój gość usiadł na kanapie, a ja obok, z podwiniętymi nogami. Jak dotąd nie widziałam jego cienia. Często zastanawiałam się nad drugą stroną osobowości nowo poznanej osoby. Co próbowała zamaskować? Co chciała skompensować? Lecz Paul Shepherd jak dotąd był miłym gościem, z tą swoją jasną bródką oraz żoną i gromadką dzieci, o których zapomniał mi powiedzieć. Zawsze wiedziałam, który mężczyzna usiłuje ukryć swoją prawdziwą sytuację. Rozwiedzeni sami o tym mówili, głośno proklamując swój status. Cwaniacy (a takich najczęściej wybierałam) sugerowali lub nawet twierdzili, że są rozwiedzeni, podczas gdy w rzeczywistości mieli żony. Raz na jakiś czas nachodziła mnie ochota, żeby odszukać partnerkę któregoś z nich i zadzwonić do niej, dla jej dobra. „Halo? Mąż pani nie kocha”, mówiłam w myślach. „Sugeruję, żeby pozbyła się go pani jak najprędzej”.

Pochyliłam się nad Paulem Shepherdem. Zawsze interesował mnie ten moment, kiedy maska opada po raz pierwszy, odsłaniając wnętrze — pożądanie, perwersję czy cokolwiek innego. Prawdę. Tylko ją chciałam zobaczyć. Każdy był kłamcą; łągał przez całe życie, udając dobrego i stałego w uczuciach, troskliwego i w ogóle. Każdy był politykiem, paradującym ze świątobliwą miną aż do ostatniej chwili, gdy prasa ujawniała jego upodobanie do kalekich dzieci albo uwiązaną do kaloryfera kochankę z odciętą głową. Zresztą i ja z początku byłam właśnie taka — wierzyłam we własne opowieści, aż do chwili, gdy podtrzymywanie iluzji stało się zadaniem ponad moje siły. Od tamtej pory zaczęłam szukać swojego miejsca po przeciwnej stronie: chciałam być tym kalekim dzieckiem albo kochanką, chciałam uczynić moją

domeną te mroczne zakątki, w których ukrycie inni ludzie wkładali tyle wysiłku. Położyłam dłonie na piersi Paula Shepherd'a i pocałowałam go w szyję. Jęknął cicho i odchylił się. Byliśmy sobie obcy; nie mieliśmy nic do ukrycia.

Przeszliśmy do sypialni. Spieszyłam się, po tylu miesiącach spragniona nie tylko seksu, ale i jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Czulałam się dziwnie niezgrabna; prześladował mnie irracjonalny lęk, że coś może się stać z moją twarzą. Paul także sprawiał wrażenie wyposzczonego, więc skończyliśmy dość szybko. Leżeliśmy spokojnie przez chwilę i pomyślałam sobie, że moglibyśmy spróbować jeszcze raz, ale on już wstał, mamrocząc coś o ważnym spotkaniu wczesnym rankiem.

Dopiero wtedy, gdy podnosił się z łóżka, oświetlony wielobarwnym blaskiem miasta, dojrzałam błysk chłodnej kalkulacji w jego pustych oczach. Ciężar jego osoby nie należał do najmiłszych.

Kiedy zawodziły inne sposoby, dostrzegałam ludzkie cienie w chwilach, kiedy zdawało im się, że nie są obserwowani; kiedy nie aranżowali swojej twarzy na niczyj użytek.

Paul Shepherd ubrał się, skorzystał z łazienki i dołączył do mnie w salonie, gdzie siedziałam z papierosem, okryta jedwabnym kimonem. Pochylił się nade mną od tyłu i objął za szyję. W mocnym świetle znowu był uroczy, ale ja już widziałam jego prawdziwą twarz.

— Muszę iść — powiedział, sięgając po płaszcz, szalik i neseser. Była dwudziesta druga czterdzieści pięć. Cieszyłam się w duchu, że to nie ja muszę wyjść w ciemność Nowego

Jorku. Zatrzymał się na moment u drzwi i podał mi wizytówkę. — Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz kiedyś w Hongkongu.

— Zaczekaj — powiedziałam, kiedy minął próg mojego mieszkania.

Zatrzymał się. Wyczułam jego niecierpliwość i chłód matematycznych obliczeń pod piaskową skórą twarzy.

— Jak wyglądam? — spytałam.

— Jak to jak?

— Spójrz na mnie! — rozkazałam. Usłuchał. — Gdybyś miał mnie opisać, co byś powiedział?

Patrzył na mnie przez długą chwilę. Światło w korytarzu było ciepłe i przyjazne. Zauważyłam ze zdziwieniem, że wstrzymuję oddech.

— Wyglądasz na zmęczoną — odparł wreszcie i na moment dwie połówki jego osobowości zespoliły się w ludzką całość. Nie to miałam nadzieję usłyszeć, ale i tak poczułam ulgę.

— Dobranoc, Paulu Shepherdzie — powiedziałam.



# Rozdział trzeci

Pod koniec przejażdżki rowerowej Charlotte, córka Ellen, zatrzymała się w parku Shorewood, by popatrzeć na narciarzy wodnych zza chwiejnej trybuny ustawionej z okazji środowych i piątkowych pokazów. Jeden z nich miał na sobie czerwony kombinezon. Pomknął w stronę Charlotte, dzieląc rzekę na dwoje, póki dziewczyna nie znikła mu z oczu. Nie był to jednak Scott Hess, którego wspomnienie prześladowało ją przez całe lato, a którego jakoś nie mogła spotkać.

Niepełna godziny, zaczęła pedałowac w stronę domu. Tego wieczoru byli umówieni na rodzinne spotkanie z wujkiem Moose'em — był to odbywający się raz na dwa lata rytuał, który zawsze wprawiał Charlotte w stan podniecenia; w dziwną mieszkankę oczekiwania i niepokoju. Po chwili mknęła już przez tę część Rockford, która dawniej była połacią podmokłych łąk, a obecnie dzielnicą skromnych domków, z ochryplymi psami w ogrodach i z trawnikami pachnącymi rzeką. W pędzie przejechała przez most Spring Creek i znalazła się na brukowanej ścieżce dla biegaczy, ułożonej pośród traw wzdłuż dawnej linii kolejowej.

W pobliżu budynku YMCA zatrzymała się na moment, żeby odsapnąć. Na trawiastym brzegu Rock River siedział mężczyzna w żółtej koszuli, z ręką na temblaku. Charlotte oparła rower o stolik piknikowy i podeszła bliżej. Zdjęła okulary, pozwalając, by bujna zieleń roślin zlała się nieco z brązowym, mulistym nurtem rzeki. Rockford było miasteczkiem dziewiętnastowiecznym, przeciętym z północy na południe korytem Rock River. Na zachodnim brzegu — przeciwnym do tego, na którym stała Charlotte — widać było mury fabryczne i fragment zaniedbanego centrum; nieco dalej na północ stały stare, nadrzeczne domy przemysłowców, wciąż jeszcze otoczone szpalerami drzew i grubymi, wonnymi trawnikami. Nad dawnym sercem miasta unosiła się aura znużenia, jakby trudy młodości sprzed stu lat wyczerpały je ponad wszelką miarę. Współczesne życie Rockford toczyło się na wschodnim brzegu, tam, gdzie mieszkała Charlotte. Najważniejszą arterią tej części miasta nie była rzeka, lecz State Street, ulica biegnąca z zachodu na wschód. Stały przy niej liczne pasażer handlowe, supermarkety i wielorodzinne domy mieszkalne, a jej znaczenie wydawało się rosnać, im bardziej oddalała się od dawnego centrum. Pięć mil za miastem, u zbiegu z drogą międzystanową, State Street była już sześciopasmową trasą.

Kiedy Charlotte widziała się z wujem Moose'em po raz ostatni, usadzono ją obok niego za stołem w country clubie. Był profesorem historii w Winnebago College: przystojnym, nieobliczalnym mężczyzną, który nigdy nie poświęcał jej całej uwagi. Kiedy otworzył portfel, żeby zapłacić za obiad (nalegał, że to zrobi, mimo protestów ojca dziewczyny), zajrzała do środka i znowu zobaczyła zdjęcie, które zauważyła już wcześniej. Zdjęcie wody. Jedyne, które nosił przy sobie.

— Co to? — spytała, ale Moose jakby nie usłyszał. — Ta fotografia... co na niej jest? powtórzyła nieco łagodniej.

Moose wysunął zdjęcie z tandetnej, plastikowej okładki i podał Charlotte. Był to stary, wykonany w sepii portret majestatycznej rzeki. Nie różnił się wiele od sfatygowanych podobizn ukochanych dzieci, tyle że... przedstawiał rzekę. U dołu ktoś napisał: „Rock River, 1904”.

Było to tak dziwaczne, że Charlotte poczuła się urażona.

— Po co ci to? — spytała.

Moose spojrzał na nią ciemnymi, niespokojnymi oczami. Dziewczyna wyczuła, że sprawiła mu zawód.

— To dowód — odpowiedział krótko.

Zdumiewało ją nieustannie to, jak często wracała myślą do tej fotografii przez długie miesiące. „Rock River, 1904”. Budynek z kopułą — a może sama go wymyśliła? Łódź na rzece. Wieża kościelna. „Dowód”, powiedział. Dowód czego?

Mężczyzna siedzący na trawie odwrócił się i spojrzał na Charlotte.

— Dobry wieczór — powiedział zaskakująco oficjalnie. Nawet bez okularów Charlotte była pewna, że nie widziała go nigdy dotąd. Miał długą ranę na policzku. Ramię wiszące na temblaku było usztywnione gipsem.

— Dziewczyna w wiecznym ruchu — powiedział. — Codziennie na rowerze.

Dziwak, pomyślała Charlotte z rosnącym zainteresowaniem. Mężczyzna wstał, jakby źle mu było z tym, że siedzi, podczas gdy dziewczyna stoi. Miał na sobie stare spodnie koloru khaki i wyglądał na zmęczonego w ów dorosły sposób, dający Charlotte wytchnienie od fałszywego uroku chłopców w jej wieku. Widząc, że kuleje, zastanawiała się, co też mogło mu się przytrafić.

— Rockford, Illinois — powiedział. Ledwie zauważalny akcent w jego mowie nadał nazwie miasta nieprzyjemne brzmienie. — Jakie okropne miejsce.

— Proszę wracać do siebie, jeśli się tu panu nie podoba — odparła Charlotte.

Uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

— To niemożliwe.

— Więc niech pan nie mówi, że to okropne miejsce. Mężczyzna spojrzał na nią badawczo.

— Ile masz lat, jeśli wolno spytać?

— Szesnaście.

— Ładna jesteś.

Charlotte zmrużyła oczy.

— Nie jestem.

— No to niezwykła.

— To nie to samo.

— To coś trwalszego.

Kłamca, pomyślała Charlotte, ale komplement sprawił jej przyjemność. Była szczupłej budowy ciała, ale bardzo silna — „żyłasta”, jak opisywali ją niektórzy. Osobiście uważała jednak, że przede wszystkim wyróżnia ją niemal całkowity brak piersi. Czekala, aż się pojawią, wyłonią, wykwitną, powstaną z płaskiej tarczy jej kościstych żeber jak dwa urocze ciasteczka. Rok wcześniej zamówiła specjalne urządzenie do ściskania, którego reklamę znalazła na tylnej okładce czasopisma (przysłano je dyskretnie w szarej, nieopisanej kopercie). Ścisnęła je mozolnie dłońmi każdego ranka i wieczoru. Później, w napadzie jeszcze głębszej desperacji, połknęła — po jednej dziennie — pięćdziesiąt pigułek tajemniczego preparatu, przy którego aromacie uryna zdawała się pachnieć lawendą.

— Chłopaki mnie nie lubią — powiedziała mężczyźnie w żółtej koszuli, ośmielona faktem, że był jej zupełnie obcy.

— Dorosną — odparł — a wtedy będą podziwiał twoje oczy.

— Noszę okulary — mruknęła, ściskając je w dłoni. Wpatrywał się w jej twarz, jakby próbował to sobie wyobrazić. Charlotte oparła się pokusie włożenia okularów.

— Szkła kontaktowe sprawiają mi ból — wyjaśniła.

— Okulary to zupełnie naturalna rzecz — odrzekł.

Po drugiej stronie rzeki słońce zniknęło za dawnym centrum miasta jak moneta wrzucona do automatu. Ciekawe, jak długo tu sterczę, pomyślała Charlotte i wróciła po rower.

— No cóż... *Adios*.

Mężczyzna uniósł rękę na wysokość zranionej twarzy w nieokreślonym geście ni to salut, ni to pożegnalnego machnięcia.

Charlotte szybko pokonała krótki dystans dzielący ją od skrzyżowania i skręciła na drogę ekspresową. Była zdenerwowana, brakowało jej tchu. W codziennym życiu była raczej skryta; nie ujawniała swoich myśli, strachów czy słabości, a także nadziei, których miała w sobie niewiele. Za to w obecności obcych ludzi nabierała wręcz niebywałej pewności siebie, wzbudzanej wewnętrznym ciśnieniem, którego istnienia nawet nie była świadoma. Kiedy było po wszystkim, w duchu przekonywała samą siebie, że nikt się nie dowie o jej śmiałości — przecież obcy nie znali nawet jej imienia! I w tym kryło się całe piękno owych niespodziewanych przemian.

Przeprowadziła rower na drugą stronę jezdni, czując pod tenisówkami gorąco nagrzanego słońcem asfaltu. Z daleka zbliżały się pulsujące światła samochodów, przebijających się przez pełen kurzu zmierzch. Ulica, przy której mieszkała Charlotte, kończyła się ślepo u boku drogi ekspresowej. Dziewczyna wbiegła na długi podjazd i zostawiła rower w szopie. Matka obserwowała przez kuchenne okno, jak biegnie po trawniku. Ellen była gotowa do kolacji; miała elegancko upięte włosy.

— Gdzieś ty była? — zawołała. — Wyjeżdżamy za dziesięć minut!

— Spokojnie.

— Prędeż, prędeż. Jesteś cała spocona.

— Przecież już idę!

Charlotte przystanąła na moment w swoim pokoju, by spojrzeć na rybki — tajemnicze, delikatne istoty zawieszane w słonej wodzie. Wydawało jej się, że otacza je aura mądrości, jakby w tym pokoju, w tym domu, w tym jej życiu tylko te milczące stworzenia umiały ją zrozumieć. Charlotte niemal od roku pracowała w Świecie Ryb, gdzie przysługiwał jej rabat.

Szybko wzięła prysznic i wróciła do kuchni, gdzie Ricky i ojciec rozpoczynali partię szachów. Harris nauczył syna tej gry podczas długiego pobytu w szpitalu. Teraz ich mecze ciągnęły się nieraz przez wiele dni.

— Jak tam przejażdżka? — spytał ojciec.

— Świetna. Rozgrzewająca.

Kiedy stanęła przy lodówce, żeby nalać soku do szklanki, ojciec wbił wzrok między jej łopatki.

— Zastanawiałaś się może nad sprawą szkoły? — spytał wreszcie, siląc się na swobodny ton.

Charlotte wypła duszkiem.

— Nie. — Jej myśli zaprzętało spotkanie z nieznanym nad rzeką. Wciąż była podekscytowana.

Matka wpadła do kuchni, stukocąc obcasami po ceramicznych płytkach.

— No, szybciej, szybciej — powiedziała. — Spóźnimy się.

— Ding-dong, mamó — odezwał się Ricky. — To my czekamy na ciebie.

Pojechali nowym lexusem Ellen. Gdy tylko znaleźli się na szosie, Ricky przytulił się do Charlotte na tylnym siedzeniu, jakby była częścią miękkiej tapicerki. Harris z zazdrością przyglądał się temu w lusterku — ilekroć sam próbował przytulić syna czy choćby go dotknąć, chłopak płoszył się jak sarna. Włosy Ricky'ego odrosły bujne i ciemne; był pięknym trzynastolatkiem, pięknym tak niepokojąco, że ludzie gapili się na niego w sklepach i w szpitalu. Czasem Harris wstydził się urody swego syna, jakby była dowodem jego słabości. Ricky zawdzięczał jednak swoją piękność Ellen: miał tę samą, oliwkową skórę i wydłużone, czarne oczy.

Kiedy wjechali na most Spring Creek, Charlotte zerknęła na północ i znowu zobaczyła narciarzy wodnych. Nie było wśród nich Scotta Hessa, ale i tak z lubością oddała się wspomnieniom. Rozmyślała o przyjęciu, na którym była ostatniej jesieni, zaraz po rozpoczęciu drugiej klasy. Zapaliła wtedy trawkę i ululała się po raz pierwszy w życiu: w niekontrolowanych napadach śmiechu maczała frytki w musztardzie — były to bodaj jedyne potrawy zaproponowane przez matkę gospodarza, szurniętą na punkcie diety. Później wszyscy wcisnęli się do purpurowego jeepa Scotta Hessa:

atlety, gwiazdora, chłopaka, z którym Charlotte nigdy przedtem nie rozmawiała. Przyciśnięta do niego na przednim siedzeniu, przestała zwracać uwagę na ciasnotę wśród wiercących się kolegów i koleżanek oraz na muzykę R.E.M. dudniącą w głośnikach. Skoncentrowała się na odczuwaniu gorąca bijącego z ramienia Scotta Hessa. Ogarnęło ją chore, wręcz bolesne pragnienie. Za każdym razem, gdy Scott kręcił kierownicą, niby to przypadkiem przyciskała się do niego mocniej, a on pojękiwał, bo był posiniaczony po ostatnim meczu futbolowym.

Tak się złożyło, że Charlotte i Scott mieszkali najbliżej siebie, toteż kiedy wysadzili po drodze już wszystkich, zostali w purpurowym jeepie sami. Gawędzili uprzejmie o meczu, o rozbitym kolanie i zwichniętym barku, nie wspominając nawet o śliwie pod okiem — pamiętce po walce w szatni sprzed dwóch tygodni.

— Są i takie urazy, których nie widać — mówił Scott. — Na przykład kręgosłup... Połowę życia spędzam na środkach przeciwbólowych. A co powiesz na to? — spytał, unosząc lewy kciuk. — Nie mogę go do końca wyprostować!

Charlotte słuchała go nieuważnie. Czuła się jak stare radio odbierające i nadające na dziwnych częstotliwościach. Była też pewna, że szczerze lada chwila, jeśli nie zacznie dotykać Scotta Hessa lub jeśli on nie zacznie dotykać jej.

Dwa kwartały przed własnym domem postanowiła coś zrobić.

— Hej, zatrzymaj na chwilę samochód — powiedziała.

Scott zdziwił się trochę, ale usłuchał. Wtedy pocałowała go w usta, obejmując jego twarz dłońmi. („Skąd u ciebie taki tupet?”, pytały później przyjaciółki, ale Charlotte uważała, że do tego wcale nie potrzebowała odwagi). Scott w pierwszej chwili zmartwiał, a potem odpowiedział na jej czyn szybko rosnącym entuzjazmem. Po chwili znowu jechali — tym razem w kierunku starego sadu, jak się okazało, pełnego pokręconych drzew zasłaniających pochmurne, nocne niebo.

— Jakie to drzewa? — spytała Charlotte, by zapełnić jakoś ten czas, którego Scott potrzebował na siłowanie się z dźwigniami regulacji położenia jej fotela.

— Zdaje się, że grusze. — Chłopak ułożył oparcie siedzenia poziomo i zabrał się do rozpinania dżinsów Charlotte. — Widziałem je za dnia — wyjaśnił. A potem wspiał się na nią (wspierając ciało na nie zwichniętej ręce) i — jęknąwszy raz lub dwa z powodu kontuzji — rozprawił się z jej dziewictwem, by sekundę później paść prawie bez zmysłów. Bolało. Charlotte zacisnęła powieki, zdumiona tym, jak bardzo bolało. Lecz mimo cierpienia czuła, że pragnienie wciąż w niej płonie, absolutnie nie ugaszone. Głowa Scotta leżała na jej piersiach jak meteoryt. Charlotte otworzyła oczy, żeby popatrzeć na grusze, które zrzucały swe zwinięte, suche liście na przednią szybę wozu. Wreszcie przysunęła usta do ucha Scotta i szepnęła:

— Może... spróbowałbyś jeszcze?

Odpowiedzi nie było. Wreszcie, po długiej chwili, jakiś ułamek świadomości powrócił do masywnego ciała Scotta. Chłopak uniósł głowę i wymamrotał:

— Czy ja wyglądam na Supermana?

Charlotte brała jego słowa za żart, za ironiczny komentarz do dotychczasowych występów, ale tylko do chwili, gdy Scott zwałóknął się z niej, pojękując jak zardzewiały okręt wyciągany z dna morza.

— Przecież ja cię nawet nie znam — powiedział, spoglądając na nią małymi, pustymi oczkami.

Chwilę później, jak się zdawało, odjechali w stronę domu Charlotte, która siłowała się z bielizną i ledwie zdążyła dopiąć spodnie, a już stała na podjeździe.

— Dzięki — powiedziała, bezskutecznie starając się nie wpaść w sarkastyczny ton.

Scott Hess patrzył prosto przed siebie. Nie odpowiedział.

Charlotte uznała, że będzie milczał na temat tego, co zaszło — bo i czym tu się chwalić. Lecz w poniedziałek rano wszyscy w jej nielicznej klasie wiedzieli już, że Charlotte to szalona dziwka, która rzuciła się na Scotta i błagała go, żeby zrobił to z nią „na pieska”, potem obciągnęła mu pięć razy i prosiła o jeszcze — że była zdziczałą nimfomanką,

której nigdy dosyć. Idąc wówczas szkolnym korytarzem, czuła się tak, jakby była radioaktywna albo jakby stała się ośrodkiem pola magnetycznego o wielkiej sile odpychania. Nikt się do niej nie zbliżał. Chłopcy chichotali nerwowo na jej widok, a dziewczyny zbijały się w ciasniejsze grupki, z których trzy najlepsze przyjaciółki Charlotte mogły jedynie posyłać jej bezradne spojrzenia, niczym pasażerowie pociągu, na który spóźniła się o parę sekund. Nikt inny nie patrzył w jej stronę, choć oczywiście wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę — lepiej niż kiedykolwiek przedtem! — z jej obecności. Co ja takiego zrobiłam? Zadawała sobie to pytanie przez cały dzień, także i po lekcjach, gdy jej toksyczność spadła do takiego poziomu, iż jej najlepsze koleżanki mogły się zbliżyć. Opowiedziała im, jak było naprawdę, a potem zadała proste pytanie: co zrobiła nie tak? Dwie z nich miały chłopaków, z którymi sypiały. Na czym mogła polegać różnica? Nie wiedziały.

— Następnym razem nie rób tego, póki nie będziesz zakochana — powiedziała Laurel, ostatnia dziewczina z kwartetu przyjaciółek.

— Byłam zakochana — odparła Charlotte.

Scott śmiał się z niej za każdym razem, gdy mijala go na korytarzu — kulał niemal zawsze, aż wreszcie na dwa tygodnie wpakowano go w gips po tym, jak zerwane wiązadła kolanowe zakończyły jego karierę futbolową. Śmiał się, kiedy w pobliżu byli koledzy. Gdy spotykali się sam na sam, odwracał głowę. Charlotte dobrze wiedziała, że się jej boi.

Nieco później pojęła, że jej błąd polegał w głównej mierze na wyborze niewłaściwego momentu. Pod koniec drugiej klasy większość koleżanek ochoczo dzieliła się opowieściami o tym, jak to dosiadały chłopaków, którzy wpadli im w oko, niewiele myśląc o miłości. Niestety, opinia perwersyjnej dziwaczki wciąż trzymała się Charlotte. Oczywiście gdyby była piękną dziewczyną — gdyby na przykład była podobna do matki — sytuacja wyglądałaby zgoła inaczej. Charlotte pojmowała tę prawdę z głębokim bólem i złością: istnieją dwa światy i w jednym z nich wszystko jest trudniejsze. Wiedziała, że nikt nie wyciągnie do niej ręki, a jeśli sama to zrobi, zostanie ukarana.

Naturalnie zmieniała szkołę. Chciała uciec od ludzi, którzy ją znali. Opuścić mury, w których wyznaczono jej zdecydowanie zbyt ciasne miejsce.

— Wiesz, mam, chyba kupię nową rybę — powiedziała.

— Jaką? — spytała Ellen, ale Charlotte dostrzegła jej rozkojarzenie i nie trudziła się już udzielaniem odpowiedzi. Przecież byli spóźnieni na spotkanie z Moose'em.

Moose i jego druga żona, Priscilla, siedzieli już w przestronnej sali wyłożonej miękkim dywanem. Wybrali narożny stolik z widokiem na Rock River. Budynek Country Clubu w Rockford stał na skarpie, dokładnie naprzeciwko parku Shorewood, w którym tego popołudnia Charlotte zatrzymała się, by popatrzeć na narciarzy. Tuż ponad ramieniem Moose'a, w niebieskawej ciemności wieczoru, widziała teraz zarys dalekiej trybuny i skoczni sterczącej z wody. Jej wujek jak zawsze usiadł bokiem — nie lubił siedzieć twarzą do całej sali, a jednocześnie wolał nie nadstawiać bezbronne pleców.

— Moose! — wykrzyknął Harris, wyciągając rękę i cofając ją natychmiast, gdy brat Ellen podniósł się z krzesła — Co pijecie? Martini? Czemu nie. Kochanie, co dla ciebie? Dzieciaki? — Wyszczekał zamówienie w stronę kelnerki, dziewczyny z college'u, która przyjechała do Rockford na wakacje, a potem nagle sam siebie usłyszał i usiadł, zakłopotany. Moose budził w nim maniakalne wręcz pragnienie kontrolowania sytuacji, jakby lada chwila miał zafundować rodzinie wielki wstyd na oczach szerokiej publiczności.

— Jak idzie w pracy, Harris? — spytał Moose ciekawie monotonnym głosem, kiedy już wszyscy usiedli.

— Nie mogę narzekać. A co u ciebie?

— Dobrze — odparł Moose, wolno kiwając głową. — Bardzo dobrze.



Harris zauważył z pewną satysfakcją, że jego szwagier wygląda fatalnie. Owszem, Moose wciąż był przystojny w nieomalże młodzieńczy sposób, przywołujący na myśl dawną, wręcz mityczną przeszłość, którą Ellen tak sobie ceniła. Lecz jego oczy były mętne, jakby spał, koszula pognieciona, włosy zaniedbane, a ciało — co zakrawało na paradoks — opuchnięte i sflaczałe zarazem. Jednak i w takim stanie było w jego postaci coś królewskiego, tajemnicza wyższość, która doprowadzała Harrisa do białej gorączki.

— Co się stało z kool-aid, tym waszym winopodobnym napojem chłodzącym? — zagadnęła Priscilla. Była pielęgniarką w szpitalu Rockford Memorial. Miała szczupłe ciało, gęste włosy i twarz o delikatnych rysach, którą w Nowym Jorku uznano by za „uroczo chłopięcą”, w Rockford zaś nazywano dziwaczną i kanciastą.

— Testy nie wypadły za dobrze — odparł Harris. — Ludzie myśleli, że próbujemy sprzedawać dzieciakom alkohol.

— Coś podobnego! — zawołała Priscilla, szeroko otwierając oczy.

— Ale i tak nam zapłacono — dodał Harris ze znużeniem.

Dość dawno dał sobie spokój z wyjaśnianiem ludziom, że nie ma żadnego udziału w sprzedaży produktów, które jego firma — Demographics in America — testowała na bardzo amerykańskiej populacji miasta Rockford. I tak nikt mu nie wierzył.

— Tato, opowiedz o płatkach — odezwała się Charlotte.

— Tak, to rzeczywiście dziwna sprawa — podchwycił Harris i zaśmiał się nieszczerze. — Okazało się, że testujemy płatki śniadaniowe zaprawione śladową ilością substancji radioaktywnej — podobno zupełnie nieszkodliwej — które nieznacznie świecą w ciemności. — Widząc, że Ellen nie słucha, postanowił szybko zakończyć opowieść. — Mamy sprawdzić, czy ta minimalna radioaktywność sprawi, że rodzice się przestraszą, czy też spowoduje, że zaczną kupować płatki swoim dzieciom.

— A ty byś kupił? — spytała Priscilla.

— Jasne, że nie — odparł Harris, spoglądając na Ricky'ego, który zajęty był łączeniem słomek koktajlowych w taki sposób, by powstał z nich gigantyczny rurociąg łączący szklanekę ze szparą w jego uzębieniu. — Tylko że mnie nikt nie pyta. Pytają... no, wiecie kogo. — Spojrzał na żonę, która wbiła wzrok w daleki kąt sali, jakby kogoś wypatrywała. Ciekawe kogo, zastanawiał się Harris.

— Amerykę — dokończyła Priscilla.

— Właśnie — przytaknął ponuro. Nie ma sensu bawić ich śmiesznymi opowiastkami, pomyślał. Ani o dodatkach dietetycznych z liści kudzu, ani o permanentnym filtrze przeciwsłonecznym. Nieustannie zdumiewała go łatwość, z jaką jego żona i jej brat potrafili przedstawić działalność firmy, której poświęcił większą część życia — firmy, której sukces przyciągał jak magnes polityków z najważniejszych partii, która zarabiała na włoskie, ręcznie malowane kafelki, prywatne szkoły, nowego, oliwkowo-szarego lexusa Ellen oraz gigantyczne raty hipoteczne za dom, który omal nie przepadł za długi Moose'a — jako parszywą, nieuczciwą gonitwę za marnym dolarem. Wydaje im się, że zajmują się czymś lepszym? — protestował w milczeniu.

— Jeśli przyniesiesz do domu te płatki, chętnie spróbuję — zaoferowała się Charlotte, ale ojciec jakby jej nie słyszał.

Z apetytem zabrali się do czarnych oliwek wielkości gęsich jaj, słupków z marchwi i paluszków chlebowych pakowanych w folię po dwie sztuki. Po chwili kelnerka przyniosła drugą kolejkę drinków. Moose i Harris ochoczo rzucili się na swoje martini.

— Smażony kurczak dla wszystkich? — zagrział Harris, po czym zwrócił się do kelnerki. — Smażony kurczak dla wszystkich. — Czwartek był Dniem Smażonego Kurczaka.

Janey i Jessica Stevenson dyskretnie oddaliły się od stolika rodziców i pognały w stronę wolnego miejsca o kilka stóp za plecami Ricky'ego. Widząc uśmiech Harrisa, odważnie podeszły bliżej — dwie chude dziewczynki podobne do pajaków, na pierwszy rzut oka starsze od Ricky'ego, a w rzeczywistości młodsze.

— Zdaje się, synu, że masz towarzystwo — powiedział ojciec.

— Rany! Więc jednak jesteście! — zawołał Ricky i w jednej chwili poderwał się z krzesła. — Mamo, do kolacji posiedzę na dworze! — wyrzucił z siebie z prędkością licytatora.

— „Mamo, proszę, czy mogę zostać na dworze do kolacji?” — poprawiła go Ellen, a Ricky przez ramię w pośpiechu powtórzył jej słowa, pędem oddalając się od stołu. Wszyscy dorośli, z wyjątkiem Moose'a, roześmiali się. Był to zwyczaj, który narodził się z początkiem choroby Ricky'ego: im gorzej chłopak się zachowywał, tym większą wzbudzał wesołość. Zdaniem Charlotte był to jednak ten sam, nieproporcjonalnie głośny śmiech, który irytował ją w sitcomach.

— Świetnie wygląda — zauważyła Priscilla.

— Odpukać — odrzekła Ellen, z niepokojem marszcząc czoło. Wiosną Ricky zakończył trzeci rok chemioterapii, a teraz, pod koniec każdego miesiąca, woziła go do Chicago na badania. Stan kruchej równowagi, w której znalazł się Ricky, był dla niej bardzo wyczerpujący. Wiedziała, że po roku szanse chłopca zwiększą się dramatycznie, ale tych dwanaście miesięcy ciągnęło się w nieskończoność.

— Moim zdaniem już się wylizał — powiedział Harris. — Choroba to już przeszłość.

Charlotte milczała. Wierzyła, że jej brat wróci do zdrowia, wierzyła w to od początku, kiedy jeszcze był łyśy, ledwie żywy i przerażony. Być może Moose także w to wierzył. Teraz spokojnie wpatrywał się w krajobraz za oknem i ostatniego narciarza mknącego po ciemnej tafli rzeki. A może po prostu był zbyt zaprzątnięty własnymi myślami, żeby przejmować się tym, o czym rozmawiano? Przez dwa lata po ukończeniu college'u Moose mieszkał w domu rodzinnym i pracował u ojca — opatentował nawet dwa drobne wynalazki usprawniające produkcję nawozu. W weekendy angażował swój inżynierski talent w mniej poważne przedsięwzięcia: sławę zyskało jego urządzenie do przetaczania puszek z piwem z pudła zawieszzonego pod sufitem wprost do wyciągniętej ręki, uruchamiane na leżąco, dużym palcem u nogi, a także wykorzystanie maszynki do robienia lodu — należącej do rodziców — do produkcji czerwonych kostek ze sporą zawartością tequili, przeznaczonych specjalnie na „imprezy z margaritą”. Był doskonałym gospodarzem. Witął gości u drzwi w skandalicznie wzorzystych koszulach i z zapalem podżegał ich do najbardziej szalonych aktów dzikich tańców, pijackich śpiewów, rzygania w żardyniery, a nawet (tylko raz, w zimie) do palenia ubrań w kominku — lecz sam konsekwentnie zachowywał stosowny dystans do wszystkich tych wygłupów.

A potem, nagle, bez ostrzeżenia, imprezy się skończyły. Moose zaczął czytać, mozolnie trawiąc niewprawnym wzrokiem kolejne stronicie. Z początku robił to dosłownie w pocie czoła (nie miał w tej dziedzinie wielkiego doświadczenia), lecz z czasem nabrał wprawy. Czytał nocami, a za dnia odnosił do Biblioteki Publicznej w Rockford tajemnicze sterety książek. Jego pasją stała się ewolucja techniki — zastosowanie kół i prochu strzelniczego, odlewnictwo i konstrukcja ramp, po których Rzymianie dostawali się na pokłady okrętów z Kartaginy, a także historia zegarmistrzostwa i drukarstwa. Przede wszystkim jednak interesowało go szkło — do tego tematu wracał wielokrotnie. Fascynowała go ta ciecz zmieniająca się w ciało stałe, dzięki której możliwe było wynalezienie okularów, teleskopów, mikroskopów i wielu innych cudów optyki. Szkło, które w formie bąbla miało jakoby chronić Aleksandra Wielkiego w jego podróży na dno morza. Moose przeczuwał bowiem, że żyje w epoce straszliwego nawrotu, technologicznej katastrofy, w której geniusz rewolucji przemysłowej zwróci się przeciwko ludziom; że wkrótce żywe i myślące istoty będą składane z części tak jak pistolety, buty czy rowery.

Ta myśl naszła go pewnego popołudnia, kiedy siedział sobie w samochodzie przy szosie międzystanowej, zatrzymawszy się w drodze do domu z hucznej imprezy w Wisconsin. Nie zwierzył się nikomu z tego doświadczenia.

Nikomu nie powiedział też o tym, że starał się o przyjęcie na studia magisterskie w dziedzinie historii, póki nie został przyjęty w poczet studentów Southern Illinois University w Carbondale. Kiedy to się stało, spakował się i wyjechał — na zawsze, jak sądziła wtedy Ellen — by stać się nowym człowiekiem dla wszystkich, którzy znali go dawniej. Po sześciu latach Moose był już doktorantem w University of Pennsylvania, a to dzięki swej pracy magisterskiej, którą rozwinął do uhonorowanego licznymi nagrodami dzieła pod tytułem *Świat skąpany w świetle, czyli o tym, jak upowszechnienie się szkła zmieniło ludzką percepcję* (Oxford University Press, 1987). Zatrudnił się na etacie w Yale i ożenił się po raz pierwszy z Natalią, Argentynką kończącą właśnie studia filozoficzne pracą *Człowiek żywy: rozdarcie i odkupienie w filmach Johna Cassavetes* (Soho Press, 1988). Przez ponad rok młoda para żyła szczęśliwie; Moose poparł swój talent nauczycielski całą mocą charyzmy, której nigdy mu nie brakowało, zdobywając tym sposobem uwielbienie studentów.

Trudno powiedzieć, w którym momencie drugiego roku pracy naukowej Moose rozpoczął fazę przejściową między Transformacją Numer Jeden a Transformacją Numer Dwa. Najpierw zmienił się jego nienaganny dotąd wygląd, lecz w gronie naukowców i wynalazców tolerowano pewne odchylenia, takie jak zmierzwiony włos czy plamy po musztardzie na swetrze. Potem jednak zaczęły się wysoki, które prawnicy nazywali na tysiącach stron pozwów cywilnych i karnych przeciwko Moose'owi „zuchwałymi czynami dokonywanymi pod pozorem eksperymentów pedagogicznych”. Pewnego razu na przykład profesor Metcalf umieścił jeden nabój w komorze rewolweru marki Smith&Wesson, po czym obrócił bębenek, przytknął sobie lufę do skroni i nacisnął spust. Studenci byli oszołomieni; kilkoro nie wytrzymało i wybiegło z sali. Wkrótce potem ogłoszono, że Moose zręcznym, kuglarskim manewrem usunął kulę z bębena.

Kilka tygodni później, podczas zajęć z inną grupą, obwieścił rozpoczęcie nowego „eksperymentu myślowego”: sala została zaminowana taką ilością materiałów wybuchowych, że eksplozja bez wątpienia posłałaby do nieba wszystkich, którzy się w niej znajdowali. Detonator został oddany w ręce ośmiu losowo wybranych studentów, których Moose wysłał na spacer po kampusie, aby przedyskutowali sens wykorzystania niszczącej potęgi, którą im powierzono. Sam zaś, z grupą struchlałych słuchaczy, rozprawił na temat zdolności rodzaju ludzkiego do oparcia się pokusie wykorzystania niszczycielskich sił techniki. Debata rozpoczęła się niewinnie, od ustalenia faktu, iż „bomba” była tylko wymysłem wykładowcy, a „detonator” jedynie atrapą. Rozluźnieni studenci mieli nadzieję, że jedynym wynikiem działania tego urządzenia będzie uruchomienie dzwonek albo pokaz ostrzegawczych świateł. Lecz kiedy kończyli dyskusję o armatach, strzelbach, karabinach maszynowych, pestycydach, broni chemicznej i biologicznej, klonowaniu, manipulacjach genetycznych, autonomicznych robotach obdarzonych umiejętnością myślenia oraz o bombach — który to temat powracał uparcie w ich rozważaniach, niemal wszystkim ze strachu brakowało już tchu.

Podobnie radosny nastrój dominował początkowo wśród tych, którym powierzono detonator — jak by nie było, już wczesnym popołudniem mieli z głowy zajęcia na temat „Technologia a ludzka dusza”. Poszli więc prosto do ciastkarni Durfee'ego na kawę i ciepłe ciasteczka. Dopiero na ulicy, kiedy wylizywali czekoladę spod paznokci, przypomnieli sobie, że zostawili detonator przy kasie — „jasna cholera!” — i wrócili po niego w sprinterskim tempie. Wkrótce potem zebrali się wokół dziwnego, niewielkiego urządzenia, i zaczęli się zastanawiać nad tym, co by się stało, gdyby istotnie był to detonator; gdyby mieli w rękach wielką potęgę niszczenia całych budynków i zabijania ludzi. Na samą myśl ogarnęło ich dziwne uczucie ciężkości w żołądku. Dwaj studenci zapragnęli huknąć w klawisz detonatora tylko po to, żeby sprawdzić, jaką też niespodziankę profesor Metcalf przygotował dla ich przyjemności. Bardziej ostrożni zauważyli, że cała zabawa może być testem moralności i w przypadku niepowodzenia mogą ucieść oceny semestralne winowajców. Kiedy grupa powróciła do kampusu, jeden z narwańców próbował wyrwać detonator pilnującemu go pacyfiście. Wywiązała się bójka wokół przechodzącego z rąk do rąk urządzenia. Wreszcie jeden z rozsądniejszych studentów

pochwyił detonator i uciekł ile sił w nogach do dziekanatu Wydziału Historycznego, gdzie dotrwał we względnym spokojem aż do pojawienia się policji. W tym momencie sprawy wyglądały już niewesoło: w kampusie wyły alarmy, ewakuowano wszystkich z czterech sąsiednich gmachów, w powietrzu krążyły śmigłowce, po alejkach mknęły karetki i wozy straży pożarnej, a w szczytowym momencie tego zamieszania pojawił się zespół saperów z FBI, odzianych częściowo w ołowiane fartuchy. Lecz nawet oni nie zamierzali wchodzić do zagrożonego budynku: wysłali zdalnie sterowanego robota, pająka, który podreptał korytarzami i schodami na górę, by wśliznąć się do zaminowanej sali i dziwnym, mechanicznym głosem oznajmić, że Moose jest aresztowany. Profesor Metcalf nie słyszał jednak tego obwieszczenia, zasnął bowiem z głową na biurku, tuż nad szufladą, w której znajdowała się bomba. Ocknął się jednak i przy jego współpracy FBI mogło wywieźć bombę w bezpieczne miejsce swoim specjalnym wozem, którego półotwarty panczer skierowałby energię detonacji ku górze, chroniąc znajdujących się w pobliżu ludzi. W czasie rozbijania ładunku ustalono, że w mechanizmie był błąd, który czynił detonator praktycznie bezużytecznym. Błąd ten psychologowie nazwali wynikiem „podświadomego pragnienia” ich dobrodusznego, acz umyślowo niezrównoważonego klienta; pragnienia ratowania studentów przed zgonnymi skutkami tego eksperymentu.

Moose został aresztowany i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym, gdzie specjaliści zgodnie uznali go za psychicznie chorego. Ostatecznie przyznał się do nielegalnego posiadania materiałów wybuchowych, w zamian za wycofanie przez władze zarzutu dwudziestoczekrotnego usiłowania morderstwa pierwszego stopnia. Wielką rolę w ostatecznej rozprawie odegrał ów bezużyteczny detonator. W procesie cywilnym Uniwersytet Yale zadowolił się wysoką rekompensatą finansową ze strony rodziny Moose'a, nie chcąc prowokować dalszych publikacji nie służących interesom uczelni.

Moose został zwolniony warunkowo z więzienia federalnego, gdy zaliczono mu w poczet kary okres spędzony w szpitalu i w areszcie — dokładnie rok. Uzyskał zgodę na powrót do Illinois i znowu zamieszkał w Rockford, w swym starym pokoju z nieczynną już maszyną do podawania piwa za jednym ruchem palca u nogi. Jego ojciec dostał wylewu w trakcie jednej z rozpraw i teraz Moose woził go po okolicy na wózku inwalidzkim. Niedługo potem doszło do drugiego wylewu, po którym ojciec zapadł w śpiączkę. Z początku Moose doświadczył podobnego odrętwienia — przytłaczało go poczucie porażki i czarna rozpacz na myśl o tym, że ludzie, którzy znali go i podziwiali, teraz starannie go unikają, astronomiczne kwoty zaś, które rodzina musiała wydać na adwokatów i odszkodowania, wpędziły ją w długi. Lecz nawet teraz w jego umyśle kłębiły się nowe idee. I w końcu, podczas spaceru wzdłuż zadbanych brzegów rzeki, kiedy popychał przed sobą na wózku bezwładne ciało ojca — człowieka, którego kochał aż do bólu w piersiach i którego wielkie i silne dłonie zwiślały teraz martwo jak bochny chleba — Moose spojrzął na drugą stronę rzeki i ujrzał panoramę dawnego miasta, jakby zasłaniające ją martwe, nowoczesne domy z chromu i szkła rozsunęły się nagle niczym kurtyna, ujawniając obecność labiryntu.

— Wszystko jest tutaj — wyszeptał w zadumie i poczuł się podniesiony na duchu. — Wszystko jest tutaj.

Pochylił się i przemówił z zapalem do nieruchomej twarzy ojca.

— Tato, wszystko jest tutaj! — Przez moment miał wrażenie, że w zamglonych oczach ojca pojawił się błysk aprobaty.

Radość z poczynionego odkrycia ocaliła Moose'a. Dała mu nadzieję. Rewolucja przemysłowa dokonała się w jego mieście w skondensowanej formie; mógł tu znaleźć wszystko, czego potrzebował! Zaczął chłonać fakty dotyczące historii Rockford i nasycił nimi umysł aż do chwili, gdy zapytany o dowolny rocznik potrafił wyrecytować bezbłędnie listę wzniesionych wtedy budynków, najlepiej prosperujących firm, nazwiska najzamożniejszych rodzin i burmistrza, a nawet przepis najpopularniejszego puddingu z rodzynkami. Przyjaciel jego ojca, członek zarządu Winnebago College, załatwił mu pół etatu nauczycielskiego. Skromna pensja pozwoliła Moose'owi na kontynuowanie pracy nad wielotomową

historią rodzinnego miasta. Jego dzieło miało charakter etiologiczny: próbował odpowiedzieć w nim na pytanie „w czym tkwił błąd”; jak to się stało, że między rokiem tysiąc osiemset trzydziestym czwartym a współczesnością miasto zeszło z drogi transformacji od ery przemysłowej do ery informacji.

— Jakie to smutne — usłyszała kiedyś Charlotte od swego ojca. — Tak naprawdę Moose próbuje dociec, dlaczego sam się załamał. Tak, jakby wyuczenie się na pamięć szczegółów historii ostatnich stu pięćdziesięciu lat miało mu dać odpowiedź na to pytanie.

Jednak zdaniem Charlotte w półdobrowolnym wygnaniu wuja było coś znacznie bardziej intrygującego. Nocą, kiedy wszyscy spali, często spoglądała przez okno sypialni na drzewa i niebo, wyczuwając bliskość wielkiej tajemnicy, której była częścią — tajemnicy nie mającej nic wspólnego z jej obecnym życiem i narzucanymi przez nie ograniczeniami. Bliskość czegoś sekretnego. Jadąc z ojcem samochodem, patrzyła na przemykające obok auta pełne ludzi, których nigdy przedtem nie widziała. Myślała wtedy, że być może w jednym z nich siedzi człowiek, którego kiedyś spotka i pokocha. Czuła w takich chwilach, że świat bierze ją w ramiona i robi jej miejsce w swoich niepojętych planach. Zazwyczaj jednak, podobnie jak Moose, czuła się banitą.

Kelnerka zjawiła się z gigantyczną, okrągłą tacą, którą ostrożnie ułożyła na stojaku tuż obok stolika.

— Char, kochanie, pobiegnij proszę po Ricky'ego — odezwała się Ellen.

Gdy tylko Charlotte zniknęła za drzwiami, Harris zwrócił się do Priscilli i Moose'a, choć tak naprawdę tylko Priscilla odwzajemniła jego spojrzenie.

— Wyświadczylibyście nam cholernie wielką przysługę — powiedział — gdybyście spytali Charlotte, dlaczego chce zmienić szkołę.

— Odchodzi z Baxter? — zdziwiła się Priscilla.

— Powiedziała nam o tym dopiero parę tygodni temu. Twierdzi, że chce się przenieść do East. — Na samą myśl o tej publicznej szkole, pełnej smarkaczy z robotniczych rodzin, Harrisowi robiło się słabo. Zazwyczaj podziwiał niezmacony spokój swej córki, boleśnie doświadczonej zagadkowym wyrokiem Pana, który w swej mądrości Ricky'emu dał urodę, a Charlotte jedynie siłę. Czasem jednak miał ochotę złamać jej charakter, uświadomić jej, jak trudne czeka ją życie, jakby tym sposobem miał ją ochronić przed czymś gorszym.

— Pytałeś ją dlaczego? — indagowała Priscilla.

— Czy ją pytałem! — zawołał Harris, wymachując rękami.

— Zupełnie zamknęła się przed nami — wtrąciła Ellen. — Nie rozmawia ani ze mną, ani z Harrisem. — Miała wielką ochotę zapalić papierosa. Ostatnio zaczęła przemycać do domu koolsy, żeby znowu poczuć się jak nastolatka.

— Naturalnie, spróbuję — powiedziała Priscilla. — Ale jeśli Charlotte nie chce rozmawiać nawet z wami...

Ellen popatrzyła na Moose'a i napotkała jego spojrzenie, ale zaraz potem brat odwrócił wzrok. Zrozumiała. To, co zobaczyła w jego oczach, wystarczyło za potwierdzenie nieznośnej prawdy, której domyślali się oboje. Spośród wszystkich żalów (a jej umysł miotał się niemal zawsze do późnej nocy, przerażony rozmiarami otchłani między życiem, które sobie wymyśliła, a tym, które było rzeczywistością) — że nie opuściła Rockford i nie zwiedziła świata, gdy była młoda i wolna, że za wcześnie wyszła za mąż, że nie zaprowadziła

Ricky'ego do lekarza, gdy tylko zauważyła siniaki na jego nogach — otóż spośród wszystkich tych żalów największy był ten, który wywołała szokująca i niezrozumiała przemiana w osobowości Moose'a.

Kiedy Charlotte i jej brat wrócili do stołu, dorośli umilkli zniemacka, w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno: to, że rozmawiali o chorobie Ricky'ego. Przewracając oczami i wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, dzieci zajęły miejsca.



— Charlotte — odezwała się ciocia Priscilla, by przerwać kłopotliwą ciszę — twój tata wspomniał, że chcesz zmienić szkołę.

— Tak — odpowiedziała ostrożnie Charlotte, żując skrzydełko. — Postanowiłam przenieść się do East High.

— Masz jakieś powody?

— Jest znacznie większa. Mnóstwo nieznanomych.

— To wymaga odwagi — zauważyła Priscilla.

Fantastycznie, pomyślał Harris. No, dalej, pogratuluj jej jeszcze.

— Z Baxter i tak nie mam już wiele wspólnego.

— Naprawdę? — zainteresowała się ciocia. — A kiedy to się zaczęło?

— W zeszłym roku. Na samym początku.

Ellen słuchała chciwie. Już dawno zrezygnowała z prób podjęcia poważnej rozmowy z Charlotte na temat jej sytuacji. Zawsze, kiedy zaczynała, córka spoglądała na nią bezbarwnymi, zimnymi oczami, jakby chciała spytać: „Niby jak, u licha, chciałabyś mi pomóc?”

— Zawsze byłaś taka popularna — nie wytrzymała.

Charlotte spojrzała na swą smutną, piękną matkę. Jak to możliwe, żeby ktoś tak piękny był tak smutny? — pomyślała.

— Popularność nie ma tu nic do rzeczy — mruknęła.

— Moim zdaniem chodzi tu raczej o poczucie przynależności — stwierdziła Priscilla.

W jej głosie było ciepło i coś jeszcze... współczucie? Charlotte poczuła przemożną senność.

— Pewnie tak — odparła.

— A jaka jest różnica między tym a popularnością wśród rówieśników? — spytała urażona Ellen.

Charlotte nie odpowiedziała. Jej ciotka otworzyła przed nią perfumowaną szkatułkę swojej wrażliwości. Harris nie wytrzymał.

— Martwię się o twoje wykształcenie! — zawołał. — Martwię się o to, czy dostaniesz się do przyzwoitego college'u i czy będziesz miała możliwość zrobienia czegoś porządnego ze swoim życiem! — Bo z twoim wyglądem, dodał bezradnie w myślach, świat nie będzie dla ciebie specjalnie przyjaznym miejscem. — Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

— Znaczy — odparła Charlotte. Czula zmęczenie. Jak to się stało, że dała się wciągnąć w dyskusję z ojcem o szkole, skoro udawało jej się unikać tego tematu niemal przez całe lato?

— Posłuchaj, Charlotte — ciągnął Harris nieco łagodniejszym tonem. — Prawda jest taka, że ucieczka przed problemami nie pomoże ci ich rozwiązać.

— A kto twierdzi, że ja mam problemy?

— To chyba oczywiste, że masz, skoro zmieniasz szkołę.

— Pokrętna logika — odezwał się Moose.

Milczał już tak długo, że jego głos zelektryzował wszystkich. Harris spojrzał na niego spode łba.

— Powiedziałaś, że Charlotte nie rozwiąże swoich problemów, zmieniając szkołę — wyjaśnił Moose. — A potem dodałaś, że skoro zmienia szkołę, to widocznie ma...

— A co, u diabła, ma piernik do wiatraka? — rzucił z pasją Harris.

Moose umilkł. Wszyscy czekali w nadziei, że podejmie przerwana myśl i z każdą chwilą coraz bardziej bali się, że tak oto została zaprzeczona jedna z nielicznych szans na wciągnięcie go w zwyczajną rozmowę.

— Przepraszam — mruknął z wysiłkiem Harris. — Przerwałem ci.

Moose odezwał się po chwili wahania.

— Może Charlotte nie chce być taka jak wszystkie inne dzieciaki w Rockford? — spytał.

— Ja też tego nie chcę — podchwycił Harris. — Właśnie tego najbardziej chciałbym uniknąć, dając jej przyzwoite wykształcenie!

Charlotte, zaskoczona tornadem, które rozkręcało się wolno wokół jej osoby, postanowiła zabrać głos.

— Tato, przecież ja stale czegoś się uczę...

— Ależ ja nie mówię o rybach tropikalnych!

— I tu właśnie popełniasz błąd — wtrącił Moose i zerwał się z krzesła w niesłychanym napadzie entuzjazmu. Oparcie rąbnęło o ścianę, wprawiając w drżenie cały stół i zastawę. W sali zapadła cisza. — Przykro mi, ale muszę to powiedzieć — zwrócił się do Priscilli, która w pośpiechu ustawiła jego krzesło i ciągnęła go za rękę, by usiadł. — Charlotte może się nauczyć wielu ważnych rzeczy, studiując niemal dowolny przedmiot — obwieścił głośno, zwracając się do Harrisa. — Uczymy nasze dzieci ślepoty! Uczymy je, jak nie widzieć i nie myśleć; oto, jaka jest rola naszych szkół. A czyniąc to, okradamy świat!

Moose przykuł uwagę wszystkich gości country klubu — niezgrabny, zaniedbany, a jednocześnie w jakiś sposób pociągający, odezwało się w nim bowiem echo dawnej charyzmy. Charlotte słuchała z fascynacją, jak przemowa wuja przytłacza ojca i przygważdża go do krzesła.

— Liczy się to, że dziewczyna myśli samodzielnie — mówił Moose, tnąc powietrze gwałtownymi ruchami rąk. — Że kwestionuje autorytety! To uczyni ją wyjątkową!

— Jak rozumiem, uważasz się za wybitny przykład takiej postawy — mruknął Harris.

— Och, Harris! — jęknęła gorzko Ellen.

— Nie — odparł Moose znużonym głosem. — Nie uważam się za nic.

Harris był wściekły. Jak on śmie przynosić wstyd rodzinie na oczach wszystkich bywalców country klubu!

— Zgadzam się z tobą, wujku Moose — wtrąciła z zapalem Charlotte. — Zgadzam się z każdym twoim słowem.

— Możesz się z nim zgadzać, ile dusza zapagnie — wycedził Harris, siłąc się na spokój. — Ale pytanie pozostaje bez zmian: Co z twoją edukacją?

— Mogłabym się uczyć u wujka Moose'a — odpowiedziała Charlotte. Spojrzeli na nią wszyscy oprócz Moose'a, który wpatrywał się w swoje kolana. Zastanawiała się, czy w ogóle ją usłyszał. — Mama ma wszystkie twoje książki o szkle — dodała. — Przeczytałam nawet wstęp, o tym, jak w średniowieczu szklane okna wpuściły światło do domów i nagle ludzie zaczęli lepiej widzieć i zmienili sposób ubierania się i zaczęli sprzątać, a potem wymyślili szklanki i lustra, w których mogli się przeglądać i jeszcze...

— Charlotte? — przerwał jej Harris tonem ironicznych gratulacji. — To najgorszy pomysł, o jakim w życiu słyszałem.

Jego córka patrzyła jednak już tylko na twarz wuja, która stopniowo oblewała się rumieńcem od policzków aż po szyję. Moose powoli uniósł głowę i spojrzał na Charlotte, by zaraz potem znowu odwrócić wzrok.

— Dlaczego chciałabyś, żebym cię uczył? — spytał po chwili.

— Nie wiem. — Charlotte daremnie szukała słów, które mogłyby wyrazić to, co czuła, kiedy wypowiedź wuja osadziła w miejscu jej ojca. Odczuwała gwałtowną potrzebę bycia blisko Moose'a i zobaczenia jeszcze raz tego spojrzenia, którym obrzucił ją kilka minut wcześniej, spojrzenia pełnego zrozumienia. — Ale bardzo chciałabym się dowiedzieć.

Moose skinął głową, a potem powiedział:

— Zgoda.

Nikt się nie odezwał, nawet Harrisowi zabrakło słów. Podświadomie wyczuwał, że jest za późno, by próbować cokolwiek odkręcić; co gorsza, sam sprowadził na siebie to, co się stało. Spojrzał na żonę, oczekując oskarżeń, ale z ulgą przekonał się, że Ellen spogląda na niego ciepło.

— Cieszę się, że stanęło na moim — powiedział w końcu i roześmiał się. Nikt nie przyłączył się do jego bezradnego chichotu, z wyjątkiem Moose'a, którego śmiech — tubalny i szczery — zdawał się obejmować Harrisa jak ręce nazbyt rozochoczonego pijaka, po raz drugi wzbudzając zainteresowanie całej sali. Harris przetarł zażawione oczy. Poniósł totalną klęskę — cóż mu pozostało, jeśli nie ten rehot?

Ellen uśmiechnęła się do męża. Z przyjemnością myślała o tym, że Charlotte będzie się uczyć z jej bratem, tak jakby ich wspólnie spędzony czas miał w jakiś sposób zbliżyć ich do niej. Po chwili spojrzała na puste krzeselko Ricky'ego i zmarszczyła brwi.

— Gdzie on się podział?

— Wyszedł na dwór — odpowiedziała Charlotte, zwracając ku matce zimne, nieprzeniknione oczy.

— Poszukaj go, Char, jeśli możesz — odezwał się Harris. — Chyba powinniśmy już zbierać się do domu.

Charlotte chwyciła garść „poobiednich” miętówek z kryształowej misy stojącej przy drzwiach i wybiegła na zewnątrz. Wieczór był parny i ciepłe powietrze cudownie opływało jej nagie ramiona. Zdjęła okulary, całkowicie zanurzając się w mroku.

— Ricky! — krzyknęła cicho prosto w ciemność. Przeskoczyła nad dwoma betonowymi schodkami na alejce prowadzącej w stronę basenu, bijącego po oczach turkusem ceramicznych płytek. Nie było w nim nikogo. — Ricky! — zawołała powtórnie.

Zawróciła w stronę pola golfowego, zatrzymując się tylko na moment, by zsunąć sandały i wziąć je do ręki. Trawa, bujna i chłodna, łaskotała ją w stopy. W pewnej odległości dostrzegła ruchome kształty. Założyła okulary. Teraz dopiero wyłuskała z mroku zarys dołu z piaskiem, na którego brzegu stały trzy pary butów.

Twardy księżyc rozlał nad polem golfowym zimną, błękitną poświatę. Piasek w dole był wilgotny dzięki pracującym dokoła zraszaczom, które najwyraźniej niedawno wyłączono. Charlotte stanęła na brzegu i zobaczyła pod sobą wielki zamek z piasku. Miał zaskakująco delikatne kształty, a dachy wież zaakcentowano małymi szyszkami. Dziewczęta kopały właśnie fosę.

— O rany — powiedziała. — Poranni golfiści dostaną szału. Ricky leżał na plecach, zapatrzony w gwiazdy.

— Wracamy — poinformowała go Charlotte. Wyciągnął rękę, by pomogła mu wstać.

Siedziba klubu świeciła w ciemności, kiedy Charlotte niosła Ricky'ego na barana. Oddała mu sandały, które teraz obijały się o jej obojczyk, zaciśnięte w jego dłoni. Chłopak był lżejszy, niż na to wyglądał.

— Dobrze się czujesz? — spytała.

— Jestem zmęczony.

— Bo biegałeś.

— Pamiętasz, jak było kiedyś? — zapytał po chwili. — Jaki wtedy byłem zmęczony?

— Tak — odparła. — Ale teraz to co innego.

Bez względu na to, co mówił i robił, ludzie i tak patrzyli na niego jak na nieboszczyka. Pewnie czuje to w każdym momencie, pomyślała Charlotte. I widzi to, gdziekolwiek spojrzy.

— Czy ja jestem zdrowy? — spytał sennie Ricky, wtulając się w jej włosy.

— Tak — odpowiedziała.

Dorośli czekali już pod arkadami, przed wejściem do restauracji. Wujek Moose i ojciec szli razem w stronę parkingu, żeby przyprowadzić samochody.

— Postaw mnie — poprosił Ricky.

Charlotte opuściła go na miękką trawę i zabrała sandały. Wkładając je, patrzyła, jak jej brat pędzi w stronę matki, wykrzykując coś i ciskając szyszkami w stronę Jessiki, także wracającej z siostrą w stronę budynku. Dziewczyna dostała w potylicę i pisnęła z uciechy. Zaraz też rozległ się nieunikniony śmiech dorosłych, który pomknął w ciemną noc jak kolorowe girlandy. Charlotte spojrzała w niebo i jego tajemnicze obietnice bez pokrycia wprawiły ją nagle w dobry humor. Był sierpień. W starym sadzie, do którego zawiózł ją Scott Hess, gruszki musiały już być dojrzałe, o ile jeszcze nie spadły.

## Rozdział czwarty

Dni, które minęły od mojego lunchu z Oscarem, mnożyły się jak króliki, a ja wciąż nie dostawałam od niego żadnego sygnału. Zająłam się hurtowym, popołudniowym piciem. W ciągu tygodnia zostawiłam mu trzy wiadomości, na które nie odpowiedział. Wieczorami spotykałam się ze starymi przyjaciółmi i nie mogłam się oprzeć dziwnemu wrażeniu, że każdy z nich chciał mi coś powiedzieć, ale się bał.

Kiedy w październiku poprzedniego roku po raz pierwszy poruszyłam temat napojów wysokowych w rozmowie z Mary Cunningham, starsza pani zaraz pognąła do swego imponującego barku i wróciła po chwili ze swym ulubionym koktajlem, słodkim daiquiri: lodowatym, bladozielonym eliksirem, który napełnił moją głowę uczuciem spokoju. Później jeszcze nieraz szukałam owego wrażenia, popijając ten napój, a także i inne, mocniejsze trunki z zapasów mojej gospodyni, która od czasu do czasu odwiedzała swoją fryzjerkę. Lecz dopiero w Nowym Jorku moje picie, że się tak wyrażę, szczytowało: alkohol zastąpił wieczorną szklanekę mleka, a potem zaczął towarzyszyć mi popołudniami, kiedy sącząc wódkę z tonikiem, leżałam na kanapie i podziwiałam niegotyckie ruiny na południowym krańcu Roosevelt Island. Wreszcie złapałam się na tym, że szukam czegoś do wypicia o dziewiątej czterdzieści pięć rano, ale niczego już nie znalazłam.

Znowu zadzwoniłam do Oscara. Był na spotkaniu (cóż za wspaniały, współczesny eufemizm), więc zostawiłam informację, że mam do niego pilną sprawę, i zaczęłam przeglądać nowy numer „Vogue” dla zabicia czasu. Typ modelko-dziwko-épunki znowu był w modzie: zobaczyłam zdjęcia dziewczyn opartych jak popsute lalki o stare mury pokryte graffiti, ze śladami rozsmarowanej mascary na twarzach wartych milion dolarów. Nigdy nie interesowałam się zbyt pracą młodych konkurentek o twarzach żab, bizonów i antylop. Jednak zdjęcia błyszczały świeżością, której nie umiałam się oprzeć. Przekładałam kartki pisma jak w transie, aż obejrzałam wszystkie fotografie i wrażenie świeżości znikło na zawsze, zdmuchnięte niczym pyłek ze skrzydeł motyla. Zastąpiło je przygnębiające przekonanie, że już je znam.

Znalazłam w kuchni jeszcze jedną, zapomnianą butelkę brandy i napełniłam szklanekę. Hansen, mój były narzeczony, miał słabość do tego trunku, więc zawsze trzymałam w domu flaszkę, wychodząc z założenia, że jest to jedna z tych rzeczy, które mężczyźni po prostu lubią. Od czasu tamtego związku wielu piło moją brandy, ale zawsze myślałam o Hansenie, gdy chciałam dowiedzieć się czegoś o mężczyznach. Chyba nikt nie byłby bardziej zdumiony tym jego archetypicznym statusem w mojej pamięci niż on sam. Przecież nie rozmawialiśmy ze sobą od ponad dziesięciu lat.

Piłam, wpatrując się w milczący telefon z narastającą wściekłością. Wreszcie, ośmielona pieczeniem, które czułam w piersiach, znowu zadzwoniłam do Oscara. Tym razem przedstawiłam się jako Sasha Lewis z „New York Posta”. Zgłosił się po trzech sekundach — liczyłam.

— Pieprz się — powitałam go.

— *Pardonnez-moi?*

— Odbierasz telefony z „New York Posta”, a kiedy dzwoni twoja najstarsza klientka, to jesteś na spotkaniu, tak?

— To zagranie poniżej twojego poziomu, Charlotte.

— Co się z tobą dzieje, do diabła? Nie słyszałam nawet... — Sama się wystraszyłam mojej pijackiej wojowniczości.

— Jeżeli życzysz sobie rozmowy o interesach — przerwał mi Oscar lodowato — to zachowuj się odpowiednio.

— Przecież dzwoniłam grzecznie! I co? Mówiłam ci...

— Bip — przerwał mi znowu. — Odezwał się mój miernik wściekłości. Zbliżasz się do strefy zagrożenia.

Trzasnęłam słuchawką i opadłam bezwładnie na kanapę, zszokowana pokazem bezradności i desperacji, który przed chwilą dałam.

W końcu otworzyłam notes i zaczęłam szukać osoby, do której mogłabym zadzwonić. Cierpliwie oglądałam każdą stronę, czytając nazwiska modelek, zamożnych ludzi z różnych części świata i klientów, dla których regularnie pracowałam przez te wszystkie lata. Kontakt z nimi był już jednak na tyle słaby, że odświeżanie tych znajomości wydawało mi się zadaniem ponad siły. Pod „H” wciąż miałam mojego Hansena; od lat przepisywałam jego dane z notesu do notesu, by zawsze wyglądały świeżo, ale miałam świadomość, że mogą być od dawna nieaktualne. A może nie? Może wcale nie zmieniłeś miejsca pobytu, myślałam, kiedy już osiedliłeś się z żoną i dziećmi w domu pod Seattle, który sam zaprojektowałeś? Dlaczego miałbyś się przeprowadzać?

Mój wzrok zatrzymał się na niepozornej, samoprzylepnej karteczce, którą także umieściłam pod „H”. Widniał na niej numer telefonu detektywa, Anthony'ego Hallidaya. Zadzwoił do mnie ponownie dokładnie wtedy, kiedy obiecał, ale jakoś nie miałam ochoty odpowiadać. Nie interesował mnie udział w poszukiwaniach Z. Tym razem jednak pokusa spotkania z kimś, kto aktywnie próbował ze mną porozmawiać, była zbyt silna.

— Tu Charlotte Swenson — powiedziałam, kiedy się zgłosił. — Wróciłam do Nowego Jorku.

Odniosłam wrażenie, że jest zadowolony. Zaraz też zaproponował, że złoży mi wizytę. Wyobraziłam sobie detektywa myszkującego po moim mieszkaniu i przeglądającego moje rzeczy.

— Wolałabym raczej przyjść do pana — odpowiedziałam.

— Kiedy? — spytał. — Teraz? Dzisiaj? — Niecierpliwość w jego głosie była jak balsam na moje pijane ucho; przywoływała mnie tak uroczo, że szybko pozwoliłam jej przeskoczyć przez mur mojego oporu. Zgodziłam się przyjechać natychmiast.

Zanim wyszłam z domu, łyknęłam jeszcze jedną, dużą szklankę brandy i dwa pop-tarty z okazałego zapasu, który trzymałam w domu tylko dlatego, że łatwiej było je odgrzewać w tosterze niż własnoręcznie piec placek z owocami, a w dodatku wydawały mi się pokarmem dietetycznym. Owinąwszy się w długi płaszcz z alpaki, wsiadłam do windy i zjechałam na dół. Była dziesiąta trzydzieści rano, a ja byłam już mocno pijana, rozradowana i gotowa do wszelkich szaleństw. Żałowałam tylko jednego: że w moim życiu tyle było dni spędzonych na trzeźwo. Dlaczego, skoro picie było legalne? Dlaczego odmawiałam sobie tej radości?

Na zewnątrz, w ujemnej temperaturze, krążące w powietrzu igiełki lodu lądowały na mojej twarzy, wciąż jeszcze nieco sztywnej i swędzącej po drugiej operacji. Zatrzymałam taksówkę i kazałam kierowcy — starszawemu sikhowi słuchającemu Gilberta i Sullivana z kasety — żeby mnie zawiózł na Czternastą Ulicę. Zaczekał na mnie przy krawężniku, kiedy wysiadłam przed sklepem z tanią odzieżą zimową. Wybrałam sobie czarną kominiarkę, dość szczelnie zakrywającą twarz i szyję. Kiedy wracałam, sikh zauważył mnie z daleka, zablokował wszystkie drzwi i powiedział, że nie wpuści mnie do środka, póki nie zdejmę tej maski. Kiedy ruszyliśmy, znowu założyłam ją na twarz i spojrzawszy w jego lusterko wsteczne, wybuchnęłam śmiechem. Sikh tylko pokręcił głową.

Biuro detektywa mieściło się przy Siódmej Alei, nieco na południe od skrzyżowania z Dwudziestą Piątą Ulicą, w ponurym budynku z cegły, w którym winda wspinała się ku górze z upiornym grzechotem łańcuchów. Wysiadłam na



pustym korytarzu i zobaczyłam szereg drzwi z matowymi szybami, opatrzonych tabliczkami: „Nelson, zegarmistrz”; „Dr A. A. Street, stomatolog”; „Biuro podróży «Koliber»”. Nigdzie nie zauważyłam śladów ludzkiej obecności. Stukot moich kroków odbijał się od ścian głębokim echem. Wreszcie stanęłam przed drzwiami z szyldem: „Anthony M. Halliday, prywatny detektyw”.

Dziewczyna w spranych dżinsach przeprowadziła mnie przez zagracony sekretariat do biura detektywa — ciasnego pokoiku zasypanego teczkami pełnymi luźnych kartek, z których wiele rozsiało swą zawartość po całej podłodze.

— Petit, nie utrudniaj mi życia — powiedział siedzący za biurkiem (pan Halliday, jak się domyśliłam) do błękitnego, bezprzewodowego telefonu, który podtrzymywał przy uchu barkiem. Uniósł dłoń w przeproszającym geście i wskazał mi miejsce. Usiadłam, usunąwszy z krzesła stertę zapomnianych teczek.

— Gość jest kanalią, jego historyjka śmierdzi na kilometr, a w dodatku nie ma tu żadnej zagadki — ciągnął detektyw. — Agatha Christie nie tknęłaby takiej sprawy.

Mężczyzna wyglądał na czterdziestolatka, był blady, miał romboidalną twarz i czuprynę niesfornych, czarnych włosów przetykanych siwizną. Odniosłam wrażenie, że ich niesforność wynika raczej ze zbyt rzadkich wizyt u fryzjera niż z celowo wybranego stylu. Wiedziałam, że Anthony Halliday cierpi na bezsenność, zdradziły mi to pokaźne, ciemne wory pod oczami. Gdzieś w jego twarzy dostrzegłam trudy życia, ale nie wiedziałam dokładnie gdzie. Miał na sobie sztywną, białą koszulę prosto z pralni oraz tweedową marynarkę, która spędziła co najmniej kilka ostatnich dni przewieszona przez oparcie fotela, a może i na podłodze. Domyślałam się, że jest samotny; kobieta znalazłaby wieszak dla jego marynarki.

— I pamiętaj, nie przesadzaj z notatkami — mówił. — Nie, pisanie nie pomaga w myśleniu; jest wręcz odwrotnie... Jeżeli ten twój notes zostanie uznany za dowód, gość będzie usmażony, a ja będę bardzo, bardzo nieszczęśliwy... — Patrzyłam na niego, próbując odkryć cień jego osobowości. Widziałam jednak tylko przebłyski; nic konkretnego.

— No, dobra *hasta* — zakończył i odłożył słuchawkę. Uśmiechnął się do mnie i powiedział: — Charlotte Swenson. Nareszcie się spotykamy.

— Pan Halliday.

— Jak się pani miewa?

— Lepiej. Dziękuję.

— I dobrze pani wygląda. — Wyczułam, że jego oczy, oczy detektywa, błędzą po mojej twarzy, próbując coś z niej wyczytać. Nie podobało mi się to.

— To dlatego, że nie widział mnie pan przedtem — odpowiedziałam i roześmiałam się głośno.

Detektyw skrzywił się z zakłopotaniem, a może nawet z niesmakiem. Poczułam własny oddech zalatujący brandy i zdałam sobie sprawę, że w tym ciasnym pokoju i on musi go czuć.

— Dziękuję, że pani przyszła — rzekł Halliday. — Doceniam to.

— Jeszcze go pan nie znalazł? Mężczyzna potrząsnął głową.

— Jakież tropy?

Spojrzał na mnie badawczo.

— Nieliczne.

— Na przykład?

— Ejże — odparł z uśmiechem. — To się zdarza za każdym razem gdy rozmawiamy!

— Co się zdarza? — spytałam, w napięciu czekając na ukazanie się jego cienia. Wokół jego oczu dostrzegałam ślady bólu, ale to nie było to. Ból był jedynie powierzchownym znamieniem.

— Przesłuchuje mnie pani.

— Sądzi pan, że on nie żyje? — indagowałam.

— Nie sądzę — odparł. — A pani?

— A skąd miałabym to wiedzieć?

Detektyw wstał i zamknął drzwi gabinetu. Oszacowałam, że ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. Ubrany był w brązowe spodnie i wymięte, czarne buty. Chodził długim, niezgrabnym krokiem, jakby przywykł do większych przestrzeni.

— Chciałbym zadać pani kilka pytań — powiedział, wracając na miejsce i wyciągając coś z szuflady. — Chciałbym też nagrywać naszą rozmowę, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

— Czemu nie? — Uśmiechnęłam się, żeby ukryć rozczarowanie.

Włączył mały, groźnie wyglądający dyktafon i popchnął go palcem w moją stronę.

— Wie pani kiedy on zaginął?

— Nie bardzo.

— W pierwszym tygodniu sierpnia. Czyli... dokładnie wtedy, kiedy przytrafił się pani wypadek. Zgadza się?

— Tak — odpowiedziałam i zmusiłam się do spojrzenia mu w oczy.

Milczenie między nami zdawało się nie mieć końca. Cisza była tak absolutna, że wyczuwałam powolny ruch obrotowy Ziemi.

— Zbieg okoliczności — zauważył wreszcie Halliday.

— Świat jest pełen takich przypadków — przytaknęłam. Żałowałam, że nażłopałam się brandy. Albo tego, że nie wypilałam więcej.

Na szczęście rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała dziewczyna w spranych dżinsach.

— Przepraszam, Tony — powiedziała — ale przyszedł Leland. No, wiesz, zjawił się tak bez zapowiedzi.

Halliday spojrzał na dziewczynę, a potem na mnie. Przez moment sprawiał wrażenie sparaliżowanego. W końcu wyłączył dyktafon, westchnął ciężko i wstał. Kiedy mijał mnie w drodze do sekretariatu, z oczami wbitymi w miejsce, w którym spodziewałam się ujrzeć nieproszonego gościa, zobaczyłam wreszcie jego cień: skoncentrowany gniew, podobny do eksplozji krzyku. I wtedy się rozluźniłam.

Halliday musiał wyprowadzić przybysza na korytarz, bo ani nie zobaczyłam tajemniczego Lelanda, ani nie usłyszałam choćby jednego słowa z ich rozmowy. Czekałam, wsłuchując się w stłumiony dźwięk syren z Siódmej Alei, jakby przefiltrowany przez warstwę szarawego światła, które wpadało do biura detektywa przez samotne okno. Nagle zapragnęłam się zerwać i przebiec obok Hallidaya, krzyząc: „Przykro mi, Tony, ale muszę lecieć!” Wiedziałam, że nie mogłby mnie zatrzymać, ale z drugiej strony takie zachowanie byłoby przesadnie dramatyczne, jakbym przyznawała się do czegoś. A przede wszystkim, nie chciałam być sama. Chciałam siedzieć tu z tym detektywem, nawet jeśli oznaczało to konieczność odpowiadania na pytania.

Oczywiście zamierzałam kłamać. Kłamałam bardzo często, i to z dobrego powodu: aby chronić prawdę, tak jak nosi się fałszywe klejnoty, by uratować prawdziwe przed kradzieżą lub nadmiernie częstym eksponowaniem. Broniałam prawd, które znałam, bo informacja nie jest rzeczą — nie ma barwy, zapachu, kształtu, a tym samym jest niezniszczalna. Nie można jej odzyskać ani unieważnić, podobnie jak nie można zatrzymać jej rozprzestrzeniania się. Zdradzenie komuś sekretu równało się, moim zdaniem, z przechowywaniem plutonu w torbie na kanapki. Informacja bowiem zawsze żyje

dłużej niż przyjaźń, miłość czy zaufanie, które każe nam ją przekazywać. Dzielenie się informacją oznacza rozdawanie jej raz na zawsze.

Detektyw wrócił do swego pokoju wyraźnie odmieniony: niespokojny, rozproszony, może nawet wystraszony, choć oczywiście próbował maskować uczucia beztróskim uśmiechem. To była osobista rozmowa, pomyślałam. Nie miała nic wspólnego z interesami. Kim był Leland? Halliday usiadł za biurkiem i włączył dyktafon.

— Na czym to stanęliśmy? — spytał.

Powiedziałam mu, że Z był Grekiem; jak twierdził, pochodził z Santorini. Nosił srebrną obrączkę na palcu lewej dłoni. Był jednym z tych ludzi, których opisywanie wymaga ciągłego użycia słowa „średni”: był średniego wzrostu, średniej budowy, miał włosy średniej długości i średnio opaloną skórę. Można powiedzieć, że wyglądał na przyzwoitego, europejskiego playboya. Jedynym intrygującym szczegółem jego średniego ciała były oczy: duże, ciemne i bystre, ale spoglądające na świat sardonicznie, jakby interesowało go i fascynowało wszystko, co widział, a jednocześnie jakby wydawało mu się to niedorzeczne.

Po raz pierwszy zauważyłam go w Pollen, restauracji w Bowery, gdzie poprzedniej wiosny doszło do zagadkowej kolizji świata mody i wielkich sław. W ciągu kilku tygodni, w sposób właściwy jedynie temu światkowi pozbawionemu pamięci, Z zaistniał jako stały element tego środowiska. Miał bowiem uniwersalny środek do podbijania serc, jakim są pieniądze. Wydawał je hojnie w popularnych klubach, nieuchronnie zbliżając się do Mitcha i Hassama, speców od promocji. Wkrótce byli już partnerami w biznesie, który — jak głosiły plotki — miał być większy od wszystkiego, co zrobiono dotąd w Nowym Jorku.

— Rozmawiała z nim pani? — spytał detektyw.

— Nie był szczególnie rozmowny.

— I nie wiedziała pani, czym się zajmował?

— Był playboyem — odparłam, wzruszając ramionami.

— I nic więcej?

— Nie chcę pana szokować, ale dla niektórych mężczyzn polowanie na kobiety jest ostatecznym celem życia — odpowiedziałam gładko.

Detektyw rozparł się wygodniej na krześle i uśmiechnął się. Zastanawiałam się, czy to brandy tak mi wyostrzyła dowcip, czy też Bóg postanowił w ten sposób wynagrodzić mi utratę twarzy.

— Powinien pan pogadać z Mitchem i Hassamem — poradziłam Hallidayowi.

— To oni mnie wynajęli — odparł. — Zniknął ze sporym kawałkiem ich gotówki.

— Ile wziął?

— Dwadzieścia pięć. Idealna kwota: wystarczająca na wydatki, a zbyt mała, by być długo ściganym.

— Więc dlaczego go pan szuka?

Zamiast odpowiedzieć, Halliday spojrział w okno. W gąszczu papierów na jego biurku zauważyłam pochyloną, srebrną ramkę. Bardzo chciałam wiedzieć, kto jest na tym zdjęciu.

— Serdecznie pani dziękuję — rzekł nagle.

Spłoszyłam się. Wyczuwałam jego frustrację, jakby bardzo na mnie liczył i rozczarował się gorzko. Było mi przykro.

Obszedł biurko i odprowadził mnie do drzwi. Teraz zrewidowałam poprzednią ocenę: miał metr osiemdziesiąt pięć, był siedem centymetrów wyższy ode mnie. Stałam przy drzwiach, kiwając się lekko (za sprawą brandy), i czułam, jak mroźny i pusty dzień szceka na mnie złowrogo zza murów.

— To już wszystko? — spytałam, zbliżając się nieco. — Nic więcej?

— Niech pani mi to powie.

— Mogłabym zacząć zmyślać.

— Dzięki — odparł. — Zmyślane historyjki zostawiam sobie na dobranoc.

— Więc niech pan zadzwoni wieczorem — odparowałam bezwstydnie. — Umiem opowiadać niestworzone rzeczy.

— Jakoś mnie to nie dziwi.

Podaliśmy sobie ręce. Czułam, że czeka, aż sobie pójdę, a jednak coś kazało mi absurdalnie sterczeć przy otwartych drzwiach. Szczyt desperacji, pomyślałam, ale byłam zbyt pijana, żeby się tym przejmować.

Wkrótce potem byłam znowu na Siódmej Alei. Naciągnęłam kominiarkę na twarz i uznałam, że dzień jest już stracony. Idąc ze spuszczoną głową, kierowałam się na północ. Czułam chłód w miejscu, gdzie lodowaty wicher przenikał materiał zwilżony moim oddechem. Skręciłam na wschód, w Dwudziestą Ósmą Ulicę, tak by mieć wiatr w plecy. Zaczęłam zadzierać głowę, szukając choćby jednej kolorowej flagi, jakiegokolwiek ożywczej odmiany w szarobrazowym pejzażu miasta, z jego brudnymi murami i hałaśliwymi ciężarówkami.

I wtedy, jakbym nagle odzyskała zdolność ostrego widzenia, spostrzegłam stary, namalowany na ścianie znak, podobny do tego, który tydzień wcześniej wypatrzyłam podczas spaceru z Oscarem. Seria reklam znajdowała się po przeciwnej stronie Szóstej Alei. Umieszczono je jedną pod drugą, na pustym i odkrytym murze budynku. „Futra i stanki”, głosił wielki napis na samej górze. Najniższy reklamował „Bieliznę damską”, a cała reszta reklam między nimi była nieczytelna. To znak, pomyślałam i roześmiałam się w głos. Znak w formie znaku!

Na rogu Szóstej Alei i Dwudziestej Ósmej Ulicy zatrzymałam się i obróciłam wolno, zadzierając głowę. Były wszędzie: znaki i sugestie znaków, wiele niemal przezroczyście, które dostrzegałam dopiero teraz, w pełnym skupieniu. „Harris — pasy do pończoch”. „Maid-Rite Dress Co.” Pamiątki surowego industrializmu, przed którym uciekłam z Rockford właśnie tu, do Nowego Jorku. Tego dnia jednak wszystkie te wyblakłe znaki wyglądały ucziwie i prawdziwie w otoczeniu zapomnianych parkingów i podwórek pełnych tłuczonego szkła — w przeciwieństwie do półnagich modelek, które widziałam rano na stronach „Vogue”.

Poszłam dalej na wschód i na południe, szukając kolejnych znaków (znalazłam jeszcze „Uprężę” i „Stajnie”). Wreszcie, trzęsąc się z zimna, ściągnęłam maskę z twarzy i wstąpiłam do jednego z tych barów, których nie zauważa w zasadzie nikt, prócz ludzi szukających alkoholu w środku dnia; barów pełnych mężczyzn o przerośniętych nosach i wystraszonych, wodnistych oczach. Moje wejście wywołało małą sensację, lecz wszystko wróciło do normy, gdy zajęłam miejsce na wysokim stołku i zamówiłam brandy. Brandy była tu chyba napojem dnia. W oknie bulgotało akwarium, w którym glony rosły tak gęsto, że obecności rybek można się było jedynie domyślać.

Obok zbiornika wisiał na ścianie automat telefoniczny. Dopiero brandy, postanowiłam odsłuchać pocztę głosową mojego domowego numeru. Odpuściłam sobie dwie wiadomości od Grace (zostawiała mi codziennie jedną, żeby mnie pocieszyć) i słuchałam dalej, w irracjonalnej nadziei, że usłyszę głos Anthony'ego Hallidaya. Nie usłyszałam. Znalazłam za to wiadomość od Oscara, pozostawioną zaledwie kilka minut wcześniej. „Zadzwoń zaraz”, rozkazywał mi. „Mam nadzwyczajne nowiny”.

— „Nadzwyczajne” — powiedziałam, kiedy zaledwie po pięciu sekundach (liczyłam!) od wybrania numeru odezwał się w słuchawce jego głos. — Ostatnio nie słyszę tego słowa zbyt często.

— Pani Fortuna nas odwiedziła i jesteście jej dłużnikami — poinformował mnie Oscar.

A potem powiedział mi, że niespełna godzinę wcześniej zadzwoniła do agencji dziennikarka z „New York Posta” (tym razem prawdziwa, choć w pierwszej chwili był prawie pewien, że to mój kolejny bluff). Jak każda amerykańska

gazeta, „Post” także szykował większy artykuł o modelkach, ale nietypowy: chodziło o dziewczyny, których wygląd zmienił się radykalnie w niedawnej przeszłości.

— Pewnie chodzi im o nowe fryzury — rzuciłam ironicznie, ale nie doczekałam się odpowiedzi. — Ale ty już o tym pomyślałeś, prawda? — dodałam niewinnie.

— Dziękuję — odparł Oscar. — Z całą pewnością nie chodzi im o nowe fryzury, tylko o radykalną transformację, taką, jaką przeszła ta... jak jej było... w latach osiemdziesiątych; ta z bliźniami. Niesamowita sprawa; gdyby cię nie znaleźli, musieliby cię wymyślić.

Rzeczywiście, sprawa była niesamowita. I to właśnie było miarą mojej desperacji — i troski Oscara o moją przyszłość — że wówczas ani przez moment nie kwestionowaliśmy prawdziwości tej „niesamowitej” propozycji i nie zastanawialiśmy się nad tym, jak bardzo była nieprawdopodobna.

— Ale czy jeśli powiemy ludziom, że miałam wypadek i wyglądam zupełnie inaczej, to czy nie będzie mi trudniej znaleźć pracę?

— Nie, skarbie — odparł Oscar nieomalże z litością. — Kiedy ten artykuł znajdzie się w obiegu, staniesz się Prawdziwą Osobą, kobietą z wiadomości. I z tej pozycji będę mógł wcisnąć cię do telewizji, może do innego, dłuższego artykułu, a może i na okładkę. To będzie początek twojej nowej kariery. Bóg mi świadkiem, mam gęsią skórkę.

Ja też ją miałam.

— A teraz posłuchaj — ciągnął. — Zadzwoń do tej dziewczyny i spotkaj się z nią najszybciej jak się da, najlepiej jeszcze dziś. Nazywa się Irene Maitlock. Ostrzegam cię tylko, że może ci się wydać trochę rozmemłana... ale ludzie pióra już tacy są. Bądź dla niej miła, Charlotte. Miła, miła, miła.

— Irene — powtórzyłam. — Ale imię...

— To imię anioła, który zstąpił z niebios, żeby ocalić twój tyłek — odparł Oscar.

Irene Maitlock była jedną z tych kobiet, na które nie mogłam patrzeć, nie myśląc o tym, ile zyskałyby, gubiąc parę kilogramów, nosząc mniej spiczasty stanik, dyskretniejszy makijaż albo ubrania wykazujące choć ślad oryginalności.

Jej potencjał był przecież nie najgorszy! Miała geste, jasnobrązowe włosy, które, domagały się pasemek, przyzwoitą figurę i piękne, niebieskie oczy. Miała też obrączkę, toteż uznałam, że pomoc w postaci moich dobrych rad nie jest jej aż tak potrzebna. Lecz fizyczne braki dziennikarki nie martwiły mnie tak bardzo, jak nihilistyczna strona mojej osobowości, która nakazywała mi dostawać istnej szajby w obecności osób, które aż się prosiły o miano „myszek”. Całe szczęście, że zdążyłam zajrzeć do sklepu z alkoholem Ardville'a.

Irene Maitlock nie przyjęła jednak poczęstunku Pouilly Fuissé i skromnie przysiadła na mojej ulubionej kanapie. Kobiety-myszki odczuwały instynktowne przerażenie w mojej obecności, przez co, niestety, ich myszowatość tylko się potęgowała.

— Jesteś dziennikarką, prawda? — powiedziałam, kiedy przedstawiłyśmy się sobie. — O czym zwykle piszesz?

— O rozmaitych sprawach. O narkotykach, policji, mafii. Fascynuje mnie zjawisko przestępczości. I egzekwowania prawa.

— Gdzie tu miejsce dla mnie? Uśmiechnęła się nerwowo.

— Ten artykuł będzie dla mnie skokiem w bok... Szczerze mówiąc, temat został mi narzucony. Co nie oznacza, że nie jestem zainteresowana...

— To oczywiste, że nie jesteś. Wyglądała na zaskoczoną.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To oczywiste, że nie interesujesz się modą. Roześmiała się, a ja dałam jej w myślach dziesięć punktów za sportową postawę.



— Nie — przyznała. — Zdecydowanie nie interesuję się modą. Tylko że ta historia nie ma nic wspólnego z modą. Chcę napisać o tożsamości.

— Tak?

— Ciekawią mnie relacje między tym, co na zewnątrz, a wewnątrz — ciągnęła. — A także to, jak postrzeganie kobiet przez świat zewnętrzny wpływa na naszą percepcję siebie samych. Modelka, której wygląd uległ drastycznej zmianie, jest moim zdaniem idealnym przykładem do analizy relacji łączących image, percepcję i tożsamość. Jest ona bowiem typowo fizycznym obiektem — obiektem medialnym, jeśli wolisz... — Irene wstała i z wypiekami na twarzy zaczęła spacerować po salonie, nie przerywając kanonady słów. — ... I jako taki stanowi wyolbrzymioną reprezentację pozycji zwykłej kobiety w naszej wizualnie zorientowanej, napędzanej mediami kulturze. Dlatego też bliższe spojrzenie na osobowość modelki w chwili głębokiej przemiany jej wizerunku może pomóc w badaniu szerszego kontekstu...

— Bip! — powiedziałam głośno, przerywając jej wywód.

— Słucham?

— Odezwał się mój miernik znudzenia — odparłam, choć w rzeczywistości to raczej moja konsternacja, a nie znudzenie, kazała mi zatrzymać ten słowotok. — Zbliżasz się do strefy zagrożenia.

— Och — jęknęła. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną. — Przepraszam.

Teraz i mnie było przykro. Czy naprawdę ucierpiałabym tak bardzo, gdybym pozwoliła jej dokończyć? Czy musiałam czuć się obrażona tym, że mój gość nie zamierzał stać się prawie naturalną blondynką?

— W takim razie... — zaczęła i utknęła, wyraźnie zakłopotana. Dobra robota, pogratulowałam sobie w duchu.

— Oto moja twarz — powiedziałam szybko, układając dłonie na kształt ramki. — Mogę zmyć makijaż, jeśli chcesz zobaczyć, jak wygląda naprawdę.

— Świetnie. Możemy też...

— Ty tu rządzisz — zapewniłam ją. — Powiedz tylko, co mam robić.

— Może zaczniemy od tego, że zadam ci parę pytań.

— Aha — mruknęłam, czując nagły i niewyjaśniony strach. — Długo to potrwa?

— Spieszysz się dokądś?

— Nie. Po prostu nie cierpię mówić o sobie.

— Ja też — odpowiedziała z uśmiechem. — Na szczęście nie muszę.

— Pomilczmy przez chwilę — zaproponowałam. — Chciałabym na ciebie popatrzeć.

— Na mnie? — Irena posłała mi nieufne spojrzenie. Zaciągnęłam się głęboko dymem z papierosa i wbiłam w nią skupiony wzrok. — I co widzisz? — spytała po chwili.

— Przestań gadać, to zaraz się dowiesz.

Przestała, a ja znowu spojrzałam na nią z uwagą. Niemal natychmiast dostrzegłam roześmianą osobowość. Zobaczyłam ją przytuloną do kogoś, otaczającą go ramionami i całującą w szyję.

— Kochasz swojego męża — stwierdziłam.

Spojrzała na mnie najpierw ze zdumieniem, a potem z ulgą. Na krótką chwilę roześmiana osobowość przesłoniła tę niepewną mysz, która dotąd siedziała na mojej kanapie i Irene — w co ledwie mogłam uwierzyć — wyglądała po prostu pięknie.

— Tak — odparła. — I to bardzo.

— W porządku — odezwałam się nieco spokojniej, bo poznałam i polubiłam cień jej osobowości. — Strzelaj.

Przygotowując się na serię pytań, ułożyłam się na plecach na kanapie, wetknąwszy w usta papierosa pod właściwym kątem. Zamknęłam oczy.

— Powiedz, jak to się stało, że zostałam modelką.

— Mój Boże — odrzekłam natychmiast. Sprawa wydawała mi się tak skomplikowana i tak odległa w czasie... —

Czy możemy wrócić do tego później?

— W takim razie... Jak wielką rolę odegrał wygląd zewnętrzny w tworzeniu twojej tożsamości? — odczytała z notesu kolejne pytanie.

— Niby jak miałabym odpowiedzieć na coś takiego? — spytałam, otwierając jedno oko. — Potrafiłabyś, na moim miejscu?

— Byłaś kiedyś zamężna?

Dziesięć punktów za niepołknięcie przynęty.

— Prawie. Raz.

— Dawno?

— Wiele lat temu.

Czekała, licząc na to, że powiem coś jeszcze.

— Sądziś, że twój wygląd zewnętrzny odgrywa zasadniczą rolę w kontaktach z mężczyznami? — spytała po chwili.

— Ależ skąd. Zdecydowanie największe znaczenie ma dla nich mój intelekt.

Zero reakcji.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Ja też — zauważyła, zaskoczona. — Jesteśmy rówieśnikami! Mniej więcej, pomyślałam.

— Czy rozpoczęcie kariery modelki zmieniło twoje uczucia względem własnego wyglądu?

— Chyba tak — odparłam. — Na pewno. — Wysilałam umysł, próbując coś sobie przypomnieć, ale moja pamięć uśmiechała się krzywo i miała gdzieś moje starania. Leniwa bestia była z tej mojej pamięci, a od czasu długiej rekonwalescencji w Rockford jej flegmatyczność sięgnęła zenitu. — Wróćmy do tego później.

Usłyszałam westchnienie Irene i zerknąwszy ukradkiem, zobaczyłam, że nerwowo rozciera skronie.

— Czy uczestniczyłaś aktywnie w nocnym życiu nowojorskiego świata mody?

Wyjątkowo trudne pytanie.

— Tak...

— Bywasz w klubach nocnych i tak dalej...?

— Tak...?

— Jaką rolę pełnisz? Mam na myśli to nocne życie.

— Tylko jedną — odpowiedziałam. — Jestem dziewczyną.

— Dwudziestoosmioletnią dziewczyną? Daj spokój, pomyślałam.

— To tylko takie wyrażenie.

— Czujesz się jak dziewczyna?

— Czuję się jak stara rura.

— Jakich ludzi spotykasz w nocnych klubach?

— Rozmaitych — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Dosłownie każdego rodzaju, jaki tylko możesz sobie wyobrazić. Tylko co to ma wspólnego ze mną? — spytałam, znowu spoglądając na Irene.

— Porozmawiajmy o tym niedoszłym małżeństwie. Co zaczęło się wcześniej: wasz związek czy twoja praca modelki?

— Wolałabym o tym nie mówić.

— Dlaczego nie lubisz mówić o sobie?

Nareszcie padło pytanie, na które mogłam odpowiedzieć. Nie mogłam się doczekać, kiedy poruszymy ten temat.

— Powiem ci dlaczego — odparłam, siadając i spuszcżając nogi na podłogę, by patrzeć dziennikarce prosto w oczy. — Dlatego, że wszyscy jesteście kłamcami. Włącznie ze mną.

— Słucham?

— Kłamiemy — potwierdziłam. — Taka jest prawda. Opowiadasz mi jakieś pierdoły i chcesz, żebym ja zrewanżowała się podobnymi pierdołami po to, żebyś mogła puścić w swojej gazetce jeszcze większy stek pierdoł i dostać za to pieniądze — wyjaśniłam dość obojętnym tonem.

— Taka z ciebie purystka?

— Ależ nie! — wykrzyknęłam. — I w tym właśnie jest cała ironia: ja jestem największą kłamczuchą ze wszystkich, ale przynajmniej nie udaję, że jest inaczej.

— Czy to znaczy, że ostrzegasz ludzi, że będziesz kłamać, a potem kłamiesz?

Roześmiałam się. Naprawdę zaczynałam ją lubić.

— Unikam pseudoszczeroci. W jaki sposób zostałam modelką? Co myślisz o swoim wyglądzie? Bla, bla, bla, oto moja ponura historia... Nie znoszę tego.

— Innymi słowy, boisz się poważnej rozmowy.

— Boję się? — powtórzyłam, kręcąc głową,

— To, co mówisz, brzmi jak opis dość typowego mechanizmu obronnego.

— Irene — powiedziałam cicho i pochyliłam się mocno w jej stronę — czy możesz spojrzeć mi w oczy i przysiąc, że wszystko, co powiedziałaś, jest od początku do końca prawdą i nie próbowałaś mi wcisnąć żadnych pierdoł? Że nie przyświecały ci żadne ukryte intencje i że wszystko wygląda tak, jak mi to przedstawiałaś? Przysięgniesz... powiedzmy... na życie twojego męża?

Irene zbladła i spuściła wzrok. Nareszcie zrozumiała. Usatysfakcjonowana, znowu ułożyłam się wygodnie. Byłam gotowa na następne pytanie, ale dziennikarka wstała.

— Lepiej już pójdę — powiedziała, wsuwając notes do torebki.

Nie poruszyłam się.

— Dlaczego?

— Dlatego że masz rację. To nie ma sensu.

— Czy to znaczy, że rezygnujesz z dziennikarstwa? — spytałam, siadając leniwie.

— Nie. Rezygnuję z tego wywiadu,

— Jezu. Pisałaś o gliniarzach, rabusiach i ludziach mafii, a ode mnie uciekasz? — Zaczęłam się pocić,

— Nie uciekam.

Rzeczywiście nie uciekała, ale zdecydowanie zbierała się do wyjścia.

— Dziękuję, że poświęciłaś mi tyle czasu! — zawołała, stojąc u drzwi.

Podeszłam do niej, bardzo uważając, by nie wyglądać na zakłopotaną. Moich drzwi broniły liczne i skomplikowane zamki; Irene nie miała szans na samodzielne ich otwarcie. Zmagałam się z przykrym wrażeniem, że spieprzyłam poważną sprawę i że Oscar nie wybaczy mi do końca życia. Ale właściwie co ja takiego zrobiłam?

— Powodzenia w szukaniu innej modelki z osiemdziesięcioma tytanowymi śrubami w twarzy — powiedziałam, otwierając ostatni zamek i popychając drzwi.

Wyglądała na przejętą.

— Z osiemdziesięcioma. Zapisz sobie — poradziłam.

Była siódma wieczorem, ale równie dobrze mogła to być północ. Niebo i rzeka były jednakowo czarne. Do diabła z dietą — zamówiłam i zjadłam pizzę, kończąc butelkę Pouilly-Fuissé. Nieco później otworzyłam kolejną flaszkę i zaczęłam oglądać *Jak powstawał „Jak powstawał”* — film dokumentalny o tym, jak powstają filmy dokumentalne o produkcji hollywoodzkich filmów fabularnych. W tle widać było ekipę filmującą ekipę filmujących, a prowadzący, wymalowany jak lala, ponurym głosem snuł swoją opowieść.

— Programy dokumentalne o tym, jak powstają filmy fabularne, z każdym rokiem zyskują coraz większą popularność. Eksperci coraz częściej spekulują, iż pewnego dnia każdy film będzie nam przynosił siostrzaną produkcję: unikatowe świadectwo procesu twórczego. Ale jak właściwie powstają te bezcenne dokumenty? Jakie wyzwania techniczne i niebezpieczeństwa czekają ich twórców? W ciągu najbliższej godziny zabierzemy państwa za kulisy... do atelier... na plan... gdzie reżyserzy filmów dokumentalnych podglądają pracę innych reżyserów... tworzących filmy fabularne!

Wpatrywałam się w ekran i całkiem poważnie zastanawiałam się, czy nie halucynuję. Podejrzywałam, że widzę i słyszę podwójnie z powodu nadmiernej ilości skonsumowanej tego dnia brandy.

Wyciszyłam telewizor i zadzwoniłam do Grace, mając nadzieję, że wyjaśni mi znaczenie tego programu. Odebrał Frank. Zaraz też dowiedziałam się, że moja siostra jest już w łóżku.

— O dziewiątej wieczorem? — spytałam sceptycznie.

— Nadal wraca do siebie po wizycie w Nowym Jorku.

— Albo unika ciebie. Czyż można się jej dziwić?! — wrzasnęłam i czym prędzej trzasnęłam słuchawką, żeby ubiec Franka. Od lat współzawodniczyliśmy w tym, kto pierwszy przerwie połączenie.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Przed wypadkiem taki nastrój wygnałby mnie do któregoś z klubów, a potem do paru następnych. Teraz jednak nie miałam w sobie dość energii. Miasto wyglądało posepnie i mrocznie, a ja cieszyłam się, że mogę chodzić po mieszkaniu w jedwabnym kimonie i kosmatych, błękitnych papuciach, rozkoszując się ciepłem grzejników pracujących pełną parą. Centralne ogrzewanie to podstawa, myślałam, włączając światła we wszystkich pokojach. I dobre gniazdko elektryczne!

Położyłam się na łóżku, żeby posłuchać Jacquesa Brela, który śpiewał dla mnie swoje serenady z płyty kompaktowej. Telewizor wciąż grał: *Niewyjaśnione zagadki*, jeden z tych programów, które można oglądać, nie oglądając ich, bo zdają się opowiadać bez końca jedną i tę samą historię.

— Penny miała piętnaście lat, kiedy zagłębiła się w te lasy, by zniknąć na zawsze... — Na ekranie pojawił się portret blondynki na rowerku z różową kierownicą. Zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, psychicznie chora kobieta o oczach szopa prowadziła policjantów w miejsce, w którym ukryła szczątki Penny, z chrzęstem łamiąc butami suche liście i pomrukując z cicha.

Tej nocy śniłam o Hansenie. Wyczuwałam jego ramiona i jego zapach. Byliśmy razem w znajomym, pięknym miejscu — być może w jednym z miasteczek na wybrzeżu Jersey, gdzie często jeździliśmy na weekendy. Ale czy wybrzeże Jersey było naprawdę piękne? Powiedziałam sobie, że nigdy tam nie wrócę.

Przy nielicznych okazjach, kiedy wspominałam Hansena, widziałam oczami pamięci dziewczynę, której cała energia i wszystkie uczucia skierowane były ku jednej tylko ludzkiej istocie. Moje przywiązanie nie wynikało jednak wyłącznie z wyjątkowych przymiotów mojego mężczyzny, ale raczej z tego, że pokochałam go, zanim odkryłam, kim naprawdę jestem — albo też kim nie jestem. Kojarzył mi się teraz z ostatnimi chwilami mojej wiary w coś, w co już nie wierzę.

Nie mogę zaprzeczyć: Hansen był wspaniały. Bystry, świetny w łóżku, dobry jako architekt krajobrazu i fanatyczny ogrodnik; wiedział o glebie i roślinach chyba wszystko, co można wiedzieć. Jeszcze dziś, kiedy spoglądam na zakurzoną donicę w pralni chemicznej albo mijam tonącą w wiosennej zieleni bibliotekę publiczną, nazwy kwiatów i innych roślin straszą mnie, pojawiając się znienacka w mojej głowie: mięta, dalia, jaśmin... Poznaliśmy się kilka tygodni po mojej przeprowadzce do Nowego Jorku, w Metropolitan Museum. Przechadzałam się po salach malarstwa europejskiego, wpatrując się w płótna aż do bólu głowy. Czekałam, aż ujawnią mi swoje sekrety. Hansen przedstawił się półgębkiem, kiedy gapiłam się na lodowatego Poussina.

— Próbujesz podpalić go wzrokiem? — zapytał. A potem zabrał mnie na lunch do kafeterii. Miał dwadzieścia pięć lat; rok wcześniej skończył studia. Ja miałam dwadzieścia dwa, ale jako że udawałam dwudziestolatkę, powiedziałam mu, że mam dwadzieścia. Nawet po naszych zaręczynach nie powiedziałam mu prawdy.

Bez wątpienia byliśmy z Hansenem szczęśliwi. Niebezpiecznie szczęśliwi. Mieszkaliśmy na parterze kamienicy przy Bank Street, dwa kwartały od brzegu Hudson River. Nasza uliczka była brukowana, a na tyłach domu Hansen hodował róże... bla, bla, bla. Doskonałość tej sytuacji była chwilami przytłaczająca. Wieczorne spaghetti, weekendowe przejażdżki starym, błękitnym oldsmobilem Hansena, nie kończące się dyskusje o naszej miłości — o jej jakości, teksturze, niezniszczalności... A także kłótnie, łzy i zazdrość o zignorowane uczucia, skutecznie gaszona w łóżku. Poznaliśmy swoich rodziców, którzy mądrze kiwali głowami, obserwując nasze splecione pod stołem ręce. Byłam kimś innym. Kiedy myślałam później o tamtych chwilach, miałam wrażenie, że to nie mogłam być ja.

W owym czasie pobyt w Paryżu — zwykle trwający mniej więcej rok — był niezbędnym etapem w karierze każdej modelki. Nie chcąc rozstawać się z Hansenem, odwlekałam tę podróż tak długo, jak było to możliwe. Wreszcie Oscar ustalił datę i oznajmił mi po prostu, że wyjeżdżam.

W mój ostatni nowojorski weekend jak zawsze pojechaliśmy z Hansenem do Jersey, na wybrzeże. Była to deszczowa wiosna, więc przesiedzieliśmy całe dwa dni w przytulnym pokoju, płacząc, bzykając się i spoglądając smętnie na morze przez małą, okrągłą szybkę. Hansen oświadczył mi się w jadalni dziewiętnastowiecznego hoteliku, pośród okien ocienionych pasiastymi markizami. Wedle oficjalnej wersji, miałam dwadzieścia jeden lat. Tamtej nocy, kiedy Hansen spał, długo leżałam, wsłuchując się w niespokojny oddech morza. Czułam, że moje życie jest absolutnie czyste. Czy to naprawdę było takie łatwe? Poznając kogoś, zakochuję się... odwieczna historia, myślałam. Wydawało mi się, że to nadmiar szczęścia i dlatego — a może nie tylko dlatego — czułam się odrobinę zawiedziona. Zawsze sądziłam, że moje życie potoczy się bardziej wyboistym szlakiem. Tymczasem niemal wprost z dzieciństwa wstąpiłam w tę oazę szczęścia.

W Paryżu dzieliłam małe mieszkanie z modelką imieniem Ruby, która lubiła kokainę i prawie nigdy nie spała. Zatykałam uszy skarpetkami, żeby uniknąć jej nie kończących się nocnych rozmów telefonicznych, śmiechów, wrzasków i płaczów. Wybierała numery mężczyzn, którzy jeszcze nie spali, w miarę upływu nocy przesuwając strefę czasową rozmówców coraz dalej na zachód: Nowy Jork, Aspen, Los Angeles, Honolulu i wreszcie Tokio, gdzie docierała o świcie. Jednak zachowanie Ruby było tylko drobnym akcentem w ponurej historii mojej tęsknoty. Chodziłam na castingi, wykonywałam drobne zlecenia dla „Elle” i „Marie Claire”, przechadzałam się brzegiem Sekwany i niezmiennie czułam się fatalnie. Nieznajome widoki raniły moje oczy, a słowa, których nie rozumiałam, irytowały — czułam się jak na wygnaniu, w żaden sposób nie związana z miejscem, w którym przebywałam. W krótkich przeblyskach optymizmu zastanawiałam się, skąd się bierze to przygnębienie — przecież byłam w Paryżu! W Paryżu, gdzie mieszkają Francuzi! A jednak najjaśniejszym punktem mojej egzystencji były te chwile, zwykle około siódmej wieczorem, kiedy Hansen miał przerwę na lunch i dzwonił do mnie. Kiedy odkładaliśmy słuchawki, czułam się tak, jakby ktoś fizycznie odrywał mnie od niego. Dłużej tego nie zniosę, powtarzałam sobie każdego dnia. Czułam się tak, jakbym umierała, jakby powoli wypływała ze mnie krew. Klienci skarżyli się, że nie uważam, przebąkiwano coś o odesłaniu mnie do domu. Oscar



błagał, żebym wzięła się w garść. Zaproponował, że kupi Hansenowi bilet na lot do Europy, ale on pracował nad swym pierwszym projektem — małym parkiem w Queens — i nie mógł się wyrwać wcześniej niż w lipcu.

Pewnej soboty, kiedy włóczyłam się nad Sekwaną w swym zwykłym, posępnym nastroju, zobaczyłam mężczyznę stojącego przy sztalugach. Kiedy zatrzymałam się, żeby popatrzeć, jak maluje, ledwie mnie zauważył. Odkąd znalazłam się w Paryżu, otaczali mnie zamożni mężczyźni porażeni jednym z potężnych narkotyków: obecnością sporej liczby urodziwych, nastoletnich dziewcząt. Obojętność samotnego malarza sprawiła, że stojąc przy nim, czułam się bezpieczna. Nawet ja wiedziałam od razu, że nie ma talentu.

— Podoba? — spytał, odwracając się ku mnie zniechęcony.

Wzruszyłam ramionami, a on wybuchnął śmiechem. Był przystojny surową, muskularną urodą, a do tego w zasadzie nie mówił po angielsku. Wyciągnął z wielkiej torby kanapkę z szynką i poczęstował mnie połową. Jedliśmy ramię w ramię, siedząc na brzegu rzeki i majtając nogami nad wodą. Otworzył butelkę czerwonego wina i piliśmy na zmianę. Sprawiał wrażenie absolutnie obojętnego, jakby jego dzień przebiegał w zupełnie normalny sposób, a moja osoba nie miała dlań żadnego znaczenia. W końcu wyjął książkę i zaczął czytać. Patrzyłam na rzekę, czując coś w rodzaju ostrożnego zadowolenia. Był czerwiec i słońce przyjemnie ogrzewało mi twarz i ręce. Spora dawka wina, którym popijałam ledwie pół kanapki z szynką nie upiła mnie, ale wprawiła w stan rozmarzenia. Odchyliłam się do tyłu, wystawiając twarz do słońca, i zamknęłam oczy. I wtedy mnie pocałował. Wrzasnęłam i gwałtownie otworzyłam oczy, lecz jeśli nie liczyć delikatnego zapachu wina i tytoniu na moich ustach, wszystko wyglądało tak, jakby nic się nie stało. Francuz obserwował mnie przez chwilę, badając moją reakcję, a potem chwycił moją twarz w dłonie i znowu pocałował. Poczulałam, że coś we mnie pęka. Popchnął mnie lekko na beton i pochylił się nade mną, by dalej całować usta i szyję. Szeptał mi coś do ucha tak długo, aż w mojej głowie pozostała tylko jedna, zamglona myśl: że musimy pójść szybko tam, gdzie moglibyśmy się rozebrać. Myśli Francuza podążały najwyraźniej tą samą drogą: poderwał mnie z ziemi, w pośpiechu spakował farby i płótna, a potem poprowadził w alejkę, przy której stał jego miniaturowy, pomarańczowy citroen. Wsiedliśmy i pomknęliśmy krętymi ulicami Paryża. Próbowałam myśleć o Hansenie, ale zaszło we mnie coś w rodzaju podziału: jedna połowa mojej osoby wciąż tkwiła nad Sekwaną w stanie przytłaczającej tęsknoty, druga zaś wyrwała się właśnie na wolność i porwała mnie do samochodu obcego człowieka, odliczając chwile dzielące nas od fizycznego kontaktu.

Wreszcie dotarliśmy do zaniedbanej kamienicy. Francuz poprowadził mnie za rękę do bramy. Wspinaliśmy się po nie kończących się ciągach schodów, słuchając echa kroków, szczekania psów i płaczu dzieci za mijanymi drzwiami, aż w końcu weszliśmy na siódme piętro. W tym momencie byłam już tylko symbolicznie ubrana. Prawie nie zwróciłam uwagi na mieszkanie nieznanego; zapamiętałam tylko, że było małe i czyste. Zostaliśmy tam aż do wieczora. Potem Francuz — Henri — odwiózł mnie do lokalu, który zajmowałam z Ruby. Następnego dnia wróciłam nad Sekwanę, żeby go poszukać, ale spotkałam go przy sztalugach dopiero w sobotę, tydzień później. Kiedy mnie zobaczył, zaczął pakować swoje rzeczy i dzień upłynął nam podobnie jak poprzednim razem. Później nauczyłam się dojeżdżać metrem do jego mieszkania. Nie miałam pojęcia, jak wygląda jego codzienne życie, a on nic nie wiedział o moim. Nie rozmawialiśmy.

Ale jacy byliśmy szczęśliwi! Najbardziej wydumane metafory nie oddałyby bezmiaru ulgi, którą poczułam. Zakłęcie zostało złamane, ciężar spadł z moich ramion, czarna chmura zniknęła bez śladu. Powstałam z martwych i obudzłam się w Paryżu. Byłam wolna! Nie od Hansena — nigdy nie myślałam o tym w taki sposób — ale od własnej rozpacz. Chciało mi się skakać, wrzeszczeć i śpiewać. „Mam wrażenie, że humor ci wrócił”, mówił Hansen, kiedy dzwonił do mnie ze Stanów, i dopiero wtedy docierało do mnie, jak wielkim ciężarem była dla niego moja samotność. Na castingach wypadałam coraz lepiej; dostawałam coraz więcej zleceń. Oczywiście miałam świadomość, że coś jest nie tak, ale starałam się nie myśleć o tym za często. To tylko prowizorka, wmawiałam sobie, nadzwyczajne środki, które trzeba przed-

siewziąć, żeby przetrwać jakoś do ponownego spotkania z Hansenem. Czułam się tak, jakby jedna część mojej osoby pozostała w Nowym Jorku, wśród lilii i powojników, a druga, zupełnie niezależna, spotykała się z Henrim w każdą sobotę na długie godziny anonimowego seksu. Nigdy nie zdejmowałam pierścionka zaręczynowego.

Zbliżał się lipiec, a wraz z nim wizyta Hansena. Ogarnęło mnie przerażenie. Co to będzie? Kto to wie? Czy będę się czuć inaczej? Lecz kiedy wreszcie Hansen przybył, moja miłość do niego była jeszcze mocniejsza niż dawniej. Nie pojawiłam się w sobotę u Henriego, a on musiał wiedzieć, że szukanie mnie nie jest najlepszym pomysłem. Nigdy więcej go nie spotkałam. Za to z Hansenem spędzałam w Luwrze całe dni, razem też podziwialiśmy zachód słońca z wieży Eiffla. Ustaliliśmy, że pobierzemy się dokładnie za rok, w Paryżu. Kiedy się kochaliśmy, od czasu do czasu nachodziła mnie myśl, że robiłam to samo (a także wiele innych rzeczy, których nie próbowałam z Hansenem) z nieznanym człowiekiem, i to tak niedawno... Byłam wtedy zszokowana, ale nie we własnym imieniu, tylko w imieniu Hansena. On przecież nie wie, z kim się kocha, myślałam z paniką, aż wreszcie uspokajałam się myślą, że to, co robiłam z Henrim, było tylko zboczonym wybrykiem, który więcej się nie powtórzy.

To właśnie Hansen uświadomił mi istnienie cieni ludzkiej osobowości. Kiedy leżeliśmy w łóżku, patrząc sobie w oczy przez długie minuty, zastanawiałam się, co widzi. Jak to możliwe, że nie dostrzega prawdy? Gdzie ona jest ukryta? Od tamtej pory, spoglądając na gumowe maski ludzkich twarzy, zaczęłam zadawać sobie pytanie: co może się za nimi kryć, jakie możliwości? I zwykle dostrzegałam jakąś, jeśli tylko przypatrywałam się wystarczająco długo. W pewnym momencie nie interesowało mnie już nic poza ukrytymi cieniami osobowości.

Hansen został ze mną na trzy tygodnie, a kiedy wyjechał, doświadczyłam zmodyfikowanej wersji mojej pierwotnej rozpacz. Tęskniłam bardzo, ale z każdym dniem ból mijał i wkrótce zaczęłam dostrzegać nowe możliwości — tak, jakbym przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Tydzień po wyjeździe narzeczonego umówiłam się na kolację z młodym, ciemnowłosym i jasnoskórym playboyem, podobnym do chłopców z obrazów Caravaggia, które oglądaliśmy z Hansenem tak niedawno. Podobnie jak w historii z Henrim, pożądanie, które czułam, spadło na moją głowę jak ciemny koc. Pojechałam do domu tego mężczyzny — do mieszkania w centrum Paryża, z wysokimi oknami i okiennicami — gdzie spędziliśmy noc, nie uprawiając seksu. Dopiero raniem ustąpiłam i tak zaczął się nasz romans. Miały mną dwa z gruntu sprzeczne uczucia: z jednej strony, moje poczynania kontrolował rozbuchany erotyzm nowej sytuacji, z drugiej zaś umacniało się we mnie przywiązanie do Hansena, wywołujące oburzenie wobec pierwszego z uczuć. Chwilami miałam wrażenie, że istnieje jakieś nadrzędne „ja”, w którym mieszczą się i usprawiedliwiają obie sprzeczne formy zachowania, ale częściej czułam się jak scena, na której rozgrywają się dwie wizje nie do pogodzenia. W jednej z nich byłam doskonale lojalna i wierna, a w drugiej zdradliwa i chciwa. Romans z Henrim otworzył coś we mnie i poczułam w sobie zachłanność, jakbym nieustannie się bała, że będę głodna. Hansen absolutnie nie byłby zdolny do zaspokojenia tego głodu.

Mijały tygodnie, a w mojej duszy rozwijała się niezdrowa fascynacja ogromem spraw, o których Hansen miał się nigdy nie dowiedzieć. Przypominałam sobie bezustannie, że szczęście, które słyszałam w jego głosie podczas każdej rozmowy telefonicznej, wynikało z tego, iż niezmiennie pokładał we mnie wiarę i zaufanie — zaufanie, którego nadużyłam tyle razy i w taki sposób, że ryczałby z rozpacz, gdyby zobaczył choćby niektóre z moich występów. Ta myśl była dla mnie udręką. Czułam się jak truciciel, ukradkiem wsypujący arsenik do posiłku Hansena i obserwujący rozwój sytuacji. Chciałam, żeby się domyślił, ale z drugiej strony robiłam wszystko, żeby nie odkrył mojej zdrady — nie było to trudne. Mój głos brzmiał przecież tak samo! Nie miał powodu żywić wątpliwości! Wierzył, że go kocham, i miał rację! Byłam stworzona do takich machinacji! Każdego wieczoru, gdy opowiadałam Hansenowi o tym, jak mi poszło w pracy, który kościół odwiedziłam i co jadłam na lunch, wyobrażałam sobie, że wydobędę go ze słodkiej niewiedzy i skończę z podwójnym życiem, wyznając całą prawdę. Chwilami fantazjowałam na ten temat z takim zapałem, że przestawałam

nadażać za tokiem naszej rozmowy. Tak bardzo chciałam mu powiedzieć, zamknąć wreszcie tę przepaść, która rozrastała się stale między nami... A jednak nie mogłam. Jednocześnie wiedziałam, że tak dalej być nie może, że w końcu będę musiała dokonać wyboru między Hansenem a resztą świata. Nawet dla mnie myśl o zwodzeniu porządnego człowieka przez całe życie wydawała się nieznośna. Więc odeszłam.

Poleciałam do Nowego Jorku, żeby mu o tym powiedzieć. Chwilę po tym, jak dowiedział się o wszystkim (a zbliżały się jego urodziny i udekorował mieszkanie mnóstwem kwiatów, sądząc, że z tej okazji składam mu wizytę), kiedy odwrócił się zmieszany, by spojrzeć na ogród pełen astrów, mieczyków, zawilców i floksów, zalanych wieczornym słońcem, i kiedy już dopił brandy jednym haustem, w pierwszym odruchu, o dziwo, przytulił się do mnie, osoby, którą kochał i której ufał. Przez ułamek sekundy byliśmy blisko siebie i jak nigdy przedtem poczułam słodycz tego, co nas łączyło. Nie! — pomyślałam w rozpacz. Możemy tak żyć, nie musimy z tym kończyć! Ale moje słowa powoli rozlewały się po umyśle Hansena i wraz z krwią dotarły wreszcie do serca. Czułam to wszystko, czułam, jak ogarnia go coś potężnego i z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie zatrzymałam go wcześniej, jak mi się wydawało. Zatrulałam go dopiero teraz, jednorazowo, a moją karą było to, że muszę patrzeć na skutki własnego działania. Nie obroniłam go przed niczym. Spojrzył na mnie z odrazą i gniewem, a potem pchnął na ścianę i uderzył w twarz. Patrzyłam, jak niewinność opuszcza go niczym dusza umykająca z martwego ciała.

Ale co zabiło tę niewinność — moja zdrada czy to, że o niej opowiedziałam? Co było trucizną? Ot, filozofia.

Od czasu związku z Hansenem starałam się nie szafować obietnicami. Jeżeli zależało mi na kimś, starałam się mówić to, co myślałam. Dałam sobie jednak spokój z wyłuszczeniem całej prawdy. Zazwyczaj nawet nie płakałam. Ta filozofia, że tak to nazwę, dziwnie pasowała do tego, co się stało moim życiem: każdy tydzień spędzałam w innym mieście, wiecznie zmieniałam znajomych i otoczenie, i sama przeobrażałam się wraz z nimi. Unikałam tylko tych miejsc, w których bywałam z Hansenem — na przykład muzeów. A może po prostu przestały mnie interesować?

Od tamtej pory — a od rozstania z Hansenem minęły lata wypełnione nader nielicznymi obietnicami, które zdarzyło mi się złożyć innym mężczyznom — wiele razy zastanawiałam się, czy nie byłoby lepiej dla nas obojga, gdybym w krytycznym momencie zamknęła usta na kłódkę i wiodła dalej podwójne życie, jak wszyscy inni ludzie.

## Rozdział piąty

Ogólniak East był dokładnie tak wielki, jak Charlotte sobie tego życzyła. Na długich korytarzach, których końca nie dostrzegała nawet w okularach, stały pod ścianami setki czerwonych szafek. Wszyscy byli tu obcy, a fakt ten nasycił atmosferę świeżym powiewem nadziei. Charlotte nawet nie próbowała przysiąść się do towarzystwa w stołówce, ale mogła przechodzić obok i uśmiechać się, na co bywalcy odpowiadali tym samym.

Co drugi tydzień spotykała się z wujkiem Moose'em na godzinę lub dwie w jego pokoju w Winnebago College przy East State Street, o dziesięć minut drogi rowerem od szkoły. Po burzliwej i efektownej inauguracji wspólnej nauki rozczarowanie było nieuniknione. Moose czuł się nieswojo, był roztargniony i rzadko patrzył w oczy Charlotte. Czuła się w jego obecności jak na wygnaniu; miała ochotę uciec z tej klitki zalatującej sosem pomidorowym i mieszanym aromatem opakowań po chińszczyźnie, zgniecionych i upchniętych w koszu na śmieci. Odnosiła wrażenie, że świat, jaki знаła i w jaki wierzyła, przestał istnieć. Historia znaczyła dla niej niewiele — była zbiorem faktów dotyczących martwych ludzi. Moose, który doskonale wyczuwał u ludzi brak zainteresowania tak drogimi mu sprawami i świetnie rozumiał, że jeśli nic się nie zmieni, wkrótce okoliczne ziemie przestaną mieć jakąkolwiek historię, odbierał także obojętność swej siostrzenicy i zastanawiał się: „Co ona tu robi?” Niekiedy spotykali się w apartamencie Moose'a i Priscilli, na drugim piętrze budynku należącego do kompleksu zwanego Wersalem; o pół mili na wschód od Winnebago College. Siadywali na

mikroskopijnym balkonie, na którym mieściły się tylko dwa krzesła i mały stolik o szklanym blacie. Poniżej, na trawniku, jakiś chłopak jeździł traktorkiem-kosiarką. Za pierwszym razem to właśnie jego Charlotte winiła za wszystkie te liczne chwile, kiedy zaczynała mówić równocześnie z Moose'em i urywali oboje, by znowu odezwać się w pełnej synchronizacji i raz jeszcze umilknąć. Jednakże przy następnym spotkaniu kosiarza już nie było, a kłopotliwa cisza pozostała. Moose nie spieszył się z konwersacją, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Koniec, pomyślała Charlotte, wsiadając na rower z niewysłowioną ulgą, by znowu spotkać się z wiatrem, samochodami i drzewami z wolna obracającymi się w złoto. Nie wróć tu; to zbyt dziwaczne.

W domu czekała ją jednak presja ciekawości matki. Ellen nigdy nie była w mieszkaniu Moose'a i Priscilli. Czy mają na ścianach wiele obrazów? Czy telefon często dzwoni? Czy lodówka jest pełna? Charlotte dostrzegała ten głód wiadomości i czuła się uprzywilejowana z racji tego, że wolno jej było wkroczyć w prywatne życie wuja. Niebieskie, okrągłe mydełko w łazience. Ręczniki pachnące lekko kwiatami. Raz ciocia Priscilla zostawiła w kuchni ciasto z bananami — wujek zakradł się tam boso, by ukroić kawałek dla siebie i dla Charlotte. Poza tym nie mówiła matce prawie o niczym.

W albumie ukrytym w biurku Ellen znalazła stare zdjęcia Moose'a, z których spoglądał na nią kpiąco. Zwłaszcza jedno przypadło jej do gustu: to, na którym stał po uda w wodzie, ubrany w jaskrawozielone kąpielówki, a jego tułów rozszerzał się ku ramionom jak kołnierz kobry szykującej się do ataku. Fascynowała ją ta fotografia. W końcu wyrwała ją z albumu i zabrała do swojego pokoju, by ukryć pod warstwami własnych szpargałów.

Pod koniec września zaczęła pisać krótkie eseje na podstawie materiałów, które Moose podsuwał jej do przeczytania. Dzięki nim oboje zaczęli przełamywać nieśmiałość. Wuj komentował jej prace i nanosił poprawki. Często z zapalem wymachiwał kartkami w powietrzu i pewnego razu mocniejszy podmuch wiatru wyrwał mu jedną z rąk. Natychmiast zerwał się z krzesła, wybiegł z mieszkania i zaczął ją gonić, a Charlotte skorzystała z okazji i pchnęła drzwi sypialni, w której nigdy wcześniej nie była. Zobaczyła łóżko z jedwabistą, zieloną narzutą i parę ogromnych, futrzanych kapci stojącą obok. Na nocnym stoliku las buteleczek z lekarstwami. W garderobie wisiało pięć znoszonych, tweedowych marynarek i stały trzy pary czarnych butów. Na półce leżało pięć miękkich roboczych koszul w kratę.

W październiku umieli już prowadzić względnie normalną konwersację.

— Jak się miewa rodzinka? — spytał ironicznie Moose, jakby zadawał pytanie, próbując jednocześnie udawać, że je zadaje. Charlotte odpowiedziała, że napięcie w domu rośnie okresowo, w cyklach miesięcznych, przed testami Ricky'ego. — Rodzice pewnie umierają ze strachu — zauważył Moose.

— O niczym innym nie myślą.

— A ty?

— To dziwne — odparła — ale ja myślę, że on będzie zdrowy. Moose odchrząknął z cicha.

— Chodziło mi o to, jak ty się miewasz — wyjaśnił dość sztywno.

Charlotte spozjrzała na niego, ale on wypatrywał już czegoś ponad balkonową barierką, gdzie kosiarz grabił liście i wrzucał je do pomarańczowych, plastikowych worków udających lampiony z dyni. Nigdy przedtem Moose nie zadał wprost pytania, które dotyczyłoby jej osobistych spraw. Czekala, ciesząc się tym przejawem zainteresowania i zbierając myśli, by odpowiedzieć z absolutną precyzją.

— Czekam, aż coś się stanie — odparła po chwili.

DWAJ MĘŻCZYŹNI PODEJMUJĄ RYZYKO

W latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, kiedy ta część świata była jeszcze względnie dziewiczym terenem, w Rockford pojawił się pierwszy spekulant: Germanicus Kent. W tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku założył wraz z partnerem miasto na zachodnim brzegu Rock River, w pobliżu Kent

Creek, czyli w okolicy dzisiejszego centrum. Wspólnie zbudowali tartak, który był jednym z trzech elementów potrzebnych do stworzenia miasta (pozostałe dwa to saloon i kuźnia). W tym samym roku na wschodnim brzegu rzeki osiedlił się inny spekulant, Daniel Haight.

I tak historia Rockford rozpoczęła się od założenia Kentville i Haightville, dwóch niemal niewidocznych miast, spoglądających na siebie wrogo z przeciwległych brzegów rzeki i konkurujących ze sobą, zanim jeszcze na dobre powstały...

Pedałując z Wersalu do domu, Charlotte kluczyła między cadillakami na State Street i podnosiła się z siodełka na każdym zjeździe z pagórka, pozwalając, by jesienny wiatr szarpał jej ciało i kłuł uszy. Wyobrażała sobie, że mija wlot tunelu i pochylona mknie w głąb ziemi. Czuła, że coś się w niej rodzi — powolne i słodkie przeczucie zdarzeń.

Kiedy dokonali zjednoczenia swych miast w jedno Rockford, Germanicus Kent i Daniel Haight stali się aktorami grającymi dwadzieścia pięć ról: Haight był między innymi pierwszym szeryfem, pierwszym poczmistrzem i pierwszym komisarzem decydującym o przebiegu State Road (dzisiejszej State Street). Kent został pierwszym sędzią wyborczym, pierwszym przedstawicielem w Zgromadzeniu Generalnym stanu Illinois i pierwszym przewoźnikiem przez rzekę...

W dniu testów Ricky'ego Charlotte spotkała w garderobie matki dziwną kobietę. Słuchała Alanis na swoim walkmanie i czytała pracę dyplomową o pierwszym moście w Rockford, tak starą, że napisaną jeszcze na maszynie. Ze słuchawkami na uszach weszła do łazienki Ellen, żeby poszukać płynu do pielęgnacji ciała, który matka przywiozła wiosną z Florydy — perłowobiałego, pachnącego plażą i kokosami. I wtedy zobaczyła kobietę: obcą, w szaliku i okularach przeciwsłonecznych. „Jestem starą przyjaciółką twojej matki”, powiedziała nieznajoma.

Charlotte ze zgrozą spoglądała wstecz, na podejrzane szczegóły spotkania z ową „starą przyjaciółką”, których wówczas nie zauważyła. Kobieta nie wiedziała nic o chorobie Ricky'ego; nie zatelefonowała wcześniej i nie użyła dzwonka u drzwi; sama obeszła cały dom, a potem uciekła (kulejąc!), nie pozostawiając wiadomości dla matki, której „przyjaciółką” rzekomo była. Musiała być złodziejką, bo kimże innym? A Charlotte gawędziła z nią jak gdyby nigdy nic. Pokazywała złodziejce swoje rybki!

Nurtowało ją pytanie, co właściwie było nie tak z tą kobietą. Nie była stara. Była bardzo wysoka i dziwnie szczupła pod tym ciężkim płaszczem. Miała chrapliwy głos. Wypadek samochodowy, powiedziała. W sierpniu. A potem zdjęła ciemne okulary, pokazując Charlotte poranione, cynobrowe oczy.

Wieczorem, kiedy Ellen szykowała się do przyjęcia weselnego w country clubie (ze strachem myśląc o tej „przyjemności”), Charlotte wśliznęła się do jej garderoby. Było to dość niezwykle zachowanie z jej strony, ale Ellen nie dała poznać po sobie, jak bardzo jest zaskoczona. Jakikolwiek przejawy gorliwości natychmiast płoszyły jej córkę.

— Tutaj trzymasz biżuterię, prawda? — spytała Charlotte.

— W tej szufladzie — odparła Ellen, wskazując palcem. — Chciałabyś coś pożyczyć?

— Masz tam coś naprawdę cennego?

Matka odwróciła się, próbując odczytać cokolwiek z nieprzeniknionej twarzy nastolatki.

— Naprawdę cenne przedmioty trzymamy w skrytce bankowej — odpowiedziała. — Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział, Charlotte przeszła do łazienki i stanęła przy umywalce, by przyjrzeć się miniaturowemu pejzażowi buteleczek z płynami, pudełek z kremami, pojemników ze sprayami oraz zestawowi przyborów do makijażu. Wreszcie wypatrzyła perłowy płyn z Florydy. Otworzyła butelkę, wylała odrobinę na dłoń i wtarła w przedramię. Zamknawszy oczy, uniosła rękę, by poczuć zapach.

— Możesz go zatrzymać, skarbie. I tak prawie go nie używam.



Charlotte uchyliła powieki, zobaczyła w lustrze odbicie matki obok własnego i natychmiast odeszła. Takie obrazy, na których występowały razem — czy to w lustrze, czy w oknie, czy na fotografii — rzucały ją na kolana brutalną beznadziejnością. Patrząc na nie, czuła, że równie dobrze mogłaby nie żyć. Ellen była piękna, a Charlotte nie. Oczywiście zawsze o tym wiedziała, a jednak gdzieś w głębi jej serca palił się buntowniczy płomyk optymizmu; wiary, że dana jej będzie jakaś rekompensata za brak urody. Obraz matki we wspólnym kadrze unicestwiał tę nadzieję, każąc Charlotte zastanawiać się nad tym, czy ktoś tak niepiękny jak ona będzie mógł jakoś żyć, czy cokolwiek osiągnie. Czy bardziej piękni nie wyprzedzą jej w wyścigu; cokolwiek miałyby być nagrodą?

Urażona Ellen zaczęła z werwą szczotkować włosy. Była przyzwyczajona do wrogości Charlotte, ale teraz, po długim popołudniu w szpitalu, z Rickym, jej oczy wypełniły się łzami.

— Nie boisz się, że ktoś mógłby ukraść tę biżuterię? Chryste, dlaczego ona tak się uczepiła tej biżuterii? Ellen zawinęła i spięła włosy, a potem odczekała, aż łzawienie ustąpi, nim odpowiedziała.

— Nie. Mamy przecież alarm antywłamaniowy.

Mimo wszystko, kiedy uporała się z fryzurą, uchyliła szufladę i zerknęła na tacę z aksamitnymi pojemniczkami.

Charlotte patrzyła z dystansu na matkę dokonującą przeglądu ulubionych drobiazgów: bransoletki od Elsy Peretti, nefrytowego naszyjnika, który ojciec przywiózł z Singapuru, i maleńkich, brylantowych spinek. Była wśród nich także szpilka z ametystem, zeszlóroczny prezent od Moose'a. Brała ją ze sobą na szczęście za każdym razem, gdy Ricky przechodził comiesięczne badania.

— To, co najważniejsze, trzymam tutaj — dodała. — Dlaczego pytasz?

Charlotte obojętnie wzruszyła ramionami i wyszła, jakby to Ellen drażyła mało interesujący temat.

Harris stał w swojej garderobie, przygotowując owalne, złote spinki z inicjałami, które zakładał wyłącznie na najważniejsze imprezy. Charlotte przyglądała się jego wysiłkom, siedząc na łóżku rodziców. Czuła dreszcze za każdym razem, gdy irytowało ją zachowanie ojca. Jego koszula była nienagannie wyprasowana, włącznie z fragmentami delikatnej, przezroczystej siateczki wszytej w rękawy. Czy on kiedykolwiek miał na sobie miękką, flanelową bluzę? Czy jadł ciasto z bananami?

— Żadnych planów! — zawołał, jakby na co dzień je miała. — Żadnych przyjaciół wieczorem, nic?

— Będę z Rickym, kiedy skończy jeździć na deskorolce. Harris wyglądał na zawiedzionego, jakby usłyszał beznadziejną i niepotrzebną wymówkę.

— Poza tym wujek Moose zadał mi mnóstwo czytania — dodała Charlotte, wyłącznie po to, żeby wyprowadzić ojca z równowagi.

Harris zmarszczył brwi i w milczeniu włożył spinki.

Jadąc do klubu o lazurowym zmierzchu, Harris rozmyślał o swojej córce siedzącej samotnie przed telewizorem i czuł lekki niepokój.

— Zdaje się, że Charlotte nie znalazła w East wielu przyjaciół — powiedział.

— Nie — przytaknęła Ellen. — Nie znalazła.

— Obawiam się, że jest w tym wszystkim trochę zagubiona — ciągnął, spoglądając na żonę. — Mam na myśli chorobę Ricky'ego.

Ellen westchnęła.

— Umiem się martwić tylko o jedno dziecko naraz.

— Jak poszło dzisiaj?

— Dobrze. Kiedy skończyliśmy, wybiegł za drzwi z deskorolką pod pachą.

Harris gwizdnał przeciągle.

— Bujne życie.

Odkąd trwał rok szkolny, Ricky zyskał nową tożsamość: był deskorolkowcem. Nieodłączną jej częścią były workowate portki (noszone tak nisko, że Harris w każdej chwili spodziewał się zobaczyć goły tyłek syna) oraz wysoko podgolona głowa, z cienkimi pasemkami włosów dyndającymi nad prawie łysą skórą.

— Włosy mu odrosły, a on je goli — narzekał.

Ellen pokręciła głową. Nienawidziła szpitala; nawet teraz zapach choroby i specyficznego jedzenia przyprawiał ją o mdłości. Od chwili, kiedy minęła z Rickym szklane drzwi, jej umysł buntował się przeciwko wszystkim napotkanym widokom: przeciwko bladym ludziom w papierowych ubrankach, przeciwko chorym sunącym wolno na wózkach lub kroczącym chwiejnie i wspartym o stojaki z kroplówkami... Nie! Nie! Nieszczęśnicy wpatrywali się w Ricky'ego żarłocznie, jakby był dozorcą potrząsającym kluczami do klatek, w których zamknęła ich niemoc. Syn Ellen nigdy nie wyglądał piękniej niż wtedy, gdy maszerował u jej boku po szpitalnym linoleum. Wyobrażała sobie, jak żalosne, złamane chorobą postacie wyciągają ręce ku jego wąskim oczom i wciąż utrzymującej się, letniej opaleniznie...

— Chodźmy, mammo! — zawołał Ricky, wrywając się z jej ręki i biegnąc korytarzem w swych zbyt wielkich, deskorolkowych butach. Dzięki sesjom terapeutycznym u doktora Alwyna Ellen wiedziała, że jej uczucia względem szpitali były pochodną wspomnień o matce, przykutej do łóżka przez długie lata, toczony nieznana chorobą i często używającej małego dzwoneczka — zwodniczo małego, jego dźwięk bowiem zdawał się kruszyć szkło we wszystkich zakątkach domu — by poprosić o szklanekę soku żurawinowego. Córka wchodziła schodami na górę, niosąc srebrną tacę i przekraczała próg pokoju, w którym zawsze panował półmrok. Bez względu na to, jak słoneczny i radosny był dzień — czy rozgrywano w pobliżu mecz piłkarski, czy trawa była wilgotna po letnim deszczu, czy w country clubie odbywał się konkurs skoków do wody — Ellen zawsze odczuwała w sobie ciężar tego ciemnego pomieszczenia. Tyko Moose potrafił rozwiać jego mroczną atmosferę. A mimo to nigdy nie zdobyła się na sprzedaż tego domu! Z pomocą doktora Alwyna pojęła, że i ten upór nie był aż taki dziwny — chęć powrotu do nieszczęśliwego miejsca z nadzieją naprawienia zła była zupełnie naturalna, choć niekoniecznie rozsądna. „Chcę większych okien!” — powiedziała architektowi. „Meble wyblakną”, odparł. „Pieprzyć meble!” — zawołała na to, z niemalą przyjemnością wprawiając mężczyznę w osłupienie. Pragnęła światła. I świeżego powietrza, które wypędziłoby zapach choroby matki — matki, która w wieku lat siedemdziesięciu dwóch, zdrowa i żywotna mieszkała w Palm Beach z kubańskim prawnikiem do spraw imigracyjnych. Która brała lekcje tanga i mambo. Która własnoręcznie wytapetowała sobie łazienkę. I która, jak się okazało, nigdy nie była naprawdę chora.

— O czym tak dumasz? — spytał Harris. Miał nadzieję, że Ellen zapyta o mecz golfowy, który przyniósł mu nowego klienta, Matthew Krane'a, konsultanta z sieci hoteli Radisson. Ostatnio jednak rzadko pytała o takie sprawy.

— Mam nadzieję, że Ricky wróci do domu na czas — odpowiedziała Ellen. — Żeby Charlotte się nie martwiła.

— Ona nigdy o nic się nie martwi — mruknął Harris.

Trawa

No dobra, ziemia. Kiedyś była zupełnie inna niż teraz. (Przede wszystkim: gdzie jest dzisiaj ziemia?) Dawniej była to głównie preria, a preria nie oznaczała pola podsuszanej trawy sięgającej kolan i przetykanej gdzieniegdzie kwiatami. Preria oznaczała mieszaninę wielu gatunków traw, których gęstwa sięgała powyżej głowy dorosłego człowieka! Długie i splecione korzenie wpijały się głęboko w ziemię. Gleba preriowa była niesłychanie żyzna i świetnie nadawała się do celów rolniczych, lecz stworzenie jakichkolwiek upraw wymagało uprzedniego usunięcia traw i ich rozbudowanych korzeni, co wcale nie było proste. Bywało, że przygotowanie pola pod siew wymagało rocznych zmagania z prerią. Wysiłki te nazywano „łamaniem prerii”; pojawili się nawet zawodowi „łamacze”, którzy specjalizowali się w tym trudnym rzemiośle. Wreszcie jednak niemal wszystkie połacie prerii zostały zagospodarowane i wkrótce potem

zaczęły przynosić plony. Od wielu pokoleń w Ameryce nie ma już prawdziwej prerii; to, co za nią uchodzi, jest zwyczaj-zwyczajną, trawiastą łąką.

Minęła ósma, a Ricky'ego nie było. Charlotte podeszła do okna i spojrzała na niebo, ale tego wieczoru nie ofiarowało jej niczego poza bezgwiezdną ciemnością. Zajrzała do kuchni, by wrzucić do mikrofalówki małą pizzę. Weszła do Sieci, w nadziei, że któraś z trzech przyjaciółek będzie zalogowana, ale żadnej nie było — pewnie wyszły gdzieś razem; dziewczyny, które знаła od trzeciej klasy podstawówki i z którymi uczyła się wytapiać świece, zakładać mrowiska, tkąć, lepić coś z masy papierowej i wreszcie szykować kostiumy na Halloween — raz przebrały się za M&M's, każda w innym kolorze... W wakacje po pierwszej klasie ogólniaka wszystkie trzy znalazły sobie chłopaków i od tamtej pory między nimi a Charlotte istniała przepaść. Próbowaly coś knuć dla jej dobra; błagały, by zdradziła, który chłopak podoba jej się choć trochę. Stosowały podstępny, szpiegowski sztuczki, pranie mózgu, hipnozę i być może nawet czary, próbując namówić do działania choćby jednego kandydata. Namawiały Charlotte do noszenia makijażu i wypchanych staników (z opcją implantów w niedalekiej przyszłości) oraz barwnych szkieł kontaktowych (najbardziej pasował im fiolet), a także do zmiany fryzury i zainteresowania się bardziej intrygującym odzieniem („Chodzi o to, Chari, że ty tak naprawdę wcale nie próbujesz”). Machina przymusowej rehabilitacji otaczała Charlotte coraz ciasniej, ale dziewczyna czuła wewnętrzny opór przeciwko dobrodusznym radom przyjaciółek. Rzeczywiście, raczej „nie próbowała” — być może dlatego, że nie chciała ryzykować utraty czegoś ważnego: ostatniej nadziei.

Wysłała e-mail do wszystkich trzech: „Co słyhać? Tęsknię za wami ☺”.

O dwudziestej czterdzieści pięć zaczęła oglądać *Morderstwo na Nilu*, w ramach wspólnego planu, który powzięli z Rickym: zamierzali obejrzeć wszystkie filmy, jakie kiedykolwiek zrobiono na podstawie prozy Agathy Christie. Dotarła do połowy, kiedy usłyszała na dole kroki brata i zatrzymała magnetowid. Ricky drgnął, kiedy weszła do kuchni.

— Nawaliłeś się — powiedziała, spojrzawszy w jego mętne oczy.

Nie odpowiedział. Otwierał pudełko pop-tartów.

— Jest dziewięta czterdzieści — dodała.

— Ding, ding, ding.

— Gdzie byłeś?

— Jeździłem. Opanowałem niesamowity numer — odparł, wrzucając owocową grzankę do tosterka. — „Switchdance 180”.

Charlotte nie miała pojęcia, co to może oznaczać.

— Z kim ćwicyłeś?

— Z seniorami — odpowiedział, nie umiejąc powstrzymać szerokiego uśmiechu.

— Żartujesz. Z Baxter?

— Nie, z Saturna.

Grzanka wyskoczyła z automatu, a Ricky złapał ją ostrożnie dwoma palcami i zaczął dmuchać na nią, próbując ugryźć pierwszy kęs. Natychmiast poczuł oszałamiający, gorący zapach jagód. Charlotte stała bez ruchu. W „Norze”, gdzie lubił jeździć, słyszał, jak ktoś wymienia jej imię, ale był już nieźle naładowany i wszystko mieszało mu się w głowie — jadąc na desce, mijał epoki, królów, konnych rycerzy wywijających lancami i betonowe schody. Wreszcie usłyszał po raz drugi: „Charlotte Hauser” i ze strachu stracił równowagę. Spadł z deski i nadstawił uszu. Dwaj seniorzy. Ricky miał wrażenie, że uczniowie najstarszych klas ogólniaka powtarzają imię jego siostry jako coś w rodzaju groźby: „Jeśli tylko podskoczysz, to zobaczysz: Charlotte Hauser”. Był tak oburzony takim jej traktowaniem, że natychmiast wyrzucił tę scenę z pamięci. Paul Lofgren, senior, postanowił, że będzie kumplem Ricky'ego, a ten nie zastanawiał się zbyt długo, dlaczego spadła na niego ta niepojęta łaska. Trzymał więc ostatnio ze starszymi — razem słuchali Smashing

Pumpkins z przenośnego odtwarzacza; przy nich nawet powietrze lepiej smakowało. Myśli o Charlotte odeszły w mrok. Kiedy wyciął „Switchdance 180”, wszyscy klaskali.

— Kim jest ten łepok? — spytał ktoś Paula Lofgrena. Paul roześmiał się i odpowiedział:

— Przynętą na dziewczyny. — Teraz roześmiali się wszyscy (bo wszyscy się śmiali, kiedy śmiał się Paul) i choć Ricky nie był pewien, jak mógł być przynętą, skoro nie znał prawie żadnych dziewczyn, podobało mu się to znacznie bardziej niż bycie „tym chorym dzieciakiem”.

Żując pop-tarta pod surowym spojrzeniem Charlotte, poczuł narastającą niecierpliwość. Jego siostra była obiektem żartów i nawet o tym nie wiedziała! Dlaczego czegoś z tym nie zrobisz? — chciał krzyknąć, ale nagle naszła go inna myśl: dlaczego sam nic nie zrobiłem i nic nie powiedziałem? Absolutnie nic. Nawet, kurwa, nie otworzyłem gęby. Ricky wierzył, że Charlotte ma moc przewidywania pewnych rozstrzygnięć... Czy tym razem wyczuwała jego zdradę (tego, że umiała czytać w jego myślach, był absolutnie pewien), czy może była smutna z innego powodu?

— Wypożyczyłam *Morderstwo na Nilu* — powiedziała.

— Subtelne — odparł. — Zaczynamy.

— Czekaj, zrobię ci pizzę. — Wyjęła z lodówki połówkę, którą zostawiła specjalnie dla niego, i odgarnawszy z twarzy cienkie włosy, wrzuciła ją do mikrofalówki. Dopiero teraz Ricky poczuł, że naprawdę jest w domu, we własnej kuchni.

— Palilem trawkę — mruknął.

Powiedział to na poły konspiracyjnym, na poły wyzywającym tonem; z jednej strony pragnął akceptacji Charlotte, a z drugiej prowokował ją do konfrontacji. Rzadko spotykało go odrzucenie; Charlotte lubiła być jego powierniczką, lubiła wiedzieć o wszystkich występkach brata.

— Ding, ding — odpowiedziała.

Zaniosła jego pizzę na górę, próbując po drodze jakoś zdusić w sobie niepokój ogarniający ją na myśl o bracie obcującym z chłopakami, którzy tak nią gardzili. Wydawało jej się możliwe, że zwróca Ricky'ego przeciwko niej, a to oznaczałoby straszniejszą izolację, niż potrafiła sobie wyobrazić.

— Oglądałam trochę, ale możemy cofnąć — powiedziała, kiedy ułożyli się kanapie w pokoju telewizyjnym.

— Nie musisz — odparł pokornie Ricky. Zawsze mógł liczyć na dobry humor siostry; jej smętność tego wieczoru bardzo go zaniepokoiła. — Ja mogę obejrzeć jutro.

Ale Charlotte już przewijała taśmę. Leżeli blisko siebie, żując pizzą. Kiedy zaczął się film, Ricky poczuł, jak otoczka domowego ciepła zamyka się wokół niego niczym para opiekuńczych skrzydeł. Jazda na deskorolce, Paul Lofgren — wszystko to oddaliło się nagle i zniknęło. Może to nawet nie takie złe, myślał Ricky, że prawie nikt nie lubi Charlotte. Tym sposobem zawsze, kiedy przyjdą do domu, zastaną ją tutaj.

— Czekasz, aż coś się stanie? — spytał Moose. — Czy nie tak powiedziałaś?

— Uważasz, że to dziwne? Moose uśmiechnął się.

— Są tacy, którzy powiedzieliby ci, że nie jestem najlepszym arbitrem w tej sprawie.

Charlotte roześmiała się. W powietrzu wirowało mnóstwo liści. Dziesięć pękających toreb foliowych w kształcie dyni leżało na jasnym trawniku otaczającym Wersal.

— Ty też sądzisz, że coś się wydarzy? — spytała z wahaniem.

— Tak — odrzekł Moose i zamyślił się.

Charlotte podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, ale zobaczyła tylko trawę i pomarańczowe worki. Na co zawsze tak patrzył ten przystojny, niespokojny mężczyzna, którego jej matka tak bardzo kochała?

— Tak właśnie sądzę — dodał po chwili.

I wydarzyło się. Wydarzyło się coś dziwnego — dziwniejszego nawet niż spotkanie z ranną złodziejką w garderobie Ellen. Było to kilka dni po ostatniej wizycie u Moose'a, kiedy Charlotte pożyczyła od matki lexusa i pojechała do Baxter po przyjaciółki. Czekala na nie przed wejściem do szkoły — ozdobioną drewnem konstrukcją z lat sześćdziesiątych. Pomachała panu Childsowi, jeszcze niedawno jej nauczycielowi biologii.

— Jak idzie, Chas? — spytał. Pan Childs słyszał z tego, że zdrabniał imiona swoich ulubieńców. Tak krótkie przezwisko musiało oznaczać co najmniej ocenę B+. — Podoba ci się w East?

— Nie jest źle — odpowiedziała. — Robicie już sekcje? — Charlotte uwielbiała sekcje, zwłaszcza większych zwierząt: młodych rekinów i świńskich płodów.

— Na razie tylko robaków. Żałuj, że nie widzisz tego obrzydzenia na twarzach... Jesteś teraz w chemicznej?

— Chem II. Ale laboratoria nie są tak ciekawe jak tu.

Przez parking tonący w popołudniowym słońcu szedł nauczyciel, którego nie znała. A jednak było w nim coś znajomego: ciemne oczy, wyrazista i kanciasta twarz o nieco ponurym spojrzeniu.

— Do jutra — powiedział obcy do pana Childsa. Jego wzrok spoczął na moment na Charlotte. To wystarczyło, by został rozpoznany: to on był człowiekiem, którego w sierpniu spotkała nad rzeką.

— Nawzajem, Mike — odpowiedział pan Childs, po czym zwrócił się do Charlotte, która odprowadzała nieznanego wzrokiem. — To Michael West, uczy matematyki. Mąż Tracy Lapoint w ostatniej chwili został przeniesiony do Omaha, a Mike zjawił się zupełnie niespodziewanie... Z odpowiednimi referencjami, rzecz jasna.

— Skąd przyjechał?

— Z Kalifornii, ale zdaje się, że sporo czasu spędził w Europie. Wybacz, ale muszę odebrać dzieci ze świetlicy. Miło było cię spotkać, Chas.

Pan Childs przeszedł na drugą stronę placu i wszedł do samochodu. Tymczasem samochód człowieka, którego poznała na rzekę, zaczynał już wycofywać się z parkingu. Charlotte popędziła za nim bez namysłu, stukając obcasami o betonową kostkę. Mężczyzna zatrzymał wóz i otworzył okno, mrużąc oczy.

— Spotkaliśmy się latem — powiedziała zdyszana Charlotte. — Pamięta pan?

— Nie pamiętam.

— Nad rzeką. Powiedział pan, że jest tu nowy... Nie pamięta pan? — Teraz dopiero zaczęła dostrzegać różnice: starannie przystrzyżone włosy, gładką, opaloną twarz... Tamten był raczej zaniedbany. I ranny, miał rękę w gipsie. Charlotte wpatrywała się w człowieka siedzącego w samochodzie w czerwonej koszulce marki Lacoste, nerwowo bębniącego opalonymi palcami po kierownicy. Wydawało się, że oba jego ramiona są zdrowe.

— Obawiam się, że się mylisz — powiedział z nieznacznym, obcym akcentem. Czy tamten nad rzeką mówił w taki sam sposób?

— Nie — odrzekła uparcie. Chciała mieć rację; chciała, żeby ten zbieg okoliczności był prawdziwy. — To na pewno pan.

Mężczyzna roześmiał się, błyskając białymi zębami.

— Zdaje się, że mamy impas — powiedział. — Niestety, spieszę się — dodał i spojrzał na Charlotte z wyczekiwaniem.

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że opiera się o dach samochodu. Powoli opuściła ręce.

— Do widzenia — rzucił nauczyciel i uniosł rękę na wysokość twarzy w geście pożegnania.

Charlotte poczuła dreszcz: to samo zrobił wtedy nad rzeką; zapamiętała ten niby-salut, niby-machnięcie. To musiał być ten sam człowiek. Pewność i zdumienie ogarnęły ją w tym samym momencie.

— To pan! — zawołała za nim, gdy odjeżdżał. — Dlaczego pan się wypiera?



Została na parkingu, zapatrzona w oddalający się wóz. Nie zwracała uwagi na mijające ją grupki dzieciaków. Spotkanie oszołomiło ją; czuła się tak, jakby musnęła rąbek wielkiej tajemnicy. Dlaczego? Zastanawiała się intensywnie. Może nie pamiętał, a może pamiętał, tylko nie chciał się do tego przyznać.

— Chari! — zawołała jedna z dziewczyn biegnących w jej stronę przez parking. — Przepraszam. Zamek się zaciął w mojej szafce — usprawiedliwiła się Roselyn, zamykając Charlotte w mocnym uścisku.

Wsiadły do lexusa. Charlotte niedawno odebrała prawo jazdy; to był jej debiut przed koleżankami.

— Patrzcie, jaka spokojna — zauważyła Sheila siedząca z przodu. W jej ustach nawet komplementy brzmiały nieco sarkastycznie.

— Wiesz, Chari, twój brat jest wyjątkowo słodziutki — rozległ się zgrzytliwy głos Roselyn z tylnego siedzenia. W diagnozie, którą postawiono jej po badaniu strun głosowych pojawiło się słowo „wrzaskliwość”, co wzbudziło wśród jej przyjaciółek ogromną wesołość, jako że istotnie miała skłonność do krzyku. Charlotte wyczuła zapach jej truskawkowego błyszczyka do ust.

— On ma trzynaście lat — przypomniała.

— Roz gustuje w małych chłopcach — wtrąciła Sheila, kręcąc gałką radia. — To jej najnowszy plan.

— Mniam, mniam — potwierdziła Roselyn.

— Jacy goście są w tym twoim East? — spytała Laurel. — W miarę rozwinięci?

— Chodzi jej o to, czy interesują się baletem — wyjaśniła Sheila.

— Cha, cha — mruknęła Laurel. W pierwszej klasie ogólniaka wstąpiła do Rockford Dance Company i teraz co najmniej raz na sezon występowała w dużym widowisku baletowym. Od tamtej pory lubiła popisywać się swoim wytrenowaniem, na przykład w najmniej odpowiednim momencie podnosząc nogę pionowo do góry, wysoko nad głowę, i przyciskając udo do ciała. Dla Sheili, wiecznie zgarbionej bulimiczki, widok istoty ludzkiej robiącej coś takiego ze swoim ciałem był wprost nie do zniesienia.

Na chwilę zapadła cisza i Charlotte zrozumiała, że dziewczyny czekają na jej odpowiedź.

— Myślą, że w większości to kowboje — odpowiedziała, zmuszając się do koncentracji. Jej umysł wciąż błądził samowolnie wokół obrazu nauczyciela matematyki; człowieka, którego poznała nad rzeką. — Niektórzy są niczego sobie — dodała. — Dziewczyny też są niezłe — ciągnęła, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że wszystko to tylko przykrywka, że wcale nie jest uczniem East i po prostu zmyśla. — Powinnyście mnie odwiedzić.

— Słusznie, siostry — podchwyciła Laurel.

— Fantastycznie — mruknęła kwaśno Sheila.

— Ciebie nikt nie zapraszał — powiedziała Charlotte.

Sheila odpowiedziała jej uśmiechem. Lubiała, kiedy ktoś ją ustawiał.

— Przełącz! Przełącz! — zakrakała Roz z tylnego siedzenia. Chodziło jej o piosenkę Sary McLachlan, której nie trawiła. — Przełącz, zanim zacznę wrzeszczeć!

— Ty już wrzeszczysz — zauważyła Charlotte. — Prosto do mojego ucha, a ja prowadzę samochód.

— I nikogo to nie dziwi — szepnęła Sheila.

— Nie krzyczę z powodu „wrzaskliwości” — zaoponowała gorąco Roz. — Lekarz mówi, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Nikt nie silił się na odpowiedź. Dyskusja była bezcelowa.

— Widziałam nowego gościa od matmy — powiedziała Charlotte w miarę obojętnym tonem. — Pana Westa.

— O mój Boże — wysapała truskawkowo Roselyn, pochylając się nad uchem Charlotte. — Czy to nie najbardziej ponury drab, jakiego w życiu widziałas?

— Jestem w jego klasie — odezwała się Laurel.

Charlotte skrzywiła się na myśl o nauczycielu matematyki obserwującym wygibasy młodej baletnicy.

— Miły? — spytała krótko.

— Dziwny — odparła Laurel. — Kiedy ktoś próbuje żartować, najczęściej wcale tego nie zauważa. Jest taki... oficjalny.

— *Mucho curioso* — dodała Roz, ściskając ramię kierującej.

— Wydawało mi się, że gdzieś już go widziałam — powiedziała Charlotte, kończąc temat. Ale w głębi jej serca i żołądka pracowała już ukryta inteligencja. Tylko ona знаła nowego nauczyciela z innej strony. Rozmawiała z nim sam na sam, nad rzeką, kiedy wcale nie był belfrem tylko kimś zupełnie innym. Czuła się dziwnie: jakby po raz pierwszy spotkała go we śnie, a teraz zobaczyła go powtórnie w realnym świecie.

W Cherryvale kupiły batony z masłem orzechowym i cukierki cytrynowe. Podjadając je z małych, białych, papierowych torebek, buszowały między regałami w Juxtapose. Ze ścian krzyczały hasła plakatów reklamowych: „Znowu na topie” i „Wznies się na wyższy poziom”.

W Waldenbooks natychmiast podeszły do stojaka z czasopismami, by lepкими palcami przerzucać w pośpiechu ich strony. Chuchając na siebie aromatem gumy do żucia, cukierków i błyszcząca przyglądały się łączywie smukłym dziewczynom z równoległego wszechświata. Dziewczynom mrużącym oczy na pustyni. Dziewczynom skaczącym w śnieżne zasy. Dziewczynom wędkującym w gumowych butach sięgających ud. Charlotte próbowała nie patrzeć. Dla niej nie było miejsca w równoległym wszechświecie; wedle jego zasad była kimś bezwartościowym. Jej przyjaciółki również nie wyglądały na modelki, ale były znacznie bliższe ideału; zwłaszcza Sheila. Także Laurel z ciałem tancerki i Roz, której szorstki głos i kręcone włosy już w dziewiątej klasie zyskały jej miano „Ponętnej”. Charlotte przyjmowała te fakty bez urazy — głęboko wierzyła, że dla niej znajdzie się inna droga, inny sposób.

O osiemnastej trzydzieści odwiozła przyjaciółki do domów. Roselyn została w aucie najdłużej, bo mieszkała najbliżej.

— Tęsknię za tobą, Chari — powiedziała. — Ty jesteś prawdziwa.

— Ty też — odparła Charlotte.

— Niedobrze mi się robi od tych wszystkich plastikowych ludzi.

— To rzeczywiście plaga.

— Przyjdiesz? — Roselyn i jej starsza siostra urządzały w weekend przyjęcie. — Przyrowadź ludzi z East.

— Nie jestem pewna, czy są tego warci.

— Więc przyrowadź brata.

Następnego popołudnia Charlotte była umówiona na spotkanie z wujkiem Moose'em, ale odwołała je, skróciła nieco ostatnie lekcje, znowu pożyczyła od matki lexusa i pojechała do Baxter tuż przed końcem zajęć. Wyłączyła silnik i siedząc za kierownicą, bawiła się gałką radia. Kiedy pierwsza fala uczniów wyłoniła się z bramy, skuliła się na fotelu.

Wreszcie pojawił się pan West, w towarzystwie Abby Reece, która w ósmej klasie uczyła Charlotte angielskiego. Pani Reece była bardzo ładna i Charlotte czuła się nieszczególnie, patrząc, jak idą razem przez parking. Doskonale słyszała szybki i mocny rytm własnego pulsu.

Wreszcie mężczyzna wsiadł do rdzawego oldsmobile'a cutlassa. Była piętnasta pięćdziesiąt. Charlotte wyjechała z parkingu w ślad za nim i ruszyła na południe, aż do State Street, gdzie wóz nauczyciela skręcił na wschód. Minął dworzec, Aunt Mary's, Alpine Road, Winnebago College i wreszcie Wersal, gdzie mieszkał Moose, by w końcu skręcić lewo, na parking przed supermarketem Logli. Plac był wielki i dość zatłoczony, ale nauczycielowi udało się znaleźć miejsce tuż przy wejściu.

— Cholera! — zawołała Charlotte, próbując w locie zapamiętać to miejsce. Zobaczyła, że mężczyzna znika za drzwiami i postanowiła zaczekać przy najbliższym wyjściu. Z radia dolatywała muzyka Nine Inch Nails, grupy, którą szczerze gardziła, ale tak bardzo przejmowała się tropieniem swej ofiary, że szkoda jej było czasu na zmianę stacji. Każdy mięsień w jej ciele był naprężony, gotowy do akcji. Po trzydziestu minutach matematyk wyłonił się z hali z torbami zakupów na obu ramionach. Charlotte wcisnęła pedał gazu do oporu i wóz skoczył naprzód ze skowytem opon, przykuwając przerażone spojrzenie ciężarnej kobiety. Dziewczyna podjechała do najbliższego wylotu z parkingu i znowu zatrzymała samochód. Wiedziała, że nie jest to szczególnie subtelna metoda szpiegowania, ale przynajmniej mogła być pewna, że obiekt nie wymknie się niezauważony. Pojechała za nim na zachód, skręciła w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, w ulicę biegnącą w pobliżu East High School, wzdłuż której stały małe domki; niektóre z zachwaszczonymi i nie strzyżonymi trawnikami. Mężczyzna skręcił na podjazd przed jednym z nich.

Charlotte zaparkowała przy następnym domu i została w samochodzie. W takt piosenki zawodzącej Janet Jackson przemawiał w jej umyśle cichy głos — ostrzegał, że nie wolno jej zrobić tego, co zamierza, gdyż będzie to czyn zbyt mocno odbiegający od normy, by mogła zniwelować później jego skutki. Dziewczyna czuła jednak, że nie ma wyboru. Wsiadła z samochodu i na miękkich nogach zbliżyła się do skromnego, dwupiętrowego domu nauczyciela. Biała farba łuszczyła się ze ścian płatami, za to wymalowane na zielono okna trzymały się nieźle. Nacisnęła klawisz dzwonka i czekała. Mężczyzna otworzył i spojrzał na nią zimno, trzymając w dłoni puszkę blue ribbon.

— To ja — powiedziała Charlotte, po czym zacisnęła zęby, żeby nie klekotały zbyt szybko.

— Widzę — odparł nauczyciel.

— Spotkaliśmy się wczoraj... I wcześniej, nad rzeką.

Nie odpowiedział. Charlotte zajrzała do wnętrza domu. Wyglądał na pusty.

— Wprowadził się pan niedawno? — spytała z desperacją.

— Powiedz mi lepiej, czego chcesz.

Wyjaśnienie tego wydawało jej się raczej niemożliwe.

— Pamięta pan, jak powiedział, że Rockford jest paskudne, a ja odpowiedziałam, żeby pan tak nie mówił? Wtedy, nad rzeką... pamięta pan? — Obserwowała go w napięciu, czekając, aż poczuje obecność ogniw losu, które jej zdaniem zetknęły ich nieprzypadkowo.

Michael West przekrzywił głowę, a potem, niespodziewanie, otworzył drzwi szerzej, żeby wpuścić Charlotte do domu.

— Chodźmy do kuchni — powiedział, idąc.

Była to mała kuchnia z podłogą wyłożoną bładozielonym linoleum. Za obydwojema oknami widać było podjazd. Torby z zakupami stały na kredensie, w połowie rozpakowane. Mężczyzna skinął ręką w stronę krzesła.

— Piwa? — spytał. — Choć może lepiej nie; przecież prowadzisz.

— Skąd pan wie?

— Muszę przyznać, że czarno widzę twoje szanse w zawodzie detektywa — odpowiedział i zaśmiał się chrapliwie.

— Nie chcę być detektywem — odparowała Charlotte. — Chcę handlować tropikalnymi rybami.

Michael West podał jej szklankę soku pomarańczowego, odwrócił krzesło oparciem do przodu i usiadł za stołem naprzeciwko niej.

— Ile masz lat?

Już mnie pan pytał, chciała powiedzieć, nad rzeką. Powstrzymała się jednak. Aluzje do rzeki jakoś nie wzbudzały jego entuzjazmu.

— Szesnaście.

— Inne szesnastolatki palą trawkę i słuchają Anthraxu — powiedział. — Nie śledzą ludzi, jadąc za nimi samochodem.

— Ja jestem inna.

— W jakim sensie?

Zawahała się. Wyjaśnienie różnicy wydawało jej się dość trudne.

— Nie mam piersi — odparła po chwili.

Nauczyciel roześmiał się, bardziej z zaskoczenia niż z rozbawienia.

— Cierpliwości — poradził.

— Nie, są już gotowe. Ale i tak ich nie widać.

— To znaczy, że po prostu masz małe piersi — odpowiedział. — Niektórzy mężczyźni wolą właśnie takie.

— A pan?

— To bez znaczenia.

— Niech pan odpowie.

West wstał, żeby sięgnąć po drugie piwo, i już nie usiadł. Wyjrzał przez okno. Otworzył puszkę i pociągnął spory łyk.

— Często dyskutujesz z nieznajomymi o swoich piersiach?

— Nie.

— Więc ufasz akurat mnie?

— Nie ufam — odparła zdecydowanie.

Roześmiał się po raz drugi, jeszcze bardziej zdezorientowany. Usiadł po chwili i pochylił się w stronę Charlotte. Poczula jego zapach: ciepły, gorzki, zaprawiony lekko cynamonem. Jego pochmurne spojrzenie wreszcie znikło.

— Czegoś ode mnie chcesz — zawyrokował. — Ale czego?

— Chcę, żeby pan mnie uwiódł — odpowiedziała i zamarła z przerażenia, czekając na jego śmiech. Ale nie doczekała się. Mężczyzna spoglądał na nią z powagą. — Wydaje mi się, że jest pan właściwą osobą — dodała. Ta myśl objawiła się jej dopiero przed chwilą, kiedy poczuła jego zapach.

— Jesteś dziewicą?

— Pół na pół — odparła po namyśle.

Michael West wyglądał na speszzonego. Po chwili wstał i odepchnął krzesło.

— Mówił pan, że mam ładne oczy. Wtedy, nad rzeką — przypomniała.

— Znowu ta nasza tajemnicza rozmowa nad rzeką.

— Tak było.

— Owszem, są — powiedział, nie patrząc w jej stronę. — Są bardzo ciemne.

Charlotte wyczuwała rosnące napięcie; mężczyzna emanował emocjami, których nie potrafiła zidentyfikować. Zachęcona, drażyła temat.

— To nie byłoby trudne! Przecież wie pan już, że pozwolę.

Nauczyciel wreszcie na nią popatrzył.

— Nie możesz namawiać mężczyzny, żeby cię uwiódł — powiedział. — To on powinien czuć... powinien cię pragnąć.

Charlotte potrząsnęła głową.

— Ale nie pragnie — odparła rzeczowo i ku własnemu zdumieniu poczuła, że w jej oczach zbierają się łzy. Mi-  
nęło wiele lat, odkąd płakała w czyjejs obecności. Zakryła twarz dłońmi. — I nikt nigdy nie zapragnie.

Usłyszała, że matematyk staje za nią. Położył dłoń na jej barku — ciepłą, męską dłoń. Ale nie pragnął jej.

— Uczysz się właśnie czegoś bardzo ważnego — powiedział, głaszcząc leciutko jej ramię. Uniosła głowę. —  
Otóż świat jest zbudowany z gówna — wyjaśnił.

Charlotte przestraszyła się, widząc jego spojrzenie: puste i pozbawione nadziei.

— Co się panu przytrafiło? — spytała cicho.

Przez krótką chwilę miała wrażenie, że się otworzy, ale kiedy się uśmiechnął, rysy jego twarzy znowu  
stwardniały.

— Nic, co mogłabyś zrozumieć.

— Nie wie pan tego. I w ogóle nic pan o mnie nie wie.

— Powinnaś już iść — zasugerował łagodnie.

Charlotte wstała. Kuchenne światło odbijało się w jej ciemnych oczach. Zmierzch był już bliski. Rozmowa, którą  
przed chwilą odbyli, wydawała jej się nierealna, jak wszystkie jej rozmowy z obcymi ludźmi. Mężczyzna odprowadził ją  
do drzwi. Przecież nikt się nie dowie, pomyślała.

— *Adios* — powiedziała.

Tym razem nie zasalutował.

W gęstniejącym mroku podeszła do samochodu matki. Czowała się jak duch, jak własne echo; jak gdyby jej  
prawdziwe „ja” zostało w kuchni Michaela Westa. Przez kilka minut siedziała za kierownicą bez ruchu, czekając, aż  
ustąpi natrętne brzęczenie pod czaszką.

Wreszcie uruchomiła silnik i wolno przejechała obok domu nauczyciela. Światło w kuchni wciąż się paliło, ale  
nie zobaczyła cienia ludzkiej postaci. Pozostałe okna niewysokiego budynku ogarnął mrok. Nie spieszyła się i nie zasta-  
nawiała zbyt długo nad tym, dokąd jedzie, póki nie zauważyła, że hamuje na parkingu przed Wersalem. Może był to dziwny  
nawyk, a może podświadomość podpowiadała jej, jak powinna była spędzić to popołudnie. Nie była pewna, co ją tu  
przywiodło. Przez kilka minut siedziała w aucie, spoglądając w stronę mieszkania Moose'a. Nie zwracała uwagi na  
martwe liście spadające na maskę samochodu. Wreszcie zawróciła i pojechała do domu.

## Rozdział szósty

Kiedy pozwalała na to pogoda, Moose lubił pokonywać pieszo krótki dystans, który dzielił jego mieszkanie w  
Wersalu od służbowego pokoju w Winnebago College. Tylko po części czynił to z powodu oczywistych korzyści —  
świeżego powietrza i innych takich. Nawet jeśli myślał o świeżym powietrzu, to raczej w kategoriach teoretycznych; w  
istocie zaś martwił się raczej jego brakiem. Owszem, z przyjemnością oddychał nim głęboko, ale dawno już zrezygnował  
z rozmaitych rodzajów aktywności, które wiązały się z pobytem na świeżym powietrzu: z myślistwa, biwakowania,  
pieszych wędrówek i wędkarstwa. A także z wszelkich sportów.

Nie. To nie potrzeba świeżego powietrza kazała Moose'owi chodzić do pracy pieszo, ale fakt, że w erze, którą  
charakteryzowało między innymi zjawisko znikania chodników, mógł sobie pozwolić na buntowniczy gest upartego  
spacerowania dokładnie tam, gdzie chodniki powinny były powstać. Być może wygląda to głupio, myślał sobie,  
przeciskając się między zaporami na parkingach i uskakując przed hałaśliwymi chevroletami suburban, ale na pewno nie  
tak głupio jak świat pozbawiony chodników. Zaiste, moja domniemana głupota jest ledwie ułamkiem niewyobrażalnie  
większej głupoty świata, którego jestem dzieckiem. Moose nigdy nie mówił głośno o swoich przemyśleniach w tej spr-



wie i coraz rzadziej zaprzętał sobie głowę ich roztrząsaniem, ale wciąż spacerował z dumą i poczuciem słusznego buntu, codziennie pokonując pół mili wzdłuż State Street, między Wersalem a Winnebago College, a następnie skręcając w alejkę wiodącą ku terenowi uczelni. Tu zaczynała się paranoja.

Podążając swoją ścieżką, Moose spoglądał w górę, na półnagie drzewa, starając się jak najdłużej odwlec chwilę kontaktu wzrokowego z dwójgim kolegów z pracy: Janice Fine (z jej wścibskimi, małymi oczkami oraz fryzurą podobną do owadziego odwłoka) i Jimem Rasmussenem (który zawsze wyglądał tak, jakby zaraz miał zwymiotować). To właśnie oni ledwie osiem miesięcy wcześniej wznieśli rokosz, którego celem było usunięcie go z posady.

— Czołem — powitał ich niechętnie.

W odpowiedzi nieznacznie skinęli głowami. Minąwszy ich, Moose nie mógł się powstrzymać przed odwróceniem głowy: zobaczył, że konspiracyjnie pochylili się ku sobie. Zastanawiał się, czy znowu planują jego przyszłe nieszczęście i niechybne bezrobocie. Zmusił się do dalszego marszu. Bali się go i zazdrościli mu — tak, był tego pewien — bowiem mimo upokarzających epizodów z przeszłości, mimo iż płacono mu zdecydowanie za mało i ulokowano w piwnicznej izbie, z dala od pokoi innych wykładowców, co znosił ze stoickim spokojem człowieka dążącego do wyższych celów, mimo tego wszystkiego — był popularnym nauczycielem. Studenci lubili go i chętnie zstępowali do jego podziemnej kryjówki, by prosić o przyjęcie do którejś z jego zdecydowanie zbyt licznych grup i domagać się udziału w dodatkowych zajęciach, za które uczelnia nie zamierzała płacić. Dlaczego młodzież garnęła się do wykładowcy, który chronicznie unikał kontaktu wzrokowego? Moose nie był pewny. Przed laty nie miał najmniejszych problemów ze zbieraniem ludzi wokół swojej osoby; przez długie lata samotność była dla niego jedynie dalekim wspomnieniem. Te czasy jednak minęły i teraz większość chwil spędzał samotnie. Popularność wśród studentów była dlań ostatnim ciepłym powiewem dawnych, dobrych dni.

W każdym semestrze wyznaczał dwóch lub trzech spośród najbardziej gorliwych uczniów i nauczał ich indywidualnie, cierpliwie znosząc fizyczny ból prowadzenia rozmowy w cztery oczy, nie wspominając już o braku zachęty finansowej. Właśnie te zajęcia miały dla niego — i dla dzieła jego życia — największe znaczenie: służyły przekazaniu wizji, która odmieniła go przed osiemnastu laty, garstce młodszych i zdolniejszych ludzi, którzy mogliby poprowadzić jego prace dalej, kiedy zabraknie mu sił.

Ale jak uświadomić im znaczenie tej wizji? To pytanie prześladowało go nieustannie. Sam przecież nie miał nauczyciela; wizja pojawiła się w jego umyśle samorzutnie, w jednym, krótkim przeblysku — tak jak niegdyś podczas wizyty u okulisty, gdy lekarz skierował w jego oczy ostre światło, zobaczył przesycony krwią krajobraz, czerwoną ziemię pociętą szczelinami jak zaschnięte błoto. Jak wyjaśnił specjalista, zobaczył własne naczynia krwionośne, co może sugerować inteligencję powyżej przeciętnej.

— Gówno prawda! — zawołał Moose i natychmiast ugryzł się w język, gdyż właśnie otwierał drzwi Meeker Hallu, gmachu wydziału historycznego. Recepcjonistki, Amity i Felicity (których imiona, kojarzące się jednoznacznie z przyjaźnią, nie miały nic wspólnego z ich charakterami), zmierzyły go podejrzliwym wzrokiem, kiedy wyciągał pocztę ze swojej skrzynki.

— Dzień dobry — powiedział Moose, kłaniając się obu kobietom i z ulgą opuszczając ich królestwo.

Nie, inteligencja nie była konieczna do doświadczenia wizji, którą chciał wpoić swoim studentom, myślał, wędrując korytarzem. Starał się nie patrzeć w stronę drzwi gabinetów kolegów-wykładowców, by nie napotkać niczyjego wzroku i nie stanąć znowu przed dramatycznym wyborem: chwila konwersacji albo nieuprzejme oddalenie się bez słowa. Wizja, którą pragnął przekazać dalej, miała charakter instynktowny, a nie intelektualny. Była jak wątle objawienie, które nagle staje się pewnością. Moose zszedł szybko po wilgotnych, betonowych schodkach do piwnicy budynku i wsunął klucz do zamka drzwi swego pokoju. Zamek był już otwarty.

Poczuł, że serce bije mu przyspieszonym rytmem. Delikatnie pchnął drzwi i wszedł do środka, spodziewając się śladów włamania lub przeszukania, ale sprzęty wyglądały na nienaruszone, jeśli nie liczyć kosza na śmieci — nareszcie opróżnionego. To oznaczało, że Jeremy Toms, uroczy chłopak z zespołem Downa, którego zadaniem było sprzątanie tego pomieszczenia (bo jakimś cudem nie zaglądał tu personel dbający o porządek w innych pokojach), po prostu zapomniał zamknąć za sobą drzwi.

Moose opadł ciężko na krzesło, wyczerpany. Jego gabinet był urządzonej po spartańsku: surowe, betonowe ściany, standardowe biurko, dwa pomarańczowe krzesła i beżowa, metalowa szafa na akta. Było to wszystko, czego potrzebował — powtarzał to sobie codziennie, kiedy surowość otoczenia odbierała mu ostatnią nadzieję. Mógł znaleźć tu i hubkę, i krzesiwo, gdyby tylko zechciał wzniecić pożar! W zamkniętej na klucz beżowej szafie spoczywało jego wielotomowe dzieło: historia Rockford w stanie Illinois, praca o bezprecedensowym rozmachu (taką nadzieję żywił w dobre dni), sprawnie łącząca rozmaite gałęzie nauki i zaskakująca humorem, a także pełna prognoz dla Ameryki ery post-industrialnej, z których co najmniej kilka już się spełniło.

Moose przejrzał korespondencję. Wśród zwykłych pism obiegowych dostrzegł trzy cięższe, szorstkie koperty. Poczuł ukłucie w sercu: były to pisma od kolegów-akademików. Postanowił jednak nie otwierać ich i nie oglądać z bliska: trzy listy oznaczały co najmniej jedno rozczarowanie — ripostę, odmowę, zbycie — i jeśli miał jakoś przyjąć taki cios, musiał najpierw zregenerować siły po stresującym wkroczeniu w mury Meeker Hallu.

Zajął się tymczasem kilkoma listami, które poprzedniego dnia wystukał pracownice na elektrycznej maszynie do pisania marki Smith-Corona. Nie posiadał własnego komputera i odmawiał przyjęcia służbowego, czego żądali od niego przełożeni wydziału historycznego, a fakt ten osłabiał jego i tak nie najmocniejszą pozycję na uczelni. Powód był prosty: Moose nie chciał mieć z nim do czynienia. Od czasu incydentu w Yale przestał ufać komputerom; były zbyt nieprzewidywalne i zbyt pociągające, a od możliwości, które dawały, trudno się było uwolnić. I dlatego Moose napisał dwoma palcami na maszynie wszystkie listy, które teraz rozłożył przed sobą na biurku. Był gorliwym inicjatorem korespondencji, wiecznym głodnym poczucia zdalnej wspólnoty. Z nadzieją słał epistoły do specjalistów w dziedzinach tak niewiarygodnie odległych, jak sztuczna inteligencja, optyka, fizyka czy francuski balet. Były to zarazem dyscypliny, których znawcy raczej nie mieli prawa słyszeć o jego dawnych wyczynach. Z drugiej jednak strony, prawdopodobne było i to, iż wymyślony tytuł, którym się posługiwał (Adiunkt Asystent Adiunkt Profesor Historii w College'u Winnebago — zbitka ta miała oddawać raczej chwiejny status Moose'a), nie zabrzmiał wystarczająco prestiżowo, by sprowokować odpowiedź.

Moose konsekwentnie przestrzegał pewnej zasady: zawsze czekał dwadzieścia cztery godziny, zanim wysłał napisany przez siebie list. Niekiedy opóźnienie to wywoływało u niego niemal fizyczny ból, jakby musiał zatrzymać w połowie świetne uderzenie kijem baseballowym lub golfowym (coraz słabiej pamiętał te przyjemności dawnego życia), ale wiedział z doświadczenia, że niepomierne trudniejsze do zniesienia było cierpienie wywołane wysłaniem pisma, w którym poniewczasie dopatrywał się niedorzeczności, fałszywych emocji lub wręcz obraźliwych treści. Dlatego czekał. Spojrzał na list do Sary Herz, mediewistki z Tulane, której wczesne prace na temat struktury czternastowiecznych domostw zawierały fragmenty dotyczące architektonicznych implikacji zastosowania szkła okiennego. Moose powoływał się na nie w swej pierwszej książce. Naturalnie Sara wiedziała o jego życiowych perypetiach, co przez długie lata skłaniało go do powstrzymania się od dalszej współpracy.

(Zdaję sobie sprawę, Saro, że minęło sporo czasu, ale Twój najnowszy artykuł na temat późnośredniowiecznych, niderlandzkich strojów kobiecych sprawił, że powróciłem do Twoich wcześniejszych rozważań na temat szkła, próbując znaleźć punkt stykowy tych prac. Mówiąc wprost, zainteresowało mnie pytanie, czy pojawienie się światła dziennego w

średniowiecznych domach dzięki zastosowaniu przezroczystego szkła (i mniej więcej równoczesne pojawienie się luster) miało istotny wpływ na ewolucję strojów...)

Moose był zafascynowany myślą o tym, że dzięki wynalazkowi udoskonalonemu w Murano około tysiąc trzechsetnego roku, kiedy nagle pojawiły się szyby, okulary i lustra, ludzie zaczęli dostrzegać wokół siebie brud i szpetotę otaczającego ich świata, które ukrywały się przed ich wzrokiem przez stulecia. Z pewnością najbardziej szokującym przeżyciem musiało być dla nich spojrzenie na samych siebie — *więc tak wyglądam; takim widzą mnie inni, kiedy na mnie patrz!* — „faza lustra” Lacana rozciągnięta na całe wioski, na całe kultury! A jednak, podobnie jak w każdym ze zjawisk obserwowanych przez Moose'a, po pierwszej transformacji nastąpiła druga, która zniweczyła niemal wszystkie osiągnięcia poprzedniczki. Obecna ślepotą świata znacznie przewyższała tę z czasów średniowiecza, sprzed epoki szkła; różnica polegała na tym, że współczesne zjawisko było wynikiem nadmiaru doznań wzrokowych — obrazy nie łączyły się już z realnymi zjawiskami, dryfowały swobodnie, w służbie niczego, odcięte od tego, co żywe, z krwi i kości.

Moose raz jeszcze przeczytał list do Sary, czując, że brakowało w nim tonu swobodnej obojętności, który chciał osiągnąć, że spośród wersów maszynowego pisma wyziera nadmierna gorliwość, a wraz z nią (czego się obawiał) inne symptomy jego głębokiego osamotnienia. Odłożył kartkę na bok i odetchnął z ulgą na myśl o tym, że może jeszcze dokończyć korekty, odsiać wszystkie te sygnały, które bezwiednie uzewnętrzniał. Kontrola, kontrola... Dopóki kontrolował własne kroki, nikczemne plany Janice Fine i Jima Rasmussena nie miały szans powodzenia. Dopóki kontrolował własne kroki, mógł mieć nadzieję na dokończenie dzieła życia.

Adresatem kolejnego listu była historyczka sztuki z Fordham University, Barbara Mundy, której książka *Mapy Nowej Hiszpanii*, zgotowała Moose'owi trzy bezsenne noce z rządu. Miał nadzieję, że uda mu się skłonić profesor Mundy do współpracy w odczytywaniu starych map Rockford z jego bogatej kolekcji. Istniała jednak poważna przeszkoda: jeśli wierzyć notce o autorce dzieła, Barbara Mundy broniła pracy doktorskiej w Yale, a to oznaczało spore prawdopodobieństwo, iż była studentką tej uczelni w okresie nieszczęsnego „epizodu z bombą”.

Szanowna Pani Profesor,

Przeczytałem właśnie Pani książkę o mapach Nowego Świata i piszę ten list w stanie głębokiej fascynacji elegancją i czystym pięknem Pani argumentacji.

Gorąco pragnę korespondować z Panią w kwestiach bardziej szczegółowych, lecz zaczekam na Pani łaskawe przyzwolenie. Zdaję sobie sprawę z mojej reputacji i mam bolesną świadomość, iż być może nie zechce Pani mieć ze mną do czynienia. Nie zagłębiajmy się jednak zbytnio w nieszczęśliwe wydarzenia sprzed lat. Proszę pozwolić, że zamknę je w jednym stwierdzeniu: terroryzm jako taki nigdy nie leżał w kręgu moich zainteresowań.

Wierzę, że w dogodnej chwili zechce Pani poinformować mnie, czy wolno mi będzie kontynuować korespondencję. Z utęsknieniem będę czekał na...

Nie, nie tak. W tym liście nie ma miejsca na tęsknoty. Moose skreślił zdanie i dopisał obok odręcznie: „Z nadzieją oczekuję...” Zbyt sztywne? Lepiej sztywne niż histeryczne, pomyślał. Chodziło przecież o to, żeby doczekać się odpowiedzi, skłonić adresata do korespondencji... (*Przecież nie wiesz, czy nie odpowie*, odezwał się cichy głos, który często dodawał Moose'owi otuchy — głos ojca, jak sądził.)

Wsunął arkusz papieru firmowego do maszyny i przepisał list do profesor Barbary Mundy w poprawionej wersji. W duchu dziękował Bogu za dobrodziejstwo nieograniczonego dostępu do tych białych kartek z herbem uczelni i zastanawiał się głęboko, jak by to było, gdyby musiał kontaktować się ze światem bez ich pomocy, jako samotna istota, nie wsparta autorytetem żadnej organizacji.

Zakleił kopertę i wstał. Niespokojnie podszedł do okna i uniośł zasłonkę wiszącą nad jedynym oknem, zaledwie w połowie sięgającym ponad poziom gruntu. Widok na czarną ziemię i płataninę korzeni przypomniał mu o sztucznym

mrowisku, które jako dziecko założył w słoju. Czasami, siedząc przy biurku, miał okazję — o ile można to nazwać okazją — przyglądać się kopulacji robactwa, a potem obserwować małe robaczki, wierzące się niecierpliwie w ziemi i zjadające wszystko, co nadawało się do zjedzenia. Górna połówka okna wpuszczała do pokoju odrobinę światła słonecznego, a pobliski chodnik zapewniał dobry widok na obuwie kolegów Moose'a, na zdarte obcasy i wystrzępione podeszwy, na sandały z cienkich pasków i galaretowate, białe stopy. Owa nadziemna część była szczelnie i trwale zamknięta, czego nie można było powiedzieć o dolnej — po rześzystych deszczach do wnętrza wpadały strumyki błotnistej cieczy. Moose jak co dnia spróbował otworzyć górną połowę mocnym szarpnięciem, przekonany, że po latach metodycznych wysiłków zaklinowany mechanizm wreszcie ustąpi i okno odchyli się bez oporu, tak jak miał nadzieję otworzyć kiedyś umysł studentów na swoją wizję, by zobaczyli ją w jednej chwili, w jednym błysku olśnienia.

A kiedy to się stanie, pomyślał, będą ją dostrzegać wszędzie, albowiem jesteśmy tym, co widzimy.

Moose postanowił wypowiedzieć te słowa na głos w swym pustym gabinecie. Nieczule, betonowe ściany oddały mu je słabym echem:

— Jesteśmy tym, co widzimy.

A skoro tak — skoro jesteśmy tym, co widzimy — to życie osoby, która doświadczyłaby wizji, zostałyby zmiecione z powierzchni ziemi jak wątła gałązka pod naporem niszczącej siły (o tak, Moose coś o tym wiedział), jak maleńka tratwa na grzbiecie ogromnego wieloryba, który ciskałby nią i jej pasażerem (oraz utensyliami, które w swej głupocie uważał za narzędzia ratujące życie) aż po krańce globu. A może nie na grzbiecie wieloryba? Czasem cienie kształtów zawieszonych gdzieś wysoko — na przykład chmur — wyglądały jak sylwetki podwodnych istot, więc może prawda jest taka, że niszcząca siła pochodzi z góry?... Ta myśl zainteresowała Moose'a na tyle, że postanowił zanotować ją i przechować na później: „Chmury, wieloryby”.

Krótko mówiąc, po jego wizji nie można było się podnieść — o ile za „podniesienie się” można uznać powrót do życia w poprzednim jego kształcie. Była to wizja zrzucająca niesłychane brzemie na barki tego, kto ją poznał; bardzo, bardzo nieliczni, którzy już ją przyjęli, byli z całą pewnością...

Jakiś dźwięk przebił się przez kurtynę jego myśli. Hałas. Stukanie do drzwi. Jego siostrzenica. Weszła, ubrana w niebieski sweter; włosy miała spięte w koński ogon. Córka Ellen. A teraz i jego uczennica. Moose wciąż jeszcze nie był do końca pewien, dlaczego nią została — z początku myślał, że na przekór ojcu, i chwycił się tego konceptu z entuzjazmem. Jednak coraz bardziej dziwił go upór, z jakim Charlotte przychodziła na zajęcia.

Zamiast usiąść, jak to zwykle czyniła, dziewczyna stanęła przy drzwiach i Moose natychmiast wyczuł w niej jakąś zmianę. Wyglądała na... nieszczęśliwą? Szczęśliwą? Nie był ekspertem w odgadywaniu ludzkich nastrojów; permanentna nadwrażliwość kazała mu podejrzewać, że wszyscy otaczający go ludzie cierpią. Charlotte miała cienie pod oczami i wyglądała na udęconą wewnętrznym bólem. Pomóż mi, Boże, pomyślał Moose.

— Jak się masz? — wystękał wreszcie.

— Świetnie — odpowiedziała i opadła ciężko na jedno z plastikowych, pomarańczowych krzeseł. Na siedzeniu obok ułożyła komplet książek, które pożyczyła od Moose'a i których w większości nie przeczytała.

— Czy Ricky...?

— Ma się świetnie — odpowiedziała i roześmiała się gorzko. — Zadaje się z chłopakami w moim wieku.

Moose wreszcie uległ przemożnemu pragnieniu niespoglądania na siostrzenicę. Zazwyczaj zmuszał się do patrzenia ludziom w oczy, by nie zostać uznanym za niegodnego zaufania. Nauczył się rzucania szybkich spojrzeń w taki sposób, by nie skupiać wzroku na obliczu rozmówcy. Stwarzał doskonale pozory, choć w istocie widział tylko rozmazane kontury ludzkich twarzy. Wierzył, że można regulować liczbę i jakość obrazów, które penetrowały jego świadomość.

Czyż „penetrowały” nie było znakomitym określeniem? Czy nie jest tak, że obrazy, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym, wciskają się do ludzkiego ciała w brutalny, a zarazem intymny sposób? Moose znowu sporządził lakoniczną notatkę: „Widzenie — seksualne???”

Przestraszył się, kiedy przypomniał sobie o siostrzenicy siedzącej po przeciwnej stronie biurka.

— Proszę — powiedziała, uśmiechając się ze sporym wysiłkiem i podając mu dwie kartki papieru wyjęte z niebieskiej teczki z napisem „Wujek Moose”. — Napisałam to na poprzednie spotkanie, którego nie było.

Moose przyjrzał się kartkom. Ach, pomyślał, ten esej o mechanice.

— Może przeczytałabyś głośno? — zasugerował, zadowolony, że jeszcze przez kilka minut uda mu się uniknąć bezpośredniej rozmowy.

Propozycja zmobilizowała Charlotte do odczytania nagłówka z pierwszej strony: „1852: Wielki Rok”. Tytuł... Zawsze zaczyna od tytułu, zauważył Moose. Uważał, że to uroczy zwyczaj.

Tysiąc osiemset pięćdziesiąty drugi był rokiem, w którym Rockford zaczęło zmieniać się z maleńkiej miejsciny w poważne miasto...

Czytała o drodze, o przybyciu Szwedów, o wzroście populacji. Moose skubał paznokcie.

W tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim roku założono firmę, która miała zbudować tamę na rzece i dostarczyć miastu energii. Oczywiście w owym czasie nie było mowy o hydroelektrowni, lecz jedynie o niewyczerpanym źródle energii kinetycznej...

Tama, bystrze, koła łopatkowe poruszające osiami zawieszonymi pod dachem fabryki. Jak zawsze, myśl o prostej i klarownej mechanice podniosła Moose'a na duchu. To popycha tamto. Jakże daleko od dzisiejszego znaczenia słowa „energia”... Czy ktokolwiek jeszcze wie, co ono oznacza?

...A kiedy wszystko to zaczęło działać, do Rockford zawiąły przedstawicielstwa niezliczonych firm, przysparzając miastu sławy liczącego się ośrodka przemysłowego.

Moose zamknął oczy. Lubił swoją siostrzenicę. Była bystra i chętna do nauki; chwyciła wiedzę tak, jak foka chwyciła w locie rybę. Ale co z nią robiła? W której części umysłu uczninicy ogólniaka mogły mieścić się te dane?

— Podstawą mechaniki, o czym już rozmawialiśmy, jest przemiana siły... — Moose zawiesił głos dla lepszego efektu — ... w ruch.

Charlotte prawie nie słuchała. Czytając wujowi na głos, wreszcie zaczęła wrywać się z odrętwienia, które ogarnęło ją w chwili, gdy odjechała spod domu Michaela Westa. Czyli dokładnie od siedmiu dni. Zwyczajne życie stało się dla niej nieznośne, a każdy jego szczegół zdawał się jeszcze bardziej oddalać ją od tego mężczyzny: jej błękitny pokój, rybki, wąż ogrodowy zwinięty na patio, rodzice siedzący po przeciwnej stronie stołu — wszystko to tylko powiększało ciężar, który już spoczywał na jej głowie.

Po lekcjach jeździła rowerem w stronę jego domu. Raz obeszła posesję dookoła i znalazła na tyłach trawnik wielkości chusteczki, szopę zamkniętą na kłódkę i podniszczony stolik piknikowy, który przestawiła pod okno (a potem z powrotem na miejsce, mierzwiąc rękami udeptaną trawę), by wspiąć się nań i zajrzeć do wnętrza. Zobaczyła cienie przedmiotów w wąskich smugach światła. Nieliczne meble. Poruszył ją widok tego dziwnego wnętrza. A przecież Michael West nie czuł żadnej więzi, Charlotte była dla niego nikim. Dziewczyną, która płakała w jego kuchni.

Lecz tu, w pokoju Moose'a, dystans między nią a nauczycielem matematyki nie wydawał się już taki przepastny. Rytm, który odbierała w jego obecności, w pewnym sensie był wyczuwalny i tu. Charlotte w napięciu słuchała wuja i nagle zelektryzowało ją to jedno sformułowanie: „przemiana siły w ruch”. Usiadła prosto. Przemiana siły w ruch! Wystarczyło użyć siły, by wprawić w ruch uczucia Michaela Westa; by sprawić, by pokochał ją tak, jak ona kochała jego. Odpowiedzią była moc. Mechanika. Nagle wszystko stało się sensowne.



— Niektóre rodzaje mechanizacji, rzecz jasna, istniały już od wieków — mówił właśnie Moose. — Na przykład koła wodne, których pierwsze zastosowanie datuje się na pierwszy wiek przed Chrystusem...

— Wiatraki — mruknęła Charlotte, przytupując niespokojnie.

— Doskonale! — ucieszył się Moose, zadowolony z tego skromnego udziału uczennicy w procesie dydaktycznym. — Mówiliśmy też o wczesnych kopalniach jako jednych z pierwszych przejawów...

Charlotte patrzyła na niego tak dziwnym, pełnym oczekiwania wzrokiem, że mimowolnie urwał w pół zdania, zniechęcony dystansem (milion kroków, nie do przebycia, a może po prostu brakowało mu wytrzymałości?), który dostrzegł nagle między pierwszymi, niepewnymi jeszcze spostrzeżeniami poczynionymi przez Charlotte a choćby najdrobniejszą wibracją, która mogłaby poprzedzać ogarnięcie wizji. „Czekam, aż coś się stanie”, powiedziała mu kiedyś. Te słowa wprawiły go w entuzjazm na dobrą godzinę, zanim zdał sobie sprawę, że mogą oznaczać praktycznie wszystko.

— Wiesz — powiedział — głowa mnie trochę boli.

— Mam tu aspirynę...

— Nie. Nie, dziękuję. — Podpierając palcami skronie, czekał, aż Charlotte zaproponuje przełożenie zajęć na inny termin. Zasada ta sprawdzała się doskonale w gronie studentów college'u. Najbardziej doświadczeni przywykli już do „bólów głowy” Moose'a do tego stopnia, że zrywali się na równe nogi, gdy tylko nieświadomie zaczynał pocierać dłonią brwi. Charlotte jednak siedziała uparcie na swoim miejscu i ścisnęła nerwowo podłokietniki pomarańczowego krzesła dlatego, jak przeczuwał nauczyciel, że chciała porozmawiać o sprawach ani trochę nie związanych z historią źródeł energii w Rockford. Biorąc pod uwagę jej niespokojne zachowanie, myślał Moose, możliwe — nie, prawdopodobne! — że chciałaby podyskutować na tematy osobiste. Boże, pomóż mi! Choć z drugiej strony była przecież jego siostrzenicą. Jego uczennicą! Skoro potrzebowała pomocy, to musiał jej pomóc!

— Bardziej — odezwał się po chwili — pomógłby mi spacer. Co ty na to?

Moose zamknął drzwi gabinetu i poprowadził Charlotte z Meeker Hallu do małego lasu, który zaczynał się nieopodal — gęstego i drapiącego od półnagich drzew — a jednocześnie będącego wspomnieniem tego, co rosło wokół Rockford (nazywanego wówczas „Leśnym Miastem”) około roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego. Silny, dość nieprzyjemny wiatr zrywał z gałęzi poszarzałe, szeleszczące liście. Moose miał na szyi czerwony szalik, który dostał od Ellen pod choinkę. Charlotte dreptała za nim wąską ścieżką, zbierając w sobie odwagę, by poprosić o radę.

Wreszcie jej wuj się zatrzymał. Odezwała się podniesionym głosem, kiedy stanęli naprzeciwko siebie.

— Wujku Moose, kiedy dziewczyna kogoś kocha... kiedy kocha jakiegoś gościa — dodała, w ostatniej chwili wycofując się z zamiaru użycia słowa „mężczyzna” — to jak może sprawić, żeby on jej zapragnął? — W myślach powtarzała te słowa Michaela Westa tak wiele razy, że zabrzmiał w nich jego akcent.

Moose roześmiał się głośno, śmiechem tak serdecznym i zaraźliwym, że Charlotte nie mogła się obrazić.

— Nikt nie zadawał mi tego pytania od... Jezu... ile to już lat? — odpowiedział, spoglądając na siostrzenicą błyszczącymi, pełnymi radości oczami. — Pewnie ze sto.

Stali obok kępy młodych drzew. Moose wszedł pomiędzy nie i przytrzymał odchylone pnie, żeby Charlotte mogła podążyć za nim w gęstwinę.

— Tam — powiedział, miażdżąc martwe liście podeszwami czarnych butów. — Jeśli się nie mylą, tam powinien być strumień.

Poprowadził ją po suchej trawie nad brzeg strugi, która obmywała rdzawe kamienie i wpadała w ciemną toń miniaturowego oczka. Stał na brzegu i pochylił się, by spojrzeć na lustro wody. Po chwili przykucnął.

— Łowiłem tu ryby, kiedy byłem mały.

— Jakie?

— Strzeble.

Moose zamknął oczy. Wspominanie szczeniących lat nie było dla niego łatwe. Rozumiał, że jako chłopiec żył w nieświadomości graniczącej ze ślepotą, ale z drugiej strony pojmował, iż ból, który teraz towarzyszył każdej chwili jego egzystencji, wówczas nie istniał. Kiedy wyobrażał sobie siebie jako dziecko, miał przed oczami chłopca obserwującego świat zza zasłony. Pękał w nim wtedy bąbel smutku, jakby patrzył na kogoś, kto umarł i zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach, jakby wszelkie więzi między tym chłopcem a jego terażniejszą osobą zostały zerwane. Mimo to w niewytłumaczalny sposób wiedział, że wszystko to, co osiągnął — lub próbował osiągnąć — nie spełnia obietnicy, którą był ten mały chłopiec. Wizyty duchów przeszłości nie były szczęśliwymi chwilami.

Wiedział, że Ellen podziela jego wrażenie złamanej obietnicy. Był to jeden z powodów, dla których unikał spotkań z siostrą. Skoro dwoje ludzi dostrzegало pewien fakt, czy w pewnym sensie nie czyniło go to prawdziwym?

— Wujku Moose? — odezwała się Charlotte.

Kucając przez kilka minut nad miniaturowym stawem i obserwując ruchy ryb tuż pod powierzchnią, Moose zdążył pokonać długą drogę od zbierania myśli przed odpowiedzią na pytanie do kompletnego zapomnienia o nim i o obecności siostrzenicy.

— Tak — odpowiedział, odwracając się gwałtownie i spoglądając na dziewczynę jasnymi, wilgotnymi oczami. O czym to rozmawialiśmy? — myślał intensywnie. Zdaje się, że czegoś chciała, ale, na miłość boską, o co pytała? Zastanawiając się nad tym usilnie i czując narastające poczucie winy, Moose spojrzął na siostrzenicę tak, jak prawie nigdy nie patrzył na nikogo: zbadał jej twarz uważnym, wnikliwym wzrokiem. I ujrzał ją: złknięoną, pełną nadziei nastolatkę, nie wyglądającą na swój wiek, nerwowo rwącą w dłoniach kawałek liścia. Przez krótką chwilę zza progu nie istniejącego domu patrzyła na niego Charlotte, a nie mały i zawiedziony Moose-chłopiec.

— Idź za swoim pragnieniem — odpowiedział z siłą, która wprawiła go w zdumienie. Z pewnością była to dobra odpowiedź na każde pytanie; tak brzmiało credo niewinności, ślepoty, dziecięcego szczęścia nie znającego bólu. A Moose chciał, żeby Charlotte była szczęśliwa. Chciał, żeby była wolna. Chciał otworzyć ją na małe przyjemności zwykłego życia, które z trudem potrafił sobie wyobrazić i którego właściwie już nie pamiętał. Życia, którego zazdrościł innym. — Jesteś młoda — dodał. — Ciesz się tym. Chwytaj przyjemności wszędzie, gdzie możesz je znaleźć.

— A co będzie, jeśli ludzie zwrócą się przeciwko mnie? — spytała, stając bardzo blisko niego pod baldachimem drzew. — Jeśli będą się śmiać?

— Zostawisz ich w tyle — odparł Moose, wstając. — Nie pozwól, żeby cię zawstydziła. Wstyd jest próbą sił, kiedy świat próbuje cię złamać. Musisz się przeciwstawić. Musisz! — Własne słowa dodały mu animuszu. — Nie patrz na siebie oczami innych ludzi, jeżeli nie chcesz, żeby cię pokonali, bo... — Moose urwał i pochylił się, czując zawroty głowy — ...bo jesteśmy tym, co widzimy.

Pierwszy raz życiu Moose wypowiedział te słowa w czyjejs obecności. Wyobrażał sobie tę chwilę zupełnie inaczej; spodziewał się, że będzie zwieńczeniem pedagogicznej rozprawy. Wszystko jedno, pomyślał. Tutaj jego słowa mogły posłużyć dobrej sprawie.

Poczuł nagły spokój.

Jesteśmy tym, co widzimy.

Charlotte zadarła głowę i patrzyła mu w oczy. W jej spojrzeniu Moose dostrzegł twarze studentów, które widział czasem na zajęciach, gdy zanadto dał się ponieść emocjom, gdy miał wrażenie, że z koniuszków palców i czubka głowy wypływają mu strumienie energii. Czuł wtedy, że osiągnęli stan absolutnego skupienia, a to wprawiało go w euforię — starą, na poły zapomnianą rozkosz z czasów, gdy był kimś innym.

— Mam iść za swoim pragnieniem? — upewniła się Charlotte. — Naprawdę tak uważasz?

— Dokądkolwiek cię zaprowadzi. — Moose rozłożył ręce w chłodnym, jesiennym powietrzu, jakby wypuszczał siostrzenicę na otwarte wody świata, do którego już nie należał. — Nie masz się czego obawiać — powiedział i dodał po chwili: — To twoja jedyna szansa na szczęście.

Michael West stał we wnętrzu nowoczesnego domu z białej cegły, którego jasność przywodziła na myśl starannie pobielone domki na wysokim klifie. Przymknął oczy i odetchnął głęboko, chłonąc wspomnienie: białe ściany, morze blade jak mleko i wiatr, który pozostawiał na skórze cieniusieńką warstwę soli. Pozwalał sobie na jedno wspomnienie dziennie i nie dopuszczał, by któreś z nich wyewoluowało poza formę, którą utrwaliły zmysły. Prawie nigdy nie zapamiętywał ludzi. Wierzył, że jest w stanie zabezpieczyć się przed zapamiętaniem czegokolwiek, ale jednocześnie uważał, że sprawy całkowicie wyrzucone z umysłu mają osobliwą zdolność do eksplodowania w pewnych okolicznościach.

— Podać panu jeszcze coś do picia?

Głos należał do Mindy Anderson, gospodyni białego domu, w którym odbywał się doroczny Koktajl dla Nauczycieli i Rodziców. Chudej kobiety o długim nosie i rzadkich, jasnych włosach. Pani Anderson strasznie się troszczyła o jego dobre samopoczucie.

— Tak, proszę — odpowiedział Michael. — Chętnie napiłbym się jeszcze piwa.

Odkąd przybył do Rockford, po raz pierwszy wypił alkohol i zdumiewała go autentyczna przyjemność bycia nieco pijanym. Czuł wtedy, że wszystko dokoła staje się płynne, i nabierał przekonania, że jest wszechmocny. Wrażenia te doskonale pasowały do gigantycznego świata, który go otaczał: do domów ogromnych jak okręty, do supermarketów większych od najwspanialszych meczetów, wielkich warzyw i skrzynek na listy zdecydowanie przekraczających rozmiarami punkt śmieszności. Do ciągnących się milami parkingów. A w zapomnianych przestrzeniach między nimi dałoby się zbudować nowe miasto. Po pijanemu Michael West czuł się bardziej Amerykaninem.

Podeszła do niego para. Mężczyzna nie wyróżniał się niczym. Kobieta, o ciele obszernym w taki sposób, w jaki manifestują swą obszerność lodówki i kanapy, miała na sobie luźny, kwiecisty żakiet i spodnie. Ubranie podskakiwało na niej przy każdym kroku jak stadko rozbawionych szczeniaków.

— Powiedziano mi, że to pan jest West — odezwała się takim tonem, że miał ochotę odpowiedzieć, iż się myli. — Moja córka, Lori Haft, uczy się u pana algebry.

— Ach tak, Lori — odpowiedział Michael. Dziewczyna o złotych włosach i długich, szczupłych nogach. Czy to możliwe, żeby miał przed sobą jej matkę?

— Martwią mnie jej stopnie — kontynuowała kobieta, mrużąc oczy. Miała krótkie włosy, ostrzyżone tuż przy skórze. Michael poczuł niepokój. Znał ten typ: głupiec, który wszystko widzi. Takie jak ona prześladowały go przez całe życie, choć najczęściej występowały w męskiej postaci.

— Rozumiem. Proszę mi opowiedzieć o swoich zmartwieniach, pani Haft.

— No cóż, uczy się jak szalona, ale wciąż powtarza, że nie daje jej pan do zrozumienia, które zagadnienia są najważniejsze. Nie rozumie pana. — Oczy kobiety błyszczały podejrzliwością.

Każde zagrożenie, nawet tak mało znaczące, wzbudzało w Michaelu Weście spokój porównywalny z głębokim snem.

— Wydawało mi się, że wyrażam się jasno — odpowiedział. — Widocznie jednak nie dość jasno.

— Widocznie — odparła drwiąco, jakby każde słowo dowodziło jej racji.

— Jeżeli spotka się ze mną po lekcjach, chętnie opowiem jej o tym, co ważne.

— Naprawdę? Zrobiłby pan to? — Jej ulga była widoczna. Egoistka, pomyślał Michael. Przede wszystkim egoistka.

Jak niemal wszyscy.

— Jeżeli tylko Lori wykaże inicjatywę, będę jej służył pomocą.

— Abby Reece mówiła, że przyjechał pan z Kalifornii — zmieniła temat kobieta. — A moim zdaniem ma pan obcy akcent.

Michael przeklął ją w duchu. Jego obcy akcent był praktycznie niewykrywalny, dopóki nie używał słów, których jeszcze nie przećwiczył. Wkrótce nawet najłżejsze naleciałości miały przestać istnieć. Oczywiście Michael nie wykształcił dotąd własnego sposobu mówienia — frazowanie i dykcję kopiował z programów telewizyjnych i z życia innych ludzi. Gramatyką posługiwał się w przemyślany, wystudiowany sposób. Spodziewał się jednak, że i indywidualny sposób mówienia pojawi się lada chwila. Jak zawsze.

— Przez wiele lat mieszkałem za granicą — odpowiedział.

— A skąd pan pochodzi?

— Ze Smithton. To niedaleko od L. A. Od Los Angeles — wyjaśnił, jakby mogła nie zrozumieć popularnego skrótu.

Tego typu uniki byłyby, rzecz jasna, bezcelowe w innych częściach świata, gdzie ludzie identyfikowali się wzajemnie po dialekcie, nazwisku czy akcencie. Lecz w Ameryce zawsze istniało „jakieś inne miejsce”. A Michael West miał dar do przyswajania sobie języków i akcentów — zresztą może było to coś więcej niż tylko dar; po prostu nie umiał im się oprzeć. Działały na niego jak pola magnetyczne, uwalniając jego mowę z krajobrazów przeszłości i konfigurując ją w zgodzie z aktualnym wizerunkiem otoczenia. Akcent był tu jedynie historią; akcent mówił: pochodzę z innego miejsca. Ale dla Michaela Westa przeszłość nie istniała, była rozdrobniona w odłamki zbyt małe, by można było coś z nich odczytać lub by mogły wywołać choćby najsłabsze poczucie straty.

— A gdzie pan był przez te wszystkie lata za granicą? W Meksyku?

Nagle zaczął fantazjować: wyobraził sobie, że chwyta mocno jej dumnie uniesioną, opuchniętą głowę i wpycha lufę pistoletu w luźny, obwisły podbródek, obserwując jej twarz, na której pojawia się wyraz przerażenia.

— We Francji — odparł uprzejmie, rozciągając „a” niemal na całą długość słowa. Chcesz Ameryki, to masz, pomyślał.

Na szczęście w tym momencie zjawila się przyjaciółka pani Haft i Michael mógł odetchnąć z ulgą. Podeszedł do okna i spojrzał na dziwaczny trawnik: po części zielony i krótko przystrzyżony, a po części brązowy, wyschnięty i zaniedbany. Ich punkt styczny wyznaczał niemal prostą linię na tyłach domu. Mężczyzna zamknął oczy, próbując długim wydechem wygnać z siebie wyczerpanie, które czuł od chwili przybycia do Rockford w stanie Illinois. Każdego wieczoru czekał na sen jak głodny na posiłek.

— Zastanawiamy się z mężem, czy nie zrobić prerii na całości — powiedziała Mindy Anderson, pojawiając się znowu u jego boku.

— Prerii? — Michael nie znał tego słowa.

— Widzi pan ten kawałek? To nasz eksperyment — odpowiedziała, wskazując na brązową połąć trawnika. — Zdaniem George'a wyszło nam zbyt „dziko”, ale ja uwielbiam ten fragment. Choć teraz, oczywiście, jest już na wpół martwy.

— Jak to się robi? — zapytał z wahaniem West. Nigdy nie lubił przyznawać się, że w jego wiedzy są poważne luki. Instynkt podpowiadał mu, że rozmowa dotyczy raczej mody niż rzemiosła i że jego niewiedza nie jest niczym szokującym.

— Kupuje się podstawową mieszankę traw i dodaje się jedną z mieszanek kwiatowych. Ja wybrałam „Tęczę”. Szkoda, że nie widział pan tego poletka wiosną i latem. Mieliśmy tu wszystkie barwy, jakie można sobie wyobrazić, ale jednocześnie był to zestaw subtelny, jak na prawdziwie dzikich polach. Do licha, goście się rozchodzą. Proszę wybaczyć.

Doskonale, pomyślał, zaczynają wracać do domów. Wkrótce znowu będę mógł zasnąć. Preria. Preria to trawa, dzika trawa, ostatni krzyk trawnikowej mody. „Zastanawiamy się, czy nie zrobić prerii na całości”, powiedziała. Zrobić prerię.

— Czy zastanawiała się pani kiedyś nad zrobieniem tu prerii? — mruknął cicho. Nie, to nie to. Zbyt formalny układ, pomyślał. — Myślała pani kiedyś, czy nie zrobić tu prerii? Myślała pani kiedy, czy...

— Nie mów do siebie. Mów do mnie.

Abby uśmiechnęła się do niego. Abby Reece, nauczycielka angielskiego o ciemnych włosach lekko naznaczonych szarością. Jej oczy również były szare, a także duże, myślące i wrażliwe. Michael West już czterokrotnie zapraszał ją na kolację — po raz ostatni dwa dni wcześniej. Wybrali się też do kina — był to pierwszy film, jaki widział od wielu lat. Dzień wcześniej poszedł sam, by przyjrzeć się całemu rytuałowi: sprzedaży i sprawdzaniu biletów, toaletom, siedzeniom. Im mniej wiedział, tym więcej musiał rozmawiać, by czuć się w miarę pewnie. Kiedy wrócił do kina z Abby, wszystko wydawało mu się znajome, jak druga natura. Film opowiadał o lekarzu, który zaczął traktować swoich pacjentów jak zwierzęta. Świnie i owce leżały w szpitalnych łózkach. Michael nie bardzo wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć i mówić, ale odniósł wrażenie, że to i tak nie ma znaczenia. „Fuj”, powiedziała wtedy Abby i razem pojechali do jej domu. Położyli się na jej metalicznie niebieskim łóżku i kochali się — dla niego był to pierwszy raz od miesięcy — podczas gdy dzieci spały w swoich pokojach. Później, kiedy pili herbatę w kuchni, zjawiły się jak małe duchy. Michael nie widział ich przedtem; Abby sobie tego nie życzyła. Były bardzo małe. W ich obecności wyczuł drgnienie wspomnień, które natychmiast zdławił. Abby zagoniła oboje z powrotem do łóżek. Kiedy wychodził, powiedziała jeszcze: „Przepraszam, zazwyczaj przesypiają całą noc”.

Abby Reece przyniosła ze sobą normalne życie: mały dom, dwoje dzieci, smukłego, szarego kota oraz kolekcję starych lalek z porcelanowymi główkami. W ciągu jednej nocy życie to mogło stać się życiem Michaela — dokładnie tak, jak między zmierzchem a świtem przy State Street pojawiały się kompletne, zestawiane z plastikowych prefabrykatów restauracje, które przywożono przyczepami w długich kontenerach. Czasami odwiedzał nocą te miniaturowe place budowy i patrzył, jak pracują ekipy specjalistów. Każda część miała swój numer. Tą samą metodą można było wznieść w parę godzin nawet bank. Michael dowiedział się, że muzyka, którą odtwarzano później w takich lokalach czy sklepach, nadawana była satelitarnie, po to by w Nowym Jorku, Atlancie czy Los Angeles grano w tym samym czasie dokładnie te same piosenki.

— Moim zdaniem pora spadać — powiedziała Abby.

— Jasne — odparł i skrzywił się w duchu, słysząc swoją wymowę. Jasne.

Do widzenia, do widzenia. Jak miło. A potem uścisk ręki gospodarza; pulchnego dżentelmena, którego pięcioro dzieci albo uczyło się w Baxter, albo już skończyło edukację w tej szkole.

— Przepiękne obrazy — rzucił Michael na odchodnym, wskazując na wiszące na ścianach bohomyzy, podobne do rozsmarowanego gówna lub smarków.

— Cieszymy się, że jest pan z nami, i mamy nadzieję, że zostanie pan na dłużej — odpowiedział serdecznie gospodarz.

— Dziękuję — mruknął z uśmiechem Michael.

W samochodzie ujął dłoń Abby. Miała silne ręce, ręce matki. W nocy wyobrażał sobie, że go dotykają.



— Muszę odesłać opiekunkę — powiedziała. — A ty mógłbyś zostać na kolację. — Być może powiedziała tak dlatego, że już widział jej dzieci.

— Raczej nie — odparł. — Jestem taki zmęczony.

Uśmiechnęła się mimo rozczarowania. Była dobrą, ufną kobietą. Postarał się dać jej do zrozumienia, że spotkała go w życiu wielka tragedia — śmierć żony i dziecka. Nie wdawał się w szczegóły, a ona była zbyt dobrze wychowana i zbyt taktowna, by wypytywać, dlaczego porzucił dawne życie i rozpoczął nowe. Jak większość ludzi, Abby uważała, że tylko niepojęta katastrofa mogła pchnąć człowieka do takiego czynu, ale Michael West robił to już nieraz. W zapominaniu o dawnym życiu była niezwykła świeżość, wrażenie tak silne i dojmujące, że graniczące z bólem. Siłą umysłu i ducha kształtował na nowo fakty z własnej egzystencji, tak jak fala przyływu aranżuje kształty wybrzeża. W każdym nowym życiu czekała na niego Abby — czasem więcej niż jedna — zazwyczaj kobieta z wolnym miejscem obok, w które Michael mógł wpasować się idealnie, jakby należał doń od urodzenia.

Minęli dwa bary McDonalda, ale pilnował się, jak zawsze w czyjejś obecności, by nie spojrzeć w ich stronę. Nigdy jeszcze nie był w żadnym z nich.

Skręcił na podjazd przed domem Abby — małym, jednopiętrowym, z żółtawej cegły, praktycznie nieodróżnialnym od tysięcy podobnych domów w Rockford.

— Wejdiesz na chwilę? — spytała, tym razem z grzeczności. Oczekiwała odmowy.

— Jasne — odpowiedział, raz jeszcze testując wymowę. Chciał przedłużyć kontakt z ludźmi choćby o kilka minut, aby opóźnić powrót do samotności. Wraz z samotnością pojawiały się zmęczenie i sen, ale tylko sen podszyty gwałtownymi, niepokojącymi wizjami i pytaniami, które wymagały odpowiedzi: co robił w Rockford, Illinois? Gdzie jest ten spisak, który zamierzał zniszczyć, przybywając do Ameryki?

Abby wyglądała na zaskoczoną, ale i zadowoloną z jego decyzji. Jej mąż, Darden, dwa lata wcześniej uciekł do Kalifornii z młodą kobietą z fałszywym nosem, fałszywym podbródkiem i dwiema fałszywymi piersiami. Jeśli nie liczyć sporadycznych płatności, nie utrzymywał żadnego kontaktu z Abby i swymi dziećmi. Michael z trudem panował nad własną ciekawością; często zastanawiał się, jakim człowiekiem był Darden Reece. I co miał nadzieję znaleźć w Kalifornii? Czy to znalazł?

Abby otworzyła drzwi frontowe i dwoje dzieci, Colleen i Gavin, wybiegło jej naprzeciw. Michael dostrzegł kątem oka opiekunkę, która błyskawicznie odłożyła słuchawkę telefonu. Mrugnął do niej, żeby wiedziała, że ją przyłapał. Miała długie, pomarańczowe paznokcie i żuła potężną bryłę gumy, która wypychała jej policzki. Jej wiek — mniej więcej szesnaście lat, jak się domyślał — przypomniał mu o innej dziewczynie, tej, która śledziła go samochodem aż do domu.

Michael bez zastanowienia porwał w ramiona filigranową Colleen, której gołe stópki lepiły się od brudu zebranego z podłogi. Abby, która właśnie płaciła opiekunce, spojrzała na niego z lękiem i zadowoleniem zarazem — pierwszy raz miał okazję i zechciał wziąć na ręce jej córkę. Podnosząc wysoko wierzgającą czterolatkę, Michael zastanawiał się nad tym, jak łatwo byłoby sprawić, by ta rodzina stała się jego rodziną. Ludzie byli jak pnącza szukające okazji do zaczepienia się gdzieś — wystarczyłby dotyk małych stóp, drobne ramionka zaplecione wokół jego szyi, matka dziecka stojąca opodal i spoglądająca z nadzieją... Jakże łatwo byłoby wśliznąć się w życie innych ludzi. Dwuletni Gavin wczepił się w nogę Michaela i chwilę później i on był już w jego objęciach. Mężczyzna poczuł ogromne ciężenie dwóch leciutkich ciał; zapragnął położyć się u boku tej kobiety i jej cudownych dzieci, i już nigdy się stąd nie ruszyć. Po chwili jednak odsunął od siebie tę myśl. To nie mogło się udać, jego dusza była na to zbyt mała. Większość ludzi miała wielkie i miękkie dusze, pełne uczuć i potrzeb, które uczyniłyby życie Michaela Westa absolutnie nieznośnym. Czułby się tak, jakby kazano mu funkcjonować z rozprutym brzuchem, podtrzymując wnętrzności obiema rękami. Miał duszę ciasną i

twardą, krystaliczną jak diament. Ludzie dostrzegali w niej tylko to, co chcieli dostrzec. Na tym polegał jego dar: dysponował duszą obiecującą innym wszystko, co sobie wymarzyli, i nie dającą niczego w rzeczywistości.

Wiedział, że prędzej czy później doszłoby do „zadomowienia”, które z początku byłoby cudownym doświadczeniem. Jednak gdyby poślubił Abby Reece, wprowadził się do jej domu, zaczął chodzić co niedzielę do kościoła z jej dziećmi, gdyby miał grillować z sąsiadami, karmić kota i grywać w golfa, jego dusza w końcu przepaliłaby miękką tkanekę nowego życia i znalazłaby się na zewnątrz, a on razem z nią. Bez względu na to, z ilu warstw składała się tutejsza egzystencja, dusza poradziłaby sobie ze wszystkimi.

Abby wyszła do kuchni, żeby przygotować kolację. Przytulając dzieci, Michael pochylił się nad nią, żeby zakomunikować, że wychodzi.

— Nie! — zawołała Colleen, a Gavin natychmiast powtórzył jej okrzyk, nie pojmując znaczenia. — Nie! Nie!

Maluchy trzymały się szyi Michaela jak spłoszone małpki, kiedy próbował odstawić je na ziemię.

— Dzieci — powiedziała ostro Abby. Uspokoily się w jednej chwili i stanęły niemal bez ruchu.

Kobieta wsypała do szklanej miski paczkę makaronu przeznaczonego do odgrzewania w mikrofalówce i dodała wody.

— Na pewno nie chcesz zostać? — spytała cicho.

Przy drzwiach Colleen objęła nogi Michaela i ucałowała go w oba kolana. Nie podniósł jej po raz drugi.

Szybko pojechał do swego ciasnego, piętrowego domu, którego atmosfera była dokładnym przeciwieństwem aury otaczającej dom Abby Reece. Abby zresztą nigdy nie widziała jego mieszkania i zapewne byłaby zszokowana pustką, która w nim panowała. A jednak w tej chwili ten dom pasował Westowi jak żaden inny.

Zmęczony. Wyczerpany. Zmachany. Złachany.

Nawet w potocznym języku brakowało słów oddających wiernie to przemożne uczucie, które go ogarnęło. Towarzyszyło mu od miesięcy, odkąd przybył do tego miasta. Wyciągnął rękę po piwo, ale zmienił zdanie i nalał sobie szklankę mleka, którą zabrał do swojego pokoju. Stało tu łóżko, komoda i — ma się rozumieć — telewizor, ta jakże amerykańska skrzynia skarbów. Michael West starał się oglądać te same programy, które oglądali inni — szukał w nich akcentu, faktów, popularnej wiedzy. Niekiedy miał problemy z odróżnieniem zdarzeń telewizyjnych od realnych, choć z drugiej strony wiedział, że niektóre historie z małego ekranu nie mogłyby się wydarzyć w rzeczywistym świecie; nawet w Stanach Zjednoczonych. Wziął prysznic, przysłuchując się dźwiękom z telewizora poprzez niejednostajny szum wody. Nie wytarłszy się zbyt dokładnie, położył się na łóżku i spojrzął przelotnie na książkę o japońskiej sztuce erotycznej, ale nie sięgnął po nią. Był zbyt zmęczony. Przez moment żałował, że nie został z Abby; tęsknił za seksem z ludzką istotą. Za seksem, nie za „kochaniem się” czy miłością. Z tym miałby za dużo roboty.

W środku nocy odezwał się dzwonek u drzwi. Michael ocknął się w paroksyzmie strachu i zerwał się na równe nogi, widząc przed oczami tylko jasne plamy wywołane nagłą zmianą położenia. Przez chwilę miał wrażenie, że straci przytomność, ale chłodna, rzeczowa część jego natury szybko zaprowadziła porządek: jeżeli wytropili go rodacy, to niech tak będzie. Od początku wiedział, że kiedyś może to nastąpić. Mimo to poczuł jeszcze większy niepokój, kiedy dzwonek odezwał się po raz drugi.

Włożył dzinsy i wcisnął za pasek walthera. Nie spodziewał się, że pistolet pomoże mu pokonać tych, którzy go odnaleźli, ale mimo wszystko poczuł się silniejszy. Zdjął z wieszaka koszulę i zapiał kilka guzików, aby ukryć broń. Przeszedł po cichu do frontowego pokoju, z którego mógł wyjrzeć na dół i zobaczyć tego, kto stał przed drzwiami. Kogoś o szczupłej, kobiecej figurze. W świetle księżycy błysnęła metalicznie rama czerwonego roweru, który leżał na trawie.

Zbiegł po schodach i otworzył drzwi. Zobaczył dziewczynę ze szklaną kulą, w której pływały ryby.

Ulżyło mu tak bardzo, że poczuł pieczenie w oczach, choć może niedawny strach miał zdecydowanie irracjonalny charakter.

— Witaj — powiedział, oszołomiony z lekka nagłym powrotem serca do normalnego rytmu.

— Cześć — odpowiedziała i wyciągnęła ręce. W wodzie pływały trzy gładkie ryby, mieniające się karmazynowo i cynobrowo. Wyglądały jak kwiaty. — To dla pana.

— Dziękuję — odparł, przyjmując naczynie. Na poły śpiący, czuł, jak zmęczenie powraca, przebija się przez szczątki paniki i ponownie obezwładnia jego ciało. Otworzył drzwi szerzej i poprowadził gościa do kuchni, gdzie ustawił zbiornik z rybkami na stole. Kiedy włączył lampę, zauważył, że świeci nieprzyjaznym, prawie zielonym światłem. Pomyślał, że powinien zmienić żarówkę albo założyć abażur, żeby odfiltrować ten upiorny blask. Ryby delikatnie objęły się o wypukłą ściankę naczynia.

— Zimno im — powiedziała dziewczyna.

Była ubrana w dzinsową kurtkę i białą koszulę — męską, podobną do tej, jaką West miał na sobie. Włosy, jak zawsze, spięła w koński ogon, a na nosie miała okulary. Jej policzki zaróżowiły się od chłodu i wysiłku.

— Przywiozłaś je na rowerze? — zapytał.

— Umiem kierować jedną ręką — odparła. — Powinien pan trzymać je przy łóżku.

— A to dlaczego?

— Jeżeli będzie pan je obserwował przed zaśnięciem, przyniosą dobre sny.

Te słowa przykuły jego uwagę. Sny były problemem — dokuczaly mu nie tylko w nocy, ale i za dnia, kiedy pozostawał po nich osad niepokoju. Czasami myślał, że lepiej byłoby w ogóle nie śnić.

— Są tacy, co zawsze mają dobre sny — odpowiedział. — Z rybami czy bez.

— Mówię panu, że tak jest.

Mężczyzna pochylił się nad zlewem, obserwując dziewczynę. Było między nimi wzajemne oddziaływanie; zauważał to za każdym razem, gdy była blisko. Zawsze szanował siłę przypadku, podświadomie wyczuwanych wibracji, wszystkiego, czego nie można było dotknąć i zmierzyć. Zdarzało się, że ta moc była potężniejsza od innych, a wtedy nawet ci, którzy jej nie respektowali, musieli ugiąć się pod jej naciskiem. Jednak te wibracje nie miały w sobie niszczącej mocy. Były podobne do setek innych, które wyczuwał między sobą a innymi ludźmi.

To, że znowu musi odprawić tę dziewczynę, wydawało mu się oczywiste. Zwlekał jednak. Charlotte sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła pojemnik z karmą dla rybek. Wyjaśniła rzeczowo, jak często i jak obficie należy je karmić, ale Michael nie słuchał. Odprawienie jej nie wystarczy, myślał, zrobiłem to przecież już dwa razy. Tym razem trzeba się będzie postarać o mocniejszy przekaz. Muszę nią wstrząsnąć, ale nie nastraszyć jej do tego stopnia, by poleciała do kogoś szukać pomocy, postanowił. W gruncie rzeczy jednak wątpił, czy zrobiłaby coś takiego. Niewykluczone, że próbowałaby poradzić sobie ze stresem samodzielnie. Patrzył uważnie na jej bladą twarz i szyję.

— Zanieśmy je tam, gdzie pan sypia — powiedziała.

— To nie będzie konieczne...

Charlotte podniosła naczynie z milczącym uporem, który zdenerwował Michaela Westa, a jednocześnie pobudził jego ciekawość. Jeżeli było jakieś pragnienie, którego opanowanie sprawiało mu prawdziwą trudność, to była nim obsesyjna żądza poznania wszystkich aspektów danej sytuacji, zanim przystąpił do działania. Zawsze chciał czekać i testować własne przekonania na temat ludzkiej natury i psychologii w konfrontacji z siłą rzeczywistości. Ucierpiał z tego powodu już nie raz, ale impuls oczekiwania pozostał w nim, a może nawet umocnił się z czasem. Niejednokrotnie wiedział więcej niż otaczający go ludzie, czasem znacznie więcej, lecz mimo to jakąś cząstką swego jestestwa wciąż pragnął,

by potwierdzały się jego przepowiednie i oczekiwania, albo też — co zdarzało się niezmiernie rzadko — by ktoś jednak go zaskoczył. Było coś fascynującego w tym, że młoda Amerykanka tak gorąco wierzyła, iż może nim pokierować.

— Na górze — powiedział.

Ruszyła przodem. Idąc za nią, znalazł się w zasięgu dźwięków telewizora, a równocześnie mógł przyjrzeć się tyłkowi i biodrom Charlotte, wdychając przelotnie jej zapach — czysty i świeży, jak zapach morza. Po raz pierwszy poczuł coś w rodzaju namiastki fizycznego pociągu do dziewczyny: pomyślał, że chciałby jeszcze raz skosztować tego aromatu.

— Zaczekaj — powiedział, kiedy wspięli się po schodach na piętro. Zastanawiał się nad tym, w jakim stanie zostawił swój pokój. — Daj mi te ryby. Tam nie jest zbyt czysto.

— Niech pan wyłączy światło — odpowiedziała. — Wtedy nic nie zobaczę.

— Przewrócisz się i moje piękne, nowe rybki zginą.

— Umiem się poruszać w ciemności.

Mężczyzna znieruchomiał, ponownie mierząc mentalną temperaturę swego ciała. Miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby pozbyć się tej dziewczyny. A jednak ciekawość powstrzymywała go przed takim krokiem. Nie chciał, by ta historia skończyła się zbyt szybko. Kim ona była? Oczywiście spotkali się już wcześniej — czasem miał wrażenie, że nie było na świecie ani jednej osoby, której jeszcze nie spotkał, i to wiele razy. Tym razem jednak miał problem z umiejscowieniem dziwnej, młodej kobiety. Stała w półmroku, trzymając w dłoniach zbiornik z rybkami. Michael wszedł do sypialni, zamknął za sobą drzwi i zaraz zgasił światło. Na oknie stało małe drzewko kumkwat, które niedawno kupił. Jego zaskakująco cytrusowy zapach wypełniał pokój. Mężczyzna wyłączył telewizor i w całym domu zapadła wspólna cisza, dźwięk nad dźwiękami. Nie zasłonił żaluzji, toteż sypialnię przenikał mocny blask księżyca, który wypłynął właśnie pomiędzy chmury.

— W porządku — powiedział, otwierając drzwi. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest zdenerwowany. Wszystko to było raczej dziwne. Dziewczyna weszła i zamknęła za sobą drzwi.

— Zaczekaj... — powiedział, ale światło księżyca było dla niej wystarczające: pewnie podeszła do okna i ustawiła krągły zbiornik obok miniaturowego drzewka. Zimny blask przeświecił wodę i leniwe, senne, płynne ruchy rybek wydały się Michaelowi odzwierciedleniem tego, co działo się w jego umyśle. Czuł, że pływa razem z nimi. Dziewczyna przysiadła na brzegu łóżka i zrzuciła tenisówki. Ulokowała się plecami do okna. Nie widział niczego poza jej ciemną sylwetką.

— Chodź — szepnęła.

Michael West uznał, że trzeba z tym skończyć, trzeba nakreślić linię (ten zwrot usłyszał w telewizji), ale jednocześnie czuł, że jest już za późno. Wydarzenia rozgrywały się zbyt szybko.

— Już czas, żebyś wróciła do domu — powiedział z tak obcym akcentem, że na moment zmartwił ze strachu.

— Usiądź przy mnie na chwilę.

Usiadł. Natychmiast też poczuł, że walter uwiera go w żebra.

— Zaczekaj — powiedział, wstając energicznie. Zbliżył się do komody, otworzył szufladę, wyjął pistolet i ukrył w stałym miejscu, pod skarpetkami.

— Co pan robi? — spytała.

Usłyszał w jej głosie odrobinę lęku. Była sama w domu obcego mężczyzny, który miał broń; przyszła do niego z pustymi rękami, jeśli nie liczyć naczynia z rybkami. Głupia, pomyślał, zdesperowana, szalona — słowa przebiegały przez jego umysł, ale nie wszystkie miały identyczne zabarwienie. Odważna. Dziwna. Poruszyło go to zestawienie. Dziewczyna oddała się w jego ręce, udając, że tego nie wie, udając, że to do niej należy inicjatywa i władza. A on jej wierzył.

W tym momencie podjął decyzję, a raczej zaakceptował decyzję, którą podjęto bez jego wiedzy. Nie wiedział, co myśleć o zdarzeniu, w którym uczestniczył, ale postanowił zaakceptować tę sytuację. W pustym wszechświecie każdy musiał orientować się według jakichś współrzędnych i obrać jakiś kurs, a Michael West — albo Z, jak nazywał się do sierpnia, czy też mężczyzna występujący pod którymkolwiek z wielu innych imion i nazwisk — postanowił usiąść obok dziewczyny.

Położyła się z rękami przy bokach, wpatrując się w sufit. Uczynił to samo, nie dotykając jej. Napawał się jej zapachem. Śliwki, pomyślał. Śliwki rosnące nad morzem.

— Czy to perfumy? — spytał.

— Balsam — odpowiedziała. — Z Florydy. — Była przerażona. Michael wyczuwał drżenie materaca pod jej ciałem. Bała się przez cały czas, a on o tym nie wiedział.

— Kocham ten zapach — mruknął i chwycił jej dłoń, gorącą i rozedrganą.

Charlotte przewróciła się na bok, żeby widzieć jego twarz. Bardzo mocno zapletli wokół siebie ramiona. Mężczyzna wyczuwał siłę dziewczyny, rytmiczne bicie serca w szczupłym ciele. Teraz dopiero ją rozpoznał: niewinna. Instynktownie zapragnął ją ochronić przed zbliżającym się, wielkim niebezpieczeństwem, ale... dostrzegł jedynie siebie.



# Rozdział siódmy

Następnego ranka, po mojej przerwanej rozmowie z Irene Maitlock, Oscar zadzwonił do mnie i odczytał numery telefonów do dwóch psychiatrów. W przeblýsku nieludzkiej wręcz powściągliwości nie wspomniał ani słowem o tym, że wypędzając reporterkę „New York Posta” z mojego mieszkania, pozbawiłam się choćby nadziei na powrót do dawnego życia.

— Porozmawiamy, kiedy spotkasz się z którymś z tych wyśmienitych lekarzy — powiedział. — Albo z obydwoma.

Nie zamierzałam dzwonić do żadnego doktora od czubków. Pozbawiona źródeł dochodów znalazłam się w takim stanie, że nie zrobiłabym tego nawet wtedy, gdybym uważała się za osobę wymagającą opieki psychiatrycznej. A nie uważałam się, rzecz jasna. Czy któryś z nich mógł odnieść sukces tam, gdzie zawiodła fachowość doktorów Fabermanna i Millera, którzy próbowali na powrót zrobić ze mnie osobę znaną mi sprzed wypadku? Nie. Psychiatra „pomógłby mi”, jak to łagodnie ujął Oscar, czyli zmusiłby mnie do zaakceptowania obecnej sytuacji. Tylko że z tym umiałabym sobie poradzić i bez pomocy — robiłam to całe życie. Problem polegał na tym, że jeszcze nie bardzo wiedziałam, na czym polega ta „obecna sytuacja”.

Odczekałam dwadzieścia cztery godziny, a potem oddzwoniłam do Oscara.

— Spotkałam się z Mitzenkopffem — zameldowałam. — Wiesz, co mi powiedział, Oscarze? Powiedział, że kilka zleceń zrobiłoby znacznie lepiej mojej duszy niż setki godzin terapii. Dasz wiarę, że taki z niego uczciwy psychiatra?

— Doktor Mitzenkopf jest kobietą — odparł Oscar i odłożył słuchawkę bez zbędnych komentarzy.

Po tej wymianie zdań, która rozpoczęła się i zakończyła punktualnie o dziesiątej trzydzieści pięć w piątkowy poranek, nie rozmawiałam z nikim więcej przez siedemdziesiąt dwie godziny.

Kolosalna cisza otworzyła się nagle i ogarnęła mnie; miałam wrażenie, że ma planetarne rozmiary i podejrzewałam, że dobrze ją znają astronauty i polarnicy, ale dla mnie była zjawiskiem zupełnie obcym. Siedziałam na kanapie i wpatrywałam się w burzę śnieżną szalejącą na zewnątrz: miriady białych płatków leciały z wiatrem jak szalone i zderzały się z rozsuwanymi drzwiami mojego balkonu.

W poniedziałek rano, wzdłuż brzegów East River leżały już hałdy śniegu, lśniące złościście w promieniach słońca. I wtedy zadzwonił telefon.

— Mam dla ciebie dwa słowa — powiedział Oscar, kiedy rzuciłam „halo” głosem odwykłym od mówienia. — Włoski „Vogue”.

Zdaje się, że krzyknęłam.

— Uważaj na twarz — poradził. — Musi dotrzeć do jutra. Czułam w policzkach pulsowanie krwi. Usiadłam, ogarnięta euforią.

— Jest tylko jeden szczegół... — dodał Oscar. — Oni wierzą, że będziesz bohaterką dużego artykułu w „Post”. Nie oświecajmy ich.

Nie skomentowałam.

— Kto robi zdjęcia? — spytałam.

— Spiro. Który jest w tej chwili gwiazdą.

— Nie mówisz chyba o tym  *paparazzo* Spiro? — zdumiałam się. Miałam na myśli mocno już zdesperowanego, drugorzędnego wyrobownika, którego zdjęcia (formatu znaczka pocztowego) ukazywały się w dolnych partiach stron poświęconych ploteczkom towarzyskim.

— Właśnie o nim — oświadczył Oscar. — Mój Boże, jak ten świat się zmienił w ciągu paru miesięcy.

Ostatniej jesieni odmieniły się przede wszystkim losy Spira, wyjaśnił mi Oscar. Wystawił on w Metro Pictures zdjęcia, które robił na własną rękę: w hołdzie Gordonowi Parksowi stworzył serię czarno-białych portretów szesnastoletniej przywódczyni gangu, znanej jako Honey B. Krytycy wysoko ocenili autentyczność fotografii, zimnych portretów oblicza miejskiej przemocy, przywodzących na myśl dzieła Goi. „Bazaar” natychmiast zamówił u Spira serię „Girl Gang”, niesławną prezentację mody, w której modelki w strojach Martine Sitbon i Helmuta Langa udawały członkinie organizacji przestępczej. (Szczególnie ostre komentarze wywołało zdjęcie zatytułowane „Egzekucja”, na którym Kate Moss mierzyła z obrzyna do skrepowanej, kłęzącej Amber Valetty.) Od tamtej pory Spiro mógł przebierać w ofertach magazynów mody.

— Silne kobiety to jego specjalność — dodał Oscar. — Koniec z tymi śmieciami z serii „jestem bezdomną ćpunką”.

— Mam wziąć ze sobą pistolet? — zapytałam.

— Powinnaś chwalić Allacha za tę szansę i dać z siebie wszystko, żeby zadowolić Spira — odparł Oscar. — Słyszysz mnie, Charlotte? Słuchasz bardzo uważnie swojego Oscara?

— Słucham.

— Masz. Się. Spisać.

Zakończywszy rozmowę poszłam prosto do lustra, żeby przygotować moją obolałą, nieokreśloną twarz na jej wielki dzień. Rozmasowałam ją delikatnie, wyobrażając sobie, że wyczuwam pod skórą ostre lby śrub. Natarłam się olejkami z witaminą E, cofnęłam się nieco i spojrzałam na resztę ciała. Wzrost: 178. Waga: +/- 57. Wymiary: 89-63-91. Włosy: krótkie (zawsze), cienkie i proste, ale zyskujące nieco na naturalnym, ciemnobrązowym połysku. Oczy: zielone. Twarz: delikatna, nieco pociągła, na pierwszy rzut oka młoda. Szyja: długa. Piersi: nijakie, niespecjalnie duże, ale w miarę sprężyste w porównaniu z tymi, które widziałam u kobiet w moim wieku mających za sobą karmienie dzieci (na przykład u mojej siostry). Talia: wąska i kształtna, płynnie przechodząca w krągłość pośladków i bioder. Dłonie: wąskie, o długich palcach, ze skłonnością do zaczerwienień. Nogi: proste, odrobinę za szczupłe w łydkach, w ostatnich latach trochę zbyt żyłaste (czyżby nadmiar tenisa w dzieciństwie?) Stopy: niegdyś ładne, z wiekiem coraz bardziej wysuszone i twarde.

Co mogły oznaczać te dane i w jaki sposób poszczególne części współgrały ze sobą, tworząc ludzką istotę, poruszającą się i wyglądającą w określony sposób, nie miałam pojęcia. Jako nastolatka po raz pierwszy zauważyłam spojrzenia ludzi, których mijalam, spacerując z matką i Grace po Michigan Avenue w Chicago, podczas wypraw na zakupy. Zerkali, a potem spoglądali uważniej i za każdym razem czułam gdzieś w środku przyjemny dreszcz. Wiedziałam, jak działa tranzystor: ojciec pokazał mi kiedyś zdjęcie pierwszego, wykonanego w Laboratoriach Bella. Wyglądało to jak niepozorny kamień, a jednak potrafiło wykonać genialną, rewolucyjną sztuczkę — wzmacnić impuls elektryczny. Przejawy zainteresowania obcych ludzi moją osobą były dla mnie właśnie strumieniem energii, który jakimś cudem potrafiłam zmienić w potężną moc.

Jako dzieci lubiliśmy z Grace udawać, że nasze życie jest filmem wyświetlanym na gigantycznym ekranie przed spragnioną sztuki widownią, która z zapartym tchem przygląda się, jak zjadamy kotlety schabowe, odrabiamy zadania domowe i kładziemy się do równoległe ustawionych łóżek, po czym Grace wstaje, żeby zamknąć drzwi szafy, które jak zwykle zostawiłam otwarte. Z biegiem lat to, co było jedynie fantazją, przekształciło się w powołanie — zaczęłam rozmyślać o własnej przyszłości nie przez pryzmat tego, co mogłabym robić i osiągnąć, ale przez pryzmat sławy, którą zamierzałam zdobyć. Studiując w University of Illinois w Urbana-Champaign, wyprawiałam się często do Chicago, by popatrzeć na szklane wieże, których okna jarzyły się długo w noc. Gdzieś tam, za rzędami połyskliwych paneli ze szkła, znajdował się pokój luster, miejsce, którego nigdy nie widziałam i o którym niewiele wiedziałam. Sławni ludzie, którzy

tam mieszkali, nie należeli do tych, których się widuje i z którymi się rozmawia. Interesowała mnie wtedy poezja, a zwłaszcza Pope i Keats, którym moim zdaniem udało się zgłębić całe spektrum zmysłowości i cynizmu, jakie znane były rodzajowi ludzkiemu. Zdołałam nawet nauczyć się na pamięć połowy *Wigilii świętej Agnieszki* i często pomrukiwałam sobie dyskretnie te strofy, kiedy było mi nudno, gdy czułam się samotna lub podczas aerobiku. Przyjemność, którą czerpałam z obcowania z „moimi” poetami, wiązała się z aurą ponurego przeznaczenia: ci dwaj nigdy nie zaprowadziliby mnie do pokoju luster — jeden szpetny, drugi wyniszczony suchotami, obaj martwi — zatem wiedziałam, że pewnego dnia porzucę ich dla mniej szlachetnego partnera.

Odkryto mnie pewnej niedzieli, gdzieś między drugim a trzecim rokiem studiów, kiedy spędzałam wakacje w Chicago z dwiema kumpelkami z uczelni, Sashą i Vicky. Wszystkie pracowałyśmy sezonowo w kancelarii prawniczej Dana, wujka Vicky. Siedziałyśmy akurat na trawce w parku Lincolna, dzieląc się skrętem i racząc cukierkami ślazowymi, kiedy podeszła do nas przerażająco poważna kobieta.

— Dziewczęta, czy mogę przez chwilę z wami porozmawiać? — spytała.

Vicky, która miała hopla na punkcie prawa i przyzwoitości, zduśliła zapalonego skręta gołymi palcami i wrzuciła go za dekolt sukienki.

— Eee... jasne — odpowiedziałyśmy. Miałyśmy dość mętny wzrok i podejrzenie swobodne ruchy.

Kobieta zwróciła się do mnie.

— Pracuję w agencji modelek — powiedziała. — Myślałaś kiedyś o karierze w tej branży?

— Trochę — odparłam.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście.

Vicky, chorobliwie uczciwa i prawdomówna, wybałuszyła oczy ze zdumienia — do dwudziestych urodzin brakowało mi tylko dwóch tygodni. Na moje szczęście, tłący się jeszcze skręt przypomniał o sobie za paskiem jej sukienki. Wrzasnęła nagle i zaczęła tłuc się dłonią po brzuchu. Sasha odciągnęła ją na bok.

— Tylko osiemnaście? — spytała kobieta. — A może bliżej dziewiętnastu?

— Hmm... Prawie osiemnaście. Miałam wrodzony talent.

Kobieta dała mi wizytówkę. Dołączyłam do Sashy i Vicky, które znowu leżały na trawie, tym razem rozpaczając nad dziurą wypaloną w letniej sukience. Poszłyśmy na farmę w zoo, żeby popatrzeć, jak cierpliwa krowa pozwala, by automatyczna dojarka czyniła swoją powinność na oczach zachwyconych dzieciaków. Białe mleko mknęło przezroczystymi, plastikowymi rurkami. Zostałam odkryta! — myślałam z podnieceniem. Ktoś mnie rozpoznał, wydobył z tłumu! Nie dostrzegałam niczego dziwnego w tym, że odkrycie mnie, a nie to, że coś osobiście odkryłam, miało stać się punktem zwrotnym mojego życia. Bycie odkrytym sprawiło mi taką samą satysfakcję, jak dokonanie odkrycia.

Czy ktokolwiek na Ziemi mógł nie znać szczegółów kariery rodzącej się gwiazdy świata mody? Rozmowy w agencjach. Zdjęcia próbne. Opuszczone zajęcia w college'u. Fotograficy. „Masz w sobie to coś!” Małe porcje kokainy w łyżeczkach i bursztynowych fiolkach. Kosztowne kolacje, których nikt nawet nie ruszał. Świat, w którym się znalazłam, był nieskończenie trywialny, ale kusił mnie lenistwem i „niegrzecznością”, która pozwalała odpuścić sobie kolacje i zjeść zamiast niej galon lodów albo przez calutki weekend gnić przed telewizorem. Rozkoszowałam się tym niekonsekwentnym stylem życia, mimo iż był pusty; mało tego, rozkoszowałam się nim, ponieważ był pusty. Podbródek niżej. Przystań miętosić dłonie. Nie gap się, patrz swobodnie. Nie gadaj. Trudniej na ciebie patrzeć, kiedy poruszasz twarzą.

Będąc obserwowaną, czułam się tak, jakbym stała w centrum wydarzeń — w jedynym miejscu, w którym warto było się znaleźć. Wszystkie inne miejsca kojarzyły mi się z pasywnością, daremnością i nijakością.

Wiem, że to trywialne. Ale ja zmierzałam do pokoju z lustrami. Na całym świecie nic nie liczyło się dla mnie bardziej.

Wyleciałam z college'u sześć miesięcy przed obroną dyplomu.

Następnego ranka, kiedy miałam zacząć pracę dla włoskiego „Vogue”, pogoda nieco się poprawiła. Nie wkładając kominiarki, zesłam na dół i zatrzymałam taksówkę.

W mocnym świetle poranka Broome Street wyglądała na szarą i zniszczoną, jak wnętrze starej rury. Wszystkie bramy były zamknięte. Dochodząc do studia, brnęłam przez sterty śniegu, które zdążyły już się zabarwić brudem z powietrza. Unikałam miniaturowych lodowisk, które powstały w zapadniętych fragmentach chodnika.

Winda przemysłowa zawiozła mnie wprost w sferę jasnego, żółtawego światła. Byłam zaskoczona; poczułam się tak, jakbym znalazła się w otwartej przestrzeni, a nie w budynku. Zobaczyłam białą podłogę, białe mury i rzędy dużych okien w przeciwnych ścianach poddasza. Z kąta sączyła się niezbyt głośna muzyka taneczna, a na stoliku, na tacy z ocynkowanej blachy, leżały bułeczki. Obok stały dzbanki z sokiem pomarańczowym i kawą. Poczułam niegroźną detonację w okolicy serca. Znowu byłam w pracy!

Spiro powitał mnie, kiedy nalewałam sobie kawy. Był mężczyzną złożonym głównie z łokci, ścięgien oraz szczęki, a także z nieco wybałuszonych oczu o nabrzmiałych powiekach.

— Wielkie nieba, Charlotte — powiedział, całując powietrze po obu stronach mojej twarzy, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. — Wyglądasz zupełnie inaczej! Niesamowite... Kto cię operował?

Odpowiedziałam, podkreślając wkład doktora Fabermanna. Spiro zmrużył oczy, wyraźnie zainteresowany.

— Nie sądzisz, że byłoby wspaniale, gdyby dziewczyny regularnie poddawały się takim operacjom, żeby zaskakiwać wszystkich swoim wyglądem? — spytał. — Powiedzmy, raz do roku. Co najmniej. Bo to zmienianie koloru włosów co pięć miesięcy już mi się przejadło: blondynka, brunetka, blondynka, ruda... „Och, jesteś jak kameleon!” A mnie interesuje tkanka, wiesz? Prawdziwa ludzka istota.

— Nie jestem pewna, czy zgłosiłabym się na ochotnika — odpowiedziałam. — Ale jakoś nauczyłam się żyć z tym, co mnie spotkało.

— Zmiany są bolesne, nieprawdaż? — stwierdził Spiro. — To w tkankach ciała czujesz ból, nie we włosach, nie w paznokciach, nie w rzęsach. Takie drobiazgi to łatwizna.

— To prawda — przytaknęłam, choć miałam wrażenie, że Spirowi trochę odbiło.

— Słuchaj, Ellis robi nam dzisiaj makijaż. Znasz Ellisa? — Nie znałam Ellisa. — Właśnie kończy z Daphne, potem zajmie się tobą. Popatrz sobie na stroje... Są niesamowite — powiedział, wskazując ręką na wieszak pełen aksamitnych, purpurowych, zielonych, czerwonych i złotych sukien z marszczonymi kołnierzami.

— Lata sześćdziesiąte — mruknęłam, ale Spiro był już w połowie wysokości stojącej opodal drabiny i konferował z asystentami na temat oświetlenia.

Pośrodku sali spoczywała olbrzymia, sześcienna, pusta bryła białego plastiku. Popijając kawę, podeszłam bliżej, żeby się jej przyjrzeć. Teraz dopiero dostrzegłam młodą Azjatkę siedzącą ze skrzyżowanymi nogami w kącie sali. Palila papierosa nad popielniczką w kształcie liścia. Była zbyt niska jak na modelkę, może jest stylistką? — pomyślałam. Pałac, wpatrywała się w przestrzeń, jakby była w transie. Nie może być stylistką, uznałam. Jest zbyt spokojna. Nikt poza mną nie zwracał na nią uwagi.

Otworzyłam drzwi i weszłam na wąski taras biegnący wzdłuż dachu. Stałam w zimnym powietrzu i spojrzałam w dół, na Manhattan budzący się wolno do życia. Żółte taksówki, białe niebo. Wyjący chór alarmów samochodowych, które zdawały się przypominać o sobie tylko dlatego, że ktoś ich słuchał. Co właściwie czuję? — zastanawiałam się. Spo-

kój duszy, ale bez śladu odurzenia. Spokój duszy, ale z domieszką czegoś... może energii? Pomyślałam, że to chyba szczęście.

Drzwi skrzypnęły i na tarasie pojawiła się fryzjerka Lily Cabron, moja stara przyjaciółka.

— Och, Charlotte — powiedziała z lekkim obcym akcentem i uściśniła mnie mocno. — Biedactwo! Powiem ci, że świetnie wyglądasz. Popieprzyło ci włosy?

— Tak — odpowiedziałam. — Podobno przez anestezjologa.

— To szok szkodzi włosom. Włosy lubią stałość. Żadnych zmian.

— Jak ludzie — zauważyłam.

Nie pracowałam z Lily od wieków; nie zatrudniano mnie już przy tak dobrych zleceniach. Jako że od pewnego czasu miała męża i dzieci, nie widywałyśmy się nawet wieczorami.

— Co u dziewcząt? — zapytałam.

— Coraz większe — odparła. — Głośnie. Głodne. Pożerają mnie żywcem. Zdziwiłabyś się, Charlotte, gdybyś zobaczyła, jakie to cudowne — dodała.

— Na pewno — odpowiedziałam i roześmiałam się.

Muzyka dobiegająca ze środka stała się jakby głośniejsza, zwiastując podniecenie, które miało zaraz zapanować w sali. Azjatka wciąż siedziała na podłodze, wpatrując się uparcie w jeden punkt.

— Kto to jest? — spytałam Lily, kiedy ruszyłyśmy w stronę garderoby.

— Nowa — padła odpowiedź. — Zdaje się, że... była w gazecie. Chyba przyjechała z Korei.

Gdzie ja o tym słyszałam? Na pewno niedawno... Szperałam w zakamarkach pamięci, szukając najnowszych wspomnień, i wreszcie znalazłam: dziewczyna z Korei Północnej, o której mówił mi Oscar. Ta, która nie chciała zjeść pomarańczy.

— Aha — powiedziałam i spojrzałam na nią ponownie. Była tak obojętna na to, co działo się dokoła, że gapienie się na nią nie wydawało mi się czymś niewłaściwym. — Będzie uczestniczyć w sesji?

— Jest w odwodzie.

— W odwodzie?

— Może zastąpić modelkę, gdyby którejś się nie spodobało...

— Pozujemy nago? — spytałam, zaskoczona że Oscar zapomniał mi o tym powiedzieć.

— Nago? Nie, nie... — odkrzyknęła w roztargnieniu Lily, zajęta przeglądaniem sukien stłoczonych na stojaku. — Spójrz. To moja ulubiona — dodała po chwili, ściągając z wieszaka i przykładając do piersi jedną z nich, uszytą z żółtego aksamitu. — Moje dziewczyny dałyby się posiekać za coś takiego.

W garderobie poznałam Ellisa, napakowanego Australijczyka o wrażliwych, błękitnych oczach i opalonej, jakby poobijanej twarzy. Jego długie, brudne, jasne włosy spinał rzemień z koralikami. Ellis właśnie skończył malować Daphne, dziewczynę, której twarz widywałam ostatnio dosłownie wszędzie. Miała jasnoblonde włosy i wredne usta o zakrzywionych w dół kącikach. Usiadłam w fotelu, z przyjemnością chłonąc znajome detale: widok rozgrzanych żarówek dokoła lustra i wielkiego pudła z kosmetykami, zapach lakieru do włosów i pudru, ciepło powietrza buchającego z suszarki.

Ku mojemu zaniepokojeniu Ellis zaczął zmywać podkład z mojej twarzy.

— Musisz to robić? — spytałam. Od wypadku żaden człowiek z wyjątkiem lekarza nie widział mnie bez podkładu.

— Spiro chce, żebyśmy użyli hipoalergicznego — wyjaśnił.



— Uwierz mi, mój jest hipoalergiczny — zapewniłam go, ale nie przestał dotykać mojej twarzy bawełnianymi płatkami, które ścisnął w palcach podobnych do korzeni drzewa.

Kiedy skończył, cofnął się o krok i spojrzał na mnie.

— Coś ci się przytrafiło — stwierdził.

— Miałam mały wypadek — odparłam, zmuszając się do zachowania spokoju.

Wziął moją twarz w dłonie i przyjrzał się jej metodycznie, jakby czytał. Miał ciepłe, niemal gorące dłonie. Ich dotyk działał uspokajająco, jak dotyk rąk magika.

— Mały? — spytał z powątpiewaniem.

— No, powiedzmy, że średni.

— Dzielna dziewczynka. — Puścił mnie i zajął się nakładaniem nowego podkładu, nieco jaśniejszego, delikatnie muskając moją skórę lateksową gąbką. — Ten też dobrze kryje — powiedział. Pomyślałam, że chce mnie pocieszyć. Jego dotyk tak mnie rozgrzewał, że nie mogłam uwierzyć, iż znowu jestem w pracy.

W sąsiednim pokoju Lily pracowała nad włosami Daphne, układając je w najdrobniejsze loczki, jakie w życiu widziałam. Kiedy zaczęła suszyć, zobaczyłam odkryte uszy dziewczyny: były pokryte szkarłatnym pudrem.

— Dziwaczne uszy — powiedziałam do Ellisa.

— Bo Spiro to dziwak — odparł Ellis.

— Hej, Charlotte! — zawołała Lily przez otwarte drzwi, przekrzykując buczenie suszarki. — Kiedy wyjdzie ten twój artykuł, zamierzasz napisać książkę?

Ach, tak. Artykuł.

— Ja nawet nie czytam książek — odpowiedziałam.

— I co z tego? Przydarzyło ci się coś interesującego.

— Wydaje ci się, że to było interesujące. Tak naprawdę to cholernie nudne.

— Wiesz przecież, o co mi chodzi: z dnia na dzień zaczęłaś inaczej wyglądać — nie ustępowała Lily. — Każdy by tak chciał.

— Naprawdę? — Zatrzepotałam powiekami w stronę Ellisa, w nadziei, że wygłosi opinię, ale był zbyt zajęty upiększaniem mojej twarzy.

— Zamknij — powiedział tylko i zabrał się do cieniowania powiek.

— Mogłabyś o tym opowiedzieć — ciągnęła Lily. — I o tym, co robisz po wypadku.

— A jeśli pierwszą rzeczą, którą robię po wypadku, byłoby pisanie książki, to czy wtedy moja książka nie opowiadałaby o pisaniu książki?

Ellis odgarnął ręką moje włosy.

— Uszy — powiedział, zanurzając wielki, biały pędzel w naczyniu ze szkarłatnym pudrem. — Uwważaj na łaskotki.

— Mam taką przyjaciółkę, z którą powinnaś pogadać — oświadczyła Lily. — Pracuje w dużej firmie. Dobrze wie, jak się załatwia sprawy, żeby coś opublikować i narobić odpowiedniego szumu w mediach.

— Jasne — odparłam, ledwie słuchając. Ellis pokrywał moje uszy czerwienią, a ja uważałam to doznanie za nieznośnie zmysłowe. Zamknęłam oczy i wczułam się w rytm muzyki. Wyobraziłam sobie, że Ellis całuje mnie w usta, głęboko i namiętnie, że czują jego ciepły język. A potem pochyła się mocniej, rozpinając czarne dzinsy. Krew napłynęła do mojej twarzy gwałtowną falą i poczułam ból.

Zaraz potem gdzieś w pobliżu pojawiło się zawirowanie nerwowej energii. Wiedziałam, że to Spiro. Kiedy otworzyłam oczy, przyglądał się włosom Daphne w sąsiednim pokoju. Lily wyjęła już wszystkie drobniotkie wałeczki i teraz układała na głowie dziewczyny bąbelkową kąpiel loków w bujną fryzurę przypominającą kaptur.

— Udało się! — zajęczał w ekstazie Spiro. — Lily, jesteś megautalentowanym supergeniuszem, wiesz o tym?

Lily uśmiechnęła się lekko.

— Tak, wiem.

Spiro dotknął gęstwiny loków.

— Polakieruj je, żeby błyszcząły — zarządził. — Chcę, żeby wyglądały jak marmur. Marmur z włosów. Patrzcie, jakim supergeniuszem jest nasza Lily! — zawołał przez otwarte drzwi w stronę Ellisa i mnie.

— O co chodzi z tymi włosami? — spytałam.

— O Flawiuszów — odparł Spiro. — O starożytny Rzym — wyjaśnił, zapalając się coraz mocniej tą swoją nerwową energią. — I w ogóle o rzymskie posągi, na przykład w muzeum. Zawsze możesz znaleźć rzeźby dziewcząt z takimi włosami. Kiedyś latem, w Neapolu, poszedłem do wielkiego muzeum archeologicznego, spojrzałem na te włosy i wrzasnąłem. Mówię poważnie, wrzasnąłem na cały głos: „O mój Boże! O kurwa, mój ty Boże!”

— Katolicy musieli być zachwyceni — mruknęła Lily.

— A co się stało później? W galerii przy Madison Avenue znalazłem jeden taki posążek i od razu kupiłem. Tak było, Lily?

— Tak było — przytaknęła fryzjerka.

— Pokazałem go Lily, żeby dobrze rozumiała, o co mi chodzi. A ona powiedziała mi coś, o czym nie miałem pojęcia: że Rzymianie używali wiertel do drążenia każdego marmurowego loka z osobna. Oczywiście nie mieli elektrycznych wiertarek, ale... Boże, jaka szkoda, że tego nie widzieliście — dodał, zwracając się do wszystkich i do nikogo. — Cholera, dlaczego nie wziąłem ze sobą tej rzeźby? Richard! — zawołał w stronę asystenta. — Możemy posłać gońca po to rzymskie popiersie, czy to zbyt ryzykowne? — Wyszedł z pokoju, by porozmawiać z Richardem, i wrócił chwilę później. Wyciągnął camela z ust Daphne, zaciągnął się głęboko i oddał papierosa. — Czuję tu coraz lepsze vibracje — powiedział, podrygując w rytm muzyki i wydmuchując kółeczka dymu w stronę lustra. — Richard, mógłbyś trochę podkręcić basy? Wszystko w porządku, ludzie? *Stai contenta*, Charlotte?

— Jestem szczęśliwa — odpowiedziałam, poruszając się w takt muzyki na tyle, na ile mogłam, by nie przeszkadzać Ellisowi. Naprawdę byłam: szczęście rozsadzało mnie od środka. Sięgnęłam po torebkę i wyjęłam dwa merity, jednego dla siebie, a drugiego dla Ellisa, który zapalił oba malachitową zapalniczką. Wyprostował się potem i spojrzał na moją twarz, w zadumie zaciągając się dymem. Zerknęłam w lustro na nieznajome oblicze w pięknym makijażu i poczułam znajome podniecenie, którego smak zawsze będzie mi się kojarzył z pierwszymi latami po powrocie z Paryża, kiedy to wokół mojej osoby zaczęło narastać napięcie, wolno wynoszące mnie na szczyt. Gdy Oscar zaczął w moim imieniu negocjować trzyletni kontrakt z wielkim amerykańskim projektantem, napięcie owo sięgnęło apogeum i przez pewien czas cieszyłam się szczęściem, które znają tylko rodzące się gwiazdy. Byłam kochana. Powietrze pachniało pieniędzmi. Znalazłam się tak blisko pokoju luster, że zaczęłam z nostalgią wspominać moje małe życie, które lada chwila miałam porzucić, i coraz bardziej ceniłam nawet najprostsze jego przejawy. Lecz bez względu na to, jak bardzo chciałam zwalić na kogoś winę za to, że to napięcie nie zmieniło się w coś bardziej stałego, to fakt pozostawał faktem: to ja zawińłam. Pewnego dnia zniszczyłam wszystko jednym skandalicznym występem: narzygałam na głowę ważnemu projektantowi, a potem poleciałam goła na wybieg — to jeden z tych horrorów, które mogą się przyśnić w ponurą noc, a do których wielu z nas podświadomie tęskni — a zrobiłam to, bo jakoś nigdy nie udawało mi się zawczasu dostrzec związku między własnym zachowaniem a jego rezultatem lub też brakiem rezultatu. Projektant wycofał się w ostatniej

chwili i podpisał kontrakt z inną dziewczyną, której uśmiechnięta fizjonomia stała się odtąd nieodłącznym elementem kalendarzy i kaset wideo z aerobikiem. Tymczasem tempo mojej kariery zaczęło spadać, a może nawet zmieniać się w coraz wolniejszy dryf. Z początku była to subtelna zmiana; spokój, który powitałam niemal z ulgą po chaosie otaczającym mnie do tej pory. Lecz w przedłużającą się ciszę wkrótce wkradły się złowrózne tony — gdzie się podzieli wszyscy ludzie, których znałam? Niczym desperat zamknięty w spadającej windzie, zaczęłam w panice przyciskać klawisze i uruchamiać alarmy, ale nic nie mogło powstrzymać coraz szybszego lotu.

— Kto cię zapraszał do St. Bartsa? — pytałam Oscara z wyrzutem, kiedy zgłaszał mi odwołanie sesji z fotografem, którego wsparcie było warunkiem sukcesu. — Kto ci kupił marynarkę Claude'a Montany z klapami w zebnę?

Aż w końcu, dosłownie z dnia na dzień, dałam sobie spokój. Już po wszystkim, pomyślałam. Nic się nie zdarzyło, może nie tym razem, może nie w ten sposób. Pieprzyć ich wszystkich, myślałam. I naprawdę taki miałam zamiar.

Tak to się skończyło, choć minęło jeszcze kilka lat, zanim stałam się typową dziewczyną z katalogu, bez śladu prestiżu. Właściwie nie byłam pewna, ile było tych lat, bo od tamtego momentu, gdy zaczęłam nabierać przyspieszenia w przeciwnym kierunku, chwile zaczęły mi się zlewać w jedną całość — nie było już wspinania się po schodach kariery, które tak ułatwiała mierzenie czasu. Lata mijały stadami: jednego dnia miałam dwadzieścia trzy (wedle oficjalnej miary) i stałam na progu pokoju z lustrami, a następnego dnia minęło już dziesięć i byłam dwudziestoosmioletnią, zawodową pięknoscią — to określenie osoby, która jest w posiadaniu numerów telefonów do najwspanialszych domów całego świata, gdzie zawsze będzie mile widziana; osoby zdolnej spakować się w pół godziny i polecieć na Bali lub wyruszyć w rejs jachtem u południowych wybrzeży Turcji, nigdy nie płacąc za obiad, o ile tylko nie jest zbyt wybredna, jeśli chodzi o towarzystwo. W rzeczy samej, dobre zrozumienie własnych oczekiwań jest warunkiem długiego funkcjonowania na rynku zawodowych piękności, które wymaga działania według skomplikowanego algorytmu o wielu zmiennych. Najważniejsze z nich można zawrzeć w pytaniach: jaka jestem ładna? Jak bardzo lubię towarzystwo? Co jestem skłonna dać w zamian? Naturalnie, trwanie w roli zawodowej piękności jest jedynie wstępem do bardziej stałego układu. Dziewczyny, które mają choć trochę rozsądku, wychodzą za mąż najszybciej jak mogą, póki ich walory są jeszcze coś warte. Tego typu transakcje niekoniecznie bywały groteskowe; jest wiele etapów do pokonania, zanim trafi się na koniec kolejki, przed oblicze starego grzyba, którego dyszenie słyhać z daleka i którego córki są w wieku matki panny młodej. W moim przypadku poślubienie osobnika ze znaczącym majątkiem byłoby z pewnością rozsądnym wyjściem, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Skoro odrzuciłam małżeństwo z miłości, to jak mogłabym przysięgać miłość i wierność z czysto praktycznych pobudek? Wydawało mi się to nudne i przerażające. Owszem, próbowałam interesować się posiadaczami cennych nieruchomości, jachtów, wysp, siedemnastowiecznych zamków, bonnardów, picassów i rothków, zabytkowych samochodów, egzotycznych zwierząt, prywatnych sal kinowych i całych stad koni, ale jakoś nie mogłam się skoncentrować; wciąż błądziłam gdzieś myślą i zaraz spotykałam następnego mężczyznę, a poprzedni żenił się z inną kobietą lub po prostu zniknął bez śladu.

W pewnym momencie, po wielu latach takiego życia, zaczęłam wyczuwać, że istotą rzeczy wcale nie jest mój brak koncentracji. Bóg mi świadkiem, że zdradziłam, porzuciłam nadzieję na dotarcie do pokoju luster i zadowoliliśmy się szukaniem szansy na choćby otarcie się w tłumie o jego stałych mieszkańców. Był to kompromis, który mogłam znieść jedynie dlatego, że w głębi duszy wciąż jeszcze czekałam. Czekałam na ponowne odkrycie, które gruntownie zmieni moje życie.

Na sygnał. Na tajemnicę. Na coś głębszego i bardziej prawdziwego niż wszystko inne. W klubach nocnych, tych zadymionych klatkach pełnych obietnic, a nawet na ulicach, przyglądałam się ludzkim twarzom, spodziewając się, że jedna z nich wyróżni się czymś, że pośle mi jakieś szczególne spojrzenie, które rozpoznam dopiero wtedy, gdy je zobaczę. Nie byłam zdesperowana. Nigdy nie wątpiłam, że doczekam się, jeśli tylko będę czekać wystarczająco długo.

Ellis kładł ostatnią warstwę pudru na moją twarz, a ja rozmyślałam o czekaniu i o tym, jak czekający staje się wrażliwy na ciosy. Bo przecież kiedyś wreszcie zaczyna mu brakować sił. Jest zmęczony i musi dokonać wyboru — wybiera kogoś lub, co gorsza, zostaje przez kogoś wybrany — i wierzy, że to jest właśnie ta osoba, na którą czekał. I oddaje jej wszystko.

Spiro wszedł do garderoby i rzucił na mnie okiem.

— Jest w twojej twarzy coś nowego, Charlotte — powiedział z uznaniem.

— Cała moja twarz jest nowa.

— Tak, ale chodzi mi o to, że teraz jest bardziej prawdziwa, wiesz? Tak, jakby wypaliła się cała zewnętrzna uroda i odsłoniła coś głębszego. Coś bardzo podstawowego, nagą prawdę.

— To świetnie — odpowiedziałam.

Kiedy wstałam z fotela (niechętnie, marząc o tym, by posiedzieć w nim jeszcze przez parę minut), zobaczyłam tę Koreankę stojącą w drzwiach. Czekala, żeby zająć moje miejsce. Zapomniałam o niej. Uśmiechnęłam się, ale jej wzrok pozostał pusty, jakby wcale mnie nie widziała. Przeszłam do sąsiedniego pokoju i usiadłam w fotelu przed Lily, która przypięła do mojej głowy trzy grube pasma ciemnych włosów i zaczęła je układać na wałkach w identyczne, drobnutki loki, jakie wcześniej zrobiła Daphne. Jej palce poruszały się po mojej skórze tak szybko i sprawnie, jakby żyły własnym życiem.

— Zamknij — usłyszałam głos Ellisa zza drzwi. — Oczy, skarbie.

— Wygląda na nieszczęśliwą — mruknęłam.

— Zdaje się, że nie zna ani słowa po angielsku — odpowiedziała Lily — Ale i tak dostaje niesamowite zlecenia. Nawet Calvin Klein zaczął jej używać.

— Jak ona się nazywa?

— Jakoś tak skomplikowanie — odparła Lily. — Wszyscy mówią na nią Kim. Aha, zanim zapomnę... — dodała, wyciągając z torby i przeglądając elektroniczny notes z adresami. — Musisz zadzwonić do mojej przyjaciółki — rozkazała, przepisując coś na tylną stronę swojej wizytówki.

— Victoria Knight — przeczytałam. — Czym się zajmuje?

— Public relations. Zadzwon do niej od razu, zanim wyjdzie ten twój wywiad, żeby maksymalnie wykorzystać tę okazję. Powiedz, że to ja cię przysłałam. Ona naprawdę może ci pomóc, Charlotte.

Miałam wrażenie, że wszyscy są zgodni co do jednego: że potrzebuję pomocy.

— Co powiesz na czerwone uszy? — usłyszałam przymilny głos Ellisa. — Wszystkie powinnyście mieć czerwone uszy...

Po jakimś czasie Lily wyciągnęła wałki i zawinęła pofalowane już włosy jeszcze ciasniej, po czym spryskała je lakierem tak grubo, że wyglądały jak sztywna masa. Wkrótce i ja miałam na głowie dziwaczny kaptur z drobnutkich loków. Z planu dochodziły już dźwięki migawki i błyski jaskrawego światła, które przypominały mi eksplozje szklanych kul. Umierałam z niecierpliwości, żeby już tam być...

Zadzwonił domofon i jeden z asystentów Spira wcisnął klawisz, by kogoś wpuścić. Chwilę później usłyszałam szum windy i zaraz do garderoby wtoczył się Spiro, drżącymi ramionami przyciskający do ciała marmurowe popiersie kobiety, wykonane w skali mniej więcej jeden do dwóch.

— Musiałem ją tu sprowadzić, żeby sobie przypomnieć — wysapał, tuląc rzeźbę i stając z nią przed lustrem. Marmurowa kobieta miała na głowie stertę loków, dokładnie przypominającą tę, którą zrobiła dla mnie Lily. Spiro podniósł popiersie na wysokość mojej głowy i przez chwilę przyglądał się nam w lustrze. — Dlaczego nie pozwolić sobie na odrobinę historycznej precyzji? — spytał.

Ale ja nie patrzyłam już na włosy kamiennej kobiety, tylko na jej twarz. Była owalna, spokojna i daleka, a jej oczy tak puste i płaskie jak niebo. Wyglądała na totalnie nieobecna, nietykalna, jakby między nią a tą sesją zdjęciową istniała przepaść nie do przebycia, mimo zacieklej wysiłków Spira. Stulecia, które nas dzieliły, były po prostu zbyt wielkim dystansem. Wrażenie oddalenia przydawało jej niewiarygodnej wprost godności, której nie umniejszały nawet trzęsące się dłonie Spira na gardle marmurowej kobiety.

— Historia — mruknął cicho. — Wiesz co? Tylko ona się liczy.

Kendra, nasza stylistka, przyniosła kilka sukien i zaczęła przykładać je do mojej skóry.

— Weźmy purpurową — powiedziała.

Wstałam z fotela i rozebrałam się, a ona pomogła mi wcisnąć się w suknię. Aksamit był chłodny i jakby trochę wilgotny, jak mech. Taneczny rytm był coraz głośniejszy, natarczywy, i z każdą chwilą coraz mocniej nakręcał w mojej piersi sprężynę niecierpliwości. Otworzyłam piwo i pociągnęłam łyk — po raz pierwszy tego ranka.

Asystenci Spira skupili się na planie wokół polaroidowej fotografii Daphne. Dołączyłam do niej we wnętrzu plastikowego sześcianu i przez chwilę tańczyliśmy tam razem, czekając na ustawienie świateł. Bryła była na tyle wysoka, że mogłyśmy w niej swobodnie stać. Na polecenie Spira przyjęliśmy dramatyczne pozy, z rozcapierzonymi palcami i odrzuconymi w tył głowami. Nastroj zbiorowego wyczekiwania przepelniał poddasze. Zdażyłam już zapomnieć, jakie to uczucie; minęło tyle czasu, odkąd po raz ostatni uczestniczyłam w sesji, w której komukolwiek zależało na jakości zdjęć.

— W porządku, Char, teraz pochylaj się, aż dotkniesz palcami podłogi — instruował mnie Spiro. — Spójrz na mnie... jakby okrutnie. Jak bogini-suka. Bardzo dobrze...

Pstrykał polaroidem, a ja patrzyłam kątem oka na Koreankę, która pojawiła się w sali, wymalowana i uflawiuszowana, w sukni z żółtego aksamitu z gąbczastym, białym kołnierzem. Usiadła na krześle, spoglądając na nas, choć całkiem możliwe, że nas nie widziała — jej oczy pozostały płaskie i puste jak oczy marmurowej Rzymianki. Poczulałam ukłucie gniewu. Niejedna dziewczyna marzy przez całe życie, żeby być na twoim miejscu, chciałam powiedzieć. A ty robisz z tego pieprzoną tragedię?

Jeden z asystentów potrząsnął zdjęciem, żeby wyschło, i podał je Spirowi.

— Ooo, spójrzcie tylko na Charlotte — zawołał fotograf.

Wszyscy pomocnicy, a także Ellis, Lily i Kendra, pochylili się nad zdjęciem, po czym spojrzeli na mnie. Poczulałam w sobie napływ energii, jakbym była starym tranzystorem, który nagle obudził się do życia. Wyobraziłam sobie, że z moich oczu i włosów buchają iskry. Mogę wszystko, pomyślałam. Mogę zmienić oblicze świata. Mogę sprawić, żeby ten aparat wybuchł.

— Wiesz co? — odezwał się, Spiro, patrząc na mnie i potrząsając głową. — Oscar powiedział mi o twoim wypadku, a ja na to, bez zastanowienia: biorę ją. Nie musiałem oglądać zdjęć; po prostu, kurna, wiedziałem.

Przykucnęłam z fałszywą skromnością, czując, że fale lub cząsteczki — niby jakie? — emanują wprost z mojej skóry.

— Ellis, możesz dołożyć im trochę cienia, zanim zaczniesz? — spytał Spiro.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że przyciągam do siebie Ellisa. Wyczułam jego obecność we wnętrzu sześcianu; zapach pudru, potu i mięty z jego ust. Kiedy nakładał cień na moje powieki, miałam wrażenie, że kontroluję jego ruchy i nieomylnie prowadzę jego rękę.

Otworzyłam oczy na dźwięk przenikliwego trzaśnięcia. Ellis wkładał lateksowe rękawiczki na swe guzłowate dłonie. Przykucnął przy mnie, otworzył małe etui i wyjął brzytwę. Moje zdziwienie narastało stopniowo — tak silne było moje poczucie kontroli i wiara w to, że wszyscy działają wedle mojej woli. Obserwowałam Ellisa, oczekując



podświadomie, że obetnie luźną nitkę z mojej sukni. On tymczasem dotknął mojej twarzy i zaczął delikatnie badać skórę lateksowymi opuszkami palców. Ostrze, które trzymał w drugiej dłoni, zawisło nade mną.

— Zaczekaj — powiedziałam i z trudem wróciłam do pozycji stojącej w mojej wąskiej sukni. — O co tu chodzi? Zaskoczony Ellis spojrział na Spira.

— Będzie cię ciął — odparł Spiro, jakby sprawa była najzupełniej oczywista.

— Jak to „ciął”?

— Ciął twoją twarz.

— Zwariowaliście, do ciężkiej cholery?! — zawołałam, mimowolnie przyciskając dłonie do policzków.

Spiro, Ellis i Lily wymienili zdumione spojrzenia.

— Oscar ci nie powiedział? — spytał wreszcie Spiro.

— Nie — odparłam. — Nie powiedział.

— On wszystkich tnie — wtrąciła obojętnie Daphne.

Spojrzałam na nią szeroko otwartymi oczami.

— A ty nie masz nic przeciwko?

Wzruszyła ramionami i oparła się o ścianę plastikowej bryły.

— Przecież nie tnę głęboko — odezwał się łagodnie Ellis. — Prawie nic nie poczujesz.

— I nie będę krwawić?

— Oczywiście, że będziesz — odpowiedział Spiro. — I o to właśnie chodzi.

— To jakiś obłęd — stwierdziłam i spojrzałam błagalnie na Daphne. — Niby jak spodziewasz się znaleźć pracę, kiedy będziesz miała pociętą twarz?

— Po takich cięciach nie ma blizn — odparła. — Zwykle goją się w ciągu siedmiu dni, jeśli nie drapiesz. Ostatnio, kiedy dałam się pociąć, pracowałam nawet dwa razy w jednym tygodniu. Zleceniodawca chciał, żeby było widać strupy.

Byłam kompletnie oszołomiona i naprawdę bardzo chciałam dać się przekonać. Tylko że chodziło o moją biedną, zmaltretowaną, wciąż delikatną twarz z ukrytym ładunkiem tytanu.

— Nie moglibyście użyć sztucznej krwi? — jęknęłam. — Sama sobie kupię.

Wszyscy wzdrygnęli się na dźwięk słowa „sztucznej”, jakbym się dopuściła zniewagi na tle rasowym.

— Fałszywa jest fałszywa — odezwał się w końcu Spiro. Oddał aparat Richardowi i wszedł do sześcianu, w którym stałam z Ellisem. Razem utworzyliśmy ciasny trójkąt.

— Posłuchaj mnie, Charlotte — powiedział Spiro z nietypowym dla niego spokojem. — Próbuje uzyskać coś w rodzaju prawdy w tym fałszywym, chorym, niedorzecznym świecie. Coś czystego. Upuszczenie krwi to ofiara. To najbardziej realistyczna rzecz, jaka istnieje.

Skinęłam głową, czekając, aż mój umysł ogarnie jego słowa i dostrzeże ukrytą w nich prawdę. Starłam się pokonać wewnętrzny opór; czekałam, aż zdechnie, przytłoczony ogromem szans, które otwierały się przede mną i absolutną koniecznością odniesienia sukcesu.

— Wszystko jest sztuczne — ciągnął Spiro. — Wszystko jest udawaniem. Otwierasz czasopismo i co widzisz? Gówno. Spójrz, jaka jestem piękna; spójrz, jakie mam idealne życie. A wszystko to kłamstwa, bo czegoś takiego po prostu nie ma. Politycy? To samo. Tu zakręcą, tam pomanipulują, wmówią coś ludziom... A ja mam tego dość. Robi mi się niedobrze, kiedy widzę coś takiego.

Słuchałam go z narastającym uczuciem wewnętrznego napięcia, jakbym lada chwila miała kichnąć. To ma sens, myślałam. Zgadzam się. Rozpaczliwie pragnęłam zrobić to, czego ode mnie oczekiwano; odzyskać tę siłę, którą czułam

zaledwie parę minut wcześniej, kiedy wszyscy na mnie patrzyli. Spiro jakby wyczuł, że jest bliski przekonania mnie: położył drżące dłonie na moich ramionach i zniżył głos do szeptu.

— Chcę przebić się przez to gówno i dotrzeć do tego, co prawdziwe i fundamentalne — powiedział. — I chciałbym, Charlotte, żebyś stała się częścią mojego planu. To dlatego wybrałem właśnie ciebie. Tu nie chodzi o modę, ale o coś znacznie ważniejszego. Chcę znaleźć nowy sposób na życie w tym świecie.

Spojrzałam ponad głowę Spira na wysokie stojaki reflektorów, na srebrzyste parasole odbijające światło, na trzech asystentów, na drabiny, stelaże, aparaty oraz modelki w aksamitnych sukniach, grubych kołnierzach, makijażu w stylu Kabuki i fryzurach z czasów Flawiuszów.

— Szkoda, że Oscar nie zadzwonił do ciebie w sierpniu, kiedy moja twarz była zmiażdżona na purée — usłyszałam nagle własny głos. — Miałam połamane wszystkie kości; byłbyś zachwycony.

Spiro puścił moje ramiona.

— Ona nie rozumie — rzucił w stronę Ellisa, który mechanicznie wzruszył ramionami, jakby chciał dodać: „No, ale próbowaliśmy”.

Wciąż jeszcze przyciskałam dłonie do policzków. Trwało to tak długo, że skóra stała się zupełnie niewrażliwa na dotyk.

— Moja twarz przeszła już wystarczająco dużo — powiedziałam przepraszająco.

— W porządku — odparł Spiro. Odwrócił się tyłem do mnie i skinął ręką w stronę młodej Koreanki. — Kim! Kimmy! — Kiedy zamachał ramionami, podskoczyła gwałtownie, jakby dostała w twarz. — To twój szczęśliwy dzień, skarbie! — zawołał Spiro.

Nie patrząc w moją stronę, Lily wcisnęła się do plastikowego sześcianu z grzebieniem i puszką sprayu, by podnieść nieco loki dziewczyny, które zdążyły już opaść. Zauważyłam, że skośnooka drży, a wraz z nią trzęsie się wymyślny kołnierz sukni. Kiedy Lily skończyła, Spiro ułożył Azjatkę w takiej samej pozycji, jaką ja przyjąłem chwilę wcześniej. Czułam, że atmosfera w sali staje się coraz bardziej napięta.

— Gdzie? — spytał Ellis.

— Zrób jedno wysoko na policzku — odparł Spiro. — A drugie, długie, na czole.

Chciałam odejść, ale jakoś nie mogłam się poruszyć.

Ellis pomalutku uniósł ostrze nad brązowy policzek dziewczyny i zanurzył jego czubek w skórę tak, jak pływak sprawdza palcem u nogi temperaturę wody. Koreanka drgnęła, ale nie wydała z siebie głosu. Delikatnie i szybko, Ellis przeciągnął brzytwą po jej skórze. Nie musiałam się wysilać, by dostrzec cień jego osoby: był łagodnym rzeźnikiem; jednym z tych, którzy masują swoje ofiary, by rozmiękczyć mięśnie, zanim wbiją nóż. Z rany leniwie wysączyła się krew i w tym samym momencie z kącików oczu dziewczyny popłynęły łzy.

— Lily! — zawołał cicho Spiro. — Zetrzyj te łzy.

Lily podbiegła szybko i musnęła chusteczką twarz Azjatki. Daphne również się zbliżyła i objęła ramieniem dziewczynę, która zdawała się nie zauważać ich obecności. Patrzyła prosto przed siebie, znosząc ten zamach na jej nietykalność z niepojętym spokojem ofiary, która już dawno pogodziła się z faktem, że cierpienie nie musi niczemu służyć. Poczułam, że coś we mnie pęka i zapada się, wywołując przy okazji pieczenie wokół oczu i w nosie. Odwróciłam się i weszłam do garderoby, gdzie w pośpiechu zerwałam z głowy sztywne loki, zdjęłam suknię i cisnęłam ją na podłogę. Myślałam, że zwymiotuję — i chciałam tego — ale kiedy pochylałam się nad sedesem, ulga nie nadeszła. Ubierając się, słyszałam trzaski migawki i podniecony głos Spira:

— Pięknie, Kimmy! No, spójrzcie na to!

Zostawiłam mój płaszcz na stołku barowym obok tacy z napojami. Podeszłam tam, odwracając wzrok i pospiesznie zarzuciłam okrycie na ramiona. Staralam się nie patrzeć na plan, ale... musiałam. Koreanka stała w plastikowym pudle, a krew ściekała po jej policzku i dalej, po szyi, wsiąkając w białe fałdy kołnierza. Długa rana na czole także krwawiła; krople znaczyły czerwienią przeciwną stronę twarzy. Daphne stała za Azjatką, z głową odrzuconą do tyłu jak w ekstazie. Wyczuwałam w powietrzu słodką delikatność, jaka zwykle pojawia się po odbyciu stosunku.

— Dobra, Daphne, wyprostuj się — zarządził Spiro. — Świetnie. Teraz spójrz na mnie. Kim, pokaż oczy. Macie być silne... Poczujcie w sobie moc. Jesteście boginiami czy nie? Rządzicie tym pieprzonym światem... dobrze... dobrze... Oczy, Kimmy!... Dobrze.

I nagle Koreanka po raz pierwszy spojrzała prosto na mnie. Odczułam jej wzrok w niemal fizyczny sposób, jakby złapała mnie i nie chciała puścić. Migawka aparatu świergotała niestrudzenie, a my patrzyłyśmy na siebie z uwagą i coś pojawiło się między nami: wspólna, milcząca świadomość demoralizacji, która nas otaczała. Miałam wrażenie, że minęła okrągła minuta, zanim dziewczyna mrugnęła i nieznacznie spuściła wzrok. Jej oczy znowu ziały pustką.

— Wychodzę — oznajmiłam względnie normalnym głosem, ale nikt nie zareagował.

W windzie zauważyłam, że moja twarz jest mokra. Kiedy ją wytarłam, czerwony makijaż został na moich dłoniach i w pierwszej chwili zmartwiałam, myśląc, że to krew. Ogarnęło mnie irracjonalne przekonanie, że cudem uszłam z życiem. A Oscar, rzecz jasna, musiał o wszystkim wiedzieć. Postanowił, że mnie nie uprzedzi, mając nadzieję, że kiedy nadejdzie decydująca chwila, ciśnienie sytuacji będzie zbyt silne, bym mogła mu się oprzeć. A jednak, na wszelki wypadek, przysłał tu także Kim. Naprawdę nie mogłam go winić za to, co zrobił; niewykluczone, że przed wypadkiem powiedziałabym „tak”.

Znalazszy się znowu na Broome Street, zaczęłam iść przed siebie, nie zastanawiając się nad tym, dokąd zmierzam. Gapiłam się przez szyby butików na piękne kanapy i szklane wazy, pozwalając, by zimne powietrze oczyściło mój umysł. To już koniec, powtarzałam sobie wielokrotnie, niezupełnie pewna, co też miało to oznaczać. Skręciłam w West Broadway, gdzie zza okien restauracji dobiegały pomruki rozmów przy lunchu. W pobliżu pełno było modelek, których chude nogi sterczały spod kusych, zimowych płaszczyków. Wyglądały tak młodo — młodziej niż ja kiedykolwiek. Dostrzegłam wśród nich jedną o krótkich, kruczoczarnych włosach, trochę podobną do mnie (jesteśmy w pełni wymienne — to pierwsza lekcja, którą trzeba sobie przyswoić, kiedy jest się zawodową pięknością). W tej samej chwili minęłyśmy róg Houston, ale pozwoliłam jej iść przede mną. Pozostając w tyle, widziałam, jak ludzie oglądają się za nią, na moment zawieszają wzrok na jej smukłej postaci, a potem niechętnie odchodzą w swoją stronę. Dziewczyna udawała, że nie widzi tych spojrzeń, dokładnie tak, jak ja robiłam to przed laty, ale wyczuwałam na odległość moc, którą sama niegdyś czułam. Dostrzegałam ją w jej chodzie, w ułożeniu głowy, w precyzyjnej samoświadomości, która przejawiała się w każdym wystudiowanym ruchu.

Ale czy to naprawdę była moc? Zastanawiałam się nad tym, idąc za krótkowłosą dziewczyną, która skręciła w lewo, na północną stronę Houston. A może to tylko wrażenie mocy? Modelka szła przed siebie, wbijając wzrok w horyzont, z teczką zdjęć rysującą się wyraźnie we wnętrzu plecaka. I nagle dostrzegłam nimb, który ją otaczał: nimb nadziei i wiary w to, że zasłużyła na niezwykle życie i zostanie je. Nie, pomyślałam, to nie tak — nie ma niczego takiego jak moc piękna. Istnieje tylko moc otaczania się pięknem.

Dziewczyna skręciła na północ, ku Village, ale ja poszłam dalej na zachód, ku Szóstej Alei. Myślę teraz, że już wtedy wiedziałam, dokąd zmierzam, ale nie chciałam przyznać się do tego przed sobą. Ludzie, których mijalam, ubrani byli w ciepłe, puchowe kurtki. Śniegu już prawie nie było — wessał go gigantyczny piec, który dzień i noc pracował gdzieś w głębinach pod betonowym miastem. Przy Czwartej Zachodniej popatrzyłam przez chwilę na mecz koszykówki

rozgrywany za drucianym płotem. Pocieszył mnie nieco widok równych, męskich ciał w ruchu, kompletnie nie zainteresowanych moją obecnością.

Na wysokości Dwudziestej Trzeciej Ulicy znowu uwiodła mnie obfitość starych, malowanych reklam. Wydawało się, że każdy budynek nosi na swych murach co najmniej kilka wyblakłych tatuaży, z których wiele prześwitywało niewyraźnie spod nowszych warstw; czasem jedynie we fragmentach: „5 centów”, „ręczne”, „Ryby”. Znowu byłam w dzielnicy kwiatów — zza drzwi sklepów wypływały strumienie gorącego powietrza, a za zaparowanymi witrynami wygrzewały się koty. Skreśliłam na zachód i znalazłam się na Siódmej Alei.

Sekretarka Anthony'ego Hallidaya opuściła swój posterunek, więc pozwoliłam sobie minąć jej biurko i zapukać wprost do zamkniętych drzwi biura. Zaraz potem otworzyłam je i zobaczyłam detektywa rozpartego w fotelu, z nogami na biurku, czytającego książkę w miękkiej oprawie.

— Charlotte — powiedział, wyraźnie zaskoczony niezapowiedzianą wizytą. Usiadł prosto i odłożył książkę. — Cóż za niespodzianka.

Spoglądał na mnie dość dziwnie i nagle przypomniałam sobie o moich czerwonych uszach oraz upiornie wybielonej twarzy.

— Co pan czyta? — spytałam.

— Lekturę nadobowiązkową — odparł z lekkim zażenowaniem.

Obeszłam jego biurko i wzięłam książkę do ręki: *Długie pożegnanie* Raymonda Chandlera.

— Mały dziś ruch — wyjaśnił.

Rzeczywiście, tego dnia biuro sprawiało wrażenie cichego i zapomnianego, a słońce sączyło się przez okno wyjątkowo leniwie. Stojąc obok fotela, mogłam wreszcie zobaczyć zdjęcie, którego ramkę zauważyłam podczas poprzedniej wizyty. Był to portret dwóch identycznych, rudowłosych dziewczynek. Bliźniaczek. Ile mogły mieć lat? Trzy? Pięć? Nigdy nie umiałam odgadywać wieku dzieci. Śmiały się, siedząc obok siebie na huśtawce.

— Dlaczego nie napisze pan własnej? — spytałam.

— Próbuję — odpowiedział. — Ten gość — zdaje się, że miał na myśli Chandlera — jest moim nauczycielem.

Powróciłam na drugą stronę biurka i usiadłam na krześle.

— Czy nie powinien pan wyciągnąć butelki brandy i dwóch kielonków? — spytałam. — A może whisky?

Roześmiał się.

— Dawniej pewnie bym tak zrobił — powiedział. — Choć może niekoniecznie zawracałbym sobie głową kieliszkami.

— Dawniej?

— Nawróciłem się — oznajmił, dwukrotnie stukając palcami o blat biurka.

— A nie powinien pan trzymać tu odrobiny dla mniej oświeconych klientów?

— Jeszcze nie. Nie ufam sobie.

— A przecież wygląda pan na tak godnego zaufania. — Bezwstydy flirt. Przypuszczałam, że już się przyzwyczajał do takich odzywek.

— Co mogę dla pani zrobić, Charlotte, w zimowe popołudnie? — spytał.

— Zatrudnić mnie. Halliday uniósł brwi.

— W jakim charakterze?

— Detektywa. Zastępcy detektywa. Praktykantki.

Patrzył na mnie jeszcze przez moment, a potem znowu wybuchnął śmiechem.

— Mówię poważnie — powiedziałam, uśmiechając się.

— Jakie są pani kwalifikacje?

— A pańskie?

— Pracowałem w biurze prokuratora okręgowego. Wielu detektywów to emerytowani gliniarze.

— A ja jestem emerytowaną modelką — odparłam.

— Wygląda pani, jakby pracowała jeszcze dziś.

— To było ostatnie zlecenie. Poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Czy fakt, że była pani modelką, nie czyni jej nieco zbyt... widoczną?

— Ależ skąd — zaoponowałam. — Wręcz przeciwnie. Ludzie, którzy znali mnie przez całe lata, teraz patrzą tak, jakby widzieli mnie po raz pierwszy. — Uśmiechanie się zaczynało sprawiać mi ból. Przyszłam do biura detektywa, żeby się pocieszyć, żeby zawiesić wzrok na jego przystojnej postaci i zapomnieć o reszcie dnia. Lecz z jakiegoś powodu jego obecność sprawiała, że jeszcze wyraźniej docierało do mnie to, jak fatalnie się czuję. To już koniec, pomyślałam, i dobrze wiedziałam, o co mi chodzi: o moje życie. Moje życie sprzed wypadku. Moje życie aż do tej chwili, a może i włącznie z nią.

— To chyba bardzo przykre — powiedział cicho.

— Staram się patrzeć na to jak na jedyną w swoim rodzaju sposobność rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

— Zatem niech pani wyświadczy sobie przysługę: proszę mierzyć wyżej.

Przez chwilę miałam wrażenie, że żartuje, a potem zaczęłam gorączkowo szukać odpowiedzi.

— A dlaczego pan nie mierzy wyżej? — spytałam w końcu.

— Mierzyłem. Ale wyłądownałem tutaj.

— I co w tym złego?

— Człowiek spędza życie, podglądając innych — odparł. — Mam wrażenie, że to pożera duszę.

— Zabawne. Wydawało mi się, że to bycie fotografowanym pożera duszę.

— Może jedno i drugie?

— W takim razie niech mnie pan zatrudni. Moja dusza została już zastrzelona.

Zaśmiał się, patrząc na mnie z ukosa. Wyczułam, że rozważa opcje, ale nie umiałam rozszyfrować szczegółów.

Wreszcie się poddał — dostrzegłam to w jego twarzy.

— Może na początek — powiedział — zajmijmy się naszym zaginionym przyjacielem.

Znowu Z, pomyślałam.

— Pańskim przyjacielem — poprawiłam.

— Chciałbym spędzić wieczór, odwiedzając miejsca, w których bywał. Nie spodziewam się niczego wielkiego, po prostu chcę sprawdzić jego otoczenie. Czy mogę liczyć na pani pomoc?

Zmrużyłam oczy, udając, że się zastanawiam. Halliday nie potrzebował mnie do tej misji; pracował przecież dla Mitcha i Hassama. To była randka. Detektyw zapraszał mnie na randkę. Jednak było mi tak smutno, czułam się taka pusta, że nie mogłam się zdobyć nawet na odrobinę triumfu.

— Tak, ale nie nazywajmy tego przysługą — odpowiedziałam wreszcie. — Nazwijmy to darmową próbą moich usług z opcją zakupu.

Halliday pokręcił głową.

— Może pani nazywać to jak chce — powiedział.



# Rozdział ósmy

Po ośmiu latach spędzonych w mieszkaniu z jedną sypialnią i salonem niespodziewanie poczułam, że jest ono przesadnie zatłoczone. Byłam w nim ja. Była moja nierozpoznawalna twarz. I był jeszcze ktoś. Ani dziecko, ani zwierzę. Była w nim Rozpacz.

W przeciwieństwie do licznych gości, których podejmowałam tu przez długie lata. Rozpacz była bezkształtna i bezcielesna. Nie mogłam jej zobaczyć, ale gdy tylko otworzyłam drzwi po powrocie z biura detektywa Hallidaya i weszłam do cichego mieszkania, natychmiast poczułam, że wysysa ze mnie życie.

Zwaliłam się ciężko na kanapę, zapaliłam papierosa i spojrzałam na wielki znak Pepsi-Coli oświetlający Manhattan z Long Island City. Czekałam, aż Rozpacz odejdzie, ale jakoś nie chciała mnie opuścić. Napierała na mnie, uciskając jednocześnie z góry i z dołu swym nieznośnym ciężarem.

— Kiedy tu przyszałaś? — spytałam. — Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną przyjemność? Na długo zamierzasz zostać?

Niestety, Rozpacz nie musi nikomu udzielać odpowiedzi.

Kiedy zadzwonił telefon, moja nowa towarzyszka życia usiadła na słuchawce, tak że z ledwością podniosłam ją z widełek. Oscar. Bałam się dzwonić do niego, ale wiedziałam, że w końcu bym to zrobiła — potrzebowałam jego rady na temat tego, dokąd powinnam zaprowadzić wieczorem detektywa Hallidaya.

— Przepraszam, Charlotte — zaczął Oscar. Jego głos, pozbawiony zwykłej dawki ironii, bezczelności i autoparodii, brzmiał obco. A może tak właśnie brzmiał głos prawdziwego Oscara? — Musiałem spróbować — wyjaśnił.

— Wiem.

— Zrobiłem to dla ciebie.

— Wiem. Ale ja... po prostu nie mogłam.

— Naturalnie.

Na długą chwilę zapadło milczenie. Czułam się tak, jakbyśmy z Oscarem byli zawieszani pod wodą i obserwowali się przez miriady drobniutkich prądów morskich, opierając się ich przyciąganiu jeszcze przez chwilę. I jeszcze przez chwilę. Słyszałam w tle sygnały innych telefonów, ale Oscar został ze mną. Jeszcze nigdy nie był tak wyciszony.

— Myślę, że Koreanka jest w opalach — odezwałam się w końcu. — Kim.

Oscar westchnął głęboko.

— Wkrótce będzie już poza moim zasięgiem — powiedział. — Dwaj Ukraińcy z przewróconej platformy wiertniczej wprowadzają się do mnie lada dzień; gdy tylko wyjdą z gipsu. A ona przeniesie się do apartamentu któregoś z modelek.

— Ale kto się nią zajmie?

— Sama się sobą zajmie. Nie jest dzieckiem. Na miłość boską, ma dwadzieścia lat! Ty potrafiłaś o siebie zadbać — dodał. — A dzisiaj mamy tu czternastolatki mieszkające samodzielnie.

Nie odpowiedziałam. Ogarnęła mnie ponura pewność, że Azjatka wkrótce umrze.

— Trzeba karmić bestię, Charlotte — ciągnął Oscar tym samym, smętnym głosem. — Oboje o tym wiemy.

Zasnęłam na kanapie. Kiedy się ocknęłam, była dwudziesta trzecia piętnaście. Czas naglił. Wytoczyłam się z apartamentu o północy, pozostawiając za sobą surrealistyczny pejzaż części garderoby zsuwających się z mebli i rzędów pustych butelek dokumentujących moje poszukiwania flaszki, w której zostałyby alkoholu choć na dwa palce.

Na szczęście moja podręczna (o smukłych, kobiecych kształtach) butelczyna, którą w końcu znalazłam, była pełna tequili. Wcisnęłam ją do torebki i pociągnęłam łyk w windzie, z niepokojem zauważając, że Rozpacz poszła moim śladem i najwyraźniej zamierzała grać moją przyzwoitkę tego wieczoru — a może i przez resztę życia. Podjęłam decyzję, której bezduszne okrucieństwo zszokowało nawet mnie: jeżeli miałam pójść na dno, zamierzałam zabrać ze sobą detektywa.

Wystarczyło, że skłoniłabym go do picia.

Anthony Halliday czekał na mnie w holu budynku. W czarnych dżinsach, ciemnej marynarce i szaroniebieskiej koszuli prezentował się zaskakująco dobrze jak na osobę, której zawód w zasadzie nie wymagał zbliżania się do pokoju luster. Moje obawy co do sposobu przemycenia go przez szeregi bramkarzy, z których każdy miał doktorat w dziedzinie wykorzeniania złego gustu, okazały się płonne. Na powitanie pocałował mnie w policzek.

Taksówka czekała na zewnątrz. Podałam kierowcy adres Jello, klubu nocnego przy Gansevoort Street. Karuzela nocnego życia obróciła się podczas mojej nieobecności i zestaw najmodniejszych lokali był zupełnie nowy. Oscar doradził mi odwiedzenie jeszcze dwóch: Pollen i Ga Ga Lounge (nowego klubu Mitcha i Hassama). Niemal z satysfakcją myślałam o tym, jak Rozpacz będzie próbować znaleźć dla siebie miejsce w jaskiniach nocnej egzystencji, gdzie jakkolwiek brak szczęścia był mniej więcej tak mile widziany, jak otyła kuzynka z New Jersey.

Przed wejściem do Jello nie było nikogo i bramkarz o jaszczurczej twarzy wpuścił nas bez wahania. Średniej wielkości sala o czarnych ścianach miała kształt prostokąta. Obfitość czarnego światła nadawała każdej białej powierzchni kolor purpury. Niedostateczna liczba gości sprawiała, że nie było mowy o stworzeniu gwarnej, bezmyślnej masy ciał, będącej warunkiem osiągnięcia pełni szczęścia w klubie nocnym. Pociągnęłam Hallidaya w stronę baru, którego owalny brzeg emanował purpurowym blaskiem, wyluskującym z cienia twarze pracujących. Nie było to idealne oświetlenie dla dziewczyny, która trzymała się tej roboty, marząc o tym, że wypatrzy ją ktoś z agencji modelek. A jednak była — jak zawsze — na posterunku: blondynka o suchych, jakby naelektryzowanych włosach, z ciemnymi półkolami pod oczami.

Zamówiłam podwójną wódkę z tonikiem i popijając, ruszyłam w kierunku strefy przeznaczonej tylko dla VIP-ów. W różnych lokalach rozmaicie urządzano tę część wnętrza, dwie cechy jednak pozostawały niezmiennie: ważniaków należało oddzielić od plebsu, a jednocześnie plebs musiał mieć możliwość podglądania ważniaków. W Jello rozwiązano ten problem, wznosząc wielką, białą klatkę, do której wstęp miały jedynie VIP-y. Tylko nieliczne z zamkniętych tam osób udało mi się rozpoznać. Widziałam, że tańczyły, wrzeszcząc coś do siebie ponad hałaśliwą muzyką. Ci, którzy — jak my — zostali na zewnątrz, spoglądali na Bardzo Ważne Osobistości przez białe kraty. Posępny bramkarz stał na straży jedyne go wjazdu, przez który można było dostać się do środka.

— Tam zwykle bywał? — spytał Halliday, wskazując na klatkę.

Minęła chwila, zanim dotarło do mnie, że pyta o Z.

— Prawdopodobnie — odpowiedziałam.

Wyczułam, że detektyw chce wejść do środka, ale boi się zapytać, by nie wprawić mnie w zakłopotanie. Pozbawiona zwykle otaczającego mnie tłumu znajomych i zupełnie obca dla tego akurat bramkarza, sama nie wiedziałam, czy warto próbować.

— Chodźmy — powiedziałam. — Nie tego miejsca szukaliśmy.

Wyszedszy na ulicę, zatrzymaliśmy taksówkę. Poleciałam kierowcy jechać do Ga Ga Lounge, powyżej Zachodniej Dwudziestej, w pobliżu rzeki.

— Proszę mi opowiedzieć o mentalności ludzi bywających w tych klubach — odezwał się Halliday, kiedy ruszyliśmy. — Dlaczego przychodzą? Co im to daje?

— Trudno to wyjaśnić.

— Przecież robiła to pani latami.

Czy ja mu o tym mówiłam? Byłam całkiem pewna, że nie; może po prostu zgadł.

— Dawniej — odparłam.

— Moim zdaniem to takie... powierzchowne. Sztuczne.

— I to właśnie mi się w tym podoba — odpowiedziałam ze śmiechem. — Tam nikt nie udaje, że mówi prawdę; wszyscy łąą na całego. To prawdziwa ulga.

— I pani też to robi? Po prostu kłamie?

Zawahałam się. Zawsze gardziłam tymi rozmówkami, w które próbowali mnie wciągać różni ludzie: opowiedz mi, jak ojciec lał cię pasem, a ja ci powiem, jak to przez długie godziny płakałam sama w pokoju, jak nie pozwalali mi grać na pianinie, jak samotna i smutna byłam jako dziecko, a kiedy już skończymy opowiadać, to będziemy sobie bliscy, bo będziemy nawzajem wiedzieć, kto kogo i kiedy zламаł. Nie znałam niczego bardziej fałszywego. Niczyja sprawa, kto mnie zламаł; może nikt i nigdy?

— A kto chciałby słuchać prawdy? — spytałam. — Prawda zwykle jest nudna.

— Nie zgadzam się — odparł. — A mówię to jako ktoś, kto całymi dniami wysłuchuje niemal wyłącznie bredni. Prawda prawie zawsze jest najbardziej interesująca.

— W takim razie chyba wybrał pan sobie właściwe zajęcie.

Przed nami uformowała się kolumna żółtych taksówek, z wielkim mozołem pełnących w jednym kierunku. Wkrótce dołączyliśmy z Hallidayem do niespokojnego tłumu przed solidną bramą magazynu, zamkniętą za plecami dwóch czarnoskórych ochroniarzy o nieprzeniknionych spojrzeniach mistrzów zen.

— Nikt nie wejdzie, dopóki się nie uspokoiacie! — zaintonował jeden z mistrzów zen, ale jedyną reakcją tłumu był jeszcze energiczniejszy napór na aksamitne liny oraz nowa fala błagalnych jęków i pogrózek. W tym momencie na podjeździe pojawiła się wynajęta i niezbyt zadbana limuzyna, z której wyłonili się pasażerowie: Gil Jamais, średniej klasy promotor, a za nim stado młodziutkich modelek, które wybrał sobie na ten wieczór. Błyszczały jeszcze rosą świeżości, a ich młodość, spotęgowana żądzą sławy, pozwoliła im z werwą przetoczyć się przez rozhisteryzowany tłum i wcisnąć się w bramę klubu za plecami bramkarzy, których głównym zadaniem było w istocie ułatwienie im wejścia. W ciągu kilku sekund cały korowód pokonał drogę od drzwi samochodu do drzwi lokalu. Nic nie mogło ich zatrzymać. Kipiące energią dziewczyny nie były w stanie wytrzymać w ciżbie zwyczajnych ludzi; były zbyt niestabilną substancją, by zostawić po sobie cokolwiek poza wspomnieniem. Jakże jasno to dostrzegałam! A fakt, że tak było, uświadomił mi pewną zaskakującą prawdę: nie byłam już jedną z tych kipiących energią. Byłam jedną z tych przeciętnych istot, które daremnie próbowały dostać się w pobliże gwiazd wieczoru, i mogłam jedynie próbować.

I rzeczywiście, próbowaliśmy z Hallidayem wepchnąć się w nieprzyjazny tłum, który odrzucił nas szybko, szczelny jak guma.

— Ludzie, uspokójcie się — zawadzili bramkarze. Halliday spojrział na mnie przelotnie (byliśmy wciąż bardzo daleko od drzwi) i wyczułam, że z rezygnacją pogodził się już z tym, iż nie będę mogła mu pomóc. W tym momencie, o dziwo, Rozpacz odrzuciła wrogą maskę i nagle przyszła mi z pomocą. Pchnęła mnie z wielką siłą prosto w gąszcz ludzkich ciał, każąc kluczyć między nimi i wytrwale ciągnąć za sobą detektywa. Jednocześnie chwyciła mnie za serce i katowała ponurą przepowiednią katastrofy — w postaci nieudanego wieczoru — jeżeli nie uda mi się przecisnąć przez tłum i wymanewrować ochroniarzy, by wreszcie wejść do tego pieprzonego klubu. W imponującym tempie dopchałam się do jednego z mistrzów zen, którego chwyciłam za ramię, by silnym, władcym głosem oznajmić mu, że nazywam się Irene Maitlock i jestem dziennikarką „New York Posta”. „Duży artykuł”, „Mitch i Hassam”, „wywiad” i „kończy się moja

cierpliwość" to tylko nieliczne z motywów, które pojawiły się w mojej przemowie, zanim wcisnęłam osiłkowi w garść wizytówkę Irene (całe szczęście, że ją zachowałam — tylko dlatego iż kobieta zrobiła na mnie wrażenie).

Bramkarz, bez wątpienia koneser dobrych bajek, spojrział na mnie oczami żywcem wziętymi z rzymskiego popiersia, które rano pokazywał mi Spiro. Popatrzył też na wizytówkę, po czym oddał mi ją i bez słowa zniknął za drzwiami klubu. Wyłonił się po chwili w towarzystwie Anglika, którego już kiedyś spotkałam — typka po dobrej, prywatnej szkole, a także po czterdziestce, o nieco chaotycznym uzębieniu i jakby brudnych oczach. Goryl kiwnął głową w moją stronę, tym samym kończąc swą rolę pośrednika bez choćby symbolicznego wysiłku dla krtani.

— Jest pani dziennikarką? — spytał Anglik.

Wyciągnęłam ku niemu rękę możliwie dziennikarskim gestem.

— Irene Maitlock — powiedziałam, ściskając płuźnię mięso i skórę na dłoni mężczyzny. — A to pan Anthony Halliday.

— Proszę wybaczyć — odparł Anglik z ironią. — Zaprowadzę państwa na górę.

Po takiej walce, kiedy drzwi otworzyły się przed nami i mogliśmy przejść przez nie tak, jakby w magiczny sposób stały się przepuszczalne, jakbyśmy znieacka posiadli moc przenikania przez mury, poczułam dziką radość. Chociaż bywałam w klubach od tylu lat, cieszyłam się, a wnętrze, które zobaczyliśmy, od razu zyskało w moich oczach. Trzymając Hallidaya za rękę, podążałam za Anglikiem w głąb zatłoczonej sali. Tłum na parkiecie poruszał się w takt muzyki jak jedna, elastyczna masa albo jak ławica ryb.

Wreszcie nasz przewodnik dotarł do krętych schodów, których strzegł kolejny ochroniarz — jego sztuka zen (o ile jakąkolwiek posiadał) polegała na mistrzowskim okazywaniu znudzenia.

— Mitch i Hassam powinni być na górze! — wrzasnął Anglik, przekrzykując łomot muzyki, i zasalutował nam dziwnie, kiedy mu podziękowaliśmy. Goryl odsunął na bok aksamitną linę i wpuścił nas na schody.

Strefa dla VIP-ów była wyniesiona o pół kondygnacji powyżej głównego poziomu klubu. Sztuczne palmy i łoże podobne do wielkich przecinków otaczały salkę, w kącie której znajdował się niewielki parkiet do tańca, słabo widoczny w migającym, wielobarwnym świetle.

— Piękna robota — pochwalił mnie detektyw, pochylając się nad moim uchem.

— Przecież staram się o posadę — przypomniałam mu.

Podeszłam do baru, zamówiłam drugą podwójną wódkę i zaraz ją wypiłam. Czułam się tak, jakbym trzymała w dłoniach lekką, obracającą się szybko kulę podniecenia. Skąd się wzięła? Zastanawiałam się nad tym, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że strząsnęłam z siebie Rozpacz, a raczej, stając się Irene Maitlock, przestałam być Charlotte Swenson, której tego wieczoru uczepliła się Rozpacz. Pomachałam jej z sympatią, biedactwu, na którego barkach spoczął ciężar tak ponurego towarzystwa. A ja stałam przy barze lekka, wolna, jak jaszczurka, która uciekła, pozostawiając ogon w rękę sadysty.

Halliday rozglądał się po sali. Wygodne kanapy w łożach ozdobione były szczupłymi ciałami modelek, które porozkładały się na poduszkach i oparciach jak długowłose koty. Mężczyźni uwijali się wokół dziewcząt, podając napoje, szepcząc coś do nich i dotykając smukłych ramion w sposób nabożny i protekcyjnalny zarazem. Choć była zima, modelki miały na sobie cieniutkie sukienki i nie nosiły torebek, jak małe dzieci. Kiedy się pochylały, na ich plecach widać było korale wystających kręgow.

— Skąd one wiedzą, że mają tu przychodzić? — spytał Halliday. — Te dziewczęta.

— Promotorzy je przyprowadzają — odparłam. — Młodsze pewnie nawet nie mają pojęcia, gdzie się znalazły. Promotor zaprasza na przykład piętnastkę na kolację, a potem przywozi je tutaj.

— I co z tego ma?

— Och, pieniądze. Klub płaci mu za przywiezienie dziewcząt. Poza tym gwarantuje mu to określony styl życia: playboye pozwalają mu korzystać z limuzyn, latem zapraszają do Hampton... bo chcą mieć dostęp do dziewczyn. Restauracje zazwyczaj obsadzają modelkami całe stoliki; to im nakręca obroty. Promotor może być praktycznie golcem, a i tak żyje jak król.

— Krótko mówiąc, jest alfonsiem — stwierdził Halliday.

— O, nie — odparłam, spłoszona. — Wręcz przeciwnie. Jego praca polega na chronieniu modelek; przy nim mają się czuć bezpieczne. W przeciwnym razie straciłby je, a to oznaczałoby koniec interesów.

Czułam, że detektyw nie zgadza się ze mną, ale mało mnie to obchodziło. Miałam w dłoniach moją wirującą kulę szczęścia i spokojnie mogłam patrzeć (jako Irene Maitlock, reporterka nocnego życia) na zatłoczoną salkę i chude, nastoletnie ciała modelek o bujnych piersiach i twarzyczkach podobnych do emaliowanych szkatulek; na stworzenia sprawiające wrażenie niewiarygodnych hybryd egzotycznych, a może nawet fantastycznych gatunków. Jakie to oczywiste, że ludzie płacili za ich towarzystwo!

— A Z? — indagował Halliday. — On też był promotorem?

— Na wyższym poziomie — odparłam. — Nie ciągał za sobą dziewczyn; po prostu inwestował pieniądze w kluby i konkretne imprezy, razem z Mitchem i Hassamem.

— O wilku mowa — mruknął detektyw.

I rzeczywiście, Hassam przeciskał się w naszą stronę przez gęstwiną ciał, błyskając krągłą twarzą i wilgotnymi, ciemnymi oczami. Uścisnął Hallidayowi rękę.

— Cóż za urocza niespodzianka — powiedział, jakimś cudem zachowując swoją odwieczną łagodność, mimo że musiał krzyczeć, abyśmy go usłyszeli.

— Piękny lokal — pochwalił Halliday. — Niedawno otwarty?

— W zeszłym tygodniu. — Hassam był mężczyzną w trudnym do określenia wieku — być może dobiegał czterdziestki. Twierdził, że jest Anglikiem i istotnie mówił z brytyjskim akcentem, ale dotarły do mnie plotki, że tak naprawdę pochodził z Afganistanu, że walczył z komunistami i że siedział w sowieckim więzieniu. Od chwili gdy o tym usłyszałam, próbowałam zbadać cień jego osobowości, poszukując w nim śladów owej przemocy, jakichś blizn czy ran, ale przekonałam się, że Hassam emanuje spokojem graniczącym z sennością, i to w anestetycznym sensie. Tylko raz, kiedy jakiś gość chwalił się głośno przy kolacji, że jest członkiem argentyńskiej organizacji terrorystycznej, Hassam odwrócił się do mnie i powiedział: „Posłuchaj tego gnoja”. Tylko tyle, nic więcej, ale zdążyłam zauważyć, że coś zaszło w jego oczach, a może raczej za nimi, że na moment wychynął z nich niepokój. Zaczęłam się wtedy zastanawiać, czy te łagodne oczy są prawdziwą wizytówką Hassama. Miał żonę, szwedzką modelkę, i dwoje małych dzieci — Philippe i Nigela — których zdjęcia zawsze nosił w portfelu.

Mitch, zaalarmowany poprzez telepatyczną więź, która z biegiem lat połączyła go z Hassamem (nie łączyło go z nim za to fizyczne podobieństwo), spieszył już w naszą stronę. Był młodszy i zdecydowanie bardziej rozmowny. Miał krótko ostrzyżone włosy, pierś pokrytą sporą warstwą mięśni i sadła, południowy akcent oraz agresywny sposób bycia, przywodzący na myśl buńczuczność uniwersyteckiej gwiazdy sportu — którą istotnie mógł, ale nie musiał nigdy być.

— Czołem, doktorze — odezwał się swym ochrypłym głosem, energicznie potrząsając ręką Hallidaya. — Co pana sprowadza w te strony?

— Węszę — odparł detektyw. — Jak zawsze.

— Zatem miłego węszenia. Mieliśmy tu dziś Mike'a Tysona i Ethana Hawke'a. Annabella Sciarra siedzi tam — dodał, ruchem brody wskazując na ciemny zakątek sali. — Proszę mieć oko na Eddiego Murphy'ego. Podejrzewam, że



przyjdzie dość późno. Zaraz, kto tu jeszcze... — mruknął, omiatając łóżę szybkim spojrzeniem. Wreszcie jego wzrok spoczął na mnie.

— Przedstawiam panom Irene Maitlock — powiedział Anthony Halliday, z trudem ukrywając rozbawienie. — Dziennikarkę z „New York Posta”.

Znałam Mitcha i Hassama od wielu lat. Byłam jedną z dziewcząt, które wozili swego czasu z restauracji do klubu i do Hampton, a do tego spałam z oboma — z Mitchem raz, a z Hassamem dwa razy (na długo przed tym, nim usłyszałam plotki o Afganistanie; w przeciwnym razie znalazłbym już jego historię, bo seks jest królestwem, w którym najłatwiej wypędzić z barłogu ukrytą osobowość). Teraz zaś, ściskając dłonie, patrzyłam im w oczy (Hassama spokojne i bezdenne, a Mitcha puste i błyszczące jak lusterka wsteczne), udając, że obu spotykam po raz pierwszy. Wrażenie było nadspodziewanie elektryzujące.

Na pierwszą wzmiankę o „New York Post” twarz Mitcha przeszła serię błyskawicznych transformacji: od absolutnej obojętności w obecności nieważnej nie-modelki (czyli mnie), poprzez chciwe podniecenie w obecności przedstawiciela prasy (czyli mnie), aż po wystudiowaną neutralność, która miała zasłonić jego oportunizm i stworzyć wrażenie, iż słowa, które miałam lada chwila usłyszeć (a ich nadejście wyczuwałam jak zbliżanie się solidnego kichnięcia), były niczym więcej i niczym mniej niż tylko standardową wypowiedzią przeznaczoną dla nieważnej nie-modelki, za jaką wziął mnie w pierwszej chwili.

— Czy wolno mi zaproponować pani drinka? Może zwiedzimy cały lokal? — spytał z pozornie chłodną uprzejmością. — A może chciałaby pani kogoś poznać? Gdybyśmy wiedzieli, że złoży nam pani wizytę, przygotowalibyśmy coś specjalnego.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałam, próbując nie śmiać się głośno.

Wsunął mi w dłoń wizytówkę ze zręcznością wytrawnego łapówkarza.

— To numer do naszego biura — powiedział. — Kiedy tylko zechce nas pani odwiedzić, proszę zatelefonować. Wszystko załatwimy, zarezerwujemy stolik... Wszystko, czego pani sobie zażyczy.

Fascynował mnie sposób, w jaki do mnie przemawiał: bezpłciowy, pełen szacunku, jakbym była mężczyzną. Więc to jest władza, pomyślałam. To takie uczucie.

— Ma pan jakieś wieści o naszym byłym wspólniku? — spytał Hallidaya Hassam.

— Pogłoski — odparł detektyw. — Żadnych konkretów.

— Wciąż jeszcze mam nadzieję, że to tylko żart — odezwał się Mitch. — Że Z wejdzie tu pewnej nocy i powie: „Hej, a co z moim niebieskim?” A powie tak, bo taki był jego zamiysł: chciał pomalować całe wnętrze na intensywnie niebieski, prawie fioletowy kolor...

— Ciemny błękit — poprawił Hassam.

— Właśnie. Chciał nazwać klub „Okiem”, bo przecież mówi się o oku cyklonu i tak dalej... To był nawet niezły pomysł; możliwe, że nazwiemy tak inny lokal, jeśli Z jeszcze tu wróci...

— Nie wróci — mruknął Hassam tak cicho, że sama nie wiem, jakim cudem usłyszeliśmy go w takim hałasie.

Umiłkliśmy jak na komendę, czekając, aż rozwiniemy myśl, ale w tym samym momencie tłum interesantów, włazidupców i modelek szukających darmowych kuponów na drinki, który zbierał się wokół nas od pierwszej chwili i naciskał coraz mocniej na nasz kwartet, wreszcie zdołał nas rozdzielić, zasypując Mitcha i Hassama deszczem udawanych pocałunków, wydumanych uścisków dłoni i zdecydowanie przesadzonych komplementów pod adresem nowego klubu. Dominowały jednak prośby — „moja przyjaciółka ugrzęzła przy drzwiach”, „potrzebowałabym odrobiny (niuch, niuch)”. Lecz choć znałam wielu z tych błagających i być może przed wypadkiem byłabym jedną z nich, teraz byłam zupełnie niewidzialna. Wydawało mi się, że przechodzą wprost przeze mnie i przez Hallidaya w drodze do swych dobroczyńców i

mogłam swobodnie trenować moją świeżo nabytą ciekawość — ciekawość reporterki „New York Posta”. Dopiero kiedy na horyzoncie pojawiła się Daphne, z trzema ranami na każdym policzku (na pamiątkę po przedpołudniowej sesji), odwróciłam się w pośpiechu.

— Proszę, proszę, kto pracował dla Spira! — Usłyszałam donośny głos Mitcha. Próbował dotknąć rozcięć na jej twarzy, ale Daphne odtrąciła jego rękę.

— Przejdźmy się — powiedziałam, popychając Hallidaya w stronę baru, gdzie zamówiłam kolejną podwójną wódkę, ignorując jego pełne dezaprobaty spojrzenie.

Okrążyliśmy salę, by detektyw mógł zajrzeć do wszystkich łóż.

— Przez tyle miesięcy nigdy pani z nim nie rozmawiała? — spytał.

Znowu musiała minąć dłuższa chwila, zanim zrozumiałam, że pyta o Z. Powinnam była wiedzieć; on zawsze pytał mnie o Z.

— Był raczej milczący — odpowiedziałam. — Zazwyczaj wydawało się, że w ogóle niczego nie słucha, ale moim zdaniem słuchał. I słyszał wszystko.

— Dlaczego tak pani sądzi?

— Był czujny. Pił sok albo herbatę, nigdy nic innego. Kiedy tylko ktoś wymawiał jego imię, natychmiast się odwracał.

— Widzę, że przyglądała mu się pani dość uważnie.

— Przyglądam się wszystkim — odparłam. — W ten sposób się uczę.

— Zdaje się, że tylko to pani pozostało — zauważył złośliwie. — Skoro nie wierzy pani w to, co mówią inni.

— Anthony — powiedziałam i zaczekałam, aż na mnie spojrzy. — To był taki sobie facet. Zniknął. Co za różnica?

— Ludzie nie znikają — odpowiedział. — Najwyżej zmieniają miejsce pobytu. — Czułam, że zastanawia się, czy powinien kontynuować. Wreszcie odezwał się, jakby pospiesznie.

— Nie był Grekiem. Nie był żonaty. Oczywiście nie miał na imię Z. Nie zajmował się importem ani eksportem. Nie handlował nawet prochami. Pojawił się znikąd, spędził cztery miesiące w miejscach takich jak to, a potem zniknął bez śladu. Jaki miał plan?

— To samo mógłby pan powiedzieć o dwudziestu innych ludziach — odpowiedziałam, ale i tak wiedziałam, że to nie ma sensu, bo z jakiegoś powodu — a może całkiem bez powodu — Z zajął ważne miejsce w wyobraźni detektywa.

— Moim zdaniem — rzekł ostrożnie Halliday — wie pani o tym człowieku znacznie więcej, niż chce mi pani powiedzieć.

— Uważał pan tak, zanim spotkaliśmy się po raz pierwszy — stwierdziłam, a on nie zaprzeczył. — Dlaczego?

— Instynkt.

Odwróciłam się w stronę Anthony'ego Hallidaya z czymś, co, miałam nadzieję, mogło uchodzić za beztronski uśmiech, na ustach. Staralam się ukryć cała za tym grymasem, jakby był elementem wystroju wnętrza.

— Ja też mam wcale nie najgorszy instynkt — powiedziałam.

— Więc może dla odmiany podzieli się pani ze mną swoimi spostrzeżeniami.

— Jest pan wściekły z powodu utraty córek — wypaliłam i natychmiast wiedziałam, że trafiłam w dziesiątkę, zanim jeszcze jego oblicze zamieniło się w maskę bezbrzeżnego zdumienia. — Rudzielców — dodałam gwoli ścisłości.

— Skąd pani wie, że mam córki?

Uśmiechnęłam się, czekając, aż się domyśli. W końcu był detektywem.

— Zdjęcie — powiedział po chwili, szczerząc zęby.

— To mogły być pańskie siostrzenice. Zrobił głupią minę.

— A któż trzymałby na biurku zdjęcie siostrzenic?

— Ktoś, kto nie ma dzieci. Na moment zapadła cisza.

— Ma pani rację. Tęsknię za dziewczynkami.

Wcale nie powiedziałam, że za nimi tęskni. Mówiłam tylko, że jest wściekły, bo je stracił. Postanowiłam nie czepiać się szczegółów.

— Muszę się napić — oznajmiłam.

— To ostatnia rzecz, której pani potrzebuje. Podeszłam do baru, zamówiłam podwójną wódkę i wychyliłam ją do dna. W jednej chwili — tej, której potrzebowałam na pochłonięcie drinka — z płynnością rozciągającego się teleskopu przebyłam wszystkie stopnie alkoholowego odurzenia: od lekkiego zawiania, przez chwiejną euforię, którą uwielbiałam przez większość mego życia, aż po stan kompletnego zalania. Wystarczył ten jeden łyk (fakt, że spory; przecież zamówiłam podwójną wódkę) i pojawiłam się na samym krańcu spektrum pijackich doznań, omal nie padając z nóg. Sala doznała nagłego przechyłu, a ja naprężyłam mięśnie, żeby jakoś przystosować ciało do nowego składu chemicznego. Ostrożnie podeszłam do Hallidaya, który stał na galerii i spoglądał w dół, na kotłujący się tłum nieVIP-ów.

— Zatańczymy? — spytałam, z wysiłkiem ratując słowa przed zlaniem się w jedną, mętną całość.

Nie odpowiedział od razu. Obserwował mnie, szacując, jak bardzo jestem zalana, z nieomylnym wyczuciem niedawno wyleczonego. Zresztą może po prostu zastanawiał się nad pytaniem. Nie każdy lubi tańczyć w nocnym klubie.

— W porządku — odparł w końcu.

W milczącej zgodzie obeszliliśmy mały parkiet VIP-ów, na którym nastoletnie modelki tańczyły zwartą grupą, zeszliliśmy po kręconych schodach, minęliśmy posepnego ochroniarza i stylem klasycznym przepłynęliśmy przez tłum w stronę nieco luźniejszego miejsca. Ku mojemu zaskoczeniu, Anthony Halliday umiał tańczyć. Wiedział, jak należy się ruszać i, co ważniejsze, wiedział, że nie wolno przesadzać. Z początku złożyłam tę umiejętność na karb jego profesjonalizmu — jako detektyw musiał być kameleonem — ale szybko stwierdziłam, że jest w tym coś więcej. Bez wątplenia w jakimś punkcie swojego życia musiał poświęcać tańcowi wiele czasu. Przekrzykując jazgot muzyki, podzieliłam się z nim tą obserwacją. Przytaknął.

— Ale to było dawno temu — zawołał.

— Kiedy?

— Byłem nastolatkiem. Bywałem w latynoskich klubach.

Wymiana zdań zmusiła nas do skrócenia dystansu. Anthony zawiesił dłonie na mojej talii. Muszę przyznać, że bez względu na to, ilu ludziom pozwalałam dotykać mojego ciała, ten pierwszy raz, pierwszy kontakt — przy dowolnej okazji — zawsze był najbardziej interesujący. Poznający się ludzie stają się wtedy dla siebie stworzeniami z krwi i kości, a przestają być jedynie głosami i myślami. W tym momencie pozwoliłam Irene Maitlock powrócić w ramiona kochającego męża i zmartwychwstałam w ciele Charlotte Swenson. Rozpacz została sama, chwilowo bez życiowego partnera.

— Dlaczego akurat w latynoskich?

— Bywali tam niesamowici tancerze. To był cały mój świat. Nie obchodziły mnie sprawy, które powinny były mnie obchodzić. Zatraciłem się w tańcu.

Dotykaliśmy się prawie całymi ciałami, od piersi po kolana. Jako że minęło kilkadziesiąt lat, odkąd dotykałam kogoś po raz ostatni, z trudem zdławiłam jęk ulgi, który odezwał się gdzieś w moim wnętrzu.

— Przypuszczam, że przestrzega pan kodeksu, który zabrania bliższych kontaktów z klientkami? — spytałam, przybliżając usta do jego ucha.

— Owszem.

— Ale ja nie jestem klientką — przypomniałam.

Roześmiał się; poczułam ruch jego klatki piersiowej.

— Tak, wiem.

— Proszę cię — szepnęłam z nagłą zuchwałością, muskając wargami płatek jego ucha — zrujnujmy sobie nawzajem życie.

— Ja już to zrobiłem — odparł. — Teraz próbuję naprawiać.

— Mogę pomóc! Znowu się zaśmiał.

— Wybacz, ale jakoś wątpię.

— Maleńki nawrót może mieć działanie oczyszczające.

— Nic podobnego. Już próbowałem. — Tańczyliśmy znowu w ciszy, a raczej w ryczącej kakofonii nocnego lokalu. Czułam, jak pierś Anthony'ego unosi się przy każdym oddechu. — Tak czy inaczej, nie tracisz zbyt wiele.

— Jesteś kiepski w łóżku? — Ponownie usłyszałam jego śmiech. — Impotent?

— Dopiero po pierwszej butelce. Odpukać.

Odsunęłam się o pół kroku i popatrzyłam na niego sceptycznie. Na szczęście zignorował to moje bezwstydnego spojrzenie.

— Cóż, chyba będę musiał jakoś żyć ze świadomością twoich wątpliwości — powiedział.

— Najważniejszy jest właściwy partner — stwierdziłam. — Twoja żona widocznie nim nie była.

— Nie była. Johnnie Walker był moim partnerem.

— Jej strata.

— Pewnie mogłaby tak powiedzieć. Ale ja uważam, że to moja strata.

Oderwałam policzek od jego ramienia i pocałowałam go, najpierw lekko, muskając jego wargi jak piórkiem, a potem znacznie mocniej. Halliday z początku nie zareagował; po prostu pozwolił mi to zrobić. A potem, jakby nagle otworzyła się w nim szuflada z ukrytą zawartością, gwałtownie odwzajemnił pocałunek, wciskając język głęboko w moje usta. Jego ręce przebiegły gorączkowo po moich plecach i spoczęły na pośladkach. Całun pożądania spadł na mnie znienacka i przesłonił mi oczy. Sięgnęłam ręką do jego dzinsów, ale przechwycił ją w pół drogi.

— Nie tutaj — powiedział.

Na zewnątrz czekał rząd taksówek. Wpakowaliśmy się do pierwszej z brzegu, podałam kierowcy mój adres i ruszyliśmy na wschód Dwudziestą Trzecią Ulicą. Złączyłam się z Anthonyem w długim, głębokim pocałunku, który przeprowadził nas przez szereg bram i komnat umysłu — tak mocnym, że wycofanie się z niego było trudne, prawie bolesne. Kiedy sięgnęłam do jego rozporka, spojrzął w lusterko kierowcy, który, spłoszony, natychmiast odwrócił wzrok. Anthony przesliznął się w bok i oparł plecami o drzwi. Wciągnął mnie na kolana i zaczął całować szyję, wciskając ręce pod sukienkę, ku piersiom. Przesunęłam pośladkami po jego ciele.

— Zdaje się, że kwestię impotencji mamy rozstrzygniętą — powiedziałam, a on roześmiał się, napełniając moje ucho swym ciepłym oddechem.

Drażnił moje sutki tak długo, aż wreszcie bryła wosku, która zalegała w moim brzuchu od czasu wypadku, rozpuściła się nagle i zniknęła. Sięgnęłam po torebkę, wyjęłam z niej butelczynę i wlałam w gardło spory łyk tequili. Poczułam, że Anthony zeszywniał.

— Nie rób tego — powiedział. — Wystarczy.

— Zgoda — odpowiedziałam i wzięłam ostatni haust palącego trunku. Potem odwróciłam się, nie połykając tequili, uniosłam się na kolanach i pocałowałam Anthony'ego z góry, pozwalając, by alkohol wlał się wprost w jego usta. W jego oczach zobaczyłam zdumienie. Nasze wargi stykały się jeszcze przez sekundę lub dwie, a potem Halliday

zakrzuszył się, szarpnął gwałtownie i wypluł tequilę na podłogę. Przez chwilę siedział nieruchomo, nie patrząc na mnie, a potem wolno otarł usta dłonią. Wreszcie, kiedy znowu na mnie spojrzął, jego blada twarz była już zupełnie obca i pełna gniewu.

— Po co to zrobiłaś, do kurwy nędzy?

— Przepraszam — odparłam, próbując przysunąć się bliżej. — Chciałam tylko...

Właśnie. Co ja właściwie chciałam?

Odsunął mnie, ale ja uparcie pochylałam się ku niemu.

Pragnęłam raz jeszcze go pocałować, żeby zapomniał i żebyśmy mogli zacząć od nowa to, co przerwaliśmy.

— Przestań! — zawołał stanowczo. — Zostaw mnie!

Ale ja nie zamierzałam ani przestać, ani go zostawić. Wreszcie skulił się, by mnie zniechęcić, ale ja zaczęłam wspinać się na niego, z wysiłkiem walcząc o zachowanie równowagi w pędzącej taksówce. Wsiadłam mu na plecy jak dziecko jadące „na barana”.

— Złaź! — krzyknął zduszonym głosem, ale go zignorowałam.

Pochyliłam głowę, szukając jego ust, lecz niestety były niedostępne. Jedynym wejściem do jego ciała, jakie znalazłam, było ucho — białe, śliczne i delikatne ucho ukryte pod ciemnymi włosami. Wsunęłam w nie język.

Halliday podskoczył, jakby poraził go prąd, a potem wyprężył grzbiet i zrzucił mnie w stronę przeciwnych drzwi. Uderzyłam głową o szybę i zobaczyłam gwiazdy — tylko że one wcale nie wyglądały jak gwiazdy, ale jak radioaktywna sperma.

— Wszystko straciłem — powiedział cicho. — Wszystko, co miałem na tym świecie. Ale co to ciebie, kurwa, obchodzi?

Szumiało mi w głowie i czułam, że moje oczy są pełne wody. Bałam się, że weźmie ją za łzy.

— Zatrzymaj — zwrócił się do kierowcy.

— Tutaj nie wolno — odparł taksjarsz.

— Zatrzymaj pan ten cholerny wóz!

Zjechaliśmy na pobocze i Halliday wysiadł bez słowa. Ja również się nie odezwałam. W uszach dzwoniło mi tak głośno, że nie słyszałam nawet trzaśnięcia drzwiami, chociaż samochód zatrzęsł się od uderzenia.

Taksówka potoczyła się dalej w stronę mojego apartamentowca, a ja pogrążyłam się w sennym odrętwieniu i właściwie nie bardzo rozumiałam, co się stało. Kiedy jednak weszłam do budynku, wspierałam się po schodkach i minęłam jak zwykle zaspanego cicią, przeszłam pod wielkim żyrandolem (który wyglądał tak, jakby zwinięto go z najbliższego Hyatta) i ruszyłam w stronę wind, poczułam, że moja nowa towarzyszka życia z właściwym sobie chłodem wita mnie w domu. Wszedłszy do kabiny, otworzyłam butelkę i szybko dokończyłam tequilę.

Mieszkanie wyglądało tak, jak je zostawiłam, tyle że teraz rzędy pustych butelek i chaos porzuconych ubrań wyglądały jak pełne nadziei preludium do fatalnego wieczoru. Zapomniałam tylko, że skończyło mi się paliwo. Stałam pośrodku salonu i przez parę sekund z wysiłkiem analizowałam sytuację, a potem obróciłam się na pięcie i pobiegłam z powrotem. Była trzecia czterdzieści pięć nad ranem, więc barowe opcje, które mi pozostały, były raczej nieliczne. Odmówiłam portierowi, który chciał sprowadzić dla mnie taksówkę, i wytoczyłam się samotnie w ciemną i mroźną noc. Trzecia pięćdziesiąt. Miałam dziesięć minut na znalezienie czynnego baru. Poszłam spokojnie w stronę Pierwszej Alei, do McFaddena, ciasnego, irlandzkiego pubu, w którym byłam raz czy dwa przed wypadkiem. Atmosferę ostrego picia łagodziła w nim obecność paru młodych par sączących kawę po irlandzku i posilających się paskudnymi plackami. Jednak tej nocy, kiedy dotarłam do McFaddena, a raczej do miejsca, w którym niegdyś się znajdował, zobaczyłam pustą salę



i sterty śmieci za brudnymi szybami oraz koślawo zawieszoną kartkę z napisem „do wynajęcia”. Była trzecia pięćdziesiąt siedem.

Świetnie, pomyślałam, nie będzie picia. Pomyślałam „świetnie”, ale wcale nie czułam się świetnie — było mi bardzo nieprzyjemnie; do tego stopnia, że brakowało mi właściwego słowa na określenie tego złożonego stanu. Przychodziły mi do głowy jedynie szczątkowe określenia: źle, smutno, mdło. Sprawdziłam swoje oznaki życia. Puls: bardzo szybki, mniej więcej sto dwadzieścia. Temperatura: niska. Drżenie rąk.

Przyspieszona praca serca... Diagnoza? Dostawałam wścieklizny. W porządku, powiedziałam sobie w duchu, może i mam za sobą fatalny wieczór, popełniłam błąd; który pozbawił mnie okazji na wytarżanie się w sianie z byłym pijakiem o gwałtownym charakterze — czy to aż taka tragedia? Idź do domu, weź tabletkę nasenną... Jutro też jest dzień. Bla, bla, bla... Lecz moje racjonalne „ja” miało coraz mniej do powiedzenia, bo im dłużej próbowałam wyjaśnić sobie cały ten galimatias, tym bardziej byłam wściekła, aż wreszcie naprawdę wydałam z siebie dziki wrzask — zgięłam się wpół i ryknęłam na całe gardło na pustej ulicy. Był to krzyk, który nawet w moich uszach brzmiał jak wycie zwierzęcia, pełne bólu i bezradności.

Zaczęłam iść w kierunku East River. Od dawna wiedziałam, że stany dyskomfortu psychicznego najłatwiej jest zwalczać poprzez aktywność fizyczną. Nie myśl! — napominałam się w duchu. Przeżyjesz. Jesteś silna; proszę, ile już przeszłaś i jakoś przetrwałaś. Bardzo chciałam dojść do rzeki, ale nie było to łatwe: na mojej drodze stanął park, którego bramy zamykano na noc. A jednak, jakimś litościwym cudem, tym razem wejście było otwarte. Przeszłam przez park, a potem, napowietrzną kładką przepравиłam się na drugą stronę trasy szybkiego ruchu. Mroźny wiatr rządził niepodzielnie na nabrzeżu, niosąc ze sobą lodowe igiełki i zapach benzyny. Minęłam coś, co wyglądało na worki ze śmieciami — ale to byli ludzie, leżący wprost na chodniku i przykryci pudłami. Jakim sposobem mogli przetrwać w takiej temperaturze? A może już byli martwi? Przyspieszyłam kroku, w głębi duszy żywiąc nadzieję, że ktoś wyskoczy zaraz z mroku i zamorduje mnie, a ciało wrzuci do zamarzającej rzeki — niewinną mnie, która najlepsze chwile życia ma jeszcze przed sobą! Prawdziwa tragedia.

Struga betonu, którą wędrowałam, zwęziła się nagle i zaraz potem znikła, a ja stanęłam przed wlotem tunelu. Wiatr wciskał się do moich uszu i nakłuwiał je od środka igiełkami bólu. Zadarłam głowę, by spojrzeć na mój pochyły apartamentowiec o schodkowo ułożonych balkonach, podobny do olbrzymiego minaretu na tle różowawego, chemicznego nieba. Obróciłam się w miejscu i ruszyłam w drogę powrotną.

Ciec zbaraniał na mój widok — czułam, że zastanawia się, czy moje poprzednie przybycie nie było tylko snem. Tym razem już w holu moja nowa towarzysząca przysiadła mi na ramieniu; występna kochanka, która zniszczyła mnie w swoim uścisku i poczęstowała trującym pocałunkiem, dokładnie tak, jak ja potraktowałam Hallidaya. W windzie podskakiwałam, by ani przez chwilę nie pozostawać w bezruchu, a kiedy drzwi rozsunęły się, wystrzeliłam na korytarz jak z procy.

Włączyłam światło i zaskoczył mnie widok mojego mieszkania. Mogę je sprzedać, pomyślałam. Sprzedać kanapę. Sprzedać drogie naszyjniki, bransolety i kolczyki, które przez lata dostawałam od bogatych, bezczelnych playboyów. Mogę sprzedać sprzęty kuchenne. Ręczniki, kosmetyki. Torebki. Ubrania! Moje halstony i chanele, moje gallionosy i Isaaki Mizrahisy. Mogę sprzedać wieżę i telewizor, choć nie są już takie nowe. Meble i antyki, które kupiłam w Europie. Mogę sprzedać japońskie malowidło na desce; zimowy pejzaż wiejski.

Ale czy wystarczy mi, jeżeli sprzedam to wszystko?

Wystarczy na co?

Rozsunęłam drzwi balkonowe i stanęłam na progu, znowu czując na sobie zimny wiatr. Nie, pomyślałam, nie chcę sprzedawać wszystkiego. Byłam na to zbyt pijana.

Już po wszystkim, myślałam. Koniec. Nic nie zostało.

Tragedia!

Pokój luster zniknął; już nigdy nie miałam go zobaczyć; zresztą może nawet nigdy nie istniał. Odwróciłam się twarzą do wiatru. Skoczyć. Ta myśl przemknęła przez mój umysł jak serpentyna. Wyrzuciłam na zewnątrz, w tę miękką, różową ciemność. Skoczyć.

Zamknęłam oczy. Myśl o tym, że mogłabym skoczyć z balkonu wprost w tę puchnącą od śniegu noc, nappełniła mnie pożądaniem jeszcze większym niż to, które czułam przy Hallidayu. Przeszedł mnie rozkoszny dreszcz: gdyby tak wykonać ten jeden, gwałtowny krok... Zaciśnęłam zęby i z wysiłkiem przełknęłam ślinę. Poczułam, że kolana uginają się pode mną.

Nie otwierając oczu, chwyciłam stalowy reling, zaciśnęłam na nim palce i przeszłam na drugą stronę. Balansowałam teraz na wysokich i wąskich obcasach moich butów, mając pod nimi co najwyżej dwa cale betonowej półki. Kurczowo trzymałam się barierki. Wiatr bił we mnie tak zajadle, jakbym była uwiązana do dziobu lodołamacza. Poczułam, że wsysa mnie oszalamiająca, dwudziestopięciopiętrowa studnia. Kręciło mi się w głowie. Nie otwieraj oczu. Podbródek w dół. Niech cię widzą.

Puściłam reling i skoczyłam.

Miałam wrażenie, że niemal natychmiast huknęłam o beton. Leżałam tak, zdumiona faktem, że jestem przytomna. A może już martwa? Z całą pewnością tak, bo czy ktokolwiek mógł przeżyć upadek z dwudziestego piątego piętra? A jednak byłam przytomna, a przynajmniej zdolna do trzeźwego rozumowania. Leżałam i delikatnymi, ostrożnymi ruchami sprawdzałam kondycję moich kończyn. Kiedy otworzyłam oczy, widziałam podwójnie, podobnie jak wtedy, kiedy odzyskałam świadomość po wypadku. Miałam wrażenie, że patrzę na szklaną tafłę. Sączyło się przez nią światło, a także szmer, słaby, przerywany szmer... głosów. A potem jeden głos. Leżałam na twardym podłożu z otwartymi oczami i słuchałam, próbując zrozumieć. *Deberrr... siostrrr... dzieciiii...* Głos brzmiał znajomo, jak głos przyjaciela, a może nawet kochanka. Nie... nie. Był to przyjemny bas Roberta Stacka, żelaznowłosego narratora *Niewyjaśnionych zagadek*. Spadłam na czyjś balkon.

Ale jak to możliwe? Powoli i ostrożnie obróciłam głowę i spojrzałam w górę. Tak, teraz wiedziałam już wszystko: jako że balkony w moim budynku ułożone były schodkowo, by zapewnić każdemu z lokatorów odpowiednie nasłonecznienie mieszkania i wrażenie prywatności, balkon znajdujący się piętro niżej wystawał na zewnątrz o dobre trzy stopy dalej, niż mój.

Zaczęłam się śmiać. Bolało, ale nie mogłam przestać. Ja żyję, pomyślałam.

Chwiejnie stanęłam na nogi i spróbowałam zajrzeć do mieszkania przez białą zasłonkę, ale nic nie zobaczyłam. Zapukałam cicho do szklanych drzwi, ale telewizor grał („Tej nocy, kiedy widziano ją po raz ostatni, Deborah nie miała ze sobą bagażu ani zapasowego ubrania...”), a do tego, o godzinie — spojrzałam na zegarek — czwartej czterdzieści pięć nad ranem, ktokolwiek tu mieszkał, na pewno był pogrążony w głębokim śnie.

Ostrożnie rozsunęłam drzwi i weszłam do pokoju. Układ mieszkania był taki sam jak u mnie, ale lokator najwyraźniej przeznaczył obszerniejszy salon na sypialnię. Po lewej dostrzegłam łóżko, a w nim, pod kołdrą, masywny kształt, który — jak zauważyłam kątem oka, skradając się w stronę wyjścia — poruszał się miarowo w dziwnie znajomy sposób. Zatrzymałam się i odwróciłam. („Powiedziała, że idzie na randkę, nic więcej, a kiedy nie wracała, zaczęliśmy szukać...”) Spod okrycia wystawała siwa głowa mężczyzny, a pod nią widziałam zarys drugiej, która pomrukiwała z rozkoszą w takt ruchów.

— O Boże — jęczała druga głowa. — O Boże... O Boże.

Stawiając palce tak delikatnie, że zdawałam się płynąć nad kosmatym dywanem, wznowiłam bezszelestny marsz w stronę drzwi, wciąż jeszcze pełna nadziei na powodzenie tej desperackiej próby ucieczki. Niestety, mój zmysł równowagi nie działał, bolały mnie kolana, a palce stóp opierałam o podłogę zbyt pionowo — do diabła, popełniłam drobny błąd, potknęłam się o kabel od telewizora, zachwiałam się i runęłam jak długa, po drodze przewracając wielką, miedzianą lampą. Szczątki stłuczonego klosza i żarówki utkwily w moich włosach.

Rozległ się krzyk przerażenia, a potem na łóżku zakotłowało się, co słyszałam tym lepiej, że telewizor ucichł — wyrwałam przewód z gniazdka, a dokoła zapanowały egipskie ciemności.

— Tam jest! Tam! — wrzasnęła kobieta głosem zgoła innym niż ten, który wydawała z siebie chwilę wcześniej. Nie miałam nawet siły, żeby podnieść głowę. Ktoś zapalił światło. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, zobaczyłam krzepkiego mężczyznę w szlafroku frotte, ściskającego w dłoniach kij baseballowy z błękitnawego aluminium.

— Najmocniej przepraszam — powiedziałam. W tych okolicznościach moje przeprosiny były zdecydowanie niewystarczające.

Najwyraźniej nie mnie spodziewał się zobaczyć siwowłosego mężczyzna. Opuścił kij o cal lub dwa.

— Co pani robi w naszym mieszkaniu? — zapytał.

Zmusiłam się do przyjęcia pionowej pozycji. Starsza kobieta o pięknych, kasztanowych włosach siedziała na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi.

— Mark, nie pozwól mu wstać! — krzyknęła.

— To nie on, tylko ona — wyjaśnił mężczyzna.

— Jestem państwa sąsiadką z góry — powiedziałam. —

Z dwudziestego piątego. Przez pomyłkę wypadłam z balkonu i znalazłam się tutaj.

Moje wyjaśnienie uciszyło ich na chwilę.

— Jak to wypadła pani z balkonu? — spytał wreszcie mężczyzna.

— Ja właśnie... ćwiczyłam — odparłam. — No i wypadłam.

— Co on powiedział? — jęknęła kobieta.

— Nie on, tylko ona, Miriam — odkrzyknął gość. — Mówi, że ćwiczyła na balkonie i wypadła.

— Ćwiczyła, akurat! — prychnęła kobieta. — Mark, skarbie, podaj mi szlafrok.

— Spokojnie, kochanie — odpowiedział Mark. — Sytuacja jest pod kontrolą.

— Jestem pijana — oznajmiłam, mając nadzieję, że w ten sposób zatuszuję bardzo słabe punkty moich zeznań. Mężczyzna zmierzył mnie niepewnym wzrokiem. — Zalana. Urznięta. Nawalona. Za dużo wypiałam i spadłam z balkonu. Rozumiemy się?

— Rozumiemy — odpowiedział, po czym krzyknął przez ramię: — Ona jest pijana!

— To najgłupsza rzecz, jaką...

Mark odprowadził mnie do drzwi. Podobał mi się ten facet, który kochał żonę i wciąż jej pożądał, chociaż widać było, że mają za sobą długie lata życia. Żałowałam, że tak im przerwałam.

— Wie pani, w naszym budynku jest całkiem niezła siłownia — powiedział. — Na czternastym.

— Wiem — odparłam.

— Mam nadzieję, że nic się pani nie stało?

— Nic. Czuję się świetnie.

— Trzy aspiryny — poradził mi, mrugając porozumiewawczo. — I dużo wody. A jutro proszę pospać dłużej, jeśli pani może.

— Tak zrobię.

Drzwi zamknęły się za mną i znowu stanęłam na korytarzu. Ale tym razem był to już inny korytarz. I inny budynek. Dlaczego? Zastanawiałam się nad tym, idąc do windy po miękkiej wykładzinie. Dlaczego? I wreszcie zrozumiałam: Rozpacz zniknęła. Była zbyt ciężka, myślałam, uśmiechając się do siebie w lustrze, zbyt wielka i nieporadna, by zatrzymać swój upadek na tych marnych trzech stopach betonu. Spadła w dwudziestopięciopiętrową przepaść i zdechła.

Wjechałam na górę tylko po to, by przekonać się, że drzwi mojego apartamentu są zamknięte na klucz. Raz jeszcze wróciłam do holu, żeby wyjaśnić moje położenie kompletnie zdębiałemu cieciewi — choć oczywiście nie wspomniałam o upadku z balkonu. Wziąwszy od niego zapasowy klucz, spokojnie wróciłam do siebie.

## Rozdział dziewiąty

Po śniadaniu Charlotte wymknęła się tylnymi drzwiami, drżąc ze zmęczenia. Spojrzała na białe niebo, dziwne drzewa i rower leżący dokładnie tam, gdzie pozostawiła go o trzeciej czterdzieści pięć nad ranem, kiedy wróciła od Michaela Westa. Po raz szósty. Zapisywała każdą z tych wizyt na stronach kalendarza, używając szyfru, który wciąż modyfikowała i rozszerzała. Notowała godzinę wyjścia i powrotu, a także fakty dotyczące pogody, na przykład: 1LC2"0412\*//\*\*KL1704 (pierwszy listopada, czwartek, deszcz, wyjście: dwunasta zero cztery, powrót: czwarta siedemnaście, a pośrodku zakodowane szczegóły spotkania). Robiła to, by później, kiedy ogarniał ją strach, że wszystko to może nie być prawdą, że nigdy się nie wydarzyło, mogła zajrzeć do notatek i się uspokoić.

Jechała niepewnie przez surowy, szorstki poranek, ciągnąc za sobą ciężar nowego życia i jego rozlicznych komplikacji. Listopad. Nagie drzewa. Suche, stare trawniki. Cementarz. A w głębi wszystko to drżące z podniecenia, niewidzialnego jak elektryczność.

Charlotte uwieczniała wszystko, co robili nocami z Michałem, używając kodu liter (unikając jedynie X-ów), gwiazdek i ukośników do opisanego każdego aktu. Chciała pamiętać dokładnie, co się działo i w jakim porządku. Pamiętała na przykład, że pierwszej nocy (dwadzieścia cztery dni wcześniej) mężczyzna podkurczył jej nogi tak, że kolanami niemal dotykała uszu, zgiął ją prawie w pół, a ona obejmowała go słabowicie, kiedy wciskał się w nią. Myślała wtedy: „Masz problem”; wydawało jej się, że słyszy te słowa tak wyraźnie, jakby ktoś szeptał jej do ucha. Los, przeznaczenie — wszystkie te pojęcia przestały nagle istnieć; pozostał tylko strach. Kim jest ten obcy mężczyzna? Co ja tu robię?

A potem wracała do domu w smugach rzadkiej mgły (tak wynikało z notatek), zraniona, może nawet złamana, myśląc: nigdy tam nie wrócę i nikt się o tym nie dowie. Lecz po dwóch lub trzech dniach tęsknota za Michałem przyprawiała ją już o mdłości. Pragnęła uciec z ciasnej klitki własnego życia do tego dziwnego, innego świata, w którym żył On. Chciała czuć na sobie jego rękę. Czuć wszystko.

— Mam chłopaka — powiedziała do siebie, odrzucając głowę do tyłu, by spojrzeć na nagie wektory drzew. — Umawiam się z kimś. On kocha mnie, a ja jego.

Tego, że chodzi o miłość, w ogóle nie podawała w wątpliwość. To była podstawa. Żadne inne uczucie nie nadałoby przecież takiego kształtu jej nocnym eskapadom. Testowała miłość Michaela na wiele sposobów: jeżeli teraz mnie pocałuje, to znaczy, że mnie kocha. Jeżeli powącha moje włosy, to znaczy, że mnie kocha. Przed każdym spotkaniem wcierała balsam z Florydy w skórę twarzy, ramion i brzucha, bo powiedział kiedyś, że podoba mu się ten aromat — wtedy, pierwszej nocy, zanim się pocałowali. „Kocham ten zapach”, powiedział i zaczął całować, a jego silny język poruszał się szybciej, niż wskazywałaby na to nieruchoma maska twarzy. Użył słowa „kocham”; dowodem na to były notatki Charlotte.

Omal nie przejechała przez State Street na czerwonym świetle i impet gwałtownego hamowania wypchnął ją prawie do połowy ponad kierownicę. Mróz szczypał jej nozdrza. Była już prawie przy szkole. Musiała siłą się powstrzymać,

by nie skrócić między drzewa, myśląc wciąż o nim. Przy kolacji siedziała ostatnio obojętna jak głaz, póki Ricky nie pomachał jej ręką przed oczami. Na lekcjach dusza ulatywała z jej ciała jak dżin z butelki i szybowiała nad jednakowymi domkami przedmieścia, by odnaleźć ten jeden, który wołał ją w środku nocy serią impulsów wyczuwalnych jedynie dla niej i dla rybek, które zdradzały ostatnio wielki niepokój. Charlotte wstawała z łóżka jak lunatyk, ubierała się i z butami w dłoni schodziła tylnymi schodami do kuchennych drzwi. Nie bała się, że ktoś ją przyłapie; tamto życie pozostawiła daleko za sobą, teraz żyła nowym.

Poprzedniej nocy podniósł ją i usadził na kuchennym blacie, by zrobić to na stojąco! Tak, to musi być miłość, myślała Charlotte, przypinając rower do długiego stojaka pod murem szkoły.

Sąsiednia szafka, należąca do Melanie Trier, była otwarta. Zawierała kolekcję osobliwości: zastępy miniaturowych niedźwiadków i innych uroczych ssaków dzierżących flagi z insygniami szkoły. Chłopak Melanie, Tor, grał w futbol amerykański w drużynie East i regularnie dawał dziewczynie tysiące pamiątkowych, cieniutkich, złotych bransoletek, które pobrzękując wesoło na nadgarstku tworzyły nieustannie ścieżkę dźwiękową do jej życia.

— Cześć, Mel — powiedziała Charlotte.

— Przyjdiesz na mecz?

— Jestem... umówiona. — Rzeczywiście, miała spotkanie z wujkiem Moose'em.

— O nie! — Rozczarowanie Melanie było tak świeże i przekonujące, jakby Charlotte regularnie bywała na futbolowych meczach.

Charlotte lubiła się pławić w ciepłym blasku tej przyjaźni, w optymistycznej pewności, która kazała Melanie wierzyć, że nie ma innego świata niż jej, więc i Char powinna do niego należeć.

— Więc przynajmniej myśl pozytywnie — rozkazała Melanie i zamyśliła się. — Potrzebujemy tego zwycięstwa — dodała po chwili. Była cheerleaderką, wymachiwała papierowymi pomponami, podskakując na swych smukłych nogach w takt muzyki, podczas gdy jej Tor przepychał się przez zastępy obrońców.

— Będę myśleć — obiecała Charlotte. Zawahała się, czując przemożną potrzebę wspomnienia o Michaelu Weście, wypowiedzenia na głos jego imienia i nazwiska. Chciała, żeby zaistniał w taki sposób jak Tor. Tylko że nikt nie mógł o nim wiedzieć. Chociażby dlatego, że ten związek był nielegalny.

Michael miał na ciele blizny. Jedna z nich, na brzuchu, wyglądała jak ślad po cięciu nożem lub prymitywnie przeprowadzonej operacji. Mniejsze szpeciły jego ramię. Twierdził, że nie wie, skąd się wzięły — była to tylko jedna z bardzo wielu rzeczy, których nie pamiętał. Leżąc raz blisko niego, Charlotte dostrzegła też cieniutką, różową linię na jego prawym policzku.

— To po rozcięciu, które widziałam u ciebie nad rzeką — powiedziała, a on tylko się roześmiał. Nie potwierdził i nie zaprzeczył. Wzmianki o spotkaniu nad rzeką stały się dla nich czymś w rodzaju powracającego żartu.

Tymczasem jego ciekawość była nienasycona: jakie gatunki ryb tropikalnych Charlotte sprzedaje w sklepie? Co jej rodzina jadła ostatnio na kolację? Jakie kwiaty rosną za ich domem? Dlaczego taka kuracja, jaką przechodził Ricky, trwa dłużej u chłopców? Jak wygląda praca w rodzinnej grupie wsparcia? Najważniejsze były pytania o ojca: ile produktów testowała jego firma? Jak komponowano grupy testujących? Czy badano tylko produkty krajowe? Kiedy odpowiedzi Charlotte stały się krótsze i pełne napięcia, Michael przestał pytać i stwierdził:

— Nie lubisz rozmawiać o ojcu.

— On mnie nienawidzi — odparła bez wahania.

West miał na szyi wisiołek: kawałek bursztynu zawieszony na rzemieniu. Charlotte uwielbiała zapach tego kawałka skóry, ostry i intensywny. Pachniał bardzo dalekimi stronami; może nawet nie mogło być miejsca bardziej oddalonego od Rockford? Pachniał przeciwnym krańcem świata, gdziekolwiek to było.



Dzwonienie bransoletek Melanie ucichło. Dziewczyna odeszła, w korytarzu robiło się pusto, lada chwila miał się odezwać dzwonek. Charlotte od kilku minut stała nieruchomo, wpatrując się w otwartą szafkę. Wreszcie ściągnęła książkę z półki, mówiąc sobie w duchu, że jeśli zatrzaśnie drzwiczki przed sygnałem, to Michael ją kocha. Zatrzasnęła je o pół sekundy przed dzwonkiem i popędziła do klasy.

Podrzucając Ricky'ego do szkoły, Ellen rozpoczęła poranny obchód domu, zbierając rozrzucone rzeczy i wygładzając to, co było do wygładzenia. Buty Ricky'ego — jej zdaniem miał co najmniej pięć identycznych par obuwia do jazdy na deskorolce — leżały przy drzwiach frontowych wraz z wciśniętymi do środka skarpetkami. Czerwona czapka baseballowa. Ellen zdjęła z poręczy porzuconą koszulkę, wdychając kwaśny zapach dziecięcego potu. Znieruchomiała na moment, gdy powróciła do niej uporczywa wizja przyszłości, jakiegoś nieokreślonego momentu, w którym jej syn mógł żyć lub nie żyć. Tak czy nie? Roztrząsając tę myśl, Ellen weszła na schody. Cisza. Wrony za oknem. Chciała do kogoś zadzwonić, ale się rozmyśliła.

Pokonawszy schody, poczuła się raźniej, jakby zrzuciła z pleców ładunek strachu, którego odbudowanie potrwa godziny, może nawet dni. W głównej sypialni zasłała łóżko i starannie rozwiesiła wilgotne ręczniki. Przetarła obie umywalki i przeszła na drugą stronę korytarza, by zajrzeć do pokoiów dzieci. Z satysfakcją stwierdziła, że ich łóżka są zasłonięte. W pokoju Charlotte otworzyła żaluzje — córka lubiła ciemność i sztuczne oświetlenie; była to jedna z tysięcy spraw, które tak bardzo je różniły. Ellen zajrzała niespokojnie do akwarium. Charlotte wyjaśniła jej kiedyś, że słona woda żyje i może utrzymać przy życiu tylko ściśle określoną liczbę istot, toteż w domowym zbiorniku panuje zawsze niebezpieczna równowaga. Za każdym razem, kiedy matka zaglądała do akwarium, spodziewała się zobaczyć martwą rybę, ale jak dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Charlotte wiedziała, co robi. Jak zawsze.

Chcąc jakoś usprawiedliwić przedłużającą się wizytę w pokoju córki, Ellen przetarła podokienniki i otworzyła szafę, by spojrzeć na równiutko ułożone ubrania. Charlotte nigdy nie chodziła na zakupy — czy ktoś słyszał o takiej nastolatce? Ellen myślała o tym z pewnym rozgoryczeniem. W swoim czasie bardzo brakowało jej wspólnych zakupów z matką, która zawsze była zbyt słaba, zbyt chora. Ostatnim razem, kiedy Ellen zdołała zagonić swoje dziecko do Saksa, Charlotte kazała jej zaczekać z dala od przebieralni, a potem bez pytania o zdanie wręczyła jej rzeczy, które uznała za odpowiednie. Ellen nie powiedziała o tym Harrisowi; wiedziała, że byłby wściekły.

Otwierała kolejno szuflady w biurku Charlotte, spoglądając nerwowo na starannie naostrzone ołówki i gumki w kształcie ryb. Szukała jakichkolwiek wskazówek wyjaśniających zagadkę życia wewnętrznej skrytej i małomównej córki, której trochę się bała. Przy komputerze leżała sterta książek. *Winnipeg: społeczna historia urbanizacji*. Chryste, dlaczego od razu nie nazwali tego *Najnudniejszą książką świata?* pomyślała Ellen. *Chicago: narodziny metropolii*, *Amerykańskie lokomotywy: historia techniki*. Czy każda z takich książek musi mieć dwukropek w tytule? Ellen otworzyła szufladę w komodzie. Swetry, precyzyjnie złożone. Skarpetki. I nic pod spodem, jeśli nie liczyć kawałeczków cedru, które sama tu włożyła jako środek na pozbycie się moli. Małe żabki przyklejone do telefonu. Na ścianie wielka tablica przedstawiająca ryby z Jeziora Wiktorii. Ellen zaglądała czasem do pokoiów nastoletnich córek swoich znajomych. Zawsze zaskakiwał ją tam widok sercowatych balonów w metalicznych barwach, sztucznych piór, zdjęć roześmianych twarzy, kapeluszy w gwiazdki, papierowych bukietów ze szkolnych tańców, plakatów ukochanych gwiazd (zawsze w zasięgu pocałunku) oraz ogłupiający smród młodzieżowych perfum. Wszędzie znajdowała dowody prób samookreślenia się, demonstracje tożsamości. Ale nie u Charlotte. Ten pokój był maską; skorupą oczyszczoną z wszelkich sugestii co do prawdy.

Mimo to Ellen wyczuwała, że coś się dzieje z jej córką. Wyczuwała to, kiedy była blisko, i wyczuwała to teraz, gdzieś pod powierzchnią pokoju. Wiedziała. Coś się działo.

Usłyszała daleki warkot suszarki i zeszła na parter, by wyjąć pranie. Zanim Ricky zachorował, wróciła na studia do Winnebago College, po części dlatego, że chciała być bliżej Moose'a — na przykład spotykając go podczas lunchu w

campusie — (choć w całym roku akademickim zdarzyło się to tylko dwa razy), ale przede wszystkim dlatego, że zachwy-  
zachwyciła ją myśl o powrocie do szkoły. Uwielbiała serię wykładów o „Oświeconych wędrowcach”, do których  
przygotowywała się, czytając o Marco Polo, słynnych żeglarzach portugalskich z piętnastego wieku i wielu innych  
postaciach, o których nigdy wcześniej nie słyszała: na przykład o Hsuan-Tsangu, chińskim mnichu buddyjskim, który w  
siódmym wieku spędził szesnaście lat w Indiach, i o Mary Kingsley, która w Afryce Zachodniej wpadła w pułapkę na  
zwierzęta i ocalała życie tylko dlatego, że jej gruba, wiktoriańska spódnica oparła się naciskowi dziewięciu ostrych  
palików. Ellen sama czuła się wtedy jak jeden z tych oświeconych wędrowców, zaplątanych w niezwykle, egzotyczną  
podróż życia.

Ale tamte dni minęły. Minęły już dawno, podobnie jak romans, który dał jej tyle nadziei i który sprawił, że upra-  
wiała seks nawet tu, właśnie w tej pralni. Ellen obejrzała się, jakby w miejscu, w którym stali (stali!) z Gordonem, mógł  
pozostać chociaż słaby, holograficzny poblask ich postaci. Przez parę miesięcy nie prała stanika, który miała na sobie  
podczas — jak się okazało — ostatniej schadzki. Sięgnęła wtedy głęboko, do dna kosza z bielizną, by wyciągnąć go  
stamtąd i ocalić resztkę jego zapachu. Ich zapachu. Opróżniła i napełniła ponownie pralkę i suszarkę, a potem wyłączyła  
światło i z naręczem bielizny powróciła na schody. Pamiętała doskonale, że zaczęło się od przyjęcia w domu Gordona.  
Pamiętała, ale rzadko powracała do tego wspomnienia, tylko przy specjalnych okazjach, jakby się bała, że wyblaknie tak,  
jak blaknie za każdym odtworzeniem płyty melodia z grającej szafy: stała przy oknie ozdobionym rzędem fiołków,  
spoglądając na ogród. Gordon dotknął jej pleców i szepnął cicho, wprost do jej ucha: „Myślę o tobie bez przerwy”.

Ellen nigdy nie powtórzyła tego zdania podczas sesji terapeutycznych u doktora Alwyna, ponieważ wiedziała, jak  
tandetnie zabrzmiałoby w jej ustach, i bardzo nie chciała, żeby tak się stało. Wtedy, za pierwszym razem, słowa Gordona  
przemknęły przez nią, odbijając się rykoszetem jak garść kulek rzuconych o ścianę. Tak się zaczęła trwająca niemal rok  
seria nierealnych, pornograficznych spotkań w miejscach, w których przeważnie nie było łóżka. Oboje pragnęli zresztą  
uniknąć intymnych kontaktów w swych małżeńskich sypialniach i w pokojach dzieci, choć raz się zdarzyło, że Gordon  
ukłękął i doprowadził Ellen do orgazmu w jej garderobie. Tak, była z nim szczęśliwa, a może raczej zaznała czegoś  
zupełnie nowego i fascynującego dzięki tej mieszance przejmującego poczucia winy i czystego erotyzmu. Boże, jak ona  
kochała tyłek doktora Gordona Weeksa, ojca czworga dzieci!

Ellen zatrzymała się w kuchni, postawiła na stole kosz z praniem i wyciągnęła z samego końca szuflady z  
ołówkami i zapawkami paczkę koolsów. Gdyby Harris odkrył papierosy w takim miejscu, mogłaby powiedzieć, że są  
bardzo stare. Wysła tylnymi drzwiami i zapaliła na stojąco — było zbyt zimno, by siadać na krzesłach marznących na  
patio. Listopad, te ponure dni... I wtedy Ricky zachorował. Wszystko się zmieniło. Od tamtej pory nie widziała się z  
Gordonem — a właściwie widziała go dziesiątki razy na szkolnych imprezach i klubowych turniejach golfowych, w  
których startował razem z Harrisem, ale były to tylko przelotne spotkania. W te dni, kiedy jej życie zaczęło biec do tyłu,  
kiedy przesiadywała w bladobłękitnej poczekalni oddziału hematologii i onkologii szpitala dziecięcego w Chicago,  
dojrzała w niej nowa myśl: otóż nabrała przekonania, że to jej grzeszne igraszki z Gordonem były przyczyną choroby  
Ricky'ego. Gdyby nie wplątała się w ten romans, jej dziecko byłoby zdrowe — nie tak „zdrowe” jak teraz (chwilowo-  
zdrowe-więc-dziękujmy-Bogu-i-za-to), tylko naprawdę zdrowe. Ellen wierzyła w to głęboko.

Zapaliła drugiego papierosa i spod półprzymkniętych powiek spojrzała na trawnik — ten sam, na którym bawiła  
się jako dziecko. Teraz miała trzydzieści sześć lat, a los, brutalny jak grecka tragedia, cisnął ją właśnie w to życie, przed  
którym niegdyś tak bardzo pragnęła uciec. A przecież sama przyciągnęła Harrisa do Rockford — tak, to prawda — kiedy  
dzieci były jeszcze małe, wkrótce po narodzinach Ricky'ego. Zrobiła to dla Moose'a, bo chciała być blisko niego po kata-  
strofie, która odmieniła jego życie. Tylko że Moose, jak się wkrótce okazało, nie przepadał już za towarzystwem Ellen.  
Przez lata regularnie zbaczała z trasy codziennych zakupów, by śledzić ruchy brata między uczelnią, Wersalem a publicz-

ną biblioteką. Wiedza o tym, gdzie przebywa w danej chwili, przynosiła jej swoiste ukojenie. Ostatnio jednak coraz rzadziej kontrolowała poczynania Moose'a. Prawie nigdy.

Lecz wciąż była uwiązana do Rockford. Harris nie chciał wyjechać — albo nie mógł, jak twierdził, bo przecież biznes kwitł, a miasto było podstawą jego egzystencji. Harris nie mógł opuścić Rockford, a Ellen nie mogła opuścić Harrisa, przynajmniej do czasu, aż Ricky zostanie całkowicie wyleczony i się usamodzielni, albo też nastąpi nawrót choroby. Ellen przyjęłaby taki obrót spraw prawie z ulgą, jako część kary.

Zgasiła papierosa i zabrała oba niedopałki do kuchni. Mielila je w rozdrabniarce śmieci, aż zniknął zapach nikotyny, po czym umyła ręce silnie pachnącym mydłem (Harris miał nos jak ogar). Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

Zrobiła to, bo w jej życiu nastąpił diaboliczny zwrot: w ciągu tych paru miesięcy od zakończenia chemioterapii Ricky'ego czuła, że narasta w niej tęsknota za Gordonem. Chciała zacząć ten romans od nowa, raz jeszcze poczuć ten dreszcz i radość z dziecinnego wrażenia udanej ucieczki. Istniało przecież tyle spraw, od których pragnęła uciec! W zasadzie nigdy ze sobą nie zerwali. Gordon natychmiast zrozumiał, kiedy powiedziała mu przez telefon: „Mój syn ma...”, nie troszcząc się nawet o to, że mówi dość głośno. A teraz, podnosząc słuchawkę, czuła przyspieszone bicie serca. Wciąż pamiętała wszystkie numery: do jego domu, do biura, na pager; znała też dokładnie jego rozkład zajęć.

Ale nie zadzwoniła do Gordona. Wybrała numer Moose'a.

Trzymając przed sobą tacę z lunchem, Charlotte przeciskała się między stolikami, omijając Melanie Trier.

— Hej, Chari, usiądź z nami! — zawołała Melanie. Taka już była.

Po chwili Charlotte siedziała przy długim stole między futbolistami i ich dziewczynami. Przed niektórymi z młodocianych herosów stały nawet po dwie tace z jedzeniem (na jednej z nich Charlotte naliczyła dziewięć szklanek mleka). Włączyła się do rozmowy o najbliższym meczu, w którym podobno miał wystąpić wyjątkowo stuknięty rozgrywający — wystarczyło sprzedać mu w miarę dziwny tekst, żeby na dobre wyłączyć go z gry. Charlotte zasugerowała uraczenie go zagadką, ktoś inny zaproponował wiersz... Nie słuchała uważnie tego, co mówiono. Niektóre słowa zyskały w jej umyśle nowe znaczenie: „noc”, „nauczyciel”, „zagraniczny”, a nawet „matematyka”. Szukała tylko okazji, żeby je wypowiedzieć, bo za każdym razem, kiedy to robiła, czuła gdzieś w głębi radosne ukłucie, jakby trąciła właściwą strunę.

Do jej krtani cisnęły się teraz słowa „kuchenne blaty”.

— Będziemy mieli nowe kuchenne blaty — wypaliła wreszcie do Melanie i w tej samej sekundzie, gdy zobaczyła obojętną minę przyjaciółki, zrozumiała, że popełniła błąd. Zaczynała się zmieniać w dziwną dziewczynę gadającą od rzeczy w szkolnej stołówce. A mimo to serce jej urosło, kiedy wypowiedziała upragnione słowa.

Tor zwrócił swą wielką i delikatną twarz w stronę Melanie i pocałował ją. Bransoletki na jej nadgarstkach zabręczały natrętnie. Charlotte rozważała jednak zupełnie inne sprawy: czy to, co przeżywała, było miłością? Czy trzeba powiedzieć „kocham”, żeby kochać? Michael powiedział „kocham” tylko raz, kiedy mówił o jej płynie do pielęgnacji ciała. Jego wzrok sprawiał wrażenie tak pustego; kiedy patrzył na Charlotte, równie dobrze mógł widzieć ją, coś zupełnie innego albo nic. Kiedy kończyli, odwracała się w jego stronę i kładła dłoń na jego brzuchu (był taki szczupły; znacznie szczuplejszy, niż wydawało się, kiedy był w ubraniu), wyczuwając warstwę mięśni pod skórą i próbując odgadnąć myśli kochanka. Chciała zapytać: czy czujesz tę nić przeznaczenia, która nas łączy? Czy myślisz o mnie podczas dnia, tak jak ja myślę o tobie? Czy chciałbyś, żebym do ciebie przyszła, kiedy nie przychodzę? Czy wolisz kobiety o małych piersiach? Powiedziałeś mi kiedyś, że niektórzy mężczyźni takie wolą. Instykt jednak zabraniał jej pytania o takie sprawy, choćby dlatego, by nie usłyszała niewłaściwej odpowiedzi.

— Powinam już wracać — mówiła zazwyczaj, ubierając się w ciemności.

— Chari przyjdzie na mecz — oznajmiła Torowi Melanie, najwyraźniej nie pamiętając, że to nieprawda.

— Super — odparł Tor i Charlotte wyczuła, że w jego szarych oczach pojawiła się wizja kolejnej dziewczyny podziwiającej jego grę zza bocznej linii.

— Pozytywne myśli — przypomniała półgłosem Melanie.

— Pozytywne myśli — zgodziła się Charlotte. Ale w rzeczywistości myślała: kuchenne blaty.

Moose zerwał się z kanapy w salonie, pokrytej mapami Rockford, i skoczył do telefonu. Nie chciał, żeby natarczywy sygnał obudził Priscillę, która pracowała ostatniej nocy i teraz spała w sypialni.

— Ellen — odezwał się, nie kryjąc zaskoczenia. Rzadko rozmawiał z siostrą. — Czy coś się stało?

— Wszystko w porządku — odpowiedziała, wyraźnie czymś zdenerwowana. — Ja... dzwonię tylko, żeby pogadać o Charlotte.

— Ach tak — mruknął Moose. — A... co... z nią? — zapytał bardzo powoli.

Mówił nadzwyczaj ostrożnie, gdyż wzmianka o Charlotte otworzyła w nim czarny parasol poczucia winy, wynikającego z obowiązków względem siostrzenicy. Kilka tygodni wcześniej, w lasku za budynkami Winnebago College, zwrócił jej wolność. Lecz ona pojawiła się wkrótce potem, z kolejnym wypracowaniem w teczce. Jej nieoczekiwany powrót wprowadził Moose'a w autentyczną irytację: jak długo miało to trwać? Kiedy wreszcie będzie wolny od tego zobowiązania? Co takiego...

— Moose?

Rozmawiał przez telefon. Z siostrą. O Charlotte.

— ...i nie mogę wydobyć z niej ani słowa... — mówiła właśnie Ellen.

— Hmm — powiedział Moose i zamknął oczy, zmuszając się do koncentracji.

— Może to nic takiego, ale jakoś mam przeczucie, że...

— Hmm...

— ...że coś nią owładnęło.

Te słowa przykuły jego uwagę. Moose otworzył oczy.

— Pomyślałam więc, że mógłbyś — skoro widzisz ją regularnie — że mógłbyś...

— Co mogło nią owładnać?

— No... Sama nie wiem.

Moose wbił wzrok w przeszkłone, przesuwne drzwi, za którymi widać było ciasny balkon, jesienne pola Wersalu, Rockford, Illinois i świat. Przez wszystkie lata nauczycielskiej kariery miał zaledwie pięciu lub sześciu uczniów, którzy — czasem tylko w krótkich przebłykach — zdawali się ocierać o coś, co było być może sugestią wizji, którą zamierzał im przekazać. Ich bliskość oświecenia była dla Moose'a rozkosznym cierpieniem, którego najbliższym odpowiednikiem mogła być miłość — miłość bardziej rozpaczliwa i pełna nadziei niż którekolwiek z uczuć w jego kochliwym życiu. Gdyby Moose usłyszał, że któryś z jego uczniów, bez względu na płeć, „jest czymś owładnięty”, doznałby niewiarygodnego podniecenia. Charlotte nie była jednak taka jak oni; nie była nawet do nich podobna. Najbardziej obiecujący spośród słuchaczy Moose'a skończyli już studia i zdryfowali ku własnym sprawom — pracowali i żyli jak inni ludzie, a Moose widywał ich czasem, gdy holowali dzieciaki przez Media Play albo kupowali ziemię ogrodową w Home Depot. W takich przypadkach natychmiast nurkował za stojaki kosiarek lub regały z mrożonkami, w desperackiej próbie uniknięcia konfrontacji z przerażającą terażniejszością dawnej nadziei.

Lecz mimo to... „Coś nią owładnęło”. Był zaintrygowany.

— Będę miał na nią oko, Ellen — obiecał Moose. — Nawet dziś po południu, kiedy się spotkamy, będę ją uważnie obserwował. Umówiliśmy się na czwartą.

— Dzięki, Moose.

Nastała chwila ciszy.

— Jak się miewasz? — spytała w końcu Ellen.

— Nieźle.

Moose wyczuł smutek w głosie siostry i uznał, że pora okazać trochę uczucia.

— Miło, że zadzwoniłaś, Ellen. — Powiedział to szczerze, mimo iż od długiego czasu dzielił ich labirynt wzajemnego dyskomfortu, podobny do kaca po dawnych, cudownych, wspólnie spędzonych latach, kiedy był jeszcze kimś innym. Mimo wszystko rozmowa z siostrą wzbudziła w nim falę rozrzewnienia.

— Dzięki — odpowiedziała nieśmiało. — Mnie też miło.

Tym razem Moose wyczuł w jej głosie szczęście i pomyślał, że dzielenie się szczęściem, zamykanie innych w szczęśliwym kręgu, to bardzo radosne doświadczenie. Mimo to znacznie bardziej przejął się niepokojem, który zdradzała jego siostra, zanim poprawił jej humor. Nim odłożył słuchawkę, garbił się już pod ciężarem rozpaczy, którą czuł niejako w imieniu Ellen. Wszyscy jesteśmy samotni, pomyślał, siadając ciężko na fragmencie kanapy nie zasłanym mapami Rockford. Wszyscy jesteśmy samotni.

Po kilku minutach ponurych rozważań Moose usłyszał, że Priscilla przewraca się na łóżku. Ten dźwięk podniósł go nieco na duchu — miło było być mężem kogoś, kto w wolny dzień mógł spać spokojnie do — zerknął na zegarek — dziesiątej czterdzieści pięć, zupełnie tak, jakby spanie było sportem. Wstał i poszedł do sypialni, żeby popatrzeć na żonę.

Drzemała z dłonią w książce, a spod kołdry wystawał fragment lawendowej, jedwabnej koszuli, jednej z tych, które spowijały w łóżku i ją, i śpiącego nago Moose'a. Pachniała kwiatami. Zanim poznał Priscillę, nienawidził nocy, bo dręczyły go koszmary — zamykając oczy, czuł się tak, jakby skakał w przepaść. Teraz sen był jak unoszenie się w ciepłym morzu, a pościel i koszula żony pieściły go niczym łagodne fale.

Priscilla otworzyła oczy, zobaczyła Moose'a stojącego w drzwiach i wyciągnęła ramiona. Przez chwilę leżał obok niej, a ona całowała jego twarz — dużą i dziwną twarz, która czasem wydawała mu się potworna, kiedy patrzył w lustro; widać było na niej przebłyski barw, których nie powinno tam być: żółci, zieleni i purpury.

— Jak idzie, głuptasku? — spytała Priscilla, przerywając całowanie.

— Dobrze — odpowiedział, bo tylko tak mógł uśrednić siłę podmuchów szczęścia i nieszczęścia, które targały nim od rana.

— Pracujesz? — spytała.

— Powiedzmy.

— A ja czytam *Moll Flanders* — powiedziała sennie.

— Widziałem — zadrwił. — Z zamkniętymi oczami.

Uśmiechnęła się i wstała z łóżka, wysuwając spod kusej koszulki wciąż brązowe nogi, choć minęło parę miesięcy od czasu, gdy po raz ostatni opalała się w bikini na balkonie. Moose poszedł za nią do kuchni.

— Wczoraj byłaś zmęczona — powiedział.

— Mielśmy w pracy dom wariatów, nie mówiąc o tym, że Andy znowu jest na zwolnieniu.

— Głupek — mruknął Moose.

— Umieram z głodu — oświadczyła Priscilla. Dodała mleko i jajka do gotowej mieszanki naleśnikowej i zamieszała dużą, metalową trzepaczką. W wolne dni zawsze jadała naleśniki, wafle lub francuskie grzanki, a mimo to była szczupła, może nawet chuda. — Podasz mi patelnię?

— Już. — Moose nałożył tłuszcz i ustawił patelnię nad palnikiem. A potem objął Priscillę i zamknął ją w mocarnym uścisku, wdychając pieprzny zapach spod jej ramion.



To było ich sekretne życie. Jego zdaniem dla większości ludzi sekretne życie musiało być niewyobrażalnym horrorem — wystarczyło popatrzeć na to, jak zachowywali się na co dzień, prawie ze sobą nie rozmawiając! Ale czy ktokolwiek zgadłby, jak wygląda ta cześć egzystencji Moose'a? Oczywiście sielanka nie mogła trwać wiecznie, tego był pewien. Brnął przez lata, czując coraz większy strach za każdym razem, gdy ziemia zatrzęsała się pod nim. Tymczasem jednak Priscilla była szczęśliwa, a Moose przypuszczał, że jej szczęście w sporej mierze wiąże się z wyzwoleniem z małżeńskiego związku z Wesem Victorem. Ów lokalny gwiazdor stomatologii, który nazywał ją leniwą krową i kazał sprzedawać produkty Amwaya, po trzech latach od ślubu nie umiał już ukrywać niesmaku — był rozczarowany, że jego żona nie urodziła mu ani jednego dziecka. Ożenił się ponownie już w kilka miesięcy po rozwodzie i teraz z wyraźną satysfakcją paradował ze swym licznym potomstwem przed stolikiem Moose'a i Priscilli w Cherryvale, gdzie bywali niekiedy w soboty. Moose spoglądał wtedy uważnie na twarz żony, szukając w niej choćby najdrobniejszych oznak żalu, ale dostrzegał jedynie ulgę, kiedy jej były i zdecydowanie zamożniejszy mąż pojawiał się z nową małżonką, ciągnącą jedno dziecko za rękę, popychającą drugie w wózku, dźwigającą w nosidelku na plecach trzecie i niosącą czwarte w swej mocno rozepchanej macicy, ukrytej w dumnie sterczącym brzuchu.

— Patrz, nawet jej nie pomoże — szepnęła raz Priscilla, nabożnym tonem kogoś, kto za sprawą drobnego spóźnienia nie zdążył na samolot i tym sposobem uratował się przed katastrofą.

Priscilla rozlała gęsty płyn w czterech miejscach patelni.

— Idź już. Pracuj — powiedziała, popychając Moose'a w stronę drzwi. — Ja zajmę się książką.

W salonie powitała go kolekcja szczegółowych map okolic Rockford z lat 1858, '71, '76 i '92 oraz komplet współczesnych, aż po najnowsze. Zmiany wokół Rock River, niezmiennie meandrującej przez środek każdej z nich, były doskonale widoczne: w dziewiętnastym wieku z każdym rokiem przybywało tam fabryk; w dwudziestym było ich coraz mniej. Moose patrzył uważnie na wielobarwne plany miasta. Było w nich wszystko, cała barwna historia industrialnej Ameryki; opowieść o racjonalizacji, standaryzacji, abstrakcji i masowej produkcji, których zwieńczeniem była racjonalizacja ludzkich istot poprzez marketing, public relations, image consulting i zwykle manipulacje. A jednak uczniowie Moose'a nie dostrzegali w nich tego wszystkiego, co było dlań tak oczywiste. Zdumiewał go i doprowadzał do pasji ten niesłychany rozdźwięk między jego wizją, a tym, co widzieli inni ludzie, a także własna nieumiejętność pokonania tej przepaści. Ale cóż innego mógł robić, jeśli nie próbować? Próbować wciąż od nowa, w nadziei, że ktoś nareszcie spojrzy na niego z błyskiem zrozumienia w oczach.

Słyszając szum wody z prysznica, Moose wstał i ruszył w stronę łazienki. Priscilla właśnie zdejmowała przez głowę lawendową koszulkę, nie wyjmując z ust szczoteczki do zębów. Zza zasłonki prysznicza uchodziła para, wzbogacona zapachem syropu do naleśników. Moose stanął za plecami żony, pocałował ją w kark i przesunął dłońmi po twardym, brązowym brzuchu. Roześmiała się, prychnąwszy pastą do zębów, i poprowadziła go z powrotem do sypialni, na nie zaścienione, pachnące jej snem łóżko. Tam otoczyła go opalonymi ramionami i udami. Kochali się szybko.

Kiedy skończyli, Moose legł na boku i przyglądał się zaspanej twarzy Priscilli, słuchając *Dancing in the Moonlight* z małego, tranzystorowego radia grającego w kuchni. Myślał o tym, jak rok wcześniej, w Cherryvale, dostrzegł, z jaką uwagą oglądała plakat reklamujący wycieczki na Hawaje. Na zdjęciu widać było surfującą parę: młodego i żywiołowego mężczyznę (jakże niepodobnego do Moose'a) oraz smukłą i elastyczną kobietę (jakże podobną do Priscilli).

— Chciałabyś tam pojechać? — zapytał wtedy.

Odpowiedziała wzruszeniem ramion, wiedząc doskonale, że nie stać ich na to i że Moose nie wsiadł na pokład samolotu od czasu niesławnego powrotu z New Haven przed dwunastu laty. Lecz jej mąż postanowił sobie, że zabierze ją na Hawaje: miesiącami wyobrażał sobie podczas bezsennych nocy, jak zaaklimatyzuje się w nowym miejscu — w krainie

owocowych napojów, kokosów, słonej wody i ludzi szczęśliwych jak Priscilla. Do bólu pragnął znaleźć się wśród nich, ale z drugiej strony przerażała go myśl o podróży. Nie wrócił więcej do tego pomysłu.

Wreszcie podniósł się z posłania i powrócił do swoich map. Dopiero wtedy usłyszał, że w kabinie prysznicowej wciąż leje się woda. Sięgnął za plastikową zasłonę i przekręcił kurek.

Zaraz po lekcjach Charlotte pojechała do Winnebago College, drżąc na całym ciele z ledwie skrywanej niecierpliwości. Kręta droga wiodąca do budynków college'u i księżycowa cisza panująca w kampusie wprawiały ją w stan, który niewiele różnił się od osobliwych doświadczeń nocy, kiedy jak lunatyk wymykała się z sypialni i wskakiwała na rower. Moose i Michael West w jakiś sposób byli ze sobą połączeni, a więzi tej Charlotte nie potrafiła w żaden sposób wytłumaczyć — co najwyżej wyczuć ją głęboko i instynktownie. Wszystko zaczęło się od wuja: najpierw to wrażenie czekania na coś ważnego, a potem ponowne spotkanie z Michałem Westem. I rada Moose'a: podążaj za swoim pragnieniem. Te słowa miały niemal nadprzyrodzoną moc.

Zostawiła rower na stojaku i wolnym krokiem ruszyła w stronę Meeker Hallu; miała jeszcze trochę czasu. Wlokąc się krętą ścieżką i zataczając kręgi, by przyspieszyć jakoś upływ zbędnych minut, wspominała wydarzenia ostatniej nocy, kiedy było już po wszystkim i leżała obok niego (nie na kuchennym blacie, tylko po drugim razie, w sypialni na piętrze — miała to wszystko w notatkach).

— Gdzie mieszkałeś, zanim przyjechałeś do Rockford? — spytała.

— W Nowym Jorku — odparł, nie spuszczać oka z białego sufitu.

— A przedtem?

Spojrzał na nią z błyskiem księżycy w oku.

— Za morzem.

— Za którym?

Michael nie odpowiedział, tylko zerwał owoc z drzewka stojącego na parapecie i przegryzł delikatną skórkę. Charlotte poczuła zapach rośliny: kwaśny, gorzki i słodki zarazem. Czy tak pachniała miłość? Czekala na odpowiedź, ale mężczyzna wyssał tylko miąższ i rzucił skórkę w stronę otwartego okna.

Wychodząc, Charlotte zatrzymała się na chwilę w frontowych drzwiach domu i odwróciła się twarzą do Michaela.

— Może mógłbyś mi coś dać? — spytała, pokonując strach.

— Dać ci coś? — Nie zrozumiał.

— Cokolwiek.

Nie powinna była pytać. O wszystko musiała go prosić.

— Aha — odezwał się wreszcie. — Prezent.

— Nie musi być nowy — powiedziała szybko Charlotte. — To znaczy, nie musisz go kupować.

Michael West odwrócił głowę w zamyśleniu.

— Może to? — zaproponowała beztrąsko, wskazując na jego pierś. Bryłka bursztynu na rzemyku była ukryta pod jego T-shirtem, ale i tak wiedział, o co jej chodzi. Jeżeli da mi ten wisiołek, to znaczy, że mnie kocha, pomyślała Charlotte. Czowała, że to prawdziwa próba, że wszystkie poprzednie, drobne „testy miłości” nic nie znaczyły. Z nadzieją patrzyła na jego tajemniczą twarz — kanciastą i pobrużdżoną twarz obcego mężczyzny, któremu oddała serce.

— Albo coś innego — dodała jak gdyby nigdy nic.

— Coś innego — zgodził się Michael.

Charlotte pojawiła się w gabinecie wuja z dziwnym przekonaniem, że jest oczekiwana z niecierpliwością.

— Chodź, chodź — mruknął Moose, popychając ją w nietypowy dla siebie sposób w stronę krzesła. Była przyjemnie zaskoczona.

Kiedy oboje zasiedli przy biurku, wyciągnęła z torby esej i zaczęła czytać.

## O TYM, JAK DWIE MASZYNY ODMIENIŁY LOS ZIARNA

Kiedy zlikwidowano prerie, pozostały rozległe równiny o niezwykle żyznych glebach. W latach trzydziestych i czterdziestych dziewiętnastego wieku farmerzy z okolic Rockford zaczęli uprawiać pszenicę, kukurydzę, owies, jęczmień i żyto. Zboża przyjęły się wyśmienicie. Po żniwach każdy z rolników wsypywał zebrane ziarno do płóciennych worków opatrzonych nazwą farmy i sprzedawał.

Zazwyczaj wujek Moose siedział w fotelu zgarbiony, z zamkniętymi oczami podpierając czoło pięściami. Tego dnia jednak Charlotte bezustannie czuła na twarzy jego spojrzenie; miała wrażenie, że coś niezwykłego przykuło jego uwagę.

Wyhodowanie zbóż było stosunkowo łatwym zadaniem. Prawdziwym koszmarem było transportowanie ciężkich worków z ziarnem do miejsc, w których miały zostać sprzedane. Jedynym sposobem na dotarcie do Chicago była jazda konnym wozem po gruntowych drogach, wsparta modlitwą o to, by pojazd się nie rozleciał i nie utkwiał w błocie.

Charlotte znowu spojrzała na Moose'a, który obserwował ją, siedząc nieruchomo. Poczula, że zaczyna się rumienić.

Podróż do St. Louis można było odbyć łodzią lub parowcem, w dół Rock River i dalej, do Missisipi, ale jeśli ziarno zamokło, nadawało się jedynie do wyrzucenia. Rejs trwał niekiedy tak długo, że w chwili sprzedaży plonów ceny mogły nie rekompensować farmerom kosztów produkcji. Nie sposób nie zadać sobie pytania: jakim cudem ci ludzie zdołali stawić czoło tak wielu przeciwnościom?

Charlotte czuła, że z każdą chwilą coraz bardziej emocjonalnie traktuje swoje dzieło, jakby niespodziewane zainteresowanie Moose'a rozbudziło w niej nowy entuzjazm. Pojedyncze słowa nabierały niecodziennej mocy: „ziarno”, „worki”, „grunt”, „mokre”.

I wreszcie, w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, pojawiła się kolej...

Moose przyglądał się siostrzenicy, dokładnie tak, jak obiecał Ellen. Zauważył jej zaróżowione policzki i czoło, aż po linie włosów, a także błyski w ciemnych oczach, które nieśmiało zerkały na niego znad kartki. Drgnął, gdy mimowolnie przypomniał sobie słowa siostry: „coś nią owładnęło”.

Drugim wynalazkiem, który w owym czasie wszedł do powszechnego użytku, był parowy elewator zbożowy. Ale czym właściwie był ów elewator? Budynkiem, w którym można było składować, suszyć i ważyć ziarno.

Moose wytrzeszczał oczy w dziwaczny sposób i Charlotte uznała w końcu, że musiał dostrzec w niej jakąś zmianę — zapewne tylko on, ze wszystkich ludzi, których znała. Miała wrażenie, że Michael West lewituje w powietrzu między nimi w niepojętej, spektralnej postaci. Wyobrażała sobie, że czyta na głos inną opowieść: „Zaniósł mnie na górę. Pokój był ciemny, ale przez okno wpadała odrobina światła z ulicy. Zobaczyłam wystające kości jego klatki piersiowej...”

Maszyna wciągała wiadra z ziarnem wprost z podjeżdżających wozów, maszyna ważyła je i maszyna przesypywała do wielkich zbiorników. Nikt już nie musiał się trudzić noszeniem ciężarów, nikt już bowiem nie przewoził i nie przechowywał zbiorów w płóciennych workach...

Moose wyczuwał w gabinecie narastające napięcie, które podniecało go i dezorientowało.

Ziarna nie sprzedawano już na worki, ale na wagę, mieszając w elewatorach towar od wielu dostawców. Nie było już ziarna od tego czy innego farmera, było po prostu Ziarno przez wielkie „Z”. Była to ogromnie znacząca zmiana.

— Ho, ho! — wykrzyknął Moose, zrywając się z fotela. — Jeszcze jak znacząca! Abstrakcja, standaryzacja, rozpad czasu i przestrzeni... To był wstęp do nowoczesności!

Zastygł w pozie ogromnego zdumienia — nie za sprawą słów Charlotte, ale raczej uczucia, które kryło się za nimi. Dziewczyna wypowiadała je tak, jakby miały dla niej wielkie znaczenie, jakby poruszały ją dogłębnie i na bardzo osobistym poziomie, jakby sprawy, o których mówiła, były dla niej najważniejsze. Te wrażenia przeraziły Moose'a. Co to wszystko mogło oznaczać?

Stojąc nieruchomo, spoglądał na Charlotte tak, jak nigdy dotąd. Natężenie jego uwagi kazało jakiejś pustej, głodnej części osobowości dziewczyny odpowiedzieć z jeszcze większym zapalem, domagając się jeszcze większej koncentracji.

Dla farmerów (czytała drżącym głosem) kombinacja kolei żelaznej i elewatorów zbożowych oznaczała totalną zmianę. Mogli sprzedawać większą ilość ziarna, ustała bowiem potrzeba zatrudniania licznych dotąd robotników dźwigających worki. Ziarno przestało być zbiorem oddzielnych produktów, stało się jednym, wielkim Ziarnem, tak jak całe zasoby wody tworzą wielką Wodę...

Moose powoli usiadł w fotelu, pozwalając, by wyobraźnia podsunęła mu obraz Charlotte stojącej u progu — może nie oświecenia; to byłoby już myślenie życzeniowe — ale na pewno gotowości do pierwszego otarcia się o prawdę jego wizji. Nagle wydało mu się, że ze wszystkich stron otacza go światło, penetrujące najdalsze zakątki gabinetu i opromieniające postać dziewczyny, jak gdyby za oknem rozciągało się jasne niebo, a nie przekrój podziemia.

Bał się słuchać Charlotte. Bał się, że jej następne słowa mogą zniszczyć jego nadzieję.

Wszystkie te zmiany doprowadziły do stworzenia rynku transakcji terminowych, na którym zaczęto sprzedawać i kupować samą i d e e ziarna, nie przekazując towaru z rąk do rąk; nawet go nie oglądając! W istocie była to forma hazardu, którego przedmiotem była zmienna, trudna do przewidzenia cena ziarna. Moim zdaniem powstanie takiego rynku miało sens, w owym czasie bowiem ziarno rzeczywiście stało się już ideą, podobnie jak Pieniądz (oczywiście nie wyrażony w złotych monetach, które mają wartość same w sobie).

W wyobraźni Moose'a rozległ się donośny trzask i nagle przetoczył się przez nią taki potok uczuć i myśli, że ich ogarnięcie zdawało się być fizyczną niemożliwością — (mentalnemu) okrzykowi: „Taaaaaak!” towarzyszyło gwałtowne trzepotanie języczka w głębi gardła, a moc strumienia powietrza i dźwięku była tak ogromna, że belki wspierające konstrukcję szacownego Meeker Hallu zaczęły pękać, przekazując ścianom gęste siatki zarysowań, powiększające się z każdą chwilą, aż wreszcie budynek zaczął walić się na głowy Moose'a i Charlotte: biurka, komputery, książki, hekatomba dydaktyzmu i okrucieństwa (skierowanego przeciwko profesorowi-dziwakowi), wszystko to zamieniło się w nonsens i chaos za sprawą jednego, dzikiego ryku człowieka, którego wygnano w podziemia, ale to jeszcze nie było wszystko — fala uderzeniowa okrzyku pokonała zwały ziemi, wśród których zagrzebane było miejsce pracy Moose'a, łagodne pagórki, na których usytuowano gmachy, alejki i boiska kampusu, tak że i dalej stojące budynki zadrżały w posadach i nim w przeciągłym „Taaaaaak!” wybrzmiało ostatnie „k”, dokoła trwała już apokalipsa grożąca dalszym, niczym nie ograniczonym rozszerzeniem strefy zniszczeń, a niezyczliwi koledzy z wydziału fruwali w powietrzu wraz ze swymi teczkami, szafami, aktami i dokumentami, które miały stać się przyczyną usunięcia Moose'a z uczelni (wiedział o tym, wiedział od początku!), a fruując, rozdzielali się i ulatywali z wiatrem jak szczątki dmuchawca, w ciszy zaś, która nastąpiła nad światem po przejściu tego kataklizmu, w ciszy podobnej do zmierzchu, Moose wyszedł ze swojej piwnicy i przyjrzał się dziełu zniszczenia z niemałą, tak, niemałą satysfakcją. Należało im się. Za to, że próbowali pogrzebać go

zywcem. Spojrzał na Charlotte, siedzącą po przeciwnej stronie biurka, na Charlotte, która oto stanęła na krawędzi zrozumienia, na Charlotte, która nie wiedziała jeszcze, co tak naprawdę zobaczyła.

— Tak — powiedział bardzo cicho i łagodnie.

W tym momencie i Charlotte poczuła, że coś się rozpada: jej życie rozleciało się na kawałki, a przyjaciele przestali się liczyć, odeszli w niepamięć. Do tej pory, zwłaszcza w ostatnich tygodniach, trzymała się ich rozpaczliwie, marząc skrycie o tym, by być taką, jak inne dziewczyny, na przykład jak Melanie Trier. Teraz dopiero spostrzegła, że to nie było możliwe. Dokonała wyboru: Moose i Michael West. Jej sekretne życie. Darowała sobie całą resztę. Ulga była wręcz fizyczna; przypominała jej wypuszczenie z piersi zbyt długo zatrzymanego powietrza, które przestało być świeże i w którym nie było już tlenu. Jej wuj wyglądał teraz (z małą bródką) młodziej, szczuplej i bardziej żywotnie. Znowu był chłopakiem ze zdjęcia, uśmiechniętym, na wpół zanurzonym narciarzem wodnym. Charlotte czuła, że to jej zasługa. Była pewna, że jest wyjątkową uczennicą.

— Myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę — powiedział ostrożnie Moose. — I chyba dość już na dziś czytania.

— Właściwie to już skończyłam — odpowiedziała ze śmiechem. — „Koniec”.

— Wręcz przeciwnie. — Moose rozparł się wygodniej w fotelu, obserwując Charlotte, jakby była cudownym zjawiskiem i sam jej widok mógł przywrócić mu siły. Siedzieli w milczeniu przez kilka chwil.

— Wujku Moose — odezwała się w końcu Charlotte. — Czy mogłabym zobaczyć jeszcze raz to zdjęcie, które nosisz w portfelu? Zdjęcie rzeki.

Zaskoczony Moose sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął i otworzył portfel, a następnie wysunął fotografię z plastikowej okładki i przesunął ją po blacie w stronę Charlotte. Nie musiała długo na nie patrzeć. Już wiedziała, że zobaczy to samo miejsce, dokładnie ten sam punkt, w którym w sierpniu po raz pierwszy spotkała Michaela Westa. To samo miejsce sprzed stu lat.

Wszystko łączyło się w całość.

— Zatrzymaj je — powiedział Moose, popychając zdjęcie jeszcze dalej. — Chcę, żebyś je wzięła.

Zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. Odkąd znała wujka Moose'a, nosił przy sobie tę czarno-białą fotografię.

— Jest twoje — rzekł Moose i odwrócił głowę.



# Część druga

## POKÓJ LUSTER

### Rozdział dziesiąty

Musisz sobie uświadomić, Charlotte, tylko proszę, nie zrozum mnie źle — mówiła Victoria Knight, przyjaciółka Lily Cabron, stylistki z mojej nieudanej sesji dla włoskiego „Vogue'a” — że w twojej historii nie ma niczego, co wzbudzałoby współczucie. Większość ludzi uznałaby cię raczej za osobę godną zazdrości, przez wzgląd na to wspaniałe życie, które kiedyś wiodłaś. Wyzwanie, które stoi przed nami, polega na tym, że musimy otworzyć drzwi do twojego wewnętrznego świata, aby ludzie zaczęli z tobą sympatyzować, kibicować ci i wydawać pieniądze na to, by dowiedzieć się o tobie więcej.

— Rozumiem — odpowiedziałam, chociaż nie była to do końca prawda.

Wykład o public relations w porze lunchu był owocem niestrudzonej kampanii, którą rozpoczęłam dziesięć dni wcześniej, tuż po katastrofalnej randce i nieudanej próbie samobójstwa. Ignorując życzliwą radę Marka, sąsiada z dwudziestego czwartego piętra, któremu przerwałam małżeński stosunek, nie spałam długo następnego ranka, tylko zerwałam się wcześniej i zaczęłam grzebać w kieszeniach i torebce, jak pogorzelec przeszukujący zgliszcza. Szukałam wizytówki Irene Maitlock, czując chaotyczną potrzebę nawiązania kontaktu z reporterką, natarczywy głód rozmowy. Nie znalazłam jednak jej karty, za to natknęłam się na zanotowany ręką Lily Cabron numer telefonu do jej przyjaciółki, podobno specjalistki w dziedzinie PR.

Przez niemal tydzień dzwoniłam do Victorii Knight po trzy razy dziennie, tylko po to, by zostać spławioną przez jej niezliczone asystentki, które powtarzały zdanie: „Jest na spotkaniu” takim tonem, jakby to było przekleństwo. Nie poddawałam się jednak i dzwoniłam dalej — w końcu nie byłam specjalnie zajęta. To był jedyny trop, którym mogłam podążyć, jeśli nie liczyć telefonicznej rozmowy z redakcją „New York Posta”, kiedy próbowałam odnaleźć Irene Maitlock, i brakowało mi niezbędnych, bardziej szczegółowych informacji

— Dział? Piętro? Biurko? Etatowa czy wolny strzelec? — wyszczeła wtedy redakcyjna telefonistka.

Zresztą, co miałabym do powiedzenia?

Wreszcie pewnej nocy, około dwudziestej drugiej, udało mi się złapać Victorię Knight przy biurku. Słyszałam w jej głosie zmęczenie, ale zdołałam jakoś streścić jej swoją historię. Kiedy skończyłam, Victoria (ze stanowczością nie mniej arbitralną niż poprzednie próby unikania rozmowy ze mną) wyznaczyła datę spotkania. A teraz siedziałyśmy razem i jadłyśmy lunch.

— Chyba że uda się nam — ciągnęła Victoria — a moim zdaniem zdecydowanie powinnaś przemyśleć taką możliwość, przedstawić twój wypadek jako wynik zachowania autodestrukcyjnego, będącego wynikiem problemów alkoholowych lub uczuciowych, może nadużywania narkotyków, a może ucieczki przed zmorami z dzieciństwa. Nie chciałabym wkładać słów w twoje usta, ale jeśli uda się nam skonstruować historię wokół idei kary i odkupienia, to otrzymamy niezwykle atrakcyjny produkt. Nie należy lekceważyć religijnego fanatyzmu Amerykanów; nauczyłam się tego już dawno. Jeżeli wybierzesz tę drogę, powiesz im: miałam świat na dłoni, ale zaprzepaściłam swoją szansę i teraz nie mam nic, ale choć jestem wrakiem, poznałam prawdziwy sens życia i mogę się odrodzić.

— „Pokorni posiadają ziemię” — wtrąciłam.

— Właśnie — przytaknęła.

Zdaje się, że zrobiłam na niej wrażenie.

Wedle mojej miary, Victoria Knight była osobą wręcz miniaturową (miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu), za to nikczemność postury nadrabiała z nawiązką niesamowitym połotem, który mogłam jedynie podziwiać. Z głęboką pogardą dla utartej zasady, w myśl której odzież powinna korygować defekty urody, moja rozmówczyni nosiła krótką spódniczkę, bluzkę ciasno spiętą w pasie, wzorzyste pończochy i buty na płaskim obcasie — słowem prezentowała się uroczo jak drzewko bonsai. Nie byłam jedyną osobą, która bez żenady wlepiła w nią wzrok: w zatłoczonym Judson Grill, pachnącym rakiem i pieniędzmi, zwracały się ku niej niemal wszystkie oczy, pełne antropologicznej ciekawości i zwyczajnej żądz, jakby ich właściciele szczerze pragnęli ujrzeć Victorię bez odzieży. Jej owalna twarz nie była mała; otaczała ją korona dość ciemnych, błyszczących włosów. Zastanawiałam się, czy jej oczy naprawdę są szafirowe, czy tylko zabarwione szklami kontaktowymi. Na obu policzkach dostrzegłam roje piegów. Górną wargę Victorii wieńczyły dwa delikatnie zarysowane wierzchołki. Jednak o sile jej przyciągania decydowała ta jedna rzecz, którą pamiętam wyraźnie jeszcze dziś: niemal karli wzrost. Chodzi mi o to, że odniósłszy sukces z taką prezencją, mogła uchodzić za żywą reklamę własnego talentu w dziedzinie plastycznej chirurgii rzeczywistości.

Philippe, elegancki i lakoniczny Francuz, którego rola w naszym lunchu nie była mi jeszcze znana, bez przerwy notował coś z zapalem. Z początku myślałam, że jest jednym z asystentów Victorii, ale był na to zdecydowanie za stary i niewystarczająco urodziwy. Wiedziałam, że dołączy do nas jeszcze czwarta osoba.

— Mój przyjaciel, Thomas Keene, je teraz lunch, ale obiecał, że urwie się jak najwcześniej, żeby się z tobą spotkać — powiedziała mi Victoria, kiedy zjawiała się z Philippe'em w lokalu. — Prowadzi interes, w którym być może mogłabyś... Nie, lepiej będzie, jeśli sam ci to wytłumaczy.

Interes? Akurat, pomyślałam. Kimkolwiek jest ten cały Thomas, szuka tylko okazji, żeby się z tobą zabawić (jak wszyscy faceci w Judson Grill), bo chce zbadać anatomiczną osobliwość, którą jest twoje ciało.

Zamówiliśmy lunch — oczywiście rakiem, bo siła sugestii była zbyt potężna, by się jej oprzeć. Zastanawiałam się przez chwilę nad tym, czy istnieje biologiczny związek między jedzeniem rakiem a zarabianiem wielkich pieniędzy. Czy mogła istnieć inna przyczyna wyjaśniająca ten odwieczny rytuał?

— W całej tej sprawie jest jeszcze warstwa informacyjna — powiedziała Victoria. — Ciekawe może być na przykład to, czy użyto na tobie nowych, pionierskich technik chirurgicznych. Czy zastosowano innowacje w procesie gojenia i rehabilitacji? Krótko mówiąc, chodzi o to, czy dokonano przełomu na polu naukowym. Jeżeli tak, to postaramy się o artykuł w fachowych pismach, na przykład w „Science Timesie”.

— Możliwe, że mierzysz zbyt wysoko — mruknęłam. Victoria zmrużyła oczy; najwyraźniej obraziłam ją tą uwagą.

— Nie bądź taka pewna — odparła z naciskiem.

Philippe z wahaniem uniosł palec. Powiedziałabym, że miał otwarte uszy — w taki sposób, w jaki serdeczni ludzie miewają otwarte ramiona — i siedział na krześle w luźnej, niemal sennej pozycji, która przywiodła mi na myśl młodego Jeana-Paula Belmondo. W jego niespokojnych oczach zauważyłam jednak coś w rodzaju rozpacz, a we fryzurze niedbałość. Ubóstwo, pomyślałam.

— Firmy z branży PR dysponują w Ameryce wielką potęgą — odezwał się z ostrym akcentem człowieka, który pisze po angielsku częściej, niż mówi. — I to właśnie jest przedmiotem mojej pracy.

— Philippe studiuje, przyglądając się naszej rozmowie — wyjaśniła pospiesznie Victoria. — Robi doktorat z technik medialnych w New York University. Píše pracę na temat... hmm...

— Ciebie — powiedział Philippe i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając garnitur po europejsku anarchicznych zębów.

Victoria się zarumieniła. Zauważyłam, że cień jej osobowości wyziera spod balastu fascynacji Philippe'a i próbuje umknąć bokiem jak krab. Wrażenie to było jednak bardzo ulotne i zaraz minęło, gdy silna osobowość Victorii zapanowała nad sytuacją.

— Wszystko jedno — mruknęła, wbijając wzrok w talerz, który postawił przed nią kelner. — Z jednej strony mamy więc historię *Zawalilam i Żaluję* a z drugiej *Wielki Przełom w Medycynie*...

— Nie jestem pewna, czy któraś z nich ma coś wspólnego z prawdą — wtrąciłam odważnie.

Victoria przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie tak, jakby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że w wypadku mógł ucierpieć mój mózg.

— Wszystko zależy od ciebie, Charlotte — powiedziała bardzo powoli, jakby tłumaczyła coś dziecku. — W tej chwili w oczach świata twoje życie to *tabula rasa*. Nie istniejesz. Ale kiedy to się zmieni, będziesz miała wielki problem ze zmianą wizerunku. Dlatego chcę, żebyś już teraz wybrała pierwszy ruch — taki, który będzie miał jak największe poparcie w faktach i który najlepiej ci pasuje.

Ponad jej szafirowymi oczami błysnęła cieniutka warstewka złota. Była twardym, bardzo twardym przeciwnikiem! Przez wszystkie te lata, kiedy z lubością dręczyłam kobiety-myszy (sprawa Irene Maitlock była jedynie wierzchołkiem góry lodowej), kiedy łąjałam je za odmowę zapłacenia rachunku, zafarbowania włosów, zrzucenia paru kilogramów i „życia zgodnie z duchem czasu”, zawsze miałam przed oczami wizerunek kogoś takiego jak Victoria Knight. A jednak teraz nie mogłam sobie z nią poradzić.

— Przepraszam — powiedziałam potulnie. — Mów dalej.

— Myślałam też o... aha, już wiem. O historii typu *Zalamanie Nerwowe*. Byłaby zupełnym przeciwieństwem *Zawalilam i Żaluję* tutaj powiedzielibyśmy raczej: wszystko szło idealnie aż do dnia tragedii, a od tamtej pory — patrzcie, jak rozpadam się z każdym dniem, bo nie mogę dojść ze sobą do ładu. Tu także moglibyśmy wspomnieć o alkoholu i narkotykach, w kontekście walki o utrzymanie kontroli nad własnym życiem. Przy czym oczywiście niczego nie kontrolujesz, twoje życie się rozpada i wiedzą o tym wszyscy oprócz ciebie.

— Hmm — mruknęłam, ciesząc się w duchu, że nie zamówiłam martini. Od paru dni desperacko próbowałam skończyć z pićciem, a jednocześnie zachować względny spokój umysłu i nie dopuścić do siebie Rozpaczy, której wskrzeszenia obawiałam się każdego ranka. Niełatwo było utrzymać tę równowagę.

Philippe notował jak szalony. Przy każdym scenariuszu streszczanym przez Victorię spoglądałam na jego twarz, podobną do rękawicy baseballowego łapacza: najpierw malowała się na niej litość, później litość, a potem, dla odmiany, litość. Miałam ochotę kopnąć go z całej siły.

— Jeśli chodzi o styl, najlepiej, moim zdaniem, byłoby stworzyć coś w rodzaju dziennika — gdzieś między *Pamiętnikiem Szalonej Gospodyni* a *Zapytaj Alice*. Dalibyśmy tytuł typu: *Bez twarzy: droga do szaleństwa*. Przedstawiłabyś osobisty, przemyślany pogląd na proces własnej dezinte... o, spójrzcie! Thomas idzie.

Przez pola rakiety kwitnące na stolikach przeciskał się wysoki, jasnowłosy mężczyzna o nieco chłopięcych rysach, ubrany w oliwkowozieloną marynarkę Armaniego, czarne dżinsy i pokiereszowane, białe buty do koszykówki marki Converse. Wysoko w powietrzu trzymał teczkę, wykonaną, jak mi się wydawało, z krokodylej skóry. Natychmiast wyczułam, że musiał mieć kiedyś problem z nadwagą; poruszał się na palcach, jakby przeproszał za swoją obecność, choć przecież był szczupły, a przynajmniej wyglądał na takiego przy swoim wzroście. Harvard, pomyślałam. Dorastał pewnie w Greenwich lub w podobnym otoczeniu, ale bez wsparcia prawdziwych pieniędzy. Był jednym z tych rzadko spotykanych osobników, których cień osobowości (w tym przypadku tłusty, niespokojny chłopczyk rozpaczliwie wal-

czący o pozycje) był lepiej widoczny niż zewnętrzna maska (szczupłego mężczyzny posiadającego względnie wysoki status, a przynajmniej krokodylową aktówkę). Myliłam się jednak co do przyczyn, które skłoniły go do przyjścia. Thomas Keene nie leciał na Victorię; bał się jej. Ale jednocześnie była mu potrzebna. Wszystkim nam była potrzebna Victoria Knight.

— Przepraszam, że się wtrącam — powiedział, potrząsając moją ręką — ale Victoria opowiedziała mi o tobie i muszę przyznać, że zafascynowała mnie ta historia.

— Mam nadzieję, że na wszystkich zrobi podobne wrażenie — odparłam pogodnie.

Pojawił się kelner i Thomas zamówił san pellegrino z cytryną.

— Skąd się znacie? — spytałam.

— Z college'u — odpowiedział.

— Niech zgadnę... Harvard.

— Berkeley — odparła Victoria.

Musiałam mieć dziwną minę, bo Thomas odezwał się prawie natychmiast:

— Berkeley to świetna szkoła.

Musiałam zapewnić ich oboje, że nie mam absolutnie nic przeciwko tej uczelni.

— Po prostu domyśliłam się, że jesteście ze Wschodniego

Wybrzeża — wyjaśniłam, choć szczerze mówiąc w przypadku Victorii nie byłam w stanie określić stron, z których pochodzi. Była pod każdym względem tak czysta, że należało ją za to podziwiać.

— Jesteśmy dziećmi z Berkeley — powiedział Thomas. — Moja mama pracuje tam w dziale przyjąć, a tata Victorii jest profesorem.

— Logiki — dodała Victoria i przewróciła oczami, jakby koncepcja logicznego myślenia wydawała jej się z gruntu nedorzeczna. — Przepraszam, muszę teraz zadzwonić do biura — dodała po chwili i zaczęła przekopywać zawartość torebki w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Kiedy wstała, przewyższyła siedzącego Thomasa nie więcej niż o pięć centymetrów.

Na stole pojawiły się dania główne. Zabrałam się do mojego pieczonego łososia, a Thomas zaczął opisywać serwis internetowy „Zwykli Ludzie”, który właśnie tworzył.

— To nie czasopismo, to raczej baza danych — mówił. — Zamierzam handlować prawami do historii życia rozmaitych ludzi, zwyczajnych Amerykanów: mechanika samochodowego, farmera, nurka głębinowego, matki sześciorga dzieci, strażnika więziennego, bilardzisty... Każdy z nich będzie miał swoją stronę — nazywamy ją Przestrzenią Osobistą™ — poświęconą wyłącznie jego życiu wewnętrznemu i zewnętrznemu.

Moja wiedza na temat Internetu ograniczała się do paru chwil spędzonych przy komputerze Oscara, ale postanowiłam udawać, że rozumiem.

— Jak te... Przestrzenie Osobiste mają wyglądać? — spytałam.

Każda miała być inna, wyjaśnił, by odzwierciedlać życie poszczególnych ludzi, ale pewne kategorie i działy miały być wspólne dla wszystkich: Fotografie gospodarza z rodziną. Wspomnienia z dzieciństwa. Sny. Pamiętnik (każdy miał wprowadzać nowe zapisy co najmniej raz na tydzień, a najlepiej codziennie). Plany na przyszłość / Marzenia. Żale / Stracone szanse. Ludzie mogli też dodawać własne rubryki: Co mnie wkurza. Poglądy polityczne. Hobby.

— Pomyśl polega na tym, żeby dać subskrybentowi... — tu Thomas machnął ręką w stronę Philippe'a, który tak bardzo przejął się nagłym poświęceniem mu uwagi, że zgubił długopis i musiał się pochylić, by znaleźć go pod stołem, wypinając się do nas tyłkiem (miał spodnie koloru khaki) i tym samym zmuszając coraz bardziej zniecierpliwionego Thomasa do wstrzymania się z dokończeniem myśli — ...dostęp do każdego aspektu życia danej osoby. Jest tyle spraw, nad

którymi czasem się zastanawiamy... Weźmy na przykład artykuł w „Timesie” o górnikach. Myślisz sobie: ciekawe, jak to jest być górnikiem? Moi subskrybenci będą mogli odpowiedzieć sobie na to pytanie w zupełnie bezbolesny sposób: nie będą musieli kupować książki, podnosić słuchawki telefonu, kupować gazety, iść do biblioteki czy ładować nudnych i bezużytecznych danych z Lexisa — po prostu wejdą sobie wprost w życie prawdziwego górnika. Poznają jego dzieci, dom, przeżycia z dzieciństwa, wczorajszy jadłospis, problemy zdrowotne, marzenia... Czy górnicy śnią o węglu? Ja na przykład bardzo chciałbym to wiedzieć!

Thomas zapewnił mnie też, że na stronach zamieszczone zostaną pliki audio i wideo, tak by subskrybenci mogli sobie posłuchać głosu górnika i popatrzeć, jak wydobywa węgiel gdzieś głęboko pod ziemią.

Victoria powróciła na swoje miejsce i po chwili kelner podał jej stek. Porcja wyglądała wprost genialnie i żałowałam, że nie zamówiłam tego samego.

— Nie brakuje, rzecz jasna, ludzi, którzy robią podobne strony na własną rękę — ciągnął Thomas nieco zmienionym tonem, jakby obecność Victorii wzbudzała w nim potrzebę samoobrony. — Nie wiem, czy widziałeś kiedyś taką „osobistą” stronę internetową, ale szczerze mówiąc to kompletne dno. Rzecz w tym, że tworzą je nieodpowiedni ludzie: młodociani maniacy Internetu, cierpiący na nadmiar wolnego czasu. Kogo obchodzą ich sprawy? Gwarantuje, że nie znajdziesz wśród nich ani jednego górnika.

— Ale dlaczego... górnik miałby chcieć bawić się w coś takiego? — spytałam.

— Z tego samego powodu, dla którego w ogóle warto coś robić — odpowiedziała Victoria. — Dla sławy i pieniędzy.

Philippe nie dosłyszał. Skierował swe szeroko otwarte uszy w stronę Victorii.

— Dla sławy i...?

— Pieniądzy — powtórzyła, rozgryzając to słowo jak orzech i połykając z lubością jego miękką treść.

Pieniądze, jak wyjaśnił Thomas, miały pochodzić ze sprzedaży praw do korzystania z danych zawartych na stronach, a sława byłaby logicznym następstwem obnażenia prawdy o sobie.

— Moim zdaniem w tym obnażeniu się drzemie ogromny potencjał — mówił. — Kontakty ze światem filmu, udział w programach badawczych...

Zdaje się, że spoglądałam na niego z niedowierzaniem. (Bo nie dowierzałam mu.)

— W porządku. Weźmy taki przykład: Paramount zabiera się do współczesnej adaptacji *Moby Dicka*. Scenarzysta musi wiedzieć, jak to jest być rybakim. Subskrybuje dostęp do naszego serwisu, więc ma wgląd we wszystko, co mamy — na przykład w strony poławiacza tuńczyków z Maine i specja od łososi z Alaski. Czyta wszystko, co znalazło się w ich Przestrzeniach Osobistych, i dochodzi do wniosku, że potrzebuje więcej szczegółów. Za negocjowaną z nami stawkę nawiązuje kontakt z naszym Zwykłym Człowiekiem i, na przykład, odwiedza go w domu. Poznaje jego przyjaciół, wypływa z nim łodzią na morze, uczy się profesjonalnego slangu, może nawet sam łowi, słowem — nasiąka atmosferą życia podmiotu. *Voilà!* Mój rybak specjalizujący się w łososiach jest już konsultantem filmowym. Kto wie, może nawet sam trafi do filmu, żeby dodać mu autentyczności? Może dadzą mu powiedzieć parę zdań? *Voilà!* Mój rybak jest już talentem aktorskim. To tylko jeden z dziesiątków możliwych scenariuszy. Pomyśl o kontraktach na książki, udziałach w programach telewizyjnych, poradach ekspertów... Przecież jesteśmy najbardziej pieniackim społeczeństwem na świecie; u nas każdy koniecznie musi być specjalistą w jakiejś dziedzinie! Zauważ, że nie doszliśmy jeszcze do kwestii pozycjonowania produktów. Uwierz mi, że Coca-Cola dobrze zapłaci za to, żeby jej produkty trafiły do domów ludzi, których będą podglądać rzesze subskrybentów. Oczywiście nie będziemy przesadzać z udziałem reklamodawców; w końcu autentyczność jest tu wszystkim, prawda? Naprawdę chcemy pokazywać ludzi w ich naturalnym środowisku, robiących dokładnie to, co robią zazwyczaj, ale jeśli znajdą się firmy gotowe zapłacić naszym



klientom za to, że będą używali tych samych produktów, których i tak używali przez całe życie, to... dlaczego nie, do diabła? Będę dla moich ludzi agentem; to część umowy, którą z nimi zawieram. Dzielimy się zyskami fifty-fifty.

Spodziewałam się, że Thomas opadnie wyczerpany na krzesło (sama czułam się wyczerpana; zbyt wyczerpana, by dokończyć łososia, który teraz kojarzył mi się nieprzyjemnie z rybakiem zmieniającym się w aktora filmowego), ale ostatnie słowa dotyczące zysków napęliły go nową dawką energii i entuzjazmu dla własnego przedsięwzięcia. Jego oczy błyszczały swoistym szaleństwem za cienkimi szklami w drucianych oprawkach. Philippe, do niedawna ze wszystkich sił starający się nadażyć za tokiem rozmowy za pomocą staroświeckich narzędzi (długopisu i papieru), siedział już tylko przy dyktafonie wydobytym z miękkiej, skórzanej torby i próbował dokonać nie lada sztuki: zjeść kraba, jedną ręką trzymając pomarańczową kulę mikrofonu tuż pod brodą Thomasa.

— Zaraz, zaraz — powiedziała, między innymi po to, żeby dać Francuzowi szansę na skonsumowanie lunchu, bo, jak zauważyłam, moje wypowiedzi interesowały go jakby mniej. — W porządku, może i badacz potrzebuje szczegółowych informacji. Ale kto jeszcze może być zainteresowany snami i historią rodziny jakiegoś rybaka? Bez obrazy, ale dla mnie to mniej więcej tak atrakcyjnie jak obserwowanie schnącej farby.

— Wręcz przeciwnie — odparł Thomas, z rozkoszą przyjmując wyzwanie. Zapalił się już tak bardzo, że bezwiednie pochylił się w moją stronę i przysunął bliżej krzesło, podzwaniając kieliszkami stojącymi na stole. — Z całym szacunkiem, Charlotte, myślę, że możesz być wyjątkiem. Większość z nas gorąco pragnie surowych, autentycznych doświadczeń. Pracujemy w biurach, borykamy się z dość abstrakcyjnymi problemami, spotykamy się z innymi podczas lunchu i znowu rozmawiamy o nieuchwytnych sprawach. Właściwie nic już tak naprawdę nie robimy, a nasze tak zwane „doświadczenia” to co najwyżej wspinaczka na Kilimandżaro podczas dwutygodniowych wakacji albo zrobienie zdjęcia Dalajlamie podczas spaceru w Central Parku. A jednocześnie mamy świadomość, jak wiele tracimy! To prowadzi do frustracji, do prób wyjścia poza siebie. Telewizja próbuje zaspokoić tę potrzebę, podobnie jak książki i filmy — próbują, ale są w tym takie beznadziejne, tak pełne kompromisów! Po prostu nie są wystarczająco realne.

Prędzej czy później, kierujemy się ku doniesieniom z zagranicy — o wojowniku Yanomamo z Brazylii, o rebeliancie z Sierra Leone, o samobójcy z Hezbollahu... wyobraź sobie, że miałabyś szansę poznać ostatnie myśli tego człowieka, który przygotowuje się do odpalenia bomby ukrytej pod koszulą, w imię wiary i przekonań! Dla niego zaś obnażenie się w taki sposób byłoby czymś nieporównywalnie ważniejszym niż bycie dwudniowym bohaterem serwisów informacyjnych.

— To dość rewolucyjna koncepcja — zauważył Philippe, trzymając dyktafon przy uchu jak muszlę.

Przypuszczałam, że sprawdza, czy maszynka w ogóle działa. Spojrzał tęsknie na nie dokończony kraba, którego zabierał czujny kelner. Victoria, która pożywiała się w znacznie lepszym tempie, właśnie polerowała talerz kawałkiem chleba.

— Ale gdzie jest w niej miejsce dla mnie? — spytałam. — Ja też właściwie nic nie robię. Jestem jednym z wielu nowojorczyków zmagających się z nieuchwytnymi problemami.

— To prawda — zgodził się Thomas. — Tylko że dla farmera — a mamy nadzieję, że i tacy będą naszymi klientami — dla farmera życie modelki jest cholernie interesującą sprawą.

Wyjaśnił, że oprócz Zwykłych Ludzi zamierza wystawić droższą ofertę specjalną: Niezwykłych Ludzi, czyli żywoty osób doświadczających raczej niecodziennych zdarzeń. Miał już umowę z kobietą oczekującą na przeszczep wątroby, mężczyznę skazanego na karę śmierci i kogoś, kto właśnie został wybrany do Kongresu. Podobnie jak Zwykli, Niezwykli mieli udzielać się w kategoriach Wspomnień, Snów i Pamiętników, ale ich głównym zadaniem było koncentrowanie się na sprawach, które różniły ich od przeciętnych obywateli.

— I to właśnie współgrałoby świetnie z moim pomysłem na książkę Charlotte! — wtrąciła Victoria i streściła Thomasowi swój plan. — Jej wewnętrzna walka, dzień po dniu. *Beztwarzy: na krawędzi szaleństwa* albo coś w tym guście.

— Doskonale — pochwalił Thomas. — Gdybyś zgodziła się zostać jednym z naszych Niezwykłych, książka mogłaby być naturalną kontynuacją. Pomyśl: ustawiamy twoją Przestrzeń Osobistą, budujemy napięcie wokół twojej osoby, a potem idziemy do wydawców z propozycją — powiedzmy, że mamy w rejestrze wizyty siedemdziesięciu tysięcy ludzi na twojej stronie. Mówimy: „Spójrzcie, tu jest baza czytelnicza, którą szacujemy na siedemdziesiąt tysięcy głów. Oto kawałek tekstu; chcemy za niego pół miliona”. To twoje pieniądze, Charlotte.

— Ćwierć miliona — skorygowałam. — Odliczając twoją prowizję.

— Zgadza się.

— Powiedzmy, że otworzysz stronę z moją Przestrzenią Osobistą — powiedziałam, coraz pewniej korzystając z nowej terminologii. — Co będzie, jeśli po paru miesiącach zechcę zrezygnować?

— Nie ma problemu — odparł Thomas. — Zatrzymujemy wszelkie stworzone przez ciebie materiały na pięć kolejnych lat, z opcją dowolnej dystrybucji, i podejmujemy się negocjowania wszelkich kontraktów, które mogą wynikać z ich rozpowszechniania.

— Pięć lat — powtórzyłam.

— Pamiętaj o jednym — rzekł Thomas, przeglądając menu deserów, zanim stanowczo odrzucił je na stół. — Przerobienie człowieka na źródło dochodu wymaga czasu i wysiłku. Trzeba mu uświadomić możliwości i popracować nad jego materiałem, nadać mu strawną postać. Moim zdaniem firma zasługuje na to, żeby mieć coś w zamian. Gdybyśmy się nie zabezpieczali, byłoby tak: „Dzięki, że pomogliście mi zorganizować historię mojego życia, a teraz *sayonara!*”

— Rozumiem — odparłam.

Thomas przejrzał mnie na wylot. Victoria zmierzyła mnie swym błękitnym wzrokiem, tym razem ostrym jak tłuczone szkło. Nic nie uchodziło jej uwagi.

— Zresztą, szczerze mówiąc, nie spodziewamy się, by wielu ludzi chciało się wycofać — ciągnął Thomas. — Jak już mówiłem, każdy może sobie zrobić stronę w Internecie, ale kogo to obchodzi? Jej wartość wzrośnie dopiero wtedy, gdy będzie ona częścią naszego serwisu. Skoro uznaliśmy, że Joe Shmoe może u nas zostać Zwykłym Człowiekiem, to znaczy, że dostrzegliśmy w jego życiu coś interesującego i popracowaliśmy nad jego opowieścią, żeby nadać jej odpowiednią formę. Z naszą pomocą Joe Shmoe zyska znacznie większe zainteresowanie publiczności i mediów niż samodzielnie.

— I tym sposobem Joe Shmoe stanie się bogaty tylko dlatego, że jest tym, kim jest — podsumowałam. Zaczynałam rozumieć nie tylko słowa Thomasa, ale i zasady funkcjonowania dziwnego świata, który opisywały. Dziwnego, a jednocześnie znajomego. Zdumiewająco znajomego.

— No, nie wiem, czy stanie się bogaty — przyznał Thomas. — Ale na pewno trochę zarobi. Więcej niż w fabryce, zwłaszcza jeśli pracuje tam na pół etatu i nie ma pakietu socjalnego. Jednak moim zdaniem najpiękniejsze jest to, czego nie da się wyrazić w pieniądzu: to, co Joe czuje, wiedząc, że ma publiczność, widzów, których interesują jego sprawy i jego życie. Ludzie tacy jak Joe mają przykre wrażenie, że nie mogą już być dalej od wielkiego świata sławnych ludzi; nie mają nawet wstępu do niego — chyba że jako konsumenci, frajerzy, którym pozostaje jedynie płacenie rachunków. Dlatego jestem gotów postawić każde pieniądze na to, że dzięki takiej namiastce sławy życie Joego stanie się znacznie bogatsze w niematerialny sposób.

Odkąd Thomas zaczął swoją przemowę, koncentrowałam dosłownie całą moc umysłu na pozornie prostym (a w istocie zaskakująco trudnym) zadaniu zrozumieniu tego, o czym opowiadał. Teraz, kiedy wreszcie zaczynałam

pojmować, poczułam się dziwnie swobodnie, jakbym wiedziała o tym wszystkim, jakby Thomas recytował na głos moje marzenia.

— Na jakim etapie jesteście w tej chwili? — spytałam.

— Jak dotąd podpisaliśmy umowy wstępne z mniej więcej pięćdziesięcioma Zwykłymi i dwudziestoma Niezwykłymi — odparł. — To oznacza, że stworzymy dla nich Przestrzenie Osobiste i zapłacimy co nieco za włożony wysiłek. Potem, kiedy stworzą pierwsze materiały, zadecydujemy, czy warto zakupić je na własność.

— Jeżeli będą przynudzać, nie będzie kontraktu?

— To nie takie proste. Rzecz w tym, że są ludzie, po których należy się spodziewać, że będą nudni — no, może nie nudni; mam nadzieję, że wiesz, o co mi chodzi. Nikt nie oczekuje przecież od murarza, że będzie pisał sonety, a jeśli nawet to robi, to zapewne nie tak dobrze jak John Donne. A my nie możemy przecież karać go za to, że nie potrafi. Chodzi o to, żeby zachować różnorodność. Jeżeli historie dwóch Zwykłych będą brzmiały podobnie — te same fantazje, ten sam układ rodzinny; takie rzeczy się zdarzają — wtedy jeden będzie musiał odejść. Chcemy zachować równowagę, zwłaszcza wśród Zwykłych, między ich zwyczajnym życiem a tym, co opisuje jako niecodzienne doświadczenia. Zależy nam, żeby byli reprezentatywni dla swoich typów. Brzmi to okropnie, ale chyba rozumiesz, o czym mówię.

— Jasne — odparłam, czując coś w rodzaju niesmaku. — Gdyby przesadzili, staliby się Niezwykłymi.

— Właśnie — przytaknął Thomas. — Victoria zapewni nam publicity; mam też w Los Angeles partnera z doświadczeniem reżyserskim — tu jego głos zadrżał nieco, jakby z tęsknoty lub zazdrości — który ma kontakty w świecie filmu. Hollywood ślini się na widok prawdziwych historii, więc subskrypcje ludzi showbusinessu bez wątpienia staną się normą.

— Mam wrażenie, że całe to przedsięwzięcie jest dość kosztowne — zauważyłam. — Kto za to płaci?

— Cóż — odparł niechętnie. — Większość kapitału na rozruch firmy pochodzi od koncernów Time Warner i Microsoft. Mimo to jesteśmy zupełnie niezależni. Ich udział oznacza tylko tyle, że będą mieli prawo pierwokupu do niektórych tematów.

— Brzmi to sensownie — stwierdziłam. — O ile wiem, do tych dwóch molochów należy prawie wszystko w tym kraju, nieprawdaż?

Tym razem Thomas wyglądał na zakłopotanego. Musiałam trafić na ten aspekt jego przedsięwzięcia, którego się wstydził.

— Zapewniam cię, że nasz produkt jest dla ludzi — powiedział z błagalną nutą w głosie. — Zawsze to mówiłem i będę powtarzał. Uważam, że przyczyniamy się do lepszego poznania się ludzi i wzmagamy w nich poczucie wspólnoty. Próbujeśmy znosić podziały między takimi jak my — ze świata nieuchwytnych problemów — a zwykłymi ludźmi, którzy na co dzień w pocie czoła kopią rowy.

Jakaś część mojej osoby myślała z wielkim przejęciem o planach Thomasa. Jak mogłam odrzucić propozycję znalezienia się znowu w centrum uwagi i łatwego zarobku, kiedy właśnie te dwa cele były gwiazdami polarnymi w całym moim dotychczasowym życiu? Lecz odzywała się we mnie i inna część osobowości, dotąd nie znany element buntowniczy. Kim jesteś? — pytałam w duchu źródło tej rebelii. Czy ja cię znam? Poczułam nagłą potrzebę oddalenia się z tego miejsca. Chciwość i instynkt konsumpcyjny walczyły we mnie z desperackim pragnieniem ucieczki.

— W porządku — powiedziałam. — Pogadajmy o pieniądzach.

Zauważyłam, że Victoria i Thomas wymienili spojrzenia pełne satysfakcji, i w myśli pogratulowałam sobie, że tak długo udało mi się nie zdradzić z tym, iż mój udział w ich przedsięwzięciu ani przez chwilę nie ulegał wątpliwości.

Nie miałam już nic na sprzedaż!

Thomas znowu był podniecony i chyba trochę wdzięczny, że mimo wiedzy o prawdziwych sponsorach jego firmy wciąż miałam ochotę wziąć udział w tej grze.

— Dla Niezwykłych — którzy, z oczywistych powodów, zarabiają nieco lepiej niż Zwykli — mamy opcję wartą dziesięć tysięcy dolarów na początek, natomiast ostateczna wartość zakupu zostanie wynegocjowana dopiero wtedy, kiedy twoja Przestrzeń Osobista będzie gotowa — odpowiedział. — Będę szczery: nasza oferta będzie zależeć wyłącznie od tego, jak bardzo będziemy zachwyceni twoją pracą i jak szerokiego dostępu udzielisz nam do swojego życia.

Najmniejsza kwota, jaką zdarzyło im się zapłacić za życie Niezwykłego, oscylowała w pobliżu osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Najdroższemu, mówił dalej Thomas, wręczyli czek na trzysta tysięcy. Po podpisaniu umowy miałam też dostać dwadzieścia pięć tysięcy rocznie na utrzymanie Przestrzeni Osobistej i uzupełnianie jej zawartości według wskazówek firmy. Wszelkie inne wpływy — z praw przekazanych telewizji i filmowi, z wydanych książek, ze sprzedaży danych firmom badawczym, z reklam produktów — miały być dodatkiem do podstawowych świadczeń.

— Dziesięć tysięcy z góry? — spytałam. Thomas zachichotał, ubawiony moją naiwnością.

— Dwa i pół z góry, siedem i pół po dostarczeniu nam pierwszego szkicu treści, napisanego według naszych wskazówek.

— Potrzebuję dziesięć, i to natychmiast.

— To niemożliwe — odparł, uśmiechając się nieco mniej życzliwie swą wciąż życzliwą twarzą. — Pomyśl: dalibyśmy dziesięć, a ty spakowałabyś manatki i odleciałabyś gdzieś na Arubę, choć oczywiście absolutnie nie twierdzę, że takie są twoje intencje.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami i nic nie powiedziałam. Milczenie trwało dłuższą chwilę. Thomas zerknął na Victorię, a Philippe dyskretnym ruchem umieścił mikrofon między nami.

— Połowa z góry — rzekł wreszcie Thomas. — To moje ostatnie słowo.

— Trzy czwarte — odpowiedziałam. — A jeśli nie, to ty,

Time Warner i Microsoft będziecie musieli znaleźć sobie inną modelkę, której nikt nie rozpoznaje po ciężkim wypadku i rekonstrukcji twarzy.

— Zgoda — odparł, krzywiąc się z niechęcią.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Victoria machnęła ręką, by przywołać kelnera. Philippe wyłączył dyktafon i schował go w torbie. Do atmosfery Judson Grill ulotniła się kolejna dawka esencjonalnego zapachu świeżo ubitego interesu.

— Jutro rano odwiedzi cię goniec z kontraktem — powiedział Thomas. — Przeczytaj uważnie wszystkie papiery i daj do przejrzania swojemu prawnikowi. Czek odpalimy przy podpisaniu.

Jaki piękny zwrot: „odpalimy czek”!

Kiedy zjawił się kelner z rachunkiem, Thomas sięgnął po portfel, tym samym utwierdzając mnie w podejrzeniach, które żywiłam od dłuższej chwili: że rola Victorii polegała jedynie na tym, by przekazać mnie w ręce jej przyjaciela.

— W umowie znajdziesz dokładną specyfikację materiałów, których od ciebie oczekujemy, oraz zarys czasowy całego przedsięwzięcia — powiedział. — Myślę, że damy ci dwa miesiące na przygotowanie pierwszej porcji tekstu. Jeżeli wolisz się nagrywać, a nie pisać, odejmiemy koszty przepisywania i edycji od twojej ostatniej wypłaty. No, ale wszystkie te szczegóły znajdziesz w kontrakcie. — Thomas ścisnął w dłoni kartę kredytową i zmarszczył brwi, zastanawiając się nad napiwkami. — Poza tym — dodał po chwili, składając staranny, po dziecinnemu krągły podpis na rachunku, jakby nieudolnie próbował go sfalszować — na twoim miejscu kupiłbym sobie laptopa i dostęp do Internetu, jeżeli jeszcze tego nie zrobiłaś. Będzie to konieczne, jeżeli kupimy twój materiał. Powinnaś codziennie uzupełniać sekcje Pamiętnika i Snów, a poza tym damy ci darmową subskrypcję, żebyś mogła podglądać strony innych Zwykłych i

Niezwykłych. Zachęcam do tego; mam nadzieję, że z czasem staniecie się czymś w rodzaju rodziny... Wiem, że brzmi to wieśniacko, ale naprawdę coraz mniej jest rzeczy, które ludzie robią razem. A dlaczego nie?

Raz jeszcze, szybko i precyzyjnie, dokonałam analizy postaci Thomasa Keene'a: jego gładkiej powierzchowności i tłustego cienia, jego oliwkowej marynarki od Armaniego, jego piaskowych włosów i małych, krągłych oczu. Szukałam choćby jednego atomu cynizmu, strzępu dowodu na to, że w głębi duszy nie wierzy w ani jedno słowo z tego, o czym tak pięknie opowiadał. Nic jednak nie znalazłam. Były tłścioch z upodobaniem do krokodyli naprawdę wierzył w to, że dzięki niemu świat staje się lepszy.

Może tak było naprawdę? W końcu co ja o tym wiem?

Było pochmurne popołudnie, kiedy wreszcie wyszliśmy z restauracji. Światła było jednak dość, by oślepić mnie tak, jakbym zbyt długo oglądała film w ciemnym pokoju. Bez ciepłego, pochlebnego blasku lamp w Judson Grill, oczy Victorii były dość zimne i blade, znacznie mniej niebieskie niż przedtem.

Philippe zamrugał sennie, jakby dopiero teraz ocknął się z długiej drzemki, i skierował wzrok w moją stronę.

— Jak doszło do tego wypadku? — spytał. Było to pierwsze pytanie, jakie zadał tego dnia.

Było tak bezpośrednie i oczywiste, a także najzupełniej niespodziewane, że w pierwszej chwili zapomniałam języka w gębie.

— Ja... właściwie to... — wydukałam, spoglądając z nadzieją na Thomasa, który zaraz pospieszył mi z pomocą.

— Czekaj! — zawołał. — Nie mów ani słowa. Chcę, żeby twoje zapiski były świeże, jakbyś opowiadała o sobie po raz pierwszy. Przykro mi, Philippe.

Philippe pokornie skinął głową.

— Nie ma sprawy — powiedział. — Dzisiaj i tak miałem świetny dzień.

— To dobrze — mruknęła z ulgą Victoria. Wyczułam, że naprawdę jest zadowolona; dbanie o szczęście i dobre samopoczucie Francuza traktowała chyba jako jeden ze swych niezliczonych obowiązków. — Mój Boże, już piętnaście po trzeciej? Jestem spóźniona! — zawołała.

I z tymi słowy pobiegła w swoją stronę, a wraz z nią Thomas i senny Francuz, podobny do wielkiego kruka, ze skórzaną torbą dyndającą smętnie na ramieniu.

Włoczyłam się po mieście, objając się wciąż o ludzi powiększonych dwukrotnie licznymi warstwami zimowej odzieży. W głowie miałam dziwną pustkę, jakby Thomas i Victoria ukradli z niej wszystkie myśli. W ich obecności czułam coś na kształt podniecenia; uznałam, że ich plany realizują się z impetem, i dałam się ponieść ich zapałowi. Teraz dopiero doszłam do wniosku, że podniecenie należało wyłącznie do Thomasa i Victorii, nie do mnie. Po mojej ekscytacji nie pozostał już nawet ślad. Byłam za to zmęczona. Od pamiętnego skoku z balkonu sypiałam po dziesięć, jedenaście godzin na dobę.

Zatem chodzi im o obnażenie się, myślałam. O tę rzecz, której tak pragnęłam od wczesnego dzieciństwa, która nigdy mi się nie znudziła, której nie przestałam kochać, o której zawsze miałam to samo zdanie. I tę właśnie rzecz ofiarowano mi teraz, niespodziewanie, przy niewinnie zapowiadającym się lunchu. Dano mi szansę opowiedzenia o tym, kto mnie zламаł i w jaki sposób. Paplania o własnych sprawach i zarabiania w ten sposób na życie. Zalecania się do publiczności dokładnie tak, jak o tym marzyłam.

A jednak czułam się jakby zastraszona. Nie lubiłam czytać i prawie nie umiałam pisać. Nie cierpiałam opowiadać o sobie. Przez całe lata kłamałam, żeby tego uniknąć, stosowałam niezliczone uniki i wybiegi. Kłamałam, bo tak było łatwiej i miałam na to ochotę. Kłamałam, żeby wymazać prawdę, która jakoś nigdy nie działała na moją korzyść. A z drugiej strony wiedziałam, że mam trzydzieści pięć lat; próbowałam o tym zapomnieć, ale ta świadomość wciąż była we mnie. Zawodziłam na całej linii nawet jako kłamca.



Nie mogę tego robić. Ta myśl dopadła mnie na rogu Szóstej Alei i Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Była tak zakakująca, że musiałam stanąć jak wryta. I stanęłam, dzielnie znosząc szturchnięcia i gniewne pomruki tych, którzy na mnie wpadali.

— Obejdźcie mnie dookoła — poradziłam niecierpliwym. Próbowałam myśleć. Planowałam podpisać umowę, skasować czek na siedem i pół tysiąca i na tym zakończyć współpracę. Niezły utarg jak na dwie godzinki lunchu. Wystarczy na parę rat za mieszkanie.

Pokój luster wreszcie otworzył przede mną swoje drzwi, po tylu latach! Niestety, zbyt późno, za bardzo byłam zmęczona. Za bardzo przyzwyczajona do stanu wygnania.

Zaczęłam iść szybszym krokiem, coraz bardziej oddalając się od Thomasa, Victorii, Zwykłych, Niezwykłych, Planów na Przyszłość i Pamiątek. Czułam, że wyczerpanie ustępuje miejsca dziwnej lekkości, jakby fakt odrzucenia szansy na osiągnięcie tego, o czym zawsze marzyłam, przywrócił mi młodość i siły.

Doszłam do Siódmej Alei i ruszyłam na południe, instynktownie wracając do krainy sadzy, cegieł i wyblakłych znaków, do krainy Anthony'ego Hallidaya, którego oczywiście nie zamierzałam odwiedzać. Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu brutalnego rozstania w taksówce. Pogodziłam się z tym, że tak już zostanie.

Jestem wolna, pomyślałam, wymachując rękami. Przeczuwałam możliwość rozpoczęcia innego życia, takiego, w którym pragnęłabym robić coś zupełnie nowego.

Przy Times Square nie dostrzegłam żadnych starych znaków. Zasłoniły je nowe, szklane budynki i wielkie plakaty zmysłowych modelek. Farba wyszła z mody. Dopiero o kilka kwartałów od Czterdziestej Drugiej Ulicy zauważyłam na nagim murze resztki malowidła wyobrażającego maszynę do pisania o równych rzędach klawiszy. „Maszyny piszące Stefaniego”, głosił napis z wyblakłych, elegancko skrojonych liter.

Wspomnienie z Dzieciństwa: udawałyśmy z siostrą, że nasze życie jest dwudziestoczworogodzinnym filmem.

Żal / Stracona szansa: zapomniałam już wszystkie wersy *Wigilii świętej Agnieszki*.

Hobby: przyglądanie się starym, malowanym... bla, bla, bla.

Nagle zdałam sobie sprawę, z fascynacją i przerażeniem, że jakaś najemnicza część mojej duszy już przechadza się wśród intymnych wspomnień z całego życia, mierzy je starannie i formatuje tak, by odpowiadały specyfikacjom Thomasa Keene'a, a jednocześnie skwapliwie szacuje ich cenę.

W odruchu buntu, zaczęłam sporządzać w myśli listę rzeczy, które mogłabym sprzedać: apartament, ubrania, kanapę. Niby tylko rzeczy — jedna, druga, trzecia — ale gdyby ich zabrakło, zostałyby pustka. Tymczasem opowieść to rzecz niewidzialna, niemożliwa do zmierzenia, bezpostaciowa. Cały świat informacji zmieściłby się pod paznokciem.

Przełomowe Doświadczenie: dotarcie tak blisko sławy, że czułam jej zapach i smak, słyszałam pomruk jej niewidzialnego generatora.

Żal: że nigdy nie zapomnę tego uczucia.

To oczywiście, że musiałam się na to zdecydować. Znowu poczułam zmęczenie. I rozczarowanie własną postawą.

Zaszłam do banku, żeby sprawdzić stan rachunku. Ostatnio rzadko to robiłam, bo przygnębiało mnie obserwowanie, w jakim tempie kurczą się moje oszczędności, nękanie wysokimi ratami kredytu i jednostronnym przepływem środków. Kiedy wyciągałam z torebki kartę, zaginiona bez śladu wizytówka Irene Maitlock sama wcisnęła się w moją dłoń. Zastanawiając się nad znaczeniem tego zbiegu okoliczności, poczułam dreszcz. Irene Maitlock. Jedno spojrzenie na jej nazwisko sprawiło, że od razu zobaczyłam całą postać: byle jakie włosy, wahanie i tę jej absurdalną uczciwość. Zobaczyłam ją tak, jakby stała przede mną. Była przeciwieństwem Victorii Knight. Negatywem. Trzymając w dłoni wizytówkę Irene, poczułam przyływ sił.

Jeżeli miałam pracować dla Thomasa, musiałam wciągnąć w to tę reporterkę. Bez względu na to, czy tego chciała, czy nie. Na pewno będzie chciała, pomyślałam. Przecież interesowała się moją osobą.

Poszłam prosto do budki telefonicznej i zadzwoniłam. Przez chwilę słuchałam jej monotonnego, nieco nosowego głosu („Cześć, tu Irene. Proszę, zostaw wiadomość”). Irene Maitlock, dziennikarka. Bardzo chciałam zobaczyć jej biuro i mieszkanie.

— Mówi Charlotte Swenson. Mniej więcej miesiąc temu próbowałaś zrobić ze mną wywiad — powiedziałam i podałam jej numer. — Zadzwoni, gdy tylko będziesz mogła.

Zatrzymałam taksówkę, rozparłam się na tylnej kanapie i zamknęłam oczy. Z pomocą Irene mogłam podołać obowiązkowi Niezwykłej Osoby. Przede wszystkim umiała pisać. Poza tym ufałam jej.

Dotarwszy do mieszkania, odsłuchiwałam wiadomość od Anthony'ego Hallidaya. Oddzwoniłam do niego, nie zdejmując płaszcza.

— Przepraszam — wyrzuciłam z siebie, gdy tylko usłyszałam jego głos.

— Ja powinienem to powiedzieć — odparł. I powiedział: — Martwię się, że cię zraniłem.

— To niemożliwe.

— Mówię o twojej głowie. Wiesz, po wypadku...

— Nic nie poczułam. — W pierwszych dniach po naszej przygodzie w taksówce brałam tyle Advilu, że ledwie czułam ubranie na ciele.

— Nic sobie nie złamałaś?

— Wręcz przeciwnie. Pomogłeś mi rozpracować skurcz w szyi — odparłam z humorem, chociaż każde słowo przysparzało mi bólu. — A ty?

— Cały i zdrow.

— Nadal nawrócony? — spytałam i skrzywiłam się na myśl o ripocie, jaką sama wygłosiłabym w odpowiedzi: „Mimo twoich najszczerzych chęci”.

— Odpukać — odrzekł krótko.

— Cieszę się. — Naprawdę się cieszyłam. — Powodzenia.

— Nawzajem, Charlotte.

Wciąż nie zdejmując płaszcza, położyłam się na kanapie. Żal / Stracona szansa: to, że zepsułam sobie wieczór z Anthonym Hallidayem, zanim zdołałam rozpiąć mu rozporek i poczuć go lepiej, tak bym teraz miała przynajmniej coś wspominać. Wyobrażałam sobie dokładnie ten dźwięk rozpinanego zamka (także tego od mojej sukienki) i mimowolne drżenie ciała. A potem rozrywanie koszuli, w tradycyjnie efektowny sposób, tak by odleciały z trzaskiem wszystkie guziki.

Masturbacja: słowo, które ma w sobie mniej więcej tyle delikatności, ile komplet walizek spadających z wysokiej półki w szafie, przy czym ostatnia uderza o podłogę dopiero w chwili, gdy zapanowała już względna cisza. Zawsze uważałam, że to daremny akt samotności. Teraz jednak doszłam do wniosku, że sporo straciłam, nie doceniając przyjemności, która może wypływać z niedopuszczenia do swojego życia kolejnej ludzkiej istoty. Nowe odkrycia dokonywane w wieku lat trzydziestu pięciu czy dwudziestu ośmiu, do diabła z rachubą, byle rozpiąć ten zamek, żeby dźwięk, żeby drżenie...

Dryfowałam rozkosznie, czekając, aż ucichnie dzwonięcie w moich uszach, gdy nagle rozległ się sygnał telefonu. Rozmarzona, sięgnęłam po słuchawkę, przypuszczając, że to Halliday odpowiada telefonicznie na telepatyczny sygnał rozkoszy, którą właśnie sobie zafundowałam.

— Witaj, Charlotte. Mówi Irene.

— O!

— Zostawiłaś wiadomość?

— Tak! Tak! — Czując się dość nieprzyzwoicie w spodniach zsuniętych na wysokość kolan, zaczęłam wiercić się na leżąco, próbując je podciągnąć. Udało mi się przy okazji zgubić słuchawkę, która oczywiście potoczyła się pod kanapę.

— Halo? — rozległ się niespokojny głos Irene, stłumiony przez miękką tapicerkę. — Charlotte?

— Jestem! — odrzyknęłam. — Już jestem! — Podciąganie. Zapinanie. Przyglądanie włosów. Padłam na brzuch i wyłowiałam zgubiony telefon. — Halo? — odezwałam się bez tchu.

— Dzwoniłaś do mnie, więc oddzwaniem — powiedziała Irene.

— Rzeczywiście, dzwoniłam. To dlatego, że się namyśliłam. Chciałabym posiedzieć z tobą nad tą historią dla „Posta”. I tym razem naprawdę będę współpracować.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Kurczę — powiedziała w końcu Irene. — Szczerze mówiąc... zajęłam się już następnym materiałem.

— Znalazłaś inną modelkę?

— Nie, tylko... zostawiłam tamten temat.

— Ach, rozumiem — odparłam, czując coś w rodzaju ulgi, że nie udało się znaleźć nikogo na moje miejsce. — Wiesz, mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję, ale wolałabym opowiedzieć ci o wszystkim osobiście.

— Opowiedzieć o czym? — spytała bardzo, bardzo ostrożnie.

— To skomplikowana sprawa. Może mogłybyśmy... Przyjdę do twojej redakcji, jeśli chcesz. A może ty mnie odwiedzisz? Albo spotkamy się w kawiarni. W barze... — Urwałam, bo nie podobał mi się błagalny ton, który pojawił się w moich słowach.

— Nie ma powodu, żebyśmy się spotykały — odpowiedziała Irene. — Zresztą i tak nie mam czasu. — To było „nie”. Mówiła mi „nie”. — Mam rozmowę na drugiej linii, Charlotte. Muszę kończyć — dodała pospiesznie. — Do...

— Więc przyjdę do twojego biura — powiedziałam. — W redakcji „Posta”. Mam twoją wizytówkę. Jest szesnasta trzydzieści, więc będę u ciebie o...

— Nie! — przerwała mi dość ostro. Pomyślałam, że czegoś się boi. — Nie rób tego.

Mój Boże, zastanawiałam się, czy ja naprawdę jestem aż taka straszna? Taka straszna, że sama myśl o moim pojawieniu się w redakcji napawa Irene przerażeniem?

— Wpadnę do ciebie — dodała reporterka, głosem wprost ociekającym niechęcią. — Przypomnisz mi adres? — Przypomniałam. — Będę o szóstej — rzuciła i odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam wymówić ironiczne: „Nie mogę się doczekać”.

Usiadłam na kanapie i wyjrzałam przez okno balkonowe, próbując znaleźć jakiś sens wymiany zdań, którą właśnie zakończyłyśmy. Coś było nie w porządku, tylko nie wiedziałam co. Najwyraźniej nie dostrzegałam jakiegoś faktu.

Rozsunęłam drzwi i pozwoliłam, by zimny wiatr omiół całe mieszkanie. Potem rozebrałam się i weszłam pod prysznic. Moja przeszłość była gotowa do sprzedaży.

Irene spóźniła się o dziesięć minut i przekroczyła próg mojego skromnego apartamentu z widocznym niepokojem. Miała na sobie szarą, wełnianą spódnice i żakiet. Jak poprzednim razem, jej rozpuszczone włosy przypominały pancerz żółwia. Zauważyłam, że użyła tuszu do rzęs i niebieskiej kredki do oczu — tak się złożyło, że ten kolor znowu był w modzie, ale wątpiłam, czy Irene miała o tym pojęcie. Jej widok, w zbyt ciemnych pończochach, lichych mokasynach i niedorzecznym, szarym, wełnianym ubranku, nappełnił mnie zaskakującym zadowoleniem. Cieszyłam się, że ją widzę.

Posadziłam Irene w przytulnym kąciuku kanapy i nalałam szklanek wody, kiedy odmówiła wina.

— Opowiadaj — zachęciłam ją, siadając naprzeciwko z kieliszkiem rieslinga w dłoni. Była to pierwsza porcja alkoholu, na jaką pozwoliłam sobie tego dnia. Mrugała do mnie tak kusząco, że miałam ochotę zanurzyć całą twarz. — Co nowego w świecie zbrodni?

Odpowiedziała, że pisze artykuł o prywatnych detektywach.

— Znam jednego! — zawołałam z osobliwym zapalem. — Nazywa się Anthony Halliday.

Irene spojrzała na mnie dziwnie.

— Nie słyszałam o nim — powiedziała.

— Tak tylko wspomniałam — odparłam miękko. A potem, bez zbędnych wstępów, wypaliłam: — Posłuchaj, Irene. Proponuję ci wspólny interes. — I wyłożyłam kawę na ławę. Zwykli. Niezwykli. Opcje. Dostęp. Osiemdziesiąt tysięcy. Trzysta tysięcy. Obnażenie. Media. Zupa. Wariactwo.

— Proponuję ci posadę mojej pisarki — podsumowałam. — Zyskami dzielimy się po połowie, począwszy od tej opcji, którą mi obiecali. Dostanę siedem i pół tysiąca, gdy tylko podpiszę umowę. — Czułam się jak Thomas. Tylko że on wierzył, że jego projekt ożywi świat, a ja wierzyłam... No, powiedzmy, że w to akurat nie wierzyłam.

Wyraz twarzy Irene zmieniał się nieskończoną liczbę razy, kiedy opowiadałam jej o wszystkim: dostrzegłam między innymi zmieszanie, zaciekawienie i niedowierzenie.

— To jeden z bardziej surrealistycznych projektów, o jakich ostatnio słyszałam — oświadczyła wreszcie.

— Wiedziałam, że to powiesz!

— Charlotte — odezwała się Irene i westchnęła ciężko — zazwyczaj piszę w jakimś celu. Działalność, o której mówisz, jest absolutnie bezcelowa.

— Mylisz się — zapewniłam ją gorliwie. — Jej celem jest uczynienie nas bogatymi.

— To nie wystarczy — odparła smutno.

— Zaraz, zaraz. Pamiętasz, o czym mówiłaś, kiedy spotkałyśmy się pierwszy raz? Kiedy próbowałaś zrobić ze mną wywiad? O tożsamości i... o tożsamości. O takich tam sprawach — dodałam niepewnie. — Wtedy wyglądałaś na bardzo zainteresowaną.

— Owszem, interesuje mnie kwestia tożsamości — przyznała Irene. — Tylko że sklecenie historii twojego życia dla jakiegoś Orwellovskiego serwisu internetowego, który w dodatku moim zdaniem nigdy nie ujrzy światła dziennego, nie jest przesadnie ciekawym sposobem na rozwijanie moich zainteresowań.

Wreszcie dostrzegłam istotę problemu. Brakujący fakt. Z zapierającą dech w piersiach jasnością pojęłam, że Irene mnie nie lubi.

— Ściśle rzecz biorąc, to nie musi być historia mojego życia — kluczyłam, uparcie trzymając się lekkiego tonu mimo urazy, którą czułam. — Nie musiałybyśmy spotykać się aż tak często. Dałabym ci surowy tekst, a reszta należałaby do ciebie. Mogłabyś snuć opowiadanie w dowolny sposób, mogłabyś zmyślać. Szczerze mówiąc, wolałabym nawet, żebyś zmyślała... — Mój lekki ton miał się świetnie, ale z podniecenia zerwałam się na równe nogi i stanęłam na palcach.

Irene zaczęła się śmiać.

— Daj spokój, Charlotte — powiedziała, kryjąc twarz w dłoniach. — Dlaczego ja?

— Nie wiem.

Rozcierając oczy, Irene rozmazała tusz do rzęs i teraz wyglądała na zaskoczoną. Lecz mimo jej upartego oporu, zaczynałam czuć irracjonalne promieniowanie nadziei (a może tylko riesling łączył się tak przyjemnie z moją krwią?). Irene siedziała w moim mieszkaniu i kłóciła się ze mną. Mogła być w domu, z mężem, albo w pracy, w redakcji „Posta”, albo setki mil od Nowego Jorku, ale stało się inaczej: była u mnie, na mojej kanapie. Żyłam już wystarczająco długo,

żeby wiedzieć jedno na temat uwiedzeń: prawdziwe pożądanie, trwałe i głębokie, niemal zawsze jest uczuciem wzajemnym. Wydawało mi się oczywiste, że cokolwiek kazało mi przemawiać do Irene, musiało też wpłynąć na nią, by chciała słuchać.

— Będę szczerą, Charlotte. Nawet jeśli uda ci się nakłonić kogoś do współpracy — a za pieniądze na pewno ktoś się znajdzie — raczej nie widzę cię w tej roli. Ty przecież nie będziesz odpowiadać na pytania. Uważasz, że wywiady to lipa. Dałaś mi o tym niezły wykład!

— Zmienię się — oświadczyłam sztywno. — Już się zmieniam. Już się zmieniłam — dodałam po chwili.

Irene zmierzyła mnie krytycznym wzrokiem.

Przeprosiłam grzecznie i poszłam do kuchni, żeby dolać sobie wina. Na wszelki wypadek napełniłam też kieliszek dla Irene. Potem stanęłam przy zlewie, żeby przemyśleć strategię działania. Wiedziałam, że jeżeli nie rozstrzygnę sprawy w ciągu najbliższych paru minut, będzie po wszystkim. Podejrzywałam jednak, że już jest po wszystkim, a ja zostanę sama w swoim mieszkaniu, z twarzą pełną tytanu.

Wróciłam do salonu i podałam Irene wino. Przyjęła. To dobry znak, pomyślałam.

— Pytaj, o co chcesz, Irene — powiedziałam z wielką powagą. — Obiecuję, że będę mówić prawdę i tylko prawdę.

Był to pokaz dobrej woli; darmowa próbka moich usług.

Usiadłam na kanapie i z niepokojem czekałam na pytanie. Chwila ciszy przedłużała się, a Irene sączyła wino. To dobry znak, pomyślałam znowu.

— W porządku — odezwała się wreszcie z przykrą dla mnie obojętnością. — Jak doszło do twojego wypadku?

Skinęłam głową na znak, że jestem gotowa odpowiedzieć. Przez moment walczyłam z przemożną ochotą położenia się, zupełnie tak samo jak podczas naszej poprzedniej rozmowy. Nie, postanowiłam, tym razem będę siedzieć. I patrzeć na nią. Minęła co najmniej minuta, kiedy tak próbowałam uporządkować myśli. Jak wyglądały fakty? Moja pamięć, podła świnią, uśmiechnęła się do mnie krzywo.

— Nie umiesz — stwierdziła z uśmiechem Irene. — Widzisz? Naprawdę nie umiesz.

— Umiem. — Moje ciało wyprężyło się z wysiłku. Odpowiedz na pytanie. Czułam to samo przerażenie, które pamiętałam z testu z języka obcego, kiedy wypowiedziane na głos pytania rozplywały się w powietrzu, zanim zdążyłam pochwycić je umysłem.

— Nie umiesz! Nie umiesz mówić prawdy! — powtórzyła Irene i roześmiała się.

Znowu zobaczyłam ten jej wesoły, beztroski cień osobowości. Wyczułam też jej ulgę i wielką chęć powrotu do kochającego męża.

Zacisnęłam zęby, z trudem opierając się pokusie ucieczki do sypialni i zatrzaśnięcia za sobą drzwi. Sama ją tu sprowadziłaś, upomniałam się w myśli, pamiętaj, że ona ma jeszcze większą ochotę wyjść stąd i nie wrócić.

— Zgoda — powiedziałam cicho i postanowiłam w duchu, że coś wymyślę. Tylko że grą, w której czułam się najlepiej, były uniki. Zwody i odskoki, to była moja specjalność. W końcu zamknęłam oczy. Pomogło. — Spotkałam mężczyznę — zaczęłam. Mój chropawy głos zabrzmiał jak szczeknięcie. — Mężczyznę zwanego Z.

Z trudem łapiąc oddech, uchyliłam powiekę, żeby spojrzeć na Irene. Przekonałam się, że już się nie śmiała i nie uśmiechała. Słuchała z uwagą.

— Z — powtórzyłam. Czułam się tak, jakbym podpierała plecami drzwi mieszkania, jakbym zdobyła przyczółek w pojedynku z Irene. — Początkowo prawie go nie dostrzegałam — ciągnęłam z wysiłkiem — ale w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że on mnie obserwuje. Czułam to. Czasem czułam to nawet wtedy, kiedy go nie widziałam.



Otworzyłam oczy. Irene zdążyła już rzucić mokasyny. Dobry znak, pomyślałam. Liczne otarcia i zadrapania na skórze butów były starannie zamazane czarnym pisakiem.

— Pewnej nocy — mówiłam, siłą wyciskając słowa gdzieś ze splotu słonecznego — zobaczyłam pod jego koszulą zarys jakiegoś przedmiotu. To był kabel. Wiesz, zwykły kabel, jak od mikrofonu. Z nagrywał to, co mówiłam. Nagrywał wszystkich ludzi, z którymi rozmawiał, i to od miesięcy. Nie wiem, dlaczego to robił.

Przełknęłam ślinę, czując narastającą suchość w gardle. Nieraz słyszałam, jak ludzie opisywali „symptom wycofania” i nieprzyjemne sensacje, które mu towarzyszyły. Ale przed czym ja miałabym się wycofywać?

— Nie byłam zła na niego — powiedziałam. — Ani przestraszona. Wręcz przeciwnie.

Umilkłam, wyczerpana. Po chwili Irene odwróciła się w moją stronę. Jej policzki były wyraźnie zaróżowione.

— Co było dalej? — spytała. Czułam ciepły powiew jej ciekawości.

— Byłam zafascynowana — odparłam. — Prawie tak, jakbym się zakochała.

## Rozdział jedenasty

Michael West stał przed tablicą, na której widniały wypisane kredą słowa: „kąt wpisany”, i obserwował Mary Peterson, wypychającą kawał niebieskiej gumy do żucia spomiędzy swych wielkich, nierównych zębów. Czuł, że lada chwila może obudzić się w nim gniew. Spoglądał na dziewczynę raz po raz, mając nadzieję, że tak się stanie. W kaburze przypiętej poniżej łydki miał walthera.

— Henry ma rację — powiedział. — Kąt wpisany to taki kąt, którego wierzchołek należy do łuku, a ramiona są cięciwami okręgu. Co robią ramiona kąta z okręgiem? Kto wie?

Uczniowie patrzyli na niego z bezradnie uchylonymi ustami, marszcząc piegowate czoła i mrużąc blade, wilgotne oczy.

— Przecinają — odezwała się Marcie Blum.

— Właśnie.

Lekcja potoczyła się dalej. Niebieska guma sprawiała wrażenie trującej, jak silny środek dezynfekujący. Michael wbił w nią wzrok, desperacko szukając w sobie tego gniewu, który tkwił w nim niczym rozżarzony węgiel przez większą część życia. W tej gorliwej chęci zaczął ostatnio oglądać programy informacyjne, w których mówiono o tej części świata, z której pochodził. Patrzył na pył, wściekłość, wygłodzone twarze fanatyków, słuchał języków, w których nauczył się nie myśleć, ale zdarzało mu się to czasem, kiedy śnił. Wróciły wspomnienia własnej wściekłości sprzed lat, wywołanej dźwiękiem angielskich słów na ulicy czy podglądaniem ożywionego, potajemnego handlu kasetami wideo z hollywoodzkimi produkcjami. Taśmy były fatalnej jakości, nieostre i prawie bezbarwne, rejestrowane amatorskim sprzętem w kinie, tak że czasem głowy widzów zasłaniały widok na ekran. A jednak sączyła się z nich obietnica podobna do jadu skorpiona. Nie było ratunku. Kto je zobaczył, zaczynał pragnąć. Wojny, śmiertelna broń — to były niezręczne, przestarzałe środki. Daj ludziom kęs czegoś, czego będą pragnąć przez całe życie, a nie będziesz musiał z nimi walczyć! Sami się poddadzą. Na tym polegał amerykański spisek.

— Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania? — spytał. Po chwili, gdy uniosła się tylko jedna ręka, uznał, że użył zbyt oficjalnego języka i dodał: — Niech no zgadnę: chcecie wiedzieć, czy to będzie na klasówce.

Chichot. Niebieska guma do żucia. Michael uniósł nogę, by poczuć ciężar walthera na kostce. Często przychodził do szkoły z bronią, ukrytą na rozmaitych częściach ciała, bo lubił poczucie siły, ukrytą groźbę. Pistolet zajął miejsce, które niegdyś bez reszty wypełniał gniew.

Kiedy odezwał się dzwonek, klasę wypełnił tupot zimowych butów. Był styczeń i wreszcie dogasały ostatnie paroksyzmy Bożego Narodzenia, tego produktu, który Ameryka pakowała i eksportowała niemal do wszystkich krajów świata (West słyszał, że nawet ulice Istambułu są pełne Świętych Mikołajów). Na popołudnie zapowiadano opady śniegu, na które czekał z niecierpliwością. Michael West jeszcze nigdy nie widział śniegu z bliska.

Sala była pusta, jeśli nie liczyć Lori Haft stojącej przy jego biurku. Często upominała się o pomoc po zajęciach, a jej oceny wyraźnie się poprawiły. Michael doradzał jej chętnie, zależało mu bowiem na dobrych stosunkach z jej matką, tą głupią kobietą, której zdawało się, że wszystko widzi. Teraz, kiedy czuł, że jego gniew słabnie, bał się konfrontacji z matką Lori.

— No i — odezwała się dziewczyna. Miała na sobie obcisły, zielony sweterek w króliczki. Bawiła się zawijaniem pukla włosów wokół palca. — Co dziś było ważne?

— Ty mi to powiedz.

— Hm... — Miała miękkie włosy, puszyste jak wata cukrowa. Michael zauważył nie tylko to, ale i kształt piersi pod sweterkiem, lecz nic nie poczuł. Martwota. Kiedy gniew przygasał, w jego sercu nie było miejsca nawet na pożądanie. — Może to o kątach...?

West założył nogę na nogę i oparł dłoń na waltherze, podniecony myślą o tym, jak łatwo mógłby go wyciągnąć, zrzucić maskę i sprawić, by w jednej chwili cała ta maskarada dobiegła końca.

— Ty mi to powiedz, Lori — powtórzył, spoglądając na kwiat jej twarzy. — Powiedz mi, co jest ważne.

Ricky leżał na wznak na martwej, zimowej trawie za domem Paula Lofgrena, wstrzymując oddech, żeby nikt nie widział, jak ciężko dyszy. Z dłonią opartą na wiernym Tony Hawku, słuchał stukotu pozostałych deskorolek o dno i brzegi pustego basenu. Zbiornik miał być na wiosnę remontowany, więc pozwolono im jeździć i demolować go do woli.

Jeden wypalony skręt wystarczył, by Ricky oblał się potem, mimo iż jeździł w samej koszulce. Nie powinien był palić, ale to Paul częstował własnym zapasem trawki, to Paul pożyczył mu swoją zieloną fajeczkę z główką w kształcie boga wiatru o wydętych policzkach, to Paul zaciągnął go do matczynej łazienki, gdzie na białej półce przy umywalce leżały różowe mydelka, a wszystko to w chwili, gdy pozostali prażyli cheeze-corn w mikrofalówce. Wypalili małą porcję razem, tylko we dwóch, bo Ricky był człowiekiem Paula. Lofgren miał osiemnaście lat, a Hauser trzynaście, ale różnica wieku nie grała roli. Paul po prostu lubił młodszego kolegą bardziej niż innych i Ricky przestał już się zastanawiać dlaczego.

Po prostu na to zasługiwał — oto dlaczego.

I potrafił zrobić *backside grind* w niełatwym do przejechania basenie Paula — oto dlaczego.

— Burdel — rzucił jeden z chłopaków i Ricky skrzywił się w duchu. Cholera, pomyślał, znowu to samo.

Z trudem podniósł się z ziemi, słysząc dzwonięcie w uszach. Skierował Tony Hawka w stronę basenu i ruszył z łopotem T-shirta na zimnym wietrze, by prawie płynnie przejść we *frontside grind* wzdłuż krawędzi zbiornika (szlifując beton środkową, metalową częścią przedniego wózka deskorolki). Kiedy lądował, koniec deski wysliznął się spod jego stóp i Ricky musiał ratować się zeskokiem i kilkoma potężnymi susami, by nie zakończyć ewolucji twardym lądowaniem (Paul nie nosił ochraniaczy, więc nikt z „jego” ludzi nie nosił ochraniaczy). Zakręcił młynka ramionami w półsekundowej panice, gdy pomyślał o Mediporcie wszytym pod skórę na piersi — co będzie, jeśli pęknie od uderzenia? Nie, przecież wyjęli mu go latem, to dlatego mógł teraz jeździć.

Denerwowało go to, jak często o tym zapominał.

Podniósł deskę i ruszył w stronę krawędzi basenu — wprost ku Jimmy'emu Prezioso, który gapił się na niego z krzywym uśmiechem. Ricky odpowiedział mu tajną bronią: widokiem twarzy pozbawionej jakichkolwiek emocji. Nauczył się tej sztuczki od Charlotte jeszcze w czasach, gdy chodził do szkoły prawie wyłysiały, z mocno przerzedzonym-

mi brwiami, w baseballowej czapeczce i takim strachem w duszy, jakby bez przerwy ścisnął w ramionach żywą kurę. Charlotte powiedziała mu wtedy: „Nikt nie wie, co naprawdę czujesz. Nikt nie może zająrzeć poza twoją twarz”. Ćwiczyli w łazience, przed lustrem. „Powiedz mi teraz, co myślisz”, powiedziała mu wtedy, a Ricky odparł: „Nienawidzisz mnie”. Jak zwykle w tamtym trudnym czasie był bliski płaczu. Charlotte objęła go i odpowiedziała: „Nie, głębiej. Wręcz przeciwnie”.

„Możesz ukryć się za swoją twarzą”, mówiła — i to właśnie nauczył się robić. Może dzięki temu przetrwał wszystko to, co go spotkało.

Charlotte miała w sobie dziwne moce, ale Ricky nie był pewien jak potężne. Tak czy owak, szanował je.

Wskakiwali jeden po drugim. Paul przeleciał nad krawędzią basenu, prezentując popisowego *kickflipa* i podtrzymując *deck* ręką aż do chwili lądowania — ten numer widzieli na filmie o deskach Toy Machine; Paul był niezrównanym technikiem — po czym opadł na dno z hukiem, ale bez wysiłku, i wyhamował. Udany skok nagrodzili gromkim aplauzem, rytmicznie tłukąc stopami o deski. Paul był na pozór taki sam jak jego kumple: miał włosy, oczy, nogi (był wyższy od Ricky'ego co najmniej o stopę) jak wszyscy, ale w jego ciele dokonała się alchemiczna przemiana i po prostu był lepszy. Był królem wśród ludzi.

— O której otwierają? — zawołał z basenu do Jimmy'ego Prezioso, swojego niewolnika. Oczywiście miał na myśli burdel, a przynajmniej to, co brali za burdel.

— O zachodzie słońca.

— To niedługo. — Mark Smallwood stwierdził dość oczywisty fakt.

Ricky znowu rozpedził się na brzegu basenu. Jechał na miękkich nogach, rozkoszując się dźwiękiem pracujących łożysk. Skręcał ostro i ponownie nabierał prędkości, klucząc po betonie, zanim wreszcie skoczył w dół. Pokusiłby się zapewne na powietrzne ewolucje, gdyby nie Prezioso, który stał beczelnie na brzegu, gotów wyśmiać bezlitośnie najmniejszy błąd. Ricky pojechał dalej, a *frontside ollie*, którego wyciął od niechcenia, wyglądał perfekcyjnie. Jego ciało śpiewało i tańczyło.

— Tak sobie myślę: dlaczego mały Ricky się opieprza?

To oczywiście Prezioso, który nienawidził go i był zazdrosny o jego talent do deskorolki i więź z Paulem. Ricky zignorował go. Jeździł, bo sprawiało mu to przyjemność (zwłaszcza że Paul patrzył), a także dlatego, że czuł się silny i lekki. Wydawało mu się, że wprost z czubka jego głowy biją w powietrze błyskawice układające się w tekst: NIE JESTEM CHORY!

Wytracając prędkość na środku basenu, zakończył przejazd skromnym *kickflipem*, lądując miękko na desce.

— Pięknie, bracie. — Paul.

— Odjazd. — Chris Catalani.

— Wypas. — Mark Smallwood dołączył do większości.

— Ładnie. — Prezioso, a kóżby inny? Słodziutkim, wrednym głosem. — Bardzo, bardzo ładnie.

Ricky podciągnął się na brzeg basenu i stanął przed Jimmym. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic; była płaska jak świeżo ułożone prześcieradło.

— I.. — powiedział. To było ulubione słówko Paula, jego ulubiony komentarz. „I”. Tylko tyle, wiszące w powietrzu „i”, oznaczające wszystko albo nic. Zanim Ricky spotkał Paula, był ślepy na gigantyczny potencjał tego słowa, na jego ekspresyjność.

— I ty też wyglądasz ładnie.

Ricky rzucił swojego Tony Hawka pod nogi Preziosa. Deska wylądowała z łoskotem. Zwlekał, czekając, aż Paul opowie się po czyjejś stronie. Jimmy także czekał. Wszyscy czekali, wydmuchując smugi pary.

Chwila milczenia była bardzo długa; Ricky zdążył usłyszeć pracujące w oddali pilarki do drewna.

— No, ty akurat wiesz, co jest ładne, śmierdzieliu — rzekł wreszcie Paul do Jimmy'ego i pchnął go mocno.

Wszyscy roześmiali się jak na komendę. Jimmy oczywiście też. Był przecież niewolnikiem Paula.

Po lekcjach Michael pojechał do McDonalda przy Alpine Road i został w samochodzie, na parkingu. Robił to wielokrotnie, odkąd mieszkał w Rockford. Odwiedził wszystkie osiemnaście lokali sieci McDonalda w mieście i okolicy, włącznie z tymi w Belvedere i Machesney Park, ale nigdy jeszcze nie próbował w nich jeść — nigdy, w całym życiu — wierzył bowiem niezachwianie, iż ten rodzaj pokarmu wywołałby w nim gwałtowną, zapalną reakcję. A teraz właśnie tego pragnął.

Spoglądał przez przednią szybę wozu na fałszywy mur z czerwonej cegły i przyszyżone krzewy obsypane wiórami u podstawy. Pekin czy Moskwa, lokale McDonalda były wszędzie — kolonizowały i pacyfikowały świat. Mówiło się, że żaden kraj, do którego zawitały, nie zaznał więcej wojny. To oczywiste, gdyż państwa te już zostały pokonane.

Teraz jednak nadszedł ten dzień. Michael wszedł do środka i stanął w długiej, wolno pełzającej naprzód kolejce. Zoperowany żołądek ma dwa tygodnie na rozpoczęcie normalnej pracy; jeżeli tego nie zrobi, może na zawsze stracić zdolność trawienia. Wielu ludzi umiera z tego powodu. W organizmie Michaela podobną rolę odgrywał gniew: męczył, czy przetrwałby długo, gdyby zgasł jego gniew, żywotna energia i pokretna logika wściekłości.

— Czym mogę służyć? — spytała dziewczyna o gabarytach dużej lodówki. Zamówił Big Maca — co jeszcze? — coca-cole — co jeszcze? — frytki i ciastko z jabłkami. Zaniósł pomarańczową, plastikową tacę do małego, plastikowego stolika i rozerwał opakowanie, żeby z bliska obejrzeć burgera. Od razu pomyślał, że bułka i jej zawartość wyglądają na zbyt małe, spłaszczone, jak tabletki, że mięso jest podejrzanie szarawe. Czy to był prawdziwy Big Mac, czy też podano mu coś pośledniejszego? Nagle zrobiło mu się niedobrze od własnych myśli — chciwych, indywidualistycznych. Uniósł bułkę do ust i odgryzł połowę.

W pierwszej chwili w ogóle nie poczuł smaku. Pomyślał tylko, że wielki kęs nigdy nie przejdzie mu przez gardło, że udławi się na śmierć tą szarą, słodkawą masą, suchą i lepłą zarazem. Próbował, napręzał przetyk, starając się wepchnąć w wąski tunel zbitą masę hamburgera. Wreszcie bryła drgnęła i, wywołując uczucie rozdierania wrażliwej tkanki, ruszyła w swoją ostatnią drogę, rozpychając się tak, jak truchło połkniętego szczura rozpycha ciało węża. Michael wziął do ust frytkę. Oddychał z trudem, a na czoło wystąpił mu pot. Wcisnął do ust drugą połówkę Big Maca i spróbował zmiękczyć ją łykiem coca-coli. Naprężył mięśnie, szykując się na nagły przyływ wściekłości, na eksplozję, która miała rozsadzić jego wnętrzności znieważone symbolem Ameryki. Jednak nic się nie stało. Siedział, żując frytki, z beczynnym waltherem na kostce, czując, jak komórki zjedzonego mięsa mieszają się z jego komórkami, by stworzyć nowe — komórki człowieka, który jadł u McDonalda. Wreszcie wrzucił resztki do błyszczącego opakowania po Big Macu, wsunął wszystko w szczelinę plastikowej skrzyni na odpadki i przystanął obok niej, nie bardzo wiedząc, co dalej robić.

Wyszedł na zewnątrz. Rockford, Illinois, zimą płaskie i bezbarwne. Znalazł się wśród tych betonowych alejek, wśród krzewów na wiórowej ściółce, wśród ulic i autostrad, bez powodu. Mógł być tu lub w jakimkolwiek innym miejscu. Michael West od wielu lat żył w poczuciu zagrożenia i nigdy nie panikował, umiał wchłonać w siebie strach. Ale teraz, stojąc na parkingu przed McDonaldem, po raz pierwszy wyczuł coś na kształt przerażenia: bał się tej ziemi pod wielkim, szarym niebem, pełnej grubych, obcych ludzi. Bał się konfrontacji z tym nowym światem samotnie, bez wroga.

Ellen czekała w lexusie przed wejściem do niskiego budynku kompleksu medycznego, w którym znajdował się gabinet Gordona. Ogrzewanie i radio były włączone — beztroski optymizm piosenki *Baby Stay with Me Tonight* sprawił, że mimowolnie wystukiwała palcami jej rytm. Niebo było białe i miękkie. Śnieg? — pomyślała z nadzieją.

Teraz, kiedy wreszcie to zrobiła — zadzwoniła do Gordona z telefonu Charlotte (jakby w ten sposób miała zapewnić sobie coś w rodzaju kamuflażu) — kiedy zgodził się (dość sztywnym tonem) na rozmowę, Ellen czuła cudowny spokój. Odwiozła dzieci do szkoły, obiecawszy Harrisowi, że wieczorem posypie sałatkę suszonym *kudzu* (prosił o to od tygodni) w ramach zaimprovizowanego badania rynku. Dzień wcześniej kupiła bieliznę u Lorda i Taylora — czarną, bo Gordon uwielbiał czarną. Ta, którą nosiła dla niego rok wcześniej, straciła fason — Ellen chodziła w niej do szpitala, na squasha czy tenisa. Także do kościoła.

Gordon pojawił się w drzwiach. Wyszedł z budynku i przemierzył parking bez uśmiechu — zawsze, kiedy spotykali się w samochodzie, towarzyszył im niepokój. To cud, pomyślała Ellen. Ale czy na pewno wsiądzie? Wsiadł, wpuszczając zimno i parę przez uchylone drzwi.

— Ellen — powiedział, całując ją uprzejmie w policzek, tak jak całował ją podczas oficjalnych imprez w większym gronie; człowiek, z którym pieprzyła się w łazienkach, garderobach, szopach na narzędzia, piwnicach, na schodach, w samochodach (jeździli do Rock Cut Park i robili to w pośpiechu, niemal bez słowa), na poddaszach, na świeżym powietrzu (tylko raz, bo za bardzo się denerwowali), w motelach (gdzie płacili gotówką) i raz nawet (szaleni!) w pokoju przylegającym do sali weselnej, gdzie bawili się ich małżonkowie. Teraz, kiedy znowu był blisko, wspomnienia zaatakowały Ellen z nową siłą. Zapach jego wody po goleniu i antyseptycznego mydła przywiodły ją do nostalgii tak ostrej, że prawie bolesnej. Kiedy cofała wóz, by wyjechać z parkingu, jej rece drżały.

— Jak się masz? — spytał, przeczesując palcami rzednące, jasne włosy. — Co u Ricky'ego?

— W maju skończył chemię. Teraz już tylko ten okropny rok regularnych testów... — Prowadziła nerwowo. Gordon chciał być miły, ale rozmowa na temat Ricky'ego była ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę.

— Może napijemy się gdzieś kawy? — zaproponował. — Mamy niedaleko do Aunt Mary's.

Ellen spojrzała na niego ze strachem. Kawiarnia Cioci Mary była miejscem publicznym, w którym prawdopodobieństwo spotkania ze znajomymi było bardzo duże.

— Właściwie to myślałam, że... — zaczęła, wiedząc od razu, że to nie najszczęśliwsza sugestia — ...że pojedziemy do Rock Cut i pospacerujemy trochę, zanim się ściemni. — Wyobraziła sobie, jak trzymają się za ręce w zimnym, styczniowym powietrzu. Wyobraziła sobie, że zaczyna padać śnieg.

— Nie mam aż tyle czasu — odparł Gordon.

Uznali, że najlepiej będzie zajechać do McDonalda przy Alpine Road. Niebo było już dość ciemne, kiedy Ellen czekała na Gordona, który poszedł po kawę. Czuła lekkie niezadowolenie: sceneria nie była odpowiednia, brakowało w niej atmosfery, romantyzmu, choć z drugiej strony — przypomniawszy sobie, spoglądając na nordycki profil Gordona stojącego w kolejce — ich związek nigdy nie wymagał takiego wspomagania. Robili to już w znacznie mniej zachęcających miejscach.

Taca wyglądała w jego rękach na małą. Głupio. W McDonalddie wszyscy wyglądali głupio. Gordon usiadł, z trudem łącząc nogi pod małym stolikiem. Kiedy mieszał kawę, Ellen doszła do wniosku, że coś się w nim zmieniło. Był w nim zupełnie nowy spokój, może nawet pogoda ducha. Pomyślała przelotnie, że być może zaczynała romans z zupełnie innym człowiekiem.

— Zdaje się, że masz za sobą diabelnie ciężkie chwile — powiedział Gordon.

— Aż tak to widać? — spytała drwiąco.

— Nie o to mi chodziło. — Uśmiechnął się, błyskając oczami pomiędzy bladych rzęs. Ellen wiedziała, że nie o to mu chodziło, więc dlaczego tak odpowiedziała?

— To prawda — przyznała. — Na długi czas wszystko stanęło w miejscu.

— Nie mogło być inaczej.



Kawa była kwaśna i za gorąca. Ellen odstawiła kubek.

— Chyba byłam zbyt ostra. Wtedy... z tobą — powiedziała.

— Rozumiałem cię — odparł krótko. Ułatwiał jej zadanie. Problem Ellen polegał jednak na tym, że wcale nie przyszła tu przeproszać, prosić o wybaczenie. — Tak czy owak — dodał — wkrótce, miejmy nadzieję...

— Tak. Wiosna.

— Wtedy wreszcie odetchniesz.

— Gordon...

Ale on już się nie uśmiechał. Nie patrzył na Ellen; odwrócił wzrok w lewo i spoglądał na coś z lekkim niepokojem. W tym momencie zrozumiała: Gordon powrócił do swojego dawnego życia — tyle że pozbawionego tej przejmującej, podniecającej możliwości prowadzenia równocześnie zupełnie innej egzystencji. Wiedziała też, że nikt nie zajął jej miejsca. Wręcz przeciwnie; Gordon żałował tego, co było między nimi, i postanowił, że nigdy więcej tego nie powtórzy. Teraz wreszcie Ellen rozpoznała tę nową jakość, którą w nim odkryła. Umiała ją nazwać: to była ulga.

— Brakuje mi ciebie, Gordon — powiedziała.

— Kiepska sprawa, ale niedługo muszę być w domu. — Ricky doskonale słyszał brak przekonania we własnych słowach. Siedział na przednim siedzeniu półciężarówki, wciśnięty między Paula (prowadzącego) a Preziosa (uśmiechającego się głupkowato). Jechali Alpine Road na południe. Ricky skierował swoją rozpacz na zewnątrz, za okno. Wiedział, że Smallwood i Catalani mieli gorzej: siedzieli na otwartej pace wozu, narażeni na podmuchy lodowatego wiatru. Pilnowali desek — w tym jego Tony Hawka, którego, miał nadzieję, nie ośmielili się tknąć.

Bał się tej wyprawy do burdelu, ale odmowa nie wchodziła w rachubę — Jimmy albo i sam Paul (nie daj Boże!) pomyśleliby, że coś z nim nie tak po chemioterapii. Jimmy już to sugerował. Tymczasem Ricky właściwie nie wiedział, czy jest normalny. Dwa lata wcześniej spotkał w szpitalu zapłakaną dziewczynę w różowym T-shircie i sztywnej blond peruce, Lisę Jacobs. Wyszła właśnie z sali dziewcząt, z twarzą mokrą od łez, zmęczona i tak delikatna, że Ricky zaraz pomyślał: piękna. Została na długo w jego umyśle. Sprawiała, że przez długie miesiące z utęsknieniem czekał na kolejne fazy chemioterapii. Czasem czuł dreszcze na samą myśl o tym, że znowu ją zobaczy. Lisa miała tę gorszą formę choroby, atakującą system nerwowy. Miała też młodszą siostrę imieniem Hannah i dwa syjamskie koty. Jej rodzice byli rozwiedzeni. Jej włosy — kiedy je miała — były ciemnobrązowe.

— Teraz jestem rakową blondynką — mówiła i śmiała się nieco chrapliwie.

Ricky nie widział jej od miesiący i miał w związku z tym jak najgorsze przeczucia.

Okna Centrum Zdrowia i Rekreacji „Piękność” zasłonięte były kremowymi kotarami zdobnymi w koronki i otoczone wianuszkami białych lampek choinkowych. Na małej tabliczce zawieszanej na drzwiach widniał napis „otwarte”. Ricky uznał, że jak na centrum rekreacji budynek prezentuje się raczej mało okazale.

Paul zaparkował, a Smallwood i Catalani natychmiast zeskoczyli z paki i pobiegli do okien.

— R. i ja wchodzimy pierwsi — oznajmił Paul.

— A może ktoś inny? — zaproponował nieśmiało Ricky.

— Wejdzmy wszyscy! — zawołał Mark, trzęsąc się pod drzwiami jak wielki, zmarznięty pies.

— ...to nas wyśmieją — dokończył Paul. Jak zwykle w jego słowach było wiele prawdy, której nie dostrzegali sekundę wcześniej. — To R. najbardziej potrzebuje doświadczenia. — Przy ostatnich słowach Paul mrugnął prawie niezauważalnie. Chyba do mnie, pomyślał Ricky. A może do Jimmy'ego, dając mu coś do zrozumienia?

Ricky zrobił absolutnie obojętną minę, która miała powiedzieć światu, że sytuacja rozwija się zgodnie z jego oczekiwaniami. Wskoczył z kabiny, czując, że serce detonuje mu w piersi, i ruszył u boku Paula w stronę wejścia do

Centrum Zdrowia i Rekreacji „Piękność”. Nie zdziwiło go specjalnie to, że drzwi są zamknięte. Paul nacisnął mały, różowy, podświetlony od środka klawisz dzwonka i po chwili rozległ się natarczywy sygnał. Chłopak pchnął drzwi.

Wnętrze było łagodnie oświetlone. Ściany wymalowano blad różową farbą. Za krótkim, białym kontuarem siedziała na wysokim stołku mocno znudzona dama. Miała na sobie fioletowo-różowe body i była mocno opalona. Ciemne włosy związała w koński ogon. Miała ślady trądziku na policzkach, lekko zadarty nos i usta wysmarowane bardzo błyszczącą, czerwoną szminką. Wyglądała tak, jakby w jej żyłach płynęła hiszpańska lub chińska krew. A może jedna i druga?

— Czym mogę służyć? — spytała chłodno. Miała dość chropawy głos.

— Przyszedliśmy poćwiczyć — odparł Paul, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Przykro mi, ale wstęp tylko dla członków klubu. Zapadła cisza. Paul spoglądał na kobietę, a kobieta na Paula.

— I — dodał Paul. Słowo zawisło majestatycznie przed nosem kobiety, a kiedy nie odpowiedziała, zawróciło jak bumerang w stronę Paula. — No... Jak mamy się zapisać?

— Klub ma komplet członków. — Miała zdecydowanie obcy akcent. Chiński? Hiszpański?

— Nie zajmujemy wiele miejsca.

— Z pewnością nie ten dzentelmen — odpowiedziała kobieta, spoglądając na Ricky'ego, który wypatrzył w jej twarzy oznaki rozbawienia. — Ty, mój panie, już zajmujesz sporo miejsca.

— To czadowo, bo właśnie Ricky jest tu najbardziej napalony.

Ricky spojrział na Paula z rozdziawionymi ustami. Jeszcze nigdy nie słyszał z jego ust tak debilnego tekstu. Uczestnictwo w tej żalostnej sytuacji sprawiało mu fizyczny ból.

— Ach tak. — Kobieta odwróciła się w stronę Ricky'ego, który akurat rozważał, czy wypowiedziała te słowa po chińsku, czy może w zupełnie innym języku. Sekundę później skinął głową, bardzo powoli i w miarę swobodnie. Próbował sobie wyobrazić, jak całuje tę panią albo nawet robi z nią coś więcej, ale był to daremny wysiłek, który tylko osłabił jego wyobraźnię aż do omdlenia. To była pani, taka sama jak te, które widywał w Piggly Wiggly, jak pakowały do wózków pudełka z sałatką Jell-O.

— To mój brat. — Paul powiedział to bez szczególnego powodu.

Zrozpaczony Ricky nie patrzył mu w oczy.

Kobieta zeskoczyła ze stołka i podeszła bliżej. Miała na sobie krótką spódniczkę, która falowała pod wpływem niewidzialnej, gorącej bryzy.

— Jakie to urocze. Dbasz o swojego braciszka.

— Zapłacę ekstra.

Kobieta podeszła do okna, odchyliła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. Usatysfakcjonowana tym, co zobaczyła, a może raczej tym, czego nie zobaczyła, odwróciła się w stronę Paula.

— Za co zapłacisz?

— Za to, co robisz zwykle.

— Z takim dzieciakiem? Zabieram takich do zoo, żeby popatrzyli na lwy.

— Wszystko jedno, jak to nazwiesz. — Paul starał się zachowywać swobodnie, ale Ricky wyczuwał w nim niepokój, drzenie, które skojarzyło mu się z przeskakującą płytą CD. Nie były to nerwy (Paul przecież nie miał nerwów), ale coś w rodzaju podniecenia; byli przecież tak blisko celu. Jak to zwykle bywało, kiedy analizował stan umysłu Paula, Ricky chwilowo zapomniał o własnym istnieniu.

Przestraszył się, kiedy kobieta zwróciła się do niego.

— Napalony? Jak to jest, że tylko twój brat się odzywa?

— Jest moim rzecznikiem. — Ricky ucieszył się, gdy Paul zareagował śmiechem na tę ripostę.

— Jeden-zero-zero. Bierzesz albo wychodzimy.

— A ty będziesz podglądał; na tym polega ten twój genialny plan? — Kobieta i Ricky spojrzeli na Paula, któremu wcale nie podobała się ta sugestia. To musiał być test... tak, na pewno test!

— Spokojnie, bracie — odezwał się Paul. — Z nas dwojga to ona jest zbokiem. — Uśmiechał się, ale pod warstwą luzu Ricky wyczuwał jego gniew.

Kobieta obserwowała ich uważnie. Odmówi, pomyślał z nadzieją Ricky i przyjął pozę stoickiej rezygnacji.

— W porządku, panie jeden-zero-zero. Pokaż, co tam masz.

Paul zawahał się, a potem wyciągnął z tylnej kieszeni imponujący zwitek banknotów. Odwinął z niego dziesięć dziesiątek i położył je na białym blacie.

— Pocięte — powiedziała, unosząc cienkie brwi. Paul czekał cierpliwie, kiedy wyglądała każdy banknot z osobna, a potem liczyła je. Ricky wyczuwał milczącą walkę między nimi tak, jak wyczuwał konflikty między Charlotte a ojcem. Słyszał wyraźnie bicie własnego serca.

— Pożegnaj się z braciszkiem — powiedziała wreszcie kobieta i uruchomiła domofon, nie pozostawiając Paulowi wyboru. Wyszedł, dziwnie pokorny, salutując Ricky'emu, zanim drzwi się za nim zamknęły.

Kobieta wcisnęła klawisz interkomu długim, czerwonym paznokciem. Budynek był tak mały, że Ricky słyszał echo jej głosu dochodzące z któregoś z sąsiednich pomieszczeń.

— Anita — powiedziała, a potem dodała coś szybko w języku, który zdaniem chłopaka zdecydowanie nie był chińskim, tylko hiszpańskim. — Tędy, skarbie. — Przywołała go ruchem palca i weszli wąskimi schodami na drugie piętro, a potem minęli kilkoro drzwi w słabo oświetlonym korytarzu. Pokój, do którego wreszcie dotarli, był oświetlony na różowo. Całe jego wyposażenie stanowiły łóżko, garderoba i umywalka. Kobieta zamknęła drzwi i zablokowała zamek. — Usiądź sobie, mój drogi.

Ricky rozejrzał się, dostrzegł jedyne miejsce nadające się do siedzenia — łóżko — i usiadł.

— Eee... przepraszam... — odezwał się, ale kobieta nie usłyszała. Otwierała właśnie drzwi garderoby i ukrytą gdzieś w środku szufladę.

— Proszę pani? — Kurza twarz, nie nazywaj jej tak! — pomyślał Ricky ponieważ.

— Mario — poprawiła go, nie wychylając się z przepastnego wnętrza szafy. — Po Marii, matce Boga. Jaką lubisz muzykę?

— Wszystko jedno.

Teraz dopiero wynurzyła się z wnętrza i spojrzała na niego z ukosa.

— Masz jedenaście lat i wszystko ci jedno, czego słuchasz?

— Trzyście. — Sekundę później zrozumiał, że to pułapka. Kobieta mogła jedynie zgadywać jego wiek.

— Więc jak?

— Smashing Pumpkins. — Żałosna papka, dodał w duchu.

— Nie mam.

— Więc wszystko jedno.

— Aerosmith?

Włączyła okropną płytę. Ricky szczerze gardził Aerosmith; od głosu Stevena Tylera swędziała go skóra. Lecz nawet teraz, kiedy muzyka bębniła już w jego uszach, Maria wciąż szperała w garderobie. Czegoś szukała. Czyżby jakiegoś... osprzętu? Ricky wolno odliczał w myśli sekundy (stary, szpitalny trick), by zapanować nad narastającym

napięciem. Wreszcie, kiedy zdał sobie sprawę, że nie podoła temu zadaniu, zerwał się z łóżka, otworzył drzwi (zamek ustąpił, gdy przekręcił gałkę) i pędem wyskoczył na korytarz.

— Hej! — zawołała wystraszona Maria, lecz Ricky był już daleko.

Szarpał gałki i klamki pozostałych drzwi, ale wszystkie były zamknięte. (Nie był pewien, czy mu się wydawało, czy naprawdę słyszał dobiegające z pokoiów odgłosy zdziwienia.) Dobiegł do schodów prowadzących w górę i zaczął się po nich wspinać, przeskakując po dwa stopnie i pomagając sobie rękami. Maria powoli go doganiała, klnąc z cicha po hiszpańsku. Ricky dotarł na ostatnie piętro i rozejrzał się w panice. Dostrzegł uchylone drzwi do siłowni, a w głębi kilka maszyn do ćwiczeń skąpanych w słabym, niebieskawym świetle. Wbiegł do środka i rzucił się na podłogę, pod niedużą ławeczkę. Skulił się, wyczerpany, zdyszany i przerażony. Pomyślał o Charlotte i nappełnił umysł widokiem jej twarzy, jej oczu. Uspokoił się. „Nie umrzesz”, usłyszał jej głos. „Jesteś zdrowy”.

Kobieta weszła do salki, oddychając ciężko.

— Posłuchaj mnie. Widzę cię tam, pod tą ławką. Nie zamierzam nic robić, jasne? Wyluzuj się, młodzieńcze.

Ricky wytoczył się spod metalowej konstrukcji, zawstydzony i pokorny. Usiadł na podłodze i spojrzał na Marię, która ostrożnie przycupnęła na ławce.

— Twój brat wynajął mnie w charakterze opiekunki do dziecka i nic więcej się nie stanie, jasne?

— Opiekunki? — powtórzył, obrażony.

— Jasne. Jesteśmy fitness-klubem, a jednocześnie dorabiamy na boku, opiekując się dziećmi.

Ricky patrzył z uwagą w jej twarz, próbując odszyfrować wiadomość, którą kobieta próbowała mu przekazać.

— Nie jestem dzieckiem — oświadczył.

— Chwała Bogu. — Maria odetchnęła głęboko i Ricky wyczuł, że porządnie ją nastraszył. — Mam syna w twoim wieku; on też nie lubi opiekunek.

Ricky był pewien, że to żart.

— W moim wieku?!

— Tak jest.

— Czy on... słucha Aerosmith?

— Woli metal. Nine Inch Nails, takie tam kapele. Uszy pękają.

Ricky zacisnął usta, żeby się nie uśmiechnąć.

— Super.

Poszedł za Marią na dół. Po drodze usłyszał odgłos spuszczonej wody. Miał świadomość, że wokół niego, gdzieś w pobliżu, są ludzie, których nie widział.

Kiedy zamknęli się z powrotem w małym pokoju, Maria wskazała palcem na talię kart leżących na łóżku.

— Tego szukałam. Umiesz grać w remika?

— Pewnie. — Szpitalna gra.

Usiedli na łóżku i zaczęli grać, używając materaca jako stołu.

— Twój brat aż się prosi, żeby dać mu w zęby — powiedziała Maria.

— Tak naprawdę... nie jest moim bratem.

— Więc, na miłość boską, trzymaj się od niego z daleka. Mam cię — dodała, rzucając ostatnie karty. Zgarnęła pozostałe z ręki Ricky'ego i zaczęła tasować.

— Dziwnie się dziś zachowywał. — Ricky wstydził się za Paula.

— Więc bądź sobie panem! Nie pozwól, żeby bawił się tobą. Nie bądź jego psem.

Ricky żachnął się w duchu. Psem?

— Och... czekaj. — Maria odłożyła karty i sięgnęła do kieszeni spódnicy. Spoglądając na jej pochyloną twarz i mały wałek ciała wystający ponad paskiem, Ricky poczuł, że coś się porusza w jego brzuchu, coś ciepłego i jakby żywego, jak zwierzę drapiące go od wewnątrz szponiastymi łapkami. Przez moment miał przed oczami zamazaną wizję siebie leżącego u boku Marii, otoczonego jej ramionami i zapachem. Kiedy próbowała wręczyć mu starannie złożone pięćdziesiąt dolarów, spojrział na nią nieprzytomnie i nie wykonał żadnego ruchu.

— Tak, tak! Połowa dla ciebie — powiedziała, wciskając mu pieniądze. — Fifty-fifty, i bez gadania.

Ricky wziął banknoty i wsunął je do kieszeni. Znowu zaczęli grać. Zwierzę w brzuchu poruszało się coraz słabiej, a chłopak martwił się coraz bardziej.

— Co ja im powiem?

— Moja rada jest taka: nie mów nic. Ani jednego słowa.

— Tak, ale... Oni będą chcieli... no, szczegółów.

— Im mniej powiesz, tym większa podnieta. Taka już ludzka natura, przyjacielu.

— Ha. — Ludzka natura była widać głębsza, niż mu się wydawało.

Ricky wygrał jeszcze kilka rozdań. Zastanawiał się nawet, czy Maria pozwala mu zwyciężać. Zapewne była przyzwyczajona do dawania forów synowi.

W końcu, jakby odezwał się w niej wewnętrzny czasomierz, Maria rzuciła karty i wyprowadziła Ricky'ego z pokoju. Zeszli schodami na parter.

— Ucz się, wyrośnij na porządnego faceta i zawsze szanuj kobiety — rzuciła przez ramię. — Obiecujesz?

— Tak.

— I niech to zostanie między nami... Cała ta twoja wyprawa.

Maria włączyła domofon i Ricky pchnął drzwi wejściowe.

Spojrzała gdzieś ponad jego głowę i pochyliła się, by ostentacyjnie pocałować go w policzek.

— Uśmiech do kamery.

Ricky przestąpił próg i znalazł się w ciemności. Była dziewiętnasta trzydzieści. Od czterdziestu pięciu minut powinien był siedzieć w domu, przy kolacji. Otworzył drzwi półciężarówki i natychmiast buchnął w jego stronę gęsty obłok dymu z trawki wypalanej przez pół godziny przez czterech młodych ludzi.

— R. Zrobiłeś co trzeba? — spytał Paul.

— Słuchajcie, naprawdę muszę wracać. Pojadę z tyłu, Paul, ale proszę cię, odwieź mnie szybko. Jeśli nie, to...

— Spokojnie. Nie będziesz jechał z tyłu.

— Ja pójdę. Nie mam zamiaru tego słuchać — zadeklarował Prezioso.

Smallwood poszedł za nim, potulny jak zawsze.

— Siadaj pośrodku — polecił Paul.

Ricky przelazł nad Catalanim i nasunął głębiej kaptur kurtki, czując po obu stronach nieprzyjemny napór ciała.

— Jedź już, Paul, bo będę miał przesrane!

Paul spojrział na Ricky'ego i odpalił silnik dobijająco flegmatycznym ruchem. Pozwolił, by maszyna popracowała parę minut na luzie, zanim ruszył.

— Z nią czy z inną?

— Z nią. — Ricky czuł na udzie ucisk zwitka banknotów. Miał przykre wrażenie, że gdzieś w niebie formułuje się plan, który każe mu słono zapłacić za układ, który zawarł z Marią. Dobrze, że przynajmniej Paul wiozł go w stronę domu.

— Zrobiłeś to? — spytał z niedowierzaniem Catalani. — No... wsadziłeś jej?



— Ooo! — zawołał Paul. — Tylko po kolei. Wyszedłem za drzwi. I...?

Ricky spojrział na zegarek. Od domu dzieliło go jeszcze dziesięć minut jazdy.

— Nacisnęła guzik interkomu i gadała z kimś po hiszpańsku. Tak mi się zdaje.

— I...

Ricky opowiadał z atomową dokładnością: o tym, jak wchodził po schodach, szedł korytarzem, trafił do pokoju z łóżkiem i zlewem... W połowie relacji Paul nie wytrzymał i wybuchnął nagle, wychylając się w stronę Chrisa:

— On mówi prawdę! Najprawdziwszą prawdę! On to, kurna, zrobił! Trzynastolatek! To są jaja, no!

— Wypas! — przytaknął Catalani. Znajdowali się osiem kwartałów od domu Ricky'ego.

— I...?

— No, to położyłem się na tym jej łóżku, a ona otworzyła garderobę i zaczęła grzebać w szufladach.

— Rozbierała się! — zawył Catalani.

— A ty? Też zrzuciłeś łachy? — spytał Paul.

— No, za stówę to chyba ona powinna się tym zająć, co? — Odpowiadając ze sztucznym rozbawieniem, Ricky poczuł przypływ odwagi, a jednocześnie lekkie poczucie winy, zmieszane z ulgą, że wreszcie jest blisko domu.

Paul zaparkował przy krawężniku i wyłączył silnik. Sytuacja nie była najlepsza: od domu Ricky'ego dzieliła ich jeszcze jedna przecznica.

— I...?

Ricky pochylił umysł w stronę Paula. Wyobrażał to sobie często — że ich mózgi splatają się ze sobą jak dwaj spoceni zapaśnicy. Paul chciał czegoś od niego, ale Ricky nie wiedział jeszcze, o co mu chodzi. Zaczynał też wątpić, czy może mu to dać.

Przeskoczył nad Catalanim i z rozmachem otworzył drzwi wozu. Wyskoczył na zewnątrz, w mroźne, zimowe powietrze, które pachniało mu przeznaczaniem. Zajrzał do szoferki — powoli i z rozwagą.

Paul spoglądał na niego kątem oka, nie odwracając głowy. Ricky rozłożył ramiona.

— Co mam robić, Paul? — spytał błagalnie i umilkł, zde gustowany jęklwym tonem własnych słów. A potem odwrócił się i ruszył spacerowym krokiem w stronę domu.

Półciężarówka jeszcze przez chwilę stała przy krawężniku w nienaturalnej ciszy. Nikt nie sięgnął nawet, by zamknąć drzwi. Ricky czuł na plecach wzrok czterech chłopaków. Dopiero kiedy był w połowie długiego podjazdu przed własnym domem, usłyszał pisk opon ruszającego wozu.

Przez skruszałą od mrozu trawę popędził ku tylnym drzwiom. W kuchni oślepiło go światło i zaraz poczuł znajome brzęczenie w głowie. Rodzina czekała na niego przy stole.

— Gdzie byłeś, synu? — Tata.

Ricky czuł, że wypalona trawka przyspiesza tok myślenia. Patrzył na nich, a oni na niego. Matka wyglądała tak, jakby niedawno płakała.

— Z Paulem i chłopakami. — Ricky usiadł na krześle i spuścił wzrok. Dlaczego miałby mówić, że jest mu przykro? Wkurzenie ojca nie zajmowało zbyt wysokiej pozycji na jego liście zmartwień, wśród których dominowały teraz: naciągnięcie Paula na pięćdziesiąt dolarów, możliwość bycia nienormalnym i coś jeszcze, czego na razie nie umiał do końca zidentyfikować.

Matka podeszła do kuchenki i wróciła z talerzem gulaszu i purée ziemniaczanego — najohydniejszymi potrawami na planecie Ziemi, według osobistej klasyfikacji Ricky'ego. Dłubał widelcem w miękkich ziemniakach, czując, jak zamyka się wokół niego pętla paranoi: Maria, trawka Paula, pięćdziesiąt baksów w kieszeni... Wszystko to

było zlepkiem informacji zbyt niestabilnym, by zamknąć go w głowie. Ricky wiedział, że prędzej czy później fakty wyskoczą z jego czaszki. Unikał wzroku Charlotte, pewien, że ona już wie.

— Richard, masz trzynaście lat — mówił Harris. — Dlaczego tak ci zależy na towarzystwie starszych chłopaków?

Tak naprawdę postawa zaniepokojonego ojca była tylko kamuflażem dla jego prawdziwych uczuć: martwił się o Ellen. Coś było nie w porządku z jego żoną.

— Bo ja wiem. — Ricky wciąż nie patrzył mu w oczy. W tym momencie przypomniał sobie o jeszcze jednym zmartwieniu, które zmaterializowało się na jego ciele w postaci strugi zimnego potu, spływającej z karku po kręgosłupie aż do tyłka: Tony Hawk! Na pace wozu Paula! Jego magiczny Tony Hawk! Błyszczący, cudowny Tony Hawk!

— Po tym, co przeszedłeś, Richard, „bo ja wiem” to raczej skromna odpowiedź. — Harris spojrzał na Ellen, szukając jej solidarnego wsparcia, ale ona nie zareagowała.

— Co to znaczy „po tym, co przeszedłem”? — spytał Ricky.

Harris pochylił się bezradnie pod ciężarem tej riposty, gorączkowo zastanawiając się, jak przykuć uwagę żony, zainteresować ją tym, co się działo w kuchni, podobnie jak za wszelką cenę powstrzymuje się przed zapadnięciem w sen ludzi zagrożonych śpiączką.

— To znaczy, że masz szczęście, że jesteś aż tak zdrowy. A swoją wdzięczność okazujesz, włączając się gdzieś z bandą łobuzów ich podrasowaną półciężarówką, którą słychać już z...

— Wdzięczność? — wtrącił Ricky. — Komu?

— Naprawdę musisz pytać?

— Chodzi ci o... Charlotte?

Jego siostra podniosła głowę na dźwięk swego imienia.

— Nie, Richard — odparł Harris, mierząc syna ponurym spojrzeniem. — Nie chodzi mi o Charlotte.

— Więc pewnie o Boga? Hej, dzięki, Bracie! — Ricky uniósł rękę i spojrzał w kierunku nieba.

— Słyszałaś to? — Harris z niedowierzaniem zwrócił się do Ellen, ale jej twarz pozostała pusta. Nie była zainteresowana. A przynajmniej nie tą sprawą.

Charlotte czuła, że kłótnia zmierza pomału w jej stronę, jak to zwykle bywało z konfliktami z udziałem ojca. Bezgłośnie recytowała z pamięci pracę, którą czytała wujkowi Moose'owi po południu.

Początkowo krowy, owce i świnie przeganiano przez Chicago wprost do wagonów kolejowych, by wywieźć je do rzeźni w innych miastach. Trudy podróży sprawiały jednak, że zwierzęta traciły na wadze.

— „Bracie”? — powtórzył Harris, wciąż spoglądając na żonę. — I to mówi dzieciak w takim stanie?

Ricky czuł, że katastrofa jest nieunikniona. Odwrócił się w stronę Charlotte i zawołał:

— Powiedz im!

W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego stulecia rozpoczęto ubój zwierząt w przytorowej rzeźni. Podzielone mięso okładano lodem i w takim stanie przewożono...

— Powiedz im, Char!

— On nie jest chory — powiedziała, wiedząc, że popełnia błąd. — Jest zdrowy. — Poczuli, że brat nieco się uspokoił. W kuchni zapadła cisza. — To tylko... tylko słowa, które czasem powtarzamy — dodała nerwowo.

Harris przez długą chwilę wpatrywał się w nią, milcząc.

— Przystań robić taką minę — odezwał się w końcu — albo wyjdź stąd.

— Jaką minę? — spytała Charlotte.

— Harris, przestań — odezwała się Ellen.

Nareszcie dopiął swego. Ściągnął żonę na powrót do rzeczywistości — niestety, w samą porę, by zdążyła jeszcze stanąć po stronie Charlotte, przeciwko niemu. Przy każdym talerzu leżały drobiny *kudzu*; wybrali je z sałatki bez zbędnych komentarzy.

— Tę minę — warknął Harris, czując gwałtowny przyływ gniewu. — Mine, którą właśnie teraz nam prezentujesz. Przestań albo...

— Dość! — zawołała Ellen.

Harris właśnie wstawał. Dlaczego wstawał?

— To nie mina — odparła Charlotte zmęczonym głosem. — To moja twarz.

Jej słowa wisiały jeszcze w powietrzu, kiedy wstawała, odnosiła swój talerz do zlewu i wychodziła z kuchni. Słuchali jej kroków (Harris wciąż stał), gdy wspinała się po schodach i szła do swojego pokoju. Ricky nie czekał dłużej; wyskoczył zza stołu i pomknął jej śladem.

Stojąc przy pustym stole, Harris czuł gorzki smak porażki.

— Jesteś dla niej taki surowy — powiedziała Ellen, nie patrząc na męża.

— A ona jest arogancka.

— Raczej spokojna. To jej osobowość. Dobrze służy Ricky'emu.

Harris załadował zmywarkę i wrócił do stołu z butelką chardonnay. Ellen nie poruszyła się. Nalał jej wina i patrzył, jak bierze mały łyk.

— Ellen — odezwał się po chwili — martwię się.

— Czym? — spytała ze strachem.

— Tobą.

Niespodziewanie na jej policzkach pojawiły się łzy; było ich tak wiele, jakby czekały tylko na sygnał, ukryte za oczami.

— Nic mi nie jest — zaszlochała.

— Powiedz mi, co mam robić — wyszeptał Harris, pochylając się nad nią, wstrząśnięty intensywnością jej reakcji. — Powiedz, a zrobię to.

Pokręciła głową. Była gotowa powiedzieć mu prawdę; naprawdę była! Rozpacz miała nad nią sporą władzę i domagała się uzewnętrznienia. „Och, Ellen”, powiedział Gordon po południu, prawie nie patrząc jej w oczy. „Bardzo bym chciał, ale...” Mówił tak, jakby tłumaczył, dlaczego nie może przyjść na kolację. Uśmiechał się przeproszająco. Wyglądał starzej, zauważyła w tym momencie, oznaki znużenia pojawiły się zwłaszcza wokół jego ust i oczu. Nagle zdała sobie sprawę z upływu czasu: minęły ponad trzy lata, odkąd byli razem po raz ostatni. Wolala nie pamiętać rzeczywistej rachuby, bo dla niej nie były to lata prawdziwego życia, lecz raczej długa przerwa w życiorysie. „Chciałbym, ale...” Wstydziała się jej, bo romans dawno dobiegł końca, a jej próby były żalosne i głupie. I takie niestosowne.

— Trzy lata to długi czas — odezwała się do Harrisa. Ulżyło jej, kiedy to powiedziała. Wreszcie mówiła prawdę w obecności męża.

— Bardzo długi czas — przytaknął gorliwie. — I niewiarygodny stres. Ale to jeszcze nie koniec, przynajmniej do czerwca.

— To się nigdy nie skończy.

— Nieprawda — zaoponował. — Po roku jego szanse będą już bardzo duże.

Charlotte czekała, aż Ricky wejdzie do jej pokoju. Kiedy się nie pojawił, zajrzała do niego i zobaczyła, że leży na łóżku, z twarzą w poduszkę, a na ziemi walają się zgniecione dziesięciodolarówki.

— Co to jest? — spytała.

Podniósł głowę, ukazując twarz naznaczoną liniami pościeli.

— Pieniądze.

Charlotte podeszła bliżej. Ricky nie posunął się, żeby zrobić jej miejsce. Przykucnęła przy łóżku, zebrała banknoty i ułożyła je w równy plik.

— Co tam masz? — spytał Ricky. Zmarszczyła brwi. — Na piersi. Ciągłe tego dotykasz.

Nieświadomie obracała w palcach bursztyn na rzemieniu ukryty pod swetrem.

— Nic — odpowiedziała. — Naszyjnik. — Nie wyjęła go. Wisiał między jej piersiami; tak, teraz już w myślach nazywała je „piersiami”.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ricky czekał, aż Charlotte pokaże mu naszyjnik, ale nie zrobiła tego. Zresztą nie bardzo mu zależało. Utraciwszy z oczu swego Tony Hawka, czuł się tak, jakby pomału umierał.

— Gdzie byłeś? — spytała Charlotte.

— Nigdzie.

— Ricky... Nie powiesz mi?

Odrzucił się do niej z absolutnie nieprzeniknioną twarzą; sama nauczyła go tej sztuki.

— Co mam ci powiedzieć?

— Może widać gwiazdy? — powiedział Harris. — Chodź, popatrzymy.

Ellen odsunęła krzesło. Jej policzki były jeszcze mokre. Była gotowa zrobić wszystko, co każe Harris. Mały płomyk woli, przeblysk niezależności, został ostatecznie stłumiony. Trzy lata. Tyle czasu potrzebował Ferdynand Magellan, by ze swoją załogą po raz pierwszy w historii opłynąć glob ziemski. Mimo buntów, głodu i niebezpieczeństw zdołał przeprowadzić trzy statki przez morderczą cieśninę na krańcach Ameryki Południowej i popłynąć dalej, by zginąć na Filipinach. Trzy lata to bardzo długi czas.

— Przyniosę kurtki — zaoferował się Harris.

Ellen czekała na niego w pustej kuchni. „Chciałbym, ale...” Już w chwili, kiedy Gordon wypowiadał te słowa, rozbrzmiewały w jej uszach dziwnym echem.

— Doskonale rozumiem — odpowiedziała swobodnie. Tak jej się wydawało. Miała nadzieję. A potem wstała, ku jego zaskoczeniu. Zachowała trochę godności i to było coś.

Harris okrył kurtką ramiona Ellen. Ujął dłoń żony i poprowadził ją na taras. Obawiała się, że znowu będzie jej pokazywał konstelacje. Uwielbiał to robić, kiedy się poznali. Była wtedy na drugim roku studiów w University of Michigan. On, dwanaście lat starszy, doksztalał się w szkole biznesu. Mając lat dziewiętnaście, Ellen przepadała za wpatrywaniem się w gwiazdy ze swym chłopakiem. Lubiała myśleć, że są pokojami rezydencji, która pewnego dnia stanie się ich własnością.

Tego wieczoru niebo było jednak zachmurzone. Dzięki Bogu.

Harris otoczył żonę ramieniem i przyciągnął ku sobie. Tak wiele chciał jej powiedzieć. Odwagi! Rozejrzyj się! Otacza nas szczęście! Kiedy jego firma, Demographics in America, zaczęła przynosić solidny dochód, kiedy powstały grupy testowe złożone z byłych robotników fabrycznych i farmerów, kiedy w mieście zaczęli się pojawiać politycy, Ellen była zelektryzowana sukcesem. Skoro ludzie pragnęli odwiedzać Harrisa tu, w samym środku nikąd, to co by się stało, gdyby osiedlili się w bardziej znaczącym miejscu? Wtedy jednak Harris dostrzegał już prawdę, której jego żona jeszcze nie umiała zaakceptować: że znajdowali się w znaczącym miejscu. W centrum świata. W miejscu, w którym można się było dowiedzieć, co najbardziej lubią amerykańscy wyborcy, kinomani, wyznawcy religii, inwestorzy, sympatycy sportu, zwolennicy diet, rodzice, kucharze czy ogrodnicy. Dowiedzieć się, co chcieliby kupić i o czym marzą. A Harris znał odpowiedzi na te pytania lub przynajmniej wiedział, jak je znaleźć. Został obdarowany przez Pana.

Jednak zdaniem Ellen znajdowali się co najwyżej w punkcie wyjścia.

— Pojedźmy gdzieś tego lata — powiedział Harris. — Wybierzmy się w podróż. — Potrzebował Ellen. Chciał, żeby wciąż patrzyła na niego tak, jak robiła to teraz, po raz pierwszy tego wieczoru. Ilekroć budził się w środku nocy, żona zawsze leżała plecami do niego. Wyciągał do niej ręce, zamykał ją w ramionach, ale gdy znowu otwierał oczy, już jej nic było.

— Do Afryki — mówił. — Albo do Azji. Spojrzała w niebo.

— Zapowiadali śnieg.

— Ellen, spójrz na mnie.

Usłuchała. Trzymając go za rękę, patrzyła mu w oczy.

— Dokądkolwiek zechcesz — powiedział Harris.

Gdy tylko w domu zrobiło się cicho, Charlotte wymknęła się na dwór i pomknęła jak szalona przez mroźne, nocne powietrze. Spojrzała na księżyc; od czasu do czasu uwzględniała w notatkach jego fazy. Tym razem jednak warstwa fioletowych chmur spowijała niebo. Powietrze było ostre od drobin lodu.

W jego domu paliło się światło. Skręciła z ciemnej ulicy na podjazd, minęła dom i zapukała do tylnych drzwi. Otworzył i uważnie zmierzył wzrokiem podwórze, kiedy wchodziła do kuchni. Żaluzje jak zwykle zasłaniały okna.

— Jak się masz? — spytał. Jego obcy akcent uwidaczniał się najczęściej w pierwszych słowach, zwłaszcza jeśli nie odzywał się przez dłuższy czas. Charlotte przestała już pytać o jego źródło.

— Dobrze — odpowiedziała.

Nalał jej szklanek soku, a sam usiadł po przeciwnej stronie stołu, sącząc budweisera i obserwując dziewczynę swymi dziwnymi, ciemnymi oczami.

— Powiedz, co dziś robiłaś — zaproponował.

Opowiedziała mu o klasówce z trygonometrii (chciał wiedzieć, jakie miała zadania; zachowywał się tak, jakby pan Marx, jej nauczyciel matematyki, był jego konkurentem) i o kłótni przy kolacji (w krótkich słowach, bo nie chciała myśleć o tej sprawie; wołała zapomnieć o niej jak najszybciej). Mówiła o wszystkim oprócz spotkania z wujkiem Moose'em, o którym nigdy nie wspominała.

Odsunęła krzesło, wstała i podeszła do Michaela. Pocałowała go z góry, rozkoszując się tym, że choć raz jest od niego wyższa. Jeżeli się uśmiechnie, to znaczy, że mnie kocha. Jeżeli odpowie pocałunkiem, to znaczy... Myślała tak już tylko z przyzwyczajenia; szukała drobnych potwierdzeń tego, czego była pewna.

Dał jej bursztynowy naszyjnik. Trzy noce po świętach Bożego Narodzenia wcisnął go w jej dłoń, kiedy spała. Znalazła prezent, ciepły i trochę lepki, kiedy się ocknęła.

Całowała, a Michael czuł w ustach jej puls, krążenie młodej, świeżej krwi, którego rytm wolno wyprowadzał go ze stanu ponurego odrętwienia. Czasami wręcz hipnotyzowała go potęgą tego uczucia. Trzymając w dłoniach twarz Charlotte, zbliżał się najbardziej jak mógł do tego gniewu, za którym tak rozpaczliwie tęsknił, gniewu zmieszanego z pożądaniem. Wyobrażał sobie, jak łamie jej kark, miażdży czaszkę między dłońmi i chwilami erotyzm tej wizji sprawiał, że brakowało mu tchu. W marzeniach umierała już setki razy z jego rąk, ale w rzeczywistości kończyło się na tym, że zdejmował z niej koszulę, potem resztę ubrania, i brał ją. Zabijał ją tyle razy, ile mogła znieść.

Zaniósł dziewczynę na górę, podrzucając w ramionach, by pokazać, jaka jest lekka. Usłyszała daleki gwizd pociągu, ostatniego spadkobiercy wielkiej sieci, która zrewolucjonizowała świat — sieci z epoki wagonów pełnych ziarna lub schludnie pociętej wołowiny zanurzonej w lodzie. Michael położył Charlotte na brzuchu, ujął w dłonie jej biodra i wszedł w nią od tyłu. Leżała nieruchomo, pozwalając mu działać — i robił to, aż zaczęła jęczeć i rzucać się po posłaniu. Wtedy przewrócił ją na plecy i zaczął od nowa, bezlitośnie. Ruchliwe ogony ryb krążących w kulistym akwarium rzucały



na ścianę dziwne cienie. Charlotte spoglądała na twarz Michaela, na jego oczy wpatrzone w nią lub w jakiś punkt poza nią (nigdy nie była pewna). Poruszał się w absolutnym skupieniu, oddychając wolno i miarowo. Znowu zaczęła się pod nim widać, próbując umknąć, ale jeszcze z nią nie skończył; potrafił robić to bez końca, aż wreszcie była bliska utraty tchu. Chciał, żeby była wyczerpana, żeby leżała pod nim bezwładnie, żeby stała się pusta, żeby jej serce prawie stanęło w miejscu, żeby w jej głowie nie pozostała ani jedna cała myśl — dopiero wtedy pozwalał sobie na odprężenie. Charlotte była zdumiona tym, jak cicho to robił; drżał konwulsyjnie przez — jak sądziła — długie minuty, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, jak człowiek poddawany elektrowstrząsom. A potem leżał nieruchomo, zbierając siły, nim wycofał się powoli, by zdjąć prezerwatywę i wyrzucić ją do kosza, który trzymał przy łóżku specjalnie w tym celu. Później wyprostował się z ulgą i leżał obok Charlotte, balansującej na granicy snu. Zawsze miał otwarte oczy. Nigdy nie widziała, żeby drzemał.

Kiedy szczupła postać dziewczyny zaczęła mu ciążyć, Michael naciągnął dzinsy i sweter, by bezszelestnie zejść na dół. Usiadł w salonie, dokąd przeniósł telewizor, gdy rozpoczęły się nocne wizyty Charlotte w jego domu. Wcisnął guzik. Telezakupy. Uśmiechnięta blondynka w purpurowej bluzce. Michael rozluźnił się nieco, dryfując obojętnie wraz z barwnymi obrazami.

— Możecie nosić ją na wierzchu lub pod rozpinanym swetrem...

— Nosić. Nosić pod rozpinanym swetrem — powtórzył Michael szeptem, by zapamiętać.

Nawet teraz, kiedy zabrakło spisku, z którym mógłby walczyć, kiedy nie było już planu, misji ani nawet koncepcji, wszczepiony w jego umyśle aparat infiltracyjny pracował z wydajnością i niezależnością, które Michael zaczynał uważać za groteskowe. Był maszyną do adaptowania się, nasłuchiwania i zapamiętywania; jego mózg bezustannie wgryzał się w masę nieznaną informacji jak kolonia głodnych termitów.

Poszedł do kuchni i wyciągnął z lodówki piwo. Wziął łyk i zapatrzył się na spuszczone żaluzje, zastanawiając się nad tym, czy stał się odporny na działanie alkoholu, czy po prostu przestał zauważać skutki picia.

Nagle usłyszał delikatny szmer. I trzaski ledwie zauważalne w nocnej ciszy. Miał wrażenie, że dźwięk dobiega ze wszystkich stron jednocześnie. W pierwszej chwili zastanawiał się nawet, czy źródłem odgłosów nie jest jego ciało.

Otworzył tylne drzwi. W snopie światła padającego przez kuchenne okno zobaczył tysiące białych, miękkich, wirujących płatków. Śnieg. Patrzył nań, ze zdumieniem konstatając, że wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażał — jak śnieg z zimowego pejzażu. Wyszedł na dwór i stanął gołymi stopami na puszystym, białym kobiercu. Odetchnął zmrożonymi cząstkami, kiedy zadarł głowę, by spojrzeć na biliony superlekkich gwiazdek pędzących ku niemu od strony ulicznych latarni. Czuł je na twarzy i na rękach. Topniały natychmiast i spływały w dół, po jego szyi.

Przez długie lata popełniał ten sam, typowy, głupi błąd: zakładał, że świat jest pełen ludzi takich jak on sam — konspiratorów — i jakoś nie zauważał, że gdyby tak było, jego ciągłe transformacje nie byłyby możliwe. Doceniał zalety swej jasnej skóry i twarzy kameleona, łatwość przyswajania sobie języków i talent do podrabiania dokumentów; doceniał też instynkt, który pozwalał mu zamieniać szczątki danych w rozległą panoramę obcego krajobrazu — pracowicie zbierał luźne szczegóły i łączył je w wielowymiarową całość, aż wreszcie jego ignorancja rozpadała się i zniknęła jak tonąca wyspa. Różnica między wiedzą a niewiedzą była tak mała... Dzielił je tylko jeden fakt.

A jednak okazało się, że nie swoim talentom zawdzięczał przetrwanie. Michael dostrzegł tę prawdę właśnie teraz, czując ból, który płatki śniegu sprawiały jego wzniesionym ku niebu oczom. Zawdzięczał je wierze — wierze innych ludzi, która niekiedy była tak wielka, że kazała im przyjmować bez zastrzeżeń jedno fundamentalne założenie: że jest tym, za kogo się podawał.

Wiara. Spośród tylu rzeczy...

Nie chodziło o to, że ludzie nie byli źli. Byli, a jeśli nie istniało w nich nic prócz zła, nie można było ich powstrzymać. Jeżeli zło działało poprzez nich, sami stawali się jego ofiarami.

Bolały go stopy, a włosy zamieniły się w śniegową skorupę. Otworzył drzwi i wrócił do domu. Tyłne drzwi, laminowany stół, linoleum podłogowe, powtarzał w pamięci.

W salonie wcisnął nogi pod miękkie poduszki kanapy i włączył program o gotowaniu. Brodaty mężczyzna smażył naleśniki.

— Dodajmy małą ilość ciasta i pozwólmy, by równomiernie rozlało się po patelni, cały czas kontrolując wysokość płomienia... — Ciasto. Płomień. Kontrolować. Michael uczył się na pamięć techniki smażenia naleśników.

Musiał przysnąć na chwilę, bo kiedy usłyszał kroki dziewczyny na schodach, z telewizora patrzyła już na niego rodzina pawianów leniwie żujących liście.

— Homer, jak każdy malec, lubi się bawić pokarmem... — mówił narrator.

— Która godzina? — spytała Charlotte, kładąc na karku Michaela małą, ciepłą dłoń.

Przekrzywił głowę, żeby na nią spojrzeć. Miała na sobie jedną z jego koszul. Michael zachęcał ją do tego: przez dzień lub dwa materiał pachniał jej balsamem do ciała, który przywodził mu na myśl aromat błękitnego morza.

— Czwarta — odpowiedział.

Poszedł za nią na górę i patrzył, jak się ubiera. Ryby tańczyły w krągłej, szklanej bańce. Ostatnio często na nie patrzył, układając się do snu, dokładnie tak, jak mu kazała. I rzeczywiście dobrze spał.

— Widziałeś? — spytała, wskazując na śnieg kotłujący się za oknem.

— Widziałem.

Włożyła tenisówki i zbiegła po schodach. Szedł za nią.

— Aha — mruknęła. — Okulary.

Leżały na podokienniku, obok akwarium. Michael podniósł je i założył. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak słabe są oczy Charlotte. Spoglądając przez jej szkła, widział rozlane obrazy, które niemal natychmiast przyprawiły go o ból głowy.

— Czy właśnie to widzisz, kiedy nie masz ich na nosie? — zapytał, wyłaniając się z sypialni.

Spojrzała na niego, stojąc na schodach, i roześmiała się.

— Teraz dopiero wyglądasz jak prawdziwy nauczyciel.

Dobry pomysł: fałszywe okulary. Używał takich już parę razy. Ale kogo próbował oszukać i z jakiego powodu?

W kuchni dziewczyna skierowała się wprost ku lodówce. Gofry, jej ulubione. Kupił jej też prawdziwy syrop klonowy, ale wolała sztuczny.

— Zrobię ci jednego — powiedziała, wrzucając dwa do tosterka.

— Nie — odparł Michael, wyciągając jeden. — Jadłem lunch u McDonalda. — Dziwne, ale ulżyło mu, kiedy to powiedział.

— Lunch — powtórzyła ze zdziwieniem. — To było wczoraj.

Uśmiechnął się. Rzeczywiście, jadł lunch poprzedniego dnia. Uniósł pasek żaluzji i przez chwilę przyglądał się płatkom śniegu pikującym w stronę dachu sąsiedniego domu.

— Umiesz jeździć w takich warunkach? — spytał.

— Jasne!

— Nie spadniesz z roweru?

— Daj spokój.

Dwoma palcami wyjęła gofra z tosteru i rzuciła na talerz. Posmarowała masłem i polalała syropem. Michael usiadł przy stole obok niej, z niepokojem myśląc o pustce, która po niej pozostanie. Często słyszał dudniący dźwięk — łomot pustki — i czuł wtedy, że narasta w nim możliwość paniki... Ale jeszcze nie panikował. Nigdy, w całym życiu.

— Ugryź chociaż — zaproponowała Charlotte, podając mu na widelcu kawałek gofra.

Potrząsnął głową. Żarówka nad ich głowami świeciła nowym, przytulnym światłem, odkąd zakrył ją dużym, kulistym kloszem.

Jeżeli zje gofra, to znaczy...

— Proszę cię — powiedziała, unosząc widelec do jego ust. Czuł zapach masła i syropu. — Otwórz usta...

## Rozdział dwunasty

Irene Maitlock znieruchomiała przy komputerze, gdy wydało jej się, że słyszy Marka na schodach. Nasłuchiwała, próbując odgadnąć nastrój męża po rytmie jego kroków, po trochejach i spondejach, które wybijał na czterech ciągach stopni prowadzących do ich mieszkania.

Dzwonienie kluczy, jękliwa skarga drzwi. Irene słyszała, jak Mark mocuje się z przeładowaną szafą, próbując wepchnąć do niej płaszcz. Oddychał ciężko po wspinaczce.

— Cześć, kochanie! — zawołała.

— Cześć. — Wycierał krople deszczu z wielkich, zimowych butów. Irene obróciła się na krześle. Siedziała przy biurku, pod jednym z dwóch okien salono-jadalnio-kuchnio-biura, większego z dwóch pokoi ich skromnego mieszkania. Nawet mimo swej krótkowzroczności dostrzegała na twarzy męża znamiona porażki.

— Jak poszło?

— Nieźle. — Przemierzył pokój kilkoma krokami i przytulił ją, przyciskając jej głowę do swojego brzucha. Irene wyczuła, że zakołysał się lekko. Musiał trochę wypić, zapewne z nerwów.

— Ale i nie za dobrze?

— Nie, naprawdę dobrze. Było miło.

Przyjęcie odbyło się w dwupoziomowym mieszkaniu przy Siedemdziesiątej Ósmej Wschodniej, należącym do Gadiego Austenhausu, kompozytora, który od wielu lat był mentorem Marka. Irene z trudem powstrzymała się przed błaganiami męża, by zabrał ją ze sobą — w towarzystwie był bardzo nieśmiały, a swego czasu jej obecność bardzo go uspokajała. Ostatnio jednak, jak twierdził, udział żony w podobnych imprezach tylko utrudniał mu zadanie. Irene wiedziała, że to jej wina, odkąd bowiem Mark znalazł się w tym I rudnym, przejściowym okresie, kiedy zlecenia zaczęły omijać go (a może wręcz przechodzić przez niego) i w większości trafiać do innych, młodszych kompozytorów, odkąd posepna aura izolacji otoczyła tego człowieka, który napisał swą pierwszą sonatę w wieku lat sześciu, przyglądała się jego zachowaniu w znacznie bardziej natrętny sposób, zwłaszcza w otoczeniu jego kolegów.

Mark zmienił się też fizycznie: w ciągu trzech krótkich lat jego czarne, błyszczące, zaczesane do tyłu włosy zniknęły, pozostawiając rozległą łysinę. Nagła ewakuacja włosów odsłoniła coś więcej niż tylko bladeść i kanciastość jego czaszki (Irene lubiła pieścić w nocy ukryte pod skórą guzłowatości jego głowy; czuła, że musi chronić je dłońmi). Odsłoniła także prawdziwe znaczenie niebyłej już grzywy czarnych włosów dla całej prezencji Marka. Jego imponujący wzrost — prawie sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów — stał się jedynie dodatkiem do łysin; mąż Irene był teraz śmiesznie tyczką, z której wierzchołka spoglądała na świat twarz doklejona do nagiej glacy. Co gorsza, Mark wyrobił sobie nader nieszczęśliwy nawyk przyglądania skóry na głowie; większość obserwatorów musiała zapewne wnioskować, że to natrętne czochranie się było główną przyczyną utraty owłosienia. Dlatego też, kiedy mąż mimowolnie unosił rękę na

wysokość twarzy (niekiedy trzymając plastikowy kubek z winem po czyimś recitalu), Irene posyłała mu piorunujące spoj-  
spojrzenie, po którym czuł się tak, jakby jedyny sprzymierzeniec na całym okrutnym świecie — własna żona! —  
odwrócił się do niego plecami.

— Kto był? — spytała.

— Wszyscy. Wszyscy byli. — Mark poszedł do kąta, który był ich kuchnią, wyjął z lodówki butelkę i nalał sobie  
kieliszek wódki. — Widziałem Johna Meliora.

— I?

— Nie zaczął tematu.

— A ty?

— Nie miałem okazji. Nie dał mi szansy.

— Ale to nie znaczy, że nic z tego nie będzie?

— Nie — odparł, siadając na stołku przy pianinie. Ostatnio musiał dla pieniędzy udzielać lekcji. Robił to w  
mieszkanie, wieczorami, kiedy Irene spotykała się z Charlotte. — Ale sprawa nie wygląda zbyt dobrze.

Zdziwiła się, widząc jego uśmiech. Przez większą część swego życia Mark był kimś tak wyjątkowym, tak  
nienawykłym do bycia ignorowanym czy lekceważonym, że nigdy nie wykształciły się w nim normalne odruchy gniewu  
czy zgorzknienia. Na każdą nową zniewagę, na każde rozczarowanie reagował z niemal dziecinnym zdumieniem. Nie  
rozumiał. Nie rozumiał, a Irene nie umiała mu wytłumaczyć tego, co sama ledwie pojmowała: że moda jest bezlitosna,  
reputacja zmienna, a najdrobniejsze wzmianki o porażce wystarczają, by sponżyć ludzi. Ostatnio zmuszała się nawet do  
myślenia o tych sprawach w zimny, beznamiętny sposób, bo jedno z nich musiało przyjąć taką postawę. W przeciwnym  
razie zostaliby stratowani przez całą resztę ludzkości.

— Jeżeli sprawa z Meliorem wypali — odezwał się Mark po chwili — będziesz mogła zostawić tę sukę.

— Ona nie jest aż taka zła — sprzeciwiła się Irene. — Pomyśl o pieniądzach. Jeżeli kiedykolwiek je dostanę, ma  
się rozumieć... Nikt się nie dowie, że miałam z nią coś wspólnego — dodała ciszej, jakby do siebie.

Mark wycofał się do sypialni — żeby poczytać, jak powiedział, ale Irene przypuszczała, że za chwilę zmorzy go  
sen, po którym rano trudno mu będzie wstać. Strach, który przyniósł ze sobą do domu, otoczył ją teraz. Przyglądała się z  
rosnącym niepokojem artefaktom małżeńskiego życia, głównie instrumentom muzycznym, które przywieźli z Indii: na  
ścianach wisiały dwa *sitary*, bębenek *mrdangam*, *sarod*, *shruti*, tamburyn *kanjira* i cytra, na której Mark grał tak pięknie.  
Umiał grać na każdym z nich i robił to często, ale nie ostatnio. Irene miała wrażenie, że myśli o przeszłości napędzają ją,  
dają energię, jakiej nigdy dotąd nie czuła, że doprowadzają do eksplozji wybuchową mieszanek miłości, gniewu i  
„pieprzyć ich” i „nie tak prędko, koleś!” Nie była Markiem, wyczerpanym ciągłym strachem, zamierzała wygrać. Dla  
siebie i dla niego. Setki tysięcy dolarów. Żeby ich mała łódka znowu złapała wiatr w żagle. A kiedy Mark przestanie się  
bać, jego szczęście powróci, bo taka właśnie jest zasada działania fortuny. Świat znowu zacznie go kochać, bo tak zawsze  
było i będzie. Mark nie musiał tego dostrzegać. Wystarczyło, że ona widziała to za dwoje.

Przed jego powrotem z przyjęcia miała ochotę położyć się do łóżka. Teraz, zelektryzowana nową energią, z  
zapalem patrzyła na ekran. Minęło dziesięć dni, odkąd skończyła szkic o Charlotte dla Zwykłych Ludzi, ale odpowiedź  
jeszcze nie nadeszła. Od tamtej pory miała kłopoty z koncentracją i wpadała w akademicki żargon, ilekroć próbowała coś  
stworzyć.

„Ja”, napisała. Zajrzała do notesu, by przez chwilę nasiąkać wspomnieniem głosu Charlotte, aż wreszcie —  
zupełnie tak, jakby była brzuchomówcą — wysypały się z niej słowa nie należące ani do niej, ani do jej partnerki w tym  
przedsięwzięciu, lecz do jakiejś potwornej hybrydy, którą sama wyhodowała, karmiąc się tanimi kryminałami  
połykanymi w wolnych chwilach. Myśli napływały tak szybko, że ledwie nadążała z pisaniem.

Kiedy znowu spotkałam Z, udało mi się dotknąć miejsca, w którym poprzednim razem widziałam kable pod jego koszulą. Nic tam nie było, tylko wystające żebra i twardy brzuch. Był to ten rodzaj twardości, który może oznaczać różne sprawy: na przykład częste bywanie w siłowni albo ascetyczny tryb życia.

Położył dłoń na mojej dłoni i przycisnął ją sobie do klatki piersiowej.

— Charlotte? — rozległ się ledwie słyszalny głos z czyjegoś zestawu podobno głośno mówiącego. — Tu Thomas Keene.

— Thomas! — odpowiedziałam. Właściwie to ryknęłam prosto w mikrofon mojej komórki, żeby przekrzyczeć huk silnika wycieczkowca Circle Line, który właśnie przepływał nieopodal. Turyści machali do mnie z jego pokładu. Ja też im pomachałam. Był koniec kwietnia, a ja siedziałam w jednym z moich nowych ulubionych miejsc: na ławce nad brzegiem East River, po drugiej stronie trasy szybkiego ruchu względem mojego apartamentowca. Była to ta sama niewielka plama wolnej przestrzeni, którą odwiedziłam w panice ostatniej zimy, tuż przed skokiem z balkonu.

Thomas podniósł zwykłą słuchawkę.

— Ostatniej nocy przeczytałem twój szkic.

Poczułam ucisk w żołądku. Wiedziałam, że Irene oddała im jakiś tekst; pamiętałam nawet, że złożyłam podpis pod listem, który napisała w moim imieniu.

— I co?

— Materiał jest niewiarygodnie szczegółowy i bardzo profesjonalnie zrobiony.

— To dobrze! — ucieszyłam się.

— I bardzo... realistyczny.

— Świetnie.

— Jest tylko jeden drobiazg... Właściwie nawet nie nazwałbym go problemem — powiedział Thomas. — Chodzi o to, że... jakoś nie wierzę, żebyś sama to napisała, Charlotte.

Byłam na to przygotowana.

— Chcesz powiedzieć, że tekst nie jest w moim stylu?

— Jest bardzo w twoim stylu. Aż za bardzo, że się tak wyrażę — odparł. — Za bardzo w twoim stylu, żebym mógł uwierzyć w twoje autorstwo.

— Co to ma znaczyć, do ciężkiej cholery?

— Posłuchaj, nie widzę problemu, jeżeli korzystasz z usług pisarza. Szczerze mówiąc, jestem nawet zadowolony, bo oszczędzasz nam kłopotów z czyszczeniem i szlifowaniem tekstu. Ale chciałbym, żeby ten Cyrano wyszedł z ukrycia. Przyrowadź go do mnie. Chciałbym z nim popracować.

— Ale spodobał ci się... — Boże, jak brzmiało to słowo? — ...materiał?

— Boże, jest naprawdę fantastyczny. O tysiąc procent lepszy, niż się spodziewałem.

Wyszło szydło z worka: od początku przeczuwałam jakąś obelgę w tym, co mówił, jak dziurę ukrytą w pięknym zębie.

— To kobieta — powiedziałam. — Ten Cyrano. Ale ona nie zechce z tobą rozmawiać.

— Dlaczego?

— Jest dziennikarką — wyjaśniłam z dumą. — Pracuje dla diabelnie popularnej gazety, którą zapewne czytujesz...

— Rozumiem, rozumiem — przerwał mi Thomas. — Powiedz jej, żeby się nie martwiła.

— Nie jestem pewien, czy ty...



— Nie chce narażać na szwank swojego nazwiska. A ja nie chcę narażać twojego, więc wszystko jest w równowadze. Zapewniam, że ani słowem nie wspomnimy o jej udziale.

Zanim skończyliśmy rozmowę, obiecałam mu, że w ciągu tygodnia sprowadzę do jego biura Irene. Wiedziałam, że będzie z tym problem, bo słyszałam od niej niejedną raz, że pragnie pozostać „duchem”.

Tego dnia przyszedłam na moją ulubioną ławkę nad rzeką wprost z drugiego ulubionego miejsca: z Gristede'a, gdzie pracowałam jako pakowaczka zakupów. Ten niezwykły zwrot w mojej karierze wynikał z dwóch powodów: po pierwsze, rozpaczliwie potrzebowałam pieniędzy. Po drugie, korciło mnie, żeby coś robić. Byłam nie tylko bezrobotna i pozbawiona przyjaciół, ale też niezdolna do sfinansowania — czy choćby usprawiedliwienia — niezliczonych czynności związanych z dbaniem o siebie, które niegdyś wypełniały większość mojego codziennego terminarza zajęć. Pierwotnie, rzecz jasna, moje zawodowe aspiracje były znacznie poważniejsze: chciałam być prezenterką telewizyjną, redaktorką magazynu mody, asystentką biznesmena. Szybko odkryłam jednak istnienie pewnego szczegółu, który w moim dawnym życiu uważałam za nudny, nieistotny i z gruntu bezsensowny. Szczegół ten miał nawet nazwę, którą w końcu poznałam: umiejętności. Umiejętności, czyli coś, czego nie miałam.

Naturalnie znałam kilku ważnych ludzi, których mogłam poprosić o pomoc. Jednak już po pierwszej fatalnej próbie — po lunchu z pewnym finansistą, którego odrzutowcem latałam niegdyś w góry, na narty i na tropikalne wyspy, i który skrzywił się, kiedy przypominałam mu się przy barze w restauracji, i który przez cały lunch przyglądał się podejrzliwie mojej twarzy, i który zostawił mnie na krawężniku, kiedy odjeżdżał swoją limuzyną, i który ignorował moje telefony, gdy upominałam się o obiecaną pomoc — po tym wszystkim nie miałam ochoty próbować ponownie. Sygnały od ludzi z mojego poprzedniego życia z wolna ustały, jak próby telefonowania do lokatora, który wyprowadził się i wreszcie przekazał nowy adres wszystkim znajomym. Pozostali przy mnie jedynie Grace, Irene i Anthony Halliday, który dzwonił kilka razy w tygodniu, nocami, by prowadzić ze mną rozmowy złożone głównie z milczenia. A jednak czekałam z utęsknieniem na jego telefony. Czułam po nich coś w rodzaju spokoju duszy.

Zaczęłam pracować jako pakowaczka za minimalną stawkę, bo miałam dość wyglądania przez okno, a także dlatego, że Gristede's — sklep, w którym robiłam zakupy przez ostatnie lata — znajdował się tuż za rogiem. Nie było w tym nic wstydliwego, jako że Sam, kierownik działu delikatesów, oraz Arlene, szefowa o kocich oczach, nie rozpoznali we mnie kobiety, którą gościli w swym sklepie od lat. Szczerze mówiąc, doskonale wywiązywanie się z obowiązków pakowaczki sprawiało mi przyjemność: pieczołowicie układałam produkty w papierowych torbach, tak że najdelikatniejsze — jajka, maliny czy grzyby — spoczywały bezpiecznie na samym wierzchu. Irene pochwaliła to posunięcie. Stwierdziła, że jego jaskrawy kontrast w zestawieniu z tym, co robiłam dawniej, mógł pomóc mi wzbudzić w ludziach sympatię.

Przekraczała próg mojego mieszkania dwa razy w tygodniu, wieczorami, przynosząc ze sobą zapachy miasta i gazety, w której pracowała. Siadała na kanapie z notatnikiem na kolanie i zadawała pytania. Początkowo zamierzałam kłamać ile wlezie, ale pojawiły się nieprzewidziane trudności: brakowało mi wyobraźni, by od początku do końca wymyślić czyjeś życie. Jedynym, jakie przychodziło mi do głowy, było moje. Mówiłam więc prawdę, z początku niezręcznie i z bólem, potem coraz chętniej, aż wreszcie, ku mojemu zaskoczeniu, zaczęłam czerpać ze szczerego opowiadania prawdziwą przyjemność. Czekałam niecierpliwie na wizyty Irene — może dlatego, że tylko ona mnie odwiedzała. Próbowałam od czasu do czasu wypytywać o jej sprawy, po części dlatego, że chciałam zmienić temat, a po części z autentycznej ciekawości życia reporterki „New York Posta”. Irene pozostała jednak małomówna; nie lubiła rozmawiać o sobie podobnie jak ja, z tym że jej nikt nie płacił za ujawnianie prywatnych spraw.

Zaraz po tym, jak skończyłam rozmowę z Thomasem, na mojej ławce przysiadł Pluto. Był jednym z garstki bezdomnych, którzy mieszkali w namiotach i workach na śmieci u wylotu pobliskiego tunelu. Przyniósł ze sobą worek z

odzieżą, którą zanosił do pralni jednego z eleganckich bloków przy Pierwszej Alei — robił to wyłącznie podczas służby portiera, któremu dawno temu wmówił, że jest właścicielem jednego z apartamentów. Nie odzywając się, smętny Pluto otworzył papierową torbę, w której miał osiem puszek piwa. Chciał mnie poczęstować, ale odmówiłam. Piwo było drogie, a Pluto go potrzebował.

— Co się stało? — spytałam.

— Jeden gość zaczepił mnie w pralni. „Mam takie dziwne wrażenie, że pan tu nie mieszka”, powiada. A ja na to: „Łaskawy panie, próbuję tylko zachować godność w okolicznościach znacznie mniej przyjaznych, niż się panu zdaje. Czy należy mnie za to karać?” A on: „Liczę do dziesięciu, a potem wzywam ochronę”. Musiałem wyciągnąć bieliznę, zanim wyszła.

— Palant — stwierdziłam.

— Mało powiedziane, skarbie — przytaknął, popijając piwo. Jabłko Adama poruszało się miarowo w jego chudej szyi. — Mało powiedziane.

Pluto był czarnoskórym mężczyzną po czterdziestce, jak się domyślałam. Jego sprężysta, mocna postać była uosobieniem ludzkiego wysiłku. Nigdy nie znałam bezdomnego — przed wypadkiem sama myśl o takiej znajomości wydawała mi się niedorzeczna — ale pomysłowość Pluta robiła na mnie ogromne wrażenie. Każdego ranka, o świcie, mój nowy znajomy zapinał na sobie własnoręcznie wykonaną uprząż z lin i opuszczał się poza stalową barierkę na wysokim, betonowym brzegu East River, aby umyć się w lodowatej wodzie i ogolić przed kawałkiem lustra, które przykleił do ściany. Ubierał się nienagannie, prasując ubrania cegłami ogrzanymi w ognisku. Czytał kilka gazet dziennie i wynajmował stanowisko komputerowe w Kinko's, gdy tylko było go na to stać. W dni wystawiania śmieci patrolował Upper East Side w żółtych rękawiczkach i maseczce na twarzy, szukając produktów Kiehlsa i Polo (jego ulubionych), a także witamin

I antybiotyków, których data ważności już minęła. Żebrał tylko przed wybranymi budynkami. Jego ulubionym był gmach Citicorp. Zawsze nosił przy sobie chałupniczym sposobem wykonane wizytówki — prostokąciki papieru z adresem e-mailowym — na wypadek, gdyby ktoś zapragnął rozwinąć znajomość typu „dający-obdarowany” w stosunek „pracodawca-pracownik”. Jednak utrzymanie tego stanu — czystości, przyjemnego zapachu i niezłego czytania — było dla Pluta tak kolosalnym wysiłkiem, że nie starczało mu dnia na to, by wykorzystać w praktyce te niezwykle osiągnięcia. Pragnął poprawić swoje życie, ale stać go było jedynie na pozostawanie w stanie ciągłej gotowości. Piwo, które lubił popijać wieczorami, pochłaniało większość jego z trudem zarobionej gotówki.

— A skoro już mowa o ludzkiej podłości — odezwał się po chwili — to miałaś raczej nieciekawą mine, rozmawiając przez telefon. Kim jest ten frajer, który tak ci dokuczył?

W duchu mojego nowego życia, pełnego szczerych i wyczerpujących odpowiedzi na wszelkie pytania, zaczęłam streszczać Plutowi historie Zwykłych Ludzi, podejrzewając oczywiście, że będzie co najmniej zdumiony. Przerwał mi już po sześciu czy siedmiu słowach.

— Udzielasz się w tym cyrku? — zawołał. — Dlaczego ukrywałaś przede mną coś tak ważnego?!

— Skąd wiesz o tym projekcie?

— Mniejsza o to skąd wiem; załatwiłem sobie dostęp do tej informacyjnej autostrady. A teraz mów, jaka jest twoja rola. Powiedz wszystko, co wiesz. Napelnij moje uszy.

Mniej więcej po minucie Pluto zerwał się na równe nogi i ukląkł przede mną na betonowej alejce, z uczuciem patrząc mi prosto w oczy. Teraz po raz pierwszy dostrzegłam cień jego osobowości, bardziej gniewny, bardziej desperacki i może jeszcze bardziej pełen nadziei niż maska — jakby dzieciinną wersję dorosłego mężczyzny.

— Charlotte Swenson — powiedział. — Musisz wyświadczyć Plutowi przysługę.

Pomyślałam, że zaproponuje mi seks. Prędzej czy później zawsze to robił.

— Dowiedz się, czy mają tam bezdomnego — poprosił. — Na pewno potrzebują kogoś takiego. Bezdomność to także aspekt życia.

— Ale ja...

— Zaczekaj. Powiedz im tak: mam świetnego bezdomnego, który zna to miasto jak własną kieszeń, dobrze się ubiera, robi wszystko, co może, żeby się rozwijać, czyta, poszerza słownictwo, a wszystko to bez pieniędzy, bo ma tylko namiot, latarkę i odrobinę darmowego tlenu, którym może się raczyć tu, w swej letniej rezydencji.

— Ale ja...

— Czekaj. Powiedz im, że mnie popychano, szarpano, pchano nożem, że strzelano do mnie i nieraz wypoczywałem w więzieniu. Kopał mnie w tyłek każdy Tom, Dick, Harry, John i Julie w tym przeklętym mieście i w paru innych, ale nikt i nic mnie nie powstrzyma. Bo mnie nie można powstrzymać. Nie dam się.

— Ale ja...

— Powiedz im też, że mimo niezliczonych przeciwności losu, które zabiłyby ducha w każdym zwykłym człowieku, żyję wciąż w stanie absolutnej wiary — wierzę w gwiazdy, słońce, planety, Drogę Mleczną, Amerykański Sen, Boga Ojca, wierzę w to wszystko z całego serca. I codziennie, gdy tylko wstanie słońce, mówię: oto ten dzień, alleluja! Jednak siły wyższe powinny dać mi w najbliższym czasie jakiś znak nadziei, bo ludzka wiara ma naturalną tendencję do erozji.

— Powiem mu — zapewniłam go. — Może będzie zainteresowany.

— Jeśli zrobisz to we właściwy sposób, to będzie — odparł

Pluto, siadając ponownie i wyciągając z kieszeni jedną z ręcznie wykonanych wizytówek. — Powiedz mu, że może mnie znaleźć pod tym adresem. Słońce już prawie zaszło. Wstałam.

— Idę, zanim zamkną mi drzwi — powiedziałam.

— Zostań ze mną, skarbie — odrzekł Pluto. — Tylko na tę noc.

— W namiocie? Daj spokój.

— W takim razie zabierz mnie na górę, do tego wysadzanego brylantami zamku, w którym mieszkasz.

— Nie mogę.

— Ależ możesz — odpowiedział natychmiast. — I musisz. Spoglądam czasem w górę i widzę, jak bierzesz prysznic przed pójściem do łóżka... pewnie masz w łazience kafelki, co? Widzę kafelki. Mam wizje, w których występujesz ty i twoje białe kafelki. To takie bolesne... Mam nadzieję, że wiesz, że zadajesz Plutowi ból.

— Może kiedyś — rzuciłam beztrasko, nie chcąc podsycać jego fantazji sprostowaniem, że kafelki w mojej łazience były niebieskie. — Ale nie dziś.

— To dlatego, że jestem czarny. I bezdomny. Wydaje ci się, że jestem brudny.

— Pluto, jesteś chyba czystszy ode mnie — odparłam. — Po prostu nie interesuje mnie seks. — To była prawda. W moim nowym życiu nie uprawiałam seksu. Myślałam o nim co najwyżej.

— Do diabła z seksem, ślicznotko, chcę tylko skorzystać z prysznica! — zawołał. — Gorąca woda rozpryskująca się na białych kafelkach, o Boże, chroń moją słodką duszę... — Pluto wzruszył ramionami. — A na przyszłość, panno Charlotte Swenson — zawołał, kiedy ruszyłam w stronę kładki nad drogą — spróbuj nie pochlebiać sobie aż tak bardzo, bardzo mocno.

Kiedy znowu spotkałam Z, udało mi się dotknąć miejsca, w którym poprzednim razem widziałam kable pod jego koszulą. Nic tam nie było, tylko wystające żebra i twardy brzuch. Był to ten rodzaj twardości, który może oznaczać różne sprawy: na przykład częste bywanie w siłowni albo ascetyczny tryb życia.

Położył dłoń na mojej dłoni i przycisnął ją sobie do klatki piersiowej.

— Gdzie to jest? — krzyknęłam.

Byliśmy w klubie nocnym. Dla odmiany.

Pokręcił głową. Wyczuwałam dłonią bicie jego serca. W jego twarzy widziałam coś na kształt głodu. Miał ciemne oczy i ostre rysy. I głodny, pusty brzuch. Cofnęłam rękę.

— Czy kogokolwiek obchodzi, co tu się dzieje? — spytałam.

— Wszystkich — odparł z obcym akcentem. — To jest Ameryka.

— To? — spytałam, zataczając ręką półokrąg. Łoże. Tańczący. — To nie ma nic wspólnego z Ameryką. Tutaj przychodzi się po to, żeby ukryć się przed nią.

Przyglądał mi się. Robił to od wielu tygodni. Czułam to, zanim jeszcze zdałam sobie sprawę, że to on jest obserwatorem.

— Jesteś szpiegiem? — spytałam.

— Oczywiście — odpowiedział. — Takim jak ty.

Roześmiałam się wymuszenie. Po drugiej stronie sali dostrzegłam Mitcha i Hassama. Z przyszedł do nich dwa miesiące wcześniej z propozycją wspólnego interesu. Od tamtej pory byli nierozłączni.

— Mówię poważnie — powiedziałam, stając nieco bliżej, w zasięgu jego zapachu. Poczulałam pieprz i miętę. Nie był to nieprzyjemny zapach, ale na pewno dziwny. Mocny. — Co tu robisz?

Uśmiechnął się. Pociągnął mały łyk herbaty. Rozejrzał się. Próbowałam zrobić to samo, ale nic nie zobaczyłam. Być może patrzyłam na to wszystko od zbyt wielu lat.

— Oglądam horror — odpowiedział.

Wyszłam z klubu na ulicę. Czekał na mnie. Zaprosiłam go do siebie na drinka. Zaproponował spacer.

— Lubię chodzić po mieście, kiedy jest pusto — wyjaśnił.

Był czerwiec. Na ulicach wysychały kałuże.

— Chicago — powiedziałam, kiedy zapytał mnie, skąd jestem.

— Chi. Ca. Go. — przesyłabizował.

— Okolice Chicago.

— Chicago — powtórzył już bez wysiłku.

— Rejon Chicago. Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód.

Tam jeszcze jest Ameryka? Sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Chicago?

— O tak.

Byłam spocona, kiedy doszliśmy do mojego budynku. Minęła czwarta trzydzieści nad ranem. Portier uśmiechnął się do nas. Zdaje się, że nie pamiętał, iż za każdym razem powracałam do domu z innym mężczyzną.

W milczeniu wjechaliśmy windą na górę.

Wykąpałam się szybko, pewna, że Z przejrzał w tym czasie wszystkie moje rzeczy. Ale kiedy wyszłam spod prysznic, z ręcznikiem na głowie, stał na balkonie. Dołączyłam do niego i pożądanie ukazało nam swoją nagą, chciwą twarz.

Z ani na chwilę nie zamykał oczu. Ani wtedy, gdy całowaliśmy się na balkonie, ani wtedy, gdy położyliśmy się na kanapie, a ja przycisnęłam dłonie do jego obnażonej piersi i szczupłego brzucha uchodźcy. Miał oszczędną, wojskową muskulaturę. Profesjonalną.

W owym czasie miałam już spore doświadczenie w podglądaniu cieni cudzych osobowości. Patrząc na nie, ratowałam się przed nudą i smutkiem przy stosach bogatych, okropnych ludzi. Dodawały głębi temu, co płytkie, nowych wymiarów temu, co jednowymiarowe, tajemniczości temu, co prostackie. Były moją tajną bronią. Ale Z na pewno też o nich wiedział, i szukał mojego cienia.

Szpieg. Taki jak ja.

Nie zapaliłam światła w sypialni, myśląc, że teraz będzie musiał zaprzestać tych poszukiwań (w zerowej widoczności!). W jego oczach odbijały się kolory dalekiej Wyspy Roosevelta. Prawie nie mrugał. Mierzyliśmy się nawzajem mocarnymi spojrzeniami. Po chwili zaczęłam się denerwować. Pieprz się, pomyślałam w samym środku pieprzenia. Pewnego dnia się pozabijamy.

Kiedy się ocknęłam, słońce minęło już Wyspę Roosevelta i zaatakowało moją sypialnię. Z zdążył się ulotnić. Kołdra była obciągnięta na moim ciele tak ciasno jak szpitalna pościel. Wspomnienie nocy już ulatniało się z mojej głowy. Fatalna pamięć spieszyła mi na ratunek.

31

Pracowałam. Bielizna. Stałam przed rozwiniętą rolką przenośnego, kolorowego tła, opierając rękę na elemencie scenografii. Dwaj mężczyźni i kobieta klęczeli pod moim krocem, upinając bieliznę tak, by lepiej uciskała wewnętrzną stronę ud. Niepokoiłam się o mój zapach. Sam fakt bycia żywą istotą wydawał mi się w takich chwilach jawnym bezguściem. Spójrz na to, powiedziałam w duchu. Do niego. I od razu poczułam się lepiej.

Lepiej niż lepiej. Byłam zainteresowana.

Podczas sesji prezentowałam słodki, nieobecny uśmiech. Uśmiech bieliźniany. Bolała mnie od niego twarz, jakby był ciężarem, który niosłam ze sobą kilometrami. „Odwróć się w lewo... nie tak bardzo... teraz trochę z powrotem... tak! Tak!” To mógł być każdy dzień z ostatnich dziesięciu lat.

A jednak czułam się troszeczkę inaczej. Druga modelka była jedną z tych dziewcząt z ogólniaka, które przyjeżdżają na lato do Nowego Jorku. Miała taką świeżą twarz. Nieznaną. Wyglądała jak prototyp.

Inaczej. Minimalnie. Spójrz na to. I na to. Oglądasz horror.

Przysiadłam na stołku we wspólnej garderobie, żeby przeczesać włosy. Dwaj modele w szortach rzucali w siebie zwiniętymi skarpetkami. Plastyka oczu? — zastanawiałam się, patrząc na starszego z nich. Myślałam też o Z i czułam podniecenie. Zostałam odkryta. Ktoś przyszedł do mnie i przyniósł powiew czegoś zupełnie obcego. Nierozpoznawalnego. A jednocześnie znajomego.

Był ludzkim odwzorowaniem mrocznego życia, które sama sobie wymyśliłam. Zupełnie tak, jakbym go wynalazła.

Biura firmy Extra/Ordinary.com zajmowały całe piętro starego gmachu fabryki opodal Union Square. Jeżeli nie liczyć odsłoniętych rur kanalizacyjnych i centralnego ogrzewania, cały pejzaż wnętrza uformowano z wylewanego betonu. Nigdy w życiu nie widziałam takiej obfitości tego budulca w jednym miejscu: podłogi, stropy, ściany, szkliste, polerowane lub szorstkie, w zależności od światła przypominające marmur, alabaster, zaprawę tynkarską, glinę, abstrakcyjny fresk, farbę, zwykłą ziemię lub (okropność!) ludzkie ciało.

Thomas Keene szybko oprowadził Irene i mnie po swoich włościach. Biały żagiel zawieszony w sali konferencyjnej służył jako ekran projekcyjny. W małym bufecie serwowano organiczną żywność i sok z trawy preriowej. Irene trzymała się nieco w tyle, niezadowolona, że wyrwałam ją z ochronnego kokonu anonimowości. Chowała się za rozpuszczonymi włosami, kiedy Thomas przedstawiał nas swoim ludziom; jakby się bała, że zostanie rozpoznana w sadomasochistycznym salonie.



Niosąc kubki z kawą, trafiliśmy wreszcie do przestronnego gabinetu Thomasa i usiedliśmy na szykownie funkcjonalnych krzesłach wokół czarnego dysku stolika. Zza uchylonych fabrycznych okien dobiegały czyjeś śmiechy i głosy z Union Square.

— A więc — odezwał się Thomas i trzasnął małymi, raczej delikatnymi dłońmi o uda. Miał na sobie ciemnogrnatową marynarkę, łaciate, wojskowe spodnie i te same Converse'y, wysokie białe buty do koszykówki, które już widziałam. Jednak wszystkie te osobliwe szczegóły zniknęły jakoś pod tajemniczą aurą władzy, która go otaczała. Miałam wrażenie, że Thomas naprawdę stał się postacią, którą jeszcze dwa miesiące temu jedynie pragnął być. Tłusty i niespokojny cień jego osobowości zniknął z horyzontu.

Mój chlebodawca zerwał się i podszedł do — jak się domyślałam — swojego biurka (również czarnego i lśniącego stolika do kawy, tyle że w większym rozmiarze), by zabrać z niego jedyny leżący tam przedmiot: pomarańczową kopertę. Usiadłszy, zaczekał, aż Irene spojrzała na niego.

— To bardzo dobry materiał.

— Mów do Charlotte — odparła. — Ja tylko notuję jej myśli.

Ale Thomas wpatrywał się w nią dalej, zaszczyciwszy mnie jedynie przelotnym spojrzeniem.

— Udało ci się — zaczął po chwili, wyjmując z koperty plik kartek i przeglądając je z wyraźnym podziwem — stworzyć arcyprzekonującą wizję zmarnowanego życia i portret osoby absolutnie nieświadomej faktu, że podejmuje wyłącznie niesłuszne decyzje.

Prawie go nie słuchałam. Gapiłam się na plik kartek, które trzymał w dłoni. Musiało ich być ze sto, a może i więcej! Usiłowałam połączyć jakoś ten widok z lakonicznymi notatkami, które Irena sporządzała podczas naszych spotkań. W ciągu dwóch miesięcy zajęły jej ledwie mały notes, i to nie do końca! To prawda, że zachęcałam ją do ubarwiania faktów, ale rozmiary jej pracy wprawiły mnie w osłupienie.

— Ten tekst jest głęboko poruszającym zapisem życia chylącego się ku upadkowi, bankrutującego, nieomalże wyczekującego końca — i nagle bum! *Finito*. A kiedy to się dzieje, czytelnik wręcz cieszy się w jej imieniu.

Irene odsunęła się nieco z krzesłem, zasłuchana. Ja tymczasem pochyliłam się w stronę Thomasa.

— Wspominasz o „niej” — wtrąciłam. — Kogo właściwie masz na myśli?

Oboje spojrzeli na mnie, przy czym Irene lekko wybałuszyła oczy.

— O tobie, Charlotte — odparł ostrożnie Thomas, posyłając mi wielce wymowne spojrzenie pod tytułem „Przestań się czepiać”.

— Mógłbyś na przykład używać drugiej osoby, skoro jestem tu z wami, nieprawdaż? — zaszczebiotałam słodko.

— Przepraszam — odparł. — Nawyk pisarski. Tak czy inaczej — ciągnął, znowu zwracając się do Irene — jestem zachwycony. Tyle tu treści; podziwiam zwłaszcza wspomnienia z dzieciństwa i fragmenty o tym, jaką była — o, przepraszam: byłaś — buntowniczką. Sny też są fantastyczne; niesamowity jest ten powracający motyw gęsi. Ale najbardziej podoba mi się kategoria Nadzieje/Aspiracje. „Pokój luster”. Co to takiego? mógłby ktoś zapytać. A jednak rozumiemy, czym jest. Rozumiemy, choć go nie widzimy. Motyw psa jest absolutnie bezcenny.

Gęsi? Pies?

— To dobrze — powiedziała ostrożnie Irene.

— Błagałam Irene, żeby wspomniała o psie — dodałam w dobrej wierze. — Wiedziałam, że w ten sposób wzbogacimy opowieść.

— I udało się — przytaknęła Thomas. — Ten motyw pokazuje nam, że ona jednak potrafi dbać o żywą istotę, czego w przeciwnym razie raczej nie bylibyśmy pewni. Ważny jest i dlatego, że nie musimy jej kochać, ale musimy ją

lubić, a przynajmniej tolerować. To znaczy... — dodał, poruszając się nerwowo na krześle i nie patrząc mi w oczy — ...ciebie, Charlotte.

Zapadła cisza.

— I tak to wygląda — podsumował Thomas tonem prezentera telewizyjnego, który po odczytaniu wiadomości o ludobójstwie zamierza rozpocząć serwis sportowy. — Zdecydowanie kupujemy ten materiał. Pozostaje tylko kwestia ceny.

Wymieniłyśmy z Irene spojrzenia pełne nadziei.

— Powiem szczerze — ciągnął — że planujemy rozpocząć działalność we wrześniu, z grupką Zwykłych i Niezwykłych, którzy naszym zdaniem w sensie medialnym rokują największe nadzieje. Chciałbym, żebyście — naturalnie jeśli się zgodzicie — weszły w skład tej inauguracyjnej grupy.

Jak na komendę w podnieceniu poruszyłyśmy nogami pod sztywnie funkcjonalnymi krzesłami.

— To oznacza, że musicie szybko dokończyć prace. Za ten dodatkowy wysiłek — i na zachętę — proponuję wam premie w wysokości dziesięciu kawałków, kiedy przekażecie mi gotowy szkic.

— Jako dodatek do opłaty za opcję? — upewniłam się.

— Tak jest, jako dodatek. — Thomas przez chwilę napawał się widokiem naszych twarzy, bez wątpienia wyrażających zadowolenie. — Powiem wam, czego chcę. — Thomas wstał i zaczął przechadzać się po podłodze z lanego betonu (czarnej i lśniącej jak asfalt), jakby intensywność doznań związanych z tematem rozmowy nie pozwalała mu mówić dalej na siedząco. — Jak już mówiłem, tło jest wspaniałe, ale pamiętaj, że jesteś Niezwykła. Najważniejszą sprawą ma tu być akcja — wypadek i to, co stało się później.

Oczywiście mówił do Irene.

— Ja... to znaczy my... już nad tym pracujemy — odpowiedziała.

— Kilka wskazówek. Po pierwsze: dramatyzm. Emocje. Chcę dostać kule ognia śmigające nad polem kukurydzy. Mnóstwo jaskrawych, soczystych kolorów. Znajdź w tym wszystkim piękno. Napisz jedno długie opowiadanie, a my zadecydujemy, co warto wykorzystać. Jeśli chodzi o motyw szpitala i rekonstrukcji twarzy, potrzebujemy jak największej liczby medycznych szczegółów. Pamiętaj: autentyczność jest początkiem i końcem tego produktu. Zaczynaj od karetki, syren, deszczu, izby przyjęć... „Siostró, nie jestem pewien, czy ona z tego wyjdzie...” Rozumiesz, o co mi chodzi. Nie mówię jednak, że masz cokolwiek wymyślać — dodał, unosząc dłonie w obronnym geście. — Mówię: znajdź dramatyzm, znajdź piękno, znajdź napięcie w tym, co zaszło, i pokaż je nam. Być może masz wrażenie, że to naciągane, nienaturalne, ale w rzeczywistości jest wręcz odwrotnie. Pomyśl o Partenonie.

Podczas całej tej przemowy Thomas ani na chwilę nie odrywał wzroku od Irene. Dlaczego, zastanawiałam się, skoro to ja jestem podmiotem, którego życie jest ponoć tak niezwykle? Nie umiałam jednak zgłosić zastrzeżeń w taki sposób, by nie zrobić z siebie nadąsanej panienci. Zdobyłam się tylko na jedno pytanie:

— O Partenonie?

Irene i Thomas zaczęli mówić jednocześnie i umilkli w tym samym momencie. Po krótkim turnieju uprzejmości Irene wyjaśniła mi, że minimalna asymetria w konstrukcji Partenonu powodowała iluzję doskonałości.

— O to ci chodziło, prawda? — spytała, spoglądając na Thomasa.

— Tak! — zawołał, zaskoczony i chyba trochę wzruszony. — Właśnie o to mi chodziło. Tak więc... Aha. Po drugie. — Odniosłam wrażenie, że nieznacznie się zawahał. — Jak by to wytłumaczyć? Kraksa to kraksa. Wypadki chodzą po ludziach. Rzecz w tym, że nie chcemy, żeby chodziły po przypadkowych ludziach; chcemy, żeby miały przyczynę. Wiem, że brzmi to okropnie, kiedy ubieram to w słowa...

Przeczuwałam, co chce powiedzieć. Podczas pierwszego lunchu Victoria mówiła o tym samym. Bardzo chciałam po raz pierwszy odezwać się jako osoba, która coś wie.

— Thomas chce powiedzieć, że wypadki nie zdarzają się losowo — wyjaśniłam Irene. — „Coś w jej życiu musiało być przyczyną; przyczyna pozwala ludziom na emocjonalne odebranie i zrozumienie opowieści”.

— Tak! — wykrzyknął i określił się na piecie, po czym pochylił się nade mną. — Tak, tak, tak — powtarzał, patrząc na mnie zdumionym wzrokiem. — Pięknie powiedziane, Charlotte!

— Dziękuję — Zarumieniłam się, jednocześnie gardząc sobą, że tak się starałam zapunktować przed Thomasem. Czułam się, jakbym sprzedała kogoś po drodze.

— Powtórzę jeszcze raz: nie chodzi o kreowanie faktów, tylko o odnajdywanie zależności. Ukażcie nam ukrytą logikę. Nie chcę opowiadki typu: niosłam ciasteczka dla cioci Susie i przejechał mnie traktor. To nie jest proza Raymonda Carvera, jeśli znacie przypadkiem jego twórczość.

— Dla mnie to raczej Ajschylos — wtrąciła cierpko Irene.

Thomas zastanawiał się przez chwilę nad jej wypowiedzią. Wyczułam, że Irene zrobiła na nim wrażenie, że jej sceptycyzm sprawiał mu przyjemność. Byłam dumna, że ją odkryłam i sprowadziłam do niego.

— Tragedia? Zgoda — przyznał. — Ale nie grecka. Zbyt zimna. Potrzebujemy czegoś cieplejszego.

— Dziewiętnasty wiek?

— Bingo! Hardy. Siostry Brontë. Tolstoj. Dzieją się smutne rzeczy, ale nie bez powodu.

— Zola.

— Właśnie. Stendhal. Albo Dickens, na miłość boską.

— George Eliot — odparła Irene. — *Adam Bede*.

— To tam, gdzie on...

— ...robi jej dziecko — dopowiedziała Irene. — Potem ona próbuje go odnaleźć, kiedy jego pułk przenoszą do Szkocji.

— Mój Boże, to tam, gdzie ona jeździ na wozach i sypia na polach? To najsmutniejsza książka... — powiedział Thomas i rozpromienił się na samo wspomnienie. — Ale tylko druga połówka. Pierwsza była jakby...

— Niesamowite! — przerwała mu Irene i naprawdę wyglądała na zdumioną. — Jestem tego samego zdania!

— ...łzawa — dokończył Thomas.

Słuchałam tego wszystkiego, trochę rozdrażniona własną niezajomością literatury, ale przede wszystkim zaskoczona nagłą przemianą, która dokonała się w Irene. Moja pisarka była uśmiechnięta, a jej policzki nabrały kolorów. Książki, pomyślałam. Ona uwielbia książki. Wydawało mi się to zupełnie sensowne.

— Edith Wharton — powiedziała.

— Tak! Wharton byłaby idealna. *Wiek niewinności*. *Świat zabawy*. Albo Flaubert — dodał po chwili, ale zaraz zmienił zdanie. — Nie, *Pani Bovary* jest zbyt mroczna, zbyt współczesna.

— Zbyt ironiczna — uzupełniła Irene.

— Otóż to. A ironii właśnie nie potrzebujemy; zbyt wiele jej mamy w realnym świecie. Potrzebna nam opowieść z wbudowanym komentarzem.

— Uniwersalny punkt widzenia — podchwyciła Irene.

Siedziałam cicho. Kilka razy omal nie wspomniałam o *Wigilii świętej Agnieszki* i innych wierszach Keatsa, ale za bardzo się bałam, że Thomas i Irene znają te dzieła lepiej niż ja (czyli znają je chociaż trochę) i zaraz zostałabym zdemaskowana.

Irene notowała coś w pośpiechu, a Thomas przyglądał się jej z ledwie zauważalnym zadowoleniem. Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że wygrał. Wywabił Irene z nory i ustawił ją wedle swoich upodobań w — tu spojrzalam na zegarek — niespełna trzydzieści osiem minut.

— W porządku — odezwał się po chwili i westchnął, jakby chciał nam dać do zrozumienia, że teraz będzie mówił o jeszcze większych wyzwaniach. — Po trzecie — powiedział, spoglądając na mnie z taką uwagą, że mój kręgosłup mimowolnie wyprężył się jak zaklinany wąż. — Mam dla ciebie nową propozycję, ale, jak już wspominałem, sprawy biegną wartko naprzód i w biegu dokonujemy zmian. Otóż po trzecie chciałbym, żebyś się zastanowiła — oczywiście nie musisz podejmować decyzji już dziś — czy nie zgodziłabyś się na zainstalowanie w twoim mieszkaniu małej kamery wideo.

— Względy bezpieczeństwa?

— No... nie. W ten sposób zdobylibyśmy materiał, na którym występowałabyś w swoim naturalnym środowisku. Wielu ludzi robi już coś takiego na swoich prywatnych stronach internetowych, więc i my chcemy dać taką opcję naszym subskrybentom. MTV robi to oczywiście od lat, ale trzeba powiedzieć otwarcie, że jej „Real World” to śmieć, i wszyscy o tym wiedzą. Zbyt fałszywy. Zbyt naciągany! Przecież to niemożliwe, żeby tacy ludzie mieszkali razem, nie mówiąc już o tym, że nie byłoby ich stać na utrzymanie apartamentu, w jakim nieudolnie umieściła ich MTV. Surowy materiał prosto z czyjegoś życia osobistego — o ile bohater jest interesujący — to może być coś, co warto oglądać.

— Tylko że ja... — wtrąciłam z wahaniem — ...mieszkam samotnie. Większość czasu spędzam, paląc papierosy i wyglądając przez okno. Albo śpiąc.

— I wydaje ci się, że to nudne, prawda? Za to dla kanibala z Nowej Gwinei zjadanie ludzkich mózgów to przyjemna, codzienna sprawa. Masz za sobą straszny wypadek, Charlotte! Ludzie oczekują, że będziesz samotna, oswiała. Pokazując to, zbliżymy się do rzeczywistości!

— Zamierzacie filmować wszystko i... zmontować to, co najciekawsze? — spytała Irene, której niedawny entuzjazm zmienił się w coś w rodzaju choroby morskiej.

— O, nie, to jest właśnie błąd, który popełniono, realizując „Real World”. Materiał z kamery pójdzie do sieci na surowo. Nie będzie kombinowania i kompromisów. Kiedykolwiek ktoś zechce sprawdzić, co porabiasz w danej chwili, kliknie ikonę „Szpieg” — zdaje się, że tak ją nazwaliśmy — i zobaczy cię. O ile będziesz w domu, rzecz jasna.

— Przepraszam, że zwrócę uwagę na coś oczywistego — wtrąciła Irene głosem wibrującym z niedowierzania — ale czy nie trąci wam to wszystko Orwellem?

Thomas zacisnął zęby i po jego policzkach przebiegło ledwie zauważalne drgnienie stłumionego gniewu.

— Wiesz, że często słyszę ten zarzut? I jak Boga kocham nie wiem dlaczego — powiedział niemal wesoło. — Nasza produkcja jest absolutnym przeciwieństwem tego, o czym pisał Orwell. Tam mieliśmy ludzi szpiegowanych przez totalitarną władzę. Nie mieli żadnego wyboru, ani śladu wolności. Tutaj nie tylko udział bohaterów jest całkowicie dobrowolny, ale i sednem całej idei jest wolność — wolność komunikowania światu własnych doświadczeń! Wolność poznawania życia innych ludzi! Jeśli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że nasze przedsięwzięcie jest najpiękniejszym przejawem demokracji! — Thomas bardzo się starał zachować spokój i dobry humor, ale jego ładne, krągłe policzki i tak nabiegły krwią.

Nie musiałam nawet patrzeć na Irene, żeby wiedzieć, że sknocił sprawę. Bez względu na to, co jeszcze chciał nam powiedzieć, sprawa kamery była dla niej grubą przesadą, na którą nie mogła się zgodzić.

— Przypuśćmy, że nie zgodzę się na kamerę — powiedziałam.

— Nie ma problemu — odparł Thomas z ostrożną nonszalancją. — Choć oczywiście taka decyzja będzie miała wpływ na cenę zakupu, ponieważ mam już ludzi — moim zdaniem kompletnie zwariowanych — którzy chcą nadawać

obraz prosto ze swoich sypialni. Dostaną więcej pieniędzy, bo oferują więcej materiału; to oczywiste. Pamiętaj też o tym, że obrót będzie zawrotnie wysoki, jeśli pozwolisz ludziom patrzeć, jak konsumujesz rozmaite produkty we własnym domu.

— Muszę to przemyśleć — odpowiedziałam, głównie po to, by ulżyć mu trochę i spróbować przywrócić dobry nastrój w gabinecie (skoro choć raz zależało to ode mnie.) W głębi duszy czułam jednak od razu, że jakaś cząstka mnie niecierpliwie oczekuje już przybycia kamery i jest gotowa zmusić resztę mojej osoby do zaakceptowania jej obecności.

— Chciałabym zobaczyć wasz produkt finalny — odezwała się Irene względnie neutralnym tonem.

Miałam wrażenie, że już żałuje łatwości, z jaką dała się pokonać za pomocą krótkiej rozmowy o książkach.

— Naturalnie. To właśnie następny punkt naszego spotkania.

Thomas wstał, w skupieniu przyglądając się naszym twarzom. Lecz nawet teraz, kiedy stracił wiele z tak niedawnego impetu, cień jego osobowości wciąż pozostawał ukryty. Dziwne. Dlaczego? — zastanawiałam się. Co takiego powstrzymywało tłustego, nerwowego chłopca przed ukazaniem światu krągłej twarzy? Kiedy Thomas prowadził nas do zacienionego pokoju przylegającego do jego biura, gdzie szeroki, fosforyzujący ekran komputera zdawał się wisieć w powietrzu, rozumiałam, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie: nie potrzebował nas.

— Żaden z krajowych kontraktów nie jest jeszcze dopięty i podpisany, więc nie mogę pokazać wam gotowego materiału — powiedział, siadając przed klawiaturą. Stanęłyśmy z Irene u jego boków. — Zasady są nieco luźniejsze, jeśli chodzi o Zwyczajnych Zagranicznych, którym i tak nie robi to żadnej różnicy...

Stuknął w kilka klawiszy i ekran wypełnił się soczystym obrazem bardzo czarnego mężczyzny stojącego przy żółtawej krowie. Patrząc na niego, przypomniałam sobie Pluta. Mężczyzna miał na sobie szatę barwy łososiowej, podobną do zwiniętego obrusa. Mrużył oczy i spoglądał w naszą stronę, jedną rękę trzymając na karku krowy, której pokręcone rogi sterczały na boki jak ramiona świecznika. Jakość obrazu była nadzwyczajna; widzieliśmy niemal każdy ze zmierzwionych kłaków na skórze krowy, prawie jak na trójwymiarowej pocztówce. Czarnoskóry był piękny — miał ostro zarysowane mięśnie klatki piersiowej i brzucha oraz ciekawą, symetryczną twarz, na której łatwo było wyobrazić sobie ślady wszelkich uczuć: miłości, wściekłości czy rozbawienia. Jego włosy zaplecione były w wąskie warkoczyki, nasączone czymś, co wyglądało mi na czerwoną glinę. Szyję i ramiona mężczyzny spowijały sznury wielobarwnych koralików. Wpatrywałyśmy się z Irene w tę podobiznę z rozdziawionymi ustami, chłonąc jej zdumiewający realizm, który, paradoksalnie, czynił ją prawie nierealną — jak hologram.

— To wojownik Samburu — wyjaśnił Thomas. — Nie wiem, czy skorzystamy z jego usług; możliwe, że znajdziemy kogoś bardziej egzotycznego. Tak czy inaczej, w tej chwili to tylko prezentacja, która ma pokazać naszym inwestorom, w jaki sposób będzie działać sekcja międzynarodowa. — Thomas wcisnął kolejny klawisz i obraz ożył. Na nieco nieśmiałą twarz Murzyna wypłynął wspaniały uśmiech, a krowa poruszyła się niespokojnie, płosząc chmurę much, które szybko jednak powróciły do uctowania na jej żółtym karku. Mężczyzna zaczął mówić szybko i niezrozumiale. W tym samym momencie na ekranie zaczęły się ukazywać paski napisów.

Cześć! Nazywam się Kanja Joi (pisownia???) i jestem wojownikiem z plemienia Samburu. Mieszkam w kraju Kenii na kontynencie Afryka...

— Musimy jeszcze popracować nad przekładem — mruknął Thomas.

Noszę przy sobie ten krótki miecz na wypadek, gdybym spotkał lwy, pasąc krowy na trawiastych równinach mojego kraju. Pomyślałem, że może chcielibyście posłuchać, jak śpiewam...

Tekst pozostał na ekranie jeszcze przez chwilę, gdy wojownik rozpoczął pieśń: atonalną serię charczących dźwięków, których źródło musiało znajdować się poniżej jego przepony. Głos, podobnie jak obraz, był tak wiernie oddany, że



czułam się nie tylko tak, jakby czarnoskóry mężczyzna stał tuż obok mnie, ale nawet tak, jakby wepchnięto mnie do jego gardła.

— Spójrzcie na to — powiedział Thomas, przesuwając kursor na jeden ze sznurów koralików na szyi wojownika. Nacisnął klawisz myszy i mężczyzna zniknął zniemacka, a jego pieśń urwała się. Ich miejsce zajął wizerunek dziewczyny układającej na płachcie sukna kawałki drutu i luźne koraliki. Usłyszeliśmy jej szept i u dołu ekranu zaraz pojawiło się tłumaczenie.

Cześć, mam na imię Baka i jestem siostrzenicą Kanji. Nauczyłam się sztuki robienia naszyjników od mojej babci ze strony matki...

— Zamierzamy wprowadzić sprzedaż bezpośrednią — odezwał się Thomas. — Klient może zamówić koraliki, druty, gotowe naszyjniki, co tylko zechce. Poza tym, będzie mógł wesprzeć tę rodzinę, przekazując pieniądze z karty kredytowej. Osobiście uważam to za przyszłość wszelkich darowizn na cele dobroczynne — powiedział, po czym odwrócił się ku Irene. — Ludzie już nie dają się wzruszyć abstrakcyjnymi koncepcjami — rzekł z naciskiem. — Reagują raczej na indywidualne przypadki walki z losem. „Ratujmy dzieci”? Zaraz, ale jakie dzieci?

Próbował do nas przemówić, wymachując sztandarem swego altruizmu w nadziei, że znowu pójdziemy za nim. Czekałam na reakcję Irene, która z całą pewnością wiedziała o altruizmie więcej niż ja.

Po kolejnym podwójnym kliknięciu myszą wojownik powrócił na ekran, wydając dziwaczne dźwięki z gorliwością graniczącą z desperacją, jakby był przekonany, że śpiewa o własne życie.

— Jak mówiłem, to tylko prymitywna prowizorka — powiedział Thomas, próbując zamaskować ziewnięcie. Ciemność otaczająca nas troje, skupionych wokół monitora, stawała się coraz mniej przyjemna. — Tłumaczenie było dość kiepskie, ale chyba orientujecie się już, jak to może wyglądać. Klikniesz na włosach, usłyszysz o włosach. Klikniesz na czole, wyświetlą się kategorie związane z myślami: Marzenia, Życzenia i tym podobne. Zgadniecie, co jest na pierwszym miejscu listy Nadziei/Aspiracji wszystkich naszych Zwykłych Zagranicznych? Zamieszkać w Ameryce. Marzą o tym nawet ci z krajów, których rządy nas nienawidzą! A najpiękniejsze jest to, że dzięki nam takiemu gościowi jak ten wojownik może się to udać. I nie chodzi mi wcale o zwykły tok wydarzeń: że trafi do jakiejś nory w Queens i będzie wciskał ludziom fałszywe rolexy przed salonem Tiffany's. Mówię o prawdziwym potencjale. Firmy castingowe, agencje modelek, producenci płytowi — wszyscy rzucą się na naszych Zagranicznych w poszukiwaniu świeżego surowca. Szczerze mówiąc, uważam, że ten facet mógłby bez trudu zostać gwiazdą popu. Oczywiście trudno nam teraz rozstrzygnąć, czy naprawdę potrafiłby śpiewać, ale to akurat nie musi być najważniejsze. Boże, mógłby na przykład rapować!

— Zastanawiam się tylko — wtrąciła Irene i umilkła na moment. — Zastanawiam się, czy nie podziła to w drugą stronę. Czy ludzie nie zaczną odwiedzać Kenii.

— Bardzo możliwe — przytaknął Thomas. — Ale musisz zadać sobie pytanie: jak długo to jeszcze potrwa? Moim zdaniem złota era turystyki dobiega końca; zwłaszcza dla Amerykanów. Koralowce giną, jakaś dziwna trawa dusi ludzi nad Morzem Śródziemnym, pałeczki okrężnicy panoszą się wszędzie, terroryści młóćą zwiedzających w Świątyni Luksoru... W pewnym momencie ludzie zaczną kalkulować: ile warto zaryzykować, żeby spędzić dwutygodniowe wakacje? A my staramy się uprzedzić fakty.

Kiedy wracaliśmy do gabinetu Thomasa, zerkałam na Irene, próbując odczytać jej reakcję. Sprawiała wrażenie oszołomionej, przygaszonej.

— Mam pytanie — powiedziałam, dziwnie zdenerwowana. Wiedziałam, że oboje czekają, aż się odezwę. — Znam pewnego bezdomnego i zastanawiałam się właśnie, czy nie chcielibyście mieć kogoś takiego w gronie Zwykłych.

— Znasz bezdomnego człowieka? — spytał Thomas, ze zdumieniem spoglądając na Irene. Wzruszeniem ramion dała mu do zrozumienia, że i dla niej jest to nowość.

— Spotkałam go nad East River, niedaleko od mojego mieszkania. To naprawdę interesujący gość. — Wiedziałam, że nie należy używać słowa „niezwykły”. Kandydat na zwykłego musiał być reprezentatywnym przedstawicielem swojej grupy.

— Bezdomy... bezdomy... — mamrotał Thomas, podchodząc do okna i spoglądając w dół. — Rozważaliśmy już kiedyś, czy chcemy mieć bezdomnego Zwykłego. Rzecz w tym, że wielu z nich to ludzie psychicznie chorzy, a my mamy już jednego cierpiącego na psychozę depresyjno-maniakalną i dwóch schizofreników.

— O, nie — zaprzeczyłam zdecydowanie. — Ten jest zupełnie zdrowy.

— Skąd wiesz, że naprawdę jest bezdomy?

— Mieszka w namiocie, przeszukuje śmietniki i żebrze. Nie mam wątpliwości, że jest bezdomy.

— A co z uzależnieniami? — indagował Thomas. — Musisz wiedzieć, że mamy już dwóch narkomanów — jeden bierze heroinę, a drugi crack. Jest też jedna alkoholiczka.

— Czasem popija — odparłam lekceważąco — ale to nic poważnego.

— Hmm — mruknął Thomas. — Moglibyśmy podzielać na dwa sposoby. Najłatwiej byłoby wprowadzić go jako element twojego codziennego życia i zobaczyć, czy ludzie go kupią. Jeśli tak, zastanowilibyśmy się nad uruchomieniem dla niego osobnej strony.

— Nie jestem pewna, czy widzę bezdomnego jako element codziennego życia Charlotte — odezwała się Irene.

— Ależ on już nim jest — zaproponowałam, podejrzewając, że zostałam źle zrozumiana. — Oczywiście niezbyt wielkim, ale jest.

— Obawiam się, że Irene ma rację — odparł Thomas. — Byłoby to lekkie naciągnięcie formy.

Skrzyżowałam ramiona, oszołomiona odkryciem, do którego mój umysł przygotowywał się od chwili, gdy trafiłam do tej świątyni lanego betonu: jako „podmiot” byłam jednocześnie w centrum uwagi i absolutnie nieważna. Zaraz potem ogarnęło mnie dziwnie znajome uczucie. Wciąż byłam modelką. Tym razem modelowałam moje życie.

— Prosił, żebym ci to dała — zwróciłam się do Thomasa, wyciągając z torebki ręcznie robioną wizytówkę Pluta.

Thomas zmarszczył brwi.

— Gość ma konto e-mailowe?

— Kiedy go na to stać, korzysta z komputerów w Kinko's. Próbuje jakoś poprawić swoje życie.

— Mój Boże, to mi się podoba — powiedział czule Thomas. — To takie wzruszające. Biedaczysko... Jest względnie czysty?

— Nieskazitelnie.

— Wyślę mu wiadomość — postanowił. — Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Zebrałyśmy z Irene nasze rzeczy i Thomas odprowadził nas do windy. Czekać na kabinę wśród betonowych ścian (w kolorze akwamaryny, jak podwodne skały), nie odzywaliśmy się ani słowem. Irene niespokojnie przebierała palcami po wytartym pasku torebki, wpatrując się w zamknięte drzwi windy.

— Posłuchaj mnie — rzekł w końcu Thomas. — Wiem, że masz wątpliwości. Ja sam zastanawiam się czasem nad sensem tego projektu. Czy naprawdę zdołam zmienić coś na lepsze w życiu wielu ludzi, czy tylko się oszukuje? Kilka tygodni temu zgłosiłem się do pewnego kardiochirurga, żeby zaproponować mu dołączenie do grupy Niezwykłych. Zacytuje wam jego odpowiedź: „Zamienia pan ludzi w pasaż handlowe”. Tamtej nocy prawie nie spałem, zastanawiając się nad tymi słowami. I wiecie, do czego doszedłem? Skoro w te strony zmierza świat, to ja chcę w tym uczestniczyć, choćby po to, by dopilnować, żeby wszystko odbyło się w odpowiedzialny sposób. Wymyśliłem ten produkt, to prawda, ale nie jestem kimś wyjątkowym — po prostu idę z duchem czasu. Jeżeli ja tego nie zrobię, uczyni to ktoś inny. Może warto więc znaleźć pozytywne strony tego przedsięwzięcia? Może im bardziej będziemy interesować się sobą nawzajem, tym

mniej będziemy mieli powodów, żeby toczyć wojny? Będziemy po tej samej stronie. Następnego ranka, po tej nieprzespanej nocy, przyszedłem do biura. I wiecie co? Czekala na mnie wiadomość od tego lekarza. Zdecydował się.

Winda dotarła wreszcie na nasze piętro i zrobiłam pół kroku w jej stronę, lecz Irene wciąż stała nieruchomo, słuchając Thomasa. Drzwi zasunęły się bezszelestnie.

— Widzisz, taka jest przyszłość — ciągnął lekko przeprasającym tonem. — Ona i tak nadejdzie; z tobą czy bez ciebie. Ale jeśli chcesz pójść w jej stronę, jeżeli oddasz się jej, będziesz jej panią. Znajdziesz się w jej sercu. Jeśli zaś będziesz się opierać, przetoczy się po tobie i bez względu na to, ile masz teraz, kiedy ona nadejdzie, będziesz mieć mniej.

Mówił do Irene, a ona nie odrywała od niego coraz bardziej panicznego spojrzenia. Przedstawiał swoją rację ze smutkiem, bez zwykłej gorliwości, jakby podejrzewał, że przyszłość ominie nas mimo jego wysiłków, bo nie jesteśmy gotowe. Po raz pierwszy tego dnia dostrzegłam jego cień — niezgrabnego chłopaczka z nadwagą, z którym zaprzyjaźniłam się dwa miesiące wcześniej — wychylający się nieśmiało z rysów dorosłego Thomasa Keene'a. Nie był przestraszony, jak się tego spodziewałam (a nawet miałam nadzieję), ale raczej pełen współczucia. Dla nas. Gruby chłopiec o miękkim sercu został wywabiony z cienia przez troskę. Pomyślałam, że mimo wszelkich obiekcji jest tylko jedna rzecz mniej przyjemna od przyszłości, której symbolem jest Thomas i jego betonowe królestwo: pozostanie w tyle, nieznanie w niej miejsca dla siebie.

Wyłoniłyśmy się z ciemnego budynku w nieśmiałych promieniach słońca.

— O Boże — powiedziała Irene, kiedy szliśmy w stronę Union Square.

— No właśnie.

Był to dzień handlowy, toteż na placu pełno było straganów z sałatą, kabaczkami, nagietkami i astrami. Odbierałam to wszystko jako atak na moją osobę: żywe kolory kłuły w oczy, słońce oślepiało, a ludzie tłoczyli się niepotrzebnie. Za dużo było psów na smyczach i dzieciaków w wózkach.

Znalazłyśmy sobie wolną ławkę i usiadłyśmy. Jakiś wiekowy dziwak usadowił się o kilka ławek dalej z workiem chleba i drżącymi dłońmi rzucał okruchy żarłocznym gołębim. Kilka nadgorliwych ptaków przysiadło na jego ramionach i kolanach, z wdzięcznością trzepocąc skrzydłami. Skoro dla mnie nie było miejsca w przyszłości, myślałam ponuro — dla mnie, która spędziła całe życie, czekając na jej nadejście — to co mogło czekać takiego gołębiarza?

— Wygadywał takie okropne rzeczy — powiedziała Irene. — A wszystko z najbardziej niewinną miną. — Pólleżała bezwładnie na ławce, wystawiając twarz do słońca. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na mnie. — Charlotte — przemówiła zdecydowanym głosem — nie mogę tego robić.

Nie odezwałam się. To, co miałam jej do powiedzenia — że wiem, że jednak to zrobi, bo nie ma wyboru — wydawało mi się wtedy okrutne i niepotrzebne. I nie chodziło mi tylko o jej przerażoną miną, kiedy Thomas roztaczał przed nią wizję pędzącej przyszłości, ale raczej o agrałki spinające jej spódnice, o niezręcznie pocerowane dziury w pożartych przez mole sweterkach, o tani szampon truskawkowy, którym pachniały jej włosy. O nieco pomarańczowy odcień jej byle jakich pończoch, o pękniętą, plastikową szczotkę do włosów w jej torebce, o portfel z syntetycznej skóry, o złoto oblażące z jej kolczyków i o długopisy marki Bic. O półokręgi zmęczenia pod jej oczami. O krwawiące skórki wokół paznokci. Irene nie miała wyboru. Musiała uczestniczyć w tym przedsięwzięciu, bez względu na to, jak bardzo nim gardziła. A gardziła na pewno. Była jedną z tych uczciwych osób (reporterką!), które jeżdżą regularnie do Arizony, żeby odwiedzić ojca chorego na rozedmę płuc — jeśli jeszcze go mają — nie zważając na fakt, że każda taka wyprawa napęnia je coraz większym smutkiem. Zapewne była przywiązana do męża i (w co nie wątpiłam) przyjaciół, z których większość znała na pewno od lat. Była odporna na gre pozorów, obojętna na pokusy pokoju luster oraz niezdolna do udawania i bajerowania. Miałam świadomość, że znajomość z osobą o takich zaletach to zapewne jedyna okazja w moim życiu, bym mogła chociaż przyjrzeć im się z bliska.

— Nie powinnam była tam zostać — powiedziała. — Nie powinnam była słuchać. Nie powinnam była tu przychodzić.

Ale przysłaś, pomyślałam. Przysłaś i przyjdiesz. A to oznacza, że musisz się z tym pogodzić.

Dwa gołębie przysiadły na głowie starca. Pewnie ma włosy pełne ptasiego gówna, pomyślałam.

— Może napijemy się czegoś? — zaproponowałam.

Ku mojemu zdziwieniu, zgodziła się. Była szesnasta trzydzieści. Poszliśmy na drugą stronę placu, do lokalu pod myłą nazwą Coffee Shop, który tłumnie odwiedzały modelki i ich wielbiciele. Sama byłam w nim pewnie z sześćset albo i siedemset razy. Znałam go, lecz kiedy przekroczyliśmy z Irene próg, poczułam się nieswojo, zaatakowana obcą, nową, taneczną muzyką. Coś się zmieniło, myślałam, podążając do stolika za hostessą o włosach upiętych w koński ogon i odsłoniętym brzuchu. Zmieniło się w głębi, pod powierzchnią.

Siedziałam plecami do sali. Czekając na nasze drinki, odwróciłam się i jak zwykle omiotłam lokal szybkim spojrzeniem, szukając znajomych twarzy. Niemal natychmiast w jednej z głównych łóż wypatrzyłam Oscara w towarzystwie czterech osób, w tym dwóch modelek. Poprzednio przeszłam tuż obok niego i nie zauważyłam go, lecz znacznie bardziej szokujące było to, że nie dostrzegł mnie Oscar, handlarz żywym towarem, którego praca polegała na tym, że widział. Miałam ochotę zerwać się na równe nogi i polecieć do niego. Instynktownie podniosłam się nieco z krzesła i... usiadłam. Przeszło mi.

Niezręczna kelnerka (w tym lokalu wszystkie były niezręczne) przyniosła nam wreszcie tacę z dwoma kieliszkami martini. Zająłam się popijaniem niedorzecznie maślano-mleczno-kremowego, a zarazem chłodno-leczniczego drinka, którego aromat zawsze wyobrażałam sobie jako zapach ciepłego freonu. Uważałam martini za najpyszniejszą rzecz na świecie.

— Oscar tam siedzi — odezwałam się do Irene. — Ten czarnoskóry — dodałam, wskazując kierunek ruchem podbródka.

Irene ostrożnie odstawiła kieliszek i przesunęła krzesło tak, by lepiej widzieć salę. Nie odrywając wzroku od Oscara, sięgnęła po torebkę, wyszarpnęła z niej notes, otworzyła go na wybranej stronie i dodała kilka zdań swym oszczędnym charakterem pisma. Bardzo chciałam dojrzeć, co właściwie notowała, stać się świadkiem tej alchemii, która sprawiała, że zlewałyśmy się z Irene w jedną, nie istniejącą kobietę z pieskiem i powracającymi snami o gęsiach.

— Wygląda dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałam — mruknęła po chwili. — Dobrze go opisałaś.

— To mój najlepszy przyjaciel. Odłożyła długopis i spojrzała na mnie.

— Charlotte, obie wiemy, że to śmierdzący interes — powiedziała. — Na szczęście sprawa jest jeszcze w naszych rękach, nadal możemy po prostu odejść. Stracimy jedynie czas, który już poświęciliśmy na przygotowania. — Zobaczyłam martini w oczach Irene, a także rozbudzony nim zapał, przekonanie. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Użycie formy „my” sprawiło, że doświadczyłam czegoś w rodzaju wizji: Zobaczyłam siebie i Irene, jak zmierzamy ku nowemu życiu — takiemu, w którym podejmowałabym inne wybory niż dotychczas i w którym sama byłabym inna. Ku życiu innej osoby. Ujrzałam nawet tę wymyśloną kobietę, jak krząta się gdzieś, zaangażowana, pochłonięta czymś, i nagle masywna bryła nadziei wśliznęła się we mnie, by utknąć w połowie gardła. A potem wszystko zniknęło. Miałam trzydzieści pięć lat. Dawno temu dokonałam wyboru.

— Dla mnie jest już za późno — odpowiedziałam. — Przecież wiesz.

Irene wsunęła notes do torby i wstała niepewnie. Kiedy szła w stronę toalety, w jej chodzie widać było wpływ jednego drinka. Wyglądała na pokonaną. Miałam podobne uczucie, ale zwalczyłam je w sobie. Spojrzałam na notes wystający z torby. Po bardzo krótkim namyśle wyjęłam go i otworzyłam. Niepokój wywołany tym jawnym pogwałceniem prywatności Irene i strach przed tym, że mogłaby złapać mnie na gorącym uczynku, nie pozwoliły mi

zagłębić się w lekturze. Wcisnęłam notes do swojej torebki, ale nie zmieścił się cały. Wyciągnęłam go ponownie, z zamiarem odłożenia na miejsce, lecz Irene wychodziła właśnie z toalety i szła w moją stronę. W panice, wpakowałam go na powrót do mojej torebki i zamaskowałam jedwabną apaszką zerwaną z szyi (zawsze nosiłam coś pod brodą; nawyk z okresu rekonwalescencji). Odwróciwszy się, by skinąć na kelnerkę i poprosić o rachunek, zobaczyłam, że Oscar już wyszedł. Irene nawet tego nie zauważyła.

Kiedy wyszliśmy na ulice, słońce wciąż uśmiechało się do nas z góry.

— Jestem pijana — oznajmiła Irene i spojrzała na zegarek. — O nie! — krzyknęła. — Spóźniłam się pół godziny na spotkanie z Markiem! Pomyśli, że wpadłam pod autobus.

— Pomyśli, że go zdradzasz — skorygowałam.

Spojrzała na mnie z takim zdziwieniem, że natychmiast i szczerze pożałowałam swoich słów.

— Mój Boże — powiedziała. — On wie, że nigdy bym tego nie zrobiła.

## Rozdział trzynasty

Wreszcie, kiedy Anthony Halliday odmówił opuszczenia ganku z piaskowca, mimo dwóch prośb ze strony Mimi i jednej ze strony Leelanda, jej kochanka, który zapukał w szybkę drzwi i przemawiał z ukrycia, jakby emocjonalne rozchwianie Anthony'ego czyniło otwarcie drzwi nazbyt ryzykownym posunięciem, jakby detektyw mógł go zaatakować w napadzie szału, by wyrównać rachunki (a konkretnie ukarać Leelanda za fakt, że mieszka w jego domu, z jego żoną i z jego córkami-bliźniaczkami); po dwóch godzinach naciskania na klawisz dzwonek w odstępach dziesięciominutowych i cierpliwego powtarzania, że nie zamierza się oddalić, Mimi otworzyła drzwi i wyszła do niego. Usiadła przy nim na schodku — niewysoka, atletycznie zbudowana biegaczka maratonów. Kolumbijka. Przyjęła amerykańskie obywatelstwo, kiedy się pobrali.

— Tony — powiedziała. — To nikomu nie wyjdzie na dobre.

— Zrobiłabyś to samo — odparł — gdybym nie pozwolił ci na spotkanie z nimi.

— To dwie różne sprawy, absolutnie nieporównywalne. — Halliday zawsze uważał, że jej akcent na środkową sylabę jest uroczy.

Przez jakiś czas spoglądali w milczeniu na St. John's Street, wyczerpani wymianą zdań, którą powtarzali stanowczo zbyt często, rozgrywaną w myśli jak partia telepatycznych szachów. Pomarańczowe latarnie nadawały liściom drzew dziwną barwę.

— Dziś mija siedem miesięcy — powiedział. — Ani kropli. Położyła dłoń na jego plecach.

— To fantastycznie, Tony

Był to najdłuższy okres abstynencji w całym jego dorosłym życiu, jeśli nie liczyć tych pięciu lat, w których zawarło się między innymi narzeczeństwo i wczesna faza małżeństwa z Mimi. Niestety, sukces ten był co najmniej o rok spóźniony. Rok wcześniej, bez ostrzeżenia — a raczej po kolejnym ostrzeżeniu niczym nie różniącym się od tysięcy innych — Mimi przestała go kochać. Anthony był zdumiony tym, jak wyraźnie odczuł różnicę: jakby ktoś wyszedł z pokoju.

— To moje dzieci — powiedział. — Ufają mi. Nie masz prawa stawać między nami. — Jakoś nie umiał wykrzesać z siebie nic więcej; wszelkie argumenty wydawały mu się wyświechtane, banalne.

— Owszem, ufają ci. Tylko że ja ci nie ufam. Siedem miesięcy? Niby dlaczego miałabym w to wierzyć. Powinnam zażądać wyników badania moczu!



Anthony czerpał ponurą satysfakcję z wyławiania momentów, w których w mowie Mimi — niczym przebicie na linii telefonicznej — pojawiały się frazy z języka Leelanda, profesora prawa z Fordham. Kiedy rozmawiał z nią po raz ostatni, użyła nawet sformułowania „tak czy inaczej”. Jednak fascynacja swoistym stapianiem się Leelanda i Mimi nie przynosiła mu ulgi w poczuciu beznadziejności. Leeland Wile, beznamiętny, brodaty amator fajki, stawiający stopy na zewnątrz, wcisnął się w każdą szczelinę życia Anthony'ego — przemawiał nawet ustami jego żony!

— Picie nie jest przestępstwem, Mimi — powiedział Halliday.

— Rzeczywiście, nie jest. Ale może nim być nieumyślne narażenie życia (Leeland). Nie pamiętasz, jak śmiertelnie przeraziłeś dziewczęta swoim bezprzykładnym (Leeland) pijaństwem i dzikimi halucynacjami? I jak próbowałam skontaktować się z tobą, gdy leżałeś gdzieś pijany, a dzieci umierały ze strachu o ciebie? Mogłabym cię pozwać za nękanie emocjonalne i straty moralne; wygrałabym bez problemu! (Leeland, Leeland, Leeland.)

— Przestań. Proszę cię. — Słuchanie tych argumentów sprawiało mu ból. I tak niczego nie pamiętał. Przede wszystkim nie wiedział, dlaczego w ogóle pil, zamiast być przy córkach.

Mimi westchnęła ciężko.

— Tak czy inaczej...

Umilkła, kiedy Anthony uniósł rękę. Przeniosła wzrok poza niego, gdzieś w pomarańczową, liściastą ciemność. Halliday wyobrażał sobie, że próbowała zmierzyć myślą jego samotność, którą potrafił ukryć przed wszystkimi z wyjątkiem żony. Dostrzegł w jej twarzy wstyd.

— Mogę popatrzeć, jak śpią? — spytał, wykorzystując okazję.

Wstała bez słowa i otworzyła drzwi. To był ich kompromis, ustępstwo, które raz na kilka tygodni udawało mu się wywalczyć. Razem wspięli się po wyłożonych dywanem schodach. Anthony znał na pamięć każdą nierówność tynku na ścianach, które mijali. Mimi otworzyła nowiutki zamek marki Fichet (Leeland). Mieszkanie było pełne aromatu tytoniu fajkowego.

— Nie budź ich — ostrzegła Mimi, uchylając drzwi do sypialni dziewczynek.

Zapach dzieci omal nie zwałił go z nóg; zapach, za którym tęsknił tak bardzo, że zapominał go zaraz po wyjściu za próg tego domu. Mleczny, woskowy i owocowy zapach jego córek. Jabłka lub sok jabłkowy. Wilgotne ciastka. Sześcioletnie dziewczynki o rudych, kręconych włosach, spały w swoich łóżkach. Pokoik był mały i ciemny, pełen zabawek i książek, które zdawały się falować w rytmie oddechu dzieci. Spały tak spokojnie, że Anthony poczuł się jak intruz, który mógł jedynie marzyć o przynależności do takiego miejsca. Stopniowo jednak się odprężył i zanurzył w akwarium ich snu, oddechu, bardzo białej skóry i niemal identycznych twarzy.

Rozłożył ramiona i położył jedną dłoń na ramieniu Laury, a drugą na łopatkę Fernandy. Czuł pod palcami życie, mimo cienkich kołder i kolorowych piżam, ciepłe i niespokojne życie kłębiące się w ich ciałach. Myślał o tym, że miał swój udział w stworzeniu tego życia.

Po raz pierwszy od wielu dni — od ostatniego razu, kiedy Mimi wpuściła go do domu i pozwoliła popatrzeć na śpiące dzieci — Anthony poczuł spokój, jakby nieustający, natrętny dyskomfort, który z przyzwyczajenia przestał już zauważać, wreszcie ustąpił. Wciąż tu były, wciąż żyły, wciąż oddychały lekko, a on czuł, że ich energia przenika przez jego dłonie i wzmacnia go. Pomyślał, że nie ustąpi. Odzyska je. Nie tylko dziewczęta, ale i Mimi. Dlaczego przedtem wydawało mu się to niemożliwe? Były takie ciepłe, prawie gorące. Laura miała na sobie piżamę z sierotką Annie, a Fernanda z Madeline. Anthony pochylił się i bardzo delikatnie ucałował ich twarzyczki i drobne, aksamitne uszy.

Wstał, słysząc kroki Mimi na korytarzu. Nie chciał, żeby weszła w takiej chwili.

Wyszedł z mieszkania, nie zobaczywszy Leelanda.

Kiedy znalazł się na ulicy, spokój, który przyniosło mu obcowanie z córkami, zaczął topnieć już po pierwszym skrzyżowaniu. Po trzecim cierpienieomal nie zgięło go wół. Dyskomfort powrócił, z tą różnicą, że teraz doskonale zdawał sobie sprawę z jego obecności. Wybrał okrężną drogę do domu, by nie znaleźć się w pobliżu pewnego baru, co do którego nie był pewien, czy w takim stanie potrafi oprzeć się jego pokusie. Otworzył kluczem bramę i wszedł po trzech ciągach schodów do swego nowego mieszkania, orlego gniazda otoczonego bujnymi drzewami, które przypominały mu dłonie trzymające wachlarze kart. Nie cierpiał tego miejsca. Na biurku leżał segregator z notatkami, które poczynił wcześniej tego dnia, podczas wizyty u dawnych kolegów z Działu Imigracji. Mieli dla niego kilka sugestii odnośnie do Z, ale żadnych konkretów. Naturalnie zdjęcia, które dali mu Mitch i Hassam, były praktycznie bezużyteczne. Przedstawiały człowieka, który albo zamykał oczy, albo odwracał wzrok od obiektywu, i jedyną pewną rzeczą, jaką można było o nim powiedzieć, było to, że nie chciał być fotografowany.

Żywe zainteresowanie osobą Z narodziło się w umyśle Anthony'ego Hallidaya (odczuł to wyraźnie, jakby zapadka mechanizmu wskoczyła na swoje miejsce) już podczas pierwszej rozmowy z Mitchem i Hassamem, kiedy podali mu adres biura zaginionego współnika: znajdowało się w tym samym budynku przy Siódmej Alei, w którym sam urzędował. Pięć pięter niżej. Czy nie był to niewiarygodny zbieg okoliczności? W przestrzeni niemal identycznej z tą, w której pracował detektyw, gnieździło się kilku niespokojnych mężczyzn zajmujących się importem i eksportem. Po Z zostało tam jedynie puste biurko z komputerem, z którego starannie usunięto dane. Nie pozostał najmniejszy nawet ślad świadczący o tym, że ktoś pracował na tym stanowisku, z wyjątkiem jednego: wizytówki z maleńką literą „Z” i numerem telefonu, pod którym odpowiadała jedynie skrzynka głosowa. Kiedy Halliday zadzwonił, siedząc wygodnie w swoim biurze, powitał go męski głos z lekkim, nierozpoznawalnym akcentem. Wydawało się, że wypowiadał nagrane słowa powitania z uśmiechem na ustach, jakby wiedział, że Anthony odkryje ten trop i jakby chciał powiedzieć: tak, byłem tu, nie mylisz się. Człowiek znany jako Z nie popełniał błędów. Tymczasem Anthony Halliday popełniał je seriami, a to, co z nich wynikało, wywierało fatalne skutki na całym jego życiu.

Detektyw otworzył szufladę biurka i wyjął akt urodzenia z pieczęcią hrabstwa. Dokument należał do Ralphi B. Goldfarba, mężczyzny o kaukaskiej urodzie, o dwa lata młodszego od Hallidaya. Urodzonego w Pittsburghu. Zamordowanego przed sześciu laty, podczas spaceru z psem opodal trasy do West Side. Anthony, wówczas już prywatny detektyw z niespełna rocznym stażem, podwędził jego akt urodzenia podczas przeszukania w mieszkaniu. Było to niedługo po tym, jak zwolniono go ze służby w prokuraturze okręgowej — był to jeden z jego największych błędów. Wylano go, rzecz jasna, za picie — błąd podstawowy, będący punktem wyjścia dla wszystkich innych nieszczęść. Tyle że w istocie nie był błąd, tylko rzecz, którą kochał najbardziej na świecie.

Trzymając w obu rękach akt urodzenia, puścił wodze fantazji. Zniknąć, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu. Przepaść bez wieści, jak uczynił to Z, kimkolwiek był (czego Anthony zamierzał się dowiedzieć, bo mimo wszystko był dobrym detektywem). Zacząć pod nowym nazwiskiem, w nowym miejscu; nie popełnić już żadnego błędu... Mógł to zrobić. Jedyną rzeczą, której naprawdę potrzebował, był ten dokument.

Jeden skromny akt urodzenia mógł stać się zaczątkiem zupełnie nowego życia: nowego numeru ubezpieczenia, konta bankowego, kart kredytowych, pożyczek. Tyle zmian dzięki jednemu dokumentowi.

Marzenia o nagłym zniknięciu towarzyszyły Anthony'emu od wielu lat, ale od chwili wszczęcia śledztwa w sprawie Z powracały częściej i z większą siłą. Chciał dalej prowadzić to dochodzenie, nawet teraz, gdy Mitch i Hassam postanowili zminimalizować straty i przestali mu płacić. Był przekonany, że może nauczyć się czegoś od Z. Czegoś bardzo przydatnego.

Wychodząc do sąsiedniego pokoju, zabrał ze sobą telefon. Położył się na łóżku i zadzwonił do Charlotte. Nie miał pojęcia, dlaczego nocami tak często brała go ochota na rozmowy z tą kobietą — może dlatego, że była w jakiś sposób związana z Z, a może dlatego, że znalazła się w podobnie mrocznej fazie życia jak on sam?

— Cześć — powiedziała. Jakimś cudem zawsze wiedziała, kto dzwoni.

— Obudziłem cię?

— Nie. Oglądałam „Nie wyjaśnione zagadki”.

Jej głos, szorstki od papierosów, w niepojęty sposób kojarzył mu się z głosem dziecka i miał zdumiewającą moc niesienia mu ulgi. Nawet kiedy kłamała, co robiła niemal zawsze.

— Jak minął dzień? — spytał.

— Pracowicie — odpowiedziała. — Zostałam prezenterką telewizyjną.

— Rzeczywiście, chyba cię widziałem. Wiadomości o szóstej?

— To właśnie ja.

— Szybka jesteś — stwierdził, przytykając oczy. Charlotte roześmiała się. Był to najsmutniejszy śmiech, jaki zdarzyło mu się słyszeć.

— A co u ciebie? — spytała.

— To co zwykle. Próbuję oddzielić dobrych od złych.

— A jest między nimi jakaś różnica?

— Muszę tak myśleć. To kwestia wiary.

Cisza, która zapadła po tych słowach, trwała kilka minut. Halliday słyszał trzask zapalki i syk płomienia ogarniającego kolejnego papierosa. W tle odzywał się głos prowadzącego „Nie wyjaśnione zagadki”.

— Słodkich snów, Charlotte — powiedział w końcu.

34

Lipiec. Z był dosłownie wszędzie. Wypatrywałam go w tłumie ludzi czekających na światłach przy Szóstej Alei. Widziałam krótkie sukienki i złociste sandały. Mężczyzn w koszulach, z marynarkami wiszącymi na jednym palcu. W powietrzu wirowała złotawa mgła.

Szukałam jego sylwetki za oknami wolno jadących limuzyn. Na chodnikach kłębił się tłum. Wydawało mi się, że Z jest wszędzie, nawet w miejscach, w których nie spodziewałabym się go zobaczyć. Siedział w kawiarnianych ogródkach. Bił brawo sprośnemu komediantowi występującemu w fontannie przy Washington Square. Spoglądał w dół przez fluorescencyjne kwadraty biurowych okien i natychmiast zauważał mnie w tłumie.

Robiłam wszystko to, co dawniej, ale z nową energią. Ogarnęła mnie gorączka, która przypominała mi dzieciństwo, a ściślej to, w jaki sposób dzieci wyobrażają sobie dorosłość.

O dziesiątej jadłam kolację z gościem z Europy. Znałam go od lat. Niejeden raz ubarwiałam moją osobą przyjęcia w jego willi w Antibes. W porze lunchu stary, angielski służący przyprowadzał na sam brzeg morza wózek z prowiantem. Zarzucał wykrochmalone obrusy na nagie skały. Jedliśmy pieczoną rybę i popijaliśmy białe wino. Po południu Morze Śródziemne stawało się purpurowe. Pamiętam, że w wodzie dwa razy ukłuła mnie ogońca.

A teraz ów człowiek był żonaty. Został ojcem. Wciąż jednak chętnie spotykał się ze starymi przyjaciółkami. Tak to nazywał. Wokół nas śmiali się jacyś ludzie, a jego ręka zdryfowała w stronę mojego uda.

— Kiedy wreszcie wyjdiesz za mąż? — zapytał.

— Nigdy — odpowiedziałam.

Ręka poruszała się, badając teren.

— Zamierzasz tak żyć bez końca?

— Jasne, że nie.

Coś miało się wydarzyć. Zmierzałam ku temu szybko i nieuchronnie.

37

Udawaliśmy z Z, że jesteśmy sobie obcy. Nikt nie wiedział. Tajność naszego związku była jego ukrytym pulsem, jego motorem.

Najlepiej czuliśmy się w salach pełnych ludzi, oddzieleni od siebie, a jednocześnie złączeni lśniącem włóknem wzajemnej świadomości. W jego obecności samo powietrze zdawało się śpiewać. Wariowałam. Unosiłam się beztrudno w cudownej wolności, jakiej nie zaznałam od wielu, wielu lat. Rzucałam się ludziom na szyje i wykrzykiwałam coś prosto w ich uszy. Wskakiwałam na stoły i tańczyłam. Rozsadzały mnie radość i energia.

A on mnie obserwował. Pokazywałam mu coś, choć sama nie wiedziałam co. Prowadziłam go dokądś.

Przychodził do mnie jeszcze kilka razy. Trudniej było do niego dotrzeć, kiedy byliśmy sami w pokoju. Był cholernie poważny.

Zaczynałam się niecierpliwić. Chciałam zacząć! Odegrać moją rolę, cokolwiek miało to znaczyć! Wyobrażałam sobie narkotyki, zbrodnie, misje szpiegowskie, handel bronią — oczywiście tylko w schematycznym, filmowym stylu. Moje marzenia nie miały najmniejszego sensu. Tak naprawdę chyba nie chciałam wiedzieć, kim on jest. Nawet jeśli byłam coraz bardziej sfrustrowana.

Nigdy nie lubiłam zagadek. Chyba że w telewizji.

On także czuł frustrację. Kiedyś, w samym środku pieprzenia, uderzył mnie w twarz. Oddałam mu natychmiast, pięścią w szczękę. Słyszałam głucho uderzenie kości o kość.

A potem się całowaliśmy. Co za ulga.

Moje imię wypisane było małymi, drukowanymi literami na okładce zeszytu Irene. Patrząc na oprawę, czułam coś w rodzaju dumy, ale strach ogarniał mnie za każdym razem, gdy chciałam zajrzeć do środka.

Czego się bałam? Nie byłam pewna. Być może była to zwykła, dziecinna obawa, że mogłabym się doczytać przykrych rzeczy na swój temat.

W dniu naszego kolejnego spotkania zabrałam notatnik do Gristede'a, a potem nad rzekę, gdzie przysiadłam na mojej ulubionej ławce. Pismo Irene było dziwne i w pierwszej chwili prawie nieczytelne. Odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni wyglądało prawie tak samo jak normalnie. Przewracałam kartki, czując niemal ulgę, że nie jestem w stanie niczego odczytać. Wreszcie udało mi się odszyfrować hasło „oszczęd. \$”, a następnie (słowa zdawały się pochylać w moją stronę) „Kupiła apart, nr 198; b. dumna, zwł. z kanapy”. Rzeczywiście, pomyślałam, jestem dumna z mojej kanapy (to naprawdę wyborny mebel), ale czytanie o tym w czymś notatniku, sprawiło, że moja duma wydała mi się śmieszna. Zapamiętałam sobie, że nie powinnam więcej wspominać przy Irene o mojej kanapie.

Od tej chwili słowa nakreślone ręką reporterki zaczęły odkrywać się przede mną, najpierw powoli, a potem w coraz zwawszym tempie, jakbym szybko przebijała się przez mur. „Wcześ. rozw. poza twardzielki. Dlaczego? Uraz?” Później odczytałam: „Prawd., kompl. izolacja. Wygnanie? Samoudręczenie? Spyt. o rel.” Istotnie, przypomniałam sobie, że Irene pytała mnie o religię. Chciała, żebym opisała jej luterński zbór, do którego co niedziela chodziłam z rodzicami, bla, bla, bla. Czułam niepokój, czytając jeszcze raz pytanie, które już mi zadała. Zresztą wszystko to było niepokojące — jakbym słuchała

drugiej strony rozmowy, z której pamiętałam mgliście tylko swoje kwestie. Znalazłam wiele bazgrołów: statek pod żaglami, ciężarną kobietę z wielkim brzuchem leżącą pod kocem, kilkoro oczu o długich rzęsach, drzewa, figury szachowe... Były też listy spraw. „*Pralnia*”, brzmiało hasło na marginesie. Poniżej przeczytałam: „*Kupić: Windex, pap. ręczniki, nawóz do kwiatów, płatki, ravioli, sznurowadła*”. Nieco dalej: „*Dot. Marka: 1. Zaprosić J. M. na kolację. 2. Zapytać L. O zlec. 3. Prog. muz. na komp. Apple - ile \$\$\$? 4. Mark - psych.?*”

Biedny Mark, pomyślałam. Znałam to uczucie.

Mimo iż napotykałam coraz liczniejsze dowody na to, że umysł Irene rozważał często dość prozaiczne kwestie podczas naszych rozmów, czułam ulgę. Nie znalazłam niczego naprawdę negatywnego na swój temat. W jednym miejscu widniały nawet słowa : „*Nie taka suka, jak się wyd.*” Zapisała je na początku naszej wspólnej pracy, już na drugiej stronie notatnika. Wróciłam tam i tym razem bez większego problemu odczytałam zdania, z którymi pierwotnie nie umiałam sobie poradzić. „*Nie chce mówić. Potrzebuje \$\$ (Dlaczego ja?)*” Kilka wersów dalej: „*Bingo! Kłamała przedtem. Znała Z!*”. Na marginesie znalazłam numer telefonu, który wyglądał znajomo. Zainteresowałam się następnymi stronami, ale po chwili wróciłam w to miejsce. Co miała na myśli, pisząc, że „*klamałam przedtem*”? Kiedy „*przedtem*”? Przez chwilę wpatrywałam się w numer na marginesie, aż wreszcie sięgnęłam po komórkę i zadzwoniłam.

— Biuro pana Hallidaya — zameldowała sekretarka.

Rozłączyłam się szybko i, kompletnie skołowana, usiłowałam wymyślić taki scenariusz zdarzeń, w którym znajomość Irene i Hallidaya miała sens. Może spotkali się niedawno? Wynajęła go z jakiegoś powodu? Sama zapisałam jego numer w jej notatniku i zapomniałam o tym? Musieli poznać się niedawno; przecież ledwie kilka tygodni temu wspomniałam jej o Hallidayu i powiedziała mi, że go nie zna. Pamiętałam o tym doskonale. A kiedy podawałam się za Irene w obecności Anthony'ego, także nie zdradził niczym, że zna to imię i nazwisko. Mój mózg przetwarzał na najwyższych obrotach wszystkie te możliwości i okoliczności — daremnie. Skończyło się na tym, że gapiłam się bezmyślnie na słówko „*Bingo!*”, pełna jak najgorszych przeczuć.

Pluto pojawił się znikąd i stanął po mojej lewej stronie, wyraźnie podniecony. Byłam tak zajęta własnymi, niewesołymi myślami, że prawie go nie zauważałam. Musiałam najpierw dokończyć swoje sprawy. Wcisnęłam klawisz ponownego wybierania i tym razem odebrał Halliday.

— Skąd znasz Irene Maitlock? — spytałam, nie tracąc czasu na przedstawianie się. — Reporterkę „*Posta*”.

Pluto stanął tuż przede mną, ale zignorowałam go.

— To ja wysłałam ją do ciebie — odparł cicho Halliday.

— Po co?

— Mogłem ci o tym powiedzieć... I powiem, jeśli chcesz. Ale wolałbym, żeby Irene zrobiła to po swojemu.

Czułam się dziwnie. Bardzo nieprzyjemnie. Moje nowe życie było takie małe: Anthony i Irene stanowili wielką jego część. A teraz okazało się, że się znają — znali się od początku! — ale utrzymywali to w tajemnicy. Poczułam się tak, jakby otaczały mnie czyjeś groźne, skórzaste skrzydła.

Kiedy jednak pomyślałam o Irene, trochę mi przeszło. Ona nie była zdolna do knucia podstępów, była na to zbyt przezroczyista. Zbyt uczciwa. To po prostu nie było możliwe.

— W porządku — powiedziałam. — Pogadam z Irene.

— Zadzwonisz do mnie, Charlotte? Kiedy skończycie rozmawiać.

— Doskonałe pytanie.

Wyłączyłam telefon i przez chwilę siedziałam odrętwiała, gapiąc się na wodę. Pluto nie wytrzymał.

— Znalazłaś się w godnym zazdrości położeniu osoby, której inna ludzka istota zawdzięcza życie — oznajmił, tańcząc przede mną. — Powiedz, jak się z tym czujesz?



— Nikt nie zawdzięcza mi życia — odparłam.

— Ależ tak! — zawołał. — Pluto zawdzięcza ci życie — wyjaśnił, wyciągając z nienagannie zaprasowanej kieszeni czek na tysiąc dolarów, wystawiony przez Extra/Ordinary.com.

— Randall Joseph Smith — przeczytałam.

— Tak właśnie się nazywałem, kiedy jeszcze się nazywałem.

— O rany. Więc jednak cię przyjęli. — Robiłam wszystko, żeby wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu, choć przygniatały mnie zupełnie inne uczucia.

— Tyle lat oczekiwania i wreszcie stało się — mówił Pluto. — Dzięki tobie.

— Przestań to powtarzać. — Pluto zaczynał mnie wkurzać.

— Kocham Amerykę. Kocham ten przeklęty, szalony kraj.

Czy jest na świecie drugie takie miejsce, w którym tak piękne wariactwo może nagle wkroczyć do królestwa rzeczywistości?

— On to robi dla siebie. Nie dla ciebie.

— I tylko dlatego wciąż jeszcze mam w sobie odrobinę wiary! — odparował Pluto. — Gdyby miał robić to dla mnie, nie robiłby w ogóle. Oczywiście, że robi to dla siebie; to jedyna możliwość.

— Nie ufaj mu.

— Nie ufaj — powtórzył ironicznie. — Chcesz uczyć nieufności mnie, człowieka, którego co najmniej raz kopnął już każdy — mężczyzna, kobieta czy dziecko — obdarzony przez Stwórcę nogami obywatel tego miasta? Wiedz, że przeczytałam każde słowo umowy, zanim złożyłem podpis. Wziąłem ze sobą okulary i czytałem na miejscu, w tym jego przeklętym biurze. Trwało to ponad godzinę.

Jako że sama nie przeczytałam ani słowa umowy, nie miałam wyjścia: musiałam być pod wrażeniem.

— Zapłacił mi o wiele więcej niż tobie — oznajmiłam.

To zatrzymało na moment radosne płąsy Pluta. Patrząc na jego wahanie, czułam, że zachowuje się okrutnie tylko po to, żeby zepsuć mu całą przyjemność. A to dlatego, że wszystko w tej robocie było fałszem i nie powinien był wierzyć w jej powodzenie.

— Ponad siedem razy więcej — dodałam.

— To oczywiste — odparł Pluto, odzyskując względny spokój. — Akurat w tym momencie możesz być więcej warta niż ja. Zobaczmy jednak, jak to się skończy; mam szczerzy zamiar stać się numerem jeden na ich liście płac. — Przekrzywił głowę i spojrzał na mnie. — Wiem, co sobie myślisz, ślicznotko, ale wiedz, że mnie nie zranisz. Nie rozumiesz? Jestem odporny. Po prostu nie dasz rady, bez względu na to, jaką masz władzę. — Pluto odwrócił się i poszedł do namiotu po torbę z praniem.

— Ironia tego układu polega na tym. — ciągnął, wracając — że nawet mając w kieszeni te głupie pieniądze, nie mogę wynająć mieszkania. Muszę pozostać bezdomnym aż do chwili, gdy będę okropnie bogaty. Wtedy kupię sobie pałac z kafelkami w łazience, tak jak u ciebie. Myślę, że wybiorę portugalskie, z maleńkimi malowidłami. Na każdej będzie inna scena historyczna, z władcami Grecji, Babilonu i Afryki. Będę sobie stał pod prysznicem i patrzył na wariacką, fantastyczną ewolucję rodzaju ludzkiego. Ja będę podziwiał zalety naszej rasy, a gorąca woda będzie mi spływać po plecach.

— Nigdy nie widziałeś mojej kabiny prysznicowej — przypomniałam mu, ale on już odchodził, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Irene przyszła dokładnie o umówionej godzinie. Jak zwykle zamknęła za sobą drzwi, które zostawiłam dla niej otwarte. Miała na sobie pomarańczową sukienkę zalatującą kulkami na mole. Ładnie w niej wyglądała. Uniosłam w rękę jej notatnik.

— Co za ulga! — zawołała. — Dzwoniłam już do Thomasa, do restauracji, do... Gdzie go znalazłaś?

— W twojej torebce.

Irene szła już w moją stronę; teraz zatrzymała się jak wryta.

— Wyjęłaś go z mojej torebki?

— W pewnym sensie.

— Jak to „w pewnym...”? Albo...

— Tak.

— Charlotte, dlaczego?

— Chciałam go przeczytać.

— A cóż to za popieprzony pomysł?! — zawołała, po raz pierwszy używając mocniejszego słowa w mojej obecności. Dziwnie zabrzmiało w jej ustach. — Przecież wystarczyło poprosić. Pokazałabym ci go chętnie. Po co te podchody?

— Nie wiem — odparłam. — Naprawdę nie wiem, po co komu takie podchody, ale zamierzam się dowiedzieć. — I powiedziałam jej o numerze telefonu, o Anthonym Hallidayu i o „bingo”.

Odwróciła wzrok i jakby wyczerpana usiadła ciężko na meblu, którego nazwy postanowiłam nie wymieniać więcej w jej obecności.

— Powiedział, że zapewne sama zechcesz mi to wyjaśnić — dodałam.

Nie odezwała się. Rozmyślała przez bardzo długą chwilę.

— W porządku — powiedziała w końcu. — Zacznę od najgorszego. Powiem ci to prosto w oczy, dobrze? — Widziałam, że mimo wszystko waha się jeszcze. Od chwili, gdy pojawiła się w moim mieszkaniu, zbladła dość znacznie. — Nie jestem dziennikarką.

Wypluła te słowa szybko, a potem, jak mi się zdawało, czekała na ich niszczycielskie skutki.

— Ha — odparłam, ze wszystkich sił starając się zachować obojętność. W istocie jednak byłam zszokowana. Więcej nawet, nie wierzyłam własnym uszom. Nie umiałam wyobrazić sobie Irene jako kogokolwiek innego.

— Pracuję na uczelni — ciągnęła. — Jestem wykładowcą literatury porównawczej. Adiunktem — dodała szybko, jakbym nie wiedząc o tym szczególe, miała podejrzewać ją o dalsze matactwa. — Specjalizuję się w badaniu zjawisk kultury, a zwłaszcza wpływu literatury i filmu na ludzkie życie.

— Wyczuwałam, że stara się tak budować zdania, żeby być w stanie je pojąć. — Weźmy na przykład mafię. W jaki sposób kulturowy stereotyp członka tej organizacji wpływa na sposób poruszania się i mówienia takich ludzi jak John Gotti? W jaki sposób ta dodatkowa warstewka samoświadomości wpływa na ludzkie doświadczenia? To samo dotyczy policjantów — przecież oni też oglądają filmy kryminalne. W jaki sposób spostrzeżenia związane z tymi filmami wpływają na ich działalność zawodową?

— Detektywi — wtrąciłam, wpatrując się w czubek papierosa, którego trzymałam w dłoni.

— Właśnie. I powieści detektywistyczne. Gatunek prawie tak stary jak sam zawód; w tym przypadku literatura i życie splatają się ze sobą nieomalże od początku.

— Detektywi piszą książki — dodałam ponuro.

— Zgadza się — przytaknęła. — Zaskakująco wielu decyduje się na pisanie kryminałów, zupełnie tak, jakby twórczość była naturalnym następstwem bycia detektywem. Chyba... wiesz już, do czego zmierzam.

Robiła wywiad z Hallidayem, kiedy przygotowywała pracę na temat detektywów. Zapytała go, czy mogłaby przez kilka tygodni poobserwować go przy pracy. Zadzwoił do niej kilka dni później, działając pod wpływem impulsu, i zaproponował jej poznanie zawodu detektywa od środka: przesłuchanie opornego świadka w sprawie związanej z zaginięciem pewnej osoby. Wymyśliła sobie na tę okazję historyjkę o dziennikarce, która szuka modelki z gruntownie zmienioną twarzą. Dzwoniła, póki nie trafiła do mojej agencji, gdzie sprzedawała swoją opowieść Oscarowi, a ten, zrozpaczony moim położeniem, bez trudu dał się wciągnąć w pułapkę. Zaraz potem sfabrykowała sobie wizytówkę w samoobsługowej maszynie i zapukała do moich drzwi.

— W tamtej chwili nie byłaś dla mnie realną osobą, Charlotte — powiedziała. — To był tylko niezręczny eksperyment; próba w stylu „przeżyj to sam”.

Podczas pamiętnego „wywiadu”, z początku czuła się dość bezpiecznie, oddzielona ode mnie warstwami nieszczerości, ale ta osłona znikła z każdą chwilą, by wreszcie pozostawić ją bezbronną. W końcu poczuła wyrzuty sumienia, że dała się namówić na coś takiego.

— Nie wiem, czy to pamiętasz — mówiła — ale powiedziałaś wtedy: „Czy możesz spojrzeć mi w oczy i przysiąc na życie twojego męża, że wszystko, co mówisz, jest absolutną prawdą?” Pomyślałam: o mój Boże, zabierz mnie stąd jak najprędzej!

Podle się czuła po spotkaniu ze mną. Do tego stopnia, że swoją pracę o detektywach kończyła w towarzystwie innego profesjonalisty, bowiem nie miała sumienia wracać do Hallidaya.

— Muszę przyznać, że zachował się uroczo. Poczul się fatalnie, kiedy usłyszał, że ja czuję się fatalnie.

— Więc nie było żadnego artykułu? — spytałam, nie do końca rozumiejąc to, co do mnie mówiła.

— Owszem, artykuł był, ale nie o modelce. I na pewno nie dla „Posta”. Nawet nie czytuję tej gazety.

— I wizytówka też nie była prawdziwa?

— Wszystko było fałszywe, Charlotte. To właśnie próbuję ci powiedzieć.

— Ale skąd wzięłaś te pytania do mnie? Irene spojrzała na mnie z troską.

— Wymyśliłam je. A wszystko po to, żeby skłonić cię do mówienia o Z. To jasne, że nie poszło mi zbyt dobrze — w zasadzie nie miałam pojęcia, co robię.

— Rozumiem — powiedziałam. Ale nie rozumiałam. Irene Maitlock, reporterce, ufałam bezgranicznie. Tej nowej kobiecie, która siedziała obok mnie, jakoś nie mogłam uwierzyć.

Aż wreszcie, mówiła, zadzwoniłam do niej z nienacka i zażądałam ponownego spotkania. Próbowała się wyslizgać, ale kiedy oznajmiłam jej, że idę do jej „redakcji” z fałszywą wizytówką (wydrukowaną nielegalnie, za to z jej prawdziwym numerem telefonu) postanowiła odwiedzić mnie w moim mieszkaniu. Kiedy już tu dotarła, praktycznie pierwsze słowa, które usłyszała, dotyczyły człowieka poszukiwanego przez Hallidaya.

— Słuchałam więc — powiedziała Irene. — Byłam zaintrygowana, to oczywiste, bo pamiętałam, że właśnie ten gość zaginał bez wieści. Ale później, kiedy wróciłam do domu, wszystko wydało mi się jakoś zbyt gładkie. Zastanawiałam się, czy nie dałam się wciągnąć w jakiś nowy plan Anthony'ego. Może współdziałaliście, próbując namącić mi w głowie?

Znałam to uczucie. Dopiero teraz, nareszcie, dostrzegłam prawdę, oczywistą jak ostatnie, krytyczne ruchy pasjansa. Halliday szukał informacji o Z. Wysłał po nie Irene. A ja, w ciągu zaledwie dwóch miesięcy, powiedziałam jej wszystko.

— Więc zadzwoniłaś do niego — odezwałam się grzecznie.

— Tak.

— I przekazałaś mu to, co usłyszałaś ode mnie.

— O kablu pod koszulą. Tak.

— I?

— I poznałam po jego reakcji, że nie miał z tym nic wspólnego.

— Pewnie był poruszony. Wreszcie dostał odrobinę informacji.

— Był... zainteresowany. Powiedziałam mu jednak, że dalej ma sobie radzić sam. I że to nasza ostatnia rozmowa.

— A poza tym sprzedasz mi most brooklyński, jeśli tylko zechcę, co?

Irene westchnęła ciężko.

— Mówię prawdę. Możesz mi wierzyć lub nie.

— Ty mała suko! — wrzasnęłam, zrywając się na równe nogi.

Wyglądała na przerażoną, dokładnie tak, jak wyglądałaby ta druga Irene, reporterka. Ale ja już nie dałam się nabrać.

— Charlotte, naprawdę chciałam ci o wszystkim powiedzieć! — zawołała. — Okłamując cię, czułam się po prostu fatalnie. Ale im dłużej zwlekałam, tym trudniejsze wydawało mi się wyznanie prawdy. Robiło się coraz dziwniej i w końcu pomyślałam: a właściwie jakie to ma znaczenie? W końcu to, co razem robimy, dotyczy ciebie. Czy to ważne, czym ja się zajmuję?

— Jasne, że ważne — odparłam z naciskiem. Teraz wyglądała inaczej: była śmielsza, mniej skrępowana. Zastanawiałam, czy ta jej rezerwa, powściągliwość, którą brałam za przejaw uczciwości, nie była tylko żalostną próbą ukrycia prawdy.

— Powtarzałam sobie w duchu, że ze wszystkich ludzi akurat ty powinnaś zrozumieć mnie najlepiej — mówiła Irene. — Gdybyś znała fakty.

— I rozumiem — podchwyciłam. — Rozumiem, że jesteś dokładnie taka sama jak inni. Kłamiesz, mówisz to, co jest ci wygodnie powiedzieć, jesteś jeszcze jedną zimno kalkulującą zdziwą w świecie, który jest ich pełny.

— Taką jak ty?

— Tak, właśnie taką. Różnica polega na tym, że ja nikogo nie udaję.

— Ja też nie!

— Ale udawałaś! I nadal udajesz. Spójrz na siebie, na te twoje potargane kłaki, na podarte spódnice i na mężulka-geniusza, który najwyraźniej nie umie zarobić ani centa! Przyszłaś do mnie jak święta, która w życiu nie umiałaby skłamać; jak ostatnia uczciwa osoba na Ziemi!

— Wymyśliłaś sobie tę postać — odparła ze złością. — Ja nigdy taka nie byłam.

— Taką cię wołałam.

— Więc znajdź sobie kogoś innego, kto zagra jej rolę — powiedziała, wstając energicznie. — Ja już skończyłam.

— Idź! — krzyknęłam. — I zabierz ze sobą to mieszkanie. I kanapę. Czy jest choć jedna zasrana rzecz, która jeszcze mi pozostała? Jeśli tak, to zabierz ją sobie! — Wiedziałam, że gadam od rzeczy. Czułam się, tak, jakbym miała zemdleć.

Wpadłam do sypialni i rzuciłam się na łóżko, twarzą w poduszkę. W pokoju było ciemno. Słyszałam brzęczenie pod czaszką. Doświadczyłam w życiu wielu słownych bitew, gwałtownych starć i głośnych dysput, ale po tej czułam się naprawdę fatalnie. Poniosłam stratę, na którą nie było mnie stać. Po kilku minutach Irene weszła do sypialni.

— Przepraszam, że cię zraniłam — powiedziała z wysiłkiem, stając po mojej prawej stronie.

— Zraniłaś — parsknęłam.

— No, pozbawiłam złudzeń.

— Nie mam ich od dawna.

— Więc żałuję, że nie jestem tą osobą, za którą mnie miałaś — szepnęła smutno. — Mam wrażenie, że kiedyś taka byłam.

— A ja żałuję, że ci wierzyłam — mruknęłam w odpowiedzi.

Na dłuższy czas zapadła cisza i zaczęłam się zastanawiać, czy Irene jeszcze jest przy mnie. Nie zamierzałam sprawdzać.

— Tak czy inaczej, istnieje milion powodów do niekontynuowania naszej współpracy — odezwała się w końcu. — Ten jest milion pierwszy.

Otworzyłam oczy w momencie, kiedy jej sylwetka zniknęła za drzwiami. Słyszałam jeszcze, jak zbierała swoje rzeczy (marynarkę, torebkę i notes) — tak wyraźnie, jakby robiła to w mojej głowie — a potem jej kroki zaszurały na miękkim dywanie. Bez trudu otworzyła niezliczone zamki, wyszła i sprawdziła, czy zatrask zadziałał jak należy.

Leżałam bardzo długo, nim wreszcie postanowiłam usiąść. Nierówności pościeli odbiły się wiernie na moim policzku. Irene miała rację. Kimkolwiek była, nasze podobieństwo było zdumiewające. Zrobiła dokładnie to, co ja uczyniłabym na jej miejscu. Uderzyło mnie to, jak gorzkim, niemal nieznośnym rozczarowaniem była dla mnie jej postawa. Nie chciałam, żeby Irene była taka sama jak ja. Pragnęłam, żeby miała wszystkie te cechy, których ja już — a może raczej nigdy — nie posiadałam, abym w jej towarzystwie mogła chociaż udawać, że je mam.

Zadzwoniłam do niej. Zrobiłam to, zanim jeszcze leniwy, miejski autobus miał szansę dowieźć ją do West Side, gdzie mieszkała. Odebrał jej mąż, z którym nigdy nie rozmawiałam.

— Charlotte? — spytał niespokojnie, kiedy poprosiłam Irene. — Myślałem, że jest u pani...

W połowie moich wyjaśnień odezwał się sygnał na drugiej linii. Dzwonił Halliday.

— Charlotte... — zaczął.

Bez słowa odłożyłam słuchawkę.

## Rozdział czternasty

Tam? — spytała Charlotte, mrużąc oczy za spryskanymi deszczem szklami okularów. Na północy, w oddali, za wektorami mostów kolejowych, zobaczyła kurtynę spadającej wody. Tamę. Wyglądała jak szorstka powierzchnia wielkiego bąbla. — To ona, prawda?

Moose skinął głową, stając bliżej dziewczyny w swym pomarańczowym, plastikowym płaszczu przeciwdeszczowym.

— Kiedy zbudowana?

— W tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim.

— Przez...?

— Water Power Company.

— Pierwsza firma, która skorzystała z mocy?

— Clark & Utter.

— Ich najślawniejszy produkt?

— Żniwiarka „Manny”.

Zadowolony Moose zaczął iść, zmagając się z wiatrem, który omal nie zerwał z niego plastikowego okrycia. Kierował się na północ, wzdłuż śliskiego nabrzeża, z energią, której przyrost Charlotte obserwowała z każdym mijającym tygodniem. Było późne, kwietniowe popołudnie. Z trudem dotrzymywała kroku wujowi.



W jednej z hal opodal mostu przy Morgan Street wciąż jeszcze istniała fabryka. Dwaj robotnicy w granatowych kombinezonach chronili się przed deszczem w jej bramie. Sposób, w jaki spojrzeli na dwoje ludzi wędrujących brzegiem, sprawił Charlotte przyjemność. Pochlebiało jej to, że ktoś mógł wziąć ją i Moose'a za parę; dzięki temu łatwiej jej było znieść to, że nikt nigdy nie miał zobaczyć jej u boku Michaela Westa. Dwa tygodnie wcześniej wybrała się do Baxter pod pretekstem spotkania z koleżankami, ale tak naprawdę chciała zobaczyć tylko jego. Była ciekawa, jak to będzie, kiedy ujrzą się w świetle dziennym, w miejscu, które oboje znali. Wędrowała korytarzami, aż wreszcie dostrzegła go w jednej z sal. Siedział za biurkiem i rozmawiał z dwoma młodszymi od niej chłopcami. Stała w drzwiach i czekała, aż skończą. Jeżeli się uśmiechnie, to znaczy... Michael posłał jej zimne, obojętne spojrzenie ponad głowami chłopców.

— Mogę ci w czymś pomóc? — zapytał głosem tak obcym, jakby naprawdę był nauczycielem, którego pierwszy raz widziała. Zmartwiła, zdezorientowana, zastanawiała się, czy to na pewno mężczyzna, którego zna.

— Nie — odparła i wyszła ze szkoły, drżąc na całym ciele. Nawet nie próbowała odszukać koleżanek, których nie widziała od tygodni.

Nie rozmawiali później o tym zdarzeniu.

Jej wuj wskoczył na wilgotną wysepkę kamieni i mułu, otoczoną oleistymi falami Rock River. Wskazał ruchem głowy na ujście strumienia Kenta, muskularne i kręte ramię wód dzielących łąd.

— Wiesz, co tam jest?

— Oczywiście, że wiem — odparła Charlotte i na tym poprzestała, by podroczyć się trochę z nauczycielem.

Moose uśmiechnął się do niej. Krople deszczu spływały po jego zbyt długich włosach do oczu i dalej, niczym lży, by zniknąć w szpeciniastej brodzie.

— Tak?

— Tak!

— Więc może zechciałabyś, jak to mówią, poprzeć to twierdzenie faktami?

— „Półmetek” — odpowiedziała. Tak nazywała się osada, którą Germanicus Kent założył w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku. Rzeczywiście, znajdowała się w połowie drogi między Chicago a Galeną.

— Mów dalej — zachęcił Moose.

— Lewis. — Tak brzmiało imię niewolnika, który towarzyszył Kentowi w wędrówce na północ i zasłużył sobie na wolność po ponad czterech latach pracy.

— Coraz lepiej.

— Tysiąc osiemset trzydzieści osiem. — W owym roku Kent zbudował tartak, pierwszy zakład przemysłowy w Rockford. Ulokował go w lesie, nad strumieniem, zaledwie o kilkadziesiąt jardów od miejsca, w którym teraz stali.

— Bingo — stwierdził Moose.

Teraz, naturalnie, nie było tu ani puszczy, ani tartaku, tylko opuszczone hale fabryczne i puste podwórza, poprzerastane chwastami chodniki i nieczynne kominy, sterty starych śmieci i parciejących opon, a także bardzo nieliczni robotnicy w wysokich, czarnych gumiakach. Kiedyś nazywano to miejsce Water Power District — to tu, na zachodnim brzegu rzeki, nieco na południe od dawnego centrum, Clark i Utter zbudowali pierwszą odlewnię, a John Manny konstruował swoje żniwiarki, to tu (w tym czy innym momencie historii miasta) produkowano młockarnie, tokarki do drewna, wiertła, piece gazowe, skarpetki, papier, farby i pianina. Ostatniej wiosny, gdy Charlotte siedziała mniej więcej w tym samym miejscu nabrzeża z Roselyn i szkolną paczką, popijając old style'a, wydawało jej się, że znalazła się w samym środku pustki. Nigdzie. Trudno jej było przypomnieć sobie to wrażenie, tak wiele dostrzegła znaków i pamiątek przeszłości; mrugały do niej z każdego zakątka, jak żyły cennej rudy w ścianie kopalni. Samo przebywanie w tym miejscu, które tak wiele razy oglądała na mapach wuja, przyprawiało ją o dreszcze.

— Tamtędy płynęła struga napędzająca koło łopatkowe — powiedziała Charlotte, wskazując na północ, w stronę rozległego parkingu.

— Dokładnie — przytaknął Moose.

— Tam, w narożniku placu, stała siedziba firmy meblarskiej Central Furniture Company, wzniesiona w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym...

— Doskonale! — zawołał zaskoczony Moose.

— ...przez E. R. Herricka i L. D. Upsona...

— Świetnie!

— ...wkrótce po pożarze innej fabryki mebli, należącej do Upsona.

— Wspaniale! — wykrzyknął Moose i obdarzył Charlotte spojrzeniem, które rezerwował wyłącznie dla niej — czułym i pełnym radości — i za którym tęskniła, gdy nie widziała go przez zbyt długi czas.

Sukces przyszedł bez trudu. Jej umysł z łatwością wychwytywał i przechowywał informacje — zawsze tak było. Dzięki temu wiedziała teraz więcej o dziejach Rockford niż o rybach mórz tropikalnych. Fakty kłębiły się w jej pamięci, czekając na okazję, by wydostać się słowami na wolność. Ich znaczenie było drugorzędne, czasem wręcz zerowe; historia stała się idiomem, dzięki któremu dziewczyna mogła porozumieć się z wujem. Żartowali i kpili z siebie językiem historii, pojedynkowali się faktami lub pozwalali im przepływać swobodnie, jakby były pustymi, lekkimi słowami. Moose stawiał przed siostrzenicą coraz to nowe wyzwania, zadając szczegółowe pytania, jakby się obawiał, że jej umysł może zdryfować ku innym sprawom (co zresztą często było prawdą), a ona odpowiadała mu z kojącą rzeczowością i precyzją. Czuła się wtedy tak, jakby wpadała w stan hipnozy. Niekiedy miała problem z przestawieniem się z języka historii na normalną codzienną mowę.

— Pójdźmy torami — zakomenderował Moose i skręcił w stronę Morgan Street. Tor linii Illinois Central (jednej z czterech, które dzieliły Rockford na części) przecinał ją pod kątem. Pociągi towarowe zatrzymywały się w mieście dość rzadko. — Tędy dojdziemy aż do starego dworca — wyjaśnił, stając między szynami.

Tryskał energią, pełen nowej witalności, która sprawiała, że wiecznie wyglądał tak, jakby się spieszył. Charlotte z trudem przypominała sobie człowieka, który spoczywał bez ruchu za biurkiem i omal nie zasypiał, słuchając, jak czyta swoje prace. Teraz był zupełnie inny: poruszał się żwawo, niemal marszowym krokiem, i nawet na korytarzu przed swym gabinetem i w holu głównym budynku uczelni wykrzykiwał to, co miał jej do powiedzenia. Czasem zabierał Charlotte na wyprawy, podczas których niczym detektywi próbowali badać relikty przeszłości Rockford: dawną szwedzką dzielnicę wokół Kishwaukee Street czy fabrykę Esterline Whitney (jedną z ostatnich czynnych jeszcze wytwórni narzędzi). Byli też w Midway Village, a ściślej w Muzeum Przemysłu, gdzie Moose opowiadał siostrzenicy o produktach z czasów świetności Rockford z taką swadą, że wszyscy zwiedzający (czyli czworo gości z Des Moines i dwoje z Cincinnati) grzecznie spytali, czy mogliby dołączyć do wycieczki.

W każdy piątek (od stycznia spotykali się raz w tygodniu), gdy Charlotte pojawiała się u jego drzwi, na twarzy Moose'a rozkwitał wyraz błęgiego szczęścia. Dziewczyna wyczuwała w nim silny puls oczekiwania, od którego bolała ją głowa. Nabierała coraz głębszego przekonania, że pewnego dnia wuj objawi jej jakąś prawdę; zdradzi najgłębszą tajemnicę, która nie miała nic wspólnego z Rockford. Tajemnicę własnej osoby.

Moose doprowadził ją torami aż do Main Street, minął most nad strumieniem Kenta i pognął dalej, do starego i opuszczonego dworca kolejowego. Budynek był otoczony siatką. Wszystkie szyby w oknach dawno zostały wybite i tylko niektóre zastąpiono dyktą; w innych pozostały ostre odłamki szkła. Napis „Stacja Towarowa Northern Illinois Central” na żółtych ceglach był zatarty, ledwie widoczny.

— Powstanie kolei żelaznej przyczyniło się do zmiany kształtu kobiecych sukni — powiedziała Charlotte takim tonem, jakby prowadzili swobodną rozmowę. — Zniknęły obszerne obręcze, a zaczęto stosować turniury, dzięki czemu pasażerki łatwiej mieściły się w wąskich przejściach wagonów.

— Był taki czas, kiedy każdego dnia zatrzymywały się w Rockford dwadzieścia trzy pociągi osobowe — mruknął Moose w odpowiedzi.

Spojrzał na Charlotte w charakterystyczny sposób, jakby czynił aluzję do ich milczącego porozumienia, które stało się dla niego takim pewnikiem, że nie miała odwagi spytać, co właściwie jego zdaniem powinna rozumieć. Odwzajemniła spojrzenie najlepiej jak umiała. Nie cierpiała sprawiać mu zawodu.

— Zdarzyło ci się kiedyś wsiąść do pociągu na tej stacji? — spytała.

— O, tak — odparł i wskazał ręką na nieco nowocześniejszy, również opuszczony budynek, stojący po drugiej stronie ogrodzenia, nieco bliżej torów. — To był dworzec pasażerski.

Zanurzył się we wspomnieniach: o tym, jak mknął po moście nad Grape Island, jak zaglądał na podwórza pełne schnącej bielizny i mijał przejazdy, przy których, jak się zdawało, zawsze ta sama grupa dzieciaków czekała z rowerami i machała rozpędzonym pociągom. Ale Moose nie zamierzał o tym mówić. Musiał uważać — Charlotte zawsze próbowała szukać osobistych tropów. W tym kraju bez historii była to powszechna przypadłość. Zwłaszcza w czasach, gdy zacierały się granice czasu i przestrzeni oraz przyczyn i skutków. Ludzie szukali punktów orientacyjnych i instynktownie uzupełniali brak prawdziwej historii niedoskonałą, nędzną namiastką — historią osobistą.

— Jeździłeś z mamą i z tatą? — spytała Charlotte. — Pociągiem do Chicago?

— Tylko z tatą — odparł Moose.

Ach, te niecierpliwie wyczekiwane wyprawy! Klub uniwersytecki przy Michigan Avenue. Pierwsze pływanie w bardzo starym basenie, z którego buchały opary chloru. Woda była jak mleko, a starzy mężczyźni o żółtej skórze wolno przemieszczali się wzdłuż torów, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami. Później lunch z ojcem w sali wyłożonej drewnem. Oczy zamglone od chloru i ciężkie, zimne sztucce w dłoniach. Na deser maliny w srebrnym pucharku, z małymi kawałkami lodu.

Nie, nie zamierzał o tym mówić. Ani myśleć. Czuł się lekko oszołomiony brakiem snu. Stary problem, w ostatnich tygodniach powracający w coraz bardziej niepokojącym natężeniu: bezsenność, liczenie oddechów Priscilli albo nie kończące się spaceru po salonie pełnym księżycowej poświaty. Czasem wychodził z domu w środku nocy i kilometrami wędrował wzdłuż State Street, prac wciąż na wschód, po opustoszałych parkingach przed supermarketami. Szedł w stronę drogi międzystanowej (stare dzielnice miasta były niebezpieczne o tej porze), nie przejmując się brakiem chodników tam, gdzie nie powinno ich brakować, ani gwałtownymi podmuchami wichru wzbudzanych przez rozpędzone dwudziestoczerokołowce. Od stycznia — czyli niemal od czterech miesięcy — Charlotte balansowała na krawędzi olśnienia. Moose czekał na tę chwilę, kiedy dziewczyna zrobi wreszcie ostatni krok i runie nieodwołalnie w otchłań zrozumienia, w wir jego wizji, a niecierpliwość przyćmiła w nim niemal wszystkie inne uczucia.

Właściwie nie przestawał mówić, zasypując siostrzenicę niezliczonymi faktami na temat linii kolejowej, którą właśnie podziwiali.

— Illinois Northern i Central... pierwszy pociąg do Rockford piątego sierpnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku, po serii potyczek zwanych Wojnami Kolejowymi... pierwszy ładunek: przędza dla Nelson Knitting Company... arbuzy z Teksasu...

Stare tory ginęły gdzieś w oddali, a ich coraz cieńsze nitki połyskiwały na deszczu, w zaskakujący sposób przypominając ścieżki elektronicznego obwodu. Nieufność, z jaką Moose odnosił się do świata obwodów była jedną z przyczyn jego nostalgii za pociągami, za ich hałasem, za ich widokiem, za ich fizycznym istnieniem. Raz za razem

wspominał Charlotte o rzeczach — arbuzach, ziarnie, bydło, sznurkach, młockarniach, kombajnach, dłutownicach, wyrzynarkach, filtrach kominowych, pierścieniach tłoków i elewatorach zbożowych. Były to obiekty istniejące w czasie i przestrzeni. Tak się jednak złożyło, że przedmioty materialne straciły swoją wartość dawno temu, a ich produkcję zepchnięto do krajów, w których ludzie godzili się wytwarzać je za mniejsze pieniądze. Tymczasem informacja była odwrotnością rzeczy — nie miała kształtu, położenia czy części składowych. Nie miała kontekstu. I żadnej historii, poza osobistą. Moose wiedział, że Charlotte jeszcze tego nie dostrzegała. Była na to zbyt szczęśliwa.

Rumieniła się i uśmiechała spod jasnożółtego kaptura. Kopała kamienie. A on czuł nieznośną niecierpliwość, zastarzały gniew, który gotował się w nim i przenikał drzeniem całe ciało, jak uczucie towarzyszące wbijaniu zębów w drewno, lód czy folię aluminiową. Poprzedniego wieczoru powiedział Priscilli (patrzacej na niego z niepokojem, który go zirytował), że osiągnął w życiu ten punkt, kiedy nie może już dłużej czekać. Zbyt długo pozostawał pasywny od czasu wypadku w Yale. Zbyt łatwo godził się na ograniczenia, które mu narzucano! Owszem, naraził wtedy życie dwudziestu czterech studentów oraz własne. Był gotów przyznać się do metodologicznej porażki tamtego eksperymentu. Ale od tamtej pory jego sposób nauczania znacznie się zmienił — wystarczyło spojrzeć na Charlotte. Tak blisko, tak bardzo, bardzo blisko! Teraz zaś przyszedł czas na przyspieszenie.

— Wujku Moose — odezwała się Charlotte.

— Tak! — Dziewczyna drżała w coraz silniejszym deszczu. Już nie kopała kamieni. To był postęp. — Tak, chodźmy dalej.

Poszli na północ wzdłuż Main Street — niegdyś głównej arterii Rockford, a obecnie pustawego zaułka pełnego zaniedbanych garaży i ramp wyładowniczych. Zimny deszcz znalazł drogę za kołnierz kurtki Charlotte; dzinsy lepiły się do nóg. Dostrzegła w oddali witrynę podejrzanego baru, z wyblakłą reklamą Old Style nad drzwiami. Chciała, żeby Moose zaprowadził ją właśnie tam.

Ale on skręcił już na pusty parking, gdzie spod zaniedbanego asfaltu prześwitywały grzbiety ciemnych cegieł. Znowu zbaczał w kierunku rzeki. Znaleźli się na północ od tamy; Charlotte słyszała nieustający huk spadającej wody. Ni stąd, ni zowąd poczuła zmęczenie. Pokonała ją niebywała wytrzymałość Moose'a.

— Chodź! — zawołał, przekrzykując szum deszczu. — Stamtąd będziemy mieli widok na zaporę... — Szedł wąską ścieżką znikającą w krzakach pełnych śmieci, wśród których dostrzegła brudną, dziecięcą koszulkę. Było to jedno z takich miejsc, w których policja znajduje zwłoki zamordowanych. Charlotte poczuła, że nagle wyrasta w niej ściana oporu.

— Wujku Moose! — odrzyknęła, składając ramiona na piersi. — Zimno mi!

Moose odwrócił się, stwierdził, że siostrzenica nie idzie jego śladem, i natychmiast zaczął się cofać, rozgarniając butami gnijące listowie. Spojrzała na niego przez zaparowane szkła. Ramiona skrzyżowane na piersiach. Sygnał oporu. Zniecierpliwienie, które ogarnęło Moose'a, graniczyło z atakiem szału; bezlitosnej, cielesnej żądzą zmiążdżenia niewinności Charlotte. Unicestwienia jej. Zdumiała go ta reakcja. Nie, pomyślał, nie. Przecież chciał ocalić dziewczyną przed ślepotą świata. W jednej chwili ogarnęła go fala wręcz odwrotnych uczuć: teraz pragnął stać przy Charlotte i bronić jej przed każdym, kto chciałby ją skrzywdzić.

— Zimno ci... Zimno. No tak, naturalnie — mrucał, wracając. — Chodźmy więc gdzieś, gdzie jest ciepło. Znajdźmy sobie miejsce... — Wciąż jeszcze kręciło mu się w głowie po nagłym wahnięciu niezrozumiałych emocji.

Charlotte wyciągnęła rękę w stronę baru.

Rozczarowanie jej wuja stało się niemal namacalnym ciężarem, kiedy szli w kierunku lokalu. Żałowała już, bo nie cierpiała sprawiać mu zawodu.

— Oświetlenie gazowe pojawiło się w Rockford w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym — zagadnęła nieśmiało, lecz Moose był zbyt rozkojarzony, by odpowiedzieć. — Telefony w tysiąc osiemset osiemdziesiątym. W tym samym roku powstała pierwsza firma przewozowa używająca elektrycznych tramwajów.

Moose wreszcie na nią spojrzał.

— Telegraf?

— Tysiąc osiemset czterdzieści osiem. Fonograf: tysiąc osiemset siedemdziesiąt siedem.

— Czas urzędowy? — Wyczuwała, że wuj jest coraz spokojniejszy.

— Tysiąc osiemset osiemdziesiąt trzy — odpowiedziała z ulgą. — Dzięki kolejom. Wcześniej każdy, kto podróżował ze Wschodniego Wybrzeża na Zachodnie, musiał przestawiać zegarek dwiście razy.

— W rzeczy samej — mruknął Moose, bardzo wolno wracając do siebie po ukrytym ataku wściekłości. Ten wybuch nie był jego; nie miał nad nim władzy. — W rzeczy samej.

W porównaniu z pustymi ulicami, salka baru wprost tętniła życiem. Mniej więcej dwa tuziny robotników w granatowych drelichach tłoczyło się przy szerokim, wilgotnym barze. Wszyscy gapili się na ekran zawieszony wysoko telewizora. Drużyna White Sox rozgrywała mecz na jakimś dalekim, zalanym słońcem boisku. Pojawienie się nowych gości wyrwało z transu niektórych bywalców lokalu. Moose zatrzymał się na progu, żeby wycisnąć wodę z długich włosów i zwinąć mokre, plastikowe poncho w pomarańczową kulę.

— Moose — odezwał się barman. Był chudy, miał rzadkie włosy i blond wąsy. Lekka wklęsłość twarzy zdradzała poważne braki w uzębieniu. — Kopę lat.

Przez kilka niebezpiecznych chwil Moose wpatrywał się w niego nieprzytomnym wzrokiem.

— Teeter — odezwał się wreszcie (ku uldze Charlotte) i uśmiechnął się niepewnie. — Jakie to dziwne, że spotykamy się akurat tutaj.

— Dziwne? — Teeter wypluł to słowo jak pestkę. — W czerwcu minie czternaście lat, jak tu siedzę. Zdążyłem zostać współwłaścicielem.

Moose dokonał prezentacji. Jim Teeter. Moja siostrzenica.

— Chodziliśmy razem do szkoły — zwrócił się do Charlotte dziwnym, ironicznym tonem, który zabrzmiał dość nieprzyjemnie, ale w istocie był tylko przejawem zdenerwowania.

— Siostrzenica — powtórzył Teeter. — Lepiej, żeby była starsza, niż na to wygląda.

Charlotte zauważyła, że jej wuj zmarszczył brwi, jakby dwuznaczny komentarz znajomego zrobił na nim mocne, nieprzyjemne wrażenie.

— Poproszę colę — powiedziała, zwracając się do barmana. — Weszliśmy tylko, żeby uciec przed deszczem.

— Zaraz podam — odparł Teeter. — A co dla ciebie, Moo-man?

Moose skrzywił się, słysząc przewisko.

— Piwo — odpowiedział. — Wszystko jedno jakie.

— Może być old style? — Teeter już pociągał za kurek. — Powiedz lepiej, gdzie się podziewał przez te wszystkie lata.

— Ostatnio uczę historii w college'u — odparł Moose z wielkim wysiłkiem. — Ożeniłem się po raz drugi.

— Ile masz dzieci?

— Ani jednego.

Teeter spojrzał na Moose'a z ukosa, a potem posunął piwo i colę po grubo lakierowanym barze. Charlotte zdążyła już zapomnieć, jak nieswojo czuł się jej wuj w kontaktach z innymi ludźmi. Przypomniały jej o tym drżące dłonie, którymi podnosił kufel do ust.



— A pan ma dzieci? — spytała Teetera, chcąc zdjąć z barków Moose'a ciężar prowadzenia rozmowy.

— Troje — odparł niewesoło barman. — Żona spodziewa się czwartego. Chyba powinienem zasadzić na podwórzu drzewo dolarowe. — Moose nie reagował. Wpatrywał się w ekran telewizora. — Boom gospodarczy, co? — ciągnął Teeter. — Codziennie przybywa nam jeden milioner. Zdaje się, że ja zapomniałem wyciągnąć numerkę i stanąć w kolejce.

— Szkoda gadać — wtrącił niespodziewanie Moose. — Wiesz, że jeżdżę kombi z siedemdziesiątego ósmego?

— Mój jest z osiemdziesiątego drugiego — parsknął Teeter.

— Zielony; wygląda jak ostatnie gówno.

— Ja mam niebieskiego — dodał Moose i wyszczerzył zęby.

— Z drewnianymi panelami!

— Nie gadaj! Jasna cholera, tu mnie przebiłeś! — zawołał Teeter i obaj roześmiali się z ulgą. — Popatrz no, stary. Trzydzieści lat minęło i nic.

Moose sprawiał wrażenie zdziwionego. Charlotte wyczuła, że przez chwilę próbował wychwycić sens słów Teetera. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił powoli i z naciskiem.

— Jeżeli masz na myśli ogólniak, to skończyliśmy go dwadzieścia trzy lata temu.

— Dwadzieścia, trzydzieści. Co z tego?

Moose dopił piwo i odstawił ciężki kufel na ciemny blat.

— Słusznie — odparł głosem pełnym napięcia. — Co z tego?

— Powinniście zamówić jakąś zupę. Na dworze leje jak z cebra.

— Usiądźmy — zaproponowała Charlotte. Chciała odciągnąć wuja jak najdalej od Teetera i baru. Była jedyną kobietą w lokalu, jeśli nie liczyć kelnerki w średnim wieku, w krótkiej spódnicy i tenisówkach, której różowa szminka rozlewała się na drut kolczasty zmarszczek okalających jej usta. Tłum mężczyzn obudził w Charlotte nieznane jej poczucie bycia dziewczyną; czuła się tak jak jej koleżanki w stołówce East High, z ich wypiętymi piersiami, bransoletkami i nastroszonymi włosami podobnymi do liści na drzewach. Czuła, że podobną rolę pełnią teraz jej okulary, mokre końcówki włosów i bursztynowy wisiołek, który przezornie wyciągnęła spod swetra i który bujał się teraz między kłapami jej rozpiętej kurtki. Kierując się w stronę wolnego stolika, przechwyciła spojrzenie młodego, czarnoskórego mężczyzny siedzącego pod przeciwległą ścianą. Uśmiechnęła się do niego.

Po chwili kelnerka przyniosła sfatygowane menu i drugie piwo dla Moose'a. Charlotte przetarła okulary i nie założyła ich z powrotem, pozwalając, by sala zacieśniła się wokół niej.

— Chodziłeś z Teeterem do East? — zagaiła.

— Tak — odparł markotnie Moose. Spotkanie z barmanem odebrało mu siły. — Graliśmy razem w futbol.

— Wygrywaliście?

Moose milczał przez moment.

— Zdobyliśmy mistrzostwo stanu. Byłem w pierwszej klasie. — Uśmiechnął się zniechęca.

— Rany — westchnęła Charlotte, wyobrażając sobie długie korytarze w East, pełne wiwatujących tłumów. — Musiałeś się czuć jak bóg.

— Chyba tak — przyznał Moose i uśmiechnął się. — Bóg w sadzawce. Bóg w oczku wodnym... Oczywiście wtedy wydawało mi się, że jestem władcą wszechświata — dodał.

— Co było potem? — spytała Charlotte.

Moose pociągnął solidny łyk piwa.

— Potem otworzyłem oczy. Otworzyłem je i wszystko zniknęło. Ot, tak.

Nigdy przedtem nie wspominał jej o tym.

— Brzmi to dość groźnie — zauważyła.

— Przerazająco — poprawił, patrząc jej w oczy. — I było przerażające, ale jednocześnie piękne. Mój umysł nagle stał się czysty.

— Ile miałeś lat?

— Dwadzieścia trzy. Siedziałem przy międzystanowej, patrząc w dół. Bez żadnego powodu. Zatrzymałem wóz bez żadnego powodu.

Jego spojrzenie było tak jasne i wyraziste, że Charlotte nie potrzebowała okularów. Moose wziął ją za rękę. Był gorący. Nigdy przedtem nie dotykała jego dłoni ani żadnej innej części ciała.

— Charlotte — powiedział miękko, ale dobitnie. — Chcę, żebyś się teraz skoncentrowała. Musisz myśleć bardzo, bardzo uważnie. Zrobisz to dla mnie? Zostało tak niewiele czasu!

Co masz na myśli? — chciała zapytać. Na co mamy tak mało czasu? Lecz jakaś część jej osobowości, bezustannie monitorująca wypowiedzi Moose'a i zacierająca wszelkie objawy niezrozumienia, szybko ocenzurowała jej wątpliwości.

— Wujku Moose — powiedziała Charlotte, pochylając się ku niemu i spoglądając na daleką postać Teetera. — Jak to się stało, że się zmieniłeś? Że jesteś, jaki jesteś?

Marzyła o tym, żeby zadać mu to pytanie. Zresztą marzyli o tym wszyscy, którzy go znali, a najbardziej jej matka. Co się stało? Moose ścisnął mocniej dłoń dziewczyny. Doskonale wyczuwała jego napięcie, kiedy zmagał się z samym sobą, próbując wydusić z siebie odpowiedź.

Stolik zatrzęsł się lekko i Moose drgnął mimowolnie, omal nie przewracając szklanek z napojami. Natychmiast puścił dłoń Charlotte, która zadarła głowę i zobaczyła czarnoskórego mężczyznę — poznał ją i uśmiechnął się, przeciskając się w stronę wyjścia. Zdezorientowany Moose wbił w niego wrogie, podejrzliwe spojrzenie. Piegowaty rudzielec, który szedł o kilka kroków za Murzynem, spostrzegł jego wzrok i zatrzymał się.

— Masz jakąś sprawę do Pete'a? — zapytał wyzywająco.

— Nie mam żadnej sprawy — odparł Moose nerwowo. — Niby jaką sprawę miałbym mieć?

— Pojęcia nie mam. Może na przykład jesteś rasistą?

— Daj spokój, Allen — zawołał Pete, stojący już przy drzwiach. — Spadamy stąd.

Moose i Allen mierzyli się wzajemnie nieprzyjaznym wzrokiem, wyczekując.

— Jakoś nie może zostawić w spokoju naszego stolika — odezwał się głośno Moose. Nie było do końca jasne, czy zwraca się do Charlotte, czy do Pete'a, czy do Allena, swego nowego wroga.

— Lepiej patrz sobie w inną stronę, dobrze ci radzę — warknął Allen w odpowiedzi.

— Al, podwieźć cię czy nie? Nie wiem jak ty, ale ja idę...

— Nie mam wyboru, skoro wiesz nade mną jak jakiś popaprany sterowiec — odparł Moose.

W sali pomału zapadała cisza, jakby ktoś miał lada chwila rozpocząć przemówienie. Charlotte nie wiedziała, co to jest sterowiec, ale im dłużej słowo to wisiało w powietrzu, tym gorszego nabierało posmaku.

— Wujku Moose — szepnęła, dotykając jego rękawa. Nie zareagował.

Wstał, emanując straszliwą energią podobną do ciepła. Był wyższy od Allena, ale ten wyglądał na silniejszego. Blade, piegowate ramiona zwisały z podwiniętych rękawów jego koszuli jak masywne klucze.

Niespodziewanie pojawił się Teeter.

— No, dajcie spokój, chłopcy — odezwał się pogodnie. — W tym lokalu bawimy się grzecznie, takie są zasady. Nie chcę tu żadnych kłopotów. — Nie doczekawszy się odpowiedzi, przyjaźnie objął Moose'a ramieniem. — Wyluzuj się, Moo-man. Nie jesteś trochę za stary na takie zagrywki?

Moose niecierpliwym wzruszeniem ramion strząsnął z siebie jego rękę.

— Zaczynam mieć serdecznie dosyć twojego przypominania mi, jaki jestem stary — wycedził niebezpiecznie cichym głosem.

Teeter spąsował, a Allen zwrócił się w jego stronę.

— Ty go znasz? — spytał, zdziwiony, wskazując na Moose'a.

— Jasne — odparł kwaśno Teeter. — Ukradł mi dziewczynę w ogólniaku. A potem się załamał. Słyszałem, że wysadził kogoś w powietrze czy coś w tym guście...

Moose uderzył go pięścią w twarz tak niespodziewanie i z taką mocą, że barman zrobił salto do tyłu i przeleciawszy nad stolikiem, runął na posadzkę, nie wydawszy z siebie głosu.

— Nie! — wrzasnęła Charlotte, gdy kilku dobrze zbudowanych mężczyzn z wściekłością skoczyło w stronę jej wuja. — Przestańcie! — zawołała i nagle przestała być w samym środku wydarzeń: Pete pochwyił ją mocno i wyciągnął z tłumu.

— Nic tam po tobie — mruknął jej do ucha, z całej siły ściskając jej ramiona, by nie powróciła między walczących. — Sprawa sama się rozwiąże...

Moose zatracił się w boju, raz po raz posyłając potężne ciosy w twarz i brzuch Allena. Wreszcie rudzielec upadł, przyciskając dłoń do puchnącego oka. Moose rzucił się na pozostałych przeciwników, niemal bez wysiłku rozstawiając ich po kątach, a przy okazji wypełniając salę rdzawym zapachem ich krwi. Walczył jak w amoku, wolny i radosny, jakim Charlotte jeszcze nigdy go nie widziała — jakby wreszcie znalazł sposób na rozładowanie napięcia, które budowało się w nim od kilku tygodni.

Teeter zdołał wstać z podłogi o własnych siłach. Metodycznie otrzepał kurz z ubrania, a potem zaatakował szybko i podstępnie, mierząc kolanem w brzuch przeciwnika. Moose stęknął i zgiął się wpół. W tym momencie pozostali rzucili się na niego. Było ich zbyt wielu: jedni chwycili go za ramiona, a inni zadawali ciosy pięściami i nogami w brzuch, tak że nie miał szans na powrót do pionu. Charlotte wrywała się z ramion Pete'a, ale trzymał ją mocno — mogła tylko patrzeć, jak jej wuj osuwa się na podłogę.

— Nie! Nie! — wrzeszczała, pewna, że go zabiją. Wreszcie udało jej się uwolnić jeden nadgarstek i wiała się jak piskorz, by oswobodzić drugi. Dopiąwszy swego, rzuciła się między walczących. Położyła się na plecach Moose'a, błagając „Przestańcie! Proszę! Zostawcie go!”, ale nie mogła osłonić go całego. Dobijali leżącego aż do chwili, gdy udało jej się zablokować nadgarstkiem potężne kopnięcie Allena, wymierzone w głowę Moose'a.

Krzyknęła z bólu i rozplakała się. Dopiero teraz napastnicy opamiętali się i cofnęli o kilka kroków. Charlotte usłyszała głos Pete'a.

— ...Już po wszystkim... zostawcie go... — Przemawiał do ludzi w drelichach tak, jak jeźdźcy szepczą do uszu wierzchowców, kiedy chcą je uspokoić.

Dziewczyna czuła mdłący ból w nadgarstku i na wszelki wypadek nie poruszała się, żeby nie zwymiotować.

Moose leżał pod nią, wielki jak góra i nieruchomy, jakby martwy. Zdrowa ręka Charlotte wciąż spoczywała na jego głowie, w chaotycznej płataninie włosów nad białobłękitnymi policzkami.

— O mój Boże — powtarzała, bojąc się wstać i odsłonić bezbronne ciało wuja. — O mój Boże...

— Ciii... Nic mu nie będzie — odezwał się Pete, odrywając ją od Moose'a. Allen i pozostali napastnicy cofnęli się już i rozeszli. Niektórzy opuścili lokal, inni wrócili do baru. Teeter, z wielkim siniakiem pod okiem, przyniósł lód

zawinięty w ręcznik i trzymał go tak długo na karku leżącego, aż Moose drgnął i poruszył się. Wtedy, z pomocą Pete'a, podniósł go z podłogi i usadził na krześle. Moose był półprzytomny; z nosa leciała mu krew, a jedno oko zginęło pod potężną opuchlizną. Teeter wetknął mu w dłoń ręcznik z lodem i wygiął jego rękę tak, by dotykała głowy. Pozbierawszy rozrzucone kostki lodu, przytknął je do własnej twarzy.

Charlotte przykleknęła obok wuja. Była już spokojniejsza — nie umarł i raczej nie miał umrzeć.

— Gdybyś dał mi numer do pracy cioci Priscilli, mogłabym ją wezwać — powiedziała cicho.

— Nie — odparł ostro. — Nie rób tego.

— Ale ty...

— Nie.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu: bezwładny Moose na krześle, a Charlotte przy nim, na posadzce. Tymczasem bar z wolna pogrążał się w amnezji. Wkrótce po walce nie pozostał żaden ślad i sama Charlotte z trudem mogła uwierzyć, że cokolwiek tu zaszło. Pete wyszedł, a Teeter, z podbitym okiem, znowu stał za barem, jak gdyby nigdy nic nalewając komuś piwa. Drużyna White Sox zdobyła właśnie punkt i widzowie hałaśliwie bili jej brawo. Charlotte czuła się jak na wygnaniu. Serce biło jej gwałtownie, a nadgarstek spoczywającej swobodnie ręki nie przestawał boleć.

Kiedy Moose odzyskał siły, opuścili bar i ruszyli w stronę samochodu, który zostawili przy Main Street, opodal mostu nad strumieniem Kenta. Niebo zaczynało się przejaśniać; różowe palce zachodu słońca muskały ostrożnie brzuchy ciemnych chmur.

— Mam prowadzić? — spytała Charlotte, zdumiona spokojem własnego głosu. W rzeczywistości przecież czuła się tak dziwnie, wciąż była przerażona.

— Nie — odparł zdecydowanie. — Nic mi nie jest.

Wsiadła do wozu, odsuwając stare kubki po kawie i pudełka po pizzy, które zawsze powracały na jej miejsce, gdy tylko je opuściła. Moose włączył silnik i znieruchomiał na chwilę. Gęsta cisza, która wypełniła wnętrze samochodu, spotęgowała w Charlotte przekonanie, że to jej „zasługą” były fatalne wypadki, które rozegrały się w barze. Zrobiłam coś niewłaściwego, myślała uparcie z coraz większym żalem i wstydem. Nadgarstek wciąż bolał.

— Charlotte, jeśli nie masz nic przeciwko temu — odezwał się sztywno Moose — wolałbym, żebyś nie wspominała matce o tym, co zaszło.

— Matce? — odparła urażona. — Nie mówię jej o niczym.

## Rozdział piętnasty

Kiedy bileterki pojawiły się z miotłami i torbami na śmieci, by wykurzyć Michaela Westa z fotela, przeniósł się do zatłoczonego holu. W zasadzie nie miał tam nic do roboty, poza wpatrywaniem się w sztuczny, czerwony dywan i wdychaniem zapachu sztucznego masła, podczas gdy inni widzowie mijali go, wchodzili do innych sal kina lub znikali za drzwiami. Oglądanie filmów zawsze czyniło go słabszym, bardziej chłonnym na wpływy świata. Uważał ten stan za niebezpieczny; czuł się wtedy tak, jakby pozbawiono go skóry. Zazwyczaj więc spędzał jakiś czas w budynku kina, zanim odważył się wyjść na ulicę. Było prawie ciemno, za szybami widać było jedynie wąski pasek różu na horyzoncie, a niżej kałuże deszczu na asfalcie ulicy.

— Michael?

Kobieta o spletanych włosach, w płaszczu przeciwdeszczowym. Abby Reece. Ciekawe, jak długo tu stoi, pomyślał przelotnie.

— Czekasz na kogoś? — spytała. Uśmiechnął się, przygotowując odpowiedź.

— Nie, tak tylko... patrzę. Chyba dla zabicia czasu.

Od wielu miesięcy unikali się w szkole, a ściślej to Abby unikała Michaela. Spoglądając w jej smutne, szare oczy, próbował sobie przypomnieć, co właściwie zaszło między nimi.

— Na którym filmie byłeś? — spytała jakby nerwowo. Odpowiedział. — Dobry?

— Mam mieszane uczucia — przyznał. — Podobał mi się koncept postaci mężczyzny, który plądruje wraki statków w poszukiwaniu skarbów, ale Tom Cruise jest zdecydowanie zbyt grzeczny na to, żeby zrywać klejnoty z szyj potopionych ludzi. Niezły był konflikt z ekipą ratowniczą, a Jennifer Aniston to mało realny, ale interesujący kandydat na przeciwnika i kochankę dla Cruise'a. Oczywiście odkrycie doskonale zachowanej sypialni dwieście metrów pod wodą jest wierutną bzdurą.

Abby kiwała głową, studiując twarz Michaela, który zastanawiał się, czy nie odpowiada zbyt rozwlekłe. Nie miał wielkiego doświadczenia w towarzyskich rozmowach na temat kina, choć ostatnio pochłaniał filmy z nadzwyczajną łapczywością — oglądał je każdego dnia, zaraz po lekcjach lub, niekiedy, po obiedzie, a w weekendy od rana do wieczora. Nawet te najsłabsze docierały do niego bez trudu, wdzierały się w jego psychikę światłem, ruchem i hałasem, błyskając obrazami płonących samolotów, tonących okrętów oraz zakochanych par, których przeznaczeniem było wspólne życie po długiej serii śmiesznych, nedorzecznych przygód. Stał się koneserem; doświadczonym arbitrem w kwestii pościgów samochodowych, rozpraw sądowych, kryzysów na pokładach boeingów 747, mówiących zwierząt, handlu narkotykami, walk na pięści, łzawych zakończeń, scen erotycznych, efektownych zgonów i symulowanych podróży kosmicznych z wielką prędkością.

— Zamierzałem coś zjeść — powiedział do Abby. — Dołączysz do mnie?

Na dźwięk klaksonu Charlotte wybiegła z domu i wskoczyła na miękkie, tylne siedzenie buicka park avenue, należącego do ojca Roz. Zanurzyła się wprost w obłok lakieru do włosów, kwaśnych cukierków i gorących ciał — w zapach przyjaciółek, którego ostatnio jej brakowało, a w którym czuła się tak, jakby pływała w wodzie o temperaturze doskonale zgodnej z ciepłotą jej ciała. Roselyn odwróciła się i pocałowała ją w policzek. Laurel, siedząca z tyłu, ucisnęła ją lekko. Tylko Sheila, manipulująca gałką radioodtworacza, jakoś nie zauważyła jej przybycia.

— O, nie, nie, nie — odezwała się Roz, klepiąc dłoń Sheili. — Ja lubię Oasis.

— Cześć, Sheila — powiedziała Charlotte, przyglądając się spadzistym ramionom i jasnoblond włosom koleżanki, która zjadała właśnie rollosy.

— Co ci się stało w ramię? — spytała Laurel.

— Spadłam z roweru.

Późnym popołudniem, kiedy wujek Moose podrzucił ją do domu, nadgarstek bolał ją już tak bardzo, że postanowiła powiedzieć o tym matce. Ellen przyjrzała się uważnie i uznała, że to tylko stłuczenie. Zastrzegła jednak, że jeśli stan pogorszy się do następnego ranka, zawiezie córkę na prześwietlenie do Rockford Memorial. Tymczasem zaś owinęła nadgarstek Charlotte bandażem elastycznym, którego nacisk nieco złagodził ból. Ricky poszedł na kolację do swojej nowej — gwoli ścisłości: pierwszej — dziewczyny, Allison Jones. Charlotte planowała na wieczór wizytę u Michaela Westa; robiła to niemal zawsze w te dni, kiedy spotykała się z Moose'em. Odrabiając lekcje, poczuła jednak dziwny niepokój. Wciąż wracała myślą do wyprawy z wujem, a ściślej do tego, w jakiej ekstazie rozdawał ciosy i jak potem runął na podłogę, wyczerpany. Po raz pierwszy od tygodni nabrała ochoty na spotkanie z przyjaciółkami. Zadzwoniła i zastała wszystkie trzy u Roselyn. Przygotowywały się do imprezy. „Proszę was”, powiedziała błagalnie, „czuję gwałtowną potrzebę bycia porwaną”.

Postanowiła powtórzyć.

— Cześć, Sheila.



Laurel zaczęła szeptać wprost do ucha Charlotte:

— ...Miała jechać w odwiedziny do ojca, do Nowego Jorku, ale odwołał w ostatniej chwili, a do tego jej mama musi sprzedać...

Sheila odwróciła się gwałtownie z grymasem wściekłości na uroczej twarzy.

— Nie opowiadaj jej o mnie!

— Jej?! — oburzyła się Charlotte. — A kto to jest „jej”? Sheila pokazała jej plecy i włożyła do ust kolejnego rollosa.

— Jesteś taka ciemna — skarciła ją Roselyn. — I bezduszna.

— Wybacz — odparła Sheila nieprzyjaznym tonem. — Tylko dlatego, że ma dla nas pięć minut, mamy wszystkie paść na twarze ze szczęścia?

Michael i Abby pojechali swoimi samochodami do Chili's, gdzie usiedli naprzeciwko siebie przy lakierowanym stoliku. Zamówili zmrożone margarity i *fajitas*. Mięso podano na metalowych, czarno oksydowanych tacach. Michael natychmiast zabrał się do jedzenia. Zdążył polubić Chili's — porcje były ogromne i zawsze miał wrażenie, że dostanie dokładkę, bez względu na to, ile zje. Nawet przewidywalność smaku potraw dawała mu poczucie swoistego komfortu. Wykształcił w sobie nowy, niewiarygodny apetyt. Wielokrotnie powracał do McDonalda, by tanim jedzeniem zapychać dziury ukrytego głodu. Jadał w Burger Kingu, Wendy's, Arby's i Taco Bell. Pochłaniał bezmleczne koktajle (podobno zaprawiane mąką), cebulę, smażone kurczaki, kanapki z rybą i syntetyczną bitą śmietaną, aż wreszcie po dawnym, psychicznie uwarunkowanym odruchu wymiotnym pozostał ledwie wyczuwalny ślad, który nie przeszkadzał mu w konsumpcji. Tam, gdzie niedawno jego kości i mięśnie spowijała elastyczna skóra, zaczynał wyczuwać miękkość ciała. Nie był to jeszcze tłuszcz, ale z całą pewnością jego zwiastun. Michael coraz częściej stawał przed lustrem i w skupieniu przyglądał się swej nowej postaci, a zwłaszcza jakby szerszej i poważniejszej twarzy, która mogła stanowić naturalny kamuflaż. Wiedział, że wkrótce zacznie ćwiczyć, truchtać zadbanymi chodnikami, skakać między rzędami tulipanów, biegać na coraz dłuższe dystanse i przerzucać setki kilogramów żelaza, hodując mięśnie, które przylgną do niego jak kosztowne ubranie. Wtedy zadanie infiltracji zostanie wykonane. Abby przyglądała mu się znad wielkiej tacy.

— Wyglądasz jakoś inaczej, Michael — powiedziała. — Nie wiem tylko, na czym polega różnica.

— Naprawdę? — spytał. — Czuję się tak samo.

Ale Abby miała rację: wreszcie wszczął się w nim ruch, nowy plan z wolna przyjmował wyrazistą postać. Michael wyczuwał jego narodziny tak, jakby gdzieś w jego ciele budziło się z długiego snu niezwykle żywotne zwierzę, gotowe drażyć nieskończoną sieć tuneli. Rozumiał, że jednak zdoła przetrwać bez swego gniewu. Mało tego, bez gniewu będzie mógł w pełni rozwinąć skrzydła, chwilami bowiem ogarniało go nie znane mu wcześniej, wręcz oszałamiające poczucie wolności. Męczył się, kiedy od czasu do czasu oglądał w wiadomościach migawki z części świata, z której pochodził. Patrzył na twarze naznaczone cierpieniem, na chmury gazu łzawiącego, na ludzi powalonych gumowymi kulami, i zastanawiał się poważnie, czy to wszystko nie jest jedynie maskaradą. Czy jakiegokolwiek przekonania mogły mieć aż takie znaczenie?

— Zaraz — powiedziała Charlotte. — Mam rozumieć, że jesteście obrażone?

Żadna z dziewczyn nie odezwała się. „Kąpiel w temperaturze ciała”, którą miał być powrót między przyjaciółki, stała się nagle stygnącą galareta.

— Słyszałam, że byłeś w naszej szkole. Jakies dwa tygodnie temu — odparła w końcu Roz.

— Byłam, ale... — Tego dnia złożyła wizytę Michaelowi Westowi, a raczej mężczyźnie, który przypominał Michaela Westa. — Byłam.

— Chodzi o to, że w pewnym momencie tak po prostu... zniknął — wtrąciła Laurel przeproszającym tonem.

Charlotte nie odpowiedziała. Po gwałtownych przejściach z Moose'em gniew koleżanek wydawał się jej nieznośny, toksyczny. Wiedziała, że mają rację. Wyobraziła sobie, że wysiada z samochodu dokładnie w tym momencie, na ruchliwej ulicy, i odchodzi.

Chwila milczenia ciągnęła się w nieskończoność.

— Dlaczego przyszedłś akurat dziś? — spytała cierpko Sheila. — Nie miałaś nic lepszego do roboty, więc pomyślałaś: spędzę trochę czasu z maluczkimi, co?

Charlotte otworzyła drzwi. Wóz zatrzymał się na czerwonym świetle na środkowym pasie State Street, w pobliżu Aunt Mary's, dokąd wybierały się na deser. Usłyszała ciche westchnienie zdumienia, ale zignorowała je. Wsiadła i klucząc między pomrukującymi fordami explorerami, dotarła na chodnik.

Roz zaczęła trąbić klaksonem. Manewrując uparcie, ustawiła samochód na zewnętrznym pasie i zaczęła jechać wolno tuż obok Charlotte. Nie przestawała trąbić i po chwili rozbrzmiewało już wycie wszystkich klaksonów w okolicy.

Szyba w oknie buicka opuściła się bezszelestnie.

— Wsiadaj.

Charlotte nawet nie spojrzała na Sheilę.

— Wsiadaj, inaczej będę musiała wysłuchiwać mędzenia przez resztę wieczoru.

— To wystarczający powód, żeby nie wsiąść.

— Chari? Wsiadaj, proszę.

— A wysiądziesz, jeśli wsiądę?

Po chwili Charlotte skrzyła w stronę wozu i wyszczerzonych zębów Sheili.

Uniwersalna prawda: ludzie uwielbiają opowiadać o swoich dzieciach.

— Opowiedz mi o dzieciach, Abby — poprosił Michael. — Co porabiają?

— W tej chwili są w Los Angeles. W odwiedzinach u ojca — dodała, przewracając oczami, lecz nie do końca udało jej się ukryć błyszczący ładunek łez, które zebrały się w nich niespodziewanie. Tak, teraz sobie przypominał: mąż, który uciekł do Los Angeles. Mała dziewczynka, której palce wpiły się w niego jak przyssawki jaszczurczych łap.

— Więc jednak nie wrócił.

— Nie wrócił? — powtórzyła Abby, potrząsając głową. — On nigdy nie miał zamiaru wracać. Wkręcił się do branży filmowej.

Michael odebrał tę wiadomość całym ciałem, jakby ktoś go pchnął.

— Naprawdę? — powiedział, odstawiając szklanę.

— Jest producentem, cokolwiek miałoby to znaczyć. Realizuje jakiś projekt filmowo-internetowo-multimedialno-blablaba.

— Co to znaczy?

— Kto wie? Zdobył opcję na jakąś książkę, zlecił napisanie scenariusza. Ciągłe powtarza, że najważniejsza jest umiejętność opowiadania. Gładkie słówka. Choć z drugiej strony, skoro Darden potrafi to robić lub przekonać innych, że potrafi, to chyba nie jest to zbyt trudne.

Michael uśmiechnął się, siedząc bardzo nieruchomo.

— I tak po prostu produkuje filmy?

— Tak mówił.

— Zupełnie bez przygotowania?

— Jest prawnikiem! Sama pomagałam mu przebrnąć przez studia! — Uśmiechnęła się zimno, odsłaniając ukryty gniew oraz białe, niedoskonałe zęby.

Michael czuł drżenie całego ciała. Tym razem kłębiło się w nim całe stado zwierząt.

— Mówił coś jeszcze? — spytał ostrożnie.

— Dużo i szczegółowo. Wciąż mi gędzi o rewolucji, która się dokonuje. O krzyżowaniu gatunków, globalizacji, kanałach komunikacyjnych i nowych mediach. A przede wszystkim o „Renesansie”; to lubię najbardziej. „To jest nowy Renesans”, powtarza, jakby miał choćby najbledsze pojęcie, o co chodziło w „starym” Renesansie.

— Co jeszcze?

— „Wkrótce wszystko się zmieni” — zaintonowała. „Za dziesięć lat nie poznasz świata, w którym żyjemy. Ludzka egzystencja zmieni się nie do poznania...” Akurat. Gada tak, jakby posiadanie w salonie gigantycznego ekranu komputerowego, na którym leczą interaktywne horrory, miało nas zbliżyć do Boga! A może byśmy zamiast tego nakarmili paru głodnych ludzi? Może zwrócilibyśmy uwagę na Trzeci Świat, albo chociaż na naprawdę biednych Amerykanów, którzy próbują jakoś przetrwać bez opieki medycznej? Dla nich prawdziwe życie jest interaktywnym horrorem!

Spojrzała wyczekująco na Michaela, a on współczująco pokiwał głową. Tylko że prawie jej nie słuchał. Uczył się na pamięć wypowiedzi Dardena.

— Nie mam tam przyjaciół — powiedziała Charlotte. — Naprawdę.

Siedziały w łoży kawiarni Aunt Mary's, wciąż jeszcze nieco nieufne wobec siebie, jedząc słodkie desery — wszystkie oprócz Laurel, która tańczyła w *Korsarzu* i mogła zamówić jedynie pucharek z owocami. Nacinała każde winogrono i wydlubywała ze środka pestki, zanim połknęła miąższ.

— Gównu prawda — odparła Sheila.

— A jednak.

— W takim razie to chłopak — zawyrokowała Roselyn z drapieżnym zadowoleniem.

Charlotte nie zaprzeczyła, a wtedy Roz zaczęła skrzeczeć po swojemu i umilkła dopiero wtedy, kiedy Laurel zdzieliła ją w twarz otwartą dłońią.

— Wrzaskliwość — wyjaśniła Sheila, przewracając oczami. — Jest coraz gorzej. Niedługo będzie musiała iść na operację.

— Być może — poprawiła Roselyn. — Być może będę musiała — dodała już znacznie ciszej. — Jest z East?

Charlotte zawahała się. Jak mogła wytłumaczyć te tajemnice? Jak mogła uniknąć przyprowadzenia „chłopaka” na zbiorową inspekcję?

— Nie — odpowiedziała. — Starszy.

— Z college'u?

— ...Nie.

Implikacje tej odpowiedzi rozchodziły się w powietrzu dość wolno.

— Ooo — jęknęła wreszcie Roz. — Więc to... mężczyzna.

Trzy dziewczyny wbiły wzrok w Charlotte, która miała wrażenie, że zaraz uniesie się w powietrze mocą ich zbiorowego podziwu. I choć czuła lekkie wyrzuty sumienia, zdradzając okruchy prawdy, to przyjemność rozładowania napięcia — głośnego rozmawiania, powiedzenia komuś o tym, co się z nią, do cholery, działo — wynagrodziła jej to z nawiązką.

— Czy on jest... żonaty? — spytała Laurel.

— Nie.

— Rozwiedziony?

— Nie wiem.

— A czy wiedziałybyśmy, o kim mówisz, gdybyś zdradziła nam jego imię?

Charlotte znowu umilkła na chwilę. Oczywiście mogła kłamać, ale nie chciała tego robić. Pragnęła ze wszystkich sił powiedzieć głośno jego imię. Powiedzieć i usłyszeć dźwięk własnych słów.

— Prawdopodobnie.

Koleżanki wyglądały na zdumione. Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej.

— Jest... sławny czy coś takiego? — szepnęła w końcu Laurel.

Charlotte roześmiała się, ale przyjaciółki niezmiennie patrzyły na nią z mieszaniną podziwu i zazdrości. Teraz wszystko było możliwe.

— To strasznie popaprana sprawa — odpowiedziała oględnie. Obserwując koleżanki, niemal fizycznie czuła na sobie jedwabiste nitki ich fascynacji. Przez krótką chwilę czuła się zupełnie inaczej niż zwykle — jak ktoś wspaniała, jakby jej życie zostało naznaczone piętnem niesłychanych wypadków. Osobą godną zazdrości. W tym momencie, po raz pierwszy w życiu, Charlotte pojęła pewną prawdę: ludzie są skłonni uwierzyć niemal we wszystko.

— Spójrzcie na mnie — odezwała się z powagą. — Słyszycie? Hop-hop! Spójrzcie.

Spojrzały wszystkie trzy. W głębokim zamyśleniu.

— Ona się rumieni — zauważyła Sheila.

— W końcu pojawił się tu i zabrał dzieci — ciągnęła Abby. — Nie wysłałabym ich samych samolotem; są za małe. To było wspaniałe... Wiem, że bardzo potrzebują taty — dorzuciła, odwracając wzrok.

— Jak długo siedzą w Los Angeles?

— Cztery dni. Są zachwycone. Nie chcą wracać do domu.

Michael znowu zobaczył w jej jasnych oczach łzy i pomyślał, że wolałby ich nie oglądać.

— Colleen powiedziała mi przez telefon: „Mamusiu, tu jest codziennie piękna pogoda! Ty też powinnaś przyjechać”. Zdaje się, że Darden ma dom nad brzegiem oceanu.

— Może rzeczywiście powinnaś to zrobić? — zasugerował Michael. — Pojechać tam.

— Nigdy! — odparła zawzięcie Abby. Tym razem wymuszony uśmiech wypchnął z jej oczu łzy, które potoczyły się po policzkach dwiema wąziutkimi strużkami. — Tamtejsi ludzie w ogóle nie mają dusz. I tak naprawdę nie są ludźmi — mają plastik w twarzach, nogach, piersiach... Nawet mężczyźni każą sobie wszczepiać silikon w łydki, żeby poprawić ich kształt. To nie są ludzie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa — wyjaśniła, ocierając oczy serwetką. — Jak mogłabym mieszkać w takim miejscu?

Michael wpakował do ust ostatni kęs *fajitas* i splukał smak kurczaka z zieloną papryką solidnym łykiem margarity. Ostre jedzenie wycisnęło z jego czoła krople potu. Męczyła go obecność Abby i jej nieustanne skargi. Miał wrażenie, że wkrótce nie tylko on, ale i cały świat będzie miał ich dość.

— Jest i dobra wiadomość — dodała Abby, jakby na przeprosiny. — Wreszcie dostaje od niego jakieś pieniądze. Zmieniłam tapicerkę w całym salonie, nawet na fotelu bujanym! Teraz wzięłam się za ogród; chcę mieć nowe kwietniki przed domem i z tyłu. Pamiętasz te betonową podmurówkę z grillem? Kazałam ją skuć; posadzę tam trawę.

Michael słuchał z aprobatą. Pamiętał to miejsce i wiedział, że Abby ma rację: trawa byłaby znacznie lepsza niż beton. Dopił drinka i otarł serwetką rozpaloną twarz. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Zastanawiałaś się, czy nie zrobić tam prerii?

Kiedy odprowadzał Abby do samochodu, niebo było czarne, a gąbczasty księżyc stał wysoko. Pocałował ją w policzek i otrzymał w zamian zdziwione spojrzenie, jak gdyby kobieta przypominała sobie dawne czasy i zastanawiała się „dlaczego?” albo „dlaczego nie?”

— Dzięki — powiedział. — Za dotrzymanie mi towarzystwa.

— Dzięki za kolację. Trafiłeś w idealny moment. Bez dzieci czułam się trochę zagubiona.

W jaki sposób Abby Reece, kobieta z przezroczystą twarzą, mogła przetrwać? Jakim cudem świat nie stratował jej jeszcze i nie zmielił na drobny, połyskliwy proch? Stała przed nim cała i zdrowa, ze łzami w oczach i sercem tak delikatnym, że Michael wyobrażał sobie jego cichutkie bicie. Abby przetrwała i wszystko wskazywało na to, że tak już zostanie. Były takie chwile — nieliczne i krótkie — w których wyczerpanie podpowiadało mu, że powinien położyć tobolek ze swoimi rzeczami na progu jej małego, żółtego domku i spróbować wpasować się w skromne gabaryty jej życia. Potem jednak w jego życiu pojawiła się dziewczyna, a wraz z nią niepokój. Tak, to właśnie Charlotte powinien dziękować za to, że teraz, kiedy w jego umyśle powstawał nowy plan, nie musiał zadawać Abby Reece i jej dzieciom ciosu swym nagłym i niewyjaśnionym zniknięciem.

— Howard mówił, że nie wrócisz do pracy po wakacjach — powiedziała, spoglądając na niego w ciemności.

— Nie. — „Trwa rewolucja”.

— Będziesz uczył gdzie indziej?

— Nie jestem pewien. Chyba... nie.

— Więc co będziesz robił?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Coś innego. Nowego. — „Wkrótce wszystko się zmieni”.

— Brzmi to podniecająco — powiedziała.

Michael skinął głową, patrząc jej w oczy. Bardzo chciał, żeby wreszcie odjechała. Kiedy w końcu wsiadła do samochodu, z ulgą pomachał jej na pożegnanie.

Charlotte słyszała odgłosy imprezy — rytmiczna linia basu przenikała wóz i rozbrzmiewała echem w jej ciele. Laurel otworzyła połyskliwą, bladobłękitną torebkę, której odcień pasował idealnie do lakieru na jej paznokciach. Po dłuższej chwili energicznego szperania wydobyla z niej szminkę i wkrótce miała już na ustach warstwę soczystego koloru. Wyciągnęła rękę, ale Charlotte tylko pokręciła głową.

— No, pożyj w końcu trochę — zbesztala ją Laurel. A potem, ze zdumiewającą precyzją (biorąc pod uwagę fakt, że Roz właśnie parkowała), trzymając w jednej dłoni ramię Charlotte, drugą ręką nałożyła miękki barwnik na jej usta.

— Daj — rozkazała Sheila z przedniego siedzenia, chwytając szminkę. — Hej — dodała, zerkając przypadkiem na Charlotte — ty masz usta!

Laurel zajęła się nakładaniem różu, połyskującego księżycowo w blasku latarni ulicznych.

— O nie — jęknęła Charlotte, cofając się przed pędzlem w dłoni przyjaciółki. Gładził jej policzki subtelnie, miękki jak futro z norek.

— Teraz tusz do rzęs. Cicho bądź — warknęła Laurel. — Bez niego nie będzie równowagi barw.

Charlotte czuła, że bez okularów jej oczy są bezbronne, odsłonięte, i odruchowo zacisnęła powieki. W istocie jednak w jej umyśle zachodził intrygujący podział: jedna połówka okazywała ostentacyjny niesmak, by druga z czystym sumieniem mogła zgodzić się na upiększające zabiegi.

— Nic z tego — mruknęła Laurel, odbierając Charlotte okulary, gdy tylko spróbowała je założyć. — Zepsujesz cały efekt.

— Chyba rozumiesz, że bez nich jestem ślepa jak kret — sprzeciwiła się Charlotte.

— Tam i tak nie ma na co patrzeć.

Wysiadły z samochodu i ruszyły w kierunku źródła muzyki, klucząc między parterowymi domami, rzędami sosen, otwartymi garażami, z których rozchodził się zapach oleju silnikowego, ściętej trawy i orzechów leżących w pudłach od zeszłego roku. Zatrzymały się na moment pod drzewem, by ponownie zapalić pół skręta Sheili. Trawka, w połączeniu z fatalnym wzrokiem, sprawiła, że Charlotte poczuła się jak dublerka samej siebie. Jej włosy podniosły się nieco, gdy Laurel przeczesala je małą, jaskrawozieloną, plastikową szczotką.



Michael stał samotnie na parkingu — asfaltowej wersji pustego nieba. Noc była chłodna i bezchmurna, a na wschodzie, gdzieś nad Chicago, widać było nad horyzontem bladą lunę światła. Pustka tej ziemi i rozciągającego się nad nią nieba już go nie przerażała. Nie była już aż tak pusta jak dawniej. Wszędzie dostrzegał znajome, plastikowe znaki Mobil, Holiday Inn, Kentucky Fried Chicken — podobne do palców wielkiej ręki, która sięgała zawsze tak daleko, jak odważył się pójść. Wyprowadził samochód na State Street, kierując się na zachód, a potem skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo, na Squaw Prairie Road. Nie przestawało go zdumiewać tempo, w jakim cywilizowane tereny przeistaczały się w pola: dostrzegał już nieruchome sylwetki traktorów, długie bruzdy świeżo zaoranej ziemi, a także zapomniane resztki zeszłorocznych upraw, martwe ścierniska. Stare szopy straszyły jak okręty-widma. Michael West przejechał wiaduktem nad drogą międzystanową i pomknął dalej, w stronę wielkiego placu budowy, który znał z wcześniejszych wycieczek. Ze sporej odległości dostrzegł jego blask: niską, migotliwą chmurę światel. Powstawała tam kolonia domów wielorodzinnych. Wczesne stadium budowy dziwnie przypominało stan totalnego zniszczenia, dokładnie takiego, jakie West swego czasu zamierzał szerzyć własnym działaniem.

Zaparkował wóz i wszedł na plac budowy, żeby się rozejrzeć. Nic się nie zmieniło od ostatniej wizyty: cztery przykładowe budynki wznosiły się pośrodku piaszczystej połaci, oddzielone chodnikami z błyszczącej kostki. Były namiastkami wiktoriańskiej zabudowy; każdy miał inny kształt, jedynie elementy zdobnicze utrzymano w jednolitym stylu, podobnie jak rzędy skrzynek pocztowych sterczących przed bramami. Wzdłuż pustych chodników ciągnęły się szeregi prawie wiktoriańskich, słabo świecących latarń o kloszach w kształcie płomieni.

Michael poszedł jedną ze ścieżek aż do jej końca, a potem wkroczył na hałdę piasku, który natychmiast wypełnił jego buty. Wreszcie dotarł do ogrodzenia z trzech nitek drutu kolczastego, wyznaczających granicę posesji. Dalej rozciągały się już tylko pola uprawne, pełne pędów nieśmiało wyglądających spod czarnej ziemi. Tam tereny rolnicze, a tu nowoczesne budowle; trzy włókna drutu kolczastego spinały tysiącletnią przepaść. Michael przez chwilę słuchał wiatru. „Krzyżowacja gatunków”. Nie. „Krzyżowanie. Krzyżowac...” Nie! „Globalizacja, krzyżowanie. To jest nowy Renesans”.

„Najważniejsza jest umiejętność opowiadania”.

Tak, to z pewnością potrafił. Robił to przez całe życie.

Drzwi domu, w którym trwała impreza, były otwarte. Wewnątrz działo się wszystko to, co możliwe jest jedynie pod nieobecność rodziców — i to nie wtedy, gdy nie ma ich przez jeden wieczór, lecz wtedy, gdy nie ma ich w mieście. Panowały tam pierwotny półmrok i wilgotny smród piwa rozlanego na dywanach. W zdemolowanej kuchni czterech młodzi ludzie grali w piłkę nożną zmasakrowanym kantalupem. Głośniki ryczały ogłupiająco *Gorzko-słodką symfonią* The Verve. Charlotte chłonęła ten stan z niemałym zdziwieniem — nic się nie zmieniło przez wszystkie te miesiące, kiedy nie bywała w takich miejscach. Na początku spuszczała głowę, by nie patrzeć ludziom w oczy, ale wkrótce odkryła, że nawet jeśli patrzy, to i tak nic nie widzi. Świat apetycznie rozplýwał się i mieszał pod jej spojrzeniem, rzęsy ciążyły przyjemnie, jak lepkie pąki kwiatów, a usta i policzki rozgrzewał gorący rumieniec. Kluczyła między nieznanymi, a jej niepewność ustępowała pod presją cudownego oddzielenia — poczucia, że nie jest już sobą, więc brak znajomych nie ma najmniejszego znaczenia. Charlotte nosiła teraz swoją twarz jak świeżo wyprodukowany obiekt, jeszcze mokry, zagrożony rozmazaniem lub odkształceniem. Śladem przyjaciółek zeszła do piwnicy, do pokoju rekreacyjnego, w którym młodzieńcy w workowatych spodniach kiwali z rzadka zarośniętymi brodami w takt rapowego numeru odtwarzanego na wielkim radiomagnetofonie. To tutaj biło chore serce imprezy: beczułka, z której jakiś gość wyciskał strumienie piwnej piany, gorzko zlorzcząc niesprawnej pompce. — Yo, Tupac! — ryknął ktoś z tłumu.

Opowieści? Chcecie opowieści? Owszem, mam jedną, i to niesamowitą, powiedział hollywoodzki producent, którego wyobraził sobie Michael. Miał głos pożyczony z filmu czy telewizji i przyjmował interesantów nad brzegiem basenu, leżąc z plasterkami owoców na policzkach i woreczkami rumianku pod oczami. Posłuchajcie, powiedział.

Oto mamy gościa z jednej z tych zasranych części świata, gdzie ludzie giną od kul każdego dnia — powiedzmy, że z Libanu, choć równie dobrze mógłby pochodzić ze Sri Lanki, Nigerii czy Sudanu. Umówmy się, że jest z południowego wybrzeża Libanu, z Tyre, uroczego miasteczka, które było pełne turystów aż do chwili, gdy zaczęło się zmieniać w kupę gruzów pod ostrzałem ze wszystkich stron. Nasz bohater to szyita, z rodziny należącej do klasy średniej. Szyita, baranie. Trzy sylaby. To jedna z tych muzułmańskich sekt... No, a nasz człowiek jest też geniuszem — zwłaszcza matematycznym; połyka liczby tak, jak dzieciaki łykają M&M's. Idzie do college'u w Bejrucie, zbiera wyróżnienia na każdym roku; ma przed sobą perspektywę fantastycznej kariery itd., itp... Żeni się, ma dziecko. I nagle bum: rzuca to wszystko. Jest początek lat osiemdziesiątych, Izraelczycy są w południowym Libanie i próbują wykończyć OWP. Nasz człowiek dołącza do grupy szyitów, którzy z kolei starają się wykończyć Izraelczyków. To Hezbollah, może słyszeliście o tym towarzystwie. Straszni maniacy. Ekstremiści wśród ekstremistów. I tego właśnie szuka nasz bohater, bo, widzicie, on jest wściekły. Wnerwiony. Staje się fundamentalistą; zaczyna wyć do księżycy czy co oni tam, cholera, wyczyniają... Żadnego picia, żadnych panienek w kostiumach kąpielowych. I nagle drugie bum: człowiek znika. Żona, dzieciak, starzy, wszyscy czekają na niego, przerażeni. I nigdy nie dostają o nim żadnej wiadomości. Wreszcie dochodzą do wniosku, że zginął.

Ale czy na pewno? O nie, on jest w Iranie. Tam szyici są większością i bardzo lubią Hezbollah, więc dają mu forszę, amunicję i wszystko, czego potrzeba. Nasz człowiek zostaje zauważony przez szefów, bo ma talent do języków, chwytą je bez trudu, razem z akcentami, żargonami, dialektami i całą resztą szczegółów, a do tego nienawidzi Ameryki. Gardzi nią. Uważa, że knujemy spisek, żeby zapanować nad światem za pomocą naszego „eksportu kulturalnego”, jeśli wiecie, co mam na myśli. Zadaje sobie na przykład takie pytanie: dlaczego piękne muzułmańskie dziewczyny zrywają z głów szmaty, gdy tylko Brad pokazuje się na ekranie?

Irańczycy mają więc ekstremistę-kameleona, który nienawidzi Ameryki. Co robią? Lokują go w którymś z państw afrykańskich, na przykład w Kenii, gdzie żeni się ponownie, pod nowym nazwiskiem, z nową historią życia, i zaczyna działalność importowo-eksportową. A tak naprawdę jest agentem siatki wywiadowczej ludzi, dla których, że tak powiem, nasze zdrowie i dobrobyt nie stoją za wysoko na liście priorytetów. Nasz człowiek szybko zaczyna tracić cierpliwość, bo od środka trawi go ta nienawiść i wreszcie chciałby coś zrobić. Domaga się działania! A kiedy Hezbollah nie spełnia jego oczekiwań w tym względzie, znowu znika. Puff, i już go nie ma. Spotyka bogatych ludzi działających w jeszcze głębszej konspiracji, samodzielnie pociągających za sznurki. Chcą, żeby poleciał do Ameryki i przeprowadził spektakularną akcję — rozwalił Holland Tunnel albo Biały Dom. Nie oszukujmy się, takie rzeczy dzieją się naprawdę! Gość przenosi się do Libii, Afganistanu czy gdziekolwiek. Nieważne. Nowe życie, nowa żona. I wreszcie jego mocodawcy ukryci w cieniu mówią: ruszaj. Do Ameryki. Siup, i już go nie ma. Wychodzi z domu, nie oglądając się za siebie, z fałszywymi dokumentami w kieszeni. Gdzie go odnajdujemy? Który zgadnie? W pieprzonym New Jersey! Co wy na to?

Oblizując pianę ze szklanki, Charlotte poszła za Roz, przez szklane, rozsuwane drzwi, na podwórze. Od razu rozpoznała charakterystyczny odgłos tarcia drewna o beton, podobny do warkotu piły elektrycznej. W półmroku dostrzegła zarys pustego basenu i kilku chłopaków bez kurtek, którzy skakali nad nim i lądowali na krawędzi. Wysilając niedoskonały wzrok, zastanawiała się przez chwilę, czy nie ma wśród nich Ricky'ego, zanim przypomniała sobie, że stracił swoją deskę w styczniu i kategorycznie odmawiał kupienia nowej, choć Charlotte oferowała mu pomoc finansową. Roz, o dziwo, nie odzywała się ani słowem.

— Czyj to dom? — spytała Charlotte.

Dobra, wiem, co myślicie (powiedział głos). Czytam w waszych myślach. Zastanawiacie się: o czym właściwie jest ta historia? Myślicie: może o terroryzmie, nie daj Boże? Przecież *Koszmar w Gazie* zrobił klapę, a *Bliskowschodnia masakra* ledwie wyszła na swoje, i to licząc łącznie z zyskami z zagranicy.

(— Paula Lofgrena — odparła Roz.)

Myślicie: nie daj Boże, żebym spróbował sfilmować opowieść o konflikcie arabsko-izraelskim; nawet Spielberg nie poważył się na coś takiego, a on przecież ze wszystkiego potrafi zrobić słodką historyjkę. Chcecie mi powiedzieć: jak moglibyśmy kibicować takiemu bohaterowi? Przecież to palant, fanatyk jakiś. Świr. Jaki skurczybyk może tak zostawiać rodzinę za rodziną? To nieludzkie, prawda? Posłuchajcie. Ten film nie będzie miał nic wspólnego z historią. Peruki, konie, sceny erotyczne — nie, nic takiego. Rzec jest o odkrywaniu samego siebie. To osobista historia pewnego mężczyzny!

Rzeczywiście, Charlotte rozpoznała Paula Lofgrena, który właśnie szlifował swoją deską dno basenu. Niby-chłopak Roz wyszedł na brzeg i ugryzł ją w policzek. Odeszli razem, pozostawiając Charlotte w grupce gapiów, z których jeden, stojący tuż obok niej, zaczynał wyglądać znajomo. Patrzyła na niego długo, z bezwstydną pół-ślepcą, aż wreszcie odwrócił się i spojrzał na nią.

— Hej — powiedział i wtedy rozpoznała jego głos. Scott Hess.

Przerażona, przeniosła wzrok na jeżdżących w basenie.

— Hop-hooooop. — Scott machał ręką tuż przed jej oczami. Właściwie nie była to ręka, tylko biały, regularny trójkąt. Ramię na temblaku. — Jesteśmy bliźniakami — powiedział.

Zdażyła już zapomnieć o bandażu elastycznym na nadgarstku. Uniosła rękę w niezgrabnym salucie. W tym momencie dotarło do niej, że Scott Hess nie ma pojęcia, z kim rozmawia.

— Co ci się stało? — spytał.

— Trafiłam w sam środek bójk.

— Nie gadaj — mruknął z podziwem. — Ja robiłem wślizg na drugą bazę. To właściwie nawet nie złamanie, tylko mocne zwichnięcie. Tak czy inaczej, chyba nie zagram już w tym sezonie. Nie ma mowy, żebym z taką ręką machał kijem.

— Moja jest tylko stłuczona — odpowiedziała Charlotte i uśmiechnęła się cokolwiek bezradnie.

— A może jednak zwichnięta? — zastanawiał się Scott. — Wiesz, między stłuczeniem a zwichnięciem nie ma wielkiej różnicy, jest tylko kwestia zapalenia... Mocno spuchłaś?

— Nie bardzo.

— A ja? Pierwszego dnia? Miałem co najmniej trzy razy większą łapę niż zwykle. Moja dziewczyna powiedziała: nie zbliżaj się do mnie z czymś takim.

Charlotte roześmiała się, ale miała wrażenie, że śmieje się tylko jej makijaż.

— Jak masz na imię? — spytał Scott. Zawahała się, wciąż niepewna, czy nie pada właśnie ofiarą wielopoziomowego kawału z jego strony.

— Melanie — odpowiedziała wreszcie, czując dreszcze, po których została jej gęsia skórka.

— Nie chodzisz do Baxter, prawda?

— Nie — przyznała. — Jestem z East.

Odkrywanie samego siebie! Posłuchajcie mnie do końca. Kim właściwie jest nasz bohater? Nienawidzi Amerykanów, tyle wiemy na pewno. Ale czy w tym, co robi, jest jakiś sens? Gdzie jest dla niego miejsce? W Europie ludzie wciąż żrą się o to, kto komu odebrał zamek przed trzystu laty, kto ma ładniejszy akcent i tak dalej. A kogo to obchodzi? My wchodzimy w dwudzieste pierwsze stulecie. U nas jest odwrotnie: zbuduj sobie własny zamek i wymyśl najdziwniejszy akcent, jeśli to ci podchodzi. Zacznij od zera. I właśnie taki jest nasz człowiek! To właśnie robi od samego początku! Nie rozumiecie? On jest Amerykaninem! Był nim przez całe życie, kiedy tak strasznie nas nienawdził! I to właśnie jest rozwiązanie: odkrycie samego siebie. O tym jest ten film.

— Scott.

— Cześć, Scott.

Potrząsnęli niepełnosprawnymi rękami, jakby wymieniali tajemny uścisk dłoni upadłych. Charlotte nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

— Jak długo masz to nosić? — spytał Scott.

— Nie wiem. Nie byłam nawet u lekarza.

— Ach tak. Wiesz, Mel, dam ci dobrą radę. — Mówił ze śmiertelną powagą. — Wiem, jak to jest: nie mam czasu i w ogóle, będzie dobrze... Ale wiesz, co mi się przydarzyło w pierwszej klasie? Skręciłem nogę w kolanie i przez dwa tygodnie jakoś nie mogłem się zebrać, żeby pójść do lekarza...

(Dotąd pełen zapału narrator umilkł nagle i zniknął jak zdmuchnięty kurz, pozostawiając Michaela Westa przy ogrodzeniu z drutu kolczastego.)

— ...Zgadnij, co mi potem powiedzieli. Że gdybym zwlekał jeszcze dzień dłużej, mogłoby dojść do trwałego uszkodzenia chrząstki.

— Ooo — przejęła się Charlotte. — Do trwałego uszkodzenia! — Omal nie udławiła się stłumionym śmiechem, który naciskał na jej bębni i tłukł się gdzieś pod czaszką. Czuła to samo podniecenie, które towarzyszyło jej niegdyś podczas rozmów z obcymi ludźmi, tyle że Scott Hess nie był obcy: to on odebrał jej dziewictwo w niecałe pięć minut, po czym wyrzucił z samochodu. A ona nie była już tamtą dziewczyną. Przecięła więzy, które łączyły ją z tantym upokorzeniem. Teraz miała na imię Melanie. I nosiła makijaż. To ona była obca. A Scott Hess nie miał na nią haka.

— Doktor powiedział mi potem, że nie wykluczałby późniejszych powikłań, wiesz, kiedy będę starszy i w ogóle, zresztą nie tylko od urazów, ale i z przemęczenia stawów i...

— Scott — przerwała mu niespodziewanie. — Wystarczy tego jęczenia na jeden wieczór.

Spojrzał na nią z obawą, a potem roześmiał się nerwowo.

— Śmieszne — powiedział. — Bardzo śmieszne, Melanie.

— Szczerze mówiąc, nie żartowałam — odparła. Po chwili jednak nie wytrzymała i przez moment śmiali się razem. — Muszę spadać — dodała.

Efektowna przemowa dobiegła końca i głos rozplynał się w powietrzu, a Michael wciąż stał samotnie na skraju placu budowy, otoczony doskonałą ciszą. Nagle pojawił się strach, surowy i dziki; dopadła go panika, której bliskość wyczuwał od wielu miesięcy. Wspiął się na ogrodzenie, zeskoczył i zaczął biec po otwartym polu, donikąd, byle dalej od miejsca, z którego przybył. Wygrali! Wyplenili z niego gniew i napełnili mu głowę trucizną! Kolec skorpiona wymazał jego prawdziwe myśli i zastąpił je planem wyjazdu do Los Angeles i tworzenia filmów! Miał zamienić scenariusz, który nosił w sobie, na scenariusz filmu! Po to, żeby trucizna rozlała się jeszcze szerzej. Zwyciężyli! Biegając na złamanie karku, potknął się i upadł między krótkie, jasnozielone pędy. Leżał tak przez długie minuty, czując bicie własnego serca o chłodną ziemię. Wreszcie odwrócił się, żeby spojrzeć na księżyc; zimny, biały, bezcenny księżyc.

— Posłuchaj tylko — szepnął, patrząc w jego tarczę. — Kontrolują moje myśli.

Po angielsku. Zawsze po angielsku. Myślał po angielsku i śnił po angielsku. Było za późno. Inne języki odeszły, podobnie jak przeszłość i gniew, i spisek. Bo tak naprawdę nie było żadnego spisku, żadnych „ich” w tym narodzie wierzących. Tylko „my”.

Charlotte zostawiła za sobą pusty basen kąpielowy i rozsunała szklane drzwi w przeciwległym końcu rozległego domu. Wśliznęła się do głównej sypialni. Cienie jeżdżących na deskorolkach, podobne do postaci z teatru lalek, przenikały przez białe zasłony i padały na ścianę pokoju. Wyszała na korytarz i zaczęła otwierać drzwi na chybił trafił,

szukając... czego? Miejsca, w którym mogłaby się pośmiać, choć tak naprawdę atak śmiechu już minął, wypalił się, pozostawiając co najwyżej smak popiołu w jej ustach.

Pierwszy pokój musiał należeć do dziewczyny; czworo młodych ludzi pochylało się nad fajeczką z marihuaną wśród setek pluszowych zwierzaków. Obok sypialnia chłopca. Paula? Jego brata? Czy Paul Lofgren miał brata? Nikogo tam nie było. Charlotte weszła i zamknęła drzwi. Usiadłszy na łóżku, chłonęła przez chwilę zapach nastolatka: potu, cedru, stęchlizny i gumy juicy fruit. A także czegoś ziołowego... czyżby trawki? Położyła się na posłaniu i zamknęła oczy.

Michael podniósł się powoli. Atak paniki minął. Nie spiesząc się, zaczął iść przez pole w kierunku tej samej poświaty, która przyprowadziła go w to miejsce.

Charlotte wyjęła z torebki okulary i wytarła do czysta szkła.

Założyła je i nagle z właściwą ostrością zobaczyła wewnątrz pokoju: regał pełen sportowych trofeów (srebrnych piłek spojonych z piłkarskimi butami i złotych kijów hokejowych zlanych w jedno z metalowymi dłońmi), plakaty śmigłowca Blackhawk na ścianach i liczne flagi liceum Baxtera. Świat przebudował się na dawną modłę i znowu oglądała go Charlotte Hauser z Rockford w stanie Illinois. Okularnica. Przypatrując się szczegółom otoczenia, dostrzegła nagle znajomy kształt wciśnięty pod dolną półkę regału. Przykłęknęła na miękkim dywanie. Deskorolka. Tony Hawk, mówiąc ściślej. A pod spodem imię i nazwisko, wypisane flamastrem, wielkimi literami: RICKY HAUSER.

Charlotte wzięła deskę pod ramię i opuściła pokój Paula, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Wkrótce potem szła już w stronę wyjścia, klucząc między chłopakami, którzy rozkołysanym krokiem usuwali się z drogi.

Michael przeszedł z powrotem przez kolczaste ogrodzenie. Znowu zobaczył niby-wiktoriańskie domy, z fałszywymi lampami gazowymi o kloszach w kształcie płomieni. W oddali dostrzegł sylwetkę samochodu, stojącego dokładnie tam, gdzie go pozostawił.

Charlotte oddaliła się od domu Paula Lofgrena, zanim odważyła się położyć deskę na chodniku i wstąpić na nią ostrożnie. Jeździła już na niej, a do domu nie było aż tak daleko. Michael ruszył w stronę migocącego świeżością chodnika, czując, że ogarnia go coraz głębszy spokój. Nie, pomyślał. Nie zablądziłem. Samochód jest tam, pod latarnią.

Charlotte odepchnęła się mocno, czując chłodny wiatr wokół ramion, które rozłożyła na boki niczym strach na wróble.

Michael czuł, że nie zginął. Był w domu.

## Rozdział szesnasty

Jeśli nie liczyć sierpniowego wypadku, nie byłam w moim rodzinnym mieście od siedmiu lat, to jest od przedwcześnie przerwanej wizyty, której koniec wyznaczyła krzykliwa wymiana obelg z moim szwagrem, podczas Nocy Rostbefów w country clubie. Lecz mimo to wiodąca na zachód droga I-90 z Chicago do Rockford wydawała mi się bardzo znajoma. Te same pordzewiałe ciężarówki, beznadziejnie niedopasowane do standardów ery cyfrowej, z plandekami ciasno zapiętymi wokół przyczep pełnych piasku; stare opony; wolno stojące, lustrzane klocki biur, które sprawiały wrażenie budowli nie tylko postindustrialnych, ale i postludzkich; a do tego rozjazdy z beżowymi klockami restauracji McDonalda, zbudowanymi jeszcze w latach sześćdziesiątych, gdy takie lokale uchodziły za szykowne i kosmopolityczne. Co kilka mil, niczym powtarzający się sen, materializowały się przede mną pudła na trzy dziesięciocentówki, przed którymi musiałam czekać na podniesienie barierki.



— Jak się czujesz, pokonując ponownie tę trasę? — spytała Irene. Siedziała obok mnie, manipulując klawiszami radia, w które wyposażony był nasz wiśniowy grand am, wypożyczony na lotnisku. Stacje nadające z Chicago były już ledwie słyszalne.

Próbowałam zastanowić się nad odpowiedzią. Jak się czułam? Niemal natychmiast odezwała się zdyszana narratorka, która od pewnego czasu wiodła rajski żywot w moim mózgu (czerwone zasłony, ranne pantofle ze strusimi piórami): „Minał niemal rok od tej tragedii i nie ulegało wątpliwości, że ból, który Charlotte czuła, wracając w te strony, a także smutek bezkresnych pól skażonych straszliwymi wspomnieniami...” Wypluwała z siebie te bzdury, przekrzywiając głowę tak, by dobrze ujęła ją ustawiona wysoko kamera. Słuchając tego w wyobraźni, nie tylko nie mogłam mówić, ale i czuć.

— Nijak — odpowiedziałam wreszcie. — Tak samo czułabym się w każdym innym miejscu.

Irene nie zapisała moich słów, czym sprawiła mi zawód. Zawsze gdy mijało zbyt wiele minut bez znajomego skrzypienia jej długopisu, zaczynałam się niecierpliwić.

Odwiedzałyśmy Rockford w to czerwcowe popołudnie za sprawą Thomasa Keene'a, aby — jak się wyraził — „zebrać dane wizualne”. Zafundował nam wycieczkę w sam środek nikąd tylko po to, żeby Irene mogła sfotografować i sfilmować dom, w którym dorastałam, cmentarz, na którym paliłam z Ellen Metcalf, moją podstawówkę, ogólniak, country club, doktora Fabermanna w jego naturalnym środowisku, Mary Cunningham i jej zapchane mchem, ogrodowe oczko wodne, a także — co najważniejsze — odcinek drogi międzystanowej, na którym wydarzył się mój wypadek, oraz pole, na którym wylądował mój płonący samochód.

Tydzień wcześniej Thomas przysłał do mnie zawodowego fotografa, Randalla Knappa — poważnego facecika w golfie, o twarzy przedzielonej jedną, pionową zmarszczką, ciągnącą się od podbródka aż po przedziałek między błagalnie uniesionymi brwiami.

— Spróbujmy jeszcze raz, bez uśmiechu — poprosił smętnie, kiedy usiadłam z papierosem na kanapie. — Pamiętaj, że wszystko straciłaś. Nie wiesz nawet, w jaki sposób będziesz zarabiać na życie. O, tak. Dobrze. Spuść głowę.

Mówił to wszystko łagodnym szeptem, skalibrowanym raczej na namawianie opornej partnerki do przećwiczenia w łóżku co bardziej ekstrawaganckich pozycji.

— Rozluźnij się — zajączał w łazience, robiąc zbliżenia mojej twarzy, gdy rozgarniałam włosy i wcierałam olejek z witaminą E w blizny pooperacyjne (czego, nawiasem mówiąc, nie robiłam już od miesięcy). — Nie ma w tym być nic efektownego — upomniał mnie miękko. — To smutny, bardzo smutny, osobisty moment. Tak. O, tak. Spójrz w lustro i zapytaj: „Kim jestem?”

Zanim dotarliśmy na balkon, byłam już tak zniechęcona, że podeszłam do barierki i stanęłam bez ruchu, gapiąc się na płynącą w dole rzekę. Dziki wrzask, który rozległ się tuż za mną bez ostrzeżenia, sprawił, że podskoczyłam jak oparzona, omal nie wypadając za reling. Wstrząśnięta, chwyciłam się kurczowo metalowej rury i dysząc ciężko, odwróciłam się, by zobaczyć Randalla Knappa ukrytego za aparatem.

— Tak! Wspaniale! — wydzierał się, strzelając jedno zdjęcie za drugim. — Właśnie tak! Zmarszcz czoło. Ręce bliżej, na barierce. Niezgrabna, przestraszona... O, tak! Pięknie! Tak! Rozpacz! O Boże, jak dobrze! Tak! Tak! Tak!

Znosiłam te upokorzenia w imię sprawy nieskończenie zawilej, a jednocześnie dającej się zamknąć w jednym słowie: pieniądze. Chodziło o niewyobrażalne kwoty, które, zdaniem Thomasa, miały wkrótce stać się moją własnością. Potenci medialni, którym przedstawił moją historię, odpowiedzieli zdecydowanie pozytywnie i oto w połączeniu z moim imieniem zaczęły się pojawiać takie zwroty jak „licytacja praw”, „serial telewizyjny” i „opcja wydawnicza” (ten ostatni oznaczał zapewne książkę). Teraz, gdy podniecenie obcych mi ludzi otaczało mnie coraz ciaśniej — po raz drugi w moim długim życiu — rozmawiałam z Thomasem tak często, jak niegdyś z Oscarem. Dobrze znałam te wrażenia od

czasu mojego poprzedniego otarcia się o sławę, ale istniała pewna znacząca różnica: wtedy trwałam w pełnym nadziei oczekiwaniu dalszych wydarzeń, teraz zaś czułam niepokój, jakby ciemne chmury zbierały się nade mną tuż poza zasięgiem mojego wzroku. Kiedy próbowałam wypatrzeć niebezpieczeństwo, jego oznaki znikwały bez śladu, ale gdy tylko odwracałam od niego uwagę, powracało i znowu mogłam je dostrzec kątem oka.

Za Elgin zniknęły ostatnie lustrzane budowle, a ich miejsce zajęły pola: jaskrawozielone pola kukurydzy i prawie pomarańczowe uprawy soi. Na pierwszy rzut oka wyglądały na bezładnie, przypadkowo rozrzucone, lecz pod pewnym kątem można było dostrzec ich precyzyjny, geometryczny układ. Miałam mgliste wspomnienie, że w dzieciństwie lubiłam te chwile podczas jazdy samochodem, kiedy linie dzielące pola nagle stawały się proste jak szprychy umocowane wprost w moim oku.

— Już blisko — odezwałam się do Irene. — Mówię o miejscu, w którym to się stało.

— Tak sobie myślę, że mogłybyśmy zostawić wypadek na później — odparła. — Chyba że ty chciałabyś się tu zatrzymać.

— Możemy to zostawić na nigdy — odpowiedziałam, głównie z zamiarem wzbogacenia kolekcji ironicznych, zręczliwych uwag, które, jak się dowiedziałam, były moją specjalnością. Irene oczywiście zanotowała.

Kiedy z torebki dobiegło kwilenie telefonu komórkowego, na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Dzwoniącym był niemal zawsze Thomas — specjalnie dał jej tę komórkę, żeby łatwiej mu było nawiązać z nią kontakt, zwłaszcza teraz, gdy po zakończeniu semestru podjęła się pisania nie tylko dla mnie, ale i dla dwóch Zwykłych.

— Halo? — odezwała się nerwowo, ale już po sekundzie jej rysy złagodniały, a usta wykrzywiły się w uśmiechu, szczebiocząc: — Cześćjaksięmasz?

Standardowa formuła ciepłego powitania.

To musiał być Thomas.

— Tak... — mówiła — ...my właśnie... dojeżdżamy do Rockford? Tak, jesteśmy prawie na miejscu. — Umilkła, jak to zwykle bywało, kiedy rozmawiała z Thomasem. Słuchała.

Tak się złożyło, że jednym ze Zwykłych, których jej przydzielono, był Pluto.

— Mam dla ciebie trzy słowa na temat Pluta — powiedział Thomas podczas jednej z wielu naszych wizyt w jego biurze. — Dickens. Dickens. Dickens.

— Chodzi ci o... ofiarę niesprzyjających okoliczności? — upewniła się Irene.

— Właśnie.

— Żyjącą poniżej swych...

— Tak jest.

— Zatem jego los musi się poprawić. To konieczne.

— Bingo — przytaknął Thomas. Irene zaczynała mnie przerażać.

Nie chciała rozmawiać ze mną o Plucie (mówiła, że nie może nadużywać jego zaufania), za to Pluto i ja plotkowaliśmy o niej nieustannie. Czy naprawdę była taką czystą duszyczką, na jaką wyglądała, czy może miała w sobie pokłady dzikich żądź? Czy jej mąż był geniuszem, czy tylko frajerem? Jakiego koloru były kafelki w jej łazience? I dlaczego była ostatnio taka cicha? Czyżbyśmy zaczęli ją nudzić?

Irene zamknęła klapkę telefonu i przez chwilę siedziała w milczeniu. Po rozmowach z Thomasem zawsze czuła się zdezorientowana, jakby przed chwilą omal nie stratował jej tłum.

— On nadal zamierza przyjechać — odezwała się w końcu.

— Po co? — spytałam buntowniczo. — Zamierza oprowadzić mnie po moim mieście, którego w życiu nie widział?

— Pojęcia nie mam — odparła z konsternacją, którą pomysły Thomasa wzbudzały w niej niemal zawsze. — Znowu wspominał coś o kamerach filmowych.

Oparła głowę na dłoniach i zamknęła oczy. Kiedy pokłóciłam się i pogodziłam z Irene, wydawało mi się, że będziemy sobie bliższe, jak siostry. Nic podobnego. Coś się zmieniło, popsuło, i zamiast tego stałyśmy się tylko towarzyszkami, profesjonalistkami, współpracowniczkami zatrudnionymi przez firmę Extra/Ordinary.com, ale na pewno nie przyjaciółkami. Sam fakt, że pracowałyśmy razem, niejako izolował nas od siebie; znałam to uczucie z czasów, gdy byłam zawodową pięknością. Byłam wówczas zbyt wdzięczna bogatym dżentelmenom, którzy mnie utrzymywali, by pozwolić sobie na związek z kimś, kto znajdował się w sytuacji podobnej do mojej.

Zjechałam z drogi międzystanowej wprost na East State Street, pięciomilową mackę, którą Rockford wyciągało od lat coraz dalej i dalej.

— *Voilà!* — powiedziałam. — Syć swoje oczy, Irene.

Już jako dziecko, kiedy wracałam z matką i Grace po sobotnich zakupach w Chicago — z nowymi sukienkami i miętówkami Frango w bagażniku wozu, a także z lunchem w Walnut Room w pamięci — gdy trasa między Rockford a Chicago była całym znanym mi światem, kiedy docierałyśmy do State Street (praktycznie jeszcze w szczerym polu), otóż już wtedy nie czułam w duszy ciepła z okazji powrotu do domu, ale coś na kształt dzwonienia w uszach. Już wtedy bowiem uważałam powroty do Rockford za nurkowanie w kierunku dna, coraz dalej od życiodajnego tlenu. Każdy z nich był zniechęcającym zanurzeniem w nijakość — pamiętałam, skąd jestem, i kolejny raz musiałam stawić czoło prawdzie.

Teraz było inaczej. Czułam głupkowatą radość w sercu, kiedy mijałam Clocktower Hotel z jego „Muzeum Czasu”, tablicę z napisem „Witamy w Rockford”, Courtyard Inn, Holiday Inn, Klub Rowerowy „Bombaj”, Burger Kinga, Country Kitchen, Red Roof Inn, Gerry's Pizza, Mobil, Century 21, Merrill Lynch oraz Centrum Ogrodowe Lowe'a. Byłam dumna z Rockford, że pojawia się na zawołanie i odgrywa swoją rolę z takim przekonaniem. Powiedziałam Irene, że będzie zardzewiałe, rozdęte i puste, i oto skoczyło na nas swym ohydnie, typowo amerykańskim krajobrazem. Był to jeden z tych widoków, które robią piorunujące wrażenie na Europejczykach: płaskie, podobne do hangarów budynki bez okien, gaje plastikowych znaków i tablic oraz mile parkingów pełnych wielkich, amerykańskich samochodów, których maski i okna lśniły w pełnym słońcu. Był to krajobraz bez ludzi, jeśli nie liczyć kilku maleńkich jak mrówki sylwetek, rozrzuconych na parkingach jak figurki na architektonicznej makiecie. W stan bliski niebytu rzucał je ogrom budynków i środkowo-zachodniego nieba, upstrzonego kępami chmur, prawie tak dominującego nad ziemią jak niebo afrykańskie.

Długopis Irene wreszcie się poruszył. Pool-o-rama, Tumbleweed, Stash O'Neill's, Happy Wok... Byłam dumna! Dumna z mojego rodzinnego miasta! Z jego etnicznych restauracji i z tego, jak pracowicie wymazywało ślady pierwotnej przyrody. I z tego poczucia, że gdybym znalazła się w dowolnym miejscu Ameryki, napotkałabym te same sklepy i lokale, ustawione w identycznym porządku. I z zapachu, z jakim wykorzeniano stąd wszelkie oznaki indywidualności.

Zarezerwowałam dla nas pokoje w motelu Sweden House przy East State Street, w pobliżu rzeki — tam, gdzie z reguły zatrzymywałam się podczas nieczęstych wizyt. Zameldowałyśmy się z Irene i poszłyśmy do swoich pokoi. Wyrzałam przez okno, na niby-alpejski fronton budynku i tandetne flagi. Czułam zapach wykładzin podłogowych, lizolu i starych papierosów. Wiedziałam, że lada chwila powróci znajome wrażenie przebywania w grobie. Ogluszająca świadomość bycia w Rockford. Rockfordzki łomot. „Przeczuwała, że jak zawsze dopadnie ją przygnębienie, a to tylko wzmagало stan niepokoju, który sprawiał, że przemierzała pokój jak zwierzę zamknięte w klatce...” Och, zamknij się, pomyślała.

Zapukałam do drzwi pokoju Irene, tuż obok mojego. Siedziała na łóżku obok nie otwartej walizki, nie robiąc absolutnie nic.

— Dobrze się czujesz? — spytałam.

— Świetnie — odparła, patrząc tępo w przestrzeń.

— Masz ochotę na spacer?

— Jasne.

— Właściwie nikt w tym mieście nie spaceruje... Ale możemy spróbować.

Zrobiło się mglisto i wilgotno. Powietrze zalatywało olejem silnikowym. Opuściliśmy gościnny Sweden House i poszliśmy wzdłuż wielopasmowej ulicy w stronę Alpine Road.

— Czy to centrum? — spytała Irene, otwierając notes.

— Nie, nie — odparłam. — Centrum jest na zachodzie, po drugiej stronie miasta. Tylko że nikt go już nie odwiedza.

— Więc... nie ma tu prawdziwego centrum?

— Raczej nie — odpowiedziałam. Zanotowałam.

Aunt Mary's, moja ulubiona kawiarnia w Rockford, przeszła raczej rozczarowujący facelifting od mojej ostatniej wizyty — obszerne łóżka zniknęły, a zamiast nich pojawiły się stoliki o szklanych blatach z butelkami oliwy z oliwek. Kiedy złożyliśmy zamówienie, Irene uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

— No i jak się tu czujesz?

Tego typu pytania stały się ostatnio rutynowym elementem naszych konwersacji, do tego stopnia, że nie zauważałam w nich nawet przyjaznej nuty. Odczytywałam je jako: „Co masz dla mnie?” Niewidzialna kobieta-lepidopterolog, której zleciłam zadanie chwytania i konserwowania moich myśli, podawała je Irene w postaci zabalsamowanych okazów o opalizujących skrzydłach, przypiętych do aksamitnego tła: wracam do Rockford jako dziecko. Dostrzegam perfekcyjną geometrię pól kukurydzy. Walnut Room. Miętówki Frango. Rockfordzkie przygnębienie. Umiałam już na bieżąco przypominać sobie fakty z przeszłości (płacono mi za to, żebym pamiętała). Łowiłam je więc, chwytalam i trzymałam mocno; pładrowałam własny umysł tak lekkomyślnie, jak baron naftowy rabuje dziewicze tereny, przekonany, że zawsze znajdą się nowe. A przecież w chwili, kiedy wypowiadałam wspomnienia na głos, przestawały być moją własnością. Brzmiały fałszywie, jakby zostały spreparowane, wyolbrzymione. Przypominały reklamy. A Irene notowała.

Sygnał telefonu komórkowego jak zawsze przyprawił ją o nerwowy grymas.

— Halo? — odpowiedziała i natychmiast zrozumiałam, że tym razem dzwonił jej mąż, nie Thomas. — Cześć, skarbie — mruknęła głosem pełnym smutku, niepokoju i jeszcze czegoś tajemniczego, co przywiodło mi na myśl ciepłe pokoje o zaciągniętych zasłonach. Intymność, pomyślałam.

Odeszłam od stolika, żeby mogli swobodnie porozmawiać. Wcześniej, gdy tylko stanęliśmy w drzwiach Aunt Mary's, zauważyłam znajomo wyglądającego mężczyznę. Teraz postanowiłam przyjrzeć mu się bliżej. Siedział samotnie, a przed nim, na stoliku, stały dwa kubki z kawą i kilka pustych szklanek dokoła książki i zeszytu, w którym notował coś w wielkim zapamiętaniu. To był Moose. Nie zmienił się pod wieloma względami — wciąż był przystojny, choć może nieco masywniejszy, starszy, co oczywiste. Ruszyłam w jego stronę, by przywitać się przynajmniej, przypomnieć się jakimś żartem, ale... już po kilku krokach poczułam się dziwnie. Moose nie był sobą. W czwartkowe popołudnie, w czterdziestym którymś roku życia, siedział samotnie w Aunt Mary's, w pogniecionym ubraniu, skrobiąc coś jak szalony. Wszystkie opowieści, które słyszałam na jego temat, zaczęły nagle powracać, a zwłaszcza ta o dziwnym epizodzie przemocy.

Stałam już u jego stolika. Moose uniósł głowę i spojrzał na mnie z obawą. Spałam z nim przecież kiedyś, a jednak wcale nie pamiętałam tego wydarzenia. Majaczył mi w pamięci tylko obraz Moose'a na moim trawniku, podczas pierwszego spotkania, kiedy tak podrzucał w dłoni główkę spryskiwacza, przyglądając mi się z rozbawieniem.

Spojrzałam w jego spłoszone oczy, szukając choćby śladu tamtego po królewsku pewnego siebie chłopaka. I nic. A ja, naturalnie, zmieniłam się nie do poznania. Patrzyliśmy na siebie jak dwoje nieznajomych.

— Przepraszam — wykrztusiłam w końcu i odeszłam. Wróciłam do stolika, z trudem łapiąc oddech.

— To Moose — powiedziała Irene. — Brat Ellen Metcalf. Coś się z nim stało.

Irene spojrzała w jego stronę, notując coś pospiesznie. Uspokoiwszy się, pożyczyłam od niej telefon, żeby zadzwonić do Grace, od której dowiedziałam się, ku memu bezbrzeżnemu zdumieniu, że z niechętniej zgody Franka na fotografowanie jego domu wykwitło nagle, w niepojęty sposób, zaproszenie na kolację. Ten niewyjaśniony napad gościnności mojego szwagra mogłam tłumaczyć jedynie użyciem magicznego hasła „New York Post”, które rzuciłyśmy z Irene mimochodem, by nie musieć tłumaczyć prawdziwego charakteru naszej misji. W gruncie rzeczy wskrzesiłyśmy ten sam wyspany z palca pretekst, którym Irene oszukała mnie: historyjkę o modelce ze zdeformowaną twarzą, o jej dawnym życiu, o uczuciach i trudach przystosowania. Dopiero teraz, w Aunt Mary's, gdy dopracowywałyśmy szczegóły tego kłamstwa („Dobra, powiemy, że dzwoniłam do twojej agencji i że to opowieść o twojej tożsamości”), dotarło do mnie, że w istocie wcale nie będziemy zmyślać. Historia mojego życia naprawdę powstawała, pisała ją Irene, a w dodatku rzeczywiście istniał plan drukowania tego „dzieła” w gazecie!

— Wiesz, wydaje mi się, że jesteś jasnowidzem — powiedziałam, przyglądając się Irene ze zdumieniem. Uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. — Mówię poważnie. Zdarzyło ci się już kiedyś, że wymyśliłaś coś i nagle stało się to prawdą?

— Jezu, miejmy nadzieję, że nie — odparła, wyglądając przez okno. Światło padało na jej twarz tylko z jednej strony, pogłębiając cienie. Kiedy odgarnęła włosy za uszy, dostrzegłam katastrofalną zmianę w cieniu jej osobowości: tańcząca sylfida, którą znałam z pierwszych naszych spotkań, zdegenerowała się do ponurej postaci rozpaczającej nad jakimś głębokim nieszczęściem. Byłam tak zszokowana, że odstawiłam szklankę i z trudem zmusiłam się do ponownego spojrzenia. Nie ma jej, pomyślałam, gapiąc się bezczelnie.

Irene odwróciła się w moją stronę.

— Przestań, Charlotte — powiedziała.

Nowy dom mojej siostry, który znałam tylko z fotografii, należał do nowego osiedla zwanego White Forest.

— Na wschód od międzystanowej? — wykrzyknęłam, kiedy powiedziała mi, gdzie to jest. — Przecież to praktycznie w Beloit!

Prawda jednak była taka, jak powiedziała mi Grace, że w ostatnich latach budowano już wyłącznie na wschód od międzystanowej. Starsi farmerzy odchodzili, a ich dzieci sprzedawały farmy developerom, by uniknąć podatków. Błyszcząca tablica wetknięta w pole kukurydzy uprzedziła nas o rychłym zjeździe na nowo zbudowaną drogę, którą dojechaliśmy między łagodne, trawiaste pagórki, których zieleń mocno kontrastowała z bielą niby-kolonialnych domków z kolumnadami. W White Forest nie było jeszcze prawdziwych drzew; jedynie kępa wątłych podrostów chyliła się pod naporem wiatru, który na okolicznych równinach nabierał sporej prędkości. Szukając domu mojej siostry, przejechaliśmy niemal całą krętą alejkę.

Szwagier pojawił się na horyzoncie jako pierwszy, najpierw brzuchem, a potem resztą ciała i toporną twarzą. W moim umyśle Frank Jones był uosobieniem fizycznej prymitywności: ręce jak łopaty, bycza gęba i rów w miejscu pępka. Dlatego też zawsze przerażała mnie delikatność jego rysów, budząca skojarzenia z niewinnością nastolatka. Frank był dekarzem, a może raczej dekarzem-biznesmenem, zarządzającym paroma firmami-córkami w takt melodii pod tytułem „dwieście tysięcy rocznie”, jeśli wierzyć Grace.



— Cześć, Charlotte — powiedział, nie kłopotząc się całowaniem mnie na powitanie, za co byłam mu wdzięczna. Przedstawił się Irene, która pozdrowiła go z zupełnie nową, nienaganną serdecznością. Miałam wrażenie, że polubi moją współpracowniczkę; nie miała w sobie dość stylu, by poczuł się urażony.

Grace wybiegła z domu, a zaraz za nią dzieciaki. Pammy i Allison objęły mnie i uściśniły mocno, w zasadzie nie patrząc na moją twarz; jakoś nie miały ochoty podziwiać rekonfiguracji sławnej cioci Charlotte. Jeremy, najmłodszy, którego nie miałam jeszcze okazji poznać, nie dobiegł do mnie — zawrócił gwałtownie i wpił się w pierś ojca. Wiatr ryczał dookoła nas, zagłuszając słowa i niemal wyrwijając nam włosy z głów. Z trudem ruszyliśmy w stronę domu.

— Wieje tu jak diabli — odezwał się Frank przepraszająco, spoglądając na Irene. — Ale niech no tylko te drzewa podrosną, od razu zrobi się zaciszniej.

Kiedy znaleźliśmy się za drzwiami, Grace wciągnęła mnie do pralni i w wielkim skupieniu obejrzała moją twarz.

— Nie do wiary, o ile korzystniej wyglądasz! — zawołała, ściskając mnie za ręce. Moja młodsza siostra była jedną z niewielu znanych mi osób zdolnych do promienienia i w owej chwili właśnie to robiła: promieniała, stojąc przede mną w dżinsach i różowej koszulce z napisem „Seksowne Mamuśki”. Obrączka zwiisała luźno na jej chudym, czerwonym palcu. — Wyglądasz tak, jakby nic się nie stało. To na pewno dzięki tej drugiej operacji.

— Och, Grace. Naprawdę tak uważasz? — spytałam, walcząc z przemożną ochotą użycia paru kwaśnych replik, które niecierpliwie trzepotały skrzydłami we wnętrzu mojej czaszki. „Powiedz to wszystkim tym ludziom, którzy kiedyś byli moimi przyjaciółmi”. Albo: „I pewnie dlatego twoje córki nie chcą na mnie patrzeć”. Nic jednak nie powiedziałam, tylko przytuliłam ją zbyt mocno, tak że zderzyłyśmy się nagle i Grace wybuchnęła śmiechem. Mój uścisk był niezgrabny (miałam bardzo małe doświadczenie) i za długi (Jak właściwie należy kończyć uścisk? Kto powinien to robić?), ale musiałam go wykonać, przede wszystkim z powodu wdzięczności — Grace naprawdę wierzyła, że wyglądam jak dawniej, a to dlatego, że mnie kochała.

Frank i dziewczęta oprowadzili Irene po swoich włościach. Kuchnia lśniła nowiutkimi sprzętami, w salonie ani jednej plamki. Irene nosiła na szyi nikona, którego pożyczył nam Thomas Keene, a w sercu radę, której jej udzieliłam: że powinna fotografować najszybciej jak się da, na wypadek, gdyby Frank znowu się popisał i raz na zawsze wyprosił nas z domu. Dzieje mojej znajomości ze szwagrem były historią jawnej wrogości, od czasu do czasu przeplatanej elementami horroru: na przykład wtedy, gdy przypadkowo zrzuciłam go z pokładu motorówki wprost w wody jeziora Michigan; wtedy, gdy dowiedział się, że przespałam się z drużbą w przeddzień jego ślubu z Grace, albo wtedy, gdy podczas kolacji w country clubie, łyknąwszy o jedną szklaneczkę Canadian club za wiele, krzykiem powiadomił współbiesiadników, że jestem suką. Zwłaszcza ta ostatnia sprawa utkwiała mi w pamięci, ale nie dlatego, że publicznie narobił mi wstydu; nie dlatego, że siłą wyrzucono nas z klubu; nie dlatego nawet, że moja siostra rozplakała się, a jej córki ukryły się pod stołem. Zapamiętałam ten incydent, bo zatkało mnie wtedy kompletnie, co nie zdarza mi się często.

— Ty... ty... — zaczęłam, ale zdawało mi się, że upłynęły długie minuty, zanim wykrztusiłam: — ...durniu! — z niebывałym wysiłkiem. Ogromna masa głębokich prawd, które zamierzałam wyluszczyć Frankowi w tym momencie, po prostu zatkała mi gardło. — Ty... ćwoku! Ty... g-g-g... — Godziny mijały. Zmieniały się pory roku. Dzieci rosły i płodziły nowe pokolenia. — ... g-g-głębkie!

Nie przestawałam wyciskać z krtani żalonych parodii obelg, kiedy wyrzucano nas z lokalu i kiedy Frank prowadził swą przygnębioną gromadkę do samochodu. Byłam przekonana, że gdyby to niepojęte duszenie ustało choć na chwilę, moje złote usta wyraziłyby całą pogardę, którą żywiłam dla niego, we wszystkich jej odmianach, barwach i półtonach. Niestety, było coraz gorzej: nie mogłam wydusić z siebie żadnych zrozumiałych słów.

— Ty gagrragelegg! Ty msnnnsgulummm — charczałam, kierując ten bełkot w stronę samochodowego, dość mocno już oplutego okna, za którym majaczyła mi postać Franka. Potrząsnąwszy głową, mój szwagier wrzucił bieg i odjechał wraz z rodziną, zostawiając mnie na parkingu z młodocianym, wystraszonego pomocnikiem kelnera.

Następnego lata, kiedy nie byłam już osobą mile widzianą w domu mojej siostry, namówiłam ją, żeby przywiozła córki do mnie, do Nowego Jorku. Spędziłyśmy cały weekend, nurzając się w czymś, co wszystkie trzy nazywały czystą dekadencją: spałyśmy do dziesiątej, zamawiałyśmy placki w Delphi, greckiej knajpce, i jeździłyśmy na rolkach w Central Parku, w takt muzyki house, w zajmującym towarzystwie nader atrakcyjnych, czarnoskórych młodzieńców.

W niedzielę wieczorem Grace zadzwoniła do Franka, żeby mu powiedzieć, że przedłuży wizytę o dwa dni. Zabrałam dziewczęta na sesję zdjęciową, podczas której bawiły się lokówkami i trenowały na sobie używanie całej kolekcji szminek. Pozwalałam im jeść popcorn w moim łóżku i oglądać MTV. Nie musiałam proponować siostrze drugiej prolongaty: Allison i Pammy zrobiły to za mnie. „Prosimyprosimyprosimyprosimy...” zawodziły do słuchawki i tym razem obiekcje Franka słyszalne były w całym pokoju. Jego wściekłość nie miała już znaczenia: nie miał już władzy nad dziewczętami; obie należały do mnie. Wygrałam, myślałam mściwie, wyrwałam je z jego szufłowatych łap. Tego wieczoru wyciągnęłam z szafy przedłużacz i ustawiłam mikser na balkonie. Zrobiłam sok dla córek Grace i margarity dla nas, potem tańczyłyśmy na kanapie do muzyki Jackson Five, aż wreszcie dziewczyny zasnęły w moim łóżku, oglądając *Zabitego na śmierć*. Dołączyłam do nich i zapadłam w narkotyczny sen, wywołany odurzającym zapachem ich włosów i skóry. Spałam tak mocno, że wkrótce po świcie nie usłyszałam sygnału telefonu. Pammy podniosła słuchawkę i dowiedziała się od portiera, że Frank czeka na dole (po całonocnej jeździe samochodem). Allison obudziła mnie z przerażeniem w oczach („O nie, nie, tatuś przyjechał!”) i ledwie zdążyłam zarzucić na siebie jedwabne kimono i zapalić meritę, a już jego tłusty paluch naciskał guzik dzwonka u moich drzwi. Wpuściłam go bez słowa. Urządził niezłe przedstawienie, ciskając do walizek breloczki w kształcie gmachu Chryslera i kubki przypominające Statuę Wolności. Grace wisiała nad nim, na przemian popadając w głęboką konsternację i wybuchając nerwowym śmiechem. A ja siedziałam na balkonie, paląc papierosa w stanie głębokiego spokoju. Ledwie słyszałam rozgardiasz panujący w pokoju, tak bardzo dostroiłam się do ciszy, którą mieli zostawić po sobie moi goście.

Allison miała teraz prawie czternaście lat, długie, bursztynowe włosy, piegowatą skórę (biedactwo; takie ciało paskudnie się starzeje, choć na razie tryskało zdrowiem), małe piersi, powiększone z lekka wypchanym stanikiem, jasnozielone oczy i zaraźliwy śmiech. Ze ściany jej sypialni spoglądał na świat Leonardo DiCaprio. Dziewczyna wyciągnęła z szafy sukienkę o krótkich rękawach w lawendowe i czarne paski, którą zamierzała włożyć na szkolną potańcówkę w przyszłym tygodniu.

Pammy, o dwa lata młodsza, wciąż jeszcze miała dłonie w kształcie gwiazdek i dziecięcą fryzurę „na grzybka”. Przyglądała się sukience nieufnie, jakby instynktownie przeczuwała, że to jeszcze nie czas. Wciąż pamiętałam strach Grace, kiedy zaczynałam wykluczać ją z mojego bardziej dorosłego życia; pamiętałam, jak obawiała się spotkania ze światem bez mojej opieki. Wtedy jednak nie współczułam jej ani trochę — byłam niecierpliwa i niechętna, nie mieściło mi się w głowie, że mogłabym stanąć w miejscu przez wzgląd na nią czy kogokolwiek innego. „A co z kinem?”, pytała błagalnie. „Z filmem, w którym miałyśmy grać?” Któregoś dnia, zmęczona już tym nagabywaniem, odpowiedziałam jej (kobieta-lepidopterolog zbliżyła się z chloroformem w dłoni i uśmiechem eksterminatora): „Ciebie już nie ma w tym filmie. Publiczność woli mnie”.

— Chodź, Irene! — wołał Frank w sąsiednim pokoju, przy akompaniamencie strzałów migawki. — Jeśli staniesz na balkonie, zmieścisz w obiektywie cały pokój... Zaczekaj! Przesunę tę wagę... Moment! Poduszka krzywo leży!

Objęłam ramionami małą Pammy, a ona wtuliła się we mnie.

— Co byś powiedziała, gdybym podstrzygła ci włosy? — szepnęłam jej do ucha. — Na przykład tak, jak moje?  
— Mała spojrzała na mnie poważnymi oczami ptaka i skinęła głową.

O siódmej znowu walczyliśmy z wichrem, tym razem idąc w stronę samochodów. Dziewczęta wsiadły ze mną i z Irene, po czym natychmiast opuściły szyby. Wiatr przyniósł znowu otaczających White Forest wilgotny zapach wczesnego lata, który zawsze będę pamiętała. Jadąc na zachód Squaw Prairie Road, minęliśmy walące się stodoły i zagrodę pełną owiec, których czarne pyszczki ledwie widziałam.

— Wiesz — powiedziała Irene — tu naprawdę jest jakby... pięknie.

Myślałam dokładnie o tym samym, ale powiedziałam:

— Nie wpadaj w przesadę. — Jeszcze jedna sentencja do koszyka cytatów.

Giovanni's, moja ulubiona restauracja w Rockford, była płaską, pozbawioną okien budą. Parking, który rozciągał się przed nią, przemierzyłam, idąc pod rękę z dziewczętami, w blasku flesza nikon Irene. Wyłożony dywanem hol prowadził z jednej strony do baru, a z drugiej do kilku obszernych sal ze stolikami. Każdy z nich, wielkości małego parkietu tanecznego, obleżony był przez zajętych konsumpcją obywateli, których wygląd znakomicie pasował do narodowych statystyk dotyczących otyłości. Zobaczyłam niedowierzanie w oczach Irene, kiedy tak stała w korytarzu, ściskając w dłoniach notes.

— Czuję się jak w obcym kraju — powiedziała.

Nic bardziej błędnego, pomyślałam. Ucieczką przed tymi gigantycznymi restauracjami były dla mnie jedynie wyjazdy za granicę. Teraz jednak, kiedy wszystkie obrazy stanowiły materiał dla Irene, nawet ten widok miał w sobie coś malowniczego. Widzisz? — pomyślałam, obserwując, jak mój szwagier dyskutuje z hostessą, kołyszając się na piętach. Widzisz? Frank Jones to wcielenie autentyczności, zwykły człowiek w najlepszym wydaniu! Czułam coś niebezpiecznie bliskiego podziwowi.

Kiedy usiedliśmy przy stole, kelnerka w fartuszkach przyjęła zamówienie na napoje: wódkę, colę dla dzieci i białe wino dla Irene (odwiedzający Rockford po raz pierwszy często popełniali ten błąd). Gdy wróciła, Frank uniósł szklaneczkę i powiedział:

— Za Charlotte. Za to, że się nie poddała.

Poczułam w oczach łzy. Nie dlatego, że hołd złożony przez wroga cokolwiek dla mnie znaczył; nie dlatego, że zawsze zależało mi na opinii Franka, i wreszcie nie dlatego, że uważałam się za dzielną osobę i pragnęłam uznania. Nie. Chciało mi się płakać, bo rozumiałam, że z nową twarzą już nie jestem dla niego zagrożeniem.

— Charlotte i ja mamy za sobą niejedną bitwę — wyjaśnił Frank, zwracając się do Irene.

— Naprawdę? A o co tak walczyliście? — spytała niewinnie.

Wymieniliśmy z Frankiem spojrzenia, złapani w sieć jej nieśmiałości.

— Zdaje się, że to zwyczajna antypatia, nieprawdaż? — powiedział z wahaniem.

— Tak, to chyba to — przytaknęłam.

— Właściwie nie pamiętam już, jak to się zaczęło — dodał, grzechocząc kostkami lodu w szklance. — Mam wrażenie, jakby trwało od zawsze.

— Znienawidziłam cię od pierwszego wejrzenia — wyznałam przyjaźnie.

Wysilek, z jakim nadawaliśmy tematowi odpowiednią teksturę, przypominał gryzienie cukierków-ciągutków.

— Zepchnęła mnie z łodzi — powiedział Frank. — Na środku jeziora Michigan, podczas sztormu.

— To był wy...

— Tak, tak — przerwał mi, gestem prosząc kelnerkę o dolewkę Canadian Club, ulubionej whisky. — A faceci, których policja znajduje na dnie rzeki z nogami w betonowych blokach, toną przez przypadek.

— Tak się złożyło — odezwałam się głośno — że odwróciłam się nagle i...

— Z tacą w dłoniach! — wtrąciła Grace.

— Właśnie. Z tacą pełną kanapek. I wtedy uderzyłam go przypadkiem...

— W brzuch. Tacą. Wszystko wylądowało na mojej koszuli.

— I z jakiegoś...

— *Pastrami* na butach!

— ...z jakiegoś powodu, który być może miał coś wspólnego z dwunastoma czy trzynastoma michelobami wypitymi tego popołudnia...

— Zaraz, zaraz...

— Frank miał drobne problemy z równowagą — dokończyłam. — Wywinął salto do tyłu i wpadł do jeziora. Głową w dół.

Na moment zapadła cisza pełna wyczekiwania.

— *Pastrami* i nie tylko. — Nie mogłam sobie odmówić tej uwagi.

Oczy Grace skakały nerwowo między mną a jej mężem. Moja siostra najwyraźniej obawiała się, że lada chwila jedno z nas wykona własne salto do tyłu z wysokiej wieży retrospekcji, wprost w odmęty zadawnionego konfliktu. Lecz gdy tylko zdałam sobie sprawę z jej lęków, zrozumiałam, że taki rozwój wydarzeń jest po prostu niemożliwy. W niespełna dwie godziny wrogość między mną a Frankiem straciła swą moc, zyskując jednocześnie cechy dobrej anegdoty. Połączyła nas odpowiedzialność przed publicznością, której sama obecność przekształciła piętnastoletnią, wzajemną pogardę w nie najgorszą współpracę. Tak jak restauracja, jak Frank i całe Rockford, nasza nienawiść stała się malownicza.

— Jeszcze lepsze fajerwerki były... hej, nie odchodź! — zawołał Frank, kiedy wstałam z krzesła. — Były w country clubie. Posłuchaj tylko... — W tym momencie przeprosiłam grzecznie i odeszłam, nie tylko dlatego, że nie chciałam słuchać opowieści o mojej werbalnej porażce. Oddaliłam się, mimo przyjemnego uczucia zgody i przytulnej dobroduszości, bo miałam wrażenie, że coś jest nie tak. To był dziwny dreszcz, połączony z uciskiem w żołądku. Poszłam do toalety, usiadłam na sedesie i przysłuchując się, jak starsze panie w sąsiednich kabinach siusiąją niespiesznie, zastanawiałam się, co może mnie tak niepokoić.

Bo naprawdę byłam niespokojna. Jak nigdy dotąd.

Wychodząc z toalety, obeszłam grupkę ludzi czekających na miejsce przy stolikach — w większości siwych i zgarbionych, bo taki właśnie był profil demograficzny Rockford. Kiedy jakiś mężczyzna wymówił moje imię, podniosłam głowę z wielką niechęcią, szykując się na spotkanie z jakimś chłopaczkiem, z którym umawiałam się może w wieku lat czternastu (obecnie łysym i dzieciatym). Przedemną stał Anthony Halliday. W garniturze. Przez krótką chwilę widok tego człowieka, w takim stroju i w takim miejscu, nie chciał pomieścić się w mojej głowie. Wydawało mi się, że upłynęła pełna minuta, zanim, w chwilowym kryzysie wyobraźni, zdołałam wykrztusić banalne:

— Co ty tu robisz?!

— Pracuję — odparł, przebiegając wzrokiem po mojej twarzy.

— Tylko nie każ mi udawać, że ci wierzę.

— Chciałem cię zobaczyć.

Nie rozmawiałam z nim, odkąd dowiedziałam się o jego konszachtach z Irene. Kiedy to się stało, rozumiałam tylko jedno: że wykorzystał mnie, żeby zbliżyć się do Z. Nie pojmowałam tylko, dlaczego tak mnie to gryzło — zazwyczaj gorąco popierałam wzajemne wykorzystywanie się przez ludzi, a Hallidayowi jakoś nie mogłam przebaczyć.

Za każdym razem, kiedy dzwonił do mnie w następnych tygodniach (a trzeba przyznać, że czynił to wyjątkowo uparcie i pod koniec jego głos brzmiał już naprawdę rozpaczliwie), odkładałam słuchawkę, gdy tylko go słyszałam.

— Ale... skąd wiedziałeś, że mnie tu zastaniesz? — spytałam, czując, jak w mojej głowie materializuje się z wolna określenie „z rosnącym oburzeniem”.

— Jestem detektywem — przypomniał mi.

„Owo rosnące oburzenie kazało jej odpowiedzieć z zimną obojętnością:”

— Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdzie i nigdy — wycedziłam, odwracając się.

— Czy możemy chociaż... — powiedział. „Odwróciła się na pięcie”.

— Czy mógłbym...

Dywan ugiął się pode mną jak gąbka, kiedy „wracała do stolika dysząc z emocji, powiedziawszy jedynie «A po co?», nie mając najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie żalonych wykrętów tego moralizującego hipokryty”. Co dziwne, ta naprawdę rozgniewana cześć mojej osoby oddzielała się pomалу od całej reszty, tupiąc i sapiąc malowniczo, tak że kiedy wreszcie dotarłam na sale, żalowałam, że nie porozmawiałam z Hallidayem.

Tak, na tym właśnie polegał problem, skrobiający jak mysz efektowną fasadę malowniczości: zaczynałam rozpadać się na części. Na coraz drobniejsze kawałeczki. „Rozpadała się w szwach...” W głowie mi szumiało i trzeszczało, miałam tam całe złomowisko zgrzytających myśli, które kazały mi tęsknić za cudowną ciszą.

— A kiedy wróciliśmy z Wisconsin? — mówił właśnie Jeremy, pochylając się nad stolikiem bez tchu. — Weszliśmy do domu, a Ally mówi: hej, gdzie jest Saucy...

Bardzo chciałam powiedzieć Irene o Hallidayu; chciałam wprawić ją w szok. Z wielkim trudem zapanowałam nad sobą i nie przerwałam malcowi opowieści. Bardzo przywykłam do dzielenia się z Irene wszelkimi doświadczeniami, lekkomyślnie, bezkrytycznie i neurotycznie (naprawdę chciałam, żeby wszystko notowała).

— Pobiegliśmy do pokoju Pammy, a Saucy leżała tam w szufladzie ze skarpetkami! I rodziła małe kotki! Widzieliśmy, jak wychodzą!

— Jak wyglądały? — zainteresowała się Irene. O dziwo, notowała niemal bez przerwy.

— Jak małe kuleczki — odpowiedziała Pammy.

— Myślałam, że są martwe — przyznała Grace.

— Szkoda, że nie były — wtrącił Frank. — Teraz cały dom jest pełen małych...

— Tato!!! — wykrzyknęła zgodnie cała trójka dzieci. Nie, pomyślałam, kiedy ucichły ich protesty. Nie ma powodu, żebym wspominała Irene o spotkaniu z Hallidayem.

Salatki podano na tacy wielkości lodowiska. Kiedy kelnerka postawiła przed nami miseczki z rżniętego kryształu, Irene wstała, by uwiecznić na kliszy rodzinę siadającą do wspólnej kolacji. Kiedy regulowała ostrość, zajrzałam do jej otwartego notesu, zaintrygowana tym, co też ciekawego mogła zanotować na temat kotki Saucy. „Zagubiona”, przeczytałam. „Intensywna, przesywająca samotność”. A poniżej: „fantazjuje o utonięciu”.

— Uśmiech proszę — odezwała się Irene. I uśmiechnęłam się, patrząc w jej pełne rozpaczycy oczy.

— Opowiedz nam o Nowym Jorku, ciciu C. — poprosiła Allison, kiedy zaczęliśmy jeść. — Powiedz, co ostatnio robiłaś.

— O rany — mruknęłam, dokonując w duchu błyskawicznego przeglądu ostatnich miesięcy: straconych szans, nieudanych prób samobójczych i pierwszych kroków w świecie public relations. W końcu sięgnęłam po koszyk cytatów i dorzuciłam doń jeszcze jeden, za trzydzieści centów: — Piłam — powiedziałam. — I o wiele za dużo paliłam.

Dziewczęta roześmiały się, odrzucając główki do tyłu — oto cała ich ciocia Charlotte, którą tak uwielbiały.



— Pamiętasz, jak spałyśmy w twoim łóżku, ciociu C? — spytała Pammy. — Kiedy odwiedziłyśmy cię w Nowym Jorku.

— Jasne, że pamiętam — odparłam. — Od tamtej pory jest w nim pusto.

Frank poruszył się niespokojnie na krześle. Irene zanotowała: „Ciocia C.”

Ciepły powiew dobrej woli wyniósł nas z restauracji i poprowadził na parking, gdzie pożegnaliśmy się i obiecaliśmy sobie, że skontaktujemy się nazajutrz. Świerszcze cykały na polach, kiedy Irene prowadziła grand ama po State Street (nocą mój wzrok wciąż jeszcze szwankował), wzdłuż rzędów plastikowych znaków rozświetlonych od środka. Wymieniwszy kilka uwag na temat „jakże udanego spotkania”, umilkłyśmy na dłużej. Nasza zażyłość słabła, rozpadała się niemal, jak zawsze, gdy nie obserwowali nas inni ludzie. Zastępowała ją wzajemna wiedza o sobie, głęboka, ale nie serdeczna. Miałam ochotę porozmawiać z Irene o tym, co widziałam w jej notesie, zrozumieć, co się z nią dzieje i czy czuje to samo, co ja. Niestety, przystąpienie do dyskusji na ten temat wymagało umiejętności konwersacyjnych, których po prostu nie miałam.

Kiedy dojeżdżałyśmy do Sweden House, szukałam na parkingu obcego samochodu. W holu omiotłam spojrzeniem puste krzesła. Powietrze kołysało się od potężnych plusków, które towarzyszyły zabawom pulchnych dzieciaków, skaczących do krytego basenu widocznego za taflą pleksiglasu.

Siedząc na kwiecistej narzucie na łóżku Irene, ustaliłyśmy plan zajęć na następny dzień: „Dom rodz. C. — 9.00”, brzmiał pierwszy punkt programu. Dalej następowała szczegółowa lista miejsc, które znałam z przeszłości. Umówiłyśmy się na ósmą rano w holu, by wspólnie pojechać na śniadanie do Aunt Mary's.

Kiedy otwierałam drzwi mojego pokoju, zaszeleścił pod nimi skrawek papieru. „Jestem na zewnątrz”, brzmiała wiadomość.

Usiadłam na kwiecistej narzucie mojego posłania, włączyłam telewizor i zaczęłam machinalnie zmieniać kanały. *Niewyjaśnione zagadki*. Kucharz zniknął z restauracji, w której pracował. Zbliżenie skwierczącego kawałka mięsa na ruszcie. Mniej więcej po dziesięciu minutach ściszyłam telewizor na tyle, by słyszeć jedynie pomruk głosów. Założyłam zakiet i dyskretnie wymknęłam się z pokoju, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że przeciskam się przez szczelinę między szczelnymi zasłonami malowniczości, pozostawiając w tyle wszystko to, co składało się na klaustrofobiczną klitkę mojego nowego życia: niestrudzoną narratorkę przemawiającą do kamery, kobietę-lepidopterologa z narzędziami śmierci w dłoniach i, oczywiście, Irene. Z radością stapałam po milach wykładziny zalatującej wilgocią, idąc obok białoniebieskiego automatu z napojami, schodami w dół, bocznym wyjściem na zewnątrz i wreszcie na parking.

Stał oparty o samochód, z założonymi rękami. Byłam zła na Anthony'ego Hallidaya, ale w tej pozie wyglądał jak mój wybawca, bystry umysł, który umożliwił mi ucieczkę.

— Jesteś — powiedział, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Nie odzywaliśmy się przez jakiś czas. Próbowałam ustalić, co takiego zmieniło się w moim detektywie, poza tym, że miał na sobie garnitur. Zdecydowanie wyczuwałam coś nowego.

— Byłaś świadkiem w mojej sprawie — zaczął z przesadną troską. Miałam wrażenie, że to początek starannie przygotowanego przemówienia. — Nie chciałaś zeznawać, więc poprosiłem Irene, żeby...

— Wiem o tym — przerwałam mu. Przysunęłam się nieco bliżej Hallidaya. Nie dlatego, żeby pociągał mnie fizycznie. Nie dlatego, że w pobliżu manewrował samochód i musiałam zejść mu z drogi. Nie dlatego też, że był to najwdzięczniejszy sposób na okazanie łaski w odpowiedzi na coś, co pod każdym względem przypominało przeprosiny. Otóż przysunęłam się, bo zdawało mi się, że wyczułam alkohol w jego oddechu.

Kiedy stanęłam przy nim, wiedziałam już, że się nie pomyliłam.

— Ty pijesz — stwierdziłam z niedowierzaniem.

Teraz, kiedy już zauważyłam, Anthony wyraźnie się odprężył.

— Przykro mi, jeśli czujesz się zawiedziona.

— Zawiedziona? — powtórzyłam. — Do diabła, czekałam na to od miesiący! — Ale oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda. Byłam, krótko mówiąc, zmiążdżona. Rozczarowana tym, co zrobił.

Roześmiał się.

— Mówiłaś — odezwał się z rezerwą — że będziesz patrzeć, jak się staczam.

— Bluffowałam — odparłam. — A ty mówiłeś, że będziesz patrzył, jak wspinam się na szczyt.

— Oboje mieliśmy rację — podsumował, wzruszając ramionami w bezradnym geście pod tytułem „niezbadane są wyroki losu”, który wypadł przekonująco tylko wtedy, gdy jego wykonawca był trzeźwy lub odbiorca pijany. Halliday nie wysiłał się, słusznie przypuszczając, że nie byłam pijana. Coraz rzadziej zdarzało mi się nadużyć alkoholu. W zasadzie nie byłam w stanie porządnie się upić jak za dawnych czasów, kiedy zziąjana narratorka nieustannie szeptała mi do ucha: „Próbowała zatracić się w piciu, by ciemna zasłona jej alkoholizmu zakryła wszystko i wszystkich. . . ” Kiedy słyszałam w wyobraźni coś takiego, natychmiast trzeźwiałam.

Zdaje się, że jakieś zapomniane prawo drogowe nakazywało, by każdy wynajęty samochód w Rockford był grand amem. Halliday jeździł niebieskim. Otworzył przede mną drzwi pasażera.

— Będę zaszczycony — powiedział — jeśli zechcesz napić się ze mną przed snem.

— Ja będę prowadzić — odparłam. Jak ślepa pijanego, dodałam w duchu.

Szybko przekonałam się, że drinkiem na dobranoc miała być czysta wódka: Anthony trzymał na kolanach zapieczętowane jeszcze trzy czwarte litra absolutu, zapakowane w papierową torbę. Pojechałam State Street na zachód, w stronę rzeki, przez cały czas wyczuwając jego niecierpliwe wyczekiwanie, jakby liczył sekundy, które pozostały mu jeszcze do otwarcia flaszki. Zaparkowałam przed siedzibą YMCA, w pobliżu budki, z której prawie rok wcześniej po raz pierwszy dzwoniłam do Hallidaya. Dochodziła dwudziesta druga, ale nadrzeczny parczek wciąż tętnił życiem. Brama budynku była jeszcze otwarta; ze środka wylewała się fluorescencyjna poświata oraz dźwięki rytmicznej muzyki do ćwiczeń. Spacerując ścieżką na północ, mijaliśmy biegaczy, w większości młodych mężczyzn o spuszczonej głowach, z których krople potu spływały jak gorące sople. Halliday niósł swoją papierową torbę najdyskretniej jak umiał. Idąc obok niego, czułam się jak współnik ponurej zbrodni. Noc była wilgotna, ale chłodna. Na niebie kłębiły się grube chmury, opromienione dziwnym blaskiem.

Usiedliśmy na ławce nad brzegiem Rock River, w przyzwoitej odległości od budynku YMCA. Halliday otworzył butelkę i wziął jeden długi łyk; jeden z tych, jakie do tej pory oglądałam wyłącznie w filmach, gdzie wódkę oczywiście zastępowała woda. Alkohol bulgotał w szkle, a przelyk zacisnął się i otworzył trzy albo i cztery razy, zanim Anthony skończył, zmrużył oczy i z trudem łapiąc oddech, podał mi flaszkę.

— No, no — mruknęłam, kiedy rękawem ocierał usta.

Wzięłam maleńki łyk i odłożyłam butelkę na kolana, ale zabrał mi ją. Chyba chciał czuć w rękach jej ciężar.

— Dlaczego? — spytałam. — Dlaczego akurat teraz?

— Czuję. Że się zbliża. Czas — odparł, podzwaniając zębami. — Robiłem, co mogłem. Żeby to zatrzymać.

Zawiesiłam wzrok na przeciwległym brzegu rzeki, na nieco rozmazanych w moich oczach, ale i tak pięknych domach przy National Avenue, z miniaturowymi przystaniami wysuniętymi w głąb nurtu. Na jednej z nich odbywało się przyjęcie; widziałam girlandy i ludzi poruszających się w takt muzyki.

— Byłeś w szpitalu — przypominałam. — W zeszłym roku, w sierpniu.

Spojrzał na mnie spłoszony, a potem znowu uniósł do ust butelkę. Był to ten rodzaj picia, na który naprawdę nie można było patrzeć.

— Dlaczego? — spytałam.

— Alkohol — stęknął z wysiłkiem między łykami. — Psychoza.

— To znaczy...?

— Widziałem karły z wielkimi głowami, wylazące z kibla. I parę innych atrakcji.

Śmiałam się, a on pił.

— Dlatego przestałeś?

Skinął głową.

— Ale one i tak bały się na mnie spojrzeć.

— Twoje córki.

Patrzył prosto przed siebie, na rzekę, choć wątpiłam, by w tym stanie cokolwiek widział. Jego dziewczynki musiały tam być, myślałam, kiedy dostawał szafu na widok tych karłów. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak bardzo były przerażone.

— Nie — powiedziała stanowczo, wyciągając butelkę z jego rąk, kiedy znowu podniósł ją do ust. — Chcę tego wysłuchać.

Zaczął mówić, z niesamowitym wysiłkiem, jakby całe sektory jego mózgu wyłączały się po kolei, tak jak wyłącza się światło na piętrach wieżowców.

— Biuro Hanny... Na dole... Biurko, kompurr... Nic. Myślałem: w czym... tkwi jego sekret?

— Czyj sekret? — spytałam. — O czym ty mówisz? — I nagle zrozumiałam, że chodzi mu o Z. Jak zawsze o Z. — Dlaczego sądzisz, że on ma jakiś sekret?

— Myślałem... — dorzucił nadludzkim wysiłkiem — ...on mi pomoże.

— Anthony — powiedziała. Dygotał cały; trucizna krążyła już w całym jego ciele. Objęłam go ramieniem, próbując stłumić to drzenie. — W jaki sposób miałby ci pomóc? Co takiego mógłby powiedzieć?

Na dłuższą chwilę zapadła grobowa cisza. Czułam, że Halliday toczy fizyczną walkę z jakąś trudną, abstrakcyjną koncepcją, próbując ubrać ją w słowa.

— Powiedzieć... nie pij.

Jego słowa zawisły na moment w powietrzu, złote i dziwne. Dostrzegłam w jego oczach przebłysk jasności.

— Widzisz? — powiedziała, biorąc go za rękę. — Już to wiesz.

Trucizna trawiła jego ciało od wewnątrz; znowu sięgnął po butelkę. Nie powstrzymałam go, ale pozbawione czucia palce nie utrzymały szkła. Fłaszka potoczyła się po trawie. Halliday wstał z trudem i zatoczył się na ścieżkę.

— Muszę... iść.

— Zaraz, zaraz — zawołałam cicho, chwytając go pod ramię, by poprowadzić go z powrotem ku siedzibie YMCA. Udało mu się osiągnąć stan pełnego skupienia, dzięki czemu był w stanie utrzymać równowagę. Szedł ostrożnie, jakby dźwigał walizki pełne weneckiego szkła. W połowie drogi pochylił się nagle, obejmując ramionami brzuch. Wyprostował się po minucie, jęcząc z cicha, i znowu zgiął się wpół. Zrzucił z siebie moją rękę i chwiejnym krokiem ruszył w stronę rzeki.

Pozwoliłam mu iść. Patrzyłam, jak pochłania go cień, a potem czekałam, stojąc na ścieżce i spodziewając się lada chwila głośnego pluśnięcia. Ale ciszę przerwał dopiero odgłos gwałtownych torsji; bezradny dźwięk zabarwiony paniką. Wyobraziłam sobie dzikie zwierzę, które próbuje wydostać się na wolność przez skórę Anthony'ego. Po chwili usłyszałam jęki i szloch, przerywane okrzykami bólu. Odeszłam w stronę starych torów kolejowych, wdychając zapach trawy i próbując zapanować nad strachem, który mnie ogarniał. Przysiadłam na podkładach i oparłam dłonie na żelaznych szynach, wyobrażając sobie gwizd pociągu, daleką wibrację metalu i obietnicę rytmicznego stukotu kół.

Minęło sporo czasu, zanim odważyłam się zejść ze wzgórza. Znalazłam Hallidaya nad rzeką, nieprzytomnego. W powietrzu unosił się smród wymiocin i wódki. Przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl, że trawa w tej okolicy raczej nie przetrwa skażenia.

— Chodźmy — powiedziałam, potrząsając ramieniem Anthony'ego, ale nie ocknął się. Zastanawiałam się, czy nie porzucić go tam, pozostawiając kluczyki od samochodu w jego kieszeni. Wezwałabym taksówkę dla siebie, a jemu być może dobrze zrobiłaby pobudka o świcie na wilgotnej trawie, w towarzystwie biegaczy spoglądających nań z dezaprobatą. Analizując tę opcję, nie przestawałam zмагаć się z ciężarem jego ciała, próbując przywrócić mu pionową pozycję. — No, dalej... W górę... Musimy iść... — powtarzałam, ciągnąc Hallidaya za rękę, aż wreszcie zdołałam postawić na nogi tych jego dziewięćdziesiąt kilogramów, czy ile tam ważył... Oparł się ciężko na moim ramieniu, chuchając mi w nos wódczaną rzygowiną. Mój kręgosłup drżał z wysiłku, kiedy wreszcie dotarliśmy do wozu i z ulgą upuściłam brzemię na fotel pasażera. Usiadłam za kierownicą i otworzyłam wszystkie cztery okna.

— Anthony! — krzyknęłam, kiedy ruszyliśmy na wschód. — W którym hotelu się zatrzymałeś?

— W Courtyard — odparł posłusznie, nie otwierając oczu. Znałam ten hotel — przejeżdżałam obok niego wcześniej, jadąc State Street w kierunku miasta. Halliday oparł się ciężko o drzwi, pogrążony w głębokim śnie lub nieżywy. — Numer pokoju! — wrzasnęłam, gdy zajechaliśmy na parking przez Courtyard Inn. Na próżno: znowu urwał mu się film. Wyciągnęłam więc breloczek z wewnętrznej kieszeni marynarki Anthony'ego i — sprawdzwszy, czy nie ma na nim wymiocin — pokazałam go recepcjonistce. Dziewczyna rozpaczliwie potrzebująca diety oglądała właśnie program Jaya Leno, pożerając doritos. — Zapomniałam numeru pokoju — zaćwierkałam niewinnie. — Halliday. — Dziewczyna dokonała niebywałej ewolucji: spojrzała na spis gości i udzieliła mi wskazówek, ani na chwilę nie odrywając wzroku od telewizora.

Halliday, którego zostawiłam w samochodzie, nawet się nie poruszył, kiedy przestawiałam wóz na parking najbliższy jego pokojowi. Gdy ciągnęłam go na drugie piętro po zewnętrznych schodach, szedł z trudem, ale i z uporem, jakby przeczuwał, że jest prawie na miejscu. Jego pokój był bardzo podobny do mojego. Stały w nim dwa duże łóżka; na jednym z nich leżała otwarta torba. Poprowadziłam Anthony'ego do łazienki i włączyłam prysznic, pilnując, by woda nie była zbyt gorąca. W końcu wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi.

— Weź prysznic i umyj zęby — rzuciłam głośno przez ramię. — I pij wodę. Dużo, dużo wody. Możesz to robić pod prysznicem, jeśli chcesz. — Dlaczego tak się staram? pomyślałam ze zdziwieniem. Co mnie to obchodzi, czy obudzi się świeży i pachnący?

Minęło sporo czasu, zanim usłyszałam, że coś się dzieje w kabinie prysznicowej. Włączyłam telewizor i jak zwykle trafiłam na *Niewyjaśnione zagadki*. Nastolatka zaginęła podczas spaceru z psem: zbliżenie na teriera ciągnącego za sobą smycz. Jej szczątki znaleziono rok później w wapiennym kamieniołomie. Fotografia z książki pamiątkowej ogólniaka: błękitny cień do powiek, krzywy uśmiech. Za dużo tuszu na rzęsach.

Zanim owinięty ręcznikiem Halliday wyłonił się z łazienki, wpuszczając do pokoju obłok pary pachnącej mydłem i pastą do zębów, zdążyłam zaciągnąć zasłony i przygotować pościel. Wyglądał cholernie dobrze w moich spragnionych samca oczach: miał smukły korpus i mnóstwo ciemnych włosów. Robiłam co mogłam, żeby się nie gapić. Wszedł do łóżka bez słowa i podciągnął kołdrę pod brodę.

— Wyciągnij ręcznik — powiedziałam, ale nie zareagował. Miał zamknięte oczy.

Wyłączyłam światło, założyłam żakiet i po cichu wyszłam z pokoju. Na dworze zaczął kropić deszcz. Szłam po rozległym parkingu w stronę State Street, przyglądając się dalekim światłom miasta na tle nieba. Pamiętałam, że przejeżdżałam tędy wcześniej, i czułam dumę. Pamiętałam uczucie, ale nie umiałam go odnaleźć, a nawet wyobrazić sobie. Byłam samotna w samym środku nikąd, a może nawet gorzej: w miejscu, które mnie stworzyło. Depresja, którą

nazywałam rocfordzkim łomotem i której przybycia spodziewałam się od pierwszych chwil spędzonych z Irene w tym mieście, wreszcie spadła na mnie całym swym duszącym ciężarem.

— To znowu ty — mruknęłam. Moja stara przyjaciółka.

*Nie mogę znieść twojej samotności*, odpowiedziała.

Trzęsąc się z zimna, wsunęłam ręce do kieszeni i zaraz wyczułam pod palcami kluczyki od samochodu Hallidaya. Zapomniałam je zostawić. Pomyślałam, że mogłabym pojechać jego grand amem do Sweden House i wrócić rano. Tylko że nie miałam ochoty wracać do Sweden House. Gmerając głębiej w kieszeniach, natknęłam się na klucz do pokoju Anthony'ego. Zawróciłam, przyciągana rytmicznym pulsem ciepła, które, jak sobie wyobrażałam, biło od ciała śpiącego. Nie byłam w łóżku z mężczyzną od tak dawna, że nawet nieprzytomny byłby dla mnie luksusem.

Pokój, rzecz jasna, wyglądał dokładnie tak samo jak parę minut wcześniej. Wzięłam prysznic i wytarłam twarz do sucha, żałując, że ręcznik nie jest bardziej miękki — bolały mnie kości poskręcane śrubami; byłam pewna, że to sprawka deszczu. Nie miałam też swojego balsamu, a hotelowy, tandetny, jak przypuszczałam, tylko podrażniłby moją skórę. Kiedy spojrzałam na siebie w lustrze, pożałowałam, że wzięłam prysznic. Bez makijażu moja twarz była zbyt wyeksponowana; sprawiała wrażenie połamanej, choć przecież pęknięcia kości operowano od wewnątrz, przez usta, i z góry, ukrywając później szwy ponad linią włosów. Moja nowa twarz zbyt wiele zdradzała i do tego właśnie, a nie do braku piękna (choć może te dwie kwestie miały ze sobą coś wspólnego), jakoś nie mogłam się przyzwyczaić. Podeszłam nago do walizki i znalazłam w niej podkoszulek oraz bokserki. Ubierając je, czułam się kompletnie wyczerpana. Wyłączyłam światło i położyłam się do łóżka obok Anthony'ego, brzuchem do jego pleców. Po minucie lub dwóch ściągnęłam podkoszulek. Nieczęsto miałam okazję dotykać skórą do skóry i nie zamierzałam przepuścić takiej okazji.

Na krótko przed świtem Halliday wstał i długo, długo sikał w łazience. Woda, pomyślałam mgliście. Pił dużo wody. Udawałam pogrążoną we śnie, kiedy wracał, choć szczerze wątpiłam, by moja naga obecność wzbudziła w nim entuzjizm. Po chwili jednak, kiedy przypomniałam sobie, że mógł ściągnąć z bioder ręcznik, uchyliłam powieki. Niestety, w pokoju było zbyt ciemno. Kiedy ułożył się wygodnie i znowu zaczął rytmicznie oddychać, zsunęłam bokserki. Nie leżałam nago z mężczyzną od czasu, kiedy wróciłam do Nowego Jorku. Paul Shepherd. Imię i nazwisko błysnęły w mojej pamięci, ale bez twarzy. Paul Shepherd z Hongkongu.

Minęło dziesięć minut albo godzina, kiedy ocknęłam się ponownie. Halliday leżał twarzą w moją stronę, śpiąc smacznie. Czując na udzie jego erekcję, pomyślałam, że ręcznik na biodrach był już tylko wspomnieniem. Było to nader przyjemne uczucie. Przez dłuższy czas leżałam nieruchomo, ciesząc się swoim szczęściem, aż wreszcie ogarnęło mnie coś na kształt zniecierpliwienia. Chciałam zamienić moje szczęście na jeszcze większe szczęście. — Anthony — powiedziałam.

Nie poruszył się. Pociągnęłam go za włos na głowie. Drgnął i mruknął coś cicho. Sięgnęłam w dół i dotknęłam. Wzięłam do ręki. Westchnął i wyprężył się lekko, popychając ciało w moją stronę. Ja tylko wykorzystuję nadarzącą się okazję, pomyślałam. Musiałabym mieć nierówno pod sufitem, żeby tego nie zrobić... Pytanie tylko: jak zabrać się do rzeczy, żeby go nie obudzić? Wydawało mi się, że z formalnego punktu widzenia uprawianie seksu ze śpiącym jest nielegalne, natomiast budzenie go i prośenie, by był łaskaw założyć prezerwatywę, uznałam za grubo błąd strategiczny. Mogę żyć ze świadomością takiej zbrodni, pomyślałam zdesperowana; warto spróbować. Lada chwila miałam dostać okres; wiedziałam, że nic mi nie będzie. Anthony był żonaty, więc pewnie nie miał AIDS. Zaczęłam obmyślać wymówki na wypadek, gdyby obudził się w niecodziennej pozycji, takie jak: „Nie wiedziałam, że śpisz! Charlotte, mówiłeś, kochajmy się!” Albo jeszcze lepiej: „Do licha, ja też spałam; chcesz powiedzieć, że my...?” A może coś takiego: „Nic się nie stało, przyśniło ci się coś”. Wreszcie odsunęłam te rozważania na dalszy plan i zajęłam się tworzeniem architektonicznego modelu naszego cielesnego związku, modelu, w którym należało ująć dwa strategiczne cele: po



pierwsze, udany stosunek, a po drugie, nieobudzenie pogrążonego we śnie współuczestnika tego przedsięwzięcia. Po kilkunastu niezbarnych próbach zaaranżowania układu rąk i nóg dokonałam wyboru (być może nie była to najwygodniejsza pozycja, ale w tych warunkach optymalna): uniosłam lewą nogę w powietrze, a prawą, ugiętą w kolanie, przełożyłam nad bokiem nieprzytomnego detektywa, by zbliżyć się do interesującej mnie części jego ciała, którą wprowadziłam w siebie z delikatnością operatora opuszczającego raketę z głowicą atomową do betonowego silosu. W tym momencie, niespodziewanie, Anthony zaczął poruszać biodrami, odgrywając swoją życiową rolę. Cholera, pomyślałam, ale mu się śni! Znowu zaczęłam gorączkowo, poszukiwać usprawiedliwień („Nie wiedziałam, co robię, spałam! To pewnie te sny na jawie, z których się leczę!”), rytmicznie zderzając się z jego ciałem. A co będzie, jeśli on skończy pierwszy? — rozpaczalam w duchu. Zostanę na lodzie! Tak... Teraz. Nie... Tak! Teraz! Odstępując nierozważnie od pierwotnego modelu architektonicznego, chwyciłam go za tyłek i mocno popchnęłam ku sobie, osiągając po chwili długi, wyczerpujący i prawie bezgłówny orgazm — niemal równocześnie z Hallidayem, który jęknął przeciągle, jakby spadał w przepaść i gwałtownie otworzył oczy. Przeczucowałam taką możliwość i o ułamek sekundy wcześniej zacisnęłam powieki, udając śpiącą. W pełni usatysfakcjonowana, wsłuchiwałam się w szum wyimaginowanych fal przyływu i dalekie szczekanie psów, powtarzając sobie w duchu, że nikt mi niczego nie udowodni. „Spałam, cholera, przez cały czas, i nie wmówisz mi, że było inaczej! Mam dowód: śniło mi się...”

Żeglując pomału w stronę prawdziwego snu, otoczona luźno ramionami Anthony'ego, stwierdziłam nagle, że jakoś nie mogę odprężyć się do końca. Wyczuwałam w piersi jakiś dziwny obiekt wielkości pięści, który, jak mi się zdawało, musiałam z siebie wyrzucić. Składał się ze słów, z bardzo małej garstki słów. Nie chciałam ich wypowiedzieć. Bałam się.

— Kocham cię — wyszeptalam w nieszczęsne, nieprzytomne ucho. — Kocham cię, Anthony Halliday.

O tak, pomyślałam. Ulżyło mi. Wypowiedziałam te słowa. Było, minęło.

Ale nie minęło. Było niezniszczalne.

## Rozdział siedemnasty

Pierwszej nocy, gdy okna domu nauczyciela matematyki były ciemne, Charlotte wróciła do domu niezrażona — od czasu do czasu zdarzały się takie przypadki. W rozmowach zawsze starała się unikać aluzji do eskapad, które nie doszły do skutku. Wołała, żeby Michael West myślał, iż nie przyszła do niego, bo była zajęta innymi sprawami. Ale czy kiedykolwiek zdarzyło się to dwa razy z rzędu? Stała przed tylnymi drzwiami, z ręką zawieszoną nad klamką, sparaliżowana myślą o tym, jak wściekły byłby Michael, gdyby dowiedział się, że weszła do domu pod jego nieobecność. Zresztą pewnie i tak nie zostawiłby otwartych drzwi.

Trzeciej nocy Charlotte poczuła w piersi małe i twarde ziarno niepokoju. Zauważyła jego obecność, kiedy próbowała głębiej oddychać: kłuło mocno, jak kolka. Przez dwadzieścia minut stała obok przewróconego roweru, na podjeździe przed domem o ciemnych oknach, wbrew rozsądkowi nie troszcząc się o to, czy nikt jej nie obserwuje. Była północ.

Odczekała pięć dni, zanim pojawiła się tam ponownie. Był początek czerwca — rok szkolny dobiegał końca, a w Baxter ostatnie regularne zajęcia odbyły się przed weekendem. Charlotte jakoś nie miała ochoty na wychodzenie z domu. Albo uczyła się do egzaminów, albo pracowała w Świecie Ryb, albo zamykała się w pokoju ze spuszczoneymi żaluzjami, czytając o industrialnej potędze Rockford przed i podczas wojen. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, było to „miasto mebli”; drugie pod względem wielkości produkcji, zaraz po Grand Rapids w Michigan, a także największe centrum pończosznictwa („skarpety bez szwów” Nelsona dominowały na rynku od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego

wieku). Umysł dziewczyny pracował gorączkowo, sumując niezliczone dowody miłości Michaela Westa: bursztynowy wisiorek, rzecz jasna, ale też wiele dowodów pośrednich — samochody, które skrzyły dokładnie wtedy, kiedy się spodziewała, i miały dokładnie takie kolory, jak zakładała. Podczas wojen fabryki maszyn w Rockford prosperowały doskonale, wytwarzając regulatory obrotów śmigieł, zawory do hydraulicznych systemów sterowania i chłodzone powietrzem silniki do samolotów... Charlotte nie mogła wyczuć w tej miłości pewnego aspektu, który powinien w niej być — smaku, zapachu, a może ukrytej tekstury. To ją niepokoiło.

Podeszła do biurka i wyjęła kalendarz, w którym prowadziła zakodowany dziennik nocnych wizyt.

Był dziwnie pusty. W ostatnich tygodniach leniła się trochę, sporządzała coraz mniej notatek, a teraz brakowało jej mapy, z którą mogłaby porównać ten nowy krajobraz — krajobraz trzech nocy z rzędu, podczas których dom jej mężczyzny był pusty. Spojrzała na ostatni zapis. Sprzed dziesięciu dni. Wyszła z domu dziewiętnaście minut po północy (wymyśliła sobie tę godzinę). Noc była ciepła, niezwykle ciepła jak na początek lata. Nie musiała wkładać swetra. Michael wyglądał na zadowolonego, kiedy przyszła (zanotowała ten fakt). Leżeli przy otwartym oknie, w spirali ciepłego powietrza. Charlotte była już bardzo senna, kiedy zdecydowała się zadać pytanie:

— Czy teraz, kiedy już nie będziesz nauczycielem, moglibyśmy zacząć gdzieś chodzić?

Odwrócił się w jej stronę. Nie był już szczupły. Spostrzegła to kilka tygodni wcześniej i była zszokowana. Przez jakiś czas czuła, że go nie poznaje.

— Gdzieś? — powtórzył pytająco.

— Gdziekolwiek. Może do kina. Albo do Chili's. — Choćby raz na jakiś czas, pomyślała. Jak przyjaciele. Jak inni ludzie.

Nie odpowiedział, tylko wziął ją za rękę (zanotowała to).

— Za trzy tygodnie będę miała siedemnaście lat — powiedziała. Od dawna szukała sposobu na zręczne poruszenie tematu urodzin. Miała nadzieję na prezent.

Michael nie wstał, jak to zwykle czynił, zanim zapadła w sen, tylko leżał obok i przyglądał się jej. Czuła jego spojrzenie nawet przez spuszczone powieki. Jakie cudowne poczucie bezpieczeństwa, myślała, tak zapadać w sen pod jego okiem. Prawie jakby ją przytulał. Zacisnęła mocniej powieki, pragnąc zasnąć właśnie teraz, jak najszybciej, zanim on wyjdzie i zostawi ją. Jeżeli nie wstanie, zanim zasnę... Wróżenie przychodziło jej niemal automatycznie.

Michael leżał spokojnie, obserwując dziewczynę. Chciał coś jej powiedzieć, pewne słowa, które dotąd wymawiał bardzo rzadko. Teraz, kiedy Rockford bladło wokół niego, wspomnienia wracały coraz natarczywiej. Nowe dokumenty były gotowe, a dalsze plany zupełnie jasne: ostatni krok w czymś, co okazało się stałą migracją w jednym kierunku (na zachód), w stronę bliskiego już punktu docelowego — Los Angeles. Od lat miał przed oczami lśniący miraż tego miejsca, czekającego na jego przybycie. Zamierzał kręcić filmy i zbudować sobie biały dom nad oceanem.

Pamiętał jeszcze smród mięsa. Wilgotny, krwisty, duszący, a zarazem zagadkowo słodki zapach, którym mieszkanie w New Jersey przesiąkało od zakładu rzeźniczego znajdującego się piętro niżej; którym nasycone były materace, pościel, podłoga pełna drzazg i piankowo-gumowa kanapa. Nie było przed nim ucieczki.

Jak spokojnie spała ta dziewczyna! To był amerykański sen: sen tych, którzy wierzą, że nigdy nie będą samotni, zapomniani czy zagubieni. Że zawsze będą bezpieczni. Sen, którym pomału uczył się cieszyć.

Pamiętał czekanie. Przyglądanie się godzinami promieniom słońca prześwietlającym przez spirale pomp paliwowych na stacji, na której zaczął pracować dzień po przybyciu do Ameryki. Minał już ponad rok od tamtej pory — to był marzec, mokry i lodowaty, ale uparcie bezśnieżny. A Aziz (pod takim imieniem był wtedy znany) bardzo chciał zobaczyć śnieg. Przesiadywał w biurze stacji, słuchając ryku przejeżdżających ciężarówek i czekając na telefon od człowieka z ONZ, którego w głębi duszy uważał za bezwartościowego. Tymczasem jednak sam był zbiegiem, żywym

trupem, wyposażonym przez mocodawców w trzy fałszywe paszporty, i jako taki nie mógł być zaliczony w poczet dyplomatów najniższego nawet szczebla.

Modlił się, by oczyścić umysł. Leżał plackiem na ziemi, w dziwnie rozproszonych promieniach amerykańskiego słońca; słońca rozpuszczonego w wodzie; słońca przefiltrowanego przez liście. Klęczał na brudnej podłodze biura stacji benzynowej, twarzą ku wschodowi, szukając rytmu we własnym oczekiwaniu i w pustce, by znaleźć w nich miejsce dla siebie. Jednak z biegiem dni i tygodni zaczęły go dręczyć nuda, gniew i niepokój.

Pod koniec każdego z niezliczonych dni wspinał się na górę po zewnętrznych schodach pożarowych i spoglądał na daleki Manhattan z dachu budynku, w którym dzielił dwa pokoje z dziewięcioma mężczyznami (kuzynami przez krew lub małżeństwo, jak kazano im wierzyć). Sypiali na zmianę — każdego wieczoru Aziz strząsał z pościeli włosy Alego, niby-brata bliźniaka, który pracował nocami jako kierowca limuzyny. Nie widywał go prawie nigdy, za to doskonale znał zapach wody kolońskiej Ralph Lauren i hieroglificzny wzór, który pozostawiała na kuchennym linoleum wypełnione żelam adidasy Alego.

O zachodzie słońca Manhattan błyszczał jak monolit; poobijana bryła złota lub jakieś mityczne zwierzę gładzące różowawe pióra w wieczornym blasku. Patrząc na jego niewyobrażalny ogrom, Aziz myślał o tym, jak nieznaczące są kroki, które podejmował ze swymi towarzyszami: gromadzenie pojemników z nitrogliceryną, amoniakiem i nawozami w piwnicy pobliskiego domu czy upychanie ich za wielką, turkusową misą plastikowego basenu, w którym zamierzały mieszać składniki z benzyną za pomocą kajakowego wiosła. Opłakiwali decyzją władz, która zmieniła Wall Street w deptak dla pieszych, aby utrudnić działanie zamachowcom-samobójcom. Zbierali kawałki rur, by konstruować z nich detonatory. Wszystko, co robili, było daremne. Daremne, bo zbyt skromne. Podobnie jak samo Jersey City, które na mapie wyglądało na tak nieodległe od Manhattanu, jakby było jego częścią („jedno i to samo”, powtarzał w pamięci Aziz, ćwicząc angielszczyznę). Na miejscu jednak okazało się, że było to błędne wrażenie, typowe dla obserwatorów z bardzo dalekich stron.

Wieczorami Aziz i jego wymizerowani towarzysze oglądali telewizję. Siadywali razem na piankowo-gumowej kanapie zalatującej wodą Ralph Lauren i surowym mięsem. Gnieździł się na niej jak gołębie, szukając znieczulających promieni emanujących z ekranu: wizji samochodów z ludzkimi twarzami w środku, płatków śniadaniowych pływających w najbardziej białym mleku, jakie Aziz kiedykolwiek widział, oraz soków tryskających z niemal fosforyzujących pomarańczy. Patrzyli też na dziewczyny — niewiarygodnie szczupłe, o falujących, roztańczonych włosach, mrugające do każdego z siedzących na piankowo-gumowej kanapie z osobna i wzbudzących zbiorowe jęki zachwytu. Lecz nawet wtedy, kiedy Aziz poddawał się anestetycznemu działaniu telewizji, kiedy siedział z rozdziawionymi ustami, szeroko otwartymi oczami i po dziecięcemu zwiniętymi dłońmi, nawet wtedy nie przestawał odczuwać dzikiej furii, która łopotąła w jego sercu jak wielki sztandar, przypominając mu, że hipnotyzujące obrazy, które tak łapczywie pochłaniał, są elementem spisku, wywołującym w umysłach ofiar wieczną tęsknotę. Wściekłość, którą zaraził się przed laty, była dla niego ważniejsza niż wszystkie inne sprawy tego świata. I tylko czasem wszystko to, z czego zrezygnował, powracało w duszących wspomnieniach. Walczył z nimi i zwyciężał, ale pozostawało uczucie braku, jakby gniew pożarł jakąś część jego wnętrza. Na szczęście świadomość strat tylko umacniała go w cierpliwej krucjacie przeciwko amerykańskiemu spiskowi.

Pierwsza wizyta na Manhattanie. Kiedy Aziz patrzył na tę wyspę z przeciwległego brzegu rzeki, zabudowa sprawiała wrażenie tak zwartej i gęstej, że spodziewał się zobaczyć centralny punkt Ameryki, z uśmiechniętymi samochodami, pomarańczami i dziewczętami w jednym miejscu. Kiedy jednak wysiadł z autobusu, natychmiast znalazł się między dziwkami, ćpunami, kalekami i ofiarami niedożywienia. Szedł niepewnie Ósmą Aleją na południe, zmagając się z mroźnym wiatrem i oczekując uparcie, że już za następnym rogiem zobaczy pięknych i bogatych. Lecz zamiast nich

spotykał tylko biedaków w afrykańskich strojach, Azjatów, Latynosów oraz białych przemawiających w niezrozumiałych językach. Wielu trudniło się drobnym handlem wprost z turystycznych stolików i koców rozścielonych na brudnym chodniku — sprzedawali zegarki, paski, używane radia, sprzęt stereo, a także (zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe, podchodząc bliżej i wpatrując się w nie z niedowierzaniem) te same nielegalne kopie hollywoodzkich filmów, które sprzedawano w innych częściach świata.

To nie dla mnie, pomyślał Aziz.

— Pióro. Pióro. Pióro. Pióro — powtarzał nerwowo sikh, wymachując sfatygowanym pudełkiem.

Aziz nawet na niego nie spojrzał. Nie dla mnie, myślał. Nie dla mnie. Nie dla mnie. Nie dla mnie. Nie dla mnie.

Potrzebował pieniędzy. Amerykańskich pieniędzy, zieleni z metalicznym połyskiem, którą cały świat cenił wyżej niż tęczę barw innych walut; zieleni, której monochromatyczność w zadziwiający sposób wzmacniała mieniące się kolorami marzenia i która pozwalała zmieniać je w rzeczywistość; zieleni czarodziejskiej. Wydawało mu się, że tutaj wszyscy mieli gotówkę: handlarze, dziwki, robotnicy, turyści w jaskrawych szortach i czapkach z daszkami, nawet sprzedawcy psiaków sterczący na rogach ulic — mieli jej całe pliki, bukiety, rolki, i wcale się z tym nie kryli. Aziz sam opracował kilka sposobów pozyskiwania drobnych sum — „pożyczał” je z kopert z gotówką, które dostarczano do jego pokoju jako „darowizny na cele dobroczynne”, lub od czasu do czasu brał dziesięć czy dwadzieścia dolarów z kasy stacji benzynowej. Za trzy tygodnie miał nadejść przekaz do jednego z kanadyjskich banków (w tym kraju mniej uważnie przyglądano się obrotom finansowym z zagranicą). Aziz postanowił zrobić wszystko, by zostać tym, kto przekroczy granicę, by podjąć pieniądze z konta.

— Yo, bracie, jak ci na imię? — Czarnoskóry mężczyzna zrównał się z nim i szedł obok zamaszystym, rozkołysanym krokiem. Amerykanin, ale tak dalece wykluczony ze spisku, że musiał czekać tu na zwabionych podstępem obcokrajowców, a potem żerować na ich zaskoczeniu, dezorientacji i rozczarowaniu. — Posłuchaj, co mam dla ciebie, a gwarantuję, że nie słyszałeś o czymś takim w całym swoim słodkim życiu na tym świecie. — Oczy Murzyna były jasne i szalone; wyczierała z nich rozpacz.

— Nie, dziękuję — odparł Aziz.

Przemierzał mroczne ulice na południe od dworca autobusowego, czarne od sadzy i cienia wysokich gmachów, które zasłaniały i tak słabe, amerykańskie słońce. Ciemne były też twarze ludzi ciągnących z wysiłkiem wieszaki z odzieżą po nierównych chodnikach, ludzi zbyt oddalonych od serca spisku, by wiedzieć, że sami stali się jego ofiarami. Aziz próbował wychwytywać strzępy rozmów: „ten gość to przypał” i „zacząłem, rozumiesz, widzieć dziwne figury” i „będę musiał zagrać numery mojej matki” i „za wysokie progi na moje nogi” i „czaisz bazę?” Dwa słowa. — Czaisz bazę? — powtórzył szeptem.

Z następną wizytą wybrał się dopiero tydzień później. Tym razem zabrał ze sobą przewodnik z laminowanym planem miasta. Coraz lepiej rozumiał angielski; powtarzał nowe słówka nawet we śnie, przyswajając je sobie w tempie tak gwałtownym, jak gwałtowne było całe jego życie. „Specjalnie dla miłośników architektury wystawiliśmy skarbowo naszego miasta oceny od jednego do czterech, przy czym 1 oznacza: Żałuj, jeśli przegapisz!” Był w stanie przeczytać niemal cały przewodnik, ale bardziej zależało mu na samodzielnym zwiedzaniu poszczególnych rejonów centrum. Poszedł na północ, w okolice Upper West Side, domeny dzieci i niemowląt spacerujących pod opieką zmęczonych matek i spokojnych, karaibskich nianieek. Wózki sunęły piątkami po szerokich chodnikach, a powietrze było wilgotne od krzyków i płaczu malców. Aziz uciekł do Central Parku, w którym spotkał dorosłych, w większości ćwiczących swe ciała z wigorem graniczącym z brutalnością. W rejonie Upper East Side trafił na przedstawicieli ostatniej fazy skróconego cyklu życiowego: zastępy sędziwych, obwieszonych biżuterią dam, które pośród głębokiej ciszy i zapachu pieniędzy jeździły — z pomocą karaibskich, a jakże, opiekunek — na wózkach niewiele większych od tych, w

których wożono dzieci. Był kwiecień. Aziz snuł się ulicami, strasząc przechodniów bujną brodą i syntetyczną odzieżą ubogiego imigranta. Nikt na niego nie patrzył — i bardzo dobrze. Dzięki temu mógł gapić się na wszystkich bez żenady, szukając spiskowców ukrytych pod całunem niewidzialności.

Podeszwy jego tandetnych butów były cienkie jak papier; wyczuwał pod palcami wszystkie nierówności płyt chodnikowych. Skręcił na południe, w Madison Avenue („Amatorzy pięknych wystaw sklepowych będą zachwyceni, za to poszukiwacze okazji cen srodze się rozczarują!"), gdy nagle długi, czarny samochód zatrzymał się tuż przy krawężniku. Aziz poczuł, że niewidzialna struna zaciska się wokół jego serca. Szczupła, jasnowłosa kobieta wyłoniła się z limuzyny w towarzystwie gromady asystentów. Pochyliła ku ziemi swą charakterystyczną, dobrze znaną twarz o oczach zasłoniętych ciemnymi okularami, ale sama jej fizyczna obecność podziałała na stojących w pobliżu ludzi tak, jak piorun uderzający w basen pełen pływaków: zamarli, przyciskając do siebie torby z zakupami, i w skupieniu obserwowali, jak kobieta i jej towarzystwo znikają w drzwiach wielkiego domu towarowego. Aziz ruszył za nimi w swych zdartych butach i brązowym ubraniu z poliestru. Minął masywne drzwi, nie tracąc z oczu sławnej zdobyczy.

Omiał nie stracił oddechu, tak mocno uderzyły go potoki światła odbitego od niezliczonych, lśniących powierzchni i fala zapachu perfum. Zatrzymał się i zakołysał, zapatrzony w pianę jasnych włosów i spoglądające na niego przenikliwie oczy, osadzone w jaskrawo pomalowanych twarzach. Tu, we wnętrzu eleganckiego sklepu, nie był już niewidzialny! Sparaliżowany niespokojnymi spojrzeniami kobiet, stał nieruchomo, patrząc, jak zbliża się do niego ochroniarz — Murzyn o łagodnych oczach, ubrany w mundur ze złożonymi lampasami.

— W czym mogę panu pomóc? — zaczął uprzejmie strażnik, ale Aziz już go nie słuchał. Wybiegł na ulicę, zawstydzony swą rolą w tym poniżającym spektaklu. Wiedział jednak, że takie sytuacje są konieczne i że wkrótce zostanie po nich tylko wspomnienie.

Być może stał się na chwilę obiektem kpin, ale też dowiedział się czegoś bardzo ważnego: amerykańscy spiskowcy nie różnili się znacząco od ważnych figur w innych częściach świata. Zamykali się w kuloodpornych samochodach i otaczali się zastępami ochroniarzy; były to nieodłączne atrybuty systemu ucisku i niesprawiedliwości. To jasne, że nie można było spotkać takich ludzi na ulicy! Przyglądając się wystawom sklepowym, Aziz czuł, jak furia budzi się w nim i zaczyna bić coraz szybciej, niczym drugie serce, przy okazji wzbudzając ruch w strategicznym punkcie ciała. Tak, był podniecony. Wściekłość i pożądanie były nierozłączną parą. Aziz zrezygnował z dalszych poszukiwań, czując gwałtowną potrzebę powrotu do Jersey City. Pragnął rozebrać się, stanąć za błękitną, foliową zasłoną kabiny prysznicowej (drzwi łazienki nie domykały się) i oddać się masturbacji.

Następnym razem Charlotte poszła do jego domu za dnia. Kiedy zobaczyła we frontowym oknie planszę z napisem „Do wynajęcia", poczuła, że jej duch ulatuje w dalekie, bezpieczne miejsce i stamtąd przygląda się jej ciału, które wcisnęło klawisz u drzwi. Nie używała dzwonka od pierwszej nocy, kiedy przyniosła mu ryby. Metaliczny dźwięk rozbrzmiał długim echem w pustych pokojach.

Postanowiła nadal udawać, że nie wie, co się stało, dzięki czemu następne minuty miały w sobie coś wyczerpująco zmysłowego. Obeszła dom i stanęła przed tylnymi drzwiami, wdychając wilgotny, słodko-kwaśny zapach skoszonej trawy. W pobliskich krzakach buszowały pszczoły, a powietrze było tak gęste od słońca, że mogłaby jeść je łyżką przy akompaniamencie szumiących w oddali akacji.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Charlotte pchnęła je lekko i weszła do kuchni. W świetle dziennym było to zupełnie inne pomieszczenie — niezwykle jasne, ale i duszne. Podeszła do lodówki, w której znalazła otwartą paczkę zamrożonych gofrów. Ten widok dodał jej otuchy, ale na krótko. Lodówka była prawie pusta, prócz gofrów był w niej tylko karton skwaśniałego mleka i resztki zeschniętych wędlin. Od ładnych paru dni nikt tu nie zaglądał.



Łóżko w sypialni na piętrze było nagie. Na parapecie stała wciąż kula akwarium. Pusta. Zabrał rybki! — pomyślała Charlotte i chwyciła się nowej nadziei. Okno i moskitiera były szeroko otwarte. Wielkie muchy obijały się sennie o ściany pokoju. Drzewko kumkwat mocno przywiędło. Charlotte zaniosiła je do łazienki i podlała nad umywalką. Za dnia wszystko, co widywała w tym domu podczas nocnych wizyt, wyglądało mniej okazale. Poszła do gabinetu i zaczęła otwierać kolejno wszystkie szuflady biurka, szukając wiadomości, przeznaczonego dla niej listu, jakiegoś wyjaśnienia, w którym pojawiłoby się choć raz jej imię. Wyczuwała coś w tym skromnym, pustym domu: inteligencję. Coś głębokiego i tajemniczego. Nie znalazła jednak wiadomości. Zeszła na dół, do salonu, by zajrzeć pod każdą poduszkę na kanapie, a potem otworzyć i przeszukać wszystkie szuflady w kuchni. Nie było w nich nic, poza wyszczerbionymi sztuczkami. Szukała nawet w pudełku z goframi. Mentalne znieczulenie, które spadło na nią nagle przed drzwiami domu, zaczynało właśnie ustępować. Charlotte czuła coraz silniejszy strach.

Znowu pobiegła na górę, do sypialni. Wcisnęła palce pod materac, a potem przebiegła nimi po dnie każdej z szuflad w komodzie, znajdując jedynie kilkudniową warstwę kurzu. Usiadła na pustym łóżku i dotknęła bursztynowego wisiora. Zdjęła go z szyi i ułożyła na dłoni. Był prawdziwy, czuła jego ciężar. Tyle że egzotyczny zapach skóry gdzieś się ulotnił. Teraz rzemień nie pachniał już niczym, może trochę jej ciałem.

Od dwudziestu minut miała być w gabinecie wuja, na pierwszym spotkaniu w nowym, letnim, dwutygodniowym cyklu zajęć. Napisała pracę o zmianach w Rockford po drugiej wojnie światowej: o zbudowaniu płatnej autostrady północno-zachodniej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, przebiegającej o pięć mil na wschód od miasta. W stronę tej właśnie drogi rozwijało się miasto — nowe centra handlowe stopniowo zastępowały ciągnące się kilometrami pola kukurydzy, które niegdyś zastąpiły niezmierzone obszary prerii porośniętej trzymetrowymi trawami i krzewami. Charlotte szczegółowo opisała proces budowy pasaży handlowych, a także zamykania teatrów i operetek w latach pięćdziesiątych, gdy rodziła się telewizja... Wiedziała, że jest spóźniona, ale jakoś nie mogła się ruszyć. Bała się. Dopóki pozostawała w tym domu, dopóty istniała jeszcze jakaś szansa, nadzieja. Dziewczyna leżała wtulona twarzą w nagi materac, słuchając szumu akacji. „Przemysł meblowy umierał, ponieważ brakowało drzew; nawet lasy w Wisconsin były mocno przetrzebione...” Kilkakrotnie słyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Za pierwszym i za drugim razem zrywała się na równe nogi i pędziła do gabinetu, z którego okien widać było ulicę. Właśnie wtedy, w tych chwilach, gdy wydawało jej się, że być może to jeszcze nie koniec, najsilniej odczuwała ciężar nieszczęścia, które na nią spadło. Kiedy samochód odjeżdżał, nie umiała oprzeć się przyciąganiu materaca. Chciała płakać, zatracić się w konwulsjach niewinnej rozpacz. Mój romans dobiegł końca, myślała, chłopak mnie zostawił. Ale ucisk w piersi nie ustępował, a oczy pozostały suche.

Słońce zakończyło swoją podróż, ukłoniło się głęboko i zniknęło. Do pustego domu wpełzły cienie. Charlotte słyszała głosy ludzi wracających z pracy, ale tym razem nie podrywała się już z materaca. Wyobraziła sobie wujka Moose'a czekającego przy biurku w gabinecie, nerwowo spoglądającego na zegarek i na czarną ziemię widoczną przez szpary w żaluzjach. Kiedy minęły dwie godziny, pomyślała z ulgą, że na pewno już nie czeka, że poszedł do domu, dźwigając swą starą maszynę do pisania. Z sąsiednich domów dobiegały strzępy rozmów, a z oddali stłumione bicie dzwonów. Charlotte próbowała wyobrazić sobie Michaela Westa i odgadnąć, co może robić o tej porze: jechać samochodem, słuchając radia, podróżować autobusem, leżeć w łóżku z rękami za głową. Może siedzieć w parku, tak jak robił to w chwili, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Z ręką na temblaku. Próbowała, ale nie zdołała wyobrazić sobie żadnej z tych sytuacji. Oczami umysłu widziała tylko jedno: wuja przechodzącego na drugą stronę State Street; samotną postać kluczącą między zderzakami aut.

Po zachodzie słońca Charlotte opuściła dom Michaela. Nie chciała patrzeć, jak zapada w nim absolutna ciemność. Wiedziała, że nigdy tu nie wróci, że zapomni jak tu było — już czuła, że zapomina. Wyprowadziła rower na

ulicę i usadowiła się na siodełku, ale nie odjechała. Wahała się, stojąc naprzeciwko drzwi i czując, że zostawia coś za sobą. Delikatnie oparła rower o krawężnik i wróciła na tyły posesji. Zatrzymała się pod oknem sypialni i przykucnęła w trawie. Nie, myślała, rozchylając długie źdźbła. Nie rób tego. Ale nie przestawała szukać, tknięta złym przecuciem. I wreszcie znalazła je: dwie z trzech. Ryby składały się głównie z wody i wysychały na powietrzu tak bardzo, że niewiele z nich zostawało. Małeńkie łupiny. Charlotte ostrożnie podniosła je z ziemi, trzymając za błoniaste ogony, suche i delikatne jak skrzydła motyli. Zdumiewało ją to, jak małe były te stworzenia otoczone wachlarzami płetw — małe jak nasiona z pierzastymi ogonkami, które spadały z drzew każdej jesieni. Usiadła na trawie, trzymając w dłoniach martwe ryby i czując, jak szybko kurczą się w niej wspomnienia o Michaelu Weście, jak wysychają, zostawiając po sobie jedynie chłód i pustkę, z nieśmiałym jeszcze śladem ulgi. Miała wrażenie, że wreszcie znalazła chwilę wytchnienia w niewiarygodnym wysiłku. Wrzuciła zasuszone szczątki do kieszeni koszuli i odjechała.

Pięć tygodni po przybyciu do Stanów Zjednoczonych Aziz skorzystał z budki telefonicznej w Jersey City, by skontaktować się z jednym z „lalkarzy”, którym się zdawało, że zdalnie kierują jego poczynaniami. Skoro celem jego misji było pokazanie się, a ściślej nasycenie przekazów medialnych obrazami zniszczeń, które miały być lekcją i ostrzeżeniem dla Ameryki, to dlaczego nie miałby wraz z towarzyszącymi uderzyć wprost w sławnych ludzi? Czyż nie oni byli sercem spisku i jego najpotężniejszymi instrumentami? Skoro atak miał być symbolem, to czy zburzenie mostu, tunelu albo i samego pieprzonego Białego Domu (tak, coraz lepiej poznawał angielski) mogło choćby zbliżyć się do perfekcyjnej symetrii tego nowego planu? Aziz przemawiał z naciskiem; zniżył głos dopiero wtedy, gdy za szklaną ścianą budki zobaczył zbliżającego się człowieka, którego jego towarzysze uważali za informatora FBI.

Lalkarz uznał, że pomysł jest dobry. Powtarzał jedynie, że nie należy działać pochopnie. Aziz rozumiał jego obawy — Amerykanie byli coraz ostrożniejsi. Próba wysadzenia Światowego Centrum Handlu zakończyła się fiaskiem; zginęło tylko siedem osób spośród tysięcy pracujących w dwóch olbrzymich wieżach; siedem — licząc z nienarodzonym dzieckiem w łonie matki! Uszkodzenia strukturalne nastąpiły jedynie na kondygnacjach podziemnych. Innymi słowy, nie było na co patrzeć! Kilkaset osób kaszlało i szlochało, nic poza tym. Tak, Aziz zdawał sobie sprawę z miernych skutków podejmowania takiego ryzyka. Zdobywał punkty u lalkarza, popisując się nowo poznanymi akcentami (z Jersey, Brooklynu, Queens, dzielnic murzyńskich i Haiti) oraz powiedzonkami („gęba jak sto mil fatalnej drogi” oraz „dam ci popalić, skurwielu”). Zmieniał głosy i slang jak śmieszne kapelusze, aż wreszcie lalkarz parsknął, a potem wybuchnął śmiechem. A kiedy już Aziz poczuł ból w bębenkach, delikatnie zagaił temat podróży do Kanady, a ściślej tego, kto pojedzie po pieniądze.

Charlotte zadzwoniła do wuja, żeby przeprosić za nieobecność. Źle się czuję, powiedziała, nie umiając oczyścić głosu z rozpacz, którą czuła. Co dziwne, jej smutek zdawał się działać na Moose'a ożywczo. Jego głos drżał lekko, gdy mówił:

— Doskonale rozumiem. Naprawdę doskonale. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowa.

W domu nikt nie zauważył zmiany. W tym momencie liczyło się przede wszystkim badanie szpiku Ricky'ego, na które miał jechać pod koniec tygodnia. Zajęcia w szkole już się skończyły. Charlotte spędzała na rowerze długie godziny, próbując odnaleźć się jakoś w tym dziwnym, pustym świecie, w którym przyszło jej żyć. Jeździła w poszukiwaniu ludzi, najlepiej obcych, ale niełatwo było ich spotkać. Większość podróżowała samochodami, korzystając z dobrodziejstwa klimatyzacji. Przejechała na drugą stronę rzeki, w okolice dawnej elektrowni wodnej, owej niezwyklej ruiny, którą zaledwie kilka tygodni wcześniej penetrowała z Moose'em. Teraz znalazła tam jedynie pustkę w rozmaitych odmianach: parkingi, garaże, rampy i samotnych pijaków drzemących na ławkach. Minęła dwukrotnie bar Teetera, ale nie odważyła się wejść do środka.

Nadrzeczny park nadal był najtłumniej odwiedzanym miejscem w mieście. Kiedyś lubiła tu bywać; obserwowała dzieciaki szalejące na karuzelach i tłustawych facetów grających w siatkówkę na prostokątach pomarańczowego piasku. Nurt Rock River pocięty był bruzdami piany — śladami rozpedzonych motorówek i skuterów wodnych. Charlotte pojechała na północ, do parku Shorewood, w pobliże skoczni dla narciarzy wodnych, a potem na południe, do siedziby YMCA. Czowała skurcz w żołądku za każdym razem, gdy się tu zbliżała, bo podświadomie oczekiwała, że spotka Michaela Westa, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami nad brzegiem rzeki. I z ręką na temblaku. Chciała, by historia powtórzyła się od początku, by ponownie weszła w ten sam sen. Wiedziała jednak, że nie byłoby tak samo. Coś się zmieniło, coś w niej pękło. Kiedy myślała o sobie sprzed roku, pamiętała dziewczynę pełną nieuzasadnionych nadziei, wierzącą, że świat szykuje dla niej wielką niespodziankę. Nienawidziła jej.

W sobotni wieczór, w szóstym tygodniu od przybycia do Ameryki, Aziz wcisnął się między towarzyszy siedzących na piankowo-gumowej kanapie i profilaktycznie zamknął oczy, odcinając się od oglupiającego promieniowania telewizji. Od czasu do czasu mrugając powiekami, czekał, aż anestetyczne działanie ruchomych obrazów unieruchomi na dobre jego kompanów. Kiedy byli całkowicie zahipnotyzowani (siedzieli z otwartymi ustami i wzrokiem wbitym w jeden punkt), wysliznął się spomiędzy nich i wymknął się cicho z mieszkania.

Po drugiej stronie rzeki Manhattan lśnił jak kopalnia złota.

Na dworcu autobusowym Port Authority Aziz wmieszał się w tłum zdesperowanych maruderów, naćpanych włóczęgów i podróżnych o pustych oczach, a potem ruszył Czterdziestą Drugą Ulicą aż do Fifth Avenue. Piąta Aleja była jednak pusta — klejnoty zniknęły z wystaw sklepów jubilerskich, a ich miejsce zajęły fotografie drogich kamieni; za szybami eleganckich butików pozostały jedynie chude manekiny bez twarzy, w lnianych sukienkach. Pustka, pustka i fruwanie w powietrzu płachty gazet.

Stanął na rogu ulicy, zastanawiając się, dokąd pójść. Zdażył już zebrać informacje o wszystkich rejonach Manhattanu, z wyjątkiem tych najbiedniejszych, zamieszkałych w zasadzie wyłącznie przez ofiary spisku. Okolice Greenwich Village były kryjówką garstki spiskowców; Tribeca była ich pełna. W East Village prawie nie było wrogów; pojawiali się tam z rzadka, tylko po to, żeby kupić narkotyki. Najtrudniej było ocenić Soho. Początkowo Aziz przypuszczał, że mieszkają tam wyłącznie sławni ludzie, z czasem przekonał się, że mieszkańcy tego rejonu to zaledwie sympatycy wielkich, choć umieli wyśmienicie naśladować ich ruchy, kiedy wymykali się chyłkiem ze swych czarnych samochodów.

Pojechał koleją podziemną linii numer sześć w stronę Dolnego Manhattanu, wysiadł przy Spring Street i ruszył w stronę Broadwayu, czując, że jego wewnętrzny miernik napięcia gniewu odzywa się coraz bardziej zdecydowanie. Szukał źródła tej nagłej reakcji w tłumie młodo wyglądających ludzi, ubranych w większości na czarno. Mężczyźni nosili małe, okrągłe okulary, a kobiety dumnie prezentowały pępki w tę ciepłą noc. Byli to ludzie celowo niechlujni — Aziz dopiero niedawno nauczył się odróżniać ich od ludzi zwyczajnie niechlujnych, takich jak on sam. Wreszcie ruszył na północ, a potem na wschód, podążając za pulsem bijącym gdzieś w głębi miasta.

Dotarł do wąskiej uliczki, przy której końcu panował niesłychany ruch — taksówki sunęły wolno długim rzędem, przepuszczając długie, czarne limuzyny ku obłożonym przez tłumy, nie oznaczonym drzwiom, przed którymi dwaj potężnie zbudowani Murzyni i jeden równie potężny biały jakimś cudem utrzymywali względny porządek. Aziz przyglądał się uważnie wchodzącym. Serce biło mu jak oszalałe, kiedy ich rozpoznawał: to ten słynny, niegrzeczny bokser! To ta młoda aktorka podobna do Grace Kelly! To rudowłosa dziewczyna z reklamy szamponu! Tłum rozstępował się przed nimi jak cofające się fale oceanu, kiedy zbliżali się do drzwi i znikali we wnętrzu. Niewiele brakowało, a Aziz mógłby ich dotknąć! Mógłby na nich wpaść! I choć wiedział, że powinien wycofać się i obmyślić plan działania, postanowił wmieszać się w tłum oczekujących, w ciżbę niecierpliwych wyznawców. Nie umiał zapanować nad tym pragnieniem,

póki nie dotarł do pierwszej linii i nie dotknął palcami aksamitnych lin, upewniając się, że nie są pod napięciem — popowstrzymywały napór tłumu jedynie swą symboliczną mocą. Został tam na dłużej, ciesząc się mocnym rytmem wściekłości, na poły przyjemnym, na poły mdlącym, aż wreszcie zbliżył się do niego czarnoskóry ochroniarz, najwyraźniej rozbawiony widokiem jego poplątanej brody i syntetycznego garniturku.

— Jesteś na liście? — spytał (sceptycznie). Aziz pokręcił głową, tłumiąc gniew i wstydząc się własnego wyglądu i tego, jak bardzo wyróżniał się z tłumu, a także (co spostrzegł poniewczasie) potężnej erekcji w poliestrowych portkach, która nie uszła uwagi goryla. — Lecz się, facet — mruknął Murzyn i spojrział w inną stronę. Aziz pragnął się zapaść pod ziemię, ale usłyszał coś, co przykuło jego uwagę.

— G! — wołali stojący opodal ludzie. — Tutaj, G! — Starali się przyciągnąć uwagę ochroniarza jak tonący wzywający pomocy. Aziz wolno wycofał się z tłumu i wtopił w ciemność, z której przyszedł. W jego uszach nadal dźwięczały błagalne wołania: — G!... G! G!

Posuwając się na południe wzdłuż koryta rzeki, Charlotte dostrzegła kogoś, kto machał do niej ręką, siedząc na ławce. Dwoje ludzi. Jechała bez okularów, by otaczająca ją pustka zlała się w coś niemal ładnego. Teraz jednak jej bezsilne oczy daremnie wpatrywały się w ruchome kształty, poszukując w nich podobieństwa do Michaela Westa. Charlotte zahamowała i wysunęła spod kołnierza okulary. Znała odpowiedź, zanim jeszcze wsunęła je na nos: miała przed sobą Ricky'ego i matkę.

— Ooo — powiedziała, podjeżdżając jeszcze bliżej. Gwałtowny przypływ nadziei odbierał jej siły. — Wszystko w porządku?

— Ricky wiedział, że cię tu znajdziemy — odpowiedziała matka.

Ricky nie musiał się odzywać. Szczrzył zęby w uśmiechu, z rękami złożonymi na piersiach. Stał oboma wielkimi stopami na deskorolce, suwając ją w tę i z powrotem po krótko przystrzyżonej trawie. Wydawało się, że patrzy na rzekę, ale kątem oka spoglądał na siostrę.

— Co z testami? — spytała.

Teraz dopiero Ricky spojrział na nią otwarcie, uśmiechając się od ucha do ucha.

— No, co? — niecierpliwiła się Charlotte.

Ricky uśmiechnął się jeszcze szerzej, błyskając zębami jak wypolerowanym ostrzem noża. Wyglądał poważniej, starzej. Coś się zmieniło w jego szczęce i w oczach. Inne były proporcje jego twarzy. Charlotte zauważyła to właśnie teraz i odkrycie to wprawiło ją w zdumienie.

— Wszystkie testy wypadły negatywnie — odpowiedziała Ellen. — Jest absolutnie czysty.

Powtarzała te słowa nieskończoną liczbę razy; czasem bezgłośnie, w duchu, a czasem na głos, kiedy była sama w pokoju. Powtarzała je też bez końca, kiedy rozmawiała z Harrisem przez telefon.

— Udało mu się! — zawołała i dodała zaraz: — Jak na razie.

— Udało nam się — poprawił ją Harris.

— Na razie.

— Już po wszystkim.

— Przynajmniej na razie.

— Nawet nie wiedziałem, jakie to było straszne, dopóki nie minęło.

— Przynajmniej na razie.

Potem jeszcze kilka razy zamieniali się rolami dzikiej radości i trzeźwego obiektywizmu. Ich syn był zdrowy — przynajmniej na razie, a może i na zawsze.

Po drugiej stronie rzeki różowe promienie słońca szturchały zakurzone resztki starego centrum miasta. Dziewięćdziesiąt procent. Nawet dla pesymistycznie nastawionej do życia Ellen dziewięćdziesiąt procent brzmiało cholernie dobrze. Siedząc z dziećmi na ławce i patrząc w słońce, rozmyślała o Bartolomeu Diazie, portugalskim żeglarzu, którego okręt sztorm przerzucił poza Przylądek Dobrej Nadziei. Był pierwszym Europejczykiem, który opłynął południowy krańiec Afryki — tyle że jego załoga odmówiła udziału w wyprawie na Ocean Indyjski. Dopiero Vasco da Gama, który powtórzył jego wyczyn, zdołał dotrzeć do Indii, za co spotkały go wielkie honory. Diaz tymczasem skończył żywot na dnie morza, służąc w eskadrze Cabrała. Udało mu się, pomyślała Ellen, spoglądając na dzieci: na Ricky'ego, który był zdrowy, i na Charlotte o złamanym sercu. Nie mogła tego nie zauważyć; zbyt dobrze знаła objawy tej dolegliwości.

Jak zawsze istniało też w jej umyśle pewne puste miejsce, przeznaczone dla Moose'a. Dla podróżnika, który nie powrócił z wyprawy; który pozostał na dziwnych, dalekich morzach. Ellen niemal straciła brata z oczu, ale wiedziała, że nie może pozwolić mu zniknąć. Siedząc na ławce, czując bliskość dzieci, słońce w oczach i wiarę Bartolomeu Diaza okrążającego Przylądek Dobrej Nadziei, cieszyła się czymś, co wzbierało w niej wolno i nieuchronnie: spokojem.

Ricky stanął na brzegu rzeki i zaczął rzucać kamienie w wodę. Kiedy znajdował płaski, puszczał kaczkę.

— Uważaj na narciarzy — ostrzegła Ellen, rozkoszując się brakiem lepszych powodów do niepokojów.

— Nawet nie rzucam w ich stronę, mamó — parsknął Ricky (w tym samym stylu, pomyślała Ellen), naśladując gesty i słowa matki i syna nie mających żadnych poważniejszych problemów na głowie.

Ellen przysunęła się nieco bliżej córki. Uniosła rękę i położyła ją na ramionach dziewczyny. Był to śmiały ruch; spodziewała się, że Charlotte natychmiast strząśnie jej dłoń. Ale nic takiego nie nastąpiło. Jest zbyt przybita, pomyślała Ellen. Siedziały w milczeniu, przyglądając się krzykliwemu zachodowi słońca.

Charlotte patrzyła, jak Ricky rzuca kamienie. Jego sprężysta sylwetka odcinała się wyraźnie na tle brązowej wody. Pierwsi osadnicy pisali radosne hymny na cześć Rock River, jej dorodnych ryb i smacznej wody. Ricky wyzdrowiał, tak jak obiecała mu Charlotte. Dorastał. Z bezlitosną pewnością pojmowała, że wkrótce nie będzie mu już potrzebna. Czując dotyk matczynej ramienia, w pierwszym odruchu chciała się odsunąć, stanąć z boku i czekać na ten niezwykle los, w który zawsze wierzyła. Ale tajemnica skurczyła się i zniknęła; nie było już dróg na skróty i kuszących ścieżek w ciemności. Wymyśliła je. Zdjęcie Rock River, które tak lubił wujek Moose, nie miało w sobie nic szczególnego. Charlotte wiedziała już, że można było je zrobić w dowolnym miejscu długich nabrzeży tej rzeki.

Wtuliła się w ramie matki i spojrzała na drugi brzeg. Stare domy, wierzby płaczące. Dowody, twierdził Moose. Dowody czego? Charlotte zmrużyła oczy i spróbowała wyobrazić sobie ten widok w czerni i bieli, skurczony do rozmiarów wyblakłej fotografii mieszczącej się w dłoni: tę rzekę, tę ławkę, to popołudnie w 199-, roku... Przez krótką chwilę czuła, jak daleki będzie dla niej po latach ten obraz. Wizja wstrząsnęła nią; miała wrażenie, że przez wąską szczelinę dostrzegła dziwny, gwałtowny ruch. Otworzyła oczy i z ulgą przyjęła jasność barw rozświetlonych zachodem słońca, a na jej tle postać brata ciskającego kamienie tuż nad powierzchnią wody. I rękę matki. Chłoneła to wszystko szeroko otwartymi oczami, czując się tak, jakby nagle coś obudziło się w niej do życia i szeptało, że bardzo niewiele brakowało, a straciłaby to wszystko.

Minęły trzy tygodnie, zanim Aziz stanął ponownie przed aksamitnymi linami. Przed domami rosły już tulipany. Miał na sobie garnitur projektu Helmuta Langa. Był gładko ogolony, miał krótkie, nieco sterczące włosy i małe okulary o żółto barwionych szklach (choć wzrok miał doskonały). Dwa świeżutkie banknoty studolarowe, które trzymał w zaciśniętej dłoni, wręczył bramkarzowi, a wraz z nimi wizytówkę z literą Z i numerem telefonu (a ściślej skrzynki głosowej, którą wykupił za gotówkę rankiem tego dnia).

— Dziękuję — szepnął z lekko europejskim akcentem i spokojnie zniknął w drzwiach klubu.



Wszystkie detale stroju i zachowania podpatrzył podczas wieczornych wizyt w okolicy klubu (bywał tu codziennie, z wyjątkiem piątków, kiedy to odwiedzał meczet). Ustawiał się tak, by pozostać niezauważonym, i obserwował sławnych ludzi otoczonych dworem wiernych, kolejno mijających drzwi lokalu. Patrzył na to, jak nosi się ubrania, jak przerzuca się marynarkę przez ramię, jak zza kołnierzy damskich sukien wystają metki znanych domów mody. Przyglądał się fryzutom, bródkom, kolczykom lub brakowi kolczyków, butom, okularom, zegarkom ręcznym, biperom, telefonom komórkowym i portfelom. Krawaty były absolutnie nie do przyjęcia. Przysłuchiwał się nic nie znaczącym pogawędkom, a potem, w łazience, przed lustrem, powtarzał wybrane zwroty. Nappełnił kieszenie drobiazgami znalezionymi na chodniku i ulicy: wizytówkami, niedopałkami papierosów, małą łyżeczką, spinką do włosów, broszurami reklamowymi innych klubów, dwoma kolczykami, cząstkami do paznokci, trzema pergaminowymi torebkami, pakiecikiem z czerwonym, żebrowanym kondomem oraz kartą do gry z dwoma odręcznie zanotowanymi numerami telefonów (zadzwoił pod oba, by posłuchać stylu i tonu nagranych wiadomości).

Archeologowie mieli rację: najwięcej można się dowiedzieć o ludziach, badając ich śmieci.

Chcąc wprowadzić tak drastyczne zmiany w swym wyglądzie i zachowaniu, nie alarmując towarzyszy z mieszkania w Jersey City, Aziz najpierw wynajął skrytkę na dworcu Port Authority, w której ukrywał wszystkie świeżo nabyte przedmioty i stroje, a następnie pokój w hotelu przy Ósmej Alei, opłacany gotówką za tydzień z góry. Podstawowym atutem owego miejsca było wielkie, nieco poplamione lustro, dzięki któremu mógł testować wszelkie zmiany, które wprowadzał do swego nowego image'u. Pieniądze na wydatki pochodziły z konta w kanadyjskim banku — Aziz zabrał niemal połowę przelanej z zagranicy kwoty, tłumacząc towarzyszom, że mocodawcy zlecieli mu zakupienie większej ilości broni. Wiedział jednak, że już wkrótce wymówki nie zdadzą się na wiele, a wtedy będzie musiał wyrwać kompanom resztę gotówki i zniknąć bez śladu.

Nie dręczyły go wyrzuty sumienia. Miał doświadczenie w zostawianiu na lodzie ludzi znacznie mu bliższych niż współlokatorzy z Jersey City. Odchodził bez słowa nawet od tych, których naprawdę kochał. I to wielokrotnie. Robił wszystko, co mógł, by nie myśleć o nich — ukochanych, których porzucił, by służyć tłęcej się w nim wściekłości — ale od czasu do czasu pamięć podsuwała mu obrazy z przeszłości i czuł ból, spoglądając na zamazane sceny z dawnego, całkiem niezłego życia. Na przykład na narodziny pierwszego syna, jego miękkie i mokre ciało, pierwszy krzyk w pełnym słońcu. Chłopak miał teraz czternaście lat. Na zmęczoną żonę, która uśmiechała się do niego ze splamionej pościeli. Wszystko to i wiele więcej musiał zostawić, by walczyć ze spiskiem. Dlatego musiał zwyciężyć. Gdyby stało się inaczej, poświęcenie poszłoby na marne.

Znalazłszy się w klubowej sali, wziął kilka głębokich oddechów i rozejrzał się, nie zdejmując żółtych okularów. Wkrótce wiedział już, że wraz z tłumem innych gości trafił do czegoś w rodzaju restauracji. Kelnerzy przeciskali się między ludźmi szturmującymi efektowny bar — ogromny, podświetlony, zwieńczony kanciastymi zdobieniami w kolorze głębokiej czerwieni — podczas gdy spod podłogi wydobywały się basowe fale głośnej muzyki, której wibrację czuł aż w żołądku. Spiskowcy siedzieli przy barze, wokół okrągłych stolików oraz w łóżach. Łatwo było ich rozpoznać — zawsze otaczał ich krąg wielbicieli, sami zaś obrzucali wszystkich wchodzących badawczymi spojrzeniami. Po sali kręciły się setki najpiękniejszych dziewcząt, jakie Aziz kiedykolwiek widział, dziewcząt z telewizji, z reklam kosmetyków i szamponów. Było ich tak wiele, że na żadnej z nich nie był w stanie zawiesić oka na dłużej niż moment, by nie stracić widoku innej, jeszcze piękniejszej. Miał wrażenie, że były kolektywnym bytem, a nie zbiorem jednostek; że stanowiły materię, w której unosiły się wszystkie inne elementy tworzące krajobraz nocnego klubu.

Nadmiar piękna zgromadzonego w jednym miejscu budził u niego skojarzenia z przeraźliwą jasnością. Aziz mimowolnie zamknął oczy, próbując jakoś poukładać w myślach obrazy, które atakowały go tak gwałtownie. Jak rozumiał, znalazł się w epicentrum światowego kultu nocnych imprez dyskotekowych. Każdy podrzędny lokal nocny w

najdalszym zakątku Ziemi, każda sala z wielobarwnym oświetleniem i lustrzaną kulą pod sufitem (w której zwykle brakowało połowy elementów), każda dziewczyna w tandetnej, błyszczącej bluzce kryjącej chude ramiona, tańcząca w syntetycznym rytmie, w Kairze, Mombasie czy Bejrucie — wszystko to były fragmenty rozchodzących się koncentrycznie fal, generowanych właśnie tutaj. To tu rodził się głód rozrywki, który rozchodził się we wszystkie strony świata.

Nadal jednak nie znalazł odpowiedzi na podstawowe pytania. Kto tym wszystkim rządził? W jaki sposób testowano tandetne marzenia, by zyskać pewność, że przyjmą się wszędzie? Czy tutaj znajdowała się kwatera główna, czy może plany układano w lepiej ukrytym miejscu? Obecność dziewcząt przeszkadzała mu w myśleniu. Były jak podmorskie formy życia z fosforyzującej rafy, jak jednorożce, a widok ich niemożliwych, rzeźbionych twarzy przyprawiał go o zawrót głowy. Tak bardzo nimi gardził... Lecz stojąc między nimi, czuł coś dziwnego, dezorientującego: nienawidzenie tych istot, które tak bardzo chciał zniszczyć, sprawiało mu przyjemność niewiele różniącą się od pragnienia bycia zniszczonym. Skonsumowanym.

Rozglądając się uważnie w poszukiwaniu wszelkich tropów spisku, kilkakrotnie powracał wzrokiem do kobiety o krótkich, ciemnych włosach, należącej do tego samego typu, ale nieco starszej od dziewcząt snujących się po sali. Wyglądała znajomo. Wydawało mu się, że pamięta ją sprzed lat, być może z telewizji. Z reklamy lub fotografii, która krętą drogą dotarła jakoś do tej odległej części świata, w której niegdyś żył. Miał wrażenie, że jest ona reliktem z jego młodości, kiedy jeszcze ulegał nieświadomie wpływom amerykańskiego spisku. W przeciwieństwie do innych dziewcząt, które były zjawiskami o wyłącznie wizualnym charakterze, ta zdawała się być istotą świadomą. Siedziała przy stoliku jednego z konspiratorów, ale jakoś nie wyglądała na związaną z działaniami pozostałych osób. Sączyła koktajl, poprawiając bransoletki, które ześlizgnęły się z nadgarstka. W jej oczach, uważnie skanujących wnętrze lokalu, był tylko chłód. Analizowała to, co było jej naturalnym środowiskiem. I czekała. Z uśmiechnął się do niej.

Spotykał ją przecież niejednym razem. W każdej strukturze społecznej można było znaleźć takie postacie: rozczarowanych, którzy znali system od środka, ale już im nie zależało, już nie wierzyli we wspólną sprawę. Czekali. Czasem potrzeba było pieniędzy, by nawrócić takich ludzi, ale częściej bywało inaczej: wystarczyło poświęcić im trochę uwagi, zainscenizować miłość, bezradność czy siłę. Zagadkę lub prostolinijność. Aziz rozpoznał w ciemnowłosej kobiecie właśnie taką jednostkę i w tej samej sekundzie jego gniew, pragnienie i żądza niszczenia, a także żal za tym, co musiał zostawić w drodze, połączyły się i skumulowały, biorąc na cel właśnie ją. Erupcja emocji, która nastąpiła w sercu Z, przyćmiła wszystkie światła jarzące się w sali. Wyobraził sobie, że zatapia zęby w jej pięknym, białym ramieniu, że zrywa te bransolety i łamie je potężnym ruchem szczęk. Obserwował ją, aż wreszcie uniosła głowę w jego stronę (naprawdę to zrobiła, czy tylko tak mu się wydawało, kiedy przyglądał się tej śpiącej dziewczynce w Rockford, w stanie Illinois?), jakby w jakiś sposób wyczuła szalejącą w nim burzę. Przez chwilę jeszcze błędziła oczami po twarzach gości, aż wreszcie spojrzała na niego. Aziz wyobrażał sobie, że jego źrenice płoną jak gwiazdy. Patrzyła na niego (pochylił się nad uchem śpiącej dziewczyny, niemal dotykając go ustami, i szepnął: „Do widzenia”) wzrokiem, którego intensywność nie zasługiwała jeszcze na miano zaciekawienia. („Do widzenia”, szepnął ponownie.) Wpatrywali się w siebie przez pełnych dwadzieścia sekund; tak długo, że Z poczuł ulgę, kiedy wreszcie kobieta przeniosła spojrzenie gdzieś dalej, znowu pełne znudzenia i obojętności.

— Do widzenia.

Ale Charlotte oczywiście nie mogła go usłyszeć.

# Rozdział osiemnasty

A poza tym — powiedziała Roselyn, wychodząc zza kontuaru w swej małej, papierowej czapeczce, by zmyć z linoleum plamę napoju Orange Crush — gdybyś tu pracowała, mogłybyśmy być razem przez całe lato.

— A tak nie jesteśmy? — spytała Charlotte.

Roselyn w milczeniu machała mopem, pozwalając, by Charlotte sama odpowiedziała sobie na to pytanie. Laurel wyjechała na wakacyjny obóz baletowy, a o Sheili słuch zaginął. Kwartet przyjaciółek przestał istnieć, a winę za to ponosiła Charlotte — to ona zniknęła jako pierwsza, zrywając wszystkie więzy. Co do tego żadna z nich nie miała wątpliwości.

Wciśnięta w głąb łoża, podparła głowę rękami i obserwowała Roz, która zdążyła już rozmasać plamę i teraz wyciskała mopa nad wiadrzem wody czarnej jak smoła. Charlotte przyszła do TCBY prosto ze Świata Ryb, gdzie pracowała godzinami wśród zbiorników ze słoną wodą, konikami morskimi, rozgwiazdami i żywymi koralami, tłumacząc klientom znaczenie bezszelestnych, sprężystych ruchów rybich ciał. Pomału przestawała wyobrażać je sobie jako zeschnięte skorupki, czyli tak, jak wyglądałyby po kilku dniach bez wody. Ostatnio bardzo o siebie dbała. Przyszła do TCBY bez okularów, z różem na policzkach i tuszem na rzęsach. Pokryła wargi grubą warstwą truskawkowego błyszczyka, który dostała od Roz. Dokonując tej przemiany, zrzuciła z siebie skórę innej Charlotte Hauser, tej, którą gardzili chłopcy z Baxter.

Pojawiali się niekiedy — owi chłopcy — w TCBY, przed lub po pracy w innych lokalach: w restauracji w Cherryvale albo w aquaparku Magic Waters, gdzie wieczorami obsługiwali zjeżdżalnie. O ustalonych porach materializowali się przy stolikach tak, jak lodowe wzory wykwitają na szybach. Stawiali stopy na deskorolkach i nie ruszając się z miejsc, jeździli nimi w tę i z powrotem, od czasu do czasu obijając deską ściany, póki nie przegonił ich kierownik lokalu. Wtedy dopiero wychodzili na zewnątrz, żeby pojeździć po na wpół zrujnowanej rampie. Ku swemu zdziwieniu, Charlotte odbierała pozytywnie ich obecność. Oni nic nie wiedzieli o Michaelu Weście. Nie wiedzieli, a więc wspomnienie o nim mogło być wymazane.

— Jak mogłabym zrezygnować z ryb? — zwróciła się do Roz. — Pani Hohenhaft potrzebuje mnóstwo czasu, żeby kogoś wyszkolić, a przecież ma już swoje lata...

— *Por favor* — przerwała jej Roz, nogą przesuwając wiadro z brudną wodą z powrotem za kontuar. — Mogłabyś chociaż raz. — Miała zupełnie nowy, miękki, prawie czuły głos. Nawet najbezcześniejsze uwagi brzmiały teraz w jej ustach jak delikatne insynuacje. Charlotte nie wiedziała o operacji.

— Chociaż raz co? — spytała.

— Być taka jak wszyscy inni.

Skomputeryzowany dzwonek z czujnikiem na szklanych drzwiach obwieścił przybycie dwóch młodzieńców, za którymi wpadł z zewnątrz parasol gorącego powietrza. Roz doceniła ich urok wymownym spojrzeniem posłanym Charlotte i głośnym strzałem zielonej gumi do zucia. Maszyna mieszająca jogurt obudziła się ze szmerem.

Przez tafelę drzwi wpadało do środka słoneczne światło. Charlotte spjrzała na zegarek. Czekало ją pierwsze spotkanie letniego cyklu wspólnych zajęć, i tak przesunięte już o dwa tygodnie. Przygotowała z tej okazji wręcz encyklopedyczny zasób wiedzy; powtórzyła cały materiał, który omawiali wspólnie w poprzednich miesiącach. Nabijała umysł szczegółową wiedzą tak długo, aż zaczął drzeć z niecierpliwości, jak stado wyścigowych koni na linii startu. Chciała zadziwić Moose'a, uradować go i przytłoczyć, odpokutować za spotkanie, które nie doszło do skutku i za wszystkie dni, które spędziła, nie myśląc o historii Rockford. Tęskniła za bliskością wuja i za tym osobliwym uczuciem, które wywoływała jego obecność: jakby przechodziła przez ukryte drzwi do dziwnego, sekretnego świata.

Lecz jednocześnie czuła niepokój — prawie strach — na myśl o tym spotkaniu.

— Powstrzymam go najwyżej jeszcze jeden dzień — zawołała Roz zza kontuaru, rzucając wiórki czekoladowe na spiralę jogurtu. — Potem wywiesi kartkę „potrzebna od zaraz”, jeśli się nie mylę. — Jej nowy głos nie mógł zamaskować obojętności. Roz spodziewała się, że Charlotte odmówi.

— Rozumiem — odparła zakłopotana Charlotte i zebrała książki. — Pomyślę o tym wieczorem.

— Myślenie to świetna rzecz — stwierdziła Roz. Charlotte weszła w masę upalnego powietrza. Paul Lofgren i Jimmy Prezioso jeździli na deskorolkach po schodach oddzielających parking od chodnika przed ciągiem sklepów. Spojrzała na nich przelotnie i uniosła rękę na powitanie. W ich obecności stawała się nieśmiałą, zahukaną dziewczyną, grzeczną i słodziutką, nie zadającą pytań, niepewną siebie bez okularów, zastraszoną i wiecznie potykającą się o coś. W zamian za to (a także, jak przypuszczała, za sprawą makijażu) jej negatywny ładunek nareszcie został zneutralizowany. Chłopcy spokojnie odpowiedzieli na pozdrowienie.

Minąwszy ich, na powrót ubrała okulary i zaczęła pedałowac ze wszystkich sił, w myśli powtarzając suche, historyczne fakty — dane o krzywych mostach, pomiarach, dwudziestoczerogodzinnych dyliżansach do Chicago, wyścigach konnych na lodzie, rozgrywanych zanim skażenia chemiczne zapobiegły zamarzaniu rzeki...

Campus, ukryty pośród zieleni, sprawiał wrażenie opustoszałego, jeśli nie liczyć przemykających tu i ówdzie uczestników letnich kursów. Charlotte przypięła rower do stojaka przed budynkiem wydziału historycznego. Schodząc na dół, do gabinetu wuja, poczuła zniechęcenie, które nie prześladowało jej już od wielu dni. Nagle odechciało jej się wszystkiego, z wyjątkiem ułożenia się na łóżku i zamknięcia oczu. Zanim dotarła do drzwi, była bliska omdlenia.

— Cześć — powiedziała, ostrożnie układając książki na podłodze i padając na pomarańczowe, plastikowe krzesło.

Moose stał przy biurku, oświetlony przez nieliczne słoneczne macki, którym udało się spełznąć do podziemnego gabinetu; nieśmiały emisariusz wielkiej jasności. Miał na sobie nietypowe, o dziwo pasujące do pory roku ubranie: spodnie khaki, bładożółtą koszulkę rozpiętą pod szyją oraz błękitno-białą kurtkę, wyraźnie za ciasną w ramionach. Wyglądała na relik z jego dawnego życia.

— Charlotte — powiedział na powitanie. — Charlotte. Charlotte. — Powtarzał jej imię tak wyraźnie, jakby wymawiał je po raz pierwszy.

— Masz dobry humor — zauważyła.

— Taki piękny dzień — odparł z uśmiechem Moose. — Jest... jest lato.

— Jest gorąco — poskarżyła się, krzyżując ręce na piersiach.

— Och, nie za bardzo. Ale na pewno smutniej tu niż na powierzchni. Wyjdźmy więc, pokażmy się... — urwał na moment, opuszczając żaluzje, a potem szukając w kieszeni kluczy — ...temu pięknemu słońcu.

— W porządku — zgodziła się Charlotte. Zależało jej na tym, żeby jak najszybciej opuścić tę piwnicę i pozbyć się balastu smutku. Po raz pierwszy od wielu dni wyobraziła sobie siebie w pustym domu Michaela Westa, w którym nie znalazła żadnej wiadomości. W którym niezliczone dowody miłości, których szukała, okazały się bezwartościowe.

Weszli na schody. To głupie, że dźwigam ze sobą te książki, pomyślała, gdy minęli próg Meeker Hallu i zanurzyli się w lepkie powietrze. Po co mi one tutaj? Uznała jednak, że za późno na powrót i nie warto hamować radosnego marszu wujka Moose'a. Trawniki usiane były setkami żółtych mleczy, delikatnych i jaskrawych. Żywych. Moose deptał je bez wahania wielkimi, czarnymi butami, zostawiając wilgotne ślady soków. Charlotte pomyślała najpierw, że szkoda takich pięknych kwiatów, ale zaraz zmieniła zdanie. Przecież to tylko chwasty.

Dotarli do rozległego boiska, ze szkieleciami futbolowych bramek skierowanymi wprost w rozpalone niebo i z nagimi łatanami wyznaczającymi wierzchołki pola do gry w baseball. Tu także rosły mlecze; były ich tysiące. Moose

dziarsko wkroczył na trawę, jakby wigor, który wstąpił w niego tak nagle, miał już nigdy go nie opuścić. Z każdym jego krokiem Charlotte czuła się coraz słabsza. Wuj pogwizdywał, a ona zatrzymała się, żeby popatrzeć na jego sprężysty krok. I żeby odpocząć. Książki pod pachą ciążyły jej jak kotwica. Chciała zostawić je na trawie, ale bała się, że zginą albo zamokną, gdy znienacka ożyją ukryte w ziemi zraszacze. Moose tymczasem parł naprzód, wymachując ramionami i tratując mleczkę, aż wreszcie (Charlotte uznała za dziwne to, że tak długo to trwało) zorientował się, że dziewczyna nie idzie za nim i zatrzymał się.

Odwrócił się energicznie. Był sam na polu zachwaszczonej, letniej trawy. Miał ogromną ochotę na śmiech! Śpiew! Szloch! A to dlatego, że nareszcie, niemal w ostatniej chwili, zdołał przekazać esencję swojej wizji innej ludzkiej istocie! Wiedział to od chwili, gdy przed dwoma tygodniami Charlotte nie przyszła na spotkanie, a potem usłyszał w słuchawce jej rozpaczliwy głos.

Bał się, rzecz jasna, że dziewczyna już do niego nie wróci. Przez kilka następnych dni trwał w stanie niemal śmiertelnego niepokoju; zamaszystymi krokami przemierzał salon, nie mogąc skupić się nawet na tyle, by czytać. Lecz Charlotte w końcu zadzwoniła i wyczuł w jej głosie znaczną poprawę stanu ducha. W tym momencie ustąpił strach przed tym, że dziewczyna mogłaby uciec, a jego miejsce zajął bardziej fundamentalny lęk o to, czy aby na pewno zobaczyła to, co powinna była zobaczyć. Niepokój odebrał mu siły do tego stopnia, że mógł jedynie leżeć na kanapie, bezwładnie i bezradnie.

Dopiero ten dzień rozwiął jego wątpliwości. Charlotte wyglądała na odmienioną. Była zmęczona, obolała i jakby starsza (choć minęły ledwie dwa tygodnie!); jej rysy wyostrzyły się, a w oczach pojawił się mrok, jakby wizja zszokowała dziewczynę na tyle, że dostrzegła nową, bardziej skończoną wersję samej siebie. Dla Moose'a wszystkie te zmiany były zmianami na lepsze — uważał, że jego uczennica wygląda promiennie, a może nawet pięknie.

Charlotte patrzyła, jak wuj wreszcie zauważa jej nieobecność i odwraca się. Spoglądał za siebie przez nieskończenie długi czas, a potem wolno unióś ramiona wysoko nad głowę, tak że pogniecione poły rozpiętej kurtki rozpostarły się za nim jak para bladobłękitnych skrzydeł.

— Chodź — zawołał, nie opuszczając rąk. — Chodź, woda jest świetna! — Teraz, gdy jego zęby błyszcząły w promieniach słońca, znowu był starym, dobrym, świetnie zbudowanym Moose'em, machającym zza steru motorówki do Charlotte, by wciągnąć ją na głębokie i tajemnicze wody Rock River.

Wizja urwała się szybko i znowu był tylko jej wujkiem, stojącym na polu mleczki.

Charlotte ruszyła w jego stronę, uparcie niosąc książki. Rzeczywiście znalazła się w rzece, w rzece strachu, który zamykał się wokół niej z każdym krokiem coraz ciaśniej. Nie bała się Moose'a, który chyba nigdy nie wyglądał na łagodniejszego i pogodniejszego. Bała się własnych, jasnych myśli.

— Wujku Moose — powiedziała, kiedy stanęła przed nim. — Ja... muszę ci coś powiedzieć.

Moose odetchnął tak głęboko, że żółta koszula naprężyła się na jego piersi. Charlotte była zdumiona tym, jak wiele powietrza zmieściło się w jego płucach.

— Wiem — powiedział, wydychając je z widoczną ulgą.

Charlotte zadarła głowę i spojrzała uważnie na jego barczystą sylwetkę okoloną słonecznym blaskiem. Dostrzegła w twarzy wuja bystry puls bólu, nagiego cierpienia, którego nie widziała nigdy dotąd, a przynajmniej nie bezpośrednio.

— Naprawdę?

— Nie wolno ci się bać — powiedział Moose.

— A jednak się boję — przyznała. — Boję się, że cię urażę.



Moose zrobił krok naprzód i objął Charlotte. Nie robił tego nigdy wcześniej; był to niezadany, mocny uścisk, który objął dziewczynę i ciężkie książki w jej rękach błękitnymi skrzydłami kurtki; uścisk pachnący pizzą, lekarstwami i kurzem. Wdychała zapach Moose'a, który otoczył ją całym ciałem, osłaniając przed światem i zatrzymując ją tylko dla siebie. Charlotte wyczuwała to wszystko i rozumiała, że to właśnie jest miłość, bardziej niż jakiegokolwiek ze znanych jej doznań. Tak musiała wyglądać miłość. Właśnie tak. Tak.

— Nie rozumiesz — wymamrotał Moose, nie rozluźniając uścisku. — Ja też to dostrzegam, i to każdego dnia. Wiem, że to przerażające, ale ślepotą jest jeszcze gorsza.

Jego głos załamał się nagle, a Charlotte rozpoczęła długi i mozolny proces wyzwalania się z objęć wuja. Odpychała jego ramiona i rozgarniała pasiaste skrzydła kurtki, wdychając zapach jego zakurzonej miłości, by wreszcie spojrzeć mu w oczy. Wyczytała w nich dziwną ekstazę, pełną napięcia euforii.

— Tak długo czekałem — szepnął, odwzajemniając spojrzenie. — Całe życie.

Teraz dopiero Charlotte zaniepokoiła się nie na żarty. O czym on właściwie mówił? O czym on mówił zawsze wtedy, gdy spoglądał na nią tym wszystkowiedzącym wzrokiem? Czuła się dziwnie, ale zaczynała wracać do sił, jak zawsze w jego obecności. Po policzkach Moose'a spłynęły pojedyncze łzy, które zaraz starł wierzchem dłoni. Charlotte czekała, patrząc na niego w skupieniu i prawie wierząc, że oto nadeszła chwila, kiedy wuj wreszcie otworzy się przed nią.

Nie odzywał się, więc postanowiła przemówić jako pierwsza.

— Muszę zrobić sobie przerwę — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Przerwę w naszych spotkaniach.

Moose skinął głową i wcisnął dłonie głęboko do kieszeni spodni.

— Rozumiem — powiedział. — To najzupelniej logiczne życzenie.

Więc jednak wiedział. Wiedział i rozumiał. Charlotte mówiła dalej, podniesiona na duchu.

— Wiesz, nauczyłam się bardzo wiele, ale... — Moose znowu kiwnął głową. Wciąż miał wilgotne oczy. — Chciałabym spędzać więcej czasu... — Słońce przypiekało jej twarz, a książki ciążyły coraz bardziej. Zamknęła oczy i zachwiała się nieznacznie.

— Naturalnie — odparł miękko Moose, po czym dodał lekko przeproszającym tonem: — Ale nie cofniesz już czasu. To po prostu niemożliwe.

Charlotte gwałtownie otworzyła oczy.

— Zaopiekuje się tobą — ciągnął Moose tym samym, łagodnym głosem. — Nie będziesz sama, jak ja.

— Zaraz, chcesz powiedzieć, że ja...?

— Za późno. — Wypowiedział te słowa z przerażającą czułością, jak lekarz onkolog przemawiający do dziecka. — Stało się, Charlotte. Cokolwiek się wydarzy, już tego nie zmienisz...

— Nie rozumiem, o czym mówisz — przerwała mu ostro.

— Sądzisz, że nie wycofałbym się przed laty, gdyby to było możliwe?

— Wycofałbyś się? Przed czym?

— Jesteś silna, Charlotte — stwierdził z naciskiem. Jego oczy błyszcząły niezdrowo. Jeszcze nigdy nie wymienił jej imienia tyle razy. Miała wrażenie, że powtarza je jak zaklęcie. — Silniejsza, niż myślisz! Pod wieloma względami silniejsza ode mnie!

W jego głosie była niezachwiana pewność, która ją przerażała. Coś zostało ustalone za jej plecami; coś, co było dla niej niekorzystne.

— Wujku Moose. Posłuchaj mnie — powiedziała, podnosząc głos. — Nie chcę już studiować z tobą historii Rockford. Chcę od tego odpocząć.

Moose skinął głową. Empatia, żal, smutek — widziała to wszystko w jego twarzy.

— Zamierzam zająć się innymi sprawami — dodała z naciskiem, ale w rzeczywistości jej słowa zabrzmiały raczej błagalnie, jęklonie, jakby prosiła wuja o pozwolenie. — Chcę spędzać więcej czasu z przyjaciółmi.

— Ależ możesz! — podchwycił gorliwie Moose. — I powinnaś, póki to jeszcze możliwe.

— Przestań wreszcie mówić w taki sposób!

Moose pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Charlotte. Znowu umilkła, pochwycona imadłem własnej fascynacji.

— To dar — odezwał się w końcu Moose z nutą nagany w głosie. — Przekazałem go tobie, Charlotte. Nikomu innemu. Przez te wszystkie lata.

— Jaki znowu dar? — spytała niepewnie.

— Chyba już wiesz — odparł Moose. — Albo przeczuwasz.

Spoglądał niecierpliwie w oczy Charlotte i znowu poczuła muśnięcie strachu, jakby błagała wuja, żeby darował jej życie. Wyobrażała sobie, że znaleźli się we dwoje na bezludnej wyspie, otoczeni mapami, ale zbyt dalecy od innych ludzi, by mieć nadzieję na wybawienie.

— Nie chcę być taka jak ty! — zawołała, odsuwając się. — Chcę być taka jak wszyscy!

— Nieprawda — zaprzeczył Moose nieco zduszonym głosem. — Wcale tego nie chcesz.

— A właśnie że chcę! — wykrzyknęła, porządnie już rozdrażniona. Gniew uderzył w nią nagle, budząc z odrętwienia i przywracając siły. Cisnęła książki na trawę. — Chcę być taka jak inni ludzie! Jak normalni ludzie! — zawołała, zaciskając pięści.

— Za późno na to — odparł uparcie Moose.

Pod lukrem anielskiej cierpliwości pojawił się pierwszy przebłysk gniewu, a może strachu.

W tym momencie w Charlotte coś pękło i aparat kontroli emocji wysliznął się jej z rąk.

— Zostaw mnie w spokoju! — wrzeszczała. — Nie odzywaj się do mnie!

Pochyliła się i zaczęła gorączkowo zbierać rozrzucone książki, szlochając po raz pierwszy od miesiąca, a ściślej od nocy w kuchni Michaela Westa. Poczowała się lepiej, dając upust rozpaczy i bezradności. Ulga nie trwała jednak długo. Wymowne milczenie Moose'a sprawiło, że płakała znacznie dłużej, niż tego potrzebowała — tylko po to, by oddalić w czasie tę chwilę, kiedy będzie musiała spojrzeć mu w oczy. W końcu jednak opanowała się, wyprostowała plecy i popatrzyła na niego.

— Rozumiem — powiedział Moose. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Wbił wzrok w jakiś punkt ponad jej lewym ramieniem. — Tak... w porządku. Masz rację. Rzeczywiście, to chyba... coś innego, niż myślałem.

Lecz choć jego głos był bezbarwny, niemal mechaniczny, Charlotte dostrzegła minimalne zmiany w sylwetce Moose'a, nawet w kolorze jego skóry, a także drżenie dłoni i plamy potu na jego radośnie żółtej koszuli, która nagle stała się półprzezroczystym oknem odsłaniającym ciemny gąszcz włosów na piersiach. Charlotte nie mogła na to patrzeć. Minimalne ruchy kącików oczu i nagle zwiotczenie skóry wokół ust, wszystko to jakby zwiastowało jego rychły upadek. Bała się, że Moose umiera, że przez nią dostał ataku serca albo pękło naczynie krwionośne w jego mózgu, a strach tylko spotęgował jej gniew. „Przestań wreszcie!” chciała krzyknąć, przyglądając się tej scenie powolnego rozpadu, ale nie starczyło jej siły ani na wrzask, ani na płacz. Pozostało jej tylko jedno: uciec od tego człowieka, który dał jej moc zniszczenia go, nawet jej o tym nie uprzedzając. Nie mogąc, pomyślała. Dłużej nie wytrzymam. Odwróciła się i odeszła, pozostawiając na trawie porzucone książki i stojącego nieruchomo Moose'a. Odchodząc, czuła ulgę, a raczej jej obietnicę. Tak szybko. Tak szybko mogła odejść i nie myśleć o nim więcej, zapomnieć tak, jak zapomniała już o Michaelu Weście; wymazać z umysłu wszelkie wzmianki o jego osobie. Idąc, poczuła niespodziewanie spokój, tak jak niespodziewanie powraca cisza, kiedy zamknie się okno.

Na skraju boiska odwróciła głowę, by spojrzeć za siebie. Mleczce rosły tak gęsto, że jej wuj zdawał się stać pośrodku złotego pola, jasnożółtego morza. Patrzył w jej stronę, ale kiedy uniosła rękę, nie zareagował. Nie odwrócił też wzroku. Jego źrenice nawet nie drgnęły, jakby stracił przytomność. Teraz dopiero Charlotte zrozumiała, że wcale nie patrzył na nią. Spoglądał na coś innego, coś, czego nie umiała dostrzec, coś, co znajdowało się za nią, ponad nią, a może obok niej. Nie wiedziała nawet gdzie. Zresztą nie miało to znaczenia. Zostawiła go.

TLR

# Rozdział dziewiętnasty

48

Zaczęło się, jak większość katastrof, od drobiazgu. Od czegoś tak małego, że nie pamiętam już, co to było. Ani kiedy dokładnie się wydarzyło.

Stałam u steru wydarzeń i wszystko przebiegało mniej więcej po mojej myśli. Aż nagle zmienił się nastrój. Spadł deszcz. Sprawy zaczęły się gmatwać.

Byłam zdezorientowana, czytając własne słowa — choć właściwie nie były to moje słowa, tylko produkt bruchomówstwa Irene, który z jakiegoś powodu brałam za szczerą prawdę — tak gładko ułożone na papierze, jak ważny dokument. Musiałam to zrobić, bo myśl o tym, że setki, tysiące, a może i setki tysięcy (jeśli wierzyć Thomasowi) użytkowników serwisu miałyby przeczytać to wszystko wcześniej niż ja, wydawała mi się nieskończenie trudniejsza do zaakceptowania.

Pomysł na wycieczkę zrodził się w nas spontanicznie.

— Masz samochód? — zapytał Z. Był środek nocy. Siedzieliśmy w klubie. Mówił do mnie półgębkiem, patrząc w inną stronę. Udawał, że mnie nie zna.

Odpowiedziałam, że mam.

To był świetny wóz. Nowy, błękitny kabriolet bmw.

Wyciągnięcie go o takiej porze z podziemnego garażu pod moim blokiem nie było łatwe. Musiałam nagadać stróżowi coś o nagłym wypadku i poprzeć słowa słonym napiwkami.

Wsiedliśmy do środka roześmiani i gotowi na wszelkie przygody.

— No i? — spytałam. Jechaliśmy na południe długim, pustym kanionem Drugiej Alei. — Dokąd?

— Do Ameryki — odparł. — Do samego serca. Nigdy tam nie byłem.

Pomyślałam o New Jersey, Rhode Island i północnej części Nowego Jorku.

— Ameryka to spore miejsce — odrzekłam po chwili.

— Do Chicago. Tam, skąd pochodzisz.

— Ooo — mruknęłam. — Niezła przejażdżka.

Nie miałam ze sobą żadnego bagażu, nawet szczoteczki do zębów. Jedyne torebkę. Tymczasem Z postawił sobie między nogami czarną teczkę, jedną z tych solidnych, które w filmach wyrzuca się z pędzącego samolotu, a potem znajduje nietknięte. I pełne przemycanego towaru.

Wtedy zrozumiałam: nasza wycieczka w ogóle nie była spontaniczna. Została zaplanowana.

Tak rozwijała się ta historia.

— Właściwie to nie jestem...

Thomas Keene zapukał w okno naszego grand ama. Wcisnęłam klawisz i szyba opadła z cichym warkotem.

— Char, jesteś nam potrzebna na sekundę — powiedział.

Odkąd zjawił się w Rockford przed dwoma dniami, zwracał się do mnie, używając poufatego zdrobnienia, jakby zobaczenie kogoś w jego rodzinnym mieście równało się zobaczeniu go nagim i upoważniało do bardziej intymnych stosunków. Chłodno skinęłam głową i dokończyłam czytanie strony.

— Właściwie to nie jestem z Chicago — wtrąciłam.

— Rejon Chicago. Sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód — poprawił się. Miał doskonałą pamięć.

Odłożyłam wydruk, przekręciłam kluczyk, żeby wyłączyć klimatyzację, i wyszłam z chłodnego wnętrza samochodu wprost w upał słonecznego dnia. Grand am stał na żółtawej drodze gruntowej, która zaczynała się pod kątem pro-

stym do I-90 i prowadziła nieco pod górę między ciągnącymi się całymi milami polami szumiącej, skrzęcej się zielono kukurydzy. Byliśmy dokładnie tam, gdzie dziesięć miesięcy wcześniej miałam wypadek.

Rozejrzałam się, szukając Irene, i dostrzegłam ją na drodze, rozmawiającą przez telefon komórkowy, zapewne z mężem. Robiła to coraz częściej, odkąd rozpoczął się drugi tydzień naszej nadmiernie przedłużającej się wyprawy. Thomas stał na skraju pola, spoglądając w obiektyw szesnastomilimetrowej kamery zamocowanej na wysokim, chudym trójnogu wzmocnionym metalową ramą. W obwisłych portkach koloru khaki, buciorach koloru piasku i bladobłękitnej czapeczce baseballowej wyglądał tak, jakby ubierał go stylistą z Patagonii. Ale dlaczego tak się wystroił? Jaką rolę chciał zagrać Thomas Keene tu, w Rockford w stanie Illinois? To pytanie nurtowało mnie od początku dramatu, którym był jego pobyt w moim rodzinnym mieście, a także wcześniej, gdy słuchałam jego nie kończących się debat telefonicznych z Irene na temat sensu odtwarzania w filmie kluczowych scen mojego żywota (w stylu *Niewyjaśnionych zagadek*). Zadawałam je sobie i wtedy, gdy ustalane były szczegóły jego podróży, oraz wtedy, gdy pojawił się w Sweden House w spodniach khaki i czapeczce, a w środkowo-zachodnim słońcu pory na jego twarzy i włosy w nosie były jakby lepiej widoczne.

Dzień wcześniej zawiózł mnie i Irene wynajętym Saturnem do domu farmera, do którego należało interesujące nas pole. Spodziewałam się, że zobaczę jedną z tych zabiedzonych, czerwonawych ruder, których szczątki widywałam, jadąc trasą I-90, ale byłam w błędzie. Zabudowania były ultranowoczesne: lśniąca metalicznie stodoła przypominała hangar, a pielęgnacją rozległego ogrodu warzywnego zajmował się półautomatyczny system nadzorowany komputerowo przez syna właściciela. Kiedy wraz z Irene raczyliśmy się kawą z kubków z napisem „Prowadź mnie, Panie, do Królestwa niebieskiego”, Thomas negocjował wysokość rekompensaty za wycięcie wąskiego pasa kukurydzy i wykopanie w ziemi długiego rowu, a także za oczyszczenie z roślinności kwadratu o trzymetrowym boku, przeznaczonego pod wielkie ognisko.

— Psiakrew — mruknął farmer, energiczny mężczyzna o dłoniach wielkości szynek wieprzowych. — Akurat rok temu jakaś panienka zjechała z międzystanowej i wylądowała samochodem dokładnie na tym polu, może trochę niżej. Ależ to była katastrofa. Fajerwerki jak na Czwartego Lipca. Zdaje się, że zginęła, biedaczka, Panie świeć nad jej duszą.

Nie wiem, czy to za sprawą szoku, czy z nieśmiałości (nie wiedzieliśmy, które z nas miałyby to zrobić), czy może po prostu z powodu zbyt długiej zwłoki (którą farmer wykorzystał na zaczerpnięcie oddechu przed zjadliwą diatrybą na owady-szkodniki oraz przeciwników żywności modyfikowanej genetycznie), dość na tym, że w końcu nie wyprowadzi-  
liśmy go z błędu. Do końca nie poznał radosnej nowiny o moim zmartwychwstaniu.

Nieco później, wykorzystując motelowy pokój Irene jako kwaterę główną, Thomas zajął się pracą przez telefon, która dość szybko zaowocowała wynajęciem ekipy filmowej z Chicago. Tego ranka spotkaliśmy się z nimi na miejscu — Danny, Donny i Greg (dwojga ich asystentów nie zapamiętałam z imienia) stanowili niezwykle trio. Na ich zdrowych, środkowo-zachodnich ciałach kolczyki, ćwieki, kitki, tatuaże, blizny i wszelkie inne dowody przynależności do kontrkultury wyglądały zadziwiająco niewinnie.

— Char, czy mogłabyś przejść przez pole do miejsca, w którym stoi Donny? — spytał Thomas. — Potem rozejrzysz się i wrócisz do mnie.

Ostrożnie stanęłam między smukłymi, wysokimi pędami. Sięgały mi do pasa i drżały, jak powierzchnia morza w zielonej lagunie. Liście był śliskie i ostre; nieco bardziej krągłe tylko tam, gdzie wkrótce miały uformować się kolby z ziarnem.

Spotkałam się z Donnym pośrodku pola, tam, gdzie białym sznurkiem uwiązany do palików wytyczono kwadrat pod ognisko. Ćwieki, kolczyki i małe klejnoty podrygiwały na twarzy Donny'ego jak chmara insektów. Nie było jeszcze dwunastej, a szarańcza koncertowała już głośnym chórem.



— W porządku, Char! — zawołał Thomas, nie ruszając się z drogi. — Teraz wracaj do mnie powoli. Postaraj się nie połamać zielska.

W polu kukurydzy wykonano przecinę szeroką na dobry metr, ale rośliny tworzyły taką gęstwinę, że musiałam ostrożnie torować sobie drogę między chyłącymi się ku mnie liśćmi. Nawet z czerwonej ziemi były fale gorąca. U wylotu zielonego tunelu zobaczyłam Thomasa, który mrużąc oko, zaglądał w wizjer kamery. Obiektyw przesuwiał się wolno, rejestrując panoramę pól. Danny, operator, stał tuż za nim, dźwigając na sobie pas z akumulatorami. Patrząc na nich, doznałam nagłego olśnienia. Już wiedziałam, dlaczego Thomas przyjechał do Rockford. Mimo talentu do zdobywania funduszy, mimo zdolności menedżerskich i geniuszu taktycznego, mimo daru propagowania wątpliwych idei i podążania z duchem czasu, Thomas Keene oczekiwał od życia czegoś zupełnie innego. Pragnął mianowicie zostać reżyserem.

Zanim wynurzyłam się z kukurydzianej toni, Irene zdążyła stanąć przy nim. Miała niedbale upięte, nieco skręcone włosy (od wilgoci) oraz ciemne odciski palców bezsenności pod oczami. Gdybym powiedziała, że Irene sprzeciwiała się podróży Thomasa na Środkowy Zachód, obraziłabym tę heroiczną energię, z którą walczyła z nim na gruncie ideologicznym („Dlaczego nie mielibyśmy pozwolić, żeby klienci użyli własnej wyobraźni? Dlaczego mamy podawać im gotowy obraz, kiedy mogą...”), egoistycznym („Cóż, to oczywiste, że twoim zdaniem moje piarstwo nie broni się samodzielnie i wymaga wsparcia...”), psychologicznym („Nie zrozum mnie źle, ale twoja obecność blokuje Charlotte, a to oznacza...”), uczuciowo-współczującym („Jesteś taki zapracowany, po co dodajesz sobie jeszcze jeden obowiązek, który...”), a nawet małżeńskim („Nie mogę się doczekać powrotu do domu. Nie, nic się nie stało. Po prostu stęskniłam się za...”). Kiedy okazało się, że wszystkie te wysiłki były daremne i że Thomas na pewno przyjedzie do Rockford (w głębi duszy ani przez chwilę nie wątpiłam, że sprawa jest przesądzona), Irene padła na swoje łóżko w Sweden House i nie wstała z niego przez blisko dwadzieścia cztery godziny, żywiąc się wyłącznie napojem grejpfrutowym fresca. Następnego dnia, kiedy przyjechał Thomas, zdołała jakoś zebrać siły i powitała go z przyjazną rezygnacją, której podstawowym składnikiem była ulga. Irene nie musiała już walczyć, mogła poddać się z czystym sumieniem.

Tylko że ja chciałam, żeby walczyła. Odkąd przybył Thomas, Irene stała się duchem; zlewała się z tłem do tego stopnia, że chwilami sprawiała wrażenie przezroczystej. Nawet smętny cień jej osobowości wydawał mi się słabszy — a może po prostu traciłam moc dostrzegania ludzkich cieni?

— W porządku. Doskonale — mówił Thomas. — Danny, chyba możemy zacząć ciąć. Uruchomimy piłę na waszym generatorze, jeśli wystarczy kabla. Irene zamówiła już piasek; powinni przywieźć mniej więcej o pierwszej. — Spojrzał na zegarek, po czym oparł się na ramieniu Irene w poufaly sposób, od którego robiło mi się niedobrze. Razem zaglądali przez chwilę do jej notatnika. — Co jeszcze? — spytał po chwili.

— Sprawa rowu — przypomniała mu Irene.

— O nie... Kto, do diabła, wykopie dla nas rów? Irene zniżyła głos.

— Możemy spytać Danny'ego, czy jego asystenci chcieliby to zrobić.

— Dziwnie bym się czuł, zlecając im coś takiego — odparł Thomas. — To długie godziny ciężkiej, fizycznej pracy. Potrzebujemy robotników.

— Kopaczy rowów — wtrąciłam z krzywym uśmiechem.

— Czy istnieje jakaś agencja zatrudniająca niewykwalifikowanych na godziny? — zastanawiał się Thomas. — Czy znajdziemy taką w okolicy?

— Zajmę się tym — odpowiedziała Irene, nie zdradzając oznak zniecierpliwienia. Za to ja irytowałam się w jej imieniu, okazując wszelkie emocje, których ona nie mogła okazać, będąc ledwie duchem dawnej Irene. Ona wykladała w

New York University, napominałam Thomasa w myślach. Nie ma czasu na to, żeby być twoją sekretarką. Irene jednak najwyraźniej miała czas.

— Potem makijaż — powiedziała, zerkając na listę. — Siostrzenice gotowe?

— Grace przywiezie je po lunchu — odparłam.

— A co z podpałką? Potrzebujemy drewna na ognisko.

— Zajmą się tym dzieci farmera — uspokoił ją Thomas. — A właśnie. Skoro już o nich mowa... — Urwał, zmieszany, by odezwać się po chwili jakby błagalnym tonem. — Irene, czy jest taka możliwość, żebyś wpisała farmera w scenariusz? Niech powie zdanie lub dwa. Był bardzo pomocny przy wszystkich przygotowaniach i zdaje się, że... chyba zasugerowałam mu, że znajdzie się rola dla niego.

Zdębiałam, kiedy Irene odpowiedziała łagodnie:

— Jasne, napiszę coś dla niego.

— Zaraz, zaraz — wtrąciłam, ustawiając się tak, by móc spojrzeć jej w oczy. — Możecie mi wyjaśnić, co farmer ma wspólnego z moim wypadkiem?

— Mógł wezwać pogotowie.

— Doskonale — podchwycił Thomas. — Świetnie. W ten sposób w niczym nie uchybimy zasadzie autentyczności.

— W niczym z wyjątkiem tego, że to nieprawda — oznajmiłam.

— To możliwa wersja — odparła Irene. — Przecież nie pamiętasz, kto wezwał ambulans.

— Wiem, że nie ten farmer! — zawołałam, ale tak naprawdę nie chciałam kłócić się z Irene. Chciałam ją zrozumieć. Chciałam stać się nią, zająć dla niej miejsce, popilnować koordynat jej osobowości do czasu, aż wróci do nich.

— Mamy południe — zauważyła. — Chcecie, żebym przywiozła wam z miasta lunch?

Do diabła z tym wszystkim, pomyślałam i odeszłam bez słowa.

Wsiadłszy do grand ama włączyłam klimatyzację na najwyższy bieg. Nie obchodziło mnie to, że wykańczam akumulator. Co za różnica? Zdechły akumulator i tak nie powstrzymałby realizacji tego projektu. Nic i nikt nie miał takiej władzy — ani Irene, ani Thomas, a już na pewno nie ja. To przedsięwzięcie przerosło nas wszystkich. Szukając właściwego miejsca między gęsto zadrukowanymi stronicami, usłyszałam wycie piły elektrycznej gdzieś w polu kukurydzy. Cykanie szarańczy stało się w odpowiedzi nieco ostrzejsze — przypominało głośny i rytmiczny szwargot, jakby w krzakach siedział legion gadatliwych małp.

49

Kiedyś już pokonałam samochodem trasę między Nowym Jorkiem a Rockford. Trzydzieści lat wcześniej. Moim powolnym, zielonym fiatem. Wtedy przybyłam na Manhattan po raz pierwszy.

A teraz wracałam do domu. Samochodem, który kochałam zbyt mocno, by pozwolić komukolwiek usiąść za kierownicą.

Kiedy wreszcie wstało słońce, byliśmy w Pensylwanii. Otaczał nas ponury krajobraz starych, obskurnych hal fabrycznych z powybijanymi szybami. Wyglądały jak porzucone reduty (przy tym słowie dopisałam odręcznie znak zapytania) zapomnianej wojny.

Z był zafascynowany. Podobały mu się te ruiny Ameryki.

Jechałam. I czekałam w pogotowiu. Czekałam, aż wyjaśni mi, kim naprawdę był i do jakiej większej struktury należał. Co właściwie robiliśmy. A przede wszystkim, dlaczego wybrał sobie właśnie mnie. Które z moich cech uznał za wyjątkowe lub wyjątkowo przydatne dla jego celów.

Moose stał przy swojej skrzynce na korespondencję w holu wydziału historycznego, nerwowo miętosząc w dłoni plik listów, podczas gdy wakacyjna, szkieletowa załoga portierni (w sile jednej kobiety) gapiła się na niego groźnie, dając upust swej demonicznej osobowości. Spojrzał w stronę drzwi gabinetów kolegów i koleżanek, rozpaczliwie szukając kogoś, z kim mógłby porozmawiać. W tym stanie ducha, w jakim się znajdował, wołał cierpieć katusze, gawędząc z kimś, niż zejść do swej podziemnej samotni.

Większość jego kolegów, rzecz jasna, śmigała teraz motorówkami po Jeziorze Michigan albo obwoziła dzieci po Wielkim Kanionie, albo układała cegły w ogródku, budując nowe kwietniki... Ale jedne drzwi były otwarte! Zatem w gmachu pozostał jeszcze jeden letni maruder! Jim Rasmussen, siedzący za biurkiem i delikatnie masujący skronie. Moose popędził w jego stronę, już od progu śpiewając „Czeeeeść, Jim”. Już dwie sekundy później przypomniał sobie, że Jim jest jego zaprzysięgłym wrogiem — nieraz już próbował doprowadzić do zwolnienia Moose'a, a na zebraniach rady nie nazywał go inaczej niż „świrem”. Rasmussen poderwał się gwałtownie z przerażeniem w oczach. Błąd. Gruby błąd. Moose natychmiast dostrzegł jego zmieszanie.

— Moose — wymamrotał Rasmussen, pełen najgorszych podejrzeń po tak niespodziewanym, zbędnym — i, nie da się ukryć, nachalnym — najściu. Błąd! Moose miał problem. Wypowiedział już rytualne „cześć”, a teraz musiał wymyślić ciąg dalszy. Mów, rozkazał sobie w duchu, czując, że purpurowieje na twarzy. Mów o pogodzie, o sporcie albo o sprawach wydziału. O czym właściwie ludzie rozmawiają?

— Taaa — mruknął wreszcie. — Co ciekawego czytasz?

Rasmussen zmrużył oczy, gorączkowo szukając haczyka ukrytego w pytaniu. Minęło kilka nieznośnie długich sekund, zanim uniósł książkę, by pokazać okładkę. Był specjalistą od historii osiemnastego wieku. Moose przygotował się psychicznie na to, że zobaczy tytuł monografii dotyczącej sukcesji królów hiszpańskich, biografii Robespierre'a albo historii górnictwa angielskiego. Sposobił się też do wygłoszenia paru myśli na temat szkła, jego roli w dziejach i zastosowań. Nie był jednak gotowy na to, co z trudem odczytał z miękkiej oprawy książki: Rasmussen czytał nieautoryzowaną biografię Jennifer Lopez.

— Aha — stęknął Moose. Nie bardzo wiedział, kim jest ta Lopez, ale widząc zdjęcie na okładce, poważnie zaniepokoił się o Rasmussena.

— Szaleje za nią — rzekł Jim buntowniczo, odbijając piłeczkę. Nie zamierzał przyjąć upokorzenia; chciał, żeby to Moose zapłacił za wtargnięcie na jego teren. — Po prostu szaleję.

— Uhm — mruknął cicho Moose.

— I nigdy nie mam dość.

— W takim razie... Nie będę przeszkadzał.

— Miło, że wpadłeś, Moose — pożegnał go Rasmussen, obnażając zęby.

Moose wybiegł na korytarz, uciekając przed porażką, choć w istocie nie był pewien, czy był przegranym w tym starciu. Starł się pokonać narastające przekonanie, iż podejmując tę niezdatną próbę bycia sympatycznym, ostatecznie unicestwił ruinę swej akademickiej kariery.

Kiedy szedł po schodach, z każdym krokiem ogarniała go coraz głębsza cisza, gęsta jak ziemia otaczająca jego gabinet. Przekręcając klucz, uśmiechnął się, by pokazać wszystkim (komu?), że wszystko jest w porządku, że kontroluje sytuację i że to naprawdę świetnie, iż campus jest prawie pusty, bo przecież on, Moose, ma tyle roboty, że chyba będzie najlepiej, jeśli...

Nie chciał myśleć o Charlotte. Obiecał sobie tydzień wcześniej, kiedy się rozstali, że wygna siostrzenicę ze swego umysłu, i prawie mu się to udało. Nie wymieniał jej imienia nawet w rozmowach z Priscillą, która wielokrotnie pytała go, co się stało.

Dłonie Moose'a trzęsły się jeszcze po spotkaniu z Rasmussenem, kiedy opadał ciężko na fotel i kładł na blacie korespondencję. Wśród listów brakowało kremowych kopert od specjalistów, na których odzew tak bardzo liczył. Mimo to zabrał się do sortowania pism; w zasadzie wyłącznie po to, by wypełnić jakoś pustkę tego dnia. Nagle znieruchomiał. Wyczuł zmianę w otaczającej go atmosferze, zmianę tak prostą i dramatyczną zarazem, jakby chmura pędząca z wiatrem przesłoniła słońce, z tą tylko różnicą, że w życiu Moose'a już od wielu dni nie było słońca. Nie, zdecydowanie zbyt mało doświadczał promiennego blasku, by taka metafora mogła zabrzmieć prawdziwie. Wykluczył więc słońce ze swoich rozmyślań i porównał niespodziewaną zmianę aury do nagłego pojawienia się w ciepłym nurcie rzeki chłodniejszego prądu; zimnej macki przywodzącej na myśl bezmiar lodowatego oceanu, jego głębiny, mrok i zamieszkujące je, zdumiewające stworzenia.

Moose wstał, podszedł do okna i uniósł żaluzje. Kilka promieni słonecznych wdarło się do środka. Spojrzał na ścieżkę, mając nadzieję, że zobaczy na niej kogoś i poczuje się różnie, ale kto mógł się tu pojawić o tej porze roku? Kto, jeśli nie kolejny Rasmussen, nieskończona liczba Rasmussenów czyhających tylko na okazję, by go pognębić?

Lecz przecież nie zamierzał tonąć w takich myślach! Podszedł do szafy na akta, otworzył ją kluczem i spojrzął na lekko zatechłą masę własnych rękopisów — na *Historie Rockford w stanie Illinois*, która tak często poprawiała mu humor. Wyjął plik luźnych kartek i wbił w nie wzrok, próbując zmobilizować do pracy zardzewiałą maszynę optymizmu. A może problem polegał na tym, że zbyt rzadko bywał poza domem i pracą? Być może powinien naśladować ojca: raz w miesiącu jechać samochodem lub pociągiem (tylko że pociągi już nie kursowały na tej linii) do Chicago, popływać w basenie i zjeść lunch w Klubie Uniwersyteckim, w otoczeniu polerowanego drewna i drogich garniturów, a potem zamówić na deser maliny, podawane z lodami i bitą śmietaną. Chicago.

Chicago!

Konsolidacja luźnych myśli i sygnałów w konkretny plan podziałała na Moose'a elektryzująco. Ostrożnie odłożył rękopis na miejsce i przekręcił klucz, po czym wyszedł z gabinetu sprężystym krokiem, kopniakiem zamykając drzwi. Opuścił Meeker Hall, nawet nie spojrzawszy w stronę pokoju Rasmussena, by krętą ścieżką przemierzyć teren kampusu w surrealistycznym rytmie cykania świerszczy.

Pół mili później, spocony jak mysz, dotarł do samochodu zaparkowanego na stałym miejscu w Wersalu, w pobliżu mieszkania. Mniej więcej przez piętnaście sekund zastanawiał się, czy warto zejść na chwilę do domu i zostawić wiadomość dla Priscilli (miała dyżur w szpitalu), wyjaśniającą nagły wyjazd do Chicago. Uznał w końcu, że nie. Obawiał się, że straci rozpęd, z którego utrzymaniem zawsze miał kłopoty. Jazda, pomyślał. Jazda! Miał przy sobie portfel i kartę Visa. W drogę, Jack! Na samą myśl o podróży czuł radosne podniecenie, nad którym z trudem panował. Próbował zakotwiczyć jakoś ten dobry nastrój, jak ktoś, kto walczy z wichrem, usiłując rozbić namiot (och, jak on nienawdził metafor łączących niepodobne do siebie rzeczy w dziwne kombinacje na wzór minotaurów). Namiot był jednak zbyt duży, a wiatr zbyt silny — humor Moose'a trzepotał więc i chwiało się, gdy dwudziestoletnie kombi odjeżdżało spod Wersalu z piskiem opon. Mężczyzna włączył radio i wciskał klawisze tak długo, aż znalazł stację nadającą świetną muzykę z lat siedemdziesiątych. Podśpiewywał *Hotel California*, pędząc po East State i wyprzedzając lincolny prowadzone przez siwowłose panie, których pełne napięcia twarze wisiały ledwie o kilka centymetrów od przednich szyb wozów. Wreszcie skręcił i wyjechał serpentyną na drogę międzystanową. Boże, jakim szczęściem bywa czasem ruch! Nic dziwnego, że autostrada stała się amerykańską ikoną wolności! Do diabła z pigułkami, myślał Moose. Terapia ruchowa — czemu nie? *Mutatio loci!* Nie chodziło nawet o to, że improwizowana jazda przypominała mu dawne lata młodszej ślepoty. Przyjemność tkwiła w samym ruchu.

Uderzyła go głębia tego stwierdzenia: ruch jest przyjemny. Nie tylko było to zdanie ze wszech miar prawdziwe (dowodem na to był stan jego umysłu, graniczący z wesołością), ale także (co ważniejsze!) całkowicie wolne od mino-

tauowych metafor. Moose sięgnął do schowka na rękawiczki w poszukiwaniu notesu, w którym mógłby zapisać... Ktoś trąbi; cholera, zjechałem ze swojego pasa! Był w tak doskonałym humorze, że sam nacisnął na klakson i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Był szczęśliwy! Rozłożył notes między nogami i napisał (a raczej miał nadzieję, że napisał): „ruch jest przyjemny”. Serce biło mu jak szalone, gubiąc rytm. „Ruch — leczniczy?” dopisał, a potem jego uwagę przykuły tablice po prawej, wskazujące drogę na lotnisko O'Hare. Przypomniały mu o niezrealizowanym (a także niedopracowanym i nieujawnionym) jeszcze planie: zamierzał zabrać Priscillę na Hawaje. Czy kiedykolwiek miał to zrobić? Czy był w stanie? Pytania kłębiły się wokół Moose'a jak stado czarnych ptaków, bijąc skrzydłami tak blisko jego twarzy, że miał ochotę oganiać się od nich rekami (a przecież były tylko metaforami!). Wkrótce potem powróciły dziwne, złowrogie przecucia, zapowiedź zagłady. Moose walczył z nimi jak mógł. Przecież jestem waleczny, powtarzał w myśli. Problem polegał na tym, że wyszedł nieco z wprawy, bo od dawna nie odbywał tak dalekich wycieczek. Podróż do Chicago wydawała się na początek najlepszym wyborem — Moose chciał zamoczyć nogi w jeziorze, pospacerować wapiennym brzegiem i zajrzeć do miejsc, które jako dziecko odwiedzał z ojcem. Myśląc o tym wszystkim, czuł wyraźną ulgę i nabierał przekonania, że jednak dokonał słusznego wyboru, najlepszego wyboru, a co najważniejsze, dokonał wyboru i zaczął go realizować. Był już przecież w połowie drogi! Gdyby ta wycieczka okazała się sukcesem (znowu przyspieszał, mijając z daleka port lotniczy O'Hare, napawając się czystą przyjemnością jazdy), gdyby pobyt w Chicago był udany, być może oznaczałoby to gotowość do wyprawy na Hawaje.

O trzynastej trzydzieści kwadrat cztery na cztery metry był już ogołocoony z kukurydzy, ubity, zwilżony i przysypany warstwą pomarańczowego piasku, niczym maleńka namiastka plaży w technicolorze, rzucona między pola uprawne. Dwaj synowie farmera, w grubych, roboczych rękawicach, znosili na pole całe naręczna chrustu i układali je na piasku w wielkie, kolczaste ognisko, sięgające wyżej niż najdłuższe pędy kukurydzy.

Irene zdołała jakimś cudem znaleźć dwóch chętnych do kopania rowu. Przyjechali półcięzarówką. Jeden był wysoki (Mike), a drugi niski (Ed), ale obaj mieli smutne, obwisłe twarze będące wzorcowym przykładem zgubnego wpływu nadmiaru słońca na ludzką skórę. Kiedy wysiadali z wozu z łopatami w dłoniach, Thomas pochylił się w stronę Irene, która stała obok mnie.

— Wyglądają trochę... — powiedział, poruszając dłonią w wieloznacznym sposób.

Skinęła głową, nie spuszczać z nich oka.

— Jestem zaskoczona — odpowiedziała. — Ten, z którym rozmawiałam, brzmiał...

— Upał. Nie chcemy przecież...

— Nie mogłam zgadnąć.

— Głosy — zgodził się Thomas.

— Przepraszam — wtrąciłam — czy to prawdziwa rozmowa? Wy naprawdę rozumiecie się nawzajem?

Oboje spojrzeli na mnie jakby ze strachem.

— Mówiliśmy właśnie, że robotnicy są starsi, niż się spodziewaliśmy — odpowiedziała Irene, rumieniąc się nieco.

Ale Mike i Ed byli gotowi do pracy i potrzebowali jej — dla pieniędzy, rzecz jasna, ale i dlatego, że praca zwalniała ich z popołudnia na kursie komputerowym, na który byli zmuszeni uczęszczać po tym, jak banki przejęły ich farmy. Uczyli się więc, jak otworzyć plik, napisać list czy stworzyć wykres. Brali lekcje, by zadowolić swe przerażone, zrzedliwe żony, które oczekiwały, że ich mężowie w wieku lat pięćdziesięciu ośmiu i sześćdziesięciu jeden odkryją siebie na nowo i staną się menedżerami średniego szczebla. Dowiedziałam się tego, słuchając ich rozmów, kiedy czekałam na Irene i naszego grand ama (którym pojechała po lunch), żeby schronić się w klimatyzowanym wnętrzu. Thomas stał obok mnie, patrząc na tłuste bębny wylewające się zza pasków kopaczy i krzywiąc się z powodu świszczących odgłosów, które



wydobywały się z ich płuc (obaj byli palaczami, sądząc po charakterystycznych kształtach paczek schowanych w kieszeniach na piersiach).

— Jak idzie, koledzy? — spytał z troską. — Dobrze się czujecie? Może zrobicie sobie przerwę? Jest dość gorąco... — Ale Mike i Ed czuli się świetnie. Ziemia osypywała się z ich łopat, a pot rozlewał się szeroko po egzotycznych dorzeczach ich twarzy.

Irene wróciła z kanapkami, napojami i sałatką ziemniaczaną. Rozłożyła to wszystko pod otwartą klapą furgonetki filmowców. Zaimprovizowany bufet i gromadka gapiów, która zebrała się w pobliżu (złożona z przyjaciół farmera i jego dzieci), sprawiły, że nasza mała inscenizacja nabrała cech prawdziwego planu filmowego. Kiedy siedzieliśmy po turecku na skraju pola, pożywiając się niespiesznie, samochód Grace zjechał z międzystanowej i zakolysał się na dziurawej gruntówce, wzbijając tumany kurzu. Zatrzymał się w połowie drogi, by wypuścić Pammy i Allison oraz jej nowego chłopaka, młodzieńca, którego zniewalająca uroda wprawiła nas na moment w osłupienie.

— Do licha, kim jest ten mały? — spytał mnie Thomas, omal nie udławiwszy się kęsem kanapki z tuńczykiem.

— Nie mam pojęcia — odparłam. — Jakiś tutejszy. Podobno spędza całe godziny, gadając przez telefon z moją siostrzenicą.

— Ale twarz! — emocjonował się Thomas. — Spójrz na niego, przecież to gwiazdor! Spójrz na tę twarz!

Młodzież wolno pięła się pod górę; chłopak miał na sobie takie same workowate spodnie, jakie widziałam na nowojorskich dzieciakach, pod pachą zaś dźwigał deskorolkę. Z perwersyjną satysfakcją czekałam na to, co, jak przewidywałam, miało zaraz nastąpić.

— Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby ten chłopak dla nas pracował — mruknął Thomas.

— Nie bardzo wiem jaki.

Ale Thomasa już nie było; wydawszy jedzenie na pastwę wszędobylskiego kurzu, pędził już w stronę Irene, która siedząc w samochodzie i rozmawiając przez telefon komórkowy, konsumowała właśnie kanapkę, z bekonem, sałatą i pomidorem. Pomyślałam, że spełnianie jego życzeń stało się chyba jej specjalnością.

Wstałam, żeby przywitać się z dzieciakami. Ze wzruszającą powagą Allison przedstawiła mnie chłopakowi, który, jak się dowiedziałam, miał na imię Ricky. Uśmiechnął się, kiedy uścisnęłam jego szczupłą dłoń — a uśmiech miał uroczy; uwodzicielski — lecz zaraz się wycofał, chowając uczucia we wnętrzu origami nastoletniej skrytości. Miał oliwkową cerę, szeroko rozstawione, ciemne, lecz błyszczące oczy i białe zęby za szerokimi, filuternie uśmiechniętymi wargami. Jego wyjątkowość nie była jedynie pochodną cech zewnętrznych; było w nim coś jeszcze, coś nieuchwytnego. W samym środku oceanu kukurydzy pojawiła się nagle kropla piękna. Wbrew rozsądkowi nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że jest to jeden z wielu cudów, które naznaczą życie tego chłopaka. Oddalił się w towarzystwie dziewcząt, a potem wskoczył na deskę i po chwili był już w powietrzu. Usiłował wykonać skomplikowaną akrobację, ale wylądował w piachu, na kolanach, prezentując dumny uśmiech jak sztandar.

Wróciłam do grand ama i znowu zaczęłam czytać.

53

Jechaliśmy — właściwie to ja jechałam — przez cały następny dzień, od czasu do czasu zatrzymując się na posiłki. Co ciekawe, nigdy u McDonalda — Z nie chciał.

Mijały godziny i byłam coraz bardziej zmęczona. Potem jeszcze bardziej. A potem wpadłam w stan graniczący z katatonią. Mimo to, z jakiejś przyczyny nie chciałam się zatrzymać. Podobał mi się nastrój oczekiwania. Niecierpliwość iskrzyła między nami przez całą Pensylwanię.

Godzinę po minięciu granicy Ohio wreszcie zatrzymaliśmy się w przydrożnym motelu. Zasnęliśmy w słabym, zakurzonym świetle dnia.

Ocknęłam się trzy godziny później. Obróciłam się na bok i długo obserwowałam śpiącego Z. Jego surową, mizerną twarz.

— Kim jesteś? — szepnęłam. — Kim jest Z?

Świat wydawał mi się zupełnie normalny. Długa autostrada. Ciężarówki przelatujące z rykiem opodal motelu. Strzępy głosów z parkingu tuż za naszym oknem. Płacz dziecka. Warkot startującego silnika. „Kochanie, czy Ponzy, laleczka Angie, leży na tylnym siedzeniu?” Tup, tup, tup.

Nie widziałam tych ludzi. Tylko błyski i cień ręki za zasłoną. Po kilku minutach odjechali. Zajęli się przeżywaniem własnego życia.

Uśmiechnęłam się.

A potem obudził się Z. Drgnął spazmatycznie i obrzucił cztery ściany niespokojnym spojrzeniem.

— Hej — powiedziałam. — Już dobrze — dodałam, dotykając jego ramienia.

Spojrzał na moją twarz. Przez moją twarz. Potem zerwał się z łóżka i stanął nago na środku pokoju. Szczupły i wyprężony. Na środku taniego, szaroburego pokoju.

— Hej — powtórzyłam. — Wyluzuj się.

Moose wjeżdżał do Chicago niechętnie, czując, że napięcie przyjemności z prowadzenia samochodu wyraźnie spada. Gdybyż ta droga była trochę dłuższa! Zastanawiał się nawet, czy nie zostać na I-90, ale choć myśl o dalszej jeździe była niezwykle kusząca, wielkim niepokojem nappełniała go perspektywa podróży bez wyraźnie określonego celu. Dlatego też skręcił z drogi międzystanowej na Belmont i wkrótce znalazł się na boleśnie znajomych przedmieściach Chicago. Otoczył go tłum przyjaciół, których nie widział od lat: płaskie, wapienne budynki podobne do żółtawych zamków, estakady na żelaznych konstrukcjach i czarnoskóre dzieciaki na ulicach — Chicago!

I wreszcie jezioro! Poczuł ukłucie w sercu, widząc bezmiar pięknych, uśmiechniętych wód, otoczonych wieńcem najbardziej niezwykłych wysokościowców, jakie znał. Jedne były długie i chude jak kręgosłupy, inne lśniły chłodem za szaro-błękitnym szkłem w stylu Bauhausu. Moose pojechał na południe, przez Lake Shore Drive, kiwając się w takt *Miss You Stonesów*, pełen zaangażowania, świadom celu — Jezu, ta muzyka rozgrzewała go jak podmuch z uchylonego piecyka.

— Ah ah ah ah ahahah. Ah ah ah ah ahahah — zawodził, wtórując Mickowi.

Była piętnasta; na jeziorze roiło się od łodzi.

Skręcił w Michigan Avenue i minął starą, żółtą wieżę ciśnień, która przetrwała pożar z tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku. Czuł narastającą niecierpliwłość, zbliżając się do Chicago River — ponurego szlaku wodnego, którego ujście w dawnych czasach wiecznie pogłębiano, usuwając szybko osadzający się piach; do rzeki, która każdej wiosny zalewała miasto, póki ulice Chicago nie zostały podniesione o dobre cztery metry powyżej pierwotnego poziomu. Wreszcie zobaczył stare linie kolejowe i stację, na której wybudowano pierwsze elewatory zbożowe. Moose czuł się uskrzydłony trudnym do zniesienia podnieceniem, które odczuwał na myśl o całym dniu spędzonym wśród tych reliktyw; o nurzaniu się w ich przebrzmiałym blasku. Kiedy jednak zbliżył się do srebrzystej bryły Klubu Uniwersyteckiego, w którym starszawi kelnerzy przepracowali ponad połowę życia, kiedy myślą był już przy malinach i poddaszach z widokiem na rzekę, urządzonych w dawnych rzeźniach i pakowniach mięsa, nagle, bez ostrzeżenia, poczuł się totalnie wyczerpany, jakby widział to wszystko zbyt wiele razy. Koleje, maliny... Dość.

Kiedy jechał nad nurtem Chicago River, koła bębniły o metalowe płyty. Kolumna zielonkawej wody, potem stare drapacze chmur, Wrigley Building i Tribune Tower, a później już zjazd w cienistą, mroczną ulicę ku Instytutowi Sztuki. Skręcił nagle w lewo, do Parku Granta. Coś się zmieniło w jego dobrym dotąd nastroju; osunęło się, ale nie padło. Nie chodziło o zimny nurt myśli, ale raczej o zmęczenie na widok gorączkowej aktywności bywalców parku: wyrój kocyków

piknikowych, dzieci, trawa, Buckingham Fountain z trąbami rzygającymi wodą... Jezu, zabierz mnie stąd, pomyślał Moose i znowu zjechał na Lake Shore Drive. Tym razem pojechał na północ, w stronę, z której przybył. Umykał z okolic, które zaledwie o kilka minut wcześniej witał triumfalnie.

Lodowaty prąd myśli owinał mackę wokół jego kostki i Moose gwałtownie przyspieszył, żeby uciec od niego. Czuł, że musi wreszcie wysiąść z samochodu. Mógł zatrzymać się przy Fullerton Beach. Znowu skoczył pamięcią w przeszłość, do swych mniej więcej dwudziestu wizyt na Fullerton Beach, i wspomnienie plaży zaatakowało go lawą pojedynczych obrazów: hot dogi, koktajle mleczne, brudny piasek pełen niedopałków, krzyki dzieci... wszystko, o czym celowo zapominał. Wyobraził sobie, że jedzie po Lake Shore Drive na zachód, do Starego Miasta. W tym momencie poczuł na sobie atak kolejnej skompresowanej antologii zdarzeń: palący się węgiel, bluszcz na murze, śmiech dziewcząt, słodycze... Wszystko zniknęło, ale pozostał ślad. Jak siniak na chrząszczy u Kafki. Każda drobina wspomnień rozwijała się w ciele Moose'a, uwalniając ładunek wspomnień o rzeczach straconych...

— Nie straconych! Zyskanych! — zagrzmiął na cały głos, lecz zaraz potem, dzięki Bogu, zapomniał o tym dylemacie (stracone czy zyskane?), bo zbliżał się do przystani jachtowej w Belmont. Tak, to było odpowiednie miejsce. Moose wprowadził wóz na parking i z ulgą uwolnił się z pasów, które, jak mu się zdawało, służyły tylko temu, by ostre pociski pamięci łatwiej mogły w niego trafić, przebić ciało i porozrywać je szrapnelami głupiej, niebezpiecznej nostalgii.

Tak bardzo cieszył się odzyskaną wolnością, że nawet nie zamknął kluczykiem drzwi.

Być może jednak spacer po przystani w Belmont, w stronę pała z totemami, nie był najlepszym lekarstwem na otrząśnięcie się ze wspomnień. Ciężkie korony drzew, ich zapach, kolor farby na placu zabaw, szum wiatru nad jeziorem — wszystko to przeniosło go wprost w dzieciństwo, w czas eskapad z ojcem, na które czekał zawsze z takim utęsknieniem. Jego ojciec był cichym, kulturalnym człowiekiem, jednym z tych, którzy liczą wydaną im resztę, by przypadkiem nie dostać za dużo. Miał dłonie jak rękawice łapacza, wielkie, miękkie i ciepłe. Lecz oto stało się coś dziwnego — dłonie Moose'a urosły, osiągając groteskowe rozmiary, a prowadzony przez ojca za rękę mały chłopiec, którym był jeszcze przed chwilą, zniknął bez śladu, pochłonięty przez swą nową, starszą, terazniejszą osobowość. Wspomnienie było jednak tak silne, że Moose miał wrażenie, że idą teraz razem, ramię przy ramieniu, Moose i mały Moose, mijając lśniące, białe kadłuby z włókien węglowych, i że trzyma dłoń chłopca w swoim wielkim, niezgrabnym łapsku.

— Chodźmy nad wodę, popatrzymy sobie na jezioro — powiedział na głos do tego chłopca, chcąc sprawić mu przyjemność. — Tędy — dodał łagodnie i zachęcająco, kiedy ruszyli. Obeszli przystań, minęli totem, wspięli się na wzgórze, rezerwat ptaków, i wreszcie stanęli nad brzegiem jeziora — wielkiego, połyskującego bezmiaru wód, które w słońcu wyglądały mlecznie i tropikalnie, w cieniu chmur nabierały szaro-zielonkawej barwy, podczas burzy zaś stawały się purpurowo-czarne. Moose mógł wreszcie zrobić to, za czym tak bardzo tęsknił: przysiadł na betonowym falochronie, z małym chłopcem u boku; z tym nieposłusznym, szczęśliwym, ślepym chłopcem zapatrzonym w iskry igrające na powierzchni jeziora i zasluchanym w cykanie szarańczy, której nie było, która została gdzieś na polach kukurydzy. Moose słuchał dziwnych dźwięków i obserwował amebokształtne figury wymachujące mackami wysoko na niebie, w pełni zdając sobie sprawę z faktu, że fenomeny te są halucynacjami wywołanymi przez silne emocje, które ogarnęły jego umysł. Śledził je uważnie między innymi po to, by nie musiał patrzeć na Moose'a-chłopca, który zerkał na niego ukradkiem. Czuł na sobie coraz bardziej natarczywe spojrzenia, które mógłby uznać za niegrzeczne, gdyby nie miał do czynienia z dzieckiem. Starał się nie odwzajemniać ich jak najdłużej, bo wiedział, że zawierały w sobie pytanie, na które mógłby odpowiedzieć tylko za cenę niewyobrażalnego wydatku energii (a teraz był przecież taki zmęczony), choć i to wcale nie było pewne: co się z nim właściwie stało?

O piętnastej trzydzieści ekipa zaczęła testować generator deszczu, który natychmiast popsuł się w efektowny sposób, posyłając tysiące strumieni wody w stronę kamery, ludzi, sprzętu akustycznego, widzów, resztek lunchu oraz Thomasa, który sekundę później zaczął wrzeszczeć do telefonu komórkowego:

— Co za gówno mi tu przysłaliście! — krzyczał takim głosem, jakby zaraz miał się rozplakać. — Zamoczyło mi... Co? Czym mam majstrować?... Słuchaj no, kolego, ja nie jestem mechanikiem! Potrzebny mi deszcz! Bez deszczu będę dokładnie udu...

Irene trąciła go w ramię i wskazała na niebo, gdzie zaczynały się zbierać małe, szarawe chmurki. Thomas skinął głową.

— Niby co?... Dobra. Dobra. A gdyby tak naprawdę zaczęło padać? Moglibyśmy kręcić tym sprzętem, prawda?... Nie?... Nawet z... Nie? W porządku... — Thomas spojrział na twarze filmowców, którzy zebrali się wokół niego. — W takim razie lepiej wymyślcie, jak sprowadzić lepszy generator deszczu na plan, bo...

Urwał w pół zdania. Donny dawał mu jakieś sygnały, ale gąszcz ozdób na jego twarzy sprawiał, że trudno było je zrozumieć.

— Bo... — odezwał się Thomas i znowu umilkł. Wszyscy milczeliśmy, czekając na dalszy ciąg. — Zadzwoń jeszcze — rzucił w końcu i zamknął kłapkę telefonu. — Czego? — Warknął w stronę inżyniera dźwięku.

Donny spojrział w niebo.

— Szykuje się cholerna burza — stwierdził z odrobiną nadziei w głosie.

— Tak, ale jeśli wierzyć waszemu szefowi, nie możemy... chyba że... — Thomas przekrzywił głowę z nagłym zainteresowaniem.

— Pieprzyć szefa — odparł Donny, błyskając metalem na języku. — Kręcmy w deszczu.

Dwaj pozostali natychmiast go poparli.

— Słusznie. Kręcmy, kurde, w deszczu — mamrotali. Teraz wreszcie niespokojny duch trzech podstarzałych buntowników, nakazujący im burzenie starych hierarchii i szukanie nowych dróg w życiu, doszedł do głosu i rozwinął skrzydła. Uczucie ulgi omal nie zważyło Thomasa z nóg.

— Danny, teraz ty tu jesteś szefem — oznajmił. — Powiedz tylko, czego ci trzeba.

I Danny poczuł się szefem. Wraz z pozostałymi — nawet z bezimiennymi asystentami — zabrał się do roboty, wydając rozkazy i krzając się w tempie, które poddawało w wątpliwość dotychczasowy nihilizm całej ekipy. Irene skrupulatnie notowała hasła rzucane przez filmowców: plandeki, paliki, parasole, przezroczysta folia. Wysławszy ochotników po zakupy, Thomas dołączył do ekipy wycierającej sprzęt. Potem połknął trzy tabletki advilu, popił doktorem pepperem i podszedł do Irene stojącej nad wąskim rowem, w którym wciąż jeszcze pracowali Mike i Ed. Mężczyźni już nie rozmawiali; słychać było tylko ciche skrzywienie łopat wbijanych w grunt i cichy brzęk zrzucanego na ziemię piachu. Thomas pochylił się nad Irene.

— Jeżeli nie...

— Wiem, wiem — przerwała mu i uśmiechnęła się. — Myślałam o tym samym.

O czwartej zebraliśmy się wokół grand ama, żeby porozmawiać o scenariuszu. Maski wozu posłużyła nam jako stół. Allison, Pammy i Ricky stanęli na granicy strefy słyszalności, gapiąc się na horyzont i podsłuchując nas z doskonale udawaną obojętnością.

— Posłuchajcie wszyscy — zaczął Thomas, przyglądając się paru stronom, na których Irene rozpisała całą akcję. — Oto, co się dzieje, zanim włączymy kamerę: Charlotte traci panowanie nad kierownicą na drodze międzystanowej. Samochód leci, koziołkuje i ląduje na tym polu kukurydzy — mówił, wskazując ręką na stos gałęzi, przy którym stał Greg,

wymachując wytatuowanymi ramionami. — Wóz staje w płomieniach. Charlotte wysiada... — Thomas urwał i spojrzał na Irene. — Chwileczkę, w jaki sposób wysiadła z płonącego samochodu?

— Dobry samarytanin — odpowiedziała Irene. Thomas zmarszczył brwi.

— Dobry...?

— Ktoś wyciągnął ją z wozu. Nie wie, kto to był. Wszystko jest tu napisane — dodała, stukając go skryptem po głowie. — Nie odrobiłeś lekcji.

Patrzyłam na nią jak urzeczona. Gest, którego byłam świadkiem, sprawił mnie w chwilowe osłupienie, bez wątpienia bowiem należał do ogromnego drzewa zachowań ludzkich zwanych ogólnie flirtem. Nie, pomyślałam. To niemożliwe.

— Thomas? — odezwałam się, ale on mnie nie słuchał.

— W porządku, niech będzie dobry samarytanin. W takim razie potrzebujemy jeszcze jednego aktora! — powiedział i uśmiechnął się szeroko, nie najlepiej udając, że szuka kandydata wśród stojących najbliżej osób. — Hej, może ty? — zawołał w stronę Ricky'ego, który stał na deskorolce, unieruchomionej piachem i drobnymi kamykami. — Chcesz wystąpić w filmie?

— Thomas — powtórzyłam.

— Jako kto? — Chłopak był ostrożny; jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Thomas podszedł do grupki nastolatków.

— Mógłbyś pomóc Charlotte przebiec z samochodu, który na niby leży tam, gdzie widzisz gościa z tatuażami, przez pole kukurydzy — ciągnął, wskazując na rów kopany przez Mike'a i Eda — aż do kamery, przy której stoi Danny. Tego, co zrobiłeś wcześniej, nie zobaczymy na filmie: wyciągnąłeś Charlotte z płonącego wraku, ratując jej życie. A to oznacza, że jesteś bohaterem. Zagrasz bohatera.

— Subtelne — mruknął chłopak, uśmiechając się skromnie.

— Hop-hop! — zawołałam, machając rękami. — Thomas!

— Char — odpowiedział. Wreszcie zwrócił na mnie uwagę. Na jego twarzy malowało się uczucie błęgiego zadowolenia. Miał go. Piękny chłopak należał do niego.

— Nie chciałabym zanudzać cię szczegółami — powiedziałam — ale w jaki sposób mam biec po polu kukurydzy, kiedy jestem zupełnie nieprzytomna?

— A gdzie jest napisane, że jesteś nieprzytomna?

— Nie obchodzi mnie, gdzie to jest napisane — odparłam. — Mówię ci, że tak było. Straciłam świadomość.

Irene zaczęła wyjaśniać, ale Thomas tylko uniósł palec do góry, po czym obszedł grand ama, by stanąć przy mnie. Objął mnie ramieniem i odeszliśmy drogą, zostawiając towarzystwo.

— Char — odezwał się, gdy byliśmy sami — gdybym mógł napisać historię na nowo, gdybym mógł cofnąć czas, ustawiłbym nas z kamerą, światłami i mikrofonami właśnie tu, żeby sfilmować moment, kiedy lądowałaś na tym polu. Bez wątpienia byłoby to o tysiąc procent lepsze rozwiązanie, byłoby bowiem prawdziwe.

Bez słowa wyobraziłam sobie tę dziwną sytuację.

— Fakty jednak są takie, że nas tu nie było — kontynuował z lekka przepraszającym tonem, jakby przyrzekł mi wykonanie jakiejś roboty i nie dotrzymał słowa. — Dlatego próbujemy retrospekcji; staramy się wydobyć esencję tego, co naprawdę się zdarzyło. Jaki mamy materiał wyjściowy? Po pierwsze wypadek, który tylko ty widziałaś i tylko ty pamiętasz, choć szczerze mówiąc, nie pamiętasz zbyt wiele...

— Ponieważ byłam nieprzytomna. — Nie mogłam sobie odmówić tej uwagi.



— Świetnie. Byłaś nieprzytomna. Po drugie — ciągnął, licząc na palcach — mamy możliwość stworzenia tego wypadku na nowo, poprawienia go, jeśli to w ogóle możliwe. Nie chodzi o to, że pierwowzór był zły — dodał zaraz, unosząc rękę, jakby bronił się przed taką sugestią. Opuścił je wprost na moje ramiona. Jego twarz była tak blisko, że wyczuwałam doktora peppera w jego oddechu. — Co próbuję ci powiedzieć? Otóż próbuję ci powiedzieć, Char, że powinnaś zapomnieć o tym, co zaszło. Ważne jest to, co stanie się tutaj i co jeszcze się nie zaczęło! Możemy sprawić, że stanie się tak, jak sobie tego życzymy! — Jego oczy płonęły ewangelizacyjną gorliwością. — A dla naszych celów, jak sądzę, nieskończenie bardziej dramatyczna będzie sytuacja, w której pobiegiesz przez pole kukurydzy z tym zabójczo przystojnym łebkiem. Jako twój agent i menedżer oraz jako producent i reżyser tego przedsięwzięcia radzę ci, żebyś przyjęła mój punkt widzenia. Nie sądzisz, że wyrażam się sensownie?

Jak mogłam odpowiedzieć? Thomas zawsze wyrażał się sensownie.

— Tak.

— W porządku — mruknął, klepiąc mnie po plecach w trenerskim stylu, gdy wracaliśmy do grand ama. Jak się okazało, trwała tam już nowa dyskusja.

— Ricky chce, żeby jego siostra zagrała dobrego samarytanina — oznajmiła Irene ze słodyczą, która zdradzała jej lek przed reakcją Thomasa.

— Jaka siostra?

— Ma siedemnaście lat — dodał Ricky. — No, nie wiem, ale zdaje mi się, że ona pasuje tu lepiej niż ja.

Thomas wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, nie wierząc, że chłopak o takim potencjale wymyka mu się z rąk. Wyglądał na totalnie zagubionego. Ricky próbował mu tłumaczyć.

— Jest taką osobą, która mogłaby uratować czyjeś życie, rozumie pan? Ona naprawdę zrobiłaby coś takiego.

Moim zdaniem powiedział to w uroczy sposób. Kocha swoją siostrę, pomyślałam.

— Dobra, gdzie ją znajdziemy? — Thomas westchnął ciężko i półgłosem zwrócił się do Irene: — Módlmy się, żeby była podobna do niego.

— Jest w pracy — odparł Ricky. — W TCBY. Nie znam numeru telefonu.

— Pestka — mruknął Thomas. — Lokale tej sieci są tylko na każdym rogu.

— W pasażu Highcrest — dodał posepnie Ricky.

Irene zadzwoniła do Informacji, zapisała numer i podała go Thomasowi wraz z telefonem.

— Imię? — spytał Thomas, naciskając klawisze.

— Charlotte.

— Mówię o twojej siostrze — sprecyzował niecierpliwie Thomas.

— Charlotte. Moja siostra ma na imię Charlotte.

Thomas wyłączył telefon. Przez moment stał ze zwieszoną głową, a kiedy znowu ją unióś, na jego twarzy nie było już gniewu czy rozczarowania, a jedynie zachwyty, który upodabniał go do szczęśliwego sześciolatka.

— Twoja siostra... ma na imię Charlotte?

— Ding, ding, ding.

Thomas promieniał. Jego uśmiech był jak słońce wyłaniające się zza rozsuniętych nagle zasłon i mogłam mu jedynie zawtórować, choć na co dzień gardziłam tym człowiekiem, przeklinałam dzień, w którym skrzyżowały się nasze ścieżki, a nawet (chwilami) życzyłam mu rychłej śmierci.

Thomas dotknął dwoma palcami do ust, a potem unióś je ku niebu.

— *Kismet\** — powiedział.

\* *Kismet* — (tureckie) przeznaczenie.

Moose nawet nie zauważył, kiedy popołudniowe niebo przestało być niebieskie i napuchło chmurami, które najwyraźniej zwiastowały deszcz. Jak długo tu siedział? Nie był pewien, jako że wpadł w swoisty trans, wpatrując się w bezkresne wody jeziora Michigan. Kiedy siadał na brzegu, miały jasny odcień akwamaryny. Teraz były dziwne, szarobrazowe, dokładnie takie, jak na dziewiętnastowiecznych obrazach przedstawiających bitwy morskie. Moose udawał, że z uwagą studiuje zmiany w wyglądzie jeziora, tak jak mógłby udawać wesołość, pogwizdując podczas spaceru po Chicago, a robił to tylko dlatego, by ukryć przed samym sobą bliskość niebezpieczeństwa. Wyczuwał w pobliżu, w ukryciu, groźną obecność, której ogromnych i przerażających kształtów nie mógł już ignorować. Odwrócił się wreszcie, powoli i nonszalancko, jakby chciał tylko spojrzeć na park i dalekie korty tenisowe, z których dobiegał stłumiony stukot piłek. Nikogo za nim nie było. Ani w pobliżu. Był sam, jeśli nie liczyć odległych sylwetek biegaczy i pary czekoladowych labradorów kłusujących po trawie. Był sam. Co właściwie tutaj robił?

Wstał bardzo wolno, jak gdyby przed chwilą ocknął się z drzemki. Każdym ruchem starał się maskować to, co naprawdę działo się w jego wnętrzu: niepowstrzymany atak strachu na myśl o tym, że znalazł się sam w Chicago, tak daleko od domu! W jaki sposób mógł wrócić? Dystans między miejscem, w którym się znajdował, a zamkniętym w wąskich ramach światem codziennego życia wydawał mu się niepojęty. Nie czuł już lekkości, która towarzyszyła spontanicznie podjętej decyzji o samotnej wyprawie. Zaczął iść wolno — boleśnie wolno — w stronę samochodu, obserwując posiniaczone i opuchnięte niebo, które zdawało się balansować na granicy gwałtownej erupcji. Z przerażeniem myślał o tym, że jest sam, zupełnie sam, i nikt nawet nie wie, że się tu znalazł! Wszędzie dokoła, nawet w szklanych wieżowcach na brzegu jeziora, znajdowały się legiony obcych ludzi, których nawet nie widział. Był sam, ponieważ jego wizja oddzieliła go od nich i zmieniła go wewnętrznie tak bardzo, że nawet dziecko, którym kiedyś był, mały chłopiec, który dołączył do niego w tym dniu spędzonym nad jeziorem, już go nie rozpoznawał.

Teraz dopiero, mijając kołyszące się na coraz silniejszym wietrze jachty i dochodząc do samochodu, Moose pozwolił sobie po raz pierwszy powrócić myślą do bolesnej dezercji siostrzenicy. „Nie chcę być taka jak ty!” — powiedziała mu wtedy. „Chcę być taka jak wszyscy!” I jeszcze coś gorszego, czego nie pamiętał dokładnie dzięki litościwej niepamięci: że wolałaby umrzeć, niż żyć tak jak on. Znaczenie tych słów docierało do niego dopiero teraz, gdy zataczał się pod naporem wspomnień.

Samochód... samochód... Pokuśtykał w jego stronę i opadł ciężko za kierownicę. Ruszył po chwili, ale jazda nie dawała mu już takiej ulgi jak wcześniej tego dnia. Nowa myśl przyszła mu do głowy, gdy włączał się do ruchu na Lake Shore Drive wraz z setkami plażowiczów uciekających przed zbliżającą się burzą. Niepokojąca myśl: wsiadając do auta, zamierzał pojechać do Klubu Uniwersyteckiego na lunch — tak jak niegdyś robił to z ojcem — ale nie był w stanie tego dokonać. Z ledwością dotarł do Chicago i zdołał jedynie z trudem zakończyć podróż na brzegu jeziora. Zresztą nie, nie z trudem; przyszło mu to dość łatwo, za to teraz żałował, że to zrobił, bo kosztowało go to zbyt wiele. Coraz trudniej było mu wykonywać najprostsze zadania. Czy kiedykolwiek jeszcze miał ubrać się w garnitur i zjeść porcję malin ze srebrnej miseczki? Dlaczego wydawało mu się to nierealnym życzeniem?

Odpowiedź tkwiła w jego wizji: nie taki człowiek jak Moose radził sobie najlepiej w tym nowym świecie, ale socjopata, który każdego popołudnia był kimś innym, dla którego kłamstwo było ledwie środkiem perswazji. I właśnie tacy w coraz większym stopniu panowali nad światem; istoty z żywego srebra, minotaury nie zrodzone ani z historii, ani z natury, lecz złożone na wzór prototypu. Stworzenia, które traktowały ludzkie istoty mniej więcej tak, jak ubranie szyte maszynowo mogłoby traktować swych ręcznie tkanych antenatów. Nowy świat złożony z obwodów był światem bez

historii, kontekstu i sensu, a ponieważ jesteśmy tym, co widzimy — jesteśmy tym, co widzimy — świat taki z pewnością skazany był na zagładę.

Moose podążał na zachód, w stronę drogi I-90, zmuszając się do powolnej, bardzo powolnej jazdy, choć rozpaczliwie pragnął uciekać na oślep. Tylko wyuczona samokontrola pozwoliła mu powstrzymać panikę. Moose i jemu podobni nie byli częścią tej wspaniałej, lśniącej przyszłości, której nadejścia spodziewała się większość. Tacy jak on kryli się w jej załamaniach, w zacisznych szczelinach. Stało przed nimi wielkie zadanie: musieli ostrzegać ludzi bez dusz, zmontowanych z części tak, jak od stu lat składało się w fabrykach buty czy karabiny, że świat zamieszkały przez takie stwory nie ma szans na przetrwanie. Moose poniósł jednak porażkę: przez te wszystkie lata nie udało mu się uświadomić ani jednego człowieka; nie zdołał nikomu wyjaśnić, co takiego stało się w letnie popołudnie, gdy miał dwadzieścia trzy lata i wracał z domu rodziców Hanka Sternbergera w stanie Wisconsin. Nie najlepszy nastrój ciągnął się wtedy za nim od tygodni. Katalizatorem owej posępnej zadumy stała się turystyczna broszura o weneckich wyrobach ze szkła, którą przejrzał przypadkiem, oglądając u kogoś mecz. Dzięki czystemu szkłu, którego technologię wytwarzania dopracowano w Murano około roku tysiąc trzechsetnego, możliwe stało się skonstruowanie doskonalszych okien, okularów, luster, a z czasem także mikroskopów i teleskopów. Tych kilka prostych faktów, poznanych w dość przypadkowy sposób, zaważnęło wyobraźnię Moose'a. Narodziny dobrego widzenia i ludzkiej świadomości własnego wyglądu — oto źródła fenomenu, który w rozmaitych formach przetrwał aż do teraźniejszości. Tak powstał świat złożony z obrazów, ekranów, klatek, zbudowany i zamieszkały niejako od zewnątrz.

Owego dnia Moose jechał samotnie; gdyby było inaczej, zapewne nie zauważyłby czegoś zaskakującego na trawiastym pasie obok pobocza autostrady i nie zatrzymałby wozu. Zobaczył mianowicie sukę-kundelkę karmiącą kilka szczeniaków. Skąd się tam wzięła? Zjechał na pobocze w pobliżu psiej matki i jej kosmatego potomstwa, dyszących ciężko w wysokiej, nagrzonej słońcem trawie. A potem z jakiegoś powodu (tu w osobistej historii Moose'a ziała głęboka wyrwa), zamiast wrócić do wozu i kontynuować podróż, zamiast zabrać sukę i młode na tylne siedzenie i wypuścić je w bardziej gościnnej okolicy, Moose zostawił samochód na poboczu trasy międzystanowej (nie myśląc o bezpieczeństwie) i wdrapał się na porośniętą trawą skarpe, na której wspierał się wiadukt bocznej drogi krzyżującej się z autostradą. Nie wiedział, dlaczego to robi. Usiadł nieruchomo na szczycie i zaczął wpatrywać się w sznur mknących dołem samochodów, zahipnotyzowany ruchem, w którym uczestniczył jeszcze kilka minut wcześniej — zdehumanizowanym korowodem maszyn, któremu dotąd poddawał się bezmyślnie, na oślep. Mijały godziny; było ich tak wiele, że kiedy znowu spojrzął w stronę suki i młodych, już ich nie było. Położył się na plecach w trawie i pozwolił, by niebo przycisnęło jego twarz. Gdzieś daleko rozległ się gwizd pociągu. Moose zrozumiał nagle, że to już koniec: pociągi, fabryki, cały świat przedmiotów materialnych przestał istnieć, zastąpiony przez obrazy kłębiące się gdzieś w podziemnych przewodach (nie-mal słyszał ich żarłoczne ruchy). Egzystowały w łączach, które przestały już być łączami. Informacja krążyła swobodnie w samym powietrzu.

Wracając z Chicago, Moose jechał tak wolno, że sunące za nim auta zaczęły trąbić. Pierwsze, duże krople deszczu uderzyły o przednią szybę wozu. Jeszcze nie grzmiało. Jechał, lecz nie mógł się otrząsnąć z poczucia straty. Ale co właściwie stracił? Dawnego siebie — młodzieńca o prężnym ciele i wątlwym umyśle? Jasność widzenia, którą niegdyś posiadał? A może to stara, uśpiona część jego dwukomorowego umysłu próbowała mu przypomnieć te dni, kiedy kamienie, drzewa i pomniki przemawiały głosami bogów?

55

Wzięliśmy prysznic i wbiliśmy się na powrót w ubrania. Potem wyszliśmy z motelowego pokoju na pusty parking.

Zapadał zmierzch.

Godziny snu wyznaczyły kres poprzedniego dnia. Dnia, w którym wyprawa do Rockford w stanie Illinois wydawała mi się dobrym pomysłem. Może nawet rozsądnym pomysłem. Pomysłem choć odrobinę atrakcyjnym.

Napełniłam zbiornik bmw. W błękitną karoserię mojego pięknego wozu wprasowały się martwe owady, pył i ptasie gówno.

Poprzednio jechaliśmy w ciszy. Pełnej, brzemiennej, przesyconej wiatrem ciszy.

Ta, która zapanowała teraz, była pusta. Wzbudziła we mnie pilną potrzebę rozmowy: „droga”. „Znaki”. „Niebo”. „Jak było?” „Gdzie?” „Radio”. „Temperatura”. Wymuszona konwersacja zawieszona w pustce.

Z przysłuchiwał się moim wysiłkom, patrząc na mnie mętным wzrokiem. Z każdym słowem stawałam się coraz mniej podobna do osoby, za którą mnie brał.

Widziałam to doskonale. Mimo to nie mogłam przestać.

Czytałam, siedząc w grand amie z włączonym górnym światłem. Miałam przewrotną nadzieję, że akumulator jednak wysiadzie, zakłócając pracę maszyny, która rozpędzała się wokół mnie. Za każdym razem, gdy podnosiłam wzrok, widziałam ochotników powracających z gigantycznymi płachtami brezentu, które asystenci filmowców starali się przywiązywać do palików, spodziewając się deszczu. Burza była już tylko kwestią czasu; plandeki wybrzuszały się i łopotały na coraz mocniejszym wietrze, a chmury opadały wyraźnie, podobne do trójwymiarowych siniaków, popuszczając pojedyncze krople. Gdzieś nad horyzontem pojawiła się pierwsza błyskawica.

Wielobarwny łańcuch samochodów sięgał już zjazdu na autostradę. Widzów wciąż przybywało; gromadzili się tłumnie pod kwiecistymi parasolami, czekając, aż coś się wydarzy. Kiedy Thomas zapukał w szybę wozu i poprosił, żebym wypróbowała rów, gapie otoczyli mnie z wyraźnym zainteresowaniem. Zamknęłam za sobą drzwi i spacerkiem przeszłam się po płytkim wykopie. Teraz wreszcie zrozumiałam jego przeznaczenie: miałam znaleźć się metr pod powierzchnią ziemi, aby kukurydziany gąszcz górował nade mną tak, jak górowałby w sierpniu poprzedniego roku — gdybym wtedy była w stanie chodzić, rzecz jasna.

— Piękna robota — skomentował Thomas, zwracając się do Mike'a i Eda, kiedy wyszłam z rowu. — Gładko. Równiutko. Panowie, jesteście prawdziwymi profesjonalistami. — Kopacze skinęli uprzejmie w jego stronę, ćmiąc winstony, ale kiedy odwrócił się i odszedł, potrząsnęli głowami.

I wtedy pojawiła się dziewczyna. Charlotte.

Rozpoznałam ją natychmiast — wydawało mi się, że stało się to, zanim jeszcze ją zobaczyłam, jakby jakaś częśćka mnie pamiętała to imię albo twarz jej brata z fotografii w garderobie Ellen. Zatrzymała samochód u podnóża pagórka i szła ku nam zwawym krokiem. Jej wąska sylwetka odznaczała się wyraźnie na tle groźnego nieba. Już z daleka zauważyłam, że wyglądała inaczej. Nie miała okularów. Marzycielskość, którą zapamiętałam, jakoś się wypaliła. Pozostało tylko coś, co, jak się domyślałam, było dojrzałością, ale na pierwszy rzut oka bardziej przypominało smutek. Nikt nie zauważył jej przybycia. Kiedy rozejrzała się, szukając znajomych twarzy, jej wzrok przesunął się po mnie obojętnie. Nie poznała mnie. Naturalnie, pomyślałam. Przecież wtedy nie przypominałam nikogo — owinięta chustką, w ciemnych okularach i grubym makijażu maskującym siniaki. W duchu gratulowałam sobie, że udało mi się uniknąć identyfikacji, ale jednocześnie czułam gwałtowną potrzebę rozmowy z tą dziewczyną; przypomnienia jej o naszym poprzednim spotkaniu.

— Siostrzyczko! — zawołał Ricky. Podeszedł do Charlotte i zaprowadził ją do Thomasa, który korygował właśnie ustawienie kamery.

Widziałam twarz mojego chlebobawcy, kiedy odwracał się i patrzył na dziewczynę. Obserwowałam tytaniczny i daremny wysiłek, który włożył w ukrycie rozczarowania na widok przepaści dzielącej siostrę od brata. Skinął głową i uśmiechnął się lodowato. Stał przy mnie już po trzech sekundach (liczyłam!).

— Trzeba spławić dziewczynę — powiedział.

— Mnie się podoba.

— Nie będzie trudno — mruknął, myśląc na głos. — Powiem jej, że to musi być facet, bo trzeba będzie cię ponieść...

— Sądysz, że jej brat-chudzina mógłby mnie udźwignąć?

— Powiem jej...

— Sama przejechała kawał drogi i znalazła nas w szczerym polu.

Thomas przekrzywił głowę i spojrzał na mnie z ukosa.

— A ja przejechałem cholerny kawał drogi z Nowego Jorku — odparł z nieszczerym uśmiechem. — Wydaję pieniądze po to, żeby to ujęcie wyglądało jak najlepiej. I nie będzie w nim tej dziewczyny.

— Świetnie — odpowiedziałam. — W takim razie mnie też nie będzie.

Przez chwilę patrzył na mnie, nie rozumiejąc.

— Zatrudnij moją siostrzenicę — ciągnęłam. — Jest ładniejsza ode mnie. I znacznie młodsza. Mogłaby na koniec zakochać się w dobrym samarytaninie. — Miałam ochotę oddalić się w tym momencie, ale widok autentycznego strachu w oczach Thomasa był stanowczo zbyt przyjemny, bym mogła go sobie odmówić.

— Hej — jęknął pojednawczo. — Wiem, że oboje jesteśmy zmęczeni...

— Mówię poważnie. Rezygnuję — oświadczyłam twardo, czując rozkoszny powiew wolności. — To twój film, w porządku. Zrób go beze mnie.

Wiedziałam, że powinnam odejść, ale jakoś nie mogłam.

— Charlotte — powiedział. — Charlotte, Charlotte. — Znowu zaczął używać mojego pełnego imienia. To był krok naprzód. — Charlotte, jesteś dla nas wszystkim — mówił, biorąc moją dłoń w swoje ręce (gorące i wilgotne) i spoglądając mi głęboko w oczy. — Jesteś sednem sprawy. Jesteś warunkiem *sine qua non*. Bez ciebie to przedsięwzięcie nie ma sensu. Wszystko to — tu zatoczył ramieniem obszerny krąg, wskazując na niebo, kukurydze i publiczność — byłoby tylko pustką, gdyby nie ty. Jeżeli nie dałem ci tego odczuć wcześniej, jeśli nie wiedziałaś, jak ważna jest twoja obecność dla każdej minuty pracy nad tym projektem, to przyjmij moje przeprosiny. Naprawdę jest mi przykro. Być może jest to jedna z tych perwersyjnych stron ludzkiej natury, że przyjmujemy za naturalne to, co najbardziej cenimy.

Nie miałam pojęcia, skąd on brał takie teksty. Lecz choć słuchałam go nieufnie, z niedowierzaniem, czułam jednocześnie, że jego słowa wsączają się we mnie jak czarodziejska mikstura, zmieniając moją rebelię w kruche ciasteczko skargi. Stałam przed nim z nadąsaną miną.

— Chcę, żeby Charlotte zagrała dobrego samarytanina — powiedziałam.

Thomas z wysiłkiem przełknął ślinę i odwrócił głowę. Widziałam, jak trudno mu ustąpić — nawet teraz, gdy groźba mojej rezygnacji była tak realna. Był tyranem, cichutkim, wiecznie przepraszającym tyranem. — Będziemy o tym rozmawiać — odparł w końcu. — I obiecuje — dodał, unosząc dłoń — że ostatnie słowo będzie należało do ciebie.

Uśmiechnął się do mnie, a ja do niego.

— Już je słyszałeś — powiedziałam.

Moose jechał bardzo, bardzo wolno. Deszcz ustąpił, jakby chmury wessały go z powrotem. Pogoda na tornado, pomyślał, a potem zaczął się zastanawiać, czy chodziło mu o prawdziwe tornado, czy może o metaforyczne. Myśl ta wydała mu się niewinna — ot, chwila literacko-krytycznej spekulacji — ale przenikając przez jego umysł, pozostawiła



śląd: rozdarcie równie małe i niebezpieczne, jak drobna nieszczelność w skafandrze astronauty. W dziełach Szekspira burze z piorunami towarzyszyły zazwyczaj dramatycznym zwrotom ludzkich losów i były, rzecz jasna, metaforami. Moose znowu poczuł te nieprzyjemną, niemal namacalną obecność olbrzymiego cielska, które przesunęło się tak blisko niego, że zjeżyło mu włosy na głowie. Czy to był wieloryb? Czyżby powrócił po długiej, metaforycznej nieobecności? Moose sięgnął po notatnik. Szukał go w zgięciu fotela, ale nie znalazł. Wyjął czarny pisak i zanotował kilka słów wprost na nogawce spodni: „myśl, wrażenie, wieloryb, tornado”. Pisząc, zdał sobie sprawę, że uwiecznił hasła w odwrotnej kolejności — tornado było przecież pierwsze, to ono zapoczątkowało pierwotną myśl... O czym? O nie, już nie pamiętał. Samochód zatrzęsł się niebezpiecznie, ale pozostał na pasie, którym jechał, gdy Moose metaforycznie zaczął grzebać w pamięci (zapchanej metaforami), desperacko szukając zgubionej myśli. Wreszcie znalazł ją i chwycił mocno, jak linę. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to kłopotliwa lina, kłopotliwa myśl, ściągająca go w stronę wniosków, których wolałby nie poznawać, ale było już za późno. Trzymał się jej. Przyjęła postać pytania: jaki istniał dowód na to, że jego wizja sama w sobie nie była jedynie metaforą? Umysł Moose'a świszczał z wysiłku jak miech kowalski, pracując nad implikacjami tego pytania. Objawienie, na którego zrozumienie poświęcił całe dorosłe życie, mogło po prostu nie istnieć. Mogło być metaforą zrodzoną w duszy Moose'a, pomyłką, mutacją, wynikiem awarii mózgu. Mogło nie być przyczyną jego izolacji, w co głęboko wierzył, a jedynie jej wyrazem.

— Nie! — krzyknął Moose w stronę przedniej szyby. — Nie! Odrzucam tę wizję, tę antywizję! Odrzucam oskarżenie o solipsyzm, bo wiem, że mam rację. Wiem, że mam rację. Wiem, że mam rację! — Krzyczał ze wszystkich sił, toczył walkę z bestią, mocował się z istotą z mroźnych mórz, która była minotaurem, nie mówiąc już o tym, że prowadził w deszczu rozsypujące się kombi z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku. Był to nie lada wyczyn! Niestety, takiej kombinacji zająć Moose nie mógł kontynuować zbyt długo, zwłaszcza, że błyskawice, które widział na horyzoncie, zmierzały w jego kierunku.

Siedziałam na składanym krześle na polu kukurydzy, z dala od oczu widzów, wśród których była już zapewne setka nastolatków z Rockford i rój ich rodziców. Wszystkich ich przyciągnął tu boski znak: niezemska emanacja Hollywoodu. Siedziałam pod małym, brezentowym daszkiem, podtrzymywanym przez Ricky'ego i Charlotte. Deszcz bębnił od góry z rezerwą, która jakoś nie pasowała do potęgi tłustego, nisko zawieszzonego nieba. Na kolanach miałam skrypt, do którego zaglądałam sporadycznie w żółtawym świetle.

Pammy, która wcieliła się w rolę asystentki Allison, trzymała otwarte pismo „Seventeen” (dziewczęta miały w kolekcji wszystkie numery) w taki sposób, by jej siostra mogła wygodnie czytać. „Siedem prostych kroków do stworzenia krwawej miazgi”, przeczytałam ponad twarzyczkami dziewcząt, tak białymi i czystymi jak kragłe mydełko. Przed wielu laty jedna z takich twarzy należała do mnie. Moje siostrzenice rozpoczęły właśnie Krok Pierwszy, który polegał na narysowaniu falistych linii na moich kościach policzkowych za pomocą zestawu miękkich, purpurowych kredek.

— Słyszałem rozmowę ludzi z twojej szkoły — powiedział Ricky do siostry, ruchem głowy wskazując na gromadę widzów. — Mówią: Charlotte Hauser w filmie? Nie ma mowy; jak ona to zrobiła? I do mnie: Stary, jak to jest, że twoja siostra występuje w filmie? A ja na to: Spoko, ona ma swoje sposoby. Szczeny im poopadały.

Charlotte roześmiała się.

— To coś nowego — powiedziała.

Moje oczy zamykały się mimowolnie, kiedy Allison i Pammy masowały mi twarz miękkimi kredkami. Odetchnęłam z ulgą, kiedy Allison powiedziała wreszcie, jak setki wizażystów przed nią:

— Zamknij oczy.

Kiedy to zrobiłam, wydało mi się, że wszelkie dźwięki stały się nagle głośniejsze: bębnienie deszczu, szelest mokrych liści i daleki pogłos grzmotu.

— Donny, mógłbyś to trzymać wyżej? — Rozległ się krzyk Thomasa, który testował żuraw z mikrofonem. — Słyszę szum wiatru.

Wszystkie dźwięki rozprysły się nagle i zlały w jedno, jak głosy dzieci bawiących się na dalekim podwórzu. Zatonęły w mokrych, kukurydzianych liściach i spłynęły do kwaśnej ziemi o zwierzęcej woni. Poczułam swędzenie skóry na głowie.

60

Kiedy dotarliśmy do Chicago, mieliśmy za sobą ponad dwadzieścia cztery godziny jazdy. Bolał mnie kręgosłup. Oczy piekły. Samochód przesiąkł odorem naszych ciał.

Czułam się fatalnie, jakbym dochodziła do siebie po narkotykowym odlocie. Jakby kawałek po kawałku zdejmowano ze mnie błyszczącą powłokę.

Z wpatrywał się w ciemność. Wyczuwałam, że szukał drogi ucieczki. Oczywiście nie zobaczył niczego ciekawego. Mijaliśmy jedynie plastikowe tablice.

Allison skrapiała moją twarz sztuczną krwią, testując rozmaite gatunki. Jedna nazywała się „Krwawa kąpiel doktora Spooksa”, a inna „Upiorna posoka”, a jeszcze inna była autorską mieszanką według przepisu zamieszczonego w „Seventeen”, zalatującą masłem orzechowym.

— Która najlepsza? — spytała, zwracając się do pozostałych. — A może użyjemy wszystkich?

Ricky i moje siostrzenice pochyliłi się nade mną, z powagą marszcząc brwi.

— Jak myślisz, Char? — spytał chłopak, odwracając się w stronę siostry.

Dziewczyna stanęła przy nim i uważnie przyjrzała się mojej twarzy. Czułam jej wzrok tak dobrze, jakby moja skóra była prześcieradłem, które wygładzała dłońmi aż do ostatniej zmarszczki. Wyczułam w niej coś jeszcze: błysk zaskoczenia. Wiedziała, że mnie rozpoznała, ale nie odezwała się ani słowem na ten temat.

— Najlepsza jest ta z masłem orzechowym — oświadczyła. — Zdecydowanie. Ma najfajniejsze skrzepy.

— Widziałem twoje zdjęcie — powiedział Z. To były jego pierwsze słowa od wielu, wielu godzin. —

Dawno temu.

— Chyba nie tak dawno — odparłam z urazą. — Mam dopiero dwadzieścia osiem lat.

— Reklamowałaś coś — dodał. — Zdaje się, że kosmetyki.

— Możliwe.

— Zapamiętałem cię. A kiedy znowu cię zobaczyłem, przypomniałem sobie.

Próbował mi coś powiedzieć. Słuchałam bardzo uważnie i w myśli skrobałam każde jego słowo, szukając ukrytego znaczenia.

Zaczął padać deszcz.

— Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc — przyznał.

— I pomogę — odpowiedziałam. Poczułam coś w rodzaju podniecenia. — Chcę ci pomóc.

Z potrząsnął głową.

— Nie możesz. Rzecz w tym, że nawet nie wiesz, co robisz.

Obraził mnie.

— Nie wiesz — powtórzył, z niedowierzaniem kręcąc głową. — Nikt z was nie wie. To się dzieje bez planowania, jak deszcz. Jak ogień, którego nikt nie rozpałił.

— O czym ty mówisz? — spytałam. — Niby co się dzieje?

— Spisek.

To słowo zawisło w powietrzu, syczące i sprężyste. Moje podniecenie wzrosło. Czyżbym o tym nie wiedziała? Czyżbym nie wyczuwała spisku od samego początku? Był jak złota, błyszcząca sieć.

— Opowiedz mi o tym spisku — poprosiłam.

Obrócił głowę i spojrzał na mnie. Po raz pierwszy dostrzegłam w jego oczach coś żywego. Ból.

— To sen — powiedział.

Z twarzą ociekającą krwią, pożyczylam od małej Charlotte parasol i poszłam dnem wykopu w kierunku niebieskiego grand ama, który, jak zauważyłam pół godziny wcześniej, nadszedł od strony drogi międzystanowej. Halliday stał oparty o maskę, w spleśniałych dżinsach i czarnym T-shircie. Przyglądał się otoczeniu z niejakim rozbawieniem.

Skrzywił się, kiedy mnie zobaczył: zmasakrowaną postać wynurzającą się spomiędzy zielonych łądóg.

— Chryste — mruknął.

— Spokojnie — odpowiedziałam. — To głównie masło orzechowe.

Przebiegł palcem po moim policzku i powąchał „krew”.

— Zajechałem tu w drodze na lotnisko — powiedział. — Chciałem zobaczyć, co porabiasz.

— Skąd wiedziałeś, że jestem...? — Urwałam w połowie pytania. Był przecież detektywem.

Przysunęłam się do niego, żeby osłonić nas oboje parasolem, a przy okazji spróbować wyczuć alkohol, ale zapach masła orzechowego był zbyt silny.

— Ustabilizowałem się, jeżeli to właśnie usiłujesz ustalić.

Uśmiechnęłam się.

— Zdumiewające, że jeszcze tu jesteś.

— Coś mnie zatrzymało — odparł. — Sama widziałaś. Musiałem dokończyć pewną robotę.

Spojrzałam na niego z zaciekawieniem. Wyglądał na niezdecydowanego.

— Nasz zaginiony przyjaciel znowu zwinął manatki — odezwał się w końcu.

— Twój przyjaciel — poprawiłam.

— Mój przyjaciel — odpowiedział i roześmiał się.

— I bardzo dobrze.

Milczeliśmy przez chwilę, obserwując rozgardiasz na planie, gdzie mocne reflektory wybielały zieloną łąc kukurydzy.

— Jak rozumiem, nie szukasz już posady detektywa — powiedział Halliday.

— Raczej nie. Moja twarz jest pełna niespodzianek. A miałam szansę? — spytałam po chwili.

— Byłaś najlepszym kandydatem.

Kilkoro widzów dostrzegło mnie wreszcie — upiorną postać w filmowej charakteryzacji — i ruszyło pospiesznie w moją stronę. Coraz więcej samochodów skręcało z autostrady na naszą polną drogę.

— Lepiej już się zwinę — powiedział Halliday. — Zanim twoi fani mnie stratuja.

Wśliznął się za kierownicę. Stanęłam przy otwartym oknie, w jednej ręce trzymając parasol, a drugą opierając na drzwiach. Jakoś nie mogłam jej cofnąć.

Halliday uniósł moją dłoń i pocałował. Dwa razy.

— Tamtej nocy byłaś aniołem — wyznał ze sporym trudem. — Jestem ci wdzięczny.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zapewniłam go.

Teraz dopiero padało; o tak, to była prawdziwa ulewa. Moose minął Rockford, kierując się dalej na zachód. Strumienie deszczu, z którymi nie radziły sobie zdezelowane wycieraczk, bębniły coraz głośniej o dach i szyby wozu. Imperatyw, który zmuszał Moose'a do dalszej jazdy, był jednak silniejszy niż drobne przeciwności. Mężczyzna czuł, że

musi wrócić do miejsca swej pierwszej transformacji; tylko ono miało moc pokonania tej strasznej myśli, która zaatakowała go kilkadziesiąt minut wcześniej. Wiadukty nad autostradą były do siebie bliźniaczo podobne, ale Moose nigdy nie miał problemów z odnalezieniem tego właściwego. Już go widział, rozpoznawał mimo gęstej zasłony deszczu, i czuł, jak narasta w nim niewyjaśnione przyciąganie. Miał w oczach łzy, kiedy parkował kombi na wąskim poboczu — wiedział, że to niebezpieczne, zwłaszcza podczas burzy, więc przezornie zostawił włączone światła — i zaczął wspinać się na stromą skarpe. Deszcz otulił go natychmiast i oślepił, a błoto rozpląwało się pod butami. Moose ślizgał się, zjeżdżał i przewracał, ale powoli parł naprzód, w stronę szczytu. Deszcz lał się z nieba strumieniami, mocząc mu włosy, koszulę i spodnie, a błyskawice przetaczały się po niebie jak rzucone kamienie — tu już nie ma metafory, pomyślał Moose z satysfakcją. To prawdziwa, letnia burza!

Już zaczynał czuć ulgę. Odnalazł tu ogniwo łączące jego dawną osobowość z, terazniejszą — chłopca z mężczyzną — i tylko tu udawało mu się połączyć je w jedno. Był całością, wszystkim, czego potrzebował, lecz nawet teraz, gdy cieszył się tą kompletnością własnej osoby, raz jeszcze zaatakowała go przeraźliwa wizja: była tam, wśród wyjących ciężarówek, w wibracji i ryku silników pozostających na długo w uszach, w strasliwym przyspieszeniu ludzkiej historii, pełnej ognia, eksterminacji, przemocy i ślepoty — przede wszystkim ślepoty. Nikt nie dostrzegał tego, co Moose zobaczył przed laty i co widział teraz: bezmyślnego pędu naprzód, który musiał skończyć się katastrofą. Moose pochylał się nad mokrą trawą smaganego wichrem wzgórza i poczuł, jak wzbiera w jego piersi lodowata, ciężka jak ołów fala szloch. Kiedy wstrząsnęła jego wycieńczonym ciałem, sięgnął drżącą ręką do kieszeni po pigułki i wziął kilka do ust. Brał je każdego dnia, o tak, pigułki i pigułki, by uspokoić galopujący umysł, pracując jednocześnie nad zidentyfikowaniem przyczyny, błędu, krzywego ściegu, który stał się przyczyną takich zniszczeń w jego głowie.

— To koniec świata! — ryknął ze wszystkich sił wprost w nowy podmuch wiatru. Po chwili krzyknął jeszcze raz w stronę sunących obojętnie samochodów. A potem jeszcze raz, wkładając w te słowa resztkę energii, która mu pozostała: — To koniec świata!

Lecz nikogo to nie obchodziło. Oczy tych szaleńców kierowały się jedynie ku obiektywom kamer. Tych szaleńców, którzy byli nikim i niczym, jedynie seriami obrazów. Byli informacją, stłoczoną i bezduszną, zamkniętą w obwodach, w których żyli. Krzycząc do wiatru, Moose był sam. Zmagał się z zadaniem ponad jego siły — próbował ubiec nadchodzącą zagładę, którą tylko on i niewielu podobnych do niego, niezrównoważonych ludzi potrafiło dostrzec, podczas gdy inni pędzili jej na spotkanie. Przyzywali zagładę, której objawami były nie tylko rosnące temperatury, znikanie z powierzchni Ziemi coraz liczniejszych gatunków roślin i zwierząt, wymieranie koralowców, tworzenie hałd śmieci w głębinach oceanów i tajemnicze znikanie całych populacji żab. Te rzeczy widać było nawet gołym okiem, ale dewastacja świata była jedynie produktem ubocznym samego ruchu. Einstein się mylił, a może raczej miał połowiczną rację. Istniało i inne równanie przepowiadające katastrofę, ale Moose już go nie pamiętał. Możliwe, że otarł się o nie wcześniej tego dnia, kiedy jechał samochodem. Ruch jest przyjemny. Rzeczywiście. Zbyt przyjemny. Dlatego oni będą się ruszać dla samej przyjemności ruchu, myślał, będą się poruszać w podnieceniu, o którym nie wiedzą, że jest pochodną bliskiego już końca. Teraz i Moose poczuł wolę ruchu — zapragnął dotrzeć do kresu, do własnego kresu, by zrzucić z siebie ciężar widzenia i wiedzy, tej potwornej odpowiedzialności. Chciał spokoju.

— Proszę — zapłakał głośno. — Proszę...

Mknące dołem wozy przyzywały go przyjaznym pomrukiem; wielkie koła sunęły po mokrym asfalcie w brutalnym, mechanicznym galopie. Bezradnie ruszył w ich stronę, ostrożnie stawiając kroki po stromej skarpie, by nakarmić sobą tę maszynę. Czuł dreszcz na myśl o kolizji, uderzeniu i spokoju, który miał nadejść.

— Tak — powiedział cicho. — Teraz. Proszę.

Nie. Odpowiedź brzmiała: nie, nie teraz, jeszcze nie teraz. Dlatego, że gdzieś w ciele Moose'a trwała rozciągnięta między sercem a umysłem srebrzysta struna, nie grubsza od włosa, a zbudowana z czystej siły woli, która przetrwała w nim przez wszystkie te lata. Nawet w takiej chwili Moose czuł, że powinien chronić to delikatne włókienko, osłaniać je przed światem, jakby było ostatnią suchą zapalką w deszczu. Ukłął w błocie i położył się plecami na mokrej ziemi, by usunąć ze swej wizji ruch, będący prowokacją i pokusą, problemem i rozwiązaniem zarazem. Położył się, by oszczędzić tę odrobinę energii, która jeszcze w nim pozostała, by mocą umysłu ochronić pojedyncze włókno siły. Zamknął oczy i zapadł w sen.

Rozległ się grzmot i niebo pękło, wylewając na nas swoją zawartość.

— No, dobra! Ruszamy! — krzyknął Thomas, wychodząc na drogę. — Wszyscy na miejsca! Obie Charlotte do ogniska!... Już tam są?

Moja twarz była zbryzgana fałszywą posoką, a włosy pozlepiane deszczem; klejąca maź wlewała mi się do oczu, oślepiając mnie, kiedy przeciskałyśmy się z Charlotte przez gąszcz do stosu drewna. Ognisko właśnie zaczynało płonąć, osłonięte plandeką podtrzymywaną przez sześciu ochotników, którzy spoglądali na mnie z przerażeniem.

— To sztuczna krew! — uspokoiłam ich. — Zrobiona z masła orzechowego, nie czujecie? — Nie słyszeli. Burza wessała mój głos.

Mała Charlotte trzymała parasol nad naszymi głowami, kiedy czekałyśmy na rozpoczęcie długiego galopu przez pole kukurydzy w stronę kamery. Czułam się dziwnie, jakby świat dokoła mnie rozmazał się trochę i przekrzywił. Błyskawica rozświetliła pola, zamieniając je na moment w dagerotyp sprzed stu lat. Dziewczyna obserwowała mnie w milczeniu, a jej wzrok znowu był intensywny jak dotyk.

— Znam panią — powiedziała w końcu. — Była pani w moim domu.

— To prawda — przyznałam. — Spotkałyśmy się w garderobie twojej mamy. — Roześmiałam się, bo wspomnienie tej sytuacji było naprawdę zabawne — wyskoczyłam wtedy jak gdyby nigdy nic spomiędzy sukienek jej matki, pachnących perfumami Chanel. Myśląc o tym zdarzeniu poczułam się dziwnie szczęśliwa. Nie tyle z powodu samego spotkania w domu mojej dawnej przyjaciółki, które ledwie pamiętałam, ale z powodu tego, co wydarzyło się od tamtej pory i z czego zdałam sobie sprawę dopiero teraz: uwolniłam się od uciążliwości mojej dawnej egzystencji.

Dziewczyna nawet się nie uśmiechnęła.

— Ile lat temu to było? — spytała.

— Lat? Nie minął nawet rok — odpowiedziałam, uśmiechając się pod efektownymi skrzepami sztucznej krwi.

— Wydawało mi się, że dłużej — szepnęła smutno. — Wtedy... nie powiedziałam mamie o naszym spotkaniu — dodała.

— Nie ma sprawy. Pewnie dobrze się stało.

— Mogła pani wrócić.

— Jasne — przytaknęłam odruchowo i chwilę później pomyślałam, że to wcale niezły pomysł. Ellen Metcalf. Zobaczyć ją znowu, przekonać się, kim się stała...

— Jest tutaj. Moja mama — wyjaśniła Charlotte.

— Żartujesz? — zdziwiłam się. — Tutaj-tutaj?

— Gdzieś tutaj — powiedziała, rozglądając się. — Przyjechała popatrzeć. Tata też. Mówiłam jej, że pani tu jest.

— Mówiłaś? — podchwyciłam, przełykając ślinę. — I co ona na to?

— Powiedziała: „O mój Boże”. Uznałam jej słowa za niezwykle śmieszne.

— „O mój Boże” — powtórzyłam, wybuchając śmiechem. „O mój Boże”. Jakbym ją słyszała.

— Kiedy widziałyśmy się poprzednio — powiedziała dziewczyna — miała pani jaskrawoczerwone oczy.



— Byłam świeżo po wypadku — przypominałam. — Uwierz lub nie, ale po tym samym, w którym właśnie teraz występujemy.

Posłała mi dziwnie jasne spojrzenie.

— Poznałam nad rzeką mężczyznę — odezwała się po chwili. — Niedługo przed naszym spotkaniem. On też miał wypadek.

Nie odpowiedziałam.

— Miał rękę na temblaku — ciągnęła, z podniecenia podnosząc głos. — I dużą szramę na policzku.

— Naprawdę?

— Nazywał się Michael West — dodała. Słowa, które wreszcie wymknęły się z jej ust, powiewały jak flaga, jak gdyby nigdy jeszcze nie wypowiedziała ich na głos i czuła ulgę, że nareszcie to zrobiła. Mimo deszczu czułam jej szybki i gorący oddech.

Na szczęście w tym momencie rozległ się głos Thomasa:

— Ogień!

Na polecenie jednego ze zbuntowanych filmowców ochotnicy trzymający brezent rzucili w ognisko kulki łatwopalnego materiału, po czym jak na komendę odstepili o krok dalej, odsłaniając płomień dokładnie w chwili, gdy stanęły na tylnych łapach, przednimi sięgając ku niebu i rzygając w nie kolumną czarnego dymu.

— Cudownie! — zawołał Thomas. — Obie Charlotte gotowe?

— Gotowe! — odskrzyknęłyśmy równocześnie, stojąc na dnie wąskiego rowu, w połowie zalanego deszczówką. Mokre, niedojrzałe kolby szeleściły nad naszymi głowami. Charlotte wciąż osłaniała mnie parasolem, głównie przez wzgląd na mały mikrofon, który wpięto mi w kołnierz koszuli i ukrytym pod ubraniem kablem połączono z nadajnikiem schowanym w kieszeni.

— Bum! — ryknął Thomas, którego sylwetkę ledwie widziałam za kamerą, obok skulonej postaci Danny'ego.

— Bum! — zawtórował mu Donny, który stał na lewo od nas.

— Charlotte Dwa, prowadzisz! Charlotte Jeden, wiesz, co masz robić?

— Wrzeszczeć — odpowiedziałam. Przerabialiśmy to z dziesięć razy.

— Więc wrzeszcz! — krzyknął Thomas. — Wrzeszcz, jak nie wrzeszczałaś jeszcze nigdy w życiu! Wrzeszcz jak golaska z obrazka! Usta szeroko, szeroko, najszerzej! Jasne? Trzy... dwa... jeden... Akcja!

63

— A jednak — mówił Z — nie może być tak dalej.

Zanurzyliśmy się w noc. Jego rozczarowanie było tak intensywne i gorzkie, że odbierałam je prawie jak nienawiść. Droga była pusta, po bokach widziałam tylko pola.

O przednią szybę tłukły krople deszczu.

Nacisnęłam mocniej pedał gazu, w prędkości znajdując ulgę. Miałam wrażenie, że coś pęka, łamie się.

— Nie wolno pozwolić, żeby dalej tak było — ciągnął Z, wyglądając przez boczną szybę. — Ludzie powstaną i odrzucą te sny, którymi ich zniewoliliście.

Próbowałam nie słuchać. Byłam idiotką. Zagubioną i zdesperowaną idiotką. Jednak wszelkie fakty jakby traciły na znaczeniu, kiedy wpatrywałam się w pełznącą do przodu strzałkę szybkościomierza.

Wóz z hukiem toczył się przez deszcz.

— To się skończy — mówił Z. — Skończy się wielkim ogniem. — Kłamstwo spłonie, a pozostanie jedynie prawda. Zwolnij — dodał.

Ale ja nie mogłam zwolnić. Słuchałam go, nie rozumiejąc. Mimowolnie zaciskałam zęby.

— Skończy się bez twojego czy mojego udziału. Nastąpi eksplozja przemocy, której nawet nie umiesz sobie wyobrazić, bo jesteś zbyt dobrze osłonięta przed światem i zbyt zepsuta.

Nie mogłam mówić. Nie mogłam słuchać. Mogłam robić tylko jedno: wciskać gaz do dechy. Jedną po drugiej trącać struny niewidzialnej harfy. Nie, to niemożliwe, żeby ten samochód zagrał jeszcze o ton wyżej, myślałam. A jednak grał. Każda zmiana melodii silnika była dla mnie nieznośna rozkoszą.

— Góry poruszają się i zapadną. Oceany wystąpią z brzegów, a ty i tobie podobni zdacie sobie sprawę z tego, jak mało znacząca była w istocie ta wasza dominacja. Proszę cię, zwolnij — dodał znowu.

— Pozwól — odpowiedziałam. — Pozwól, żeby się skończyło.

Nie pragnęłam niczego poza ucieczką. Od moich błędnych decyzji. Od straconego czasu. Od faktu, że zmarnowałam sobie życie. Wyrzuciłam do śmieci.

— Zwolnij — powtórzył jakby mniej uprzejmie.

Docisnęłam pedał jeszcze mocniej. Wóz mógł osiągnąć prędkość dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeszcze nigdy nawet nie zbliżyłam się do tej granicy.

Chłodny metal dotknął mojej skroni.

— Zdejmij nogę z gazu — polecił.

Czułam drżenie ręki trzymającej pistolet. Trzęsła się jak cały samochód, który, myślałam, lada chwila miał się rozpaść.

— Liczę do trzech. Jeden... — powiedział łagodnie.

Ale było już za późno. Czułam się tak cudownie. Pędziliśmy ponad dwieście na godzinę i cały czas przyspieszaliśmy.

— Dwa...

Lufa szturchnęła moją głowę. Nie zależało mi. Wydawało mi się, że to świetny zbieg okoliczności, iż umrzemy razem. Staniemy się pomnikiem przypadkowości i desperacji, które nas połączyły.

— Trzy.

Wcisnęłam do oporu pedał hamulca i jednocześnie zaciągnęłam ręczny. Wiatr huczał bardzo głośno. Wydawało mi się, że jego wycie było głosem instynktu samozachowawczego. Piskiem ostatniej nadziei. Pamięci. Upartej woli przetrwania, która pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie, ratując nam życie. Przeciągając z powrotem na swoją stronę.

W rzeczywistości jednak był to prawdziwy wiatr, który wtargnął do środka przez otwarte drzwi pasażera.

Pasażera, który już wyskoczył.

Biegliśmy przez kukurydziane pole, mała Charlotte i ja. Zamknęłam i tak bezużyteczne oczy i ułożyłam usta w gigantyczne „O”, wydobywając z siebie przerażony głos, jakiego nigdy dotąd nie słyszałam. Ślizgałyśmy się w błocie, ale dziewczyna ciągnęła mnie uparcie dnem zalanego rowu. Nogi uginały się pode mną ze zmęczenia i padałam w bok, między zielone łądki. Wydawało mi się, że biegniemy tak przez całą wieczność. Charlotte — silna, mimo szczupłej budowy — pomagała mi jak mogła; doszłam do wniosku, że musiała być przyzwyczajona do holowania ludzi wąskimi rowami w polu kukurydzy podczas burzy. Dźwigała mnie, ciągnęła, wlokła po błocie. Nigdy tam nie dotrzemy, myślałam za każdym razem, gdy zatrzymywałam się, by zaczerpnąć powietrza. Będziemy biec w nieskończoność.

I nawet kiedy dowlokliśmy się do celu, kiedy było po wszystkim i otoczyli nas ludzie, nadal coś było nie tak. Słyszałam spanikowane głosy i wyczuwałam strach w dotykających mnie dłoniach. Czułam napływającą skądś falę gorą-

ca. Ogień przeniósł się na pole, pomyślałam z niepokojem. Przywieźli za mało piasku, płomienie wymknęły się spod kontroli i teraz zniszczą farmerowi całą kukurydzę.

Leżałam na plecach. Słyszałam, jak ktoś mówił o lekarzu i karetce, ale wszystko docierało do mnie jakby z bardzo daleka. Inny, nieustający dźwięk zagłuszał wszelkie głosy i czułam, że coś jest nie tak. Wiedziałam o tym, mimo słów Thomasa („Pięknie, fantastycznie...”), wiedziałam, bo słyszałam tupot biegnących i kakofonię głosów Irene, Allison, Pammy, małej Charlotte i wreszcie Grace, mojej siostry, która zbliżała się, wykrzykując płaczliwie: „Co się stało? Co jej jest? Co się dzieje?”

Odpowiedział jej bardzo bliski głos. Znajomy głos. Nowy i stary zarazem. Głos, którego nie słyszałam od wielu, wielu lat. Otaczał mnie teraz, tak bliski, jakby należał do mnie. Głos Ellen. Ellen Metcalf, mojej starej przyjaciółki.

Mojej starej przyjaciółki.

Trzymała mnie za rękę, dotarło do mnie, a jej głos brzmiał spokojnie i był tak bliski, że zastanawiałam się, czy nie leżę na jej kolanach. Przez cały czas czułam ciepło. Tak, pomyślałam z ulgą, dobry samarytanin jest tutaj. Nareszcie przybył.

— Charlotte nie może przestać krzyczeć — powiedziała Ellen.

Moose leżał w błocie w niemal zupełnej ciemności, napawając się ciszą. Grzmoty ucichły w oddali, a deszcz zelżał, zamieniając się w ciepłą i przyjazną mżawkę. Szept przejeżdżających aut równie dobrze mógł być szumem morza.

Moose zdawał sobie sprawę z czyjejs obecności, ale odczekał trochę, zanim otworzył oczy; próbował wyczuć masę, cele i intencje przybysza.

Kiedy wreszcie spojrzął, zobaczył obok siebie Priscillę. Siedziała skulona na krawędzi skarpy, obejmując ramionami kolana, ubrana w błękitne szorty i bluzkę z małymi, czerwonymi pączkami róż. Jej włosy i ubranie były mokre. Płakała, spoglądając w dół, na samochody sunące autostradą.

Moose usiadł. Był zdezorientowany i miał poczucie winy, że dał się przyłapać w sytuacji, której nawet nie potrafił wyjaśnić.

— Kochanie — powiedział, obejmując mokrymi ramionami smukłe ciało żony, pachnące wilgotną skórą. Szlochała cicho, odwracając gładką i piękną twarz.

— Edmundzie, dlaczego? — spytała.

— Nie umiem wyjaśnić. Pociągnęła nosem i otarła łzy.

— Wiem — szepnęła.

Uspokaja się, zauważył Moose z niewymowną ulgą. Istotnie, Priscilla panowała nad sobą. Była już prawie spokojna.

— Nie wróciłeś do domu — powiedziała. — Bałam się.

— Przepraszam, skarbie.

Było mu głupio. Nie wiedział dokładnie, co się stało i dlaczego jego spodnie nosiły ślady czarnego mazaka. Kiedy tak siedział obok Priscilli, paroksyzmy ostatnich kilku godzin wydawały mu się czymś nieskończenie małym.

— Wziąłeś lekarstwo? — spytała.

Kiwnął głową, ściskając jej dłoń. Dłoń swojej żony. Wydawało mu się niemożliwe, że Priscilla naprawdę jest jego. Świat ucichł; nawet pomruk samochodów zdawał się być subtelny jak modlitwa. Siedząc pośrodku tej wielkiej ciszy, Moose zdołał wreszcie zebrać w sobie odwagę, spokój umysłu, rozsądek oraz logikę — tych rozproszonych żołnierzy, którzy przez ostatnie godziny wałęsali się bez generała — i ustawił je wszystkie w równej formacji, wziął głęboki wdech i odezwał się do żony głosem tak normalnym, na jaki tylko było go stać:

— Charlotte już nie chce uczyć się ze mną.

— Ooo — odpowiedziała Priscilla, a jej twarz wyrażała szczere współczucie. — Pewnie sprawiła ci wielki zawód. — Poglądziła jego ubłoconą głowę. Słyszac i widzac jej reakcję — rozczarowanie, ale i spokój wróżący przetrwanie — znowu poczuł ulgę.

— Jedźmy do domu — powiedział.

Było ciemno. Światła samochodu paliły się jeszcze, choć zdecydowanie słabiej. Moose włączył awaryjne, zamknął drzwi i wsiadł do capri Priscilli, która czekała już za kierownicą. Pomyślała, że z domu trzeba będzie zadzwonić po ekipę Triple A, żeby ściągnęła wóz Moose'a. Robiła to już parę razy.

Zamierzała odgrzać mu zupę Campbella i położyć go do łóżka. Wiedziała, że przez kilka następnych dni będzie zmęczony i bardzo spokojny.

Lecz nawet teraz, kiedy było po wszystkim i jechali drogą międzystanową w stronę domu, Moose wyczuwał wokół Priscilli cieniutką, niemal przezroczystą warstewkę smutku. Cieniutką jak pajęczynę. Priscilla była smutna z jego powodu. Znowu.

— Pójdziemy jutro do kina? — spytał, próbując wykrzesać z siebie odrobinę serdeczności. — To sobota, prawda?

— Idę do pracy.

— W takim razie pojutrze.

Skinęła głową bez przekonania. Moose wyczuł z przerażeniem, że pojawiła się między nimi jakaś bariera.

— Potrzebujemy mleka — powiedział. — Zatrzymamy się w Logli?

— Już to zrobiłam.

Mijały minuty i przepaść ciszy stawała się coraz szersza.

— Kiedy poczuję się lepiej — zaczął Moose z wielkimi oporami — kiedy już to wszystko się skończy, może... może zabrałbym cię na wakacje?

Priscilla nie odpowiedziała.

— Tylko nas dwoje, w jakimś miłym miejscu — kontynuował. — Żeby się uspokoić, zrelaksować.

Dopiero teraz, w połowie tej rozpaczliwej deklaracji, Moose zrozumiał, że plan, który nosił w sobie od ponad roku, stanie się rzeczywistością właśnie dlatego, że powie o nim swojej żonie. Wtedy nie będzie już odwrotu.

— Pomyślałem o... Hawajach — powiedział, dławiony strachem przez każde słowo. Czuł się tak, jakby jednak skoczył z tej skarpy. — Co ty na to?

Cisza trwała jeszcze długą chwilę. Moose leciał i leciał, wymachując rękami i nogami w otwartej przestrzeni. Wreszcie, gdy Priscilla spojrzała na niego, dostrzegł w jej oczach coś nowego. Odrodzenie. A potem płomień rozjaśniający jej twarz. Wiara powróciła do niej tak, jak dusza wraca do reanimowanego ciała. Moose wtulił się w miękki fotel i zamknął oczy.

Świat jednak został ocalony.

Priscilla chwyciła jego dłoń.

— Na Hawajach będzie nam cudownie — powiedziała.

# Część trzecia

## ŻYCIE PO ŻYCIU

### Rozdział dwudziesty

Ta kobieta zabawiająca gości wczesnym latem na swym balkonie z widokiem na East River, mieszająca drinki z rumem w taki sposób, że chwilami etykiety „Bacardi” i „Coca-Cola” ukazują się widzom w złocistym świetle — to nie ja.

Ta kobieta — do której sponsorów należą: Doritos, Lean Cuisine, Frigidaire, Williams-Sonoma, O.B., Sea Breeze, Q-tips, Clairol, Mac Cosmetics, Lubriderm, Vidal Sassoon, Bayer, NyQuil, TV Guide, Calvin Klein, Johnson & Johnson, Panasonic, Goodyear, Raisinettes, Windex, Tide, Clorox, Pine-Sol, Dustbuster, CarpetClean, Mason Pearson, Dentine, See's Candies, Scope, Nine West, Random House, General Electric, Tiffany, Flossrite, Crate & Barrel, Fruit of the Loom, Scotchgard, Apple, „New York Post”, Hanes, Odoreaters, Frame-o-Rama, Kodak, Kostka Rubika, Day Runner, FTD, Sam Flax, „Encyclopaedia Britannica”, Roach Motel, Reebok, Blistex, Braun, Levolor, Xerox, The Door Store, Right Guard, D'Agostino, Rubbermaid, galaretki K-Y oraz doktor Raymond Huff, położnik; kobieta, której żyły, żołądek i jelita otworzyły swe śliskie korytarze przed miniaturowymi kamerami; której serce, z jego poszarpanymi, przestronnymi komorami, jest lepiej znane większości Amerykanów (wedle ostatnich badań) niż dłonie ich współmałżonków; ta pierwsza w dziejach kobieta, której dziecko zostało poczęte i urodzone on-line, przed międzynarodową publicznością, dwukrotnie liczniejszą niż ta, którą zebrały przed ekranami finałowe odcinki *Zdrówka* i *Seinfeld* razem wzięte — to naprawdę nie ja. Przysięgam.

Rozłam między mną a Charlotte Swenson rozpoczął się jeszcze przed legendarnym już debiutem serwisu „Zwykli Ludzie”, któremu towarzyszyły istne tsunami kontrowersji, historii i potępienia ze strony ekspertów przepowiadających koniec amerykańskiego stylu życia. Przed debiutem, który przyniósł przedsięwzięciu niewyobrażalną popularność, a słynnej „Trzydziestce Zwykłych” (był wśród nich Pluto), których nazwiska są dziś w większości zastrzeżonymi znakami towarowymi, ogromną sławę. Już wtedy miałam wrażenie, że wszelkie ruchy, które składają się na moje życie, wykonuje ta kobieta, Charlotte Swenson, w której skórze mieszkalam przez tyle lat, a nie ja.

Żywot osoby publicznej z całą pewnością pogłębił rozdzźwięk między nami. A muszę przyznać, że w ciągu roku po debiucie serwisu moje życie publiczne rozrosło się do monstualnych rozmiarów: powstały pierwsze odcinki serialu „Wypadkowa Charlotte” — komedii sytuacyjnej o kobiecie, której twarz w wyniku operacji zmienia się nie do poznania, co staje się źródłem niezliczonych nieporozumień i komplikacji (*Mary Tyler Moore* plus *Seks w wielkim mieście* plus *Z archiwum X*, że zacytuje opinię Thomasa); nakręcono film *Oko cyklonu* (*Thelma i Louise* plus *Fatalne zauroczenie* plus *Bez twarzy*), który podobno był straszną szmirą — nie wiem, bo nie widziałam; stworzono lalkę „Charlotte o wielu twarzach”, będącą w zasadzie kopią Barbie, tyle że z wymiennymi główkami; napisano grę wideo pod tytułem „Z”, w której gracze musieli wykryć i zlikwidować terrorystę-kameleona w najróżniejszych sytuacjach, zanim on wyeliminuje Charlotte; ukazała się moja książka *Bez oblicza: pamiętnik rekonwalescentki* (Knopf, 199-), której towarzyszyła sesja zdjęciowa dla „Vogue'a” i wielu innych czasopism (moja twarz nie pokazywała się w nich od wielu, wielu lat); wzięłam udział w programach „Letterman”, „The Today Show” i „Larry King”; i wreszcie wystąpiłam jako honorowy prezes sympozjum akademickiego pod hasłem „Semiotics of Physiognomy in Post-Deconstructive Visual Discourse” (z którego nie rozumiałam ani słowa). Wytworzyła się wokół mnie otchłań nowych zajęć, która skutecznie oddzieliła mnie od Charlotte Swenson. Stałam się kimś innym.



W drugim roku po debiucie serwisu, kiedy mój status pop kulturowej ikony osobistej transformacji był już ugruntowany, pojawiła się nowa fala projektów: „nieautoryzowana” biografia (napisana na zamówienie Thomasa), w której przedrukowano moje zdjęcia z dawnego życia, wzbogacone komentarzami całych tabunów moich byłych kochanków (muszę przyznać, że poczciwy Hansen odmówił wypowiedzi); linia strojów dziennych i kąpielowych „Metamorfoza”, sprzedawana obecnie w sklepach Neimana Marcusa w całym kraju; perfumy „Incognito” („Bijan” plus „Poison”); kosmetyki „Renesans” służące do pielęgnacji zmęczonej, pomarszczonej, poparzonej słońcem i uszkodzonej mechanicznie skóry (bystrzy specjaliści od marketingu zauważyli, że taka specyfikacja pozwala sprzedać produkt absolutnie każdemu) — perłą w koronie tej kolekcji był krem „Alibi” do usuwania blizn, sprzedawany na wszystkich stacjach benzynowych; moje epizodyczne role w kilku filmach, gdzie zwykle pojawiałam się jako zagadkowy przybysz, tylko po to, by bohater mógł powiedzieć „Wygląda znajomo...”, „Chyba gdzieś już ją widziałem...” albo „Zdawało mi się, że ją znam, ale... pomyliłem się”; seria przedsięwzięć związanych z szeroko pojętym stylem życia, których większość stanowiły tanie wydawnictwa towarzyszące programom telewizyjnym: „Dieta Charlotte”, „Koktajle Charlotte na wszystkie okazje”, „Jak zadowolić mężczyznę i być zadowoloną — przewodnik Charlotte”, „Zatańcz z Charlotte” (zestaw moich ulubionych przebojów z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych) i oczywiście „The Charlotte” — odporna na zabrudzenia kanapa, dostępna wyłącznie w sklepach Crate 8c Barrel.

Im większą sławę przynosiła mi moja transformacja, tym większym wydawała mi się nadużyciem. Ja się przecież nie zmieniałam, przeżyłam tylko coś w rodzaju rozszczepienia, po którym dwie części mojej osoby poróżniły się ze sobą. Byłam duchem zamkniętym w ciele bylewej modelki ogarniętej obsesją sławy. Musiałam bronić przed nią moich nastrojów i myśli, w przeciwnym razie zaraz je pożerała i sprzedawała („Techniki anty-samobójcze Charlotte”, „Poezja depresyjna Charlotte”). Pełzałam przez życie, hołubiąc w ukryciu nieliczne sny i wspomnienia, z których jeszcze mnie nie ograbiła, maskując nadzieje i aspiracje pod tarczą całkowitej obojętności, by nie znalazły się w polu widzenia kamery i nie stały się znane całemu światu. Raz lub dwa kazałam jej przysięgać, że dochowa tajemnicy, ale zdradziła mnie („Gwiazda mediów wychodzi za tajniaka”, „New York Post”, lipiec 199-), a jej postawa doprowadziła mnie do furii i skłoniła do szukania drogi ucieczki.

Właśnie wtedy, w epoce zdrady i nieufności, wpadła mi w ręce umowa, którą podpisałam z Thomasem Keenem. Teraz dopiero przeczytałam ją po raz pierwszy i na stronie klauzul dodatkowych natknęłam się na następujący tekst:

### 23. Transfer tożsamości.

Podmiot może w dowolnym momencie, lecz nie później niż na 30 (trzydzieści) dni przed wygaśnięciem terminu niniejszej umowy, powiadomić Serwis o zamiarze odsprzedania mu swych Praw Tożsamości, zdefiniowanych w paragrafie siódmym. Powiadomienie powinno być dokonane w formie określonej w paragrafie jedenastym niniejszej umowy. W przypadku sprzedaży Praw Tożsamości Podmiotu Serwis zapłaci uzgodnioną cenę po wejściu w życie umowy sprzedaży. Z chwilą dokonania zapłaty Podmiot będzie zwolniony z Obowiązków Podmiotu wymienionych w paragrafie trzynastym. Po upływie 7 (siedmiu) dni od daty sprzedaży (zwanej dalej „Datą Transferu”) Serwis przejmie wyłączne prawa do wszelkich dóbr materialnych i niematerialnych niezbędnych do stworzenia i utrzymania Tożsamości, a w szczególności do imienia i nazwiska, wyglądu, przedmiotów osobistych, miejsca zamieszkania, historii życia, fotografii, prywatnej korespondencji, pamiętników, pamiątek z podróży, dokumentacji finansowej, dokumentacji medycznej i wszelkich dodatkowych danych mających związek z Tożsamością Podmiotu (...).

Z upływem zdefiniowanej powyżej Daty Transferu wzmiankowany Transfer jest nieodwołalny i jakiegokolwiek działania ze strony Podmiotu lub osób trzecich wykonujących wolę Podmiotu, mające na celu odzyskanie Tożsamości, w szczególności prawa do używania imienia i nazwiska oraz przejęcia dawnej

własności, zostaną uznane za złamanie postanowień Umowy i podlegać będą sankcjom wynikającym z paragrafu czterdziestego pierwszego...

Sprzedalam Charlotte Swenson za sumę, która wystarczy na dostatnie życie dla mnie i dwóch lub trzech innych osób, choć (jak twierdzą niektórzy) była to niewielka część rzeczywistej wartości przedmiotu transakcji. Zafarkowałam włosy, zmieniłam nazwisko i po raz ostatni przekroczyłam próg apartamentu na dwudziestym piątym piętrze. Wysłałam z pustymi rękami na Pięćdziesiątą Piątą Wschodnią Ulicę i zatrzymałam taksówkę, pozostawiając za sobą pełną garderobę, biurko i szafki kuchenne. Wyśliznęłam się z mojego życia jak owca ostrzyżona ze zbyt grubej warstwy zimowej wełny, świecąc różową skórą w rześkim powietrzu ulicy.

Wszystko, czego trzeba człowiekowi do życia, to akt urodzenia.

Teraz zespół specjalistów od grafiki trójwymiarowej i animatorów tworzy moje podobizny i wstawia je komputerowo na mój balkon, na kanapę, do kuchni czy sypialni. Z tego, co widziałam, są niewiarygodnie dobrze zrobione. Scena porodu w szpitalu? Prawie w nią uwierzyłam!

Jeśli chodzi o teksty — wpisy do pamiętnika, sny i całą resztę — sądzę, że nadal pisze je Irene albo jeden z jej ludzi. Jako pierwsza z „nowych-nowych dziennikarek”, Irene Maitlock sama stała się legendą, a na rynku pojawiły się już całe zastępy naśladowców. Jej firma, miglior/fabro.com, prosperuje znakomicie, a sama Irene stała się gwiazdą pierwszej wielkości. Ostatnio widziałam ją na zdjęciu, uwieszoną na ramieniu Richarda Gere'a, co, jak sądzę, oznacza, że jej małżeństwo nie przetrwało próby czasu. Wygląda teraz zupełnie inaczej; gdyby nie nazwisko, chyba bym jej nie poznała.

Jeśli chodzi o mnie, wolałabym nie mówić zbyt wiele. Kiedy oddycham, powietrze bardzo mi smakuje. A kiedy myślę o pokoju luster — bo oczywiście wciąż o nim myślę — pojmuję, że jest on pusty, choć wypełniają go szczelnie chimery takie jak Charlotte Swenson — twarde, piękne muszle od dawna porzucone przez żywe istoty, które wywalczyły sobie wolność i odpłynęły. Lub umarły. Nie można utrzymać się przy życiu pod presją tak wielu spojrzeń. Nawet kiedy próbujemy rozwiązać zagadkę samego siebie, gdy próbujemy zaskoczyć ją, odkryć jej puls i perystaltykę, prawda wymyka się nam, zakopana jeszcze głębiej w ciemnej, przytulnej prywatności, która mnoży się jak żywa krew. Umiera zaś w chwili, gdy padnie na nią światło.

Raz lub dwa razy do roku dzwonię na moją starą skrzynkę głosową, tylko po to, żeby sprawdzić, czy nadal jest w niej nagrane moje powitanie. Ręka trzęsie mi się za każdym razem, gdy wykręcę numer, zastanawiając się, kto odpowie.

— Cześć, to ja — rozlega się jej dziecinny, ochryply od papierosów głos z cyfrowej pustki. — Zostaw wiadomość, byle krótką.

— Cześć — odpowiadam. — To ja.

# Posłowie

Moja praca nad *Spójrz na mnie* trwała sześć lat. W tym czasie dokonałam w powieści niezliczonych poprawek, z których ostatnia datuje się na styczeń 2001 roku, kiedy Ameryka, a przede wszystkim Nowy Jork, były w pewnym sensie zupełnie innym miejscem niż dziś. Pracując nad ową ostatnią zmianą — niewielką, jako że książka miała ukazać się we wrześniu — poświęciłam kilka dni na modyfikację postaci Z. Mój wydawca uważał, że ludzki aspekt natury Z nie był tak dobrze wyeksponowany w części dotyczącej jego nowojorskich przeżyć, jak w części późniejszej, opowiadającej o jego przemianie w Michaela Westa. Ucieszyła mnie sposobność dopracowania tej postaci; spośród wszystkich bohaterów *Spójrz na mnie* to właśnie Z martwił mnie najbardziej. Obawiałam się, że brakuje mu wiarygodności. Pisałam już niejednokrotnie o przyczynach, które skłoniły mnie do stworzenia tej postaci i o związanych z tym przygotowaniach. Dlatego teraz pragnę tylko przypomnieć czytelnikom, że choć może trudno dziś analizować losy Z inaczej niż w kontekście wydarzeń z 11 września 2001 roku, to jednak opowieść o jego czynach powstawała w czasach, gdy tragedia takich rozmiarów wydawała się czymś niewyobrażalnym. Gdyby tamtej jesieni moja praca nad powieścią jeszcze trwała, musiałabym dokonać w treści głębokich zmian. Stało się jednak inaczej — *Spójrz na mnie* pozostanie fikcyjną pamiątką dawnych, bardziej niewinnych czasów.

*Jennifer Egan*

Nowy Jork, 4 kwietnia 2002